

STEPHEN KING

LŚNIENIE

Prószyński i S-ka

* * *

Jest to jeden z najlepszych współczesnych horrorów. Nastrój grozy i napięcia potęguje się z każdą minutą. Pięcioletni Danny znalazł się z rodzicami w opustoszałym na zimę hotelu. Wrażliwe, obdarzone zdolnościami wizjonerskimi dziecko odbiera fluidy czające się w murach starej budowli; były one świadkami krwawych porachunków świata przestępczego i milionerów.

* * *

W komnacie tej... stał olbrzymi hebanowy zegar. Głucho, posepnie, jednostajnie tykotało wahadło jego w jedną i drugą stronę; kiedy wszakże... miała uderzyć godzina, wówczas z brązowych płuc zegara rozlegał się dźwięk głęboki, czysty, donośny i nadzwyczaj melodyjny, lecz tak dziwnie gędziebny i uroczy-
sty, iż ze schyłkiem każdej godziny grajkowie orkiestry mimowolnie przestawali na chwilę rzępolić i zasłuchiwali się w dźwięki, bezwiednie zatrzymywali się w swych pługach tancerze i przelotny niepokój rozradowane ogarniał towarzystwo. Jak długo rozbrzmiewało granie zegara, najlekkomyślniejsi bledli, starsi zaś i stateczniejsi podnosili rękę do czoła, jak gdyby w błędnej jakiejś zadumie czy rozmarzeniu; lecz skoro tylko ostatnie zamierały pogłosy, płochy śmiech naraz przelatywał w tłumie: grajkowie spoglądali na siebie, uśmiechając się ze swego niedorzecznego zmieszania, i szeptem przyrzekali sobie, iż następny odzew nie wywoła już w nich takiego wrażenia; atoli po upływie sześćdziesięciu minut... granie zegara odzywało się ponownie i ponownie następowało takie samo zadrganie i zaniepokojenie, i taka sama nastawała zaduma.

Pomimo to bawiono się wytwornie i ochoczo...

*E. A. Poe, „Maska Czerwonego Moru”
(przeł. Stanisław Wyrzykowski)*

Gdy rozum śpi, budzą się upiory.
Goya

Jak zaświeci, będzie świecić.
Porzekadło ludowe

CZEŚĆ I

Sprawy wstępne

Rozdział pierwszy

Rozmowa z pracodawcą

Jack Torrance pomyślał: nadgorliwy kutasina.

Ullman mierzył pięć stóp i pięć cali, a poruszał się z pełnym zaferowania pośpiechem, który zdaje się wyłączną cechą wszystkich niskich i korpulentnych mężczyzn. Przedziałek miał prościutki, ciemne ubranie dyskretne, lecz budzące zaufanie. Jestem kimś, do kogo można się zwracać w kłopotliwych sprawach — mówiło to ubranie do klienta. Do pracownika przemawiało zwięźle: to należy zrobić dobrze, pamiętaj. Stuart Ullman nosił w butonierce czerwony goździk, zapewne w tym celu, aby żaden przechodzień nie wziął go za miejscowego przedsiębiorcę pogrzebowego.

Kiedy Jack słuchał Ullmana, przyznawał w duchu, że prawdopodobnie nie mógłby lubić nikogo po tamtej stronie biurka — w danych okolicznościach.

Ullman zadał mu pytanie, którego nie rozumiał. To źle; osoby typu Ullmana rejestrują takie potknięcia w umyśle i rozpatrują je później.

— Słucham?

— Pytałem, czy pańska żona w pełni pojmuje, jakie pan bierze na siebie obowiązki. Oczywiście jest jeszcze pański syn. — Spojrzał na leżące przed nim podanie. — Daniel. Żony ta myśl ani trochę nie przeraża?

— Wendy to niezwykła kobieta.

— A wasz syn też jest niezwykły?

Jack uśmiechnął się szczerze, promiennie, jakby był agentem reklamy.

— Tak nam się przynajmniej wydaje. Jak na pięciolatka, wykazuje sporą samodzielność.

Ullman nie odwzajemnił uśmiechu. Wsunął podanie Jacka z powrotem do teczki. Teczka powędrowała do szuflady. Na biurku nie pozostało już teraz nic prócz bibularza, telefonu, lampki do czytania i koszyka na wpływającą i odchodzącą korespondencję. Obie przegródki koszyka również były puste.

Ullman wstał i podszedł do segregatora w rogu.

— Pozwoli pan tutaj, panie Torrance. Popatrzymy na plany pięter.

Przyniósł pięć dużych arkuszy i położył je na lśniącym orzechowym blacie biurka. Jack stanął po tej samej stronie co Ullman i bardzo wyraźnie poczuł zapach jego wody kolońskiej. Wszyscy moi ludzie używają juchtu angielskiego albo nie używają niczego, przyszło mu do głowy całkiem bez powodu i musiał się ugryźć w język, żeby nie ryknąć śmiechem. Z kuchni za ścianą dobiegały ciche odgłosy; po lunchu pracowano tam na zwolnionych obrotach.

— Piętro najwyższe — zaczął Ullman różnym tonem. — Strych. Teraz nie ma tam absolutnie nic prócz rupieci. Po zakończeniu drugiej wojny światowej Panorama kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk i chyba każdy kolejny dyrektor wyrzucał wszystkie niepotrzebne graty na strych. Proszę o zastawienie tam pułapek i wyłożenie trutki na szczury. Niektóre pokojówki z trzeciego piętra twierdzą, że słyszały jakieś szelesty. Nie daję temu wiary nawet na chwilę, powinniśmy jednak mieć stuprocentową pewność, że w Panoramie nie ma ani jednego szczura.

Jack trzymał język za zębami, choć podejrzewał, że nie ma na świecie hotelu bez choćby paru szczurów.

— Naturalnie pod żadnym pozorem nie pozwoli pan synowi wchodzić na strych.

— Nie — odparł Jack i znów przywołał na twarz promienny uśmiech agenta reklamy. Upokarzająca sytuacja. Czy ten nadgorliwy kutasina rzeczywiście uważa, że on, Jack, pozwoliłby synowi myszkować po strychu, pełnym pułapek na szczury, starych rupieci i Bóg wie czego jeszcze?

Ullman szybko wsunął plan strychu pod pozostałe arkusze.

— Panorama ma sto dziesięć pomieszczeń dla gości — objaśniał metodycznie. — Trzydzieści, same apartamenty, mieści się tutaj, na trzecim piętrze: dziesięć, włącznie z apartamentem prezydenckim, w skrzydle zachodnim, dziesięć w części środkowej i jeszcze dziesięć w skrzydle wschodnim. Z każdego roztacza się wspaniały widok.

Czy mógłbyś przynajmniej zrezygnować z tego reklamiarstwa?

Ale milczał. Zależało mu na tej pracy.

Ullman schował plan trzeciego piętra pod spód i zajęli się piętrem drugim.

— Czterdzieści pokoi — poinformował Ullman. — Trzydzieści dwójek i dziesięć jedynek. A na pierwszym piętrze po dwadzieścia każdego rodzaju. Plus trzy bieliźniarki na każdym piętrze, magazyn na samym końcu wschodniego skrzydła hotelu na drugim piętrze i jeszcze jeden na końcu zachodniego skrzydła na piętrze pierwszym. Jakież pytania?

Jack pokręcił głową. Ullman sprzątnął plany drugiego i pierwszego piętra.

— A teraz parter. Pośrodku jest recepcja. Za nią biura. Hol, licząc od recepcji, ma w obie strony po osiemdziesiąt stóp długości. Tu, w skrzydle zachodnim, mieści się sala jadalna i salon Kolorado. Sale bankietowa i balowa są w skrzydle wschodnim. Pytania?

— Tylko w związku z podziemiem — odparł Jack. — Dla dozorczy zaangażowanego na zimę ten poziom jest najważniejszy. Rzec można, tam rozgrywa się akcja.

— To wszystko pokaże panu Watson. Plan wisi na ścianie w kotłowni. — Ullman zmarszczył się groźnie, może po to, aby dać do zrozumienia, że jako dyrektor nie zaprzęta sobie głowy tak przyziemnymi aspektami funkcjonowania hotelu, jak ogrzewanie i kanalizacja. — Chyba nieźle byłoby i tam zastawić kilka pułapek. Chwileczkę. . .

Nabazgrał coś w bloczku wyjętym z wewnętrznej kieszeni marynarki (każda kartka miała grubo czarny nadruk „Z biura Stuarta Ullmana”), oddał arkusik i wrzucił do przegródki koszyka przeznaczonej na odchodzącą korespondencję. Kartka spoczęła tam osamotniona. Bloczek ponownie zniknął w kieszeni marynarki, jakby na zakończenie sztuki magicznej. Patrz, mały Jackie, raz jest, raz go nie ma. Ten facet to kawał waśniaka.

Zajęli swoje poprzednie miejsca, Ullman z jednej strony biurka, Jack z drugiej, pytający i pytany, petent i niechętny urzędnik. Ullman złożył wypielęgnowane rączki na bibularzu i patrzył prosto na Jacka — mały łysiejący mężczyzna w bankierskim garniturze i szarym stonowanym krawacie. Przeciwwagą kwiatka w butonierce była wpięta w drugą klapę szpilka z wykonanym złotymi literkami prostym napisem „Personel”.

— Będę z panem całkiem szczerzy, panie Torrance. Albert Shockley to wpływowy człowiek i ma duże udziały w Panoramie, która po raz pierwszy w swej historii przyniosła w tym sezonie zysk. Pan Shockley zasiada również w radzie nadzorczej, choć nie jest hotelarzem, do czego pierwszy by się przyznał. Ale swoje życzenia w sprawie dozorczy wyraził całkiem jasno. Chce, żeby pan nim został. I ja pana zaangażuję. Gdyby mi wszakże dano wolną rękę, nigdy bym tego nie zrobił.

Jack zacisnął spocone pięści na kolanach i pocierał jedną o drugą. Nadgorliwy kutasina, nadgorliwy kutasina, nadgorliwy. . .

— Chyba nie przypadłem panu do serca, panie Torrance. Ja się tym jednak nie przejmuję. Pańskie uczucia do mnie na pewno nie mają wpływu na to, że w moim przekonaniu nie nadaje się pan do tej pracy. W sezonie trwającym od piętnastego maja do trzydziestego września Panorama zatrudnia stu dziesięciu pracowników na pełnym etacie, można więc powiedzieć, że na każdy pokój hotelowy przypada jeden z nich. Jak sądzę, niewielu mnie lubi, a podejrzewam, że niektórzy mają mnie po trosze za drania. Nie bardzo się mylą w ocenie mojego charakteru. Muszę być po trosze draniem, żeby zarządzać tym hotelem tak, jak na to zasługuje.

Popatrzył na Jacka, spodziewając się usłyszeć komentarz, a Jack znowu przywołał na twarz uśmiech agenta reklamy, szeroki i obelżywy.

— Panoramę budowano od roku 1907 do 1909 — powiedział Ullman. — Najbliżej położone miasto, Sidewinder, leży czterdzieści mil stąd na wschód. Droga

do miasta jest zamknięta mniej więcej od końca października czy od listopada aż gdzieś do kwietnia. Hotel wybudował Robert Townley Watson, dziadek naszego obecnego konserwatora. Mieszkali tu Vanderbiltowie, Rockefellerowie, Astorowie, Du Pontowie. Apartament prezydencki zajmowało czterech prezydentów. Wilson, Harding, Roosevelt i Nixon.

— Hardingiem i Nixonem zbytnio bym się nie chlubił — mruknął Jack. Ullman zmarszczył brew, ale ciągnął, nie zważając na niego:

— Pan Watson nie dawał sobie rady i sprzedał hotel w roku 1915. Potem sprzedawano go w latach 1922, 1929 i 1936. Stał pusty do końca wojny, kiedy to nabył go i całkowicie odrestaurował Horacy Derwent, milioner i wynalazca, pilot, producent filmowy i przedsiębiorca.

— Znam to nazwisko — powiedział Jack.

— Tak. Wszystko, czego się tknął, zamieniało się w złoto... z wyjątkiem Panoramy. Wpakował w nią ponad milion dolarów, zanim pierwszy powojenny gość przekroczył te progi, i z chylącego się ku ruinie zabytku zrobił atrakcję turystyczną. To Derwentowi hotel zawdzięcza boisko do roque'a, które — jak widziałem — podziwiał pan po przyjeździe.

— Roque'a?

— Jest to brytyjski przodek naszego krokietu, proszę pana. Krokiet to skundlona odmiana roque'a. Jak głosi legenda, Derwent nauczył się reguł tej gry od swojego sekretarza do spraw towarzyskich i oszalał na jej punkcie. Nasze boisko jest zapewne najpiękniejsze w Ameryce.

— W to nie wątpię — rzekł Jack z powagą. Boisko do roque'a, od frontu żywopłoty strzyżone tak, by przypominały zwierzęta, i co jeszcze? Zaczynał mieć wyżej uszu pana Stuarta Ullmana, widział jednak, że Ullman nie skończył. Zamierzał powiedzieć swoje aż do ostatniego słowa.

— Derwent stracił trzy miliony, po czym sprzedał Panoramę grupie kalifornijskich akcjonariuszy. Równie źle na niej wyszli. Po prostu nie byli hotelarzami. W roku 1970 kupił ją pan Shockley z grupą swoich wspólników i mnie przekazał kierownictwo. Przez parę lat i my mieliśmy deficyt, lecz stwierdzam z przyjemnością, że obecni właściciele nigdy nie przestali pokładać we mnie zaufania. W zeszłym roku wyszliśmy na zero. A w tym roku, po raz pierwszy od prawie siedmiu dziesięcioleci, Panorama przyniosła zysk.

Jack przypuszczał, że ten pedancik ma powód do dumy, ale znów poczuł przyływ antypatii, jaką od początku wzbudzał w nim Ullman.

— Nie widzę związku między bezsprzecznie barwnymi dziejami Panoramy a pańskim przeświadczeniem, że nie nadaje się do tej pracy — powiedział.

— Panorama przynosiła tak duże straty między innymi dlatego, że każdej zimy traci na wartości. Zmniejsza to stopę zysku o wiele bardziej, niż pan sobie wyobraża. Zimy są tutaj nieopisanie surowe. Żeby uporać się z tym problemem, zaangażowałem na całą zimę dozorcę do obsługi kotła oraz ogrzewania kolejno

poszczególnych części hotelu. Miał usuwać powstające szkody, dokonywać napraw, stawiać czoła żywiołom. Stale być przygotowany na nieprzewidziane wypadki. Na pierwszą zimę nająłem rodzinę, a nie samotnego mężczyznę. Doszło do tragedii. Strasznej tragedii. Ullman chłodno otaksował Jacka wzrokiem.

— Popeliłem błąd. Gotów jestem to przyznać. Ten człowiek pił.

Jack poczuł, że powoli wypływa mu na usta gorączkowy uśmiech — absolutne przeciwieństwo szerokiego uśmiechu agenta reklamy.

— Czyżby? Dziwię się, że Al panu nie powiedział. Ja już nie piję.

— Tak. Pan Shockley mi mówił. Mówił też o pańskiej ostatniej posiadzie. . . nazwijmy ją ostatnim odpowiedzialnym stanowiskiem. Uczył pan angielskiego w szkole przygotowawczej w Vermont. Wpadł pan w złość, bo chyba nie muszę się wdawać w szczegóły. Ale tak się składa, że w moim przekonaniu przypadek Grady'ego ma z tym związek, dlatego też poruszyłem sprawę. . . hm, pańskiej przeszłości. Na pierwszą zimę, na przełomie roku 1970 i 1971, po odnowieniu Panoramy, ale przed otwarciem pierwszego sezonu, zatrudniłem tego. . . tego nie-szczęśnika nazwiskiem Delbert Grady. Zajął pomieszczenia, do których wprowadzi się pan z żoną i synem. On miał żonę i dwie córki. Moje zastrzeżenia budziła przede wszystkim ostra zima i fakt, że rodzina Gradych będzie odcięta od świata przez pięć do sześciu miesięcy.

— Ale właściwie tak nie jest, prawda? Są tu przecież telefony i przypuszczalnie krótkofalówka. A Park Narodowy w Górach Skalistych leży w zasięgu helikoptera, z pewnością zaś na tak dużym terenie muszą mieć jeden czy dwa helikoptery.

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Ullman. — W hotelu jest krótkofalówka, Watson pokaże ją panu wraz z listą właściwych pasm częstotliwości, na których mógłby pan w razie potrzeby wzywać pomocy. Do Sidewinder wciąż jeszcze prowadzą stąd nadziemne linie telefoniczne i prawie każdej zimy w tym czy innym miejscu zostają zerwane, a naprawa trwa na ogół trzy do sześciu tygodni. W szopie ze sprzętem stoi też śniegołaz.

— Więc właściwie hotel nie jest odcięty.

Pan Ullman zrobił urażoną minę.

— Przypuśćmy, że pański syn czy żona potknie się na schodach i dozna pęknięcia czaszki. Czy wtedy będzie pan uważał to miejsce za odcięte od świata?

Jack zrozumiał, o co chodzi. Śniegołazem dałoby się dotrzeć do Sidewinder najprędzej w półtorej godziny. . . może. Helikopter Parkowej Służby Ratowniczej mógłby tu przylecieć za trzy godziny. . . w najbardziej sprzyjających warunkach. Podczas zadymki w ogóle nie zdołałby wystartować, a nie sposób liczyć na rozwinięcie maksymalnej prędkości Śniegołazem, nawet gdyby się ktoś odważył przewozić ofiarę wypadku w temperaturze, powiedzmy, dwudziestu pięciu stopni poniżej zera — na wietrze czterdziestu pięciu.

— W przypadku Grady'ego — podjął Ullman — rozumowałem chyba bar-

dzo podobnie jak pan Shockley w pańskim przypadku. Samo odosobnienie może mieć zgubny wpływ na mężczyznę. Lepiej mu będzie z rodziną. W razie kłopotów, myślałem, są duże szanse na to, że nie zaistnieje nic tak pilnego, jak pęknięcie czaszki, zranienie narzędziem z napędem mechanicznym czy konwulsje. Ciężka grypa, zapalenie płuc, złamana ręka, nawet wyrostek robaczkowy nie wymagałyby takiego pośpiechu. Podejrzewam, że to, co się stało, było następstwem zgromadzenia przez Grady'ego bez mojej wiedzy dużych zapasów taniej whisky i dziwnej choroby, zwanej przez stare wygi więzienną. Zna pan to określenie? — Ullman przywołał na twarz protekcyjny uśmiešek, gotów udzielić wyjaśnień, jak tylko Jack przyzna się do swej ignorancji, więc Jack z radością odpowiedział szybko i zwięźle:

— Jest to żargonowe określenie reakcji klaustrofobicznej, która może nastąpić, kiedy ludzie długo przebywają razem w zamknięciu. Klaustrofobia uzewętrznia się niechęcią do osób zajmujących to samo pomieszczenie. W skrajnych przypadkach może ona wywoływać halucynacje i skłaniać do aktów gwałtu; popełniano morderstwa z tak głupich powodów, jak przypalony posiłek czy sprzeczka o to, na kogo wypada kolej pozmywać naczynia.

Ullman wydał się lekko zbity z tropu, co świetnie zrobiło Jackowi. Postanowił go jeszcze nacisnąć, lecz w duchu obiecał Wendy, że zachowa spokój.

— Sądzę, że tu popełnił pan błąd. Czy zrobił im krzywdę?

— Zabił najpierw wszystkie trzy, proszę pana, a potem siebie. Dziewczynki zarażał siekierą, żonę zastrzelił z dubeltówki, siebie również. Miał złamaną nogę. Niewątpliwie tak się spił, że zleciał ze schodów. — Ullman rozłożył ręce i z obłudną miną popatrzył na Jacka.

— Czy miał średnie wykształcenie?

— Prawdę powiedziawszy, nie miał — odrzekł Ullman sztywno. — Myślałem, że jednostka, nazwijmy ją, bez polotu, nie będzie do tego stopnia wrażliwa na niewygodę, na samotność...

— Na tym polegał błąd — skonstatował Jack. — Człowiek nierozgarnięty jest bardziej podatny na chorobę więzienną, tak jak łatwiej mu zastrzelić kogoś przy kartach czy ot, tak sobie obrabować. On się nudził. Kiedy spadnie śnieg, może najwyżej oglądać telewizję czy stawiać pasjansa i oszukiwać, jeśli nie odkryje wszystkich asów. Nie ma nic do roboty, więc dogryza żonie, czepia się dzieci i pije. Zasypia z trudem, bo panuje cisza. Toteż pije, aby zasnąć, i budzi się z kacem. Staje się drażliwy. A jak na przykład ogłuchnie telefon, wiatr zerwie antenę telewizyjną, to pozostaje mu tylko rozmyślanie, oszukiwanie przy pasjansie, no więc złości się coraz bardziej. W końcu... paf, paf, paf.

— Podczas gdy człowiek wykształcony, taki jak pan?...

— Oboje z żoną lubimy czytać. Muszę pracować nad sztuką, którą piszę, o czym zapewne powiedział panu Al Shockley. Danny ma swoje układanki, książeczki do kolorowania i radio kryształkowe. Chcę uczyć go czytania i chodzenia

po śniegu w raketach. Wendy też pragnie się tego nauczyć.

O tak, chyba potrafimy znaleźć sobie zajęcie i nie działać jedno drugiemu na nerwy, jeśli nawali telewizja. — Urwał. — I Al nie kłamał mówiąc, że już nie pije. Owszem, piłem dawniej i zaczynało to wyglądać poważnie. Ale przez ostatnie czternaście miesięcy nie tknąłem nawet piwa. Nie zamierzam przywozić tu alkoholu, a jak spadnie śnieg, i tak nie będę miał okazji go kupić.

— Tu przyznaję panu rację — rzekł Ullman. — Dopóki jednak będziecie w hotelu we trójkę, mnożyć się będą możliwości kłopotów. Choć mówiłem o tym panu Shockleyowi, odparł, że bierze na siebie odpowiedzialność. Teraz mówię o tym panu, a pan najwyraźniej też chce wziąć na siebie odpowiedzialność.

— Tak.

— W porządku. Godzę się, skoro nie mam wyboru. Mimo to nadal wolałbym z nikim nie związanego studenta na rocznym urlopie. No, może się pan nada. A teraz przekażę pana Watsonowi, który pana oprowadzi po podziemiu i terenie wokół hotelu. Chyba że nasunęły się panu jeszcze jakieś pytania?

— Nie. Żadne.

Ullman wstał.

— Mam nadzieję, że nie czuje pan urazy. Mówiąc to wszystko, nie kierowałem się względami osobistymi. Chodzi mi tylko o dobro Panoramy. To wspomniały hotel. Chcę, żeby taki pozostał.

— Nie. Nie czuję urazy. — Jack znowu błysnął zębami w uśmiechu agenta reklamy, ale się ucieszył, że Ullman nie podaje mu ręki. Czuł urazy. Najróżniejsze.

Rozdział drugi

Boulder

Wyjrzała oknem kuchennym i zobaczyła, że siedzi sobie na krawężniku, nie bawi się ciężarówkami ani furgonetką, ani nawet szybowcem z drewna balsy, którym tak bardzo się cieszył przez cały zeszły tydzień, odkąd Jack przyniósł go do domu. Po prostu siedzi i wypatruje ich sfatygowanego volkswagena, z łokciami wspartymi na udach, a brodą na dłoniach, pięcioletni dzieciak czekający na swego tatę.

Nagle Wendy omal nie rozplakała się ze smutku.

Powiesiła ścierkę na drążku przy zlewie i zeszła na dół, zapinając dwa górne guziki fartucha. Jack z tą swoją dumą! Och nie, Al, nie potrzebuję zaliczki. Dam sobie radę jeszcze przez jakiś czas. Ściany sieni były obdrapane, porysowane kredkami, świecówką, pochlapane farbą. Strome schody się łupały. Cały budynek zalatywał skiszłym odorem starości. Czy tu powinien mieszkać Danny po przeprowadzce ze schludnego ceglanego domku w Stovington? Lokatorzy z góry, z drugiego piętra, żyli ze sobą bez ślubu, co nie przeszkadzało Wendy, przeszkadzały jej natomiast zaciekle, ustawiczne kłótnie. Napełniały ją strachem. Kiedy w piątek po zamknięciu barów tamci dwoje wracali do domu, zaczynali naprawdę skakać sobie do oczu — w porównaniu z tym pozostałe dni tygodnia wydawały się zwykłą przygrywką. Jack nazywał to wieczornymi kłótniami piątkowymi, ale nie były one wcale zabawne. Elaine, doprowadzona w końcu do łez, powtarzała w kółko: „Przestań, Tom. Proszę cię, przestań. Proszę”. A on na nią wrzeszczał. Raz obudzili nawet Danny’ego, choć zwykle spał jak zabity. Nazajutrz rano Jack przyłapał Toma wychodzącego z domu i dość długo przemawiał do niego na chodniku. Tom zaczynał się stawiać, Jack dorzucił coś jeszcze, za cicho, żeby Wendy mogła usłyszeć, po czym Tom tylko posępnie potrząsnął głową i odszedł. Zdarzyło to się tydzień temu i przez parę dni było lepiej, lecz od piątku sprawy znów przybrały normalny — a raczej, nienormalny — obrót. Żle to działało na chłopca.

Znów zawładnęło nią uczucie żalu, lecz je stłumiła, bo już znajdowała się na ulicy. Zgarnęła pod siebie fartuch i przysiadła obok syna.

— No i jak? — zapytała.
 Uśmiechnął się do niej bez przekonania.
 — Cześć, mammo.
 Szybowiec leżał między tenisówkami chłopca i Wendy zauważyła, że jedno skrzydło już pęka.
 — Chcesz, żebyśmy zobaczyła, co się da z tym zrobić, skarbie?
 Danny znów zapatrzył się w ulicę.
 — Nie. Tata go naprawi.
 — On może wrócić dopiero na kolację, stary. Daleko jest w te góry.
 — Myślisz, że garbus nawali?
 — Nie, nie myślę. — Ale podsunął jej nowy powód do zmartwienia. Dziękuję, Danny. To mi było potrzebne.
 — Tata mówił, że może nawalić — oznajmił Danny rzeczowo, niemal ze znużeniem. — Powiedział, że pompa paliwowa jest gównno warta.
 — Nie używaj takich słów, Danny.
 — Pompa paliwowa? — zdziwił się szczerze.
 — Nie — westchnęła. — Gównno warta. Nie mów tak.
 — Dlaczego?
 — Bo to ordynarne.
 — Co to jest ordynarne, mammo?
 — Ordynarne jest na przykład dłubanie w nosie przy stole czy siusianie przy otwartych drzwiach łazienki. Albo mówienie takich rzeczy, jak „gównno warte”. „Gównno” to ordynarne słowo. Dobrze wychowani ludzie go nie używają.
 — Tata używa. Zajrzał do silnika i powiedział: „Rany, ta pompa paliwowa jest gównno warta”. Czy tata nie jest dobrze wychowany?
 Jak się nabywa takich umiejętności, Winifredo? Czy w praktyce?
 — Jest dobrze wychowany, ale i dorosły. I bardzo uważa, żeby nie mówić tak przy ludziach, którzy mogliby to źle zrozumieć.
 — Takich jak wujek Al?
 — Tak, właśnie takich.
 — Czy będę mógł tak mówić, jak dorosnę?
 — Chyba tak, obojętne, czy mi się to będzie, czy nie będzie podobać.
 — Ile będę musiał mieć lat?
 — Na przykład dwadzieścia, stary.
 — Długo trzeba czekać.
 — Pewnie, ale ty spróbujesz, co?
 — Dobra.
 Znów wpatrzył się w ulicę. Mięśnie mu się lekko napięły, jakby zamierzał wstać, lecz nadjeżdżający garbus był znacznie młodszy i w kolorze o wiele bardziej jaskrawej czerwieni. Danny znów okłapł. Wendy się zastanawiała, jak ciężko

przeżył tę przeprowadzkę do Kolorado. Choć nic nie mówił, martwiła się, że tyle czasu spędza samotnie. W Vermont trzech kolegów Jacka miało dzieci mniej więcej w wieku Danny'ego. Tam chodził zresztą do przedszkola, tu zaś w ogóle nie miał się z kim bawić. Większość mieszkań na ulicy Arapahoe zajmowali studenci miejscowego uniwersytetu, a tylko nieliczne małżeństwa, w tym niewiele z dziećmi. Widywała może kilkanaścioro gimnazjalistów, troje niemowląt i na tym koniec.

— Dlaczego tata stracił pracę, mamó?

Wyrwana z zadumy, zaczęła się głowić nad odpowiedzią. Dyskutowali już z Jackiem o tym, jak potraktować takie pytania syna, i brali pod uwagę różne sposoby, począwszy od uników, a skończywszy na powiedzeniu mu całej prawdy bez żadnych upiększeń. Danny jednak nie pytał. Zapytał dopiero teraz, kiedy była w złym nastroju i najmniej na to przygotowana. Ale Danny patrzył na nią, może dostrzegł na jej twarzy zmieszanie i wyrabiał sobie własny sąd. W jej mniemaniu motywy działania i postęпки dorosłych muszą się wydawać dzieciom równie wielkie i groźne, jak niebezpieczne zwierzęta widziane w mrokach ciemnego lasu. Dzieci, poruszane niczym marionetki, mają tylko mgliste wyobrażenie, dlaczego tak się dzieje. Na tę myśl łyzy o mało znów nie napłynęły jej do oczu. Powstrzymując je, schyliła się, podniosła uszkodzony szybowiec i zaczęła obracać go w rękach.

— Twój tata prowadził klub dyskusyjny, Danny. Pamiętasz?

— No pewnie — odparł. — Spory dla żartu, prawda?

— Tak. — Wciąż obracała w dłoniach szybowiec, patrzyła na nazwę firmy i niebieskie gwiazdziste znaki rozpoznawcze na skrzydłach, gdy wtem spostrzegła, że mówi synowi całą prawdę. — Był tam jeden chłopak, George Hatfield, którego tata musiał wykluczyć z klubu. To znaczy, że był gorszy od innych. George mówił, że tata to zrobił, bo go nie lubił, nie dlatego, że George był gorszy. I wtedy George zrobił coś złego. Chyba wiesz.

— Czy to on podziurawił opony naszego garbusa?

— Tak, on. Stało się to po lekcjach i tata go na tym przyłapał. — Znów się zawahała, lecz teraz nie było już mowy o unikach; rzecz zawsze sprowadza się do powiedzenia prawdy lub kłamstwa.

— Twój tata... czasami robi rzeczy, których potem żałuje. Czasami myśli nie tak, jak powinien. Zdarza się to nie za często, ale się zdarza.

— Czy zrobił George'owi Hatfieldowi krzywdę, tak jak mnie wtedy, kiedy zalałem jego papiery?

Czasami...

(Danny z rączką w gipsie)

... robi rzeczy, których potem żałuje.

Wendy z całej siły zaciskała powieki, żeby powstrzymać łyzy.

— Zrobił coś podobnego, skarbie. Uderzył George'a, żeby ten przestał dziurawić opony, a George walnął go w głowę. I wtedy ci, co zarządzają szkołą, powiedzieli, że George ma już do niej nie chodzić, a tata ma w niej nie uczyć. — Urwała, bo zabrakło jej słów, i przerażona oczekiwała powodzi pytań.

— O! — Danny znowu zapatrzył się w ulicę. Widocznie temat został wyczerpany. Czyżby i dla niej także...

Wstała.

— Idę na górę napić się herbaty. Chcesz parę ciasteczek i szklankę mleka, stary?

— Chyba poczekam na tatę.

— Pewno nie wróci przed piątą.

— Może się pośpieszy.

— Może — zgodziła się Wendy. — Niewykluczone. Była już w połowie chodnika, kiedy zawołał:

— Mamo?

— Co, Danny?

— Chcesz zamieszkać na zimę w tym hotelu?

Jakiej spośród pięciu tysięcy odpowiedzi powinna mu teraz udzielić? Powiedzieć, co czuła wczoraj w ciągu dnia, wieczorem albo dziś rano? Odpowiedzi różniły się, miały wszystkie barwy — od różowutkiej do czarnej jak smoła.

— Jeśli chce tego twój ojciec — odparła — to i ja chcę także. — Urwała. — A ty?

— Pewnie tak — rzekł w końcu. — Nie mam tu właściwie nikogo do zabawy.

— Brak ci twoich przyjaciół, prawda?

— Czasami brak mi Scotta i Andy'ego. I chyba nikogo więcej.

Zawróciła, pocałowała go i potargała mu jasne włoski, które już zaczynały tracić dziecięcą delikatność. Był taki poważny, że niekiedy się zastanawiała, jak on ma przeżyć z takimi rodzicami, z nią i z Jackiem. Początkowo pełni wielkich nadziei, musieli poprzestać na tej niemiłej czynszówce w obcym mieście. Znowu stanął jej przed oczami obraz Danny'ego w gipsie. Ktoś tam w górze popełnił błąd w rozdawaniu posad, ona zaś miewała obawy, że nie da się go naprawić i że będzie musiała za niego zapłacić najbardziej niewinna osoba postronna.

— Nie wychodź na jezdnię, stary — powiedziała, ściskając go mocno.

— Jasne, mamo.

Weszła po schodach i skierowała się do kuchni. Nastawiła czajnik, dla Danny'ego przyszykowała na talerzu parę ciasteczek, na wypadek gdyby się zdecydował przyjść na górę, kiedy będzie leżała. Wyjęła dużą fajansową filiżankę i usiadła nad nią przy stole. Przez okno widziała, jak wciąż czeka na krawężniku, w dżinsach i za dużej ciemnozielonej bluzie ze znakiem szkoły przygotowawczej w Stovington, z szybowcem leżącym teraz u jego boku. Łzy, na które zbierało jej się

przez cały dzień, popłynęły strumieniem. Pochylona nad kłębami wonnej herbacianej pary, płakała. Płakała z żalu za przeszłością i ze strachu przed przyszłością.

Rozdział trzeci

Watson

Wpadł pan w złość, powiedział Ullman.

— Dobra, tu ma pan piec. — Watson zapalił światło w ciemnym, zatęchłym pomieszczeniu. Był muskularnym mężczyzną o puszystych włosach koloru prażonej kukurydzy, ubranym w białą koszulę i ciemnozielone spodnie z bawełnianego diagonalu. Otworzył małą prostokątną kratę w brzuchu pieca i obaj z Jackiem zajrzeli do środka. — To jest płomyk oszczędnościowy. — Równy białoniebieski płomień, z sykiem unoszący się w górę, przesyłał niszczycielską siłę, lecz podstawowe, pomyślał Jack, było słowo „niszczycielska”, a nie „przesyłał”; gdyby ktoś wsadził tam rękę, upiekłaby się jak na ruszcie w ciągu trzech krótkich sekund.

Wpadł pan w złość.

(Danny, nic ci nie jest?)

Piec wypełniał całe pomieszczenie, zdecydowanie największy i najstarszy ze wszystkich, jakie Jack kiedykolwiek widział.

— Płomyk ma zabezpieczenie — objaśniał Watson. — Wmontowany tam mały czujnik mierzy temperaturę. Jeśli spada ona poniżej pewnego punktu, w pańskim mieszkaniu włącza się brzęczyk. Kocioł jest za ścianą. Zaprowadzę pana. — Zatrzasnął kratę i powiódł Jacka za żelaznym cielskiem pieca do drugich drzwi. Z żelaza promieniowało otepiające ciepło i nie wiadomo dlaczego Jack pomyślał o dużym uśpionym kocie. Watson zadzwonił kluczami i gwizdnął.

Wpadł. . .

(Kiedy wrócił do swojego gabinetu i ujrzał tam Danny'ego, stojącego z uśmiechem w samych spodniach od dresu, czerwona chmura wściekłości stopniowo zamciła jego zdolność rozumowania. Choć wydawało mu się później, że to wszystko przebiegało powoli, w rzeczywistości musiało trwać niespełna minutę. Wrażenie powolności było takie, jak w niektórych snach. Złych snach. Pod jego nieobecność chyba każde drzwiczki w gabinecie zostały otwarte i każda szuflada splądrowana. Szafa ścienna, szafki, biblioteczka z rozsuwanymi drzwiami. Wywleczono każdą szufladę z biurka. Jego rękopis, sztuka w trzech aktach, stopniowo powsta-

jąca z nowelki napisanej przed siedmiu laty, za czasów studenckich, walał się po podłodze. Jack pił piwo i poprawiał akt drugi, kiedy Wendy zawołała go do telefonu. Danny wylał z puszkii piwo na rozłożone kartki. Przypuszczalnie chciał zobaczyć, jak się pieni. Zobaczyć, jak się pieni, zobaczyć, jak się pieni — te słowa dźwięczały wciąż Jackowi w głowie niczym pojedyncza zepsuta struna rozstrojonego fortepianu, zamykając krąg jego gniewu. Spokojnie podszedł do trzyletniego malca, który patrzył na niego z tym swoim pełnym zadowolenia uśmiechem, rad z pracy tak dobrze przed chwilą wykonanej w gabinecie taty. Danny zaczął coś mówić i właśnie wtedy Jack chwycił i wykręcił rączkę synowi, by go zmusić do wypuszczenia z zaciśniętych palców gumki do maszyny i automatycznego ołówka. Danny krzyknął cicho... nie... nie... powiedz prawdę: wrzasnął. Trudno to było zapamiętać przez mgłę gniewu, przez brzęczenie tej jednej zepsutej struny. Gdzieś z głębi mieszkania Wendy zapytała, co się stało. Jej głos dobiegał słaby, tłumiony przez wewnętrzną mgłę. To sprawa jego i chłopca. Okręcił Danny, żeby dać mu klapsa, wpijając duże palce dorosłego człowieka w cienką warstwę ciała na przedramieniu chłopca, zaciskając pięść. Trzask łamanej kości nie był głośny, nie był głośny, ale bardzo donośny, POTEŻNY, lecz nie głośny. Akurat na tyle donośny, że jak strzała przedarł się przez czerwoną mgłę — zamiast jednak wpuścić światło słoneczne, wpuścił ciemne chmury wstydu i wyrzutów sumienia, strachu, duchowej udręki. Czysty dźwięk, pozostawiający po jednej stronie przeszłość, po drugiej całą przyszłość, przypominający trzask grafitu ołówka czy szczapki łamanej na kolanie. Chwila absolutnej ciszy po drugiej stronie, być może ze względu na początek przyszłości, na resztę jego życia. Widok twarzy Danny'ego coraz bledszej, aż zbiełała jak ser, widok jego oczu, zawsze dużych, teraz jeszcze większych i szklanych, pewność, że chłopiec zemdleje i padnie w kałużę piwa, na papiery; jego własny głos, słaby i pijany, bełkotliwy, usiłujący cofnąć to wszystko, obejść jakoś ten niezbyt donośny trzask łamanej kości i wrócić w przeszłość — czy w domu istnieje *status quo*? — mówiący: Danny, nic ci nie jest? W odpowiedzi wrzask Danny'ego, a potem Wendy z przerażeniem łapie powietrze, kiedy podszedłszy do nich, widzi przedramię Danny'ego ustawione pod dziwnym kątem do łokcia; przedramię nigdy nie powinno tak zwisać w świecie zamieszkanym przez normalne rodziny. Jej wrzask, kiedy chwyta chłopca w objęcia, i bezsensowna paplanina: o Boże, Danny, o mój Boże, o dobry Boże, twoje biedne kochane ramionko; i Jack stojący w osłupieniu, ogłupiały, próbujący zrozumieć, jak coś podobnego mogło się wydarzyć. Kiedy tak stał, napotkał wzrok żony i zobaczył, że Wendy go nienawidzi. Nie przyszło mu do głowy, co ta nienawiść mogłaby oznaczać w kategoriach praktycznych; dopiero później pojął, że Wendy mogła od niego odejść tego wieczora, pojechać do motelu, rano zaangażować adwokata od spraw rozwodowych albo wezwać policję. Widział tylko, że żona go nienawidzi, to go poraziło, poczuł się całkiem osamotniony. Czuł się strasznie. Tak jest, gdy nadchodzi śmierć. Potem Wendy rzuciła się do telefonu,

z wrzeszczącym dzieckiem na ręku wykręciła numer szpitala, a Jack nie poszedł za nią, lecz stał na gruzach swej pracowni, wdychał zapach piwa i myślał. . .)

Wpadł pan w gniew.

Mocno potarł dłonią wargi i ruszył za Watsonem do kotłowni. Panowała tu wilgoć, lecz pod wpływem czegoś więcej niż wilgoć jego czoło, brzuch i nogi pokryły się niezdrowym, lepkiem potem. Spocił się na wspomnienie, tak silne, że ten wieczór sprzed dwóch lat wydawał się oddalony zaledwie o dwie godziny. Nie było odstępu w czasie. Powrócił wstyd i niesmak, poczucie, że jest człowiekiem bez żadnej wartości, a ono zawsze budziło w nim pragnienie alkoholu, które z kolei pogrążało go w jeszcze większej rozpacz — czy przeżyje kiedyś godzinę, bo już nie tydzień czy choćby dzień, ale jedną zaledwie godzinę na jawie, nie zaskakiwany w ten sposób przez pragnienie alkoholu?

— Kocioł — oznajmił Watson. Z tylnej kieszeni spodni wyjął czerwono-niebieską chustkę, wydmuchał nos, trąbiąc energicznie, i na powrót ją schował, obdarzywszy kwadrat materiału tylko przelotnym spojrzeniem, by zobaczyć, czy zawiera coś ciekawego.

Kocioł, długi walcowaty zbiornik metalowy w miedzianej osłonie, mocno połatany, stał na czterech betonowych blokach, przykucnięty pod płataniną rur i przewodów, zygzakami biegnących w górę do wysoko sklepionego, zasnutego festonami pajęczyn sufitu. Na prawo od Jacka dwie grube rury grzewcze prowadziły przez ścianę od pieca znajdującego się w przyległym pomieszczeniu.

— Ciśnieniomierz jest tutaj. — Watson go postukał. — Funty na cal kwadratowy, psi. To chyba powinien pan wiedzieć. Teraz zwiększyłem ciśnienie do setki, ale nocą w pokojach robi się chłodnawo. Mało gości się skarży, co za diabeł. Zresztą to wariactwo przyjeżdżać tu we wrześniu. Poza tym kocioł to staruszek. Więcej na nim lat niż na kombinezonie darowanym przez opiekę społeczną. — Pojawiła się chustka. Trąbnięcie. Spojrzenie. Powędrowała z powrotem do kieszeni.

Nabawiłem się pieprzonego kataru — oznajmił Watson tonem towarzyskiej rozmowy. — Zawsze dostaję kataru we wrześniu. Dłubię tu coś przy tej starej zdzirze, potem wychodzę na dwór kosić trawę albo grabić boisko. Zziębiesz i katar murowany, mawiała moja nieboszczka mama, świeć Panie nad jej duszą, już sześć lat, jak nie żyje. Rak. Jak się dostanie raka, można zaraz pisać testament.

Panu wystarczy ciśnienie dochodzące do pięćdziesiątki, najwyżej sześćdziesiątki. Pan Ullman każe jednego dnia ogrzewać skrzydło zachodnie, drugiego środkowe, a trzeciego wschodnie. Czy to nie wariat? Nie cierpię tego małego skurwiela. Jap-jap-jap przez cały boży dzień, przypomina takiego pieska, co to ugryzie cię w kostkę, a potem biega w kółko i siusia na dywan. Tylko jedno mu w głowie. Jak człowiek patrzy, to żałuje, że nie ma strzelby. Proszę zobaczyć. Przewody otwiera się i zamyka, pociągając za pierścienie. Wszystkie dla pana oznakowałem. Te z niebieskimi kartkami prowadzą do pokojów w skrzydle wschodnim. Czer-

wone kartki to środek. Żółte to skrzydło zachodnie. Jak pan będzie miał ogrzewać skrzydło zachodnie, niech pan pamięta, że od tej strony naprawdę wieje. Dmuchi nie i te pokoje robią się zimne jak babka bez temperamentu z kostką lodu w tym swoim interesie. Może pan podwyższać ciśnienie do osiemdziesiątki w dni skrzydła zachodniego. W każdym razie ja bym tak robił.

— Termostaty na górze... — zaczął Jack.

Watson tak energicznie pokręcił głową, że rozwiały mu się puszyste włosy.

— Nie są przyłączone. Powiesili je tam tylko na pokaz. Niektóre osoby z Kalifornii uważają, że jest nie w porządku, dopóki nie mają w pieprzonej sypialni tak gorąco, że mogłyby hodować palmę. Całe ciepło płynie stąd. Ale trzeba pilnować ciśnienia. Widzi pan, jak rośnie?

Postukał w główną tarczę, na której wskazówka przesunęła się w czasie jego monologu ze stu na sto dwa funty na cal kwadratowy. Jackowi przebiegł nagły dreszczyk po plecach; pomyślał: gęś przeszła po moim grobie. Watson odkręcił zawór i spuścił parę. Przy wtórze donośnego syku wskazówka cofnęła się na pięćdziesiąt jeden. Watson dokręcił zawór i syk ucichł niechętnie.

— Rośnie — rzekł Watson. — Mówi się to temu tłustemu kutasinie, a on wyciąga księgi rachunkowe i przez trzy godziny wykazuje, że go nie stać na zakup nowego kotła przed 1982 rokiem. Powiadam panu, któregoś dnia ta buda wyleci w powietrze, a ja liczę tylko na to, że ten tłusty skurwiel tu będzie i pierwszy wystrzeli w górę. Mój Boże, żebym to był taki życzliwy jak matka. Ona w każdym umiała dostrzec coś dobrego. Ja jestem złośliwy jak wąż chory na półpaśca. Niech to diabli, natury człowiek nie zmieni. No, więc musi pan pamiętać: dwa razy w ciągu dnia i raz w nocy, zanim pan uderzy w kimono. Powinien pan sprawdzać ciśnienie. Jeśli pan zapomni, będzie wzrastać i wzrastać i jak nic ockniecie się całą rodziną na pieprzonym Księżycu. Trzeba tylko spuszczać trochę pary i obejdzie się bez kłopotów.

— Jaka jest górna granica?

— Och, kocioł może wytrzymać dwieście pięćdziesiąt, ale teraz rozerwałoby go przy znacznie niższym ciśnieniu. Nikt by mnie nie namówił, żebym zszedł tutaj i stanął przy nim, kiedy wskazówka pokaże sto osiemdziesiąt.

— Nie ma automatycznego zabezpieczenia?

— Nie. Hotel zbudowano, nim zaczęto wymagać takich rzeczy. Dzisiaj rząd federalny wtrąca się do wszystkiego, no nie? FBI otwiera listy, CIA zakłada cholerne podsłuchy telefoniczne... i niech pan popatrzy, co się przydarzyło temu Nixonowi. Czy to nie żałosna historia? Ale jeśli będzie pan po prostu przychodził tu regularnie i sprawdzał ciśnienie, nic się nie stanie. I niech pan pamięta ogrzewać kolejno skrzydła, tak jak on sobie życzy. W żadnym pokoju temperatura nie przekroczy siedmiu stopni, chyba żeby zima była wyjątkowo ciepła. Swoje mieszkanie będzie pan ogrzewał, jak się panu spodoba.

— A co z instalacjami wodociągowymi?

— Dobra, właśnie miałem o tym powiedzieć. Proszę tędy.

Pod łukowym sklepieniem przeszli do długiego prostokątnego pomieszczenia, które ciągnęło się bez końca. Watson szarpnął za sznurek i mdły, chwiejny blask pojedynczej siedemdziesięciopięciowatowej żarówki rozjaśnił miejsce, gdzie stali. Przed sobą mieli dolną część szybu windy, grube nasmarowane liny, prowadzące do kół o średnicy dwudziestu stóp, i olbrzymi silnik, zanieczyszczony smarami. Wszędzie walały się w paczkach i pudłach powiązane gazety. Inne kartony oznaczono napisami: „Rejestry”, „Faktury”, „Pokwitowania”, „Nie wyrzucać!” Pachniało starzyzną i pleśnią. Z kilku rozlatujących się pudeł wysypywały się na podłogę cienkie żółte arkusiki, które mogły już mieć po dwadzieścia lat. Jack rozglądał się dokoła zafascynowany. W tych rozpadających się kartonach mogła być pogrzebana cała historia Panoramy.

— Kurewsko trudno jest utrzymać tę windę w ruchu. — Watson wskazał na nią kluczem. — Wiem, że Ullman stawia stanowemu inspektorowi dźwigów parę fantastycznych obiadów na rok, żeby konserwator nie tykał tej cholery. A tutaj ma pan centralny węzeł wodociągowy.

Przed nimi pięć grubych rur, zaizolowanych i ściśniętych stalowymi obręczami, ginęło w mroku.

Watson wskazał na osnutą pajęczynami półkę obok szybu windy ręcznej. Leżało na niej kilka zatłuszczonych szmat i skoroszyt.

— Tu pan ma wszystkie schematy instalacji wodociągowych — rzekł. — Nie przypuszczam, żeby kłopot sprawiały przecieki, nigdy ich nie było, ale rury czasem zamarzają. Jedyne sposobem zapobiegania temu, to lekko odkręcać krany na noc, tyle że w tym pieprzonym pałacu jest ponad czterysta kurków. Ta tłusta ciota tam na górze darłaby się przez całą drogę do Denver, gdyby zobaczyła rachunek za wodę. Nie mam racji?

— Powiedziałbym, że to niestęchanie wnikliwa analiza.

Watson popatrzył na Jacka z podziwem.

— No, no, z pana to naprawdę wykształcony facet, co? Gada pan zupełnie jak z książki. Mnie to się bardzo podoba, pod warunkiem, że gość nie jest pedziem. Strasznie się ich teraz namnożyło. Wie pan, kto parę lat temu wywołał rozruchy w uczelniach? Homoseksualiści, tak, nikt inny. Sfrustrowani, muszą się wyładować. Nazywają to wychodzeniem z ukrycia. Jak rany, nie wiem, do czego ten świat zmierza. No, więc jeśli rura zamarznie, według wszelkiego prawdopodobieństwa zamarznie tu w szybie. Widzi pan, szyb nie ma ogrzewania. W razie czego proszę się posłużyć tym. — Z połamanej skrzynki po pomarańczach wyjął mały palnik gazowy.

— Jak pan znajdzie korek z lodu, niech pan najzwyczajniej odwinie izolację i przytknie płomień do rury. Kapuje pan?

— Tak. Ale co się stanie, jeśli rura zamarznie gdzie indziej?

— Nie zamarznie, byle pan robił swoje i ogrzewał hotel. Zresztą do innych rur

nie ma dostępu. Proszę się tym nie przejmować. Nie będzie żadnych kłopotów. Strasznie tu jest na dole. Pełno pajęczyn. Mam pietra, i to jeszcze jakiego.

— Ullman mówił, że pierwszy zimowy dozorca zabił żonę, dzieci i siebie.

— Tak, ten Grady. Kiepski aktor był z niego, co stwierdziłem na pierwszy rzut oka. Cały czas miał taki wazeliniarski uśmieszek. To się działo wtedy, kiedy tutaj dopiero zaczynali rozkręcać interes i ten tłusty skurwiel Ullman byłby zatrudnił nawet dusiciela z Bostonu, gdyby ten się zgodził na najniższą pensję. Znalazł ich strażnik z Parku Narodowego, telefon nie działał. Wszyscy leżeli w skrzydle zachodnim, na trzecim piętrze, zamrożeni na kość. Szkoda dziewczynek. Jedna miała osiem lat, druga sześć. Słodkie jak z obrazka. Och, ale się narobiło. Ten Ullman po sezonie prowadzi jakiś podejrzany lokal na Florydzie, więc złapał samolot do Denver, a potem wynajął w Sidewinder sanie i kazał się tu przywieźć, bo drogi były nieprzejezdne — sanie, da pan wiarę? Ze skóry wyłaził, żeby to nie trafiło do gazet. Nieźle się spisał, muszę przyznać. Była wzmianka w denverskiej „Post” i oczywiście nekrolog w szmatławcu, który wychodzi w Estes Park, ale chyba na tym koniec. Niezgorzej, zważywszy na reputację hotelu. Oczekiwałem, że odgrzebie to jakiś reporter i że Grady posłuży za pretekst do wywleczenia różnych skandali.

— Jakich znów skandali?

Watson wzruszył ramionami.

— Każdy duży hotel ma swoje skandale — odparł. — I każdy duży hotel ma swojego ducha. Dlaczego? No bo ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają. Czasem ktoś kipnie w swoim pokoju na zawał, wylew czy coś podobnego. W hotelach panują przesady. Nie ma trzynastych pięter ani pokoi numer trzystaście, nie ma luster na drzwiach wyjściowych i takich tam rzeczy. Cóż, teraz w lipcu zmarła nam jedna pani. Ullman musiał się tym zająć i może mi pan wierzyć, że dobrze to zrobił. Właśnie za to dostaje dwadzieścia dwa patyki za sezon, i choć nie cierpię tego kutasa, zasługuje na tyle. Wygląda to tak, jakby ludzie przyjeżdżali tu się tylko wyrzygać i wynajmowali sobie faceta w rodzaju Ullmana do sprzątnia. No więc ta babka — sześćdziesiątka jak nic, w moim wieku — włosy ufarbowane, czerwone niczym światełko nad drzwiami kurwy, cycki wiszą aż do pępka, bo chodzi bez biustonosza, i ma takie żyłki, że każda noga jest jak mapa drogowa. Szyja, ramiona i uszy obwieszane kosztownościami. I włóczy za sobą tego dzieciaka, najwyżej siedemnastolatka, z włosami do tyłka i gulą w kroku, jakby tam sobie napchał komiksów. Siedzą tutaj tydzień, może dziesięć dni, i co wieczór powtarza się to samo. Od piątej do siódmej w salonie Kolorado ona pociąga dżin z wódką, jakby od jutra miał być zakazany, a on zawsze jedną butelkę Olympii — popija sobie wolno, żeby starczyło na dłużej. Ona sypie żartami, opowiada dowcipy, on, pieprzony, przy każdym się uśmiecha, jakby był małpą, jakby pociągała za sznurki umocowane w kącikach jego ust. Tyle że po paru dniach jemu coraz trudniej było się uśmiechać i diabli wiedzą, o czym musiał myśleć, żeby iść do łóżka

z zalaną pompą. No więc przychodzili na kolację, on prosto, ona się zataczała, zalana w pestkę, a on podszczypywał kelnerki i szczyrzył do nich zęby, kiedy nie patrzyła. Robiliśmy nawet zakłady, jak długo wytrzyma. — Watson wzruszył ramionami. — Pewnego wieczoru zszedł około dziesiątej i mówił, że „żona jest niedysponowana” — co oznaczało, że babie znów film się urwał, jak codziennie od przyjazdu — a on musi jej przywieźć lekarstwo na żołądek. Wsiadł do małego porsche’a, którym przyjechali, i tyleśmy go widzieli. Nazajutrz rano ona schodzi na dół i próbuje się zgrywać, ale jest coraz bledsza i bledsza, a pan Ullman pyta dyplomatycznie, czy nie zawiadomić policji stanowej, bo może tamten miał małą kraksę czy coś w tym rodzaju. Prychnęła na niego jak kocica. Nie, nie, nie, to świetny kierowca, ona się nie martwi, spodziewa się go w porze kolacji. No więc po południu zjawiła się w Kolorado około trzeciej i nie zamówiła żadnego posiłku. Wróciła do swojego pokoju mniej więcej o wpół do jedenastej i wtedy po raz ostatni ludzie widzieli ją żywą.

— Co się stało?

— Koroner okręgowy powiedział, że zażyła ze trzydzieści pigułek nasennych, na dodatek do tego, co wypija. Na drugi dzień przyjechał jej mąż, jakiś cholernie ważny prawnik z Nowego Jorku. Postraszył starego Ullmana na wszelkie możliwe sposoby. Zaskarżę pana za to i za tamto, a jak z panem skończę, to pan czystej pary gaci nie znajdzie, i takie tam rzeczy. Ale ten drań Ullman jest dobry. Zdołał go uciszyć. Pewnie spytał ważniaka, czy wolałby, żeby jego żonę obsmarowali w nowojorskich gazetach. Żona wybitnego nowojorskiego, itede, znaleziona martwa, nafaszerowana pigułkami nasennymi. Ale najpierw dobrze się zabawiła z chłopcem, który mógłby być jej wnukiem.

Gliny stanowe znalazły ten wóz na tyłach nocnego baru w Lyons i Ullman poruszył różne sprężyny, żeby wydano go prawnikowi. A potem obaj przycisnęli starego Archera Houghtona, czyli koronera, i zmusili go do zmiany orzeczenia. Stwierdził, że śmierć nastąpiła nagle. Atak serca. Teraz stary Archer jeździ chrylerem. Nie mam mu tego za złe. Należy brać to, co samo wpada w ręce, zwłaszcza jak człowiekowi latka leca.

Pojawiła się chustka. Trąbienie. Spojrzenie. I znikła.

— No i co się dzieje? Jakiś tydzień później ta głupia cipa, pokojówka imieniem Delores Vickery, sprząając pokój tamtej pary, podnosi wrzask jak wszyscy diabli i pada zemdlona. Po odzyskaniu przytomności mówi, że widziała zmarłą w łazience, nagą w wannie. „Twarz miała fioletową i spuchniętą — powiada — i uśmiechała się do mnie”. Więc Ullman zapłacił jej za dwa tygodnie z góry i kazał się wynosić. Jak obliczam, że czterdzieści, pięćdziesiąt osób zmarło w tym hotelu, odkąd mój dziadek otworzył go w roku 1910. — Watson przyjrzał się bacznie Jackowi. — Wie pan, jak kończą na ogół? Na zawał albo na wylew, kiedy dmuchają te swoje panienki. W takich miejscowościach pełno rozmaitych staruchów, co to chcą sobie ostatni raz użyć. Przyjeżdżają w góry i udają dwudziestolatków.

Czasami są przecieki, a nie wszyscy faceci zarządzający hotelem potrafili tak jak Ullman radzić sobie z prasą. Więc Panorama cieszy się złą sławą, a jakże. Głowę dam, że ten pieprzony Biltmore w Nowym Jorku też ma złą sławę, jakby tak spytać odpowiednich ludzi.

— Ale tam nie straszy?

— Przepracowałem tu całe życie, panie Torrance. Tutaj się bawiłem jako dzieciak nie starszy od pańskiego chłopca, sądząc po fotografii w portfelu, którą mi pan pokazał. Nigdy jeszcze nie widziałem ducha. Proszę pójść ze mną na tyły hotelu, pokażę panu szopę ze sprzętem.

— Świetnie.

Watson sięgnął do kontaktu, kiedy Jack zauważył:

— Nie brak tu papierów, to pewne.

— Och, ma pan rację. Jakby pochodziły sprzed tysiąca lat. Gazety, stare faktury, konosamenty i Bóg wie co jeszczej. Mój tata nieźle sobie z nimi radził, gdy mieliśmy poprzedni piec, opalany drewnem, ale teraz przestałem nad tym panować. Któregoś roku muszę najać chłopaka, zwieźć je do Sidewinder i spalić. Jeśli Ullman przeżyje taki wydatek. Ale chyba tak, jeżeli dość głośno będę krzyczał o szczurach.

— To są tutaj szczury?

— Taak, pewnie są. Mam pułapki i trutkę, które na życzenie pana Ullmana ma pan porozkładać tu i na strychu. Proszę dobrze pilnować synka, panie Torrance. Nie chciałby pan przecież, żeby mu się coś stało.

— Jasne, że nie. — W ustach Watsona ta rada nie zabrzmiała nieprzyjemnie.

Podeszli do schodów i przystanęli na chwilę, bo Watson znowu musiał wydmuchać nos.

— Znajdzie pan tam chyba wszystkie potrzebne narzędzia i trochę zbędnych. I łupki dachówkowe. Czy Ullman mówił panu o tym?

— Tak, chce, żebym wymienił część łupków w skrzydle zachodnim.

— Ten tłusty kutasina wydusi z człowieka, ile się da, a na wiosnę będzie jęczeć, że wszystko jest zrobione byle jak. Wygarnąłem mu to kiedyś prosto w oczy, powiedziałem...

Ruszyli po schodach i słowa Watsona zaczęły brzęczeć monotennie, kojąco. Jack Torrance raz spojrział do tyłu w nieprzenikniony, zatechły mrok i pomyślał, że jeśli w ogóle gdzieś straszy, to właśnie tutaj. Pomyślał o Grady, odciętych od świata przez zwały miękkiego, nieubłaganego śniegu, o tym, jak po trochu traci zmysły i popełnia to straszne morderstwo. Był ciekaw, czy one krzyczały. Biedny Grady z każdym dniem czuł się bardziej osaczony i pod koniec wiedział, że dla niego wiosna nigdy już nie nadejdzie. Nie powinien był się tu znaleźć. I nie powinien był wpaść w złość.

Kiedy Jack przechodził przez drzwi za Watsonem, usłyszał te słowa rozbrzmiewające echem jak podzwonne, przy akompaniamencie suchego trzasku —

jakby łamanego grafitu ołówka. Mój Boże, chętnie by sobie łyknał. Raz albo tysiąc razy.

Rozdział czwarty

Kraina Cieni

Danny zgłodniał, więc kwadrans po czwartej przyszedł napić się mleka i zjeść ciasteczka. Pochłonął je, wciąż wyglądając przez okno, a następnie zajrzał do pokoju i pocałował matkę, która leżała w łóżku. Zaproponowała, żeby został na górze, gdzie dla zabicia czasu może popatrzeć na „Ulicę Sezamkową”, on jednak stanowczo pokręcił głową i wrócił na swoje miejsce na krawężniku.

Była już piąta i choć nie miał zegarka, a zresztą i tak nie znał się na nim za dobrze, po wydłużaniu się cieni i złotawym zabarwieniu popołudniowego światła poznawał, że czas upływa.

Obracając w rękach szybowiec nucił cicho:

*Nie chcę cię, nie chcę cię, nie chcę cię znać,
Chodź do mnie, chodź do mnie rączkę mi dać...
Prawą mi daj, lewą mi daj...*

Śpiewali to wszyscy razem w przedszkolu w Stovington. Tutaj nie chodził już do przedszkola, bo taty nie było na nie stać. Danny wiedział, że rodzice się tym martwią, przypuszczają, że czuje się jeszcze bardziej osamotniony (a co gorsza, choć nie rozmawiają ze sobą na ten temat, że ma do nich żal), ale tak naprawdę to wcale nie chciał chodzić do przedszkola. Przedszkole jest dobre dla maluchów. Nie był wprawdzie całkiem duży, przestał jednak być maluchem. Duże dzieci chodzą do dużej szkoły i dostają gorący lunch. Pierwsza klasa. Na przyszły rok. W tym roku nie jest ani maluchem, ani prawdziwym dzieckiem. Nie szkodzi. Tęsknił za Scottem i Andym, głównie za Scottem, ale i to nie szkodzi. Chyba najlepiej samemu czekać na wszystko, co może się zdarzyć niebawem.

Wiedział sporo o swoich rodzicach i zdawał sobie sprawę, że nieraz nie byli z tego zadowoleni, a często nie dawali temu wiary. Lecz pewnego dnia będą musieli uwierzyć. Zadowalał się czekaniem.

Mimo to szkoda, że nie wierzyli mu bardziej, zwłaszcza w takich chwilach. Mama leżała w mieszkaniu na łóżku, bliska łez, bo się martwiła o tatę. Niektóre

jej zmartwienia były za dorosłe, toteż Danny nie mógł ich zrozumieć — niejasno się wiązały z poczuciem bezpieczeństwa, z wyobrażeniem taty o sobie, z winą, gniewem i lękiem o ich przyszłość — ale właśnie teraz myślała przede wszystkim o dwóch sprawach: że tata miał w górach wypadek (więc dlaczego nie dzwoni?) albo że pojechał robić Złą Rzeczą. Danny świetnie się orientował, na czym ona polega, wyjaśnił mu to bowiem Scotty Aaronson, starszy od niego o pół roku. Scotty wiedział, ponieważ jego tata też to robił. Kiedyś, powiedział Scotty, jego tata podbił mamie oko i przewrócił ją na ziemię. W końcu rodzice Scotty'ego dostali z powodu Złej Rzeczy rozwód i kiedy Danny go poznał, Scotty mieszkał z matką, a ojca widywał wyłącznie w soboty i niedziele. Rozwód napełniał Danny'ego największym strachem, zawsze pojawiał się w jego myślach jako znak wymalowany czerwonymi literami, zakrytymi przez syczące jadowite węże. Po rozwodzie rodzice już ze sobą nie mieszkają. Staczają o dziecko bój w sądzie (Danny nie miał pewności, co to takiego ten sąd) i ono musi zostać z jednym z nich dwojga, a drugiego właściwie nie widuje. To z rodziców, które opiekuje się dzieckiem, może, jeżeli chce, wziąć ślub z osobą zupełnie dziecku nie znaną. Najokropniejsze było to, że wyczuwał, jak rozwód, słowo — pojęcie czy też coś, co mu się objawiało w momentach zrozumienia — chodzi po głowach jego własnym rodzicom, czasem mgliste i dość odległe, kiedy indziej gęste, ciemne i przerażające niczym deszczowa chmura. Tak było wtedy, gdy tata ukarał go za zalanie papierów w gabinecie i lekarz założył mu gips na rękę. Wspomnienie to już zbladło, ale myśli o rozwodzie pozostały w pamięci wyraźne i groźne. Wtedy krążyły głównie po głowie mamy i Danny się bał, że ona wyciągnie z głowy to słowo, wypowie, uczyni czymś rzeczywistym. Rozwód. Przewijał się nieustannie w ich rozważaniach, jedno z niewielu pojęć, które zawsze potrafił wyłowić, niczym takt prostej muzyki. Lecz wokół tej centralnej myśli obracały się inne, bardziej złożone, których na razie nie zaczynał sobie nawet tłumaczyć. Objawiały mu się wyłącznie w postaci barw i nastrojów. Rozwodowe myśli mamy koncentrowały się na tym, co tata zrobił z jego ręką i co się zdarzyło w Stovington, kiedy stracił pracę. Ten chłopak. Ten George Hatfield, który się wściekł na tatę i podziurawił opony ich garbusa. Rozwodowe myśli taty były bardziej złożone, zabarwione ciemnym fioletem i porysowane strasznymi żyłami głębokiej czerni. Tata uważał chyba, że im będzie lepiej, jeśli odejdzie. Że ustanie ból. Tata prawie stale odczuwał ból, głównie z powodu Złej Rzeczy. Danny niemal zawsze potrafił i to uchwycić: ciągłe pragnienie taty, aby się zaszyć w ciemnym kącie, patrzeć w kolorowy telewizor, jeść orzeszki ziemne z miski i robić Złą Rzeczą, dopóki myśli się nie uspokoją i nie przestaną go dręczyć.

Tego popołudnia jednak matka nie miała powodu do zmartwienia i Danny żałował, że nie może pójść i powiedzieć jej tego. Garbus nie nawalił. Tata nie pojechał nigdzie i nie robił Złej Rzeczy. Właściwie był już jakby w domu, z perkotem sunął szosą z Lyons do Boulder. Chwilowo nawet nie myślał o Złej Rzeczy.

Myślał o... o...

Danny ukradkiem spojrzął do tyłu, na okno kuchenne. Niekiedy pod wpływem wielkiego skupienia coś mu się przytrafiało. Rzeczy prawdziwe się oddalały, a na ich miejscu pojawiały się inne. Raz, wkrótce po założeniu mu gipsu, zdarzyło się to przy kolacji. Wtedy mało ze sobą rozmawiali. Ale myśleli. O tak. Myśli o rozwodzie zawisły nad stołem kuchennym niczym chmura nabrzmiała czarnym deszczem, brzemienna, gotowa się oberwać. Było tak źle, że nie mógł jeść. Na myśl o jedzeniu, gdy ten czarny rozwód unosił się w powietrzu, zbierało mu się na wymioty. Ponieważ zaś wydawało się to strasznie ważne, skupił się ze wszystkich sił i coś się stało. Kiedy Danny znów zobaczył rzeczy prawdziwe, leżał na podłodze, fasolę i tłuczone kartofle miał na kolanach, mama z płaczem go podtrzymywała, a tata rozmawiał przez telefon. Przestraszył się, usiłował im wytłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że tak bywa, ilekroć się skupia i próbuje pojąć sprawy normalnie dla niego niezrozumiałe. Starał się powiedzieć im o Tonym, którego nazywali jego „niewidzialnym towarzyszem zabaw”.

— Ma Halo Syn Nacje — powiedział ojciec. — Chyba nic mu nie jest, ale i tak chcę, żeby obejrzał go lekarz.

Po wyjściu doktora mama kazała Danny’emu obiecać, że już nigdy tego nie zrobi, nigdy nie napędzi im takiego stracha, i on obiecał. Sam się zląkł. Bo kiedy się skupił, poszybował myślami do taty i na krótką chwilę przed pojawieniem się Tony’ego (w oddali, jak zawsze, nawołującego na odległość) i przesłonięciem obrazu kuchni i plastra pieczeni na niebieskim talerzu przez dziwne rzeczy, na króciutką chwilę jego świadomość przedarła się przez mrok taty, dotarła do niezrozumiałego słowa, o wiele groźniejszego niż rozwód, a słowem tym było SAMOBÓJSTWO. Danny nigdy więcej nie natrafił na nie w głowie taty i z pewnością nie próbował go szukać. Nie zmartwiłby się, gdyby nigdy się nie dowiedział, co właściwie ono znaczy.

Lubił się jednak skupiać, bo czasami przychodził wtedy Tony. Nie za każdym razem. Niekiedy rzeczy tylko się zamazywały i rozplywały na jedną minutę, a potem znów ukazywały się wyraźnie — właściwie tak było najczęściej — lecz kiedy indziej Tony pojawiał się na samym skraju jego pola widzenia, wołał z oddali, zapraszał skinieniem...

Zdarzyło się to dwukrotnie po przeprowadzce do Boulder, a on pamiętał, z jakim zdziwieniem i przyjemnością stwierdził, że Tony przybył tu za nim aż z Vermont. Więc jednak nie wszyscy przyjaciele tam pozostali.

Za pierwszym razem, na podwórku za domem, wydarzyło się niewiele. Po prostu Tony przywoływał go gestem, potem zapadła ciemność, a w parę minut później on powrócił do rzeczywistych przedmiotów, zachowawszy kilka niejasnych wspomnień, jak z zagmatwanego snu. Drugi raz, przed dwoma tygodniami, był ciekawszy. Tony kiwał na niego, krzyczał z odległości czterech jardów: „Danny... chodź zobaczyć!...” Wydawało się, że wstaje, po czym wpada w głąb

boką dziurę, niczym Alicja w Krainę Czarów. Następnie znalazł się w podziemiu kamienicy czynszowej, Tony zaś, stojąc obok niego, wskazywał w mroku kufer, w którym tata woził wszystkie swoje ważne papiery, a co najistotniejsze, SZTUKĘ.

— Widzisz? — zapytał Tony swoim dalekim, melodyjnym głosem.

— Jest pod schodami. Pod samymi schodami. W czasie przeprowadzki postawiono go... pod... samymi schodami.

Danny postąpił do przodu, żeby z bliska zobaczyć ten dziw, i znów zaczął spadać, tym razem z huśtawki za domem, na której przez cały czas siedział. Stracił oddech.

Trzy czy cztery dni później jego tata latał i tupał, z wściekłością powtarzając mamie, że choć przeszukał całe to cholerne podziemie, nie znalazł kufra, więc zaskarży tych przeklętych facetów od przeprowadzki, którzy zostawili go gdzieś po drodze z Vermont do Kolorado. Bo niby jak on ma skończyć SZTUKĘ, skoro wciąż wyskakują takie historie?

— Nie, tato — rzekł Danny. — Jest pod schodami. Tragarze postawili go pod samymi schodami.

Tata dziwnie na niego popatrzył i zszedł na dół, żeby się przekonać. Kufer stał dokładnie w miejscu wskazanym przez Tony'ego. Tata wziął Danny'ego na bok, posadził sobie na kolanach i spytał, kto go wpuścił do piwnicy. Czy Tom z góry? Piwnica jest niebezpieczna, powiedział tata. Dlatego gospodarz zamyka ją na klucz. Tata chce wiedzieć, czy ktoś ją zostawia otwartą. Bardzo się cieszy ze znalezienia papierów i SZTUKI, ale ona nie miałaby dla niego żadnej wartości, mówił, gdyby Danny spadł ze schodów i złamał... nogę. Danny odparł z powagą, że nie schodził do piwnicy. Te drzwi są zawsze zamknięte na klucz. I mama to potwierdziła. Danny nigdy nie chodzi do tylnej sieni, oświadczyła, bo tam jest wilgotno, ciemno i roi się od pajaków. A on nie kłamie.

— Więc skąd wiedziałeś, stary? — zapytał tata.

— Tony mi pokazał.

Rodzice wymienili nad jego głową spojrzenia. Zdarzało się to już wcześniej. Ponieważ napawało ich lękiem, starali się o tym szybko zapomnieć. Ale wiedział, że martwi ich Tony, zwłaszcza mamę, więc usiłował myśleć tak, żeby Tony jej się nie pokazywał. Teraz jednak, pomyślał, ona leży, jeszcze nie krząta się w kuchni, toteż bardzo się skupił, ciekaw, czy potrafi zrozumieć, o czym myśli tata.

Zmarszczył czoło, brudnawe dłonie zacisnął w pięści. Nie zamykał oczu — nie było trzeba — tylko mocno je zmrużył i wyobraził sobie głos taty, głos Jacka, Johna Daniela Torrance'a, niski i spokojny, czasami rozedrgany z rozbawienia, kiedy indziej jeszcze bardziej basowy niż zwykle ze złości albo nadal spokojny, bo tata myślał. Myślał o. Myślał, że. Myślał...

(myślał)

Danny westchnął cicho i oklapł na krawężniku, jakby mu zwiotczały wszystkie mięśnie. Zachował pełnię świadomości; widział ulicę, a na chodniku po przeciwnej stronie dziewczynę i chłopaka, którzy trzymali się za ręce, bo byli

(?zakochani?)

tacy zadowoleni z tego dnia i z faktu, że są razem. Widział jesienne liście gnane rynsztokiem, niby duże żółte monety o nieregularnych kształtach. Widział dom, który mijały, i spostrzegł na dachu

(łupki, chyba nie będzie z tym kłopotu, jeśli obróbka blacharska jest dobra, taak, dam radę, ten Watson, rany, co za typ, szkoda, że nie ma dla niego miejsca w SZTUCE. Jeśli nie będę się pilnował, skończy się na tym, że wpakuję do niej cały pieprzony rodzaj ludzki. Taak, łupki, czy są tam gwoździe? O cholera, zapomniałem go spytać, no, ale łatwo kupić gwoździe. Sklep z wyrobami żelaznymi w Sidewinder. Osy, o tej porze roku siedzą w gniazdach. Może będę się musiał postarać o truciznę w aerozolu, na wypadek gdyby tam były, jak zerwę stare łupki. Nowe łupki, stare)

łupki. A więc o tym myślał. Dostał tę pracę i myślał o łupkach. Danny nie wiedział, kto to jest Watson, wszystko inne natomiast wydawało się dość jasne. I może zobaczy gniazdo os. To równie pewne, jak to, że na imię ma

— Danny... Dannee...

Podniósł wzrok i zobaczył Tony'ego w głębi ulicy, przy znaku stopu, machającego ręką. Widok starego przyjaciela jak zwykle napełnił go ciepłym uczuciem zadowolenia, tym razem jednak z lekką domieszką strachu, jak gdyby za plecami Tony'ego krył się mrok. Słój z osami, które po wypuszczeniu żądliłyby boleśnie.

Ale nie mógł pozostać.

Oklapł jeszcze bardziej, ręce bezwładnie zsunęły mu się z ud i zwisły między nogami. Broda dotknęła piersi. Potem z niewyraźnym, bezbolesnym szarpnięciem cząstka jego osoby wstała i pobiegła za Tonym w przelewające się ciemności.

— Dannee...

Teraz mroki przeszły wirująca biel. Krztuszenie, pianie i pochylone, udręczone cienie, które przemieniły się w sosny, zginane nocą przez wyjący wiatr. Śnieg tańczył i zataczał koła. Śnieg był wszędzie.

— Za głęboki — przemówił z ciemności Tony, a smutek w jego głosie przeraził Danny'ego. — Za głęboki, żeby się wydostać.

Inny kształt, majaczący, wyniosły. Ogromny i prostokątny. Spadzisty dach. Biel rozmazana w pomroce burzy. Wiele okien. Długi budynek z łupkowym dachem. Niektóre łupki zieleńsze, nowsze. Przybite przez tatę. Gwoździami kupionymi w Sidewinder, w sklepie z wyrobami żelaznymi. Teraz śnieg pokrywał łupki. Pokrywał wszystko.

Zielone światło magiczne rozbłysło na przedniej ścianie budynku, zamigotało i stało się olbrzymią, wyszczerzoną trupią czaszką nad parą skrzyżowanych piszczeli.

— Trucizna — powiedział Tony z rozkołysanej ciemności. — Trucizna.

Inne ostrzeżenia przemknęły Danny'emu przed oczyma, wypisane zielonymi literami na tabliczkach albo na deskach skośnie wetkniętych w zaspy. Zakaz pływania. Niebezpieczeństwo! Przewody pod napięciem. Ta nieruchomość skonfiskowana. Wysokie napięcie. Trzecia szyna. Grozi śmiercią. Nie wchodzić. Zakaz wstępu. Przejście wzbronione. Do osób naruszających przepisy będzie się strzelać. Żadnego napisu nie rozumiał dokładnie — nie umiał czytać! — lecz wyczuł sens wszystkich i w mroczne zakamarki jego ciała spłynęło senne przerażenie, podobne do jasnobrązowych zarodników, które zginą w słońcu.

Napisy zbladły. Teraz znajdował się w ciemnym pokoju pełnym nie znanych mu mebli. Śnieg rozpryskiwał się o szyby, jak rzucany garściami piasek. Danny miał wargi zaschnięte, oczy niby rozgrzane kamyki, serce młotem waliło mu w piersiach. Skądś z zewnątrz dobiegł głuchy łoskot, jakby z trzaskiem otwarto jakieś straszne drzwi. Odgłos kroków. W lustrze po drugiej stronie pokoju, w głębi tej srebrzystej bańki, pojawiło się jedno słowo wypisane zielonymi ognistymi literami, a brzmiało ono: Redrum.

Pokój zniknął. Inny pokój. Znał
(powinien znać)

ten pokój. Przewrócone krzesło. Wybite okno, śnieg wpada do środka, oprósza skraj dywanu. Poobrywane zasłony zwisają krzywo na złamanym karniszu. Niska szafka zwalona na drzwiczki.

Dalsze głuche huki, równe, rytmiczne, okropne. Tłuczone szkło. Nadchodząca zagłada. Ochryply głos, głos szaleńca, tym straszniejszy, że dobrze znany:

Chodź, chodź, ty mały gówniarzu! Zażyj swoje lekarstwo!

Łup. Łup. Łup. Trzask łamanego drewna. Ryk wściekłości i zadowolenia. Redrum. Idzie.

Sunie przez pokój. Pozrywane ze ścian obrazy. Adapter
(?adapter mamy?)

na podłodze. Jej płyty: Grieg, Haendel, Beatlesi, Art Garfunkel, Bach, Liszt, porozrzucane wszędzie. Połamane na czarne trójkąty o szczerbatych brzegach. Smuga światła wpadającego z łazienki, ostrego białego światła, i słowo niby czerwone oko mrugające w lustrze apteczki, redrum, redrum, redrum. . .

— Nie — szepnął. — Nie, proszę cię, Tony. . .

I przewieszona przez białą porcelanową krawędź wanny ręka. Bezwładna. Strużka krwi (redrum) powoli spływająca po jednym palcu, środkowym, ze starannie opiłowanego paznokcia kapiąca na kafle. . .

Nie och nie och nie
(och, proszę cię, Tony, boję się)
redrum, redrum, redrum
(przestań, Tony, przestań)
Zanika.

Łoskot w ciemnościach narasta, narasta coraz bardziej, rozbrzmiewa echem wszędzie dookoła.

Teraz Danny kuli się w mrocznym korytarzu, przykuca na niebieskim chodniku w splątany czarny deseń, słucha przybliżających się łoskotów, a Postać wychodzi zza rogu i zmierza w jego stronę, pochylona, cuchnąca krwią i zagładą. W jednej ręce trzyma drewniany młotek i wymachuje nim (redrum) na boki, ze złością zatacza łuki, wali w ściany, rozcina jedwabną tapetę i wzbija w powietrze widmowe kłęby gipsowego pyłu.

Chodź i zażyj swoje lekarstwo! Jak przystało mężczyźnie!

Postać zbliża się do niego, wydziela ten słodko-cierpkawy odór, jest ogromna, obuch młotka tnie powietrze z cichym, złośliwym sykiem, potem donośny, głuchy stuk, kiedy grzmoci w ścianę, rozpyła tynk o suchym, drażniącym zapachu. Małe czerwone oczka jarzą się w mroku. Potwór go dopada, wypatrzył przycupniętego pod pustą ścianą. A kłapa w suficie jest zamknięta na klucz.

Ciemność. Sunie.

— Proszę cię, Tony, zabierz mnie z powrotem, proszę cię, proszę...

I rzeczywiście powrócił na ulicę Arapahoe, siedział na krawężniku w koszuli przylepionej do pleców, zlany potem. W uszach wciąż rozbrzmiewał mu ten donośny kontrapunktowy łoskot, czuł też zapach własnego moczu, który oddał w skrajnym przerażeniu. Widział tę bezwładną rękę przewieszoną przez krawędź wanny, krew spływającą po jednym palcu, środkowym, i to niezrozumiałe słowo, o tyle straszniejsze od innych: redrum.

A teraz blask słońca. Rzeczy prawdziwe. Z wyjątkiem Tony'ego, stojącego już na rogu szóstej przecznicy, małego jak punkcik, mówiącego głosem cichym, cienkim i miłym: „Uważaj, stary...”

Potem, po krótkiej chwili, Tony zniknął, zza rogu zaś wynurzył się sfatygowany czerwony garbus taty i z terkotem jechał ulicą, prychając niebieskimi spalinami. Danny błyskawicznie poderwał się z krawężnika, zaczął machać rękami, przeskakiwać z nogi na nogę i wykrzykiwać:

— Tatku! Hej, tato! Halo! Halo!

Tata podjechał do krawężnika, wyłączył silnik i otworzył drzwiczki. Danny podbiegł do niego i zastygł w bezruchu, szeroko otwierając oczy. Serce podeszło mu do gardła i tam utkwilo. Obok jego taty leżał na przednim siedzeniu drewniany młotek z krótkim trzonkiem i obuchem oblepionym skrzepłą krwią i włosami.

Potem okazało się, że to zwykła torba z żywnością.

— Danny... co ci jest, stary?

— Nie. Nic mi nie jest. — Podszedł do taty, ukrył twarz w jego drelichowej kurtce i uściśnął go mocno, mocno, mocno. Jack odwzajemnił uścisk nieco zakłopotany.

— Nie powinieneś tak przesiadywać na słońcu, stary. Ociekasz potem.

— Chyba się zdrzemnąłem. Kocham cię, tato. Czekałem.

— Ja też cię kocham, Dan. Przywiozłem trochę rzeczy do domu. Czy jesteś na tyle duży, żeby je wnieść na górę?

— No pewnie!

— Stary Torrance, najsilniejszy człowiek świata — powiedział Jack, wicherząc mu czuprynę. — Który pasjami lubi zasypiać na rogach ulic.

Ruszyli do domu, a mama wyszła im naprzeciw na werandę. Z drugiego stopnia schodów patrzył, jak się całują. Ucieszyli się na swój widok. Miłość biła od nich, tak jak od chłopaka i dziewczyny, którzy idąc chodnikiem, trzymali się za ręce. Danny czuł się szczęśliwy.

Torba z żywnością — zwykła torba z żywnością — szeleściła w jego ramionach. Wszystko dobrze. Tata wrócił do domu. Mama go kocha. Nie ma złych rzeczy. I nie wszystko, co pokazywał mu Tony, zawsze się zdarzało.

Mimo to wokół jego serca zagnieździł się lęk, głęboki i straszny, wokół serca i tego nieczytelnego słowa, które ujrzał w zwierciadle swego ducha.

Rozdział piąty

Kabina telefoniczna

Jack zaparkował volkswagena przed drogerią w centrum handlowym i zgasił silnik. Zastanowił się ponownie, czy jednak nie powinien wymienić pompy paliwowej, i powtórzył sobie, że ich na to nie stać. Jeśli samochodzik wytrwa do listopada, i tak będzie mógł z należnymi honorami przejść na emeryturę. Do listopada śniegu w górach napada tyle, że garbus schowa się z dachem... może nawet trzy garbusy ustawione jeden na drugim.

- Zostań w samochodzie, stary. Przyniosę ci batonik.
- Dlaczego nie mogę wejść do środka?
- Muszę do kogoś zadzwonić. To sprawa prywatna.
- I dlatego nie zadzwoniłeś z domu?
- Szach.

Wendy domagała się założenia telefonu bez względu na stan ich finansów. Twierdziła, że z małym dzieckiem — zwłaszcza z chłopcem takim jak Danny, któremu zdarzają się omdlenia — nie mogą sobie pozwolić na brak telefonu. Więc Jack wybulił trzydzieści dolarów na założenie aparatu, co już było przykre, i wpłacił dziewięćdziesiąt dolarów kaucji, co naprawdę odczuli boleśnie. I jak dotąd telefon milczał, jeśli nie liczyć dwóch pomyłek.

- Mogę dostać Baby Ruth, tato?
- Tak. Siedź spokojnie i nie baw się dźwignią biegów, dobrze?
- Dobrze. Popatrzę na mapy.
- Doskonale.

Kiedy Jack wysiadł, Danny wyjął ze schowka pięć wyświechtanych map samochodowych: Kolorado, Nebraski, Utah, Wyoming i Nowego Meksyku. Przepadał za takimi mapami, uwielbiał wodzić palcem po drogach. Z jego punktu widzenia nowe mapy były najlepszą częścią przeprowadzki na zachód.

W drogerii Jack kupił Danny'emu batonik, sobie gazetę i paździenikowy numer „Writer's Digest”. Wręczył dziewczynie banknot pięciodolarowy i poprosił o wydanie reszty w dwudziestopięciocentówkach. Z monetami w dłoni skierował

się do kabiny telefonicznej obok maszyny do dorabiania kluczy i wślizgnął się do środka. Przez trzy kolejne szyby widział stąd Danny'ego w garbusie. Chłopiec pilnie pochylał głowę nad mapami. Jacka ogarnęła fala nieomal rozpaczliwej miłości do syna. To uczucie przejawiało się wyrazem nieugiętej surowości na jego twarzy.

Mógł przecież zadzwonić do Ala z należnymi podziękowaniami z domu; nie zamierzał mówić nic, czemu Wendy byłaby przeciwna. Nie pozwalała mu na to duma. W tym okresie prawie zawsze słuchał podszeptów dumy, bo prócz żony i syna, sześciuset dolarów na rachunku czekowym i jednego sfatygowanego volkswagena z 1968 roku pozostała mu już tylko duma. Jedyna rzecz jego własna. Nawet rachunek czekowy mieli wspólny. Rok temu uczył angielskiego w jednej z najlepszych szkół przygotowawczych w Nowej Anglii. Byli przyjaciele — choć niezupełnie ci sami, co w czasach poprzedzających picie — trochę wesołości, członkowie grona nauczycielskiego, pełni podziwu dla jego umiejętności postępowania z uczniami i dla prywatnej pasji pisarskiej. Pół roku temu wszystko układało się bardzo pomyślnie. Całkiem nagle z każdej otrzymywanej co dwa tygodnie pensji zaczęło zostawać tyle, że mógł otworzyć mały rachunek oszczędnościowy. W okresie pijackim nie odkładał nigdy ani centa, choć Al Shockley stawiał mnóstwo kolejek. Oboje z Wendy jęli ostrożnie przebąkiwać o znalezieniu domu i zgromadzeniu mniej więcej za rok pieniędzy na zapłacenie pierwszej raty gotówką. Domu farmerskiego na wsi. Nawet gdyby im przyszło remontować go przez sześć czy osiem lat, cóż, u licha, są młodzi, mają czas.

I wtedy wpadł w złość.

George Hatfield.

Woń nadziei zamieniła się w zapach starej skóry w gabinecie Crommerta, a wszystko przypominało scenę z własnej sztuki Jacka: na ścianach sztychy przedstawiające poprzednich dyrektorów Stovington, staloryty z widokami szkoły takiej, jaka była w roku 1879, zaraz po wybudowaniu, i w roku 1895, kiedy pieniądze Vanderbilta umożliwiły wzniesienie pawilonu sportowego, do tej pory stojącego na zachodnim skraju boiska do piłki nożnej, przysadzistego, ogromnego, oplecionego bluszczem. Kwietniowy bluszcz szeleścił za wąskim oknem gabinetu Crommerta, a od kaloryfera dobiegał senny syk gorącej pary. Pamięta, jak myślał: to nie dekoracje. To była rzeczywistość. Jego życie. Jak mógł je tak paskudnie speprzyć?

— Sytuacja jest poważna, Jack. Bardzo poważna. Rada prosiła o przekazanie ci tej decyzji.

Rada chciała, żeby Jack złożył wymówienie, więc je złożył. Gdyby nie ta sprawa, dostałby w czerwcu stały etat.

Po rozmowie w gabinecie Crommerta nastąpiła najciemniejsza, najstraszniejsza noc w jego życiu. Nigdy jeszcze tak bardzo nie chciał, nie potrzebował się upić. Ręce mu się trzęsły. Wszystko przewracał. I pragnął się odgrywać na Wen-

dy i Dannym. Był zły jak pies na łańcuchu. Wyszedł z domu w obawie, że mógłby ich pobić. Wylądował pod barem, a nie wstąpił do środka tylko dlatego, że wtedy — jak wiedział — Wendy wreszcie by go rzuciła i zabrała ze sobą Danny'ego. Dla niego dzień ich odejścia równałby się śmierci.

Zamiast wstąpić do baru, gdzie siedziały czarne cienie, kosztując smakowitych wód zapomnienia, udał się do Ala Shockleya. Członkowie rady oddali sześć głosów przeciw jednemu. Ten jeden należał do Ala.

Teraz Jack wykręcił numer i od telefonistki dowiedział się, że za dolara osiemdziesiąt pięć centów będzie mógł przez trzy minuty rozmawiać z Alem, oddalonym o dwa tysiące mil. Czas jest rzeczą względną, mała, pomyślał wrzucając osiem dwudziestopięciocentówek. Niewyraźnie słyszał elektroniczne buczenia i brzęczenia, w miarę jak uzyskiwał połączenie ze wschodem.

Ojcem Ala był magnat stalowy Artur Longley Shockley. Swemu jedynemu synowi Albertowi pozostawił fortunę i najrozmaitsze lokaty oraz stanowiska dyrektorskie i członkostwa różnych rad nadzorczych. Należała do nich rada szkoły przygotowawczej w Stovington, instytucji najmilszej sercu starszego pana spośród finansowanych przez niego. Zarówno Artur, jak Albert byli wychowankami szkoły, Al zaś mieszkał w Barre, na tyle blisko, aby osobiście zajmować się jej sprawami. Przez kilka lat trenował tam tenisistów.

Jack i Al zawarli przyjaźń w sposób całkowicie naturalny i nieprzypadkowy: na wielu szkolnych i nauczycielskich imprezach, w których obaj uczestniczyli, zawsze oni zalewali się najbardziej. Shockley żył w separacji z żoną, małżeństwo Jacka zaś ulegało powolnemu rozkładowi, choć nadal kochał Wendy i szczerze (a także często) obiecywał poprawę ze względu na nią i Danny'ego.

Wracając we dwóch z niejednego przyjęcia dla nauczycieli, wstępowali po drodze do barów, póki były otwarte, a potem zatrzymywali się przed jakimś sklepikiem i kupowali skrzynkę piwa, które wypijali w samochodzie zaparkowanym na bocznej drodze. Zdarzały się poranki, kiedy Jack o bladym świetle chwiejnie wtaczał się do wynajmowanego domu i zastawał Wendy z malcem śpiących na kanapie. Danny zawsze spał od ściany, z piastką wetkniętą pod brodę Wendy. Jack patrzył na nich i obrzydzenie do siebie podchodziło mu do gardła falą goryczy, silniejszej nawet niż smak piwa, papierosów i martinich — Marsjan, jak nazywał je Al. W takich to chwilach trzeźwo i z rozwagą zwracał myśli ku strzelbie, sznurowi czy żyletce.

Jeśli popijawa wypadła w środku tygodnia, spał trzy godziny, wstawał, ubierał się, połykał cztery excedryny i wciąż pijany szedł na dziewiątą do szkoły, aby poprowadzić lekcję poświęconą poetom amerykańskim. Dzień dobry, dzieci, dzisiaj czerwonoookie dziwo zamierza wam opowiedzieć o tym, jak Longfellow stracił żonę w wielkim pożarze.

Nie wierzyłem, że jestem alkoholikiem, myślał Jack, kiedy telefon Ala zaczął mu dzwonić w uszach. Opuszczanie lekcji albo pojawianie się w klasie z zaro-

stem, w cuchnących oparach wypitych wieczorem Marsjan. Ja nie, ja mogę przestać w każdej chwili. Noce przespane przez niego i Wendy w osobnych łóżkach. Słuchaj, świetnie się czuję. Wgniecione zderzaki. Na pewno mogę prowadzić. Łzy wylewane przez nią zawsze w łazience. Czujne spojrzenia kolegów na każdym przyjęciu z alkoholem, choćby z winem. Powolne uprzytamnianie sobie, że jest tematem rozmów. Świadomość, że z jego maszyny do pisania nie schodzi na ogół nic prócz czystego papieru, który w końcu zgnieciony w kulę wędruje do kosza na śmiecie. Dla Stovington był nie lada nabytkiem, może stopniowo rozwijającym się autorem amerykańskim, niewątpliwie zaś człowiekiem o dobrych kwalifikacjach, zdolnym do dzielenia się tą wielką tajemnicą — jak należy tworzyć dzieło literackie. Wydał ponad dwadzieścia opowiadań. Pracował nad sztuką i sądził, że w jakichś zakamarkach jego umysłu może wykluwa się powieść. Teraz jednak nie tworzył, a jako nauczyciel stał się nieobliczalny.

Koniec nastąpił wreszcie pewnej nocy, w niespełna miesiąc od złamania synowi ręki. Tamten incydent unicestwił w jego mniemaniu ich małżeństwo. Wendy musiała tylko zmobilizować wolę... Wiedział, że gdyby jej matka nie była taką wyjątkową jędzą, Wendy kupiłaby bilet na autobus do New Hampshire, z chwilą gdy tylko Danny okazałby się zdolny do odbycia podróży. Koniec.

Było parę minut po północy. Jack i Al wracali do Barre międzystanową szosą numer 31. Al za kierownicą swojego jaguara, z fantazją zmieniając biegi na zakrętach, czasami przecinając podwójną żółtą linię. Obaj mieli dobrze w czubach. Tego wieczoru Marsjanie lądowali w dużej sile. Ostatni zakręt przed mostem Al wziął z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, gdy wtem na drodze pojawił się dziecinny rower i ostro, boleśnie pisnęły zdzierane opony jaguara. Jack zapamiętał twarz Ala pochyloną nad kierownicą niczym okrągły biały księżyc. Później brzęknęło i szczęknięło, kiedy jadąc już czterdziestką, trzasnęli w rower, który wzleciał w górę niby pociąg, poskręcany ptak, uderzył kierownicą w szybę, po czym znów wzleciał w powietrze, pozostawiając przed wybałuszonymi oczami Jacka spękane szkło bezodpryskowe. Po chwili z ostatnim strasznym łoskotem upadł na szosę za nimi. Coś zadudniło pod oponami. Jaguar zarzucił, Al wciąż manipulował kierownicą, a Jack usłyszał z oddali własny głos:

— O Jezu, Al. Rozjechaliśmy go. Czujęm.

W jego uchu nie przestawał dzwonić telefon. No, Al, bądź w domu. Pozwól mi to załatwić.

Al zatrzymał samochód, któremu dymiło się spod kół, najwyżej o trzy stopy od słupka mostu. Dwie opony jaguara siadły. Pozostawiły zygzakowate pętle spalonej gumy długości stu trzydziestu stóp. Al i Jack popatrzyli na siebie, a następnie pobiegli do tyłu w zimny mrok.

Rower był całkowicie zniszczony. Brakowało jednego koła, lecz obejrzawszy się, Al zobaczył je na środku szosy, gdzie leżało z kilkoma szprychami sterczącymi w górę jak struny-fortepianu.

— Chyba po tym przejechaliśmy, Jacky — powiedział z wahaniem.

— Gdzie wobec tego jest dzieciak?

— Naprawdę widziałeś dzieciaka?

Jack zmarszczył czoło. Wszystko przebiegało w tak szalonym tempie. Wzięli zakręt. Rower zamajaczył w świetle reflektorów. Al wrzasnął. Potem zderzenie i długi poślizg.

Przenieśli rower na pobocze drogi. Al wrócił do jaguara i włączył cztery światła awaryjne. Przez następne dwie godziny szukali po obu stronach szosy, posługując się silną latarką na cztery baterie. Nic. Nawet o tej spóźnionej porze kilka samochodów minęło zaparkowanego na poboczu jaguara i dwóch mężczyzn z migającą latarką. Żaden się nie zatrzymał. Jack uważał później, że dzięki dziwnemu zrządzeniu opatrności, która chciała im obu dać ostatnią szansę, nie pojawiły się gliny, nie zostały wezwane przez nikogo z przejeżdżających.

Kwadrans po drugiej wrócili do samochodu. Byli trzeźwi, ale ich mdlilo.

— Jeśli nikt na nim nie jechał, to co on robił pośrodku drogi? — zapytał Al.

— Nie stał przecież na poboczu; był na samym kurewskim środku!

Jack tylko pokręcił głową.

— Numer się nie zgłasza — oznajmiła telefonistka. — Czy mam próbować dalej?

— Proszę spróbować jeszcze parę razy. Może pani?

— Oczywiście, proszę pana — odpowiedziała posłusznie.

No, Al!

Al przeszedł przez most do najbliższego automatu telefonicznego, zadzwonił do nieżonatego przyjaciela i obiecał mu pięćdziesiąt dolarów za wydostanie z garażu opon zimowych do jaguara i przywiezienie ich na szosę 31, na most koło Barre. Przyjaciel zjawił się dwadzieścia minut później w dżinsach i w kurtce od piżamy. Rozejrzał się dookoła.

— Zabiłeś kogoś? — spytał.

Al już podnosił tył wozu lewarkiem, a Jack odkręcał śruby.

— Bogu dzięki, nikogo — odrzekł Al.

— To ja wracam. Zapłacisz mi rano.

— Dobra — zgodził się Al, nie podnosząc głowy.

We dwóch założyli bez przeszkód opony i pojechali do Ala Shockleya. Al wstawił jaguara do garażu i zgasił silnik. W mrocznej ciszy oznajmił:

— Przystaję pić, Jacky. Skończyłem z tym raz na zawsze. Obaliłem mojego ostatniego Marsjanina.

I teraz pocącemu się w budce telefonicznej Jackowi przyszło na myśl, iż nigdy nie wątpił, że Al potrafi zerwać z nałogiem. Wrócił do domu volkswagenem, z nastawionym radiem, w którym jakiś zespół zawodził monotonna w kółko: „Zrób to tak... jak chcesz to zrobić... zrób to tak, jak chcesz...” — co przed świtem miało magiczne brzmienie. Obojętne, jak głośny był śpiew, on i tak słyszał pisk opon,

trzask. Zacisnąwszy powieki, zobaczył to jedno zgniecione koło ze szprychami sterczącymi w niebo.

Kiedy wszedł, Wendy spała na kanapie. Zajrzał do pokoju Danny'ego, który leżał na wznak w łóżeczku, pogrążony w głębokim śnie, z ręką jeszcze w gipsie. W łagodnie sącącym się przez okno blasku latarni ulicznej Jack widział ciemne linie na gipsowej bieli — podpisy wszystkich lekarzy i pielęgniarek z oddziału dziecięcego.

To był wypadek. Dzieciak spadł ze schodów.

(o, ty wstrętny łgarzu)

To był wypadek. Wpadłem w złość.

(ty kurewski, pijany łachudro, Bóg wysmarkał nos i tym glutem byłeś ty)

Hej, posłuchajcie, no proszę, zwyczajny wypadek...

Ale to ostatnie usprawiedliwienie odegnał obraz migającej latarki, z którą w zeschniętych listopadowych chwastach, czekając na policję, rozglądali się za rozkrzyżowanym na ziemi ciałem, bo ono przecież powinno tam być. Nie miało znaczenia, że prowadził Al. Zdarzały się wieczory, kiedy to on, Jack, siedział za kierownicą.

Nakrył Danny'ego, poszedł do sypialni i z górnej półki w szafie wziął rewolwer Spanish Llama, kaliber 38, schowany w pudełku po butach. Usiadł z nim na łóżku i prawie godzinę wpatrywał się w broń, zafascynowany morderczym połyskiem.

Świtało, kiedy na powrót schował go do pudełka, a pudełko wstawił do szafy.

Tego ranka zadzwonił do Brucknera, swego bezpośredniego zwierzchnika, i poprosił o odwołanie lekcji. Ma grypę. Bruckner wyraził zgodę nie tak chętnie jak zazwyczaj. W ostatnim roku Jack Torrance niesłuchanie często zapadał na grypę.

Wendy zrobiła mu jajecznicę i kawę. Jedli w milczeniu. Jedyne odgłosy dochodził zza domu, gdzie Danny zdrową ręką wesoło przeciągał swoje ciężarówki przez kupę piasku.

Poszła zmywać naczynia. Odwrócona do niego plecami powiedziała:

— Myślałam, Jack.

— Naprawdę?

Drżącymi dłońmi zapalił papierosa. Dość dziwne, ale tego dnia rano nie miał kaca. Tylko dreszcze. Zmrużył oczy. Błyskawiczna ciemność, rower wylatuje w górę i uderza w szybę, tłukąc szkło. Pisk opon. Migające światło latarki.

— Chcę z tobą pomówić o... o tym, co jest najlepsze dla mnie i dla Danny'ego.

— Czy mogłabyś zrobić coś dla mnie? — zapytał, patrząc na chybotliwy czubek papierosa. — Czy mogłabyś mi wyświadczyć uprzejmość?

— Jaką? — Głos miała głuchy i obojętny. Jack popatrzył na jej plecy.

— Porozmawiajmy o tym od dziś za tydzień. Jeżeli nadal będziesz chciała.

Odwróciła się przodem do niego, z rękami w pianie i wyrazem rozczarowania na ładnej, mizernej twarzy.

— Ty nic sobie nie robisz z obietnic, Jack. Po prostu dalej...

Urwała i spojrzała mu w oczy, zafascynowana, nagle niepewna.

— Za tydzień — powtórzył. Głos jego stracił całą siłę, przycichł do szeptu.

— Proszę cię. Nic nie obiecuję. Jeśli wtedy nadal będziesz chciała rozmawiać, to porozmawiamy. O czym zechcesz.

Patrzyli na siebie długo przez szerokość zalanej słońcem kuchni, a kiedy Wendy już bez słowa powróciła do naczyń, Jack zaczął dygotać. Boże, jak potrzebny mu był teraz jeden drink. Mały klin, aby ujrzeć rzeczy we właściwej perspektywie...

— Danny'emu, jak mówił, śniło się, że miałeś wypadek — odezwała się nagle Wendy. — Czasami miewa dziwne sny. Powiedział to dziś rano, kiedy go ubierałam. Tak było, Jack? Miałeś wypadek?

— Nie.

Do południa łaknienie alkoholu przybrało postać niewysokiej gorączki. Jack pojechał do Ala.

— Nie piłeś? — spytał Al, zanim go wpuścił. Sam wyglądał okropnie.

— Ani kropli. Przypominasz Lona Chaneya z „Upiora w operze”.

— Wejdz.

Przez całe popołudnie grali w wista. Nie pili.

Upłynął tydzień. On i Wendy mało ze sobą rozmawiali. Wiedział jednak, że ona go obserwuje, nie wierzy. Pił kawę bez mleka i niezliczone coca-cole. Pewnego wieczora wypił sześć puszek coli, a potem pobiegł do łazienki i zwymiotował. Poziom trunków w butelkach stojących w barku pozostawał nie zmieniony. Po lekcjach Jack jechał do Ala Shockleya — nienawidziła Ala jak jeszcze nigdy nikogo — kiedy zaś stamtąd wracał, mogłaby przysiąc, że zalatuje whisky czy dżinem, lecz przed kolacją rozmawiał z nią przytomnie, pił kawę, po kolacji bawił się z Dannym, wypijał z nim do spótki colę, czytał mu do poduszki, potem siadał i poprawiał wypracowania, mając w zasięgu ręki kolejne filiżanki czarnej kawy. Musiała więc w duchu przyznać się do omyłki.

Pływały tygodnie, a nie wypowiedziane słowo, które zawisło na jej wargach, cofnęło się gdzieś w głąb. Jack to wyczuwał, wiedział jednak, że nigdy nie wycofa się zupełnie. Wszystko zaczęło się układać trochę lepiej. A potem George Hatfield. Jack znów wpadł w złość, choć tym razem był kompletnie trzeźwy.

— Numer nadal nie...

— Halo? — Zdyszany głos Ala.

— Proszę mówić — surowo powiedziała telefonistka.

— Al, tu Jack Torrance.

— Jacky! — Szczera radość. — Jak się miewasz?

— Dobrze. Dzwonię tylko po to, żeby ci podziękować. Dostałem tę pracę. Jest idealna. Jeśli nie zdołam skończyć mojej cholernej sztuki, siedząc przez całą zimę w śniegach, to nie skończę jej już nigdy.

— Skończysz.

— Jak leci? — zapytał niepewnie Jack.

— Nie piję — odparł Al. — A ty?

— Ani kropli.

— Często odczuwasz brak?

— Codziennie.

— Wiem coś o tym — roześmiał się Al. — Ale nie wiem, jak ci się udało nie pić po tej aferze z Hatfieldem, Jack. To był szczyt wszystkiego.

— Narobiłem sobie prawdziwego bigosu.

— Och, do diabła. Nim nadejdzie wiosna, przekabacę radę. Effinger już mówi, że może za nadto się pośpieszyli. A jeśli ta sztuka okaże się niezła. . .

— Tak. Słuchaj, mój mały jest w samochodzie, Al. Zaczyna się niepokoić. . .

— Jasne. Rozumiem. Życzę dobrej zimy tam w górach, Jack. Miło mi było pomóc.

— Raz jeszcze dzięki, Al. — Powiesił słuchawkę, zamknął oczy w nagrzaney kabinie i znów ujrzał rozbijający się rower, miganie latarki.

Następnego dnia w gazecie zamieszczono wzmiankę o zdarzeniu, raczej dla wypełnienia dziury w szpalcie, ale nie podano nazwiska właściciela wozu. Dla nich na zawsze pozostanie tajemnicą, i może tak być powinno, dlaczego rower znalazł się tam w nocy.

Wrócił do samochodu i wręczył Danny'emu rozmiękły batonik.

— Tato?

— Co, stary?

Danny zawahał się na widok roztargnionej miny ojca.

— Kiedy czekałem, aż wrócisz z tego hotelu, miałem niedobry sen. Pamiętasz? Jak usnąłem?

— Aha.

Ale próba się nie powiodła. Tata był myślami gdzie indziej, nie z nim. Znów myślał o Złej Rzeczy.

(Śniło mi się, że zrobiłeś mi krzywdę, tato.)

— Co ci się śniło, stary?

— Nic — odpowiedział Danny, gdy wjeżdżali na parking. Odłożył mapy do schowka.

— Jesteś pewien? — Tak.

Jack zerknął na syna z niepokojem, po czym zadumał się nad sztuką.

Rozdział szósty

Nocne rozmyślenia

Kochali się, a teraz jej mężczyzna spał obok.

Jej mężczyzna.

Uśmiechnęła się blado w ciemnościach, czując, jak jego nasienie ciepłą, leniwą strużką spływa po jej z lekka rozchylonych udach. Uśmiech ten wyrażał i smutek, i zadowolenie, ponieważ zwrot „jej mężczyzna” wywoływał sto różnych uczuć. Analizowane każde z osobna, uczucia te były niejasne. Razem, w tym mroku unoszącym w sen, przypominały daleką melodię bluesa, której się słucha w prawie opustoszałym nocnym klubie, melancholijną, lecz przyjemną.

*Kochać cię znaczy toczyć bój przed snem,
Lecz jeśli twoją być nie mogę,
To nie chcę też być twoim psem. . .*

Czy śpiewała to Billie Holiday? Czy ktoś bardziej prozaiczny, w rodzaju Peggy Lee? Mniejsza z tym. Melodia cicha i sentymentalna rozbrzmiewała w jej głowie łagodnie, jakby wydobywała się ze staroświeckiej szafy grającej, może Wurlitzera, na pół godziny przed zamknięciem lokalu.

W tej chwili, na granicy utraty świadomości, Wendy zastanawiała się, w ilu łóżkach spała z tym leżącym obok niej mężczyzną. Poznali się w college’u i po raz pierwszy kochali się u niego w mieszkaniu. . . w niecałe trzy miesiące po tym, jak matka wyrzuciła ją z domu i powiedziała, że ma nigdy nie wracać, że może sobie iść do ojca, ponieważ to przez nią się rozeszli. Działo się to w roku 1970. Tak dawno temu? Po upływie semestru zamieszkali razem, znaleźli sobie pracę na lato i zatrzymali mieszkanie na drugi rok. To łóżko zapamiętała najlepiej, duże podwójne łóżko, zapadnięte pośrodku. Kiedy się kochali, zardzewiałe sprężyny odmierzały rytm. Tej jesieni zdołała wreszcie uniezależnić się od matki. Jack jej pomógł. Ona chce ciągle być górą, powiedział. Im częściej dzwonisz, im częściej się płaszczysz i prosisz o przebaczenie, tym częściej może ci ojcem wykłuwać oczy. Jej to dobrze robi, Wendy, bo może w dalszym ciągu udawać, że to

ty ponosisz winę. Ale tobie nie robi dobrze. Tamtego roku wielokrotnie wałkowali w łóżku ten temat.

(Jack siedzi, owinięty kocem, trzyma w palcach zapalonego papierosa, patrzy jej w oczy — w ten swój na pół żartobliwy, na pół gniewny sposób — mówi: „Powiedziała ci, że masz nigdy więcej nie wracać, co? Że masz nigdy już nie przekroczyć progu jej domu, co? Więc dlaczego nie odkłada słuchawki, skoro wie, że to ty dzwonicz? Dlaczego nie pozwala ci wejść do środka tylko wtedy, kiedy ja jestem z tobą? Bo uważa, że mógłbym ją trochę przyhamować. Chce cię torturować, mała. Głupia jesteś, że wciąż jej na to pozwalasz. Powiedziała ci, że masz nigdy więcej nie wracać, więc dlaczego jej nie posłuchasz? Daj sobie z tym spokój”. I w końcu zaczęła na to patrzeć tak jak on.)

Pomysł chwilowego rozstania — żeby mogli zobaczyć swój związek z perspektywy, jak powiedział — wyszedł od Jacka. Bała się, że zainteresowała go inna kobieta. Później stwierdziła, że tak nie jest. Na wiosnę znów się zeszli i zapytał, czy jeździła odwiedzić ojca. Podskoczyła jak smagnięta pejczem.

Skąd wiesz?

Cień wie.

Szpiegowaleś mnie?

I jego niecierpliwy śmiech, zawsze wprawiający ją w takie zakłopotanie — jak gdyby miała osiem lat, a on potrafił lepiej niż ona odgadnąć pobudki jej działania.

Potrzebowałaś czasu, Wendy.

Na co?

Chyba na to... żeby się przekonać, za którego z nas chcesz wyjść za mąż.

Co ty mówisz, Jack?

Zdaje się, że proszę cię o rękę.

Ślub. Był na ślubie jej ojciec, nie było matki. Przekonała się, że potrafi z tym żyć, mając Jacka. Potem przyszedł na świat Danny, jej wspaniały syn.

To był najlepszy rok, z najlepszym łóżkiem. Po urodzeniu Danny'ego Jack wystarał się dla niej o przepisywanie na maszynie dla kilku profesorów z wydziału anglistyki. Przepisywała pytania na kolokwia, na egzaminy, konspekty wykładów, notatki, listy lektur. Skończyło się na tym, że jednemu z nich przepisała nawet powieść, która nigdy nie ukazała się drukiem... co napełniło Jacka potajemną radością. Płaca wynosiła czterdzieści dolarów tygodniowo, a podskoczyła aż do sześćdziesięciu w ciągu dwóch miesięcy poświęconych na przepisywanie niefortunnej powieści. Kupili pierwszy samochód, pięcioletniego buicka, z fotelikiem dla dziecka pośrodku. Inteligentne, pnące się w górę małżeństwo. Danny doprowadził do jej pojednania z matką, do zgody zawsze pełnej napięcia, nigdy nie całkowitej, ale jednak zgody. Jeździła z Dannym do matki sama. I nie mówiła Jackowi, że matka zawsze po swojemu przewija Danny'ego, krzywi się na pokarm przygotowany dla niego w butelce i potrafi wyśledzić pierwsze oskarżycielskie ślady odparzeń u niemowlęcia. Matka nigdy niczego nie mówiła otwarcie,

lecz dawała do zrozumienia: ceną, jaką Wendy zaczęła (i może dalej będzie) płacić za pojednanie, było poczucie, że jest niedobłą matką. W ten sposób jej matka zawsze trzymała narzędzie tortur pod ręką.

Dni spędzała Wendy w domu na zajęciach gospodarskich, karmieniu Danny'ego z butelki w słonecznej kuchni ich czteropokojowego mieszkania na drugim piętrze, puszczeniu płyt na sfatygowanym przenośnym adapterze stereo, który miała od czasów szkolnych. Jack wracał do domu o trzeciej (albo o drugiej, jeśli uznał, że może się urwać z ostatniego wykładu) i kiedy Danny spał, prowadził ją do sypialni, gdzie wyzbywała się poczucia niedoskonałości.

Wieczorami ona stukwała na maszynie, a on pisał albo przygotowywał się do zajęć. Wtedy wychodziła czasami z sypialni służącej jej jako pokój do pracy i znajdowała ich obu w gabinecie, śpiących na kanapie, Jacka w samych kalesonach, Danny'ego rozłożonego wygodnie na piersi jej męża, z kciukiem w buzi. Kładła Danny'ego do łóżeczka, a następnie czytała to, co Jack świeżo napisał, po czym budziła go, żeby mógł pójść do łóżka.

Najlepsze łóżko, najlepszy rok.

I na moim podwórku zaświeci kiedyś słońce...

W tamtym okresie Jack pił jeszcze z umiarem. W sobotnie wieczory wpadało do nich kilku jego kolegów, wypijali skrzynkę piwa i toczyli dyskusje, w których ona rzadko brała udział, bo jej dziedziną była socjologia, jego zaś literatura angielska: spierali się o to, czy dzienniki Pepysa należy uważać za literaturę, czy historię; rozprawiali o poezji Charlesa Olsona; niekiedy czytali to, co właśnie pisali. To i setki innych rzeczy. Nie, tysiące. Nie odczuwała prawdziwej potrzeby uczestniczenia w rozmowach; wystarczało jej, że siedzi w fotelu na biegunach obok Jacka, który ze skrzyżowanymi nogami sadowił się na podłodze z piwem w jednej ręce, drugą delikatnie ściskając jej łydkę lub kostkę.

Rywalizacja na uniwersytecie stanowym New Hampshire była zaciekle, a Jack dodatkowo obciążał się pisaniem. Poświęcał mu co najmniej godzinę każdego wieczoru. To należało do codziennego rozkładu jego zajęć. Sobotnie posiedzenia stanowiły nieodzowną terapię. Wyładowywał wtedy nadmiar czegoś, co w przeciwnym wypadku mogłoby się gromadzić, gromadzić, aż by pękł.

Pod koniec studiów dostał posadę w Stovington, głównie dzięki swoim opowiadaniom — do tej pory wydrukował cztery; jedno w „Esquire”. Ten dzień zapamiętała dość wyraźnie; trzy lata nie wystarczyłyby, żeby go zapomnieć. O mało nie wyrzuciła koperty w przekonaniu, że proponują im jakąś subskrypcję. Ale po otwarciu listu okazało się, że redakcja „Esquire” chciałyby zamieścić opowiadanie Jacka „W sprawie Czarnych Dziur” na początku przyszłego roku. Miano zapłacić dziewięćset dolarów po przyjęciu tekstu, nie po wydrukowaniu. Równało się to

prawie jej półrocznym zarobkom jako maszynistki, więc pognęła do telefonu, zostawiwszy Danny'ego w wysokim foteliku, ze śmiesznie wybałuszonymi oczami i buzią umazaną przetartym groszkiem z wołowiną.

Jack przyjechał z uniwersytetu trzy kwadransy później, a buick uginał się na resorach pod ciężarem siedmiu przyjaciół i beczułki piwa. Po wzniesieniu uroczystego toastu (Wendy też wypła szklanekę, choć na ogół nie przepadała za piwem) Jack podpisał umowę, włożył ją do zaadresowanej koperty i poszedł wrzucić do skrzynki. Wrócił, z powagą stanął w drzwiach i rzekł: „*Veni, vidi, vici*”. Rozległy się wiwaty i oklaski. Tego wieczoru o jedenastej, kiedy już opróżnili beczułkę, Jack w towarzystwie jedynych dwóch kolegów, którzy jeszcze trzymali się na nogach, wyruszył w obchód po barach.

W korytarzu na dole odciągnęła go na bok. Tamci dwaj już siedzieli w samochodzie, pijackimi głosami wyśpiewując lokalną pieśń bojową. Jack przykląkł na jedno kolano i z wysiłkiem próbował zawiązać sznurowadła butów.

— Jack — powiedziała — nie powinieneś tego robić. Nie możesz nawet zawiązać sznurowadeł, a cóż dopiero prowadzić.

Wstał i spokojnie położył jej ręce na ramionach.

— Dzisiaj mógłbym polecieć na Księżyc, gdyby mi przyszła ochota.

— Nie — odparła. — Mimo wszystkich opowiadań dla „*Esquire'a*” na świecie.

— Wróć do domu niedługo.

Ale wrócił dopiero o czwartej nad ranem, potykając się i bełkocząc na schodach, a kiedy wchodził do mieszkania, obudził Danny'ego. Próbował uspokoić malca i upuścił go na podłogę. Wendy wypadła z sypialni i zanim zdążyła pomyśleć, zadała sobie pytanie, co by powiedziała jej matka na widok siniaka — Boże, zmiłuj się nad nią, nad nimi obojgiem — a potem podniosła Danny'ego, usiadła z nim w fotelu na biegunach, zaczęła go kołysać. Myślała o matce przez prawie całe pięć godzin nieobecności Jacka, myślała o przepowiedni matki, że Jack nigdy do niczego nie dojdzie. Wielkie zamiary, powiedziała matka. Pewnie. W kolejkach do opieki społecznej stoi mnóstwo wykształconych durniów, którzy mieli wielkie zamiary. Czy opowiadanie do „*Esquire'a*” potwierdziło słowa matki, czy im zaprzeczyło? Winifredo, nie trzymasz tego niemowlęcia jak trzeba. Daj je mnie. A czy swojego męża trzymała jak trzeba? Gdyby tak było, dlaczego w radosnym momencie miałby uciekać z domu? Wezbrało w niej jakieś bezradne przerażenie i nawet do głowy jej nie przyszło, że zrobił to z przyczyn wcale z nią nie związanych.

— Gratuluje — rzekła, kołysząc Danny'ego, który już prawie zasypiał. — Mógł dostać wstrząsu mózgu.

— To tylko siniak. — Choć chciał okazać skruchę, wydawał się rozdrażniony jak mały chłopiec. Nienawidziła go w tej chwili.

— Może — wycodziła. — A może nie. — Dosłyszała we własnym głosie

tak wielkie podobieństwo do głosu, jakim matka zwracała się do ojca, zanim je porzucił, że napełniło ją to obrzydzeniem i strachem.

— Jaka matka, taka córka — mruknął Jack.

— Idź do łóżka! — krzyknęła, ale jej lęk zabrzmiał jak gniew. — Idź do łóżka, jesteś pijany!

— Nie mów mi, co mam robić.

— Jack... proszę cię, nie powinniśmy... to... — Zabrakło jej słów.

— Nie mów mi, co mam robić — powtórzył ponuro i poszedł do sypialni. Została sama w fotelu na biegunach z uśpionym znów Dannyem. Po pięciu minutach do salonu doleciało chrapanie Jacka. Tej nocy po raz pierwszy spała na kanapie.

Teraz przewróciła się niespokojnie na łóżku, już drzemiąc. Myśli jej, pozbawione ciągłości wskutek zapadania w sen, ominęły pierwszy rok spędzony w Stovington i okres stałego pogarszania się sytuacji, w którym najgorszy był dzień, kiedy jej mąż złamał Danny'emu rękę, po czym zatrzymały się na poranku w kąciu śniadaniowym.

Danny bawił się ciężarówkami na kupie piasku za domem, z ręką wciąż jeszcze w gipsie, Jack siedział przy stole, blady i posiwiaty, trzymając papierosa w rozdygotanych palcach. Postanowiła poprosić go o rozwód. Rozważała tę sprawę na wszystkie możliwe sposoby właściwie w ciągu całego półrocza przed złamaniem ręki. Mówiła sobie, że już dawno podjęłaby decyzję, gdyby nie Danny, ale nawet to nie całkiem odpowiadało prawdzie. W długie noce, pod nieobecność Jacka, nawiedzały ją sny i zawsze widziała w nich twarz matki i własny ślub.

(„Kto daje tę kobietę?” Ojciec stoi w swoim najlepszym garniturze, bynajmniej nie porządnym — pracował jako komiwojazer w firmie produkującej konserwy, nawet wtedy bliskiej bankructwa — ze zmęczoną twarzą, taki postarzały, taki blady, i odpowiada: „Ja”.)

Nawet po wypadku — jeśli można to było nazwać wypadkiem — nie potrafiła się zdobyć na dostateczną szczerość, przyznać, że poniosła w małżeństwie żałosną porażkę. Czekwała w głupiej nadziei, że zdarzy się cud i Jack dostrzeże, co się dzieje, nie tylko z nim, z nią także. Ale on nie zwalniał tempa. Wypijał jednego przed wyjściem do szkoły. Podczas lunchu w bufecie dwa albo trzy piwa. Trzy czy cztery martini przed kolacją. Jeszcze pięć lub sześć, kiedy wystawiał oceny z wypracowań. Soboty i niedziele były gorsze. A najgorsze — wieczorne eskapady z Alem Shockleyem. Nie śniło jej się nawet, że życie może nieść tyle bólu, chociaż fizycznie nic człowiekowi nie dolega. Ból dokuczał ciągle. W jakim stopniu ona zawiniła? To pytanie nie dawało jej spokoju. Czuła się jak matka. Jak ojciec. Czasami, kiedy nie czuła się jak oni, zadawała sobie pytanie, czym to będzie dla Danny'ego, i bała się dnia, w którym dorośnie na tyle, aby kogoś winić. Nie wiedziała też, dokąd by poszli. Z pewnością matka by ją przyjęła i z pewnością po pół roku patrzenia, jak matka po swoim przewija Danny'ego, na nowo przyrządza mu posiłki i/albo wyznacza nowe godziny karmienia, jak pod jej nieobecność go

przebiera lub ścina mu włosy, jak porywa książki we własnym mniemaniu nie-stosowne i odkłada do lamusa na strychu... po pół roku takiego życia Wendy kompletnie załamałaby się nerwowo. A matka głaskałaby ją po ręce i mówiła po-cieszająco: „Choć to nie twoja wina, sama jesteś sobie winna. Nigdy nie byłaś łatwa. Dałaś się poznać, stając między ojcem a mną”.

Mój ojciec, ojciec Danny’ego. Mój, jego.

(„Kto daje tę kobietę?” „Ja”. Pół roku później zmarł na atak serca.)

W nocy poprzedzającej tamten poranek leżała prawie do jego powrotu, myśla-ła, podejmowała decyzję.

Rozwód jest konieczny, tłumaczyła sobie. Rodzice nie mają z tą decyzją nic wspólnego. Podobnie jak poczucie winy z powodu ich małżeństwa i świadomość, że sama się nie sprawdziła. Jest konieczny ze względu na jej syna i na nią, jeśli ma ocalić cokolwiek z wczesnych lat swej dorosłości. Napis na ścianie stwierdzał brutalnie, lecz niedwuznacznie: jej mąż to pijus. Łatwo wpada w gniew i nie po-trafi już teraz w pełni nad sobą panować, bo tak dużo pije i pisanie tak źle mu idzie. Przypadkiem czy nie przypadkiem złamał Danny’emu rękę. Straci posadę, jeśli nie w tym roku, to w następnym. Już zauważyła współczujące spojrzenia żon jego kolegów. Mówiła sobie, że dopóki się dało, próbowała wytrwać na trudnym stanowisku żony. Teraz będzie musiała je opuścić. Jack miałby prawo odwiedzać syna i musiałby ich utrzymywać tylko do czasu, kiedy znalazłaby pracę i stanęła na nogi — a to powinno nastąpić dość prędko, bo nie wiedziała, jak długo Jack zdołałby jej płacić. Postarałaby się w miarę możliwości nie chować urazy. Ale to się musi skończyć.

Tak rozmyślając, zapadła w sen lekki, niespokojny, w którym natrętnie uka-zywały jej się twarze rodziców. „Burzysz po prostu dom” — powiedziała matka. „Kto daje tę kobietę?” — zapytał duchowny. „Ja” — odrzekł ojciec. Ale w ja-sny, słoneczny poranek czuła to samo. Odwrócona do niego tyłem, z rękami po nadgarstki zanurzonymi w ciepłej wodzie do zmywania, poruszyła nieprzyjemny temat:

— Chcę z tobą pomówić o tym, co jest najlepsze dla mnie i dla Danny’ego. Może i dla ciebie także. Chyba należało porozmawiać o tym wcześniej.

Wtedy on powiedział coś dziwnego. Oczekiwała wybuchu gniewu, spodzie-wała się rozgoryczenia, wyrzutów. I szaleńczego skoku do szafki z trunkami. Ale nie tej cichej, prawie bezdźwięcznej odpowiedzi, tak bardzo do niego niepodob-nej. Sprawiało to niemal takie wrażenie, jakby ten Jack, z którym przeżyła sześć lat, nie wrócił poprzedniego wieczoru do domu, jakby jego miejsce zajął niesamowity sobowtór, którego nigdy nie pozna ani nie będzie całkowicie pewna.

— Czy mogłabyś zrobić coś dla mnie? Wyświadczyć mi uprzejmość?

— Jaką? — Musiała bardzo panować nad głosem, żeby nie zdradził drżenia.

— Porozmawiajmy o tym od dziś za tydzień. Jeżeli nadal będziesz chciała.

I ona się zgodziła. Nie poruszali tego tematu. Przez cały tydzień częściej niż

zwykle widywał się z Alem Shockleyem, wracał jednak do domu wcześniej i nie załatwiała od niego alkoholem. Wyobrażała sobie, że czuje ten zapach, ale wiedziała, że to nieprawda. Minał następny tydzień. I jeszcze jeden.

Sprawa rozwodu została wycofana bez głosowania.

Co się stało? Nadal była zdziwiona i nadal nie miała najmniejszego pojęcia. Ten temat stanowił dla nich tabu. On przypominał człowieka, który wyjrzał zza rogu i niespodziewanie zobaczył czyhającego potwora, przyczajonego wśród wyschłych kości dawnych ofiar. Trunki wciąż znajdowały się w szafce, ale ich nie tykał. Z dziesięć razy myślała, czyby ich nie wyrzucić, w końcu jednak zawsze odstępowała od tego zamiaru, jakby takim czynem mogła zdjąć nieznany urok.

I należało uwzględnić rolę, jaką odgrywał w tym Danny.

O ile miała wrażenie, że nie zna swojego męża, o tyle dziecko budziło w niej lęk — lęk w ścisłym znaczeniu tego słowa: jakiś nieokreślony zabobonny strach.

W lekkim półśnie ukazał się jej moment jego narodzin. Znów leżała na stole porodowym, złana potem, z włosami w strąkach i z rozchylonymi nogami w strzemionach

(i troszeczkę odurzona gazem, który wciąż dawali jej do wdychania; w pewnej chwili wymamrotała, że czuje się jak reklama zbiorowego gwałtu, co pielęgniarki, starej wydze asystującej przy tylu porodach, że te dzieci mogłyby zapełnić szkołę średnią, wydało się niesłychanie zabawne)

lekarz stał między jej nogami, pielęgniarka z boku, przygotowując instrumenty i nucąc. Ostre bóle chwytaly ją w coraz krótszych odstępach i kilka razy krzyknęła, choć było jej wstyd.

Potem lekarz dość surowo nakazał przenieść, więc parła, a następnie poczuła, że coś z niej wyjmują. Było to uczucie jasne i wyraźne, którego nigdy nie zapomni — uczucie, że coś z niej wyjmują. Z kolei doktor podniósł jej dziecko za nogi — dojrzała malutki ogonek i natychmiast poznała, że to chłopiec — a kiedy lekarz sięgnął po maskę tlenową, zobaczyła coś jeszcze, coś tak strasznego, że zdołała znów krzyknąć, choć wydawało jej się, że wyczerpała już siły do krzyku.

On nie ma twarzy!

Ale oczywiście była twarz, słodka buzia Danny'ego, a czepek okrywający ją przy urodzeniu spoczywał teraz w małym słoiczku, który Wendy przechowywała niemal wstydliwie. Nie podzielała dawnych przesądów, mimo to zachowała czepek. Nie wierzyła w babskie gadanie, lecz chłopczyk był od samego początku niezwykły. Nie wierzyła w dar jasnowidzenia, ale...

Czy tata miał wypadek? Śniło mi się, że tata miał wypadek.

Coś spowodowało jego przemianę. Nie wierzyła, że sama jej gotowość do poproszenia o rozwód. Przed tym porankiem coś się stało. Coś się stało, kiedy spała niespokojnie. Al Shockley powiedział, że nie stało się nic, absolutnie nic, lecz mówiąc to, odwrócił oczy, a jeśli wierzyć plotkom rozsiewanym przez nauczycieli, Al również nie zaglądał już do legendarnego kieliszka.

Czy tata miał wypadek?

Może jakieś przypadkowe zderzenie z fatum, na pewno nic konkretniejszego. Tego i następnego dnia o wiele uważniej niż zwykle przeczytała gazetę, lecz nie znalazła niczego, co mogłaby powiązać z Jackiem. Boże drogi, szukała wzmianki o potrąceniu kogoś przez samochód i o ucieczce kierowcy albo o burdzie barowej, w której ktoś doznał ciężkich obrażeń, albo... kto to wiedział? Kto chciał wiedzieć? Nie przyszedł jednak policjant, aby zadawać pytania, ani nie przyniósł nakazu zeszkobania resztek lakieru ze zderzaków volkswagena. Nie zdarzyło się nic. Tylko jej mąż wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, a rozespany syn zapytał po przebudzeniu: „Czy tata miał wypadek? Śniło mi się...”

Została z Jackiem bardziej ze względu na Danny'ego, niż gotowa była przyznać na jawie, ale teraz, w półśnie, mogła to zrobić. Danny prawie od samego początku Ignął do Jacka. Tak jak ona prawie od samego początku Ignęła do ojca. Nie pamiętała, żeby Danny choć raz wypluł mleko na koszulę Jacka. Jack potrafił go namówić do jedzenia, gdy ona, zniechęcona, dawała za wygraną, nawet w okresie ząbkowania, gdy malec gryzł z widocznym bólem. Kiedy Danny'ego bolał brzusek, ona musiała kołysać synka z godzinę, żeby się uspokoił: wystarczyło natomiast, żeby Jack wziął go na ręce i przespacerował się z nim dwa razy dookoła pokoju, a Danny zasypiał na ramieniu ojca z kciukiem wetkniętym do buzi w poczuciu bezpieczeństwa.

Jack chętnie zmieniał pieluchy, nawet te, które nazywał specjalnymi dostawami. Przesiadywał z Dannym po wiele godzin, podrzucając go na kolanach, bawiąc się z nim palcami, strojąc do niego miny, podczas gdy Danny łapał go za nos i zaśmiewał się do rozpuku. Jack przyrządzał pokarm i bezbłędnie podawał butelkę, a potem czekał do ostatniego beknięcia. Jadąc samochodem po papier, butelkę mleka czy gwoździe, zabierał ze sobą maleńkie jeszcze niemowlę. Kiedy Danny miał zaledwie pół roku, wziął go na mecz piłki nożnej między drużynami Stovington a Keene, Danny zaś do samego końca wysiedział bez ruchu na kolanach ojca owinięty kocem, z proporczykiem Stovington w tłustej piąstce.

Kochał matkę, ale ojca uwielbiał.

I czyż wielokrotnie nie wyczuwała, że pomysł rozwodu budzi w jej synu niemy sprzeciw? Roztrząsała tę kwestię w kuchni, obracała ją na wszystkie strony, tak jak obierane na kolację ziemniaki. A kiedy oglądała się do tyłu, Danny siedział ze skrzyżowanymi nogami na krześle kuchennym i wpatrywał się w nią wzrokiem zarówno przestraszonym, jak oskarżycielskim. Na spacerze w parku nagle chwycił ją za obie ręce i pytał niemal natarczywie: „Czy ty mnie kochasz? Czy kochasz tatę?” W odpowiedzi na to z zakłopotaniem kiwała głową albo mówiła: „Oczywiście że tak, skarbie”. Wtedy biegł do sadzawki i płoszył kaczki, które kwacząc i trzepocząc skrzydłami, uciekały w drugi jej koniec, przerażone zaciekłością ataku, a Wendy spoglądała za nim w zadumie.

Zdarzały się nawet chwile, kiedy jakby słabło postanowienie, że przynajmniej

poruszy z Jackiem tę sprawę, i to nie dlatego, że jej brakowało sił, ale dlatego, że syn był taki zdecydowany.

Nie wierzę w takie rzeczy.

We śnie jednak wierzyła i we śnie, z nasieniem męża zasychającym na jej udach, czuła, że ich trójka została zespolona na zawsze, że jeśli ta trójjedność ma ulec zniszczeniu, nie dokona go żadne z nich, lecz coś z zewnątrz. Prawie wszystko to, w co wierzyła, skupiało się wokół jej miłości do Jacka. Nigdy nie przestała go kochać, może tylko w tym ciemnym okresie natychmiast po „wypadku” Danny’ego. I kochała syna. Najbardziej kochała ich razem, kiedy chodzili, jeździli czy po prostu siedzieli, Jack z dużą, a Danny z małą głową przekrzywioną czujnie nad wachlarzem z kart, nad butelką coca-coli, którą wypijali do spótki, nad komiksami. Przepadała za ich obecnością i pokładała w Bogu nadzieję, że posada dozorcę hotelu, którą załatwił Jackowi Al, znów zapoczątkuje dobre czasy.

*I nowy wiatr powieje,
I smutki me rozwieje...*

Piosenka cicha, melodyjna i słodka powracała i rozbrzmiewała uparcie, podążała za nią w głąb snu, gdzie myśl ustaje, a twarze z widzeń sennych znikają nie zapamiętane.

Rozdział siódmy

W innej sypialni

Danny się zbudził z rozbrzmiewającym wciąż w uszach łoskotem i ochryłym pijackim głosem, który wykrzykiwał z wściekłością: „Chodź i zażyj swoje lekarstwo! Ja cię znajdę! Ja cię znajdę!”

Ale teraz łomotało mu tylko serce, a jedynym odgłosem wśród nocy było dalekie wycie syreny policyjnej.

Leżał w łóżku nieruchomo, obserwując cienie kołysanych wiatrem liści na suficie sypialni. Zwijaly się i splatały ze sobą na kształt winorośli i pnączy w jakiejś dżungli, podobne do wzorów na puszystym dywanie. Danny miał na sobie ciepłą piżamę, lecz między nią a skórą wytworzyła się ciasno przylegająca koszulka potu.

— Tony? — szepnął. — Jesteś?

Brak odpowiedzi.

Wyśliznął się z łóżka i w milczeniu powędrował do okna, przez które wyjrzał na ulicę Arapahoe, spokojną teraz i cichą. Była druga nad ranem. Nie widział nic prócz opustoszałych chodników, przysypanych zeschniętymi liśćmi, zaparkowanych samochodów i narożnej latarni na wprost stacji benzynowej. Nieruchoma latarnia, wygięta i osłonięta od góry, przypominała potwora z filmu o przybyszach z innej planety.

Popatrzył na lewo i prawo, usiłując dojrzeć małą figurkę Tony’ego, machającego mu ręką, lecz na ulicy nie było nikogo.

Wiatr wzdychał w koronach drzew, opadłe liście szeleściły na wyludnionych chodnikach, zataczały kręgi przy kołach zaparkowanych samochodów. Odgłos ten był cichy i smętny i chłopiec pomyślał, że może on jeden w Boulder słyszy go, bo nie śpi. A przynajmniej on jeden spośród ludzi. Nie sposób bowiem odgadnąć, co jeszcze błąka się po nocy, zgłodniałe skrada się w mrokach, wypatruje i węszy.

Ja cię znajdę! Ja cię znajdę!

— Tony? — szepnął ponownie, choć bez większej nadziei.

Odpowiedział mu tylko wiatr, tym razem silniejszym podmuchem rozrzucając liście na pochyłości dachu pod oknem. Kilka z nich zsunęło się do rynny, gdzie spoczęły niczym strudzeni tancerze.

Danny... Dannee...

Drgnął na dźwięk znajomego głosu i wychylił się na zewnątrz, wsparty rękami o parapet. Na wołanie Tony'ego cała noc jak gdyby ożyła, potajemnie i bez słów, rozszepiała się, mimo iż wiatr znów ucichł i ustał szelest liści, cienie zaś znieruchomiały. Wydało mu się, że mrok gęstnieje koło przystanku autobusowego na następnym rogu, ale trudno było powiedzieć, czy jest to coś rzeczywistego, czy też złudzenie optyczne.

Nie jedź, Danny.

Nowy podmuch wiatru zmusił go do zmruczenia oczu, a cień zniknął spod przystanku autobusowego... jeśli w ogóle kiedyś się tam znajdował. Danny powstał przy oknie

(minutę? godzinę?)

jeszcze trochę, ale nie wydarzyło się nic więcej. W końcu wdrapał się z powrotem na łóżko i, podciągnawszy pod brodę koce, patrzył, jak cienie rzucane przez odrażającą latarnię przekształcają się w płataninę pnączy, w dżunglę pełną mięsożernych roślin, które pragną tylko owinać się wokół niego, wycisnąć z niego życie i pociągnąć go za sobą w czarną otchłań, gdzie błyska czerwienią jedno groźne słowo:

REDRUM.

CZEŚĆ II
Ostatni dzień

Rozdział ósmy

Widok panoramy

Mama była zmartwiona.

Bała się, że garbus nie wytrzyma tej jazdy pod górę i z góry, że utkną gdzieś na poboczu i ktoś potrąci ich w pędzie. Danny zdradzał więcej optymizmu; jeśli, zdaniem taty, garbus wytrzyma tę ostatnią podróż, to chyba nie należy w to wątpić.

— Jesteśmy prawie na miejscu — powiedział Jack.

Wendy odgarnęła włosy ze skroni.

— Bogu dzięki.

Siedziała po prawej stronie kierowcy, z otwartą książką Wiktorii Holt na kolanach, leżącą grzbietem do góry. Miała na sobie niebieską sukienkę, tę, która najbardziej się podobała Danny'emu, z marynarskim kołnierzem. Wyglądała w niej bardzo młodzieńczo, jak dziewczyna kończąca szkołę średnią. Tata wciąż kładł mamie rękę na udzie, a ona strącała ją ze śmiechem i mówiła: zabieraj się, zjeżdżaj.

Góry zrobiły na Dannym wrażenie. Kiedyś tata zabrał ich w tamte góry koło Boulder, zwane Żelazkowymi, te jednak wznosiły się znacznie wyżej, a najwyższe przyprószone były śniegiem, który często, jak powiedział tata, leży tam przez cały rok.

I rzeczywiście znajdowali się w samych górach, wcale ich nie omijali. Zewsząd otaczały samochód prostopadłe ściany skalne, tak wysokie, że nawet wytknąwszy głowę przez okno trudno było zobaczyć, gdzie się kończą. Kiedy wyjeżdżali z Boulder, temperatura wynosiła dobrze ponad dwadzieścia stopni. Teraz, tuż po dwunastej, tutejsze rzeńskie powietrze tchnęło takim chłodem jak w Vermont w listopadzie i tata włączył ogrzewanie... co nie znaczy, że dobrze działało. Minęli kilka tablic z ostrzeżeniami, że na szosę spadają kamienie (mama kolejno odczytywała je tacie), a chociaż Danny palił się, żeby to zobaczyć, nie widział ani jednego spadającego kamienia. Przynajmniej na razie.

Pół godziny wcześniej minęli jeszcze inny napis, bardzo ważny w przekonaniu taty. Głosił on: „Wjazd na przełęcz Sidewinder”, i tata wyjaśnił, że tylko tu do-

cierają w zimie pługi śnieżne. Dalej robi się zbyt stromo. W zimie od miasteczka Sidewinder, przez które przejechali, nim ujrzeni tablicę, aż do Buckland w stanie Utah droga jest zamknięta.

Mijali kolejną tablicę.

— A co tu jest napisane, mamó?

— Żeby wolniejsze pojazdy korzystały z prawego pasa. To znaczy nasz.

— Garbus da sobie radę — powiedział Danny.

— Nie zapieszaj. — Mama skrzyżowała palce.

Danny spuścił wzrok i w wycięciu jej pantofli zobaczył skrzyżowane również palce u nóg. Zachichotał. Odwzajemniła uśmiech, ale wiedział, że nadal się martwi.

Droga wiła się wciąż pod górę łagodnymi esowatymi zakrętami i Jack zredukował bieg z czwórki na trójkę, potem na dwójkę. Garbus rzeził i protestował, a Wendy nie spuszczała oka ze wskazówki szybkościomierza, która z czterdziestu przesunęła się na trzydzieści, później zaś na dwadzieścia.

— Pompa paliwowa. . . — zaczęła nieśmiało.

— Pompa paliwowa wytrzyma jeszcze trzy mile — uciął Jack.

Z prawej strony ściana skalna się cofnęła, odsłaniając zadrzewioną dolinę, która zdawała się opadać w dół bez końca, wyścielona ciemną zielenią miejscowych sosen i świerków. Poniżej sosen widać było szare skalne urwisko wysokości kilkuset stóp i dopiero pod nim teren bardziej płaski. Wendy dostrzegła wodospad przelewający się przez jedną ze skał i rozmigotane w nim promienie popołudniowego słońca, podobne do złotych rybek uwieczonych w błękitnej sieci. Były to góry piękne, ale i surowe. Sądziła, że takie góry wybaczą niewiele pomyłek. Złe przeczucie ścisnęło ją za gardło. Dalej na zachód, w górach Sierra Nevada, Donnerowie ze swym towarzystwem, utknąwszy w śniegach, ratowali się przed śmiercią, zjadając ludzkie mięso. Góry wybaczą niewiele pomyłek.

Jack silnie nadusił sprzęgło i z szarpnięciem zmienił bieg na pierwszy. Mozolnie, z dzielnym warkotem pięli się pod górę.

— Wiesz — zauważyła — wydaje mi się, że odkąd przejechaliśmy przez Sidewinder, nie widzieliśmy nawet pięciu samochodów. A jednym z nich była hotelowa limuzyna.

Jack skinął głową.

— Ona jeździ prosto na lotnisko Stapleton w Denver. Powyżej hotelu niektóre odcinki drogi są już oblodzone, jak powiada Watson, i na jutro zapowiadają wysoko w górach większe opady śniegu. Każdy, kto tędy teraz przejeżdża, woli na wszelki wypadek znajdować się na jednej z głównych szos. Żeby tylko ten cholerny Ullman jeszcze tam był. Chyba będzie.

— Jesteś pewien, że spiżarnia została dobrze zaopatrzona? — spytała, nie przestając myśleć o Donnerach.

— Tak mówił. Chciał, żeby Hallorann ci ją pokazał. Hallorann to kucharz.

— Och — powiedziała cicho, spoglądając na szybkościomierz.

Wskaźówka przesunęła się z piętnastu na dziesięć mil na godzinę.

— Tam jest szczyt. — Jack wskazał zakręt oddalony o trzysta jardów. — Z tego punktu widokowego można zobaczyć Panorame. Zamierzam zjechać na bok, żeby garbus mógł odsapnąć. — Odwrócił się do Danny'ego, który siedział z tyłu na złożonych kocach. — Jak myślisz, stary, może zobaczymy jelenie? Albo karibu?

— Pewnie, tato.

Volkswagen z wysiłkiem wspinał się coraz wyżej. Wskaźówka szybkościomierza zbliżała się już do kreski oznaczającej prędkość pięciu mil na godzinę i zaczynała się zatrzymywać, kiedy Jack zjechał z drogi,

(Co to za znak, mamó? — Punkt widokowy — przeczytała posłusznie.)
nadepnął na hamulec, włączył luz.

— Chodźcie — rzekł i wysiadł. Razem podeszli do balustrady.

— Oto ona. — Jack wyciągnął rękę do góry, w lewo.

Dla Wendy równało się to odkryciu prawdy w wyświechtanym frazesie: dech jej zaparło. Przez chwilę nie mogła w ogóle oddychać; zatkało ją na ten widok. Stali prawie na szczycie jednej z gór. Na wprost — kto wie, jak daleko — strzelała w niebo jeszcze wyższa góra, a jej poszarpany wierzchołek — zaledwie zarys — otaczała teraz aureola zachodzącego słońca. Pod nimi rozpościerało się całe dno doliny, stoki zaś, na które z mozołem wspinali się w garbusie, opadały w sposób tak zawrotnie nagły, że zbyt długie patrzenie w dół, jak wiedziała, wywołałoby mdłości i w końcu wymioty. W przejrzystym powietrzu wyobrażenia jakby nagle budziła się do życia i wymykała spod władzy rozumu, toteż osoba patrząca obserwowała bezradnie, jak sama spada coraz niżej i niżej, podczas gdy niebo i stoki zmieniają swe położenie, kręcąc powoli młynki, krzyk wypływa z ust niczym leniwy balonik, włosy i sukienka wydymają się...

Niemal siłą oderwała wzrok od przepaści i podążyła oczami za palcem Jacka. Widziała szosę uczeponą tej wieży katedralnej, widziała, jak szosa zawraca, lecz ustawicznie zmierza na północny zachód, nadal pnie się w górę, choć pod mniej ostrym kątem. Jeszcze wyżej, jakby wetknięte bezpośrednio w sam stok, trzymające się kurczowo sosny rozstępowały się i robiły miejsce dla szerokiego prostokąta zielonej trawy i stojącego pośrodku, ponad tym wszystkim, hotelu. Hotelu Panorama. Na jego widok Wendy odzyskała dech i głos.

— Och, Jack, to cudowne!

— Tak, rzeczywiście — przyznał. — Zdaniem Ullmana, jest to jedyny tak pięknie położony budynek w Ameryce. Nie przepadam za facetem, ale sądzę, że może mieć... Danny! Danny, nic ci nie jest?

Obejrzała się i raptowny strach o małego przysłonił wszystko inne, obojętne jak bardzo niezwykle. Rzuciła się w stronę syna. Uczepony balustrady, patrzył w górę na hotel z poszarzałą, ziemistą twarzą, oczami zmętniałymi, jakby za

chwilę miał zemdleć.

Uklękła przy nim i położyła mu dłonie na ramionach uspokajającym gestem.

— Danny, co się...

Jack ukląkł obok.

— Dobrze się czujesz, Danny? — Szybko potrząsnął chłopcem, którego oczy nabrały wyrazu.

— Nic mi nie jest, tato. Czuję się doskonale.

— Co to było, Danny? — spytała. — Zakręciło ci się w głowie, złotko?

— Nie. Ja tylko... myślałem. Przepraszam. Nie chciałem was nastraszyć. — Spojrzał na klęczących przed nim rodziców i obdarzył ich zakłopotanym uśmiechem. — Może to wina słońca. Raziło mnie w oczy.

— Jedziemy do hotelu. Napijesz się tam wody — powiedział ojciec.

— Dobrze.

W samochodzie, pewniej teraz sunącym po mniejszej stromiźnie, Danny wciąż wyglądał między głowami rodziców i na zakrętach migąła mu czasami Panorama, z odbłaskiem słońca w zachodnich oknach. To ten budynek widział pośród śnieżycy, ciemny, rozbrzmiewający łoskotem. Tam jakaś obrzydliwie znajoma postać szukała go w długich korytarzach wyścielonych dzunglowym chodnikiem. Przed tym hotelem przestrzegął go Tony. To było tutaj. Tutaj. Niezależnie od tego, czym było Redrum, tu się znajdowało.

Rozdział dziewiąty

Ostatni goście

Ullman czekał na nich zaraz za staroświeckimi, szerokimi drzwiami frontowymi. Uścisnął dłoń Jackowi, powitał Wendy chłodnym skinieniem głowy, może dlatego, że zauważył, jak goście się odwracali, kiedy wchodziła do holu, ze złotymi włosami rozsypanymi na ramionach, w prostej sukience z marynarskim kołnierzem, sięgającej skromnie dwa cale powyżej kolan, co jednak wystarczało, aby stwierdzić, że ma ładne nogi.

Naprawdę serdecznie odnosił się Ullman chyba tylko do Danny'ego, ale Wendy to nie zaskoczyło. Danny zapewne podobał się ludziom, którzy na ogół podzielali opinię W. C. Fielda o dzieciach. Ullman pochylił się lekko i podał Danny'emu rękę. Danny uścisnął ją oficjalnie, bez uśmiechu.

— Mój syn Danny — przedstawił go Jack. — I moja żona Winifreda.

— Miło mi poznać was oboje — odparł Ullman. — Ile masz lat, Danny?

— Pięć, proszę pana.

— Jeszcze i „proszę pana”. — Ullman uśmiechnął się i spojrzał na Jacka. — Jaki dobrze wychowany!

— Naturalnie — przytaknął Jack.

— A to pani Torrance. — Ullman złożył ten sam lekki ukłon i w chwilowym oszołomieniu Wendy myślała, że pocałuje ją w rękę. Z wahaniem wyciągnęła dłoń, którą on ujął na krótki moment w obie małe, suche, gładkie — i jak domyślała się Wendy, pudrowane — dłonie.

W hotelu panował ruch. Prawie wszystkie staroświeckie fotele z wysokimi oparciami były pozajmowane. Chłopcy hotelowi wchodzili i wychodzili z walizkami, a przy kontuarze, nad którym dominowała duża mosiężna kasa rejestrująca, ustawiła się kolejka. Nalepki na kasie informujące, że przyjmuje się tu karty kredytowe Bank American i Master Charge, raziły nowoczesnością.

Na prawo, po stronie wysokich dwuskrzydłowych drzwi, zamkniętych i zagrodzonych liną, znajdował się staroświecki kominek, na którym płonęły teraz brzozone polana. Trzy zakonnice siedziały na kanapie przy samym prawie palenisku.

Pograżone w rozmowie i uśmiechnięte, czekały ze spiętrzonymi po obu stronach kanapki torbami, aż zmaleje kolejka do kasy. Na oczach Wendy wybuchnęły perlistym dziewczęcym śmiechem. Poczwała, że i jej usta rozchylają się w uśmiechu; każda z zakonnice musiała mieć powyżej sześćdziesiątki.

W głębi rozbrzmiewał nieustanny szmer rozmów, stłumione brzęczenie platerowanego dzwonka przy kasie, kiedy potrząsał nim jeden z dwóch recepcjonistów, i z lekka zniecierpliwione wołanie: „Proszę przesunąć się do przodu!” Ożyły w niej wyraźne, ciepłe wspomnienia miesiąca miodowego, który spędziła z Jackiem w nowojorskim hotelu Beekman Tower. Po raz pierwszy pozwoliła sobie uwierzyć, że może właśnie tego ich trójce potrzeba: okresu spędzonego razem z dala od świata, jakby rodzinnego miodowego miesiąca. Z czułością uśmiechnęła się do Danny’ego, bezwstydnie pożerającego wszystko oczami. Jeszcze jedna limuzyna, szara jak kamizelka bankiera, zajechała przed hotel.

— Ostatni dzień w sezonie — mówił Ullman do Jacka. — Zawsze gorączkowy. Spodziewałem się państwa raczej około trzeciej.

— Chciałem dać volkswagenowi trochę czasu na ewentualne załamanie nerwowe — odparł Jack. — Ale go nie miał.

— Co za szczęście — powiedział Ullman. — Zamierzam oprowadzić waszą trójkę po hotelu nieco później, no i oczywiście Dick Hallorann pragnie pokazać pani Torrance kuchnię Panoramy. Ale obawiam się...

Jeden z urzędników podszedł i niemal pociągnął go za włosy.

— Przepraszam pana...

— O co chodzi?

— O panią Brant — odparł urzędnik z niewyraźną miną.

— Chce uregulować rachunek jedynie kartą kredytową American Express. Powiedziałem jej, że przestaliśmy przyjmować American Express pod koniec ubiegłego sezonu, ale ona nie... — Przeniósł wzrok na rodzinę Torrance’ów i znów na Ullmana, który wzruszył ramionami.

— Ja się tym zajmę.

— Dziękuję panu. — Recepcjonista wrócił za ladę, przy której kobieta jak okręt pancerny, owinięta długim futrem i czymś, co przypominało czarne boa z piór, protestowała hałaśliwie.

— Przyjeżdżam do Panoramy od roku pięćdziesiątego piątego — mówiła do uśmiechniętego obojętnie urzędnika. — Nie przestałam przyjeżdżać nawet po tym, jak mój drugi mąż zmarł na udar na tym niezdolnym boisku do roque’a. Mówiłam mu, że tego dnia słońce zanadto przypieka... i nigdy... powtarzam: nigdy... nie płaciłam inaczej, jak tylko kartą kredytową American Express. Jeśli pan chce, może pan wezwać policję! Niech mnie stąd wywloką! I tak nie zgodzę się zapłacić inaczej, jak tylko kartą kredytową American Express. Powtarzam...

— Przepraszam państwa — powiedział Ullman.

Patrzyli, jak idzie przez hol, z szacunkiem dotyka łokcia pani Brant, rozkłada ręce i kiwa głową, słuchając skierowanej teraz do niego tyrady. Słuchał ze zrozumieniem, znów skinął głową i z kolei sam coś powiedział. Pani Brant z triumfalnym uśmiechem odwróciła się do nieszczęsnego recepcjonisty i oznajmiła głośno:

— Bogu dzięki, jest w tym hotelu jeden pracownik, który się nie stał zupełnym filistrem!

Pozwoliła, aby Ullman, sięgający zaledwie do szerokich ramion jej futra, ujął ją pod rękę i poprowadził w głąb, zapewne do swego gabinetu.

— Ho, ho! — zauważyła, uśmiechając się Wendy. — Ten galant wie, jak zarabiać pieniądze.

— Ale jemu ta pani się nie podobała — wtrącił natychmiast Danny. — Udawał tylko, że mu się podoba.

Jack z wysoka przesłał mu uśmiech.

— Niewątpliwie to prawda, stary. Ale pochlebstwem niejedno da się na świecie załatwić.

— Co to jest pochlebstwo?

— Pochlebstwo polega na tym — wyjaśniła Wendy — że tata mówi: podobają mi się twoje nowe żółte spodnie, choć wcale mu się nie podobają, albo mówi, że nie muszę zrzucić pięciu funtów.

— O. Czy to jest kłamstwo dla żartu?

— Coś bardzo podobnego.

Przyjrzał się jej uważnie, po czym powiedział:

— Jesteś ładna, mamó. — Zmarszczył brwi zmieszany, kiedy rodzice wymie-nili spojrzenia i wybuchnęli śmiechem.

— Ullman nie bawił się ze mną w pochlebstwa — oświadczył Jack. — Chodźcie pod okno, wy dwoje. Pośrodku holu zwracam na siebie uwagę w tej drelichowej kurtce. Jak Boga kocham, nie podejrzewałem, że ostatniego dnia będą tu takie tłumy. Widocznie się omyliłem.

— Wyglądasz bardzo dobrze — powiedziała Wendy i znów się roześmiali, a Wendy zakryła usta dłonią. Danny nadal nic nie rozumiał, lecz było dobrze. Oni się kochali. Pomyślał, że ten hotel przypomina jej inne miejsce, gdzie się czuła szczęśliwa. Chciałby, żeby i jemu podobała się Panorama, powtarzał sobie jednak w kółko, że nie zawsze to, co pokazywał mu Tony, zdarzało się naprawdę. Będzie uważał. Będzie wypatrywał czegoś, co się nazywa Redrum. Ale nic nie powie, jeśli nie zostanie do tego bezwzględnie zmuszony. Ponieważ są szczęśliwi, śmieją się i nie mają żadnych złych myśli.

— Spójrz na ten widok — odezwał się Jack.

— Och, jest wspaniały! Popatrz, Danny!

Danny'emu widok nie wydawał się szczególnie wspaniały. Nie lubił wielkich wysokości; przyprawiały go o zawrót głowy. Za szeroką frontową werandą, ciągnącą się wzdłuż całego hotelu, pięknie utrzymany trawnik (na prawo był traw-

nik z dołkami do gry w golfa) opadał łagodnie w stronę długiego, prostokątnego basenu. Na jednym końcu basenu umieszczono na małym trójnogu napis: „Nieczynny”. Danny potrafił odczytać go sam, podobnie jak napis „Stop”, „Wyjście”, „Pizza” i parę innych.

Za basenem zwirowana ścieżka wiła się wśród niskich sosen, świerków i osik. Tutaj widniał mały napis, którego Danny nie rozumiał: „Roque”. A pod nim strzałka.

— Co to takiego r-o-q-u-e, tato?

— Gra — odparł ojciec. — Trochę podobna do krokieta, ale boisko do niej jest zwirowane, nie porośnięte trawą, a boki ma jak duży stół bilardowy. To bardzo stara gra, Danny. Czasami urządzają tutaj turnieje.

— Czy gra się w to młotkiem do krokieta?

— Podobnym — przyznał Jack. — Tylko trzonek ma nieco krótszy, a obuch inny z każdej strony. Z jednej to twarda guma, z drugiej drewno.

(Wychodź, ty mały gówniarzu!)

— Wymawia się „rouk” — ciągnął tata. — Nauczę cię grać, jak zechcesz.

— Może. — Słyszac dziwnie bezbarwny głosik Danny’ego, rodzice wymienili nad jego głową zakłopotane spojrzenia. — Nie wiadomo, czy mi się ta gra spodoba.

— No cóż, stary, jak ci się nie spodoba, nikt cię nie będzie zmuszał. Zgoda?

— Tak.

— Podobają ci się te zwierzęta? — zapytała Wendy. — Wycięto je z żywopłotu.

Za ścieżką prowadzącą na boisko do roque’a rósł żywopłot, przyszyty tak, że przypominał rozmaite zwierzęta. Bystre oczy Danny’ego rozróżniły królika, psa, konia, krowę i trójkę większych zwierząt, podobnych do baraszkujących lwów.

— To przez te zwierzęta wujek Al pomyślał o mnie w związku z tą pracą — wyjaśnił Danny’emu Jack. — Wiedział, że za czasów studenckich pracowałem w spółce architektów zieleni. To taka firma, która różnym ludziom pielęgnuje trawniki, krzewy i żywopłoty. Ja strzygłem żywopłot jednej pani.

Wendy podniosła rękę do ust i zachichotała. Patrzac na nią, Jack powiedział:

— Tak, strzygłem jej żywopłot co najmniej raz w tygodniu.

— Zabieraj się, zjeżdżaj — powiedziała Wendy i znów zachichotała.

— Czy ona miała ładne żywopłoty, tato? — spytał Danny, na co oboje o mało nie ryknęli śmiechem.

Wendy śmiała się tak serdecznie, że łzy spływały jej po policzkach i musiała wyjąć z torebki ligninową chusteczkę.

— Wycinało się z nich nie zwierzęta, Danny — odparł Jack, kiedy odzyskał panowanie nad sobą — ale karty do gry. Piki, kiery, trefle i kara. Żywopłot jednak rośnie, rozumiesz. . .

(Rośnie, powiedział Watson... nie, nie żywopłot, tylko ciśnienie. Musi pan stale je sprawdzać, bo inaczej ocknie się pan z całą rodziną na pieprzonym Księżycu.)

Popatrzyli na niego zaskoczeni. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Tato? — spytał Danny.

Jack zamrugał oczami, jakby powracał z bardzo daleka.

— Rośnie, Danny, i traci kształt. Więc będę musiał go strzyc raz czy dwa razy na tydzień, dopóki nie zrobi się tak zimno, że przestanie rosnać.

Plac zabaw znajdował się za żywopłotem. Dwie zjeżdżalnie, kilka huśtawek obok siebie, zawieszonych na różnych wysokościach, drabinki, tunel z betonowych pierścieni, piaskownica i dom do zabawy będący dokładną kopią Panoramy.

— Podoba ci się, Danny? — zapytała Wendy.

— No pewnie — odparł z nadzieją, że zdradza większy entuzjazm, niż naprawdę odczuwa. — Jest ładny.

Za placem zabaw znajdowało się niepozorne siatkowe ogrodzenie, a dalej prowadzący do hotelu szeroki podjazd o nawierzchni tłuczniowej, za którym rozplywała się w jasnoniebieskiej południowej mgiełce dolina. Danny nie znał słowa „odosobnienie”, lecz gdyby mu je wytłumaczono, chętnie by go używał. Daleko w dole, podobna do długiego czarnego węża, który postanowił się zdrzemnąć na słońcu, wiała się droga prowadząca przez przełęcz Sidewinder do Boulder. Ta droga przez całą zimę będzie zamknięta. Na myśl o tym Danny poczuł lekkie dławienie w gardle i o mało nie podskoczył, kiedy ojciec położył mu rękę na ramieniu.

— Jak tylko będę mógł, przyniosę ci coś do picia, stary. Teraz są tu dość zajęci.

— Dobra, tato.

Pani Brant wyszła z biura na zapleczu z miną osoby, która dowiodła swojej racji. W parę sekund później podążyli za nią dwaj chłopcy taszczący osiem walizek i próbujący dotrzymać jej kroku w tym triumfalnym wymarszu za drzwi. Danny patrzył przez okno, jak mężczyzna w szarej liberii i niby-oficerskiej czapce zajeżdża pod drzwi jej długim srebrzystym samochodem, po czym wysiada. Na widok pani Brant lekko dotknął czapki i pobiegł do tyłu, aby otworzyć bagażnik.

W jednym z tych przeblysków, jakie czasami miewał, Danny pochwycił całą jej myśl unoszącą się nad beładnym, stłumionym szmerem uczuć i barw, który zazwyczaj odbierał w zatłoczonych miejscach.

(Chciałabym wskoczyć w jego spodnie!)

Danny ze zmarszczką na czole obserwował chłopców układających walizki w bagażniku. Pani Brant dość surowym spojrzeniem obrzucała mężczyznę w szarej liberii, zajętego doglądaniem załadunku. Dlaczego miałyby pragnąć jego spodni? Czy zmarzła w tym długim futrze? A skoro jest jej tak zimno, to czemu nie włożyła po prostu własnych spodni? Jego mama nosi spodnie prawie całą zimę.

Mężczyzna w szarej liberii zamknął bagażnik i przeszedł do przodu, żeby pomóc jej wsiąść do wozu. Danny pilnie się przypatrywał, ciekaw, czy ona powie coś o spodniach, ale tylko się uśmiechnęła i dała mężczyźnie dolara napiwku. W chwilę później odjeżdżała już dużym srebrzystym samochodem.

Zamierzał spytać matkę, dlaczego pani Brant miałyby chcieć tych spodni, ale się rozmyślił. Niekiedy można było narobić sobie pytaniami mnóstwo kłopotów. Już mu się to przedtem zdarzało.

Więc zamiast pytać wcisnął się między rodziców na kanapkę, na której siedzieli, patrząc, jak goście regulują przy ladzie rachunki. Choć go cieszyło, że mama i tata są szczęśliwi i że się kochają, nie umiał stłumić lekkiego niepokoju. Po prostu nie umiał.

Rozdział dziesiąty

Hallorann

Kucharz nie odpowiadał wyobrażeniom Wendy o typowym pracowniku kuchni hotelowej. Po pierwsze, kogoś takiego nazywa się szefem, a nie przyziemnym mianem kucharza — kucharzyła ona u siebie w mieszkaniu, kiedy wrzucała resztki mięsa do żaroodpornego rondla wysmarowanego tłuszczem i dodawała do tego klusek. Po drugie mistrz kulinarny w takim letnisku jak Panorama, reklamującym się w specjalnej rubryce nowojorskiego „Sunday Timesa”, powinien być niski, okrągły, pyzaty; powinien mieć cieniutki wąsik, niczym gwiazdor komedii muzycznej z lat czterdziestych, ciemne oczy, francuski akcent i nieprzyjemny sposób bycia.

Hallorann miał tylko ciemne oczy, nic więcej. Był wysokim Murzynem z umiarkowanie skręconymi włosami, lekko przyprószonymi siwizną. Mówił z miękkim akcentem południowca i często wybuchał śmiechem, pokazując zęby tak równe i białe, że mogły być tylko protezami od Searsa i Roebucka, rocznik 1950. Ojciec Wendy też miał takie protezy. Nazywał je roebuckerami i od czasu do czasu wypychał przy kolacji językiem, robiąc śmieszny minę... zawsze, jak sobie teraz przypominała, kiedy matka wychodziła po coś do kuchni albo do telefonu.

Danny popatrzył w górę na czarnego olbrzyma w granatowym sukiennym ubraniu, po czym się uśmiechnął, gdy Hallorann bez wysiłku dźwignął go i posadził sobie w zagięciu łokcia ze słowami:

- Nie zostaniesz tu na całą zimę.
- Ależ tak, zostanę — odparł Danny z nieśmiałym uśmiechem.
- Nie, pojedziesz ze mną do St. Pete, będziesz się uczył gotowania i co wieczór chodził na plażę wypatrywać krabów. Zgoda?

Danny zachichotał zachwycony i pokręcił głową. Hallorann postawił go na podłodze.

— Jeśli masz zamiar zmienić zdanie — rzekł, nachylając się nad chłopcem z powagą — zrób to czym prędzej. Za pół godziny będę już siedział w samo-

chodzie. Dwie i pół godziny później będę siedział przy wyjściu numer 32 w hali B międzynarodowego lotniska Stapleton w położonym na wysokości jednej mili mieście Denver, stan Kolorado. Za następne trzy godziny wynajmę samochód na lotnisku Miami i ruszę do słonecznego St. Pete; nie mogę się doczekać chwili, kiedy wskoczę w kąpielówki. Będę się śmiał w kułak z każdego, kto utknie w śniegu. Kapujesz, mały?

— Tak, proszę pana — odpowiedział Danny z uśmiechem.

Hallorann zwrócił się do Jacka i Wendy:

— Fajny chłopak.

— Też tak uważamy. — Jack podał Hallorannowi rękę.

— Jestem Jack Torrance. Moja żona Winifreda. Danny'ego już pan poznał.

— Cała przyjemność po mojej stronie. Czy nazywają panią Winnie, czy Freddie?

— Wołają mnie Wendy — rzekła uśmiechnięta.

— Doskonale, to chyba lepsze zdrobnienie. Proszę tędy. Pan Ullman życzył sobie, żeby was oprowadzić, więc zostaniecie oprowadzeni. — Potrząsnął głową i dorzucił szeptem:

— A ja z radością stracę go z oczu.

Później rozpoczął oprowadzanie po największej kuchni, jaką Wendy w życiu widziała. Lśniło tu od czystości. Każdą powierzchnię wypucowano aż do blasku. Niezależnie od rozmiarów kuchnia wprawiała w onieśmienie. Wendy szła u boku Halloranna, a Jack, całkiem nie w swoim żywiole, ociągał się z tyłu wraz z Dannym. Koło czterokomorowego zlewozmywaka, na długiej płycie ściennej, wisiały przybory do cięcia, począwszy od noży do obierania, a na oburęcznych toporach rzeźniczych skończywszy. Deska do krajania chleba była tak duża jak stół kuchenny w ich mieszkaniu w Boulder. Zdumiewający zestaw patelni i garnków z nierdzewnej stali zajmował całą jedną ścianę, od podłogi do sufitu.

— Wydaje mi się, że ilekroć wejdę do tej kuchni, będę musiała zostawiać ślad z okruszyn chleba — powiedziała Wendy.

— Proszę nic sobie z niej nie robić — rzekł Hallorann. — Jest duża, ale przecież to tylko kuchnia. Prawie żadnej z tych rzeczy nie będzie pani musiała nawet dotknąć. O jedno proszę, o zachowanie czystości. Tu jest kuchenka, której ja bym na pani miejscu używał. W sumie mamy trzy, ta jest najmniejsza.

Najmniejsza, pomyślała smętnie Wendy, przyglądając się kuchence. Oprócz dwunastu palników miała dwa zwyczajne piekarniki i jeden specjalny, ponadto podgrzewany zbiornik na wierzchu do gotowania na wolnym ogniu sosów albo prażenia fasoli, ruszt i podgrzewacz, a na dodatek milion zegarów i przyrządów do mierzenia temperatury.

— Wszystko na gaz — objaśnił Hallorann. — Gotowałaś już kiedyś na gazie, Wendy?

— Tak...

— Ja strasznie lubię gaz. — Odkręcił jeden z palników. Żywo rozbłysł niebieski płomyk, po czym Hallorann delikatnie go zmniejszył. — Lubię widzieć płomień, na którym gotuję. Tu masz wszystkie kurki.

— Tak.

— Zegary piekarników są oznaczone. Osobiście najbardziej lubię piekarnik środkowy, bo chyba najrówniej grzeje, ale możesz używać, którego zechcesz, a właściwie wszystkich trzech.

— W każdym obiad z telewizyjnej reklamy. — Wendy roześmiała się niepewnie.

Hallorann ryknął śmiechem.

— Proszę bardzo, jeśli masz ochotę. Nad zlewozmywakiem zostawiłem wykaz wszystkiego, co jadalne. Widzisz?

— Jest tutaj, mamó! — Danny przyniósł dwie kartki gęsto zapisane po obu stronach.

— Grzeczny chłopiec. — Hallorann wziął od niego listę, wichrząc mu włosy. — Na pewno nie chcesz pojechać ze mną na Florydę, mały? I nauczyć się gotowania najpyszniejszych pod słońcem krewetek w pikantym sosie?

Danny zasłonił usta rękami i z chichotem wycofał się bliżej ojca.

— Przypuszczam, że we trójkę moglibyście się tu objadać przez rok — powiedział Hallorann. — Mamy zimną spiżarnię, zamrażalnię, najróżniejsze chłodnie do przechowywania warzyw i dwie lodówki. Chodźcie, to wam pokażę.

Przez następne dziesięć minut Hallorann unosił wieka i otwierał drzwiczki, pokazując takie ilości jedzenia, jakich Wendy jeszcze nie widziała. Te zapasy ją zdumiały, lecz nie uspokoiły jej tak bardzo, jak mogłaby się spodziewać: powracała myślami do Donnerów i ich towarzystwa, nie z uwagi na kanibalizm (przy tych masach żywności istotnie nieprędko zostaliby skazani na zjedanie chudych kasków, jakimi byli sami), ale dlatego, że sprawa zaczynała jej się teraz przedstawiać naprawdę poważnie: kiedy spadnie śnieg, wydostanie się stąd będzie wymagało czegoś więcej niż godzinna jazda do Sidewinder; zamieni się to w poważne przedsięwzięcie. Będą tu siedzieli w tym wielkim pustym hotelu, zjadali pozostawione im zapasy, niczym postacie z bajki, i słuchali zawodzenia wiatru pod ośnieżonymi okapami. W Vermont, kiedy Danny złamał rękę (kiedy Jack złamał Danny'emu rękę), wezwała pogotowie, nakręciwszy numer przyczepiony na kartce do telefonu. Pomoc lekarska zjawiła się w domu zaledwie po dziesięciu minutach. Na tej kartce wypisane były i inne numery. W pięć minut po wezwaniu zjawiłby się wóz policyjny, a strażacy jeszcze szybciej, bo remiza znajdowała się na sąsiedniej ulicy, o trzy przecznice dalej. Można było wezwać kogoś, kiedy zgasało światło, kogoś innego, kiedy popsuł się prysznic, i jeszcze kogoś, gdy nawalił telewizor. Ale co by się stało tu, w górach, gdyby Danny w jednym ze swoich omdleń połknął język?

(O Boże, co za myśl!)

Co by się stało, gdyby wybuchł pożar? Gdyby Jack wpadł do szybu windy i doznał pęknięcia czaszki? Gdyby?...

(Gdyby się okazało, że jest nam świetnie, daj spokój, Winifredo!)

Hallorann wprowadził ich najpierw do dużej zamrażalni, gdzie para buchająca z ust tworzyła dymki jak w komiksach. Tutaj wydawało się, że już jest zima.

Mielona wołowina w dużych plastikowych torbach, po dziesięć funtów w każdej, tuzin takich toreb. Czterdzieści całych kurcząt wisiało rzędem na hakach wbitych w oszalowane ściany. Dwanaście puszek z szynką tworzyło stos niby sztony pokerowe. Pod kurczętami dziesięć półci wołowych, dziesięć wieprzowych i olbrzymi udziec barani.

— Lubisz baraninę, stary? — zapytał Hallorann z uśmiechem.

— Jeszcze jak — odpowiedział natychmiast Danny. Nigdy jej nie jadł.

— Wiedziałem, że lubisz. Nie ma to jak dwa porządne plastry baraniny w zimny wieczór, z odrobiną galaretki miętowej do tego. Galaretka miętowa jest tu także. Baranina nie zalega w żołądku. To mięso każdemu idzie na zdrowie.

— Skąd wiedziałeś, że nazywamy go stary? — zagadnął zaintrygowany Jack, który stał za ich plecami.

Hallorann się odwrócił.

— Słucham?

— Danny'ego. Czasami nazywamy go stary. Jak w kreskówce o króliku Bugsie.

— Wygląda na starego, no nie? — Zmarszczył nos, cmoknął i powiedział: — No i co, stary?

Danny zachichotał, po czym Hallorann bardzo wyraźnie (Na pewno nie chcesz pojechać na Florydę, stary?) zadał mu pytanie. Słyszał każde słowo. Zaskoczony i z lekka przestraszony spojrzął na Halloranna. Ten mrugnął z powagą i znów zajął się zapasami żywności.

Wendy przeniosła wzrok z szerokich pleców kucharza na syna. Miała przedziwne uczucie, że między nimi dwoma zaszło coś niezupełnie dla niej zrozumiałego.

— Macie dwanaście paczek kielbasy, dwanaście paczek bekonu — mówił Hallorann. — Tyle, jeśli chodzi o świnie. W tej szufladzie dwadzieścia funtów masła.

— Prawdziwego masła? — spytał Jack.

— Wyborowego.

— Ostatni raz prawdziwe masło jadłem chyba jako dzieciak w Berlinie, w stanie New Hampshire.

— No, tutaj będziesz się nim objadał, aż zatęsknisz za margaryną — odparł Hallorann ze śmiechem. — Tu, w tej chłodni, macie chleb: trzydzieści bochenków białego, dwadzieścia czarnego. Jak widać, staramy się w Panoramie zachować równowagę rasową. Wiem oczywiście, że pięćdziesiąt bochenków to dla was za

mało, ale jest mnóstwo mąki i drożdży, a świeży zawsze lepiej smakuje. Tutaj macie ryby. Odżywka dla mózgu, co, stary?

— Naprawdę, mam?

— Jeśli tak mówi pan Hallorann, to tak jest, skarbie.

Danny zmarszczył nos.

— Nie lubię ryb.

— Grubo się mylisz — rzekł Hallorann. — Po prostu nigdy nie jadłeś ryby, która by ciebie lubiła. Te ryby bardzo cię polubią. Pięć funtów pstrąga kalifornijskiego, dziesięć funtów turбота, piętnaście puszek tuńczyka. . .

— O tak, lubię tuńczyka.

— I pięć funtów najpyszniejszej soli, jaka kiedykolwiek pływała sobie w morzu. Drogi chłopcze, z nadejściem wiosny podziękujesz staremu. . . — Pstryknął palcami, jakby czegoś zapomniał. — No, jak ja się nazywam? Wyleciało mi z głowy.

— Pan Hallorann — odrzekł Danny z uśmiechem. — Dla przyjaciół Dick.

— Racja! A że jesteś przyjacielem, mów mi Dick.

Poprowadził ich w drugi kąt, a po drodze Jack i Wendy wymienili zdziwione spojrzenia, usiłując sobie przypomnieć, czy Hallorann mówił, jak ma na imię.

— Jego włożyłem tu specjalnie — objaśnił Hallorann. — Mam nadzieję, że wam będzie smakował.

— To naprawdę zbyteczne — wzruszyła się Wendy.

Był to dwudziestofuntowy indyk, przewiązany szeroką czerwoną wstążką, z kokardą na wierzchu.

— Musicie mieć indyka na Święto Dziękczynienia, Wendy — oświadczył Hallorann z powagą. — Powinien też być tu gdzieś kapłon na Boże Narodzenie. Z pewnością na niego natrafisz. Ale chodźmy już stąd, zanim się nabawimy zapalenia płuc. Racja, stary?

— Racja.

W zimnej spiżarni czekały ich dalsze dziwy. Sto kartonów mleka w proszku (Hallorann poradził jej z powagą, żeby dopóki się da, kupowała dla chłopca świeże mleko w Sidewinder), pięć dwunastofuntowych toreb cukru, czterolitrowy słoje gęstej melasy, płatki zbożowe, szklane słoje z ryżem, makaronem, spaghetti; rzędy puszek z owocami i sałatkami owocowymi, buszel jabłek, od których w całym pomieszczeniu pachniało jesienią; suszone rodzyunki, śliwki, morele („Kto chce być szczęśliwy, musi mieć wyregulowany żołądek” — oświadczył Hallorann, a jego śmiech gruchnął pod sufit, z którego na żelaznym łańcuchu zwisała staroświecka lampa w kształcie kuli); głęboka skrzynia z ziemniakami; i mniejsze skrzynki pomidorów, cebuli, rzepy, kabaczków i kapusty.

— Słowo daje. . . — powiedziała Wendy, wychodząc. Widok całej tej świeżej żywności po zakupach robionych za trzydzieści dolarów tygodniowo tak ją jednak oszołomił, że nie potrafiła dokończyć zdania.

— Ja jestem już trochę spóźniony — zauważył Hallorann, spojrzawszy na zegarek — więc rozejrzyjcie się po szafkach i lodówkach, jak się tu zagospodarujecie. Są tam sery, mleko w puszkach, słodzone mleko skondensowane, drożdże, proszek do pieczenia, cała torba pasztecików, kilka kiści bananów, które jeszcze nie zaczęły dojrzewać. . .

— Dość. — Wendy ze śmiechem podniosła rękę. — Nigdy tego wszystkiego nie spamiętam. To wspaniałe. I obiecuję nie nabrudzić.

— O nic więcej nie proszę. — Hallorann odwrócił się do Jacka. — Czy pan Ullman złożył sprawozdanie dotyczące szczurów w jego dzwonnicy?

Jack się uśmiechnął.

— Jego zdaniem, mogą być szczury na strychu, a zdaniem pana Watsona, także i w podziemiu. Leżą tam pewnie ze dwie tony papieru, ale nie zauważyłem strzępków, z których robią gniazda.

— Ten Watson! — Hallorann pokiwał głową z udanym smutkiem. — Czy spotkałeś kiedy gościa z bardziej niewyparzoną gębą?

— Rzeczywiście facet niezwykły — powiedział Jack. Nie spotkał gościa z bardziej niewyparzoną gębą niż jego własny ojciec.

— Trochę szkoda — rzekł Hallorann, prowadząc ich z powrotem do szerokich wahadłowych drzwi. — Dawno temu ta rodzina miała pieniądze. To dziadek albo pradziadek Watsona — nie pamiętam już który — wybudował ten hotel.

— Tak słyszałem — odparł Jack.

— Co się stało? — zapytała Wendy.

— Jakoś nie potrafili rozkręcić interesu. Watson opowie wam całą tę historię, może to robić dwa razy dziennie, jeśli znajdzie słuchacza. Stary znikował na punkcie hotelu. Chyba przez niego stoczył się na dno. Miał dwóch chłopców i jeden się zabił, spadł z konia, kiedy hotel był jeszcze w budowie. To było w roku dziewięćset ósmym albo dziewiątym. Żona starego zmarła na gripę i wtedy został już tylko on i młodszy syn. Skończyli tak, że najmowali się jako dozorczy tego hotelu, który wybudował stary.

— Szkoda — powiedziała z żalem Wendy.

— Co się z nim stało? Ze starym? — spytał Jack.

— Przez pomyłkę wetknął palec do gniazdko i już było po nim. To się zdarzyło na początku lat trzydziestych, zanim wskutek kryzysu zamknięto hotel na dziesięć lat. Tak czy inaczej, Jack, byłbym wdzięczny, gdybyście z żoną zechcieli mieć oko na szczury również i w kuchni. Jeśli je zobaczycie. . . pułapka, nie trutka.

Jack zamrugnął powiekami.

— Naturalnie. Któż by wykladał trutkę na szczury w kuchni?

Hallorann zaśmiał się szyderczo.

— Nikt inny, tylko pan Ullman. Wpadł na ten genialny pomysł zeszłej jesieni. Wybiłem mu to z głowy. „A co będzie, proszę pana — powiedziałem — jak przyjedziemy tu w maju i wieczorem podam tradycyjny pierwszy obiad —

tak się składa, że jest to łośoś w wyśmienitym sosie — i wszyscy się pochorują, przyjedzie lekarz i powie: "Co pan wyprawia, Ullman? Uraczył pan osiemdziesiąt najbogatszych osób w Ameryce trutką na szczury!" „

Jack odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

— Co na to Ullman?

Hallorann wypchnął językiem policzek, jakby tam szukał resztek jedzenia.

— A Ullman na to: „Zastaw pułapki, Hallorann”.

Tym razem śmiali się wszyscy, nawet Danny, bo choć nie był całkiem pewien, na czym polega dowcip, rozumiał, że ma coś wspólnego z panem Ullmanem, który jednak nie jest wszechwiedzący.

Cała czwórka przeszła przez jadalnię, pustą już i cichą, z fantastycznym widokiem na ośnieżone szczyty na zachodzie. Każdy biały lniany obrus nakryto płachtą z trwałego przezroczystego plastiku. Dywan, zwinięty na okres zimowy, stał w kącie niczym wartownik na służbie.

Po drugiej stronie szerokiej sali znajdowały się dwie pary drzwi barowych, nad nimi zaś staroświecki napis głosił złotymi literami: „Salon Kolorado”.

Widząc, na co patrzy Jack, Hallorann powiedział:

— Mam nadzieję, że przywiozłeś sobie zapas, jeśli lubisz zajrzeć do kieliszka. Wysuszyliśmy tu wszystko dokumentnie. Rozumiesz, mieliśmy wczoraj przyjęcie dla pracowników. Wszystkie pokojówki i chłopcy, ze mną włącznie, chodzą dziś z bólem głowy.

— Ja nie piję — uciał Jack.

Wrócili do holu.

Przez te pół godziny, kiedy byli w kuchni, przerzedziło się tu wyraźnie. Długa sala główna przedstawiała obraz pustki i spokoju, który, jak sądził Jack, wkrótce im spowszednieje. Foteli z wysokimi oparciami nikt już nie zajmował. Znikły zakonnice siedzące przed kominkiem, ogień wygasł i na jego miejscu leżała kupka przyjemnie rozżarzonych węgli. Wendy wyjrzała na parking i zobaczyła, że stoi tam zaledwie kilkanaście samochodów.

Przyłapała się na tym, że pragnie, aby znów znaleźli się w volkswagenie i wrócili do Boulder... czy gdziekolwiek indziej.

Jack rozglądał się za Ullmanem, w holu go jednak nie było.

Zjawiała się młoda pokojówka z popielatoblond włosami upiętymi nad karkiem.

— Twoje bagaże są na werandzie, Dick.

— Dziękuję, Sally. — Musnął jej czoło wargami. — Życzę ci przyjemnej zimy. Podobno wychodzisz za mąż.

Kiedy oddaliła się wolnym krokiem, wyzywająco kręcąc pośladkami, zwrócił się do Torrance'ów:

— Muszę się pośpieszyć, jeśli mam złapać ten samolot. Życzę wam wszystkiego najlepszego. Wiem, że życzenie się spełni.

— Dzięki — odparł Jack. — Okazałeś nam dużo serca.
— Będę się dobrze opiekowała twoją kuchnią — jeszcze raz obiecała Wendy.
— Miłego pobytu na Florydzie.
— Zawsze jest miły — odrzekł Hallorann. Z dłońmi wspartymi o kolana pochylił się nad Dannym. — To twoja ostatnia szansa, chłopcze. Chcesz jechać na Florydę?
— Chyba nie — odpowiedział Danny z uśmiechem.
— Dobra. Pomożesz mi zanieść bagaże do samochodu?
— Jak mama pozwoli.
— Pozwalam, ale najpierw trzeba ci zapiąć kurtkę. — Wendy schyliła się, żeby to zrobić, Hallorann był jednak szybszy, jego duże brunatne palce poruszały się zwinnie.
— Zaraz go przyślę z powrotem — obiecał.
— Świetnie. — Odprowadziła ich do drzwi. Jack nadal rozglądał się za Ullmanem. Ostatni goście Panoramy regulowali rachunki przy kontuarze.

Rozdział jedenasty

Jasność

Tuż za drzwiami leżały spiętrzone bagaże. Były to trzy olbrzymie czarne walizy z imitacji skóry aligatora, stare i sfatygowane, oraz wielka torba w spłowiałą szkocką kratę, zamykana na suwak.

— Chyba z nią sobie poradzisz, co? — spytał Hallorann. Wziął dwie walizy do jednej ręki, trzecią pod ramię.

— No pewnie. — Danny chwycił torbę obiema rękami i ruszył za kucharzem po schodach, mężnie powstrzymując stękanie i usiłując się nie zdradzić, jak mu ciężko.

Po ich przyjeździe zerwał się ostry i przenikliwy wiatr jesienny; świstał po parkingu, toteż Danny musiał mocno mrużyć oczy, kiedy tak dźwigał przed sobą torbę, która obijała mu się o kolana. Kilka zabłąkanych liści osikowych z szelestem toczyło się po opustoszałym niemal asfalcie. Ich widok obudził w Danym przelotne wspomnienie tej nocy w ubiegłym tygodniu, gdy przecknąwszy się z koszmarnego snu, usłyszał — a przynajmniej sądził, że słyszy — jak Tony odradza mu wyjazd.

Hallorann postawił walizki przy bagażniku beżowego plymoutha fury.

— To kiepski wóz — zwierzył się Danny'emu. — Wynajęty. Moja Bessie jest tam. To dopiero samochód. Cadillac z roku 1950, a jak chodzi! Nie ma drugiego takiego na świecie. Trzymam go na Florydzie, bo jest za stary na te górskie wspinaczki. Pomóc ci?

— Nie, proszę pana. — Danny zdołał pokonać bez stękania dziesięć czy dwanaście ostatnich kroków i postawił torbę z głębokim westchnieniem ulgi.

— Grzeczny chłopiec. — Z kieszeni granatowej sukiennej kurtki Hallorann wyjął duże kółko z kluczami i otworzył bagażnik. Wkładając do niego walizki, powiedział: — Ależ jaśniejesz, chłopcze. W życiu kogoś takiego nie spotkałem. A w styczniu stuknie mi sześćdziesiątka.

— Co?

— Masz dar. — Hallorann odwrócił się do niego. — Ja to zawsze nazywałem jasnością. I tak nazywała to moja babka. Ona to miała. Siadywaliśmy w kuchni, kiedy byłem najwyżej w twoim wieku, i prowadziliśmy długie rozmowy bez otwierania ust.

— Naprawdę?

Hallorann uśmiechnął się na widok zaciekawionej, niemal zgłodniałej miny Danny'ego i rzekł:

— Chodź ze mną na chwilę do samochodu. Chcę z tobą porozmawiać. — Zatrzasnął bagażnik.

Z holu Panoramy Wendy Torrance dojrzała, jak jej syn zajmuje miejsce obok rosłego czarnego kucharza, który wślizguje się za kierownicę. W ostrym skurczu trwogi już otwierała usta, aby powiedzieć Jackowi, że Hallorann nie kłamał, mówiąc o zabraniu chłopca na Florydę — zanosilo się na porwanie. Ale oni tylko sobie siedzieli. Z trudem dostrzegła mały zarys główki Danny'ego, zwróconej z uwagą w stronę dużej głowy Halloranna. Nawet z tej odległości poznała charakterystyczny kąt nachylenia jego główki — tak patrzył, kiedy w telewizji pokazywano coś, co go szczególnie fascynowało, albo kiedy grał z ojcem w starą pannę czy w durnia. Jack wciąż rozglądał się za Ullmanem, więc niczego nie zauważył. Wendy w milczeniu, nerwowo obserwowała wóz Halloranna, ciekawa, o czym też mogą rozmawiać tamci dwaj, że Danny w ten sposób przekrzywia głowę.

W samochodzie Hallorann mówił:

— Czujesz się trochę osamotniony, bo uważasz, że ty jeden jesteś taki?

Danny, który czasami odczuwał zarówno strach, jak osamotnienie, przytaknął.

— Czy oprócz mnie spotkał pan innego? — zapytał. Hallorann ze śmiechem pokiwał głową.

— Ależ tak, dziecko, tak. Tyle że ty jaśniejiesz najmocniej.

— Więc jest takich dużo?

— Nie — odparł Hallorann — ale można ich spotkać. Mnóstwo ludzi jaśniejiesz słabutko. Nawet o tym nie wiedzą. Chyba zawsze jednak przychodzą do domu z kwiatami, kiedy ich żony są w marnym humorze z powodu babskiej dolegliwości, dobrze wypadają na klasówkach, choć wcale się do nich nie przygotowują, i już od progu się orientują, w jakim nastroju są zgromadzeni gdzieś ludzie. Spotkałem pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt takich osób. Ale może ze dwanaście, nie więcej, z moją babcią włącznie, wiedziało o tej jasności.

— Hm. — Danny się zastanowił, po czym powiedział: — Czy zna pan panią Brant?

— Ją? — Pytanie Halloranna brzmiało pogardliwie. — Ona nie jaśniejiesz. Tylko dwa albo trzy razy co wieczór odsyła kolację do kuchni.

— Wiem, że nie jaśniejiesz — rzekł Danny z powagą. — Ale czy zna pan mężyczynę w szarej liberii, który przyprawia samochody?

— Mike'a? Pewnie, że znam.

— Dlaczego, proszę pana, ona chce jego spodni?
— O czym ty mówisz, chłopcze?
— No bo kiedy na niego patrzyła, myślała sobie, że bardzo by chciała wskoczyć w jego spodnie, więc byłem ciekaw dlaczego. . .

Ale nie dokończył. Hallorann odrzucił do tyłu głowę, a głęboki, dudniący śmiech wyrwał się z jego piersi i jak salwa armatnia zagrzmiął w samochodzie. Od siły tego śmiechu zadygotały siedzenia. Danny uśmiechał się zakłopotany, dopóki burza stopniowo nie ucichła. Z górnej kieszeni marynarki Hallorann wyciągnął dużą jedwabną chustkę, niczym białą flagę na znak kapitulacji, i otarł zażawione oczy.

— Chłopcze — powiedział, wciąż jeszcze prychnąwszy — nim skończysz dziesięć lat, będziesz znał rodzaj ludzki na wylot. Nie wiem, czy ci zazdrościć, czy nie.

— Ale pani Brant. . .

— Daj sobie z nią spokój. I nie idź z tym pytaniem do mamy. Tylko byś ją zdenerwował, kapujesz?

— Tak, proszę pana. — Danny kapował doskonale. Dawniej wytrącał w ten sposób matkę z równowagi.

— Ta pani Brant to zwykłe stare babsko, sprośne i chutliwe, nic więcej nie musisz wiedzieć. — Popatrzył na Danny'ego w zadumie. — Jak mocno potrafisz ugodzić, stary?

— Co?

— Uderzyć we mnie. Myślą. Chcę wiedzieć, czy masz aż tyle, ile mi się wydaje.

— Co mam pomyśleć?

— Cokolwiek. Ale intensywnie.

— Dobra. — Po chwili zastanowienia Danny się skupił i skoncentrowaną myślą strzelił w Halloranna. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie robił i w ostatnim momencie obudził się w nim jakiś instynkt, który trochę osłabił brutalną siłę tej myśli — Danny nie chciał urazić pana Halloranna. Mimo to myśl śmignęła jak strzała, z niewiarygodnym impetem. Przypominała szybką piłkę Nolana Ryana, wybitą specjalnie mocno.

(Ojejku, mam nadzieję, że go nie urażam!)

A myśl była taka:

(!!!Cześć, Dick!!!!)

Hallorann zadygotał i szarpnął się do tyłu. Kłapnął głośno zębami, przygryzając dolną wargę, z której cienką strużką pociekła krew. Jego ręce bezwiednie uniosły się z kolan do poziomu klatki piersiowej, po czym znów opadły. Przez chwilę w sposób nie kontrolowany drgały mu powieki i Danny'ego ogarnął strach.

— Panie Hallorann? Dick? Dobrze się czujesz?

— Nie wiem — odparł Hallorann z niewyraźnym uśmiechem. — Jak Boga kocham, nie wiem. Mój Boże, synu, ależ z ciebie pistolet.

— Przepraszam — powiedział Danny, jeszcze bardziej zaniepokojony. — Czym mam sprowadzić tatę? Pobiegnę po niego.

— Nie, nic mi nie jest. Dobrze się czuję, Danny. Siedź na swoim miejscu. Trochę mną zatelepało, nic więcej.

— Nie natężyłem się tak bardzo, jak bym mógł — wyznał Danny. — Zląkłem się w ostatniej sekundzie.

— Mam szczęście... bo mózg by mi chyba wyciekł uszami. — Uśmiechnął się na widok przepłoszonej miny Danny'ego. — Nic złego się nie stało. A ty jak się czujesz?

— Jak Nolan Ryan, kiedy rzuca szybką piłkę — odrzekł Danny bez zastanowienia.

— Lubisz baseball, co? — Hallorann delikatnie pocierał sobie skronie.

— Tata i ja lubimy drużynę Red Sox we Wschodniej Lidze Amerykańskiej, a Angels w Zachodniej. Widzieliśmy, jak drużyna Red Sox grała przeciw Cincinnati w mistrzostwach świata. Ja byłem wtedy dużo mniejszy. A tata był... — Na spochmurniałej twarzy Danny'ego odmalował się niepokój.

— Czym był, Dan?

— Nie pamiętam. — Danny chciał wetknąć kciuk do ust, żeby go possać, lecz był to wybieg dziecinny. Opuścił rękę z powrotem na kolana.

— Czy możesz powiedzieć, co myślą twoi rodzice, Danny? — Hallorann przyglądał mu się bacznie.

— Najczęściej tak, jeśli chcę. Ale na ogół nie próbuję.

— Dlaczego?

— No bo... — Urwał zakłopotany. — To by przypominało zagłądanie do sypialni i patrzenie, jak robią to, z czego się biorą dzieci. Zna pan to?

— Zapoznałem się z tym — odparł Hallorann z powagą.

— Oni nie byliby z tego zadowoleni. I nie byliby zadowoleni, gdybym podglądał ich myśli. To byłoby nieprzyzwoite.

— Rozumiem.

— Ale wiem, co czują — powiedział Danny. — Nic na to nie poradzę. Wiem też, co pan czuje. Uraziłem pana. Przepraszam.

— Po prostu boli mnie głowa. Bywałem już na gorszym kacu. Czy umiesz czytać innych ludzi, Danny?

— Jeszcze w ogóle nie umiem czytać. Potrafię przeczytać tylko parę słów, ale w zimie tata będzie mnie uczył. Mój tata uczył dawniej czytania i pisania w dużej szkole. Przeważnie pisania, choć znał się też na czytaniu.

— Pytałem o to, czy umiesz czytać w czyichś myślach.

Danny zastanawiał się chwilę.

— Umiem, jeżeli myśli są głośne — odparł. — Jak pani Brant o spodniach. Albo jak wtedy, kiedy byłem z mamą w dużym sklepie, bo miała mi kupić buty, a tam taki chłopak patrzył na radia i myślał, że weźmie jedno bez płacenia. Potem pomyślał, co będzie, jak go złapią. A potem, że naprawdę chce mieć to radio. I znów o tym, że go złapią. Aż go od tego zemdliło i mnie też zemdliło. Mama rozmawiała z człowiekiem, który sprzedaje buty, więc podszedłem do chłopca i mówię: „Nie bierz tego radia. Idź sobie”. A on naprawdę się przestraszył. I szybko się wyniósł.

Hallorann szczyrzył zęby w uśmiechu.

— Głowę dam, że tak. Czy potrafisz odgadywać coś jeszcze, Danny? Same myśli i uczucia czy coś poza tym?

— Czy dla pana jest coś poza tym? — zagadnął ostrożnie Danny.

— Czasami — powiedział Hallorann. — Nieczęsto. Czasami... czasami są sny. Miewasz sny, Danny?

— Czasami, jak nie śpię. Po przyjściu Tony'ego. — Kciuk znowu chciał powędrować do ust. Danny nigdy nikomu nie mówił o Tonym, tylko mamie i tacie. Kazał ręce z tym kciukiem wrócić na kolana.

— Kto to jest Tony?

I nagle Danny doznał jednego z tych przebłysków zrozumienia, które najbardziej go przerażały; jakby na moment ukazała mu się niepojęta maszyna — albo niegroźna, albo śmiertelnie niebezpieczna. Był za mały, żeby wiedzieć jaka. Był za mały, żeby to pojąć.

— Co się stało?! — krzyknął. — Zadaje mi pan te wszystkie pytania, bo się pan martwi, prawda? Dlaczego martwi się pan o mnie? Dlaczego martwi się pan o nas?

Hallorann położył duże ciemne dłonie na ramionach chłopczyka.

— Przestań — powiedział. — To przypuszczalnie nic takiego. Ale jeśli to jest coś... no cóż, masz dużą rzecz w głowie, Danny. Będziesz chyba musiał jeszcze długo rosnąć, zanim to dogonisz. Musisz dzielnie to znosić.

— Ale ja nie rozumiem różnych rzeczy! — wybuchnął Danny. — Rozumiem i nie rozumiem! Ludzie... oni wyczuwają rzeczy i ja je wyczuwam, ale nie wiem, co sam czuję! — Z żalną miną popatrzył na swoje kolana. — Chciałbym umieć czytać. Czasami Tony pokazuje mi znaki, a ja prawie żadnego nie potrafię przeczytać.

— Kto to jest Tony? — powtórzył pytanie Hallorann.

— Mama i tata nazywają go moim „niewidzialnym towarzyszem zabaw”. — Danny starannie wyrecytował te słowa. — Ale on jest najprawdziwszy. A przynajmniej tak mi się wydaje. Czasami, kiedy z całych sił staram się coś zrozumieć, przychodzi do mnie. Mówi: „Danny, chcę ci coś pokazać”. I wtedy jakby mdleję. Tylko... to są sny, jak pan powiedział. — Spojrzał na Halloranna i przełknął ślinę.

— Dawniej były przyjemne. Ale teraz... Nie pamiętam, jak się nazywają te sny, od których strach oblatuje i chce się płakać.

— Koszmary? — podsunął Hallorann.

— Tak. Racja. Koszmary.

— Masz straszne sny o hotelu? O Panorامية?

Danny znów spojrzął na swój kciuk.

— Tak — szepnął. A potem zaczął mówić przenikliwym głosem, patrząc Hallorannowi w twarz: — Ale nie mogę powiedzieć tacie i pan też nie może! On musi wziąć tę pracę, bo wujek Al nie mógł mu znaleźć innej, i musi skończyć sztukę, bo inaczej znów zacznie robić Złą Rzeczą! — Urwał, bliski płaczu.

— Ciii. — Hallorann przytulił twarz Danny'ego do szorstkiego sukna swojej marynarki, słabo zalatującego gałkami przeciwmolowymi. — Już dobrze, synu. A jeśli ten kciuk lubi być w twojej buzi, to niech sobie tam idzie. — Minę miał jednak strapioną. — To, co ty masz — tłumaczył — ja nazywam jasnością, Biblia widzeniami, a niektórzy uczeni wiedzą uprzednią. Czytałem na ten temat, synu. Studiowałem to. Wszyscy oni mają na myśli przewidywanie przyszłości. Rozumiesz?

Danny skinął głową wtuloną w marynarkę Halloranna.

— Pamiętam najsilniejszą jasność w moim życiu... i łatwo jej nie zapomnę. Zdarzyło się to w roku 1955. Służyłem wtedy w wojsku, stacjonowaliśmy w Europie, w Niemczech Zachodnich. Na godzinę przed kolacją stałem właśnie przy zlewie i objeżdżałem jednego z żołnierzy przydzielonych do kuchni za to, że za grubo obiera ziemniaki. Mówię: „No, daj, pokażę ci, jak się to robi”. On wyciąga ziemniak i nożyk do obierania, a wtedy cała kuchnia znika mi przed oczu. Trzask i koniec. Powiadasz, że widzisz tego Tony'ego, zanim... zanim masz sen?

Danny skinął głową.

Hallorann go objął.

— A ja czuję zapach pomarańczy. Wówczas czułem go przez całe popołudnie, ale nic sobie z tego nie robiłem, bo mieliśmy pomarańcze w jadłospisie na wieczór... dostaliśmy trzydzieści skrzynek walenckich. Wszyscy w tej cholernej kuchni czuli wtedy zapach pomarańczy. Przez chwilę wydawało się, że najzwyczajniej zemdlałem. A potem usłyszałem wybuch i zobaczyłem płomienie. Ludzie wrzeszczeli. Wyły syreny. I usłyszałem ten syk, który mógł być tylko sykiem pary. A potem miałem wrażenie, że trochę się zbliżam do tego czegoś, i zobaczyłem wagon leżący na boku, a na nim napis „Koleje Georgii i Południowej Karoliny”. W krótkim przeblasku zrozumiałem, że mój brat Carl jechał tym pociągiem, który się wykoleił, i że Carl nie żyje. Tylko tyle. Potem to znikło, a przede mną stoi ten przestraszony głupi żołnierzyna, wciąż trzyma ziemniak i nożyk. „Nic wam nie jest, sierżancie?” — Spytał, a ja mówię: „Nie. Mój brat właśnie zginął w Georgii”. I kiedy wreszcie dostałem połączenie telefoniczne z mamą, powiedziała mi, jak to było. Ale rozumiesz, chłopcze, ja to już wiedziałem.

Z wolna potrząsał głową, jakby odpędzając wspomnienie, i spoglądał w dół na chłopca, który siedział z szeroko otwartymi oczami.

— Jedno musisz pamiętać, mój mały, a mianowicie: te rzeczy nie zawsze się sprawdzają. Przypominam sobie, jak zaledwie cztery lata temu dostałem posadę kucharza w obozie dla chłopców w Maine, nad Long Lake. No więc siedzę przy wyjściu na płytę na lotnisku Logana w Bostonie, czekam na mój samolot i zaczynam czuć zapach pomarańczy. Po raz pierwszy od bodaj pięciu lat. Mówię sobie: „Mój Boże, co to będzie tym razem?” Idę do toalety, siadam na sedesie, bo chcę być sam. Choć ani na chwilę nie straciłem przytomności, zaczęło mnie opanowywać coraz silniejsze przeczucie, że mój samolot się rozbije. Potem ustało, zapach pomarańczy też, i już wiedziałem, że jest po wszystkim. Wróciłem do kontuaru linii lotniczych Delta i zmieniłem bilet na lot o trzy godziny późniejszy. I wiesz, co się stało?

— Co? — szepnął Danny.

— Nic! — Hallorann wybuchnął śmiechem. Z ulgą zauważył, że chłopiec też leciutko się uśmiecha. — Absolutnie nic! To samolocisko wylądowało o czasie, bez jednego wstrząsu czy stuknięcia. Więc widzisz... czasami te przeczucia zawodzą.

— O — powiedział Danny.

— Albo weź na przykład wyścigi konne. Często na nie chodzę i zwykle mam szczęście. Stoję przy barierce, kiedy konie mijają bramę startową, i czasami mam przebłysk na tego czy innego konia. Zazwyczaj te przeczucia pomagają mi dobrze stawiać. Wciąż sobie powtarzam, że pewnego dnia trzy razy postawię na fuksa i dostanę za tryplę tyle, że będę mógł wcześniej przejść na emeryturę. Jeszcze się to nie zdarzyło. Ale już mnóstwo razy wracałem z wyścigów do domu na własnych pedałach, a nie taksówką i z wypchanym portfelem. Nikt nie jaśniej przez cały czas, może jeden Pan Bóg na niebie.

— Tak, proszę pana.

Danny cofnął się myślą prawie o rok. Tony pokazał mu wtedy niemowlę leżące w łóżeczku u nich, w domu w Stovington, a on bardzo się tym podniecił i czekał, bo wiedział, że to musi jakiś czas potrwać, ale dziecko się nie urodziło.

— A teraz posłuchaj. — Hallorann ujął obie rączki Danny'ego w dłonie. — Miewałem tu różne złe sny i różne złe przeczucia. Przepracowałem w Panoramic dwa sezony i może ze dwanaście razy miałem... no, miałem koszmary. Może ze sześć razy zdawało mi się, że coś widzę. Nie, nie powiem co. To nie dla takiego małego chłopca jak ty. Po prostu rzeczy paskudne. Raz miało to jakiś związek z tymi cholernymi żywopłotami, strzyżonymi tak, żeby przypominały zwierzęta. Kiedy indziej chodziło o pokojówkę, nazywała się Delores Vickery i też trochę jaśniała, ale chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Pan Ullman ją wylał... wiesz, co to znaczy, stary?

— Tak, proszę pana — wyznał Danny szczerze. — Mojego tatę wylali z po-

sady nauczyciela i chyba dlatego jesteśmy w Kolorado.

— No więc Ullman ją wylał za gadanie, że widziała coś w jednym z pokoi, gdzie... no, gdzie wydarzyło się coś złego. To było w pokoju 217 i masz mi obiecać, że nie będziesz tam wchodził, Danny. Przez całą zimę. Omijaj go z daleka.

— Obiecuję — powiedział Danny. — Czy ta pani... ta panienska... prosiła, żeby pan poszedł zobaczyć?

— Tak, prosiła. I było tam coś złego. Ale... nie przypuszczam, żeby to coś złego mogło komuś wyrządzić krzywdę, Danny, to właśnie próbuję powiedzieć. Ludzie tacy jak my mogą niekiedy widzieć rzeczy, które się zdarzają, a według mnie, także te, które już się zdarzyły. Ale one są jak obrazki w książce. Widziałeś kiedy w książce obrazek, który napędził ci stracha, Danny?

— Tak. — Danny miał na myśli bajkę o Sinobrodym i obrazek ukazujący, jak nowa żona Sinobrodego otwiera drzwi i widzi wszystkie te głowy.

— Ale wiedziałeś, że on nie może wyrządzić ci krzywdy, prawda?

— Taak — odparł Danny z lekkim wahaniem.

— No więc podobnie jest w tym hotelu. Nie wiem dlaczego, ale wszystkie złe rzeczy, jakie się tutaj kiedyś wydarzyły, strzępki tych rzeczy chyba wciąż się walają dookoła, jak obcięte paznokcie albo glutu, które jakiś paskudnik po prostu wytarł o krzesło. Nie wiem, dlaczego właśnie tutaj, przecież prawie w każdym hotelu na świecie dzieją się złe rzeczy, a pracowałem w niejednym i nigdzie nie miewałem kłopotów. Tylko tu. Ale nie przypuszczam, Danny, żeby te rzeczy mogły komuś wyrządzić krzywdę. — Akcentował każde słowo, lekko potrząsając chłopca za ramiona. — Więc w razie gdybyś zobaczył coś w korytarzu, w pokoju czy na dworze przy tych żywopłotach... najzwyczajniej popatrz w inną stronę, a kiedy znów odwrócisz głowę, tego już tam nie będzie. Kapujesz?

— Tak — odpowiedział Danny. Poczuł się znacznie lepiej, to go uspokoiło. Ukląkł, pocałował Halloranna w policzek i mocno go uścisnął.

Hallorann odwzajemnił uścisk. Kiedy wypuścił chłopca z objąć, zapytał:

— Twoi rodzice nie jaśniejają, prawda?

— Nie, chyba nie.

— Zrobiłem z nimi taką samą próbę jak z tobą. Mama troszeńkę podskoczyła. Wiesz, moim zdaniem, wszystkie matki mają leciutką jasność, przynajmniej dopóty, dopóki ich dzieci na tyle nie podrosną, że zaczynają same sobie radzić. Tata...

Hallorann zrobił krótką przerwę. Badał ojca tego chłopczyka i po prostu nie wiedział. Nie przypominało to spotkania z kimś promieniującym jasnością albo z kimś, kto zdecydowanie nią nie promieniuje. Zgłębianie ojca Danny'ego było... dziwne, jakby Jack Torrance coś... coś ukrywał. Albo coś tak głęboko w sobie tłamsił, że nie sposób było do tego dotrzeć.

— On chyba w ogóle nie jaśnieje — dokończył Hallorann. — Więc o nich się nie martw. Tylko uważaj na siebie. Nie przypuszczam, żeby tu było coś, co ci

może wyrządzić krzywdę. Więc po prostu zachowaj spokój, dobrze?

— Dobrze.

— Danny! Hej, stary!

Danny się obejrzał.

— To mama. Woła mnie. Muszę wracać.

— Wiem, że musisz — powiedział Hallorann. — Baw się dobrze. Najlepiej, jak potrafisz.

— Będę się dobrze bawił. Dziękuję panu. Jest mi o wiele lepiej.

Do głowy przyszła mu uśmiechnięta myśl:

(Dla przyjaciół Dick)

(Tak, Dick, dobra)

Ich oczy się spotkały; Dick Hallorann zmrużył powieki. Danny przelazł przez siedzenie i otworzył drzwiczki po stronie pasażera. Kiedy wysiadał, Hallorann rzekł:

— Danny?

— Co?

— W razie jakichś kłopotów... zawołaj. Krzyknij tak głośno jak parę minut temu. Może cię usłyszę nawet na Florydzie. A jeśli usłyszę, przylecę co sił w nogach.

— Dobra. — Danny się uśmiechnął.

— Uważaj, duży chłopcze.

— Będę uważał.

Danny zatrzasnął drzwiczki i pobiegł przez parking w stronę werandy, gdzie stała Wendy, trzymając się za łokcie dla osłony przed chłodnym wiatrem. Hallorann patrzył, a szeroki uśmiech powoli zniknął z jego twarzy.

Nie przypuszczam, żeby tu było coś, co ci może wyrządzić krzywdę.

Nie przypuszczam.

A co, jeśli się myli? Odkąd zobaczył to coś w łazience przy pokoju 217, wiedział, że to jego ostatni sezon w Panoramie. Żaden obrazek w książce nie był od tego gorszy, z tej odległości zaś chłopiec biegnący do matki wydawał się taki mały...

Nie przypuszczam...

Podążył oczami w stronę żywopłotu.

Nagłym ruchem zapuścił silnik, włączył bieg i odjechał, próbując się nie oglądać. Ale oczywiście się obejrzał i oczywiście weranda była pusta. Tamci dwoje weszli do środka, jakby Panorama ich połknęła.

Rozdział dwunasty

Wielka podróż

— O czym rozmawialiście, złotko? — spytała Wendy, kiedy wchodzili do środka.

— Och, o głupstwach.

— Jak na głupstwa, była to długa rozmowa.

Danny wzruszył ramionami gestem przypominającym jego ojca; sam Jack lepiej by tego nie zrobił. Wendy wiedziała, że nic więcej z Danny'ego nie wyciągnie. Jej silna irytacja pomieszana była z jeszcze silniejszym uczuciem miłości: miłość okazywała się bezradna, irytacja zaś płynęła z przeświadczenia, że oni rozmyślnie ją z tego wykluczają. W ich towarzystwie odnosiła niekiedy wrażenie, że jest autsajderem, gra rolę epizodyczną i przypadkowo zabłąkała się na scenę, na której toczy się główna akcja. Cóż, tej zimy ci jej dwaj irytujący mężczyźni nie zdołają Wendy wykluczyć; jak na to, wszyscy będą żyli trochę za blisko siebie. Nagle uświadomiła sobie, że jest zazdrosna o tę bliskość między mężem a synem, i ogarnął ją wstyd. To zanadto przypominało jej matkę. . . więc budziło niepokój.

Hol świecił teraz pustkami. Tylko Ullman i główny recepcjonista siedzieli przy kasie, zajęci podliczaniem, dwie pokojówki, już w ciepłych spodniach i swetrach, stały przy drzwiach frontowych nad stosem bagaży i wyglądały na parking, kręcił się też konserwator Watson, który pochwycił spojrzenie Wendy i puścił do niej oko. . . zdecydowanie lubieżne. Szybko odwróciła wzrok. Jack patrzył przez okno obok restauracji z miną człowieka urzeczonego i rozmarzonego widokiem.

Kasa widocznie się zgadzała, bo Ullman zatrzasnął ją stanowczym gestem. Podcyfrował i schował taśmę do małej teczki, zamykanej na suwak. Wendy wyraziła milczące uznanie głównemu recepcjoniście, który odczuł chyba dużą ulgę. Ullman sprawiał wrażenie człowieka zdolnego w razie manka dobrać się urzędnikowi do skóry. . . i nie przelać przy tym ani kropli krwi. Wendy niezbyt podobał się Ullman i jego natrętne, ostentacyjne zaaferowanie. Przywodził na myśl wszystkich jej poprzednich szefów, zarówno mężczyzn, jak kobiety. Przesłodzony w stosunku do gości, na zapleczu tyran dla służby. Obecnie jednak pracownicy

mieli fajrant i na twarzy głównego recepcjonisty malowało się zadowolenie. Zająęcia skończyły się dla wszystkich — z wyjątkiem jej, Jacka i Danny’ego.

— Panie Torrance! — zawołał Ullman tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Pozwoli pan do mnie?

Jack ruszył do lady, skinieniem głowy przywołując Wendy i Danny’ego.

Recepcjonista, który znikł w biurze, pojawił się w płaszczu.

— Życzę panu przyjemnej zimy — zwrócił się do Ullmana.

— Wątpię, czy będzie przyjemna — odparł Ullman z rezerwą. — Dwunastego maja, Braddock. Ani o dzień wcześniej. Ani o dzień później.

— Tak, proszę pana.

Braddock wyszedł zza kontuaru z miną poważną i godną, jak przystało człowiekowi na jego stanowisku, ale kiedy już minął Ullmana, uśmiechnął się ni by uczeń. Powiedział kilka słów do dwóch dziewcząt, nadal czekających przy drzwiach na samochód, który miał je zabrać, i oddalił się żegnany krótkim wybuchem hamowanego chichotu.

Do świadomości Wendy zaczęła obecnie docierać cisza. Opadła na hotel jak gruby koc, tłumiąc wszystkie odgłosy prócz słabego, rytmicznego zawodzenia wiatru na dworze. Z miejsca, gdzie stała Wendy, otwierał się widok na biuro w głębi, czyste niemal do granic sterylności, z dwoma pustymi biurkami i dwiema szarymi szafami na akta, a za nim na niepokalaną kuchnię Halloranna, bo duże dwuskrzydłowe drzwi ze świetlikami były otwarte, zastopowane przez gumowe kliny.

— Teraz mogę poświęcić dodatkowo kilka minut na oprowadzenie państwa po Hotelu — rzekł Ullman i Wendy nasunęła się refleksja, że w jego głosie zawsze można dosłyszeć to duże H. Należało je słyszeć. — Jestem pewien, że mąż pani stopniowo pozna Panoramę na wylot, ale wy dwoje niewątpliwie więcej czasu będziecie spędzać na parterze i pierwszym piętrze, w swoim mieszkaniu.

— Niewątpliwie — mruknęła Wendy z powagą, a Jack zrobił do niej ukradkiem oko.

— To piękny budynek — rzekł z dumą Ullman. — I chętnie go pokazuję.

To widać, pomyślała Wendy.

— Zacznijmy zwiedzanie od trzeciego piętra — zaproponował Ullman z wyraźnym entuzjazmem.

— Jeśli z uwagi na nas opóźnia pan wyjazd... — zaczął Jack.

— Skądże znowu — zaprzeczył Ullman. — Zamknęliśmy sklepik. *Tout fini*, przynajmniej w tym sezonie. A zamierzam przenocować w Boulder, oczywiście w hotelu Boulderado. To jedyny przyzwoity hotel z tej strony Denver... naturalnie wyjąwszy samą Panoramę. Proszę tędy.

Razem weszli do windy. Choć bogato zdobiona miedzianymi i mosiężnymi wolutami, opadła dostrzegalnie, zanim Ullman zaciągnął kratę. Danny drgnął zaniepokojony i Ullman uśmiechnął się do niego. Danny bez większego powodzenia

spróbował odwzajemnić uśmiech.

— Nic się nie martw, mały zuchu — powiedział Ullman. — Bezpieczeństwo murowane.

— Jak na pokładzie „Titanica” — zauważył Jack, patrząc na kulę z rżniętego szkła umieszczoną pośrodku sufitu.

Wendy przygryzła do środka policzek, żeby się nie uśmiechnąć.

Ullman nie był ubawiony dowcipem. Zasunął wewnętrzną kratę ze szczękiem i hukiem.

— „Titanic” odbył tylko jedną podróż, proszę pana. Ta winda odbyła ich tysiąc, odkąd ją zainstalowano w roku 1926.

— To rozprasza obawy — przyznał Jack. Zwichrzył Danny’emu włosy. — Samolot się nie rozbija, stary.

Ullman przerzucił dźwignię i przez chwilę nie działo się nic, tylko podłoga dygotała pod ich stopami, a w dole zawodził udręczony silnik. Wendy wyobraziła sobie ich czworo uwięzionych między piętrami niczym muchy w butelce i odnalezionych na wiosnę... tu i ówdzie ponadgryzanych... jak uczestnicy wycieczki Donnerów...

(Przestań!)

Winda zaczęła sunąć w górę, najpierw przy akompaniamencie drgań, dzwonienia i łoskotów dobiegających z dołu. Potem jazda przebiegała już gładko. Na trzecim piętrze dźwig zadygotał, gdy Ullman go zatrzymał, odciągnął kratę i otworzył drzwi. Kabina wciąż znajdowała się sześć cali poniżej poziomu podłogi. Danny obserwował tę różnicę poziomów z taką miną, jakby dopiero teraz pojął, że wbrew zapewnieniu dorosłych wszechświat nie jest całkiem normalny. Ullman odchrząknął, podprowadził kabinę nieco wyżej, zatrzymał ją szarpnięciem (nadal o dwa cale za nisko) i wysiedli. Uwolniona od ich ciężaru kabina podskoczyła i prawie zrównała się z podłogą, czego Wendy bynajmniej nie uznała za uspokajające. Choćby bezpieczeństwo było murowane, postanowiła korzystać ze schodów, ilekroć będzie musiała wchodzić na górę czy schodzić na dół. I pod żadnym pozorem się nie zgodzi, żeby we troje wsiedli do tego klekota.

— Na co patrzysz, stary? — żartobliwie zapytał Jack. — Widzisz tu plamy?

— Oczywiście że nie. — Pytanie ubodło Ullmana. — Wszystkie dywany uprano szamponem zaledwie dwa dni temu.

Wendy też spojrzała na chodnik na korytarzu. Ładny, ale na pewno nie wybrałaby takiego do własnego domu, gdyby miała kiedyś swój dom. Był ciemnoniebieski, w zawity wzór, przywodzący na myśl surrealistycznie przestawioną dżunglę, pełną pnączy, lian i drzew z egzotycznymi ptakami na gałęziach. Nie dało się określić, co to za ptaki, ponieważ czarny wątek zarysował tylko ich sylwetki.

— Podoba ci się chodnik? — zagadnęła Wendy Danny’ego.

— Tak, mamó — odrzekł bezbarwnym głosem.

Szli przyjemnie szerokim korytarzem. Jedwabne tapety, utrzymane w jaśniejszym niebieskim odcieniu, harmonizowały z chodnikiem. Kinkiety, rozmieszczone co dziesięć stóp na wysokości około siedmiu stóp, miały imitować londyńskie latarnie gazowe, toteż żarówki ukryto za nieprzezroczystymi mlecznymi kloszami, otoczonymi siatką z żelaznych prętów.

— Te lampy bardzo mi się podobają — powiedziała.

Ullman skinął głową zadowolony.

— Pan Derwent kazał zainstalować takie lampy w całym hotelu po wojnie, to znaczy po drugiej. W gruncie rzeczy on sam zaprojektował prawie kompletne urządzenie trzeciego piętra. Tu jest numer trzysta, apartament prezydencki.

Przekreślił klucz w zamku dwuskrzydłowych mahoniowych drzwi i otworzył je na oścież. Kiedy ujrzeni zachodnią panoramę gór, aż ich zatkało, na co zapewne liczył Ullman. Uśmiechnął się.

— Niezły widok, prawda?

— Rzeczywiście — przyznał Jack.

Za oknem zajmującym prawie całą dłuższą ścianę salonu słońce wisiało dokładnie między dwoma postrzępionymi szczytami i rzucało złoty blask na ściany skalne i lukrowane śniegiem wierzchołki. Chmury, które tworzyły obramowanie i tło tego pocztówkowego widoku, również barwiły się złociście, a przyćmiony promień słońca wbijał się w mroczne skupisko jodeł poniżej granicy lasu.

Jack i Wendy, całkowicie pochłonięci widokiem, nie zwracali uwagi na Danny'ego, on zaś nie patrzył przez okno, lecz w lewo, w stronę drzwi do sypialni, na jedwabną tapetę w białe i czerwone pasy. Jego westchnienie, pomieszane z ich westchnieniami, nie miało nic wspólnego z zachwytem.

Tapeta pokryta była dużymi plamami zakrzepłej krwi, upstrzonymi szarobiaławą tkanką. Danny'ego zemdlilo. Przypominało to dziwaczny obraz malowany krwią, surrealistyczną akwafortę wyobrażającą twarz mężczyzny pełną przerażenia i bólu, z ustami szeroko rozdziawionymi i pogruchotaną połową czaszki. . .

(„Więc w razie gdybyś zobaczył coś. . . najzwyczajniej popatrz w inną stronę, a kiedy znów odwrócisz głowę, tego już tam nie będzie. Kapujesz?”)

Umyślnie popatrzył za okno, z miną możliwie najbardziej obojętną, a kiedy mama ujęła go za rękę, starał się nie zdradzić uściskiem ani żadnym sygnałem.

Dyrektor mówił do taty coś o potrzebie zabezpieczenia tego dużego okna okiennicą, żeby silny wiatr nie stłukł szyby. Jack kiwał głową. Danny ostrożnie obejrzał się znów na ścianę. Duża plama zakrzepłej krwi znikła. A także te małe szarobiałe plamy, którymi była upstrzona.

I już Ullman ich wyprowadzał. Mama spytała Danny'ego, czy uważa, że góry są ładne. Przytaknął, chociaż właściwie wcale mu się nie podobały. Kiedy Ullman zamykał za nimi drzwi, Danny zerknął przez ramię. Krew ukazała się ponownie, tylko że teraz świeża. Cieknąca. Ullman, wpatrzony w nią, nie przestawał opowiadać o sławnych ludziach, którzy tu ongiś mieszkali. Danny stwierdził, że zagryzł

wargę aż do krwi, ale nawet tego nie poczuł. Ruszyli dalej korytarzem, a on pozostał nieco w tyle, otarł krew grzbietem dłoni i pomyślał o

(krwi)

(Czy pan Hallorann widział krew, czy gość gorszego?)

(„Nie przypuszczam, żeby te rzeczy mogły wyrządzić ci krzywdę”.)

Wzbierał w nim donośny wrzask, ale Danny zaciskał usta. Mama i tata nie widzą takich rzeczy; nigdy ich nie widzieli. Będzie milczał. Rodzice się kochają i to jest coś prawdziwego. Te inne rzeczy są jak obrazki w książce. Niektóre obrazki są straszne, ale nie mogą zrobić krzywdy. Nie... mogą... zrobić krzywdy.

Pan Ullman pokazywał inne pokoje na trzecim piętrze, prowadząc ich korytarzami krętymi i splątanymi jak labirynt. Same apartamenty, mówił. Pokazał im pokoje, gdzie mieszkała kiedyś pani nazwiskiem Marilyn Monroe, jeszcze jako żona mężczyzny nazwiskiem Arthur Miller (Danny w niejasny sposób uświadomił sobie, że Marilyn i Arthur rozwiedli się wkrótce po swoim pobycie w hotelu Panorama).

— Mamo?

— Co, złotko?

— Jeśli byli małżeństwem, to dlaczego mieli różne nazwiska? Ty i tata macie to samo nazwisko.

— Tak, ale my nie jesteśmy sławni, Danny — powiedział Jack. — Sławne kobiety zachowują swoje nazwiska nawet po ślubie, bo to ich chleb.

— Chleb — powtórzył Danny, nic nie rozumiejąc.

— Tacie chodzi o to, że ludzie lubili chodzić do kina i oglądać filmy z Marilyn Monroe, ale mogliby nie chcieć oglądać filmów z Marilyn Miller.

— Dlaczego? Przecież to nadal byłaby ta sama pani. Czy ludzie by o tym nie wiedzieli?

— Tak, ale... — Wendy bezradnie spojrzała na Jacka.

— Tu mieszkał kiedyś Truman Capote — przerwał Ullman zniecierpliwiony. Otworzył drzwi. — Już za moich czasów. Nadzwyczaj miły człowiek. Kontynentalne maniery.

W żadnym z tych pokoi nie było nic szczególnego poza tym, że Ullman uparcie nazywał je apartamentami; nic, czego bałby się Danny. Właściwie na trzecim piętrze jeszcze tylko jedna rzecz go zaniepokoiła, choć nie umiałby powiedzieć dlaczego, a mianowicie urządzenie przeciwpożarowe na ścianie, które zobaczył, zanim skręcili za rogiem i wrócili do windy, czekającej z otwartymi drzwiami niczym rozdziawione usta, pełne złotych zębów.

Urządzenie było staroświeckie: zwinięty płaski wąż, przytwierdzony do dużego czerwonego zaworu i zakończony mosiężnym wylotem. Zwoje przytrzymała czerwona stalowa listwa na zawiasie. W razie pożaru wystarczyło mocnym pchnięciem podbić ją do góry, odsunąć i sięgnąć po wąż. Tyle Danny wiedział; rozumiał działanie mechanizmów. Już jako dwu i półletni malec otwierał zamkniętą

na klucz bramkę, którą ojciec wstawił u szczytu schodów w domu w Stovington. Danny wiedział, jak działa zamek. Tata powiedział, że to smykałka. Jedni ją mają, drudzy nie.

Urządzenie przeciwpożarowe było trochę starsze od tych, jakie widywał — na przykład od tamtego w przedszkolu — ale to nic dziwnego. Mimo wszystko budziło lekki niepokój, zwinięte na tle jasnoniebieskiej tapety niczym uśpiony wąż. Danny się ucieszył, gdy znikło za zakretem korytarza.

— Oczywiście wszystkie okna należy zabezpieczyć okiennicami — mówił pan Ullman, kiedy wchodzili do windy. Kabina znowu opadła pod ciężarem, przygotowując ich o mdłości. — Ale szczególnie zależy mi na oknie w apartamencie prezydenckim. Pierwotny rachunek za nie wynosił czterysta dwadzieścia dolarów, a to było z górą trzydzieści lat temu. Wymiana szyby kosztowałaby dzisiaj osiem razy tyle.

— Zamknę okiennice — powiedział Jack.

Zjechali na drugie piętro, gdzie było więcej pokoi, korytarze zaś tworzyły jeszcze bardziej splątany labirynt. Teraz, kiedy słońce skryło się za górami, przez okna wpadało coraz mniej światła. Ullman poprzestał na pokazaniu im jednego czy dwóch pokoi. Minął numer 217, ten, przed którym ostrzegwał Danny'ego Dick Hallorann. Danny, urzeczony i pełen niepokoju, spojrzał na groźny numer na drzwiach.

Następnie zjechali na pierwsze piętro. Pan Ullman nie wprowadzał ich tu do żadnego pokoju; dopiero na klatce schodowej, wyścielonej grubym chodnikiem i prowadzącej z powrotem na parter, oznajmił:

— To wasze mieszkanie. Przypuszczam, że państwa zadowolili.

Weszli do środka. Danny spodziewał się nie wiedzieć czego, ale nie było tu nic.

Wendy Torrance odetchnęła z wielką ulgą. Apartament prezydencki wprawiała ją swoją zimną elegancją w zakłopotanie, czuła się tam niezdarna — można wprawdzie zwiedzać jakąś odnowioną budowlę historyczną i sypialnię, w której, jak głosi napis na plakietce, spał kiedyś Abraham Lincoln czy Franklin D. Roosevelt, ale dużo trudniej wyobrazić sobie, że się leży z mężem w olbrzymim łożu i może się z nim kochać tam, gdzie spoczywali ongiś najwięksi ludzie na świecie (w każdym razie najpotężniejsi, poprawiła się sama). To mieszkanie, prostsze, bardziej domowe, niemal zapraszało. Pomyślała, że bez większych trudności mogłaby tu spędzić zimę.

— Jest bardzo przyjemne — pochwaliła i dosłyszała w swoim głosie nutę wdzięczności.

— Skromne, ale całkiem wystarczające — przytaknął Ullman. — W lecie mieszka tu kucharz z żoną albo kucharz i jego pomocnik.

— To tutaj mieszkał pan Hallorann? — wtrącił się Danny.

Pan Ullman łaskawie skłonił głowę.

— Owszem. On i pan Nevers. — Znów odwrócił się do Jacka i Wendy. — To jest salonik.

Stało w nim parę foteli, na oko wygodnych, choć niedrogich, stolik do kawy, niegdyś kosztowny, teraz obłupany z jednego boku, dwa regały (wypchane streszczeniami książek z serii „Reader’s Digest” i trylogiami Klubu Książki Detektywistycznej z lat czterdziestych, co z lekkim rozbawieniem zauważyła Wendy) i anonimowy hotelowy telewizor, znacznie mniej elegancki z wyglądu niż szafkowe aparaty z wypolerowanego drewna w pokojach na górze.

— Oczywiście nie ma tu kuchni — rzekł Ullman — ale jest wyciąg kuchenny. To mieszkanie znajduje się bezpośrednio nad kuchnią. — Odsunął kwadrat boazerii i odsłonił szeroką prostokątną tacę. Pchnął ją, taca zaś zniknęła, wlokąc za sobą linę.

— Sekretne przejście! — zwrócił się w podnieceniu Danny do matki i na chwilę zapomniał o wszystkich strachach, bo zaabsorbował go ten upajający szyb za ścianą. — Zupełnie jak w serialu „Abbott i Costello spotykają się z potworami”.

Ullman zmarszczył brwi, Wendy jednak uśmiechnęła się pobłaźliwie. Danny podbiegł do windy i zajrzał do szybu.

— Tędy, proszę.

Ullman otworzył drzwi po drugiej stronie saloniku. Za nimi znajdowała się sypialnia, przestronna i przewiewna, z dwoma pojedynczymi łózkami. Wendy spojrzała na męża i z uśmiechem wzruszyła ramionami.

— Nic wielkiego — powiedział Jack. — Zsuniemy je.

Pan Ullman obejrzał się przez ramię, szczerze zdziwiony.

— Słucham?

— Łóżka — wyjaśnił grzecznie Jack. — Możemy je zsunąć.

— Och, tak. — Ullman zmieszał się na chwilę. Później twarz mu pojaśniała i spod kołnierzyka koszuli zaczął na nią wypływać czerwony rumieniec. — Jak państwo będą woleli.

Poprowadził ich z powrotem do saloniku, skąd drugimi drzwiami wchodziło się do drugiej sypialni, wyposażonej w łóżka piętrowe. W jednym kącie szcęknał grzejnik, a ohydny chodnik na podłodze wyobrażał szatnię i kaktusy. — Wendy widziała, że Danny już się w nim zakochał. Ściany tego najmniejszego pokoju wyłożone były prawdziwą sosnową boazerią.

— Wytrzymasz tutaj, stary? — zapytał Jack.

— Pewnie. Będę spał na górnym łóżku, zgoda?

— Jak sobie życzysz.

— I podoba mi się chodnik. Proszę pana, dlaczego wszystkie chodniki nie są takie jak ten?

Przez chwilę wydawało się, że pan Ullman ugryzł cytrynę. Potem z uśmiechem pogłaskał Danny’ego po głowie.

— To twoja kwatery — powiedział. — Brak tylko łazienki, do której się wchodzi przez główną sypialnię. Mieszkanie nie jest duże, ale naturalnie mają państwo do dyspozycji cały hotel. Kominiek w holu działa dobrze, jak twierdzi Watson, i proszę jadać na sali, jeśli przyjdzie państwu ochota. — Przemawiał tak, jakby wyświadczał im wielką łaskę.

— Dobrze — odparł Jack.

— Zjedziemy już na dół? — spytał Ullman.

— Doskonale — zgodziła się Wendy.

Zjechali windą do holu całkowicie teraz opustoszałego, gdzie tylko Watson, w kurtce z nie garbowanej skóry i z wykałaczką w ustach, stał oparty o główne drzwi.

— Wyobrażałem sobie, że o tej porze będzie pan daleko stąd — zauważył Ullman z lekkim chłodem w głosie.

— Zostałem dłużej, żeby przypomnieć tu obecnemu panu Torrance'owi o kotle — odrzekł, prostując się, Watson.

— Miej go dobrze na oku, kolego, a będzie działał jak złoto. Kilka razy na dzień trzeba zmniejszać ciśnienie. Bo powoli rośnie.

Powoli rośnie, pomyślał Danny, a w jego głowie słowa te rozbrzmiały echem w długim i cichym korytarzu z lustrami po obu stronach, lustrami, w których ludzie rzadko się przeglądali.

— Będę to robił — powiedział tata.

— Dasz sobie radę. — Watson podał Jackowi rękę. Jack ją uściśnął. Watson z ukłonem zwrócił się do Wendy: — Żegnam panią.

— Było mi bardzo miło — rzekła Wendy, sądząc, że zabrzmiało to absurdalnie. Nie zabrzmiało. Przyjechała z Nowej Anglii, gdzie spędziła całe życie, i w jej mniemaniu ten Watson, ze swoją puszystą grzywą, zawarł w paru krótkich zdaniach wszystko, o co chodziło na Zachodzie. Mniejsza też o to wcześniejsze lubieżne mrugnięcie.

— I młodego panicza. — Watson z powagą wyciągnął dłoń. Danny, który już prawie od roku umiał się witać i żegnać, ostrożnie podał mu rękę i poczuł, jak zostaje zamknięta w uścisku. — Pilnuj ich dobrze, Dan.

— Tak, proszę pana.

Watson wypuścił rączkę Danny'ego i stanął całkiem prosto. Patrzył na Ullmana.

— Do następnego roku, jak sądzę — powiedział, wyciągając rękę.

Ullman ledwo jej dotknął. Pierścionek na jego małym palcu pochwycił światło żarówek w holu i mrugnął jakby złowrogo.

— Dwunastego maja, Watson. Ani o dzień wcześniej, ani o dzień później.

— Tak, proszę pana. — Jack potrafił niemal odczytać wypisany w umyśle Watsona kodycyl: „... ty pieprzony pedale”.

— Życzę panu przyjemnej zimy.

— Ech, wątpię, czy będzie przyjemna — odrzekł Ullman mglście.

Watson otworzył jedno skrzydło drzwi frontowych; wiatr zawodził teraz głośniej i zaczął trzepotać kołnierzem jego kurtki.

— Trzymajcie się, ludzie — rzucił Watson.

Odpowiedział mu tylko Danny:

— Tak, proszę pana, będziemy się trzymać.

Watson, nie taki daleki potomek właściciela tego hotelu, pokornie wyśliznął się za drzwi. Zamknęły się za nim, głuszac wycie wiatru. Patrzyli, jak ze stukiem czarnych sponiewieranych kowbojskich butów schodzi po szerokich schodach werandy. Kruche żółte liście osiki wirowały wokół jego obcasów, kiedy zmierzał przez parking w stronę swojego pikapa. Wsiadł i zapuścił silnik; z zardzewiałej rury wydechowej wystrzelił niebieski dym. Trwali w milczeniu, gdy cofał wóz i wyjeżdżał z parkingu. Samochód zniknął za grzbietem wzgórza i ukazał się ponownie, już mniejszy, na głównej drodze prowadzącej na zachód.

Przez krótką chwilę Danny czuł się tak samotny, jak jeszcze nigdy w życiu.

Rozdział trzynasty

Frontowa weranda

Torrance'owie stali razem na długiej frontowej werandzie Panoramy, jakby pozowali do rodzinnej fotografii: Danny pośrodku, w zeszłorocznej jesiennej kurtce zapinanej na suwak, już za ciasnej i przetartej na łokciu, Wendy za nim, z jedną ręką na jego ramieniu, a Jack na lewo, z dłonią lekko wspartą na głowie syna.

O stopień niżej przystanął pan Ullman w kosztownym płaszczu z brązowego moheru. Słońce zdążyło już zupełnie się skryć za górami, wokół których tworzyło płomienną złotą otoczkę, podczas gdy cienie przedmiotów wydłużało i zabarwiało purpurą. Na parkingach pozostały zaledwie trzy pojazdy, lincoln continental Ullmana, ciężarówka hotelowa i sfatygowany volkswagen Torrance'ów.

— A więc ma pan klucze — zwrócił się Ullman do Jacka — i wie pan, co trzeba, o piecu i kotle.

Jack skinął głową, nieco mu współczując. Wszystko przygotowano na następny sezon, zapięto na ostatni guzik do 12 maja przyszłego roku — ani o dzień wcześniej, ani o dzień później — i Ullman, odpowiedzialny za całość, niewątpliwie zakochany w hotelu, co zdradzał tonem głosu, nie mógł się powstrzymać od tropienia niedociągnięć.

— Chyba wiem wszystko — odparł Jack.

— Doskonale. Będę z panem w kontakcie. — Mimo to wciąż się ociągał, jakby w oczekiwaniu, że wiatr przejmie inicjatywę i może go zdmuchnie do samochodu. Westchnął.

— W porządku. Życzę państwu przyjemnej zimy. I tobie, Danny.

— Dziękuję panu — odrzekł Danny. — Mam nadzieję, że pan też przyjemnie ją spędzi.

— Ech, wątpię — powtórzył smętnie Ullman. — Jeśli mam być całkiem szczerzy, hotel na Florydzie to dziura. Prowadzę go dla zabicia czasu. Prawdziwe moje zajęcie to Panorama. Niech pan za mnie nad nią czuwa — zwrócił się do Jacka.

— Pewno ją tu pan jeszcze na wiosnę zastanie — powiedział Jack; a przez głowę Danny'ego przemknęła myśl

(ale czy nas także?)

i gdzieś się ulotniła.

— Oczywiście. Oczywiście że tak.

Ullman popatrzył w stronę placu zabaw, gdzie żywopłotowe zwierzęta szeleściły na wietrze. Potem jeszcze raz rzeczowo skłonił głowę.

— A więc do widzenia.

Drobnym, szybkim kroczkiem podszedł szybko do samochodu — śmiesznie dużego jak dla tak niewielkiego człowieka — i wpakował się do środka. Silnik lincolna zawarczał, błysnęły tylne światła, gdy wóz wyjeżdżał ze swego miejsca na parking. Kiedy się oddalił, Jack przeczytał niewielki napis przed miejscem: „Zarezerwowane dla p. Ullmana, dyr.”.

— Słusznie — szepnął Jack.

Patrzyli, dopóki samochód zjeżdżający po wschodnim stoku nie zniknął im z oczu. Potem spojrzeli na siebie w milczeniu, nieomal ze strachem. Zostali sami. Osikowe liście wirowały i bezładnie kłębiły się po trawniku, porządnie skoszonym i utrzymanym, chociaż goście nie mieli go oglądać. Nikt prócz ich trojga nie będzie widział jesiennych liści przemykających po trawie. Jack doznał na tę myśl dziwnego uczucia, że się kurczy, jakby jego siła witalna przygasła do nędznej iskierki, podczas gdy hotel wraz ze swym otoczeniem nagle podwoił rozmiary i stał się złowrogi, zaczął ich przytłaczać z ponurą, bezduszną siłą.

— Popatrz na siebie, stary — odezwała się Wendy. — Z nosa ci się leje jak z sikawki strażackiej. Chodźmy do środka.

Weszli i starannie zamknęli za sobą drzwi, aby się odciąć od niespokojnego wycia wiatru.

CZEŚĆ III

Osie gniazdo

Rozdział czternasty

Na dachu

— Och, ty cholerna pieprzona dziwko!

Jack Torrance wykrzyknął te słowa w zdziwieniu i bólu, uderzając się prawą ręką po niebieskiej bawełnianej koszuli roboczej i strącając dużą, ospałą osę, która go użądliła. Następnie zaczął z jak największym pośpiechem gramolić się na dach, ale wciąż oglądał się przez ramię, ciekaw, czy siostry i bracia tej osy nie wyfruwają z odkrytego przez niego gniazda, gotowi do walki. To mogłoby być groźne; gniazdo znajdowało się między nim a drabiną, kłapa zaś prowadząca na strych była zamknięta od środka. Dach od wybetonowanego dziedzińca przy hotelu dzieliło siedemdziesiąt stóp.

Przejrzyste powietrze nad gniazdem było ciche i nieruchome.

Jack z obrzydzeniem gwizdnął przez zaciśnięte zęby, usiadł okrakiem na szczycie dachu i obejrzał palec wskazujący prawej ręki. Palec już zaczynał puchnąć, toteż Jack przypuszczał, że będzie musiał przeleźć koło gniazda do drabiny i zejść na dół, aby zrobić sobie okład z lodu.

Działo się to dwudziestego października. Wendy pojechała z Dannym do Sidewinder hotelową ciężarówką (dość starym rozklekotanym dodge'em, który mimo to budził większe zaufanie niż volkswagen, bardzo już dychawiczny i chyba za-jeżdżony na amen) po trzy galony mleka i sprawunki świąteczne. Na zakupy było za wcześnie, ale nie dało się przewidzieć, kiedy śnieg spadnie na dobre. Miewali już śnieżyce i niektóre odcinki drogi pokrywał lód.

Jak dotąd jesień była niemal nadnaturalnie piękna. Przez te trzy tygodnie, które spędzili w Panoramie, jeden słoneczny dzień następował po drugim. O rześkich porankach temperatura wynosiła minus jeden, a po południu podnosiła się trochę powyżej piętnastu stopni, więc idealnie się nadawała do chodzenia po łagodnie nachylonym dachu zachodniego skrzydła hotelu i wymiany łupków dachówkowych. Jack szczerze wyznał Wendy, że mógłby zakończyć tę pracę cztery dni wcześniej, ale nie zależało mu na pośpiechu. Widok roztaczał się stamtąd wspaniały, jeszcze bardziej malowniczy niż z apartamentu prezydenckiego. Co ważniejsze, sama

praca działała kojąco. Na dachu Jack miał wrażenie, że leczy się z bolesnych ran, jakie odniósł w ciągu minionych trzech lat. Na dachu czuł się spokojny. Te trzy lata zaczynały się wydawać burzliwym koszmarem.

Łupki paskudnie potrzaskały, niektóre zostały całkowicie pozrywane przez zimowe wichury. Zdzierał je i zrzucał na dół z okrzykiem: „Bomba!”, żeby nie trafić Danny’ego, gdyby chłopiec przypadkiem tu zawędrował. Jack usuwał właśnie zniszczoną obróbkę blacharską, gdy użądliła go osa.

Jak na ironię, ilekroć wspinał się na dach, ostrzegał sam siebie przed gniazdami; na wszelki wypadek miał truciznę w aerozolu. Ale tego ranka idealna cisza i spokój uspiły jego czujność. Znów znalazł się w świecie pisanej wolno sztuki, z grubsza opracowywał w myślach scenę, nad którą zamierzał ślęczeć wieczorem. Przez całe to ostatnie niefortunne półrocze w Stovington nie mógł przebrnąć przez kulminacyjną scenę między Denkerem, sadystycznym dyrektorem szkoły, a młodym bohaterem Garym Bensonem. Dręczyło go wtedy tak straszne łaknienie alkoholu, że ledwo mógł się skoncentrować na prowadzeniu lekcji, nie mówiąc już o nadprogramowych zajęciach literackich.

Ale w ciągu minionych dwunastu wieczorów, kiedy rzeczywiście zasiadł do maszyny wypożyczonej z głównego biura na dole, przeszkoda rozpadła się pod jego palcami w sposób równie magiczny, jak wata cukrowa rozpuszcza się w ustach. Prawie bez wysiłku zgłębił tajniki charakteru Denkera, co mu się nigdy dotąd nie udawało, i odpowiednio przerobił niemal cały drugi akt, w którym wszystko obracało się teraz wokół nowej sceny. Trzeci akt zaś, obmyślany w chwili, kiedy osa położyła kres tym rozważaniom, coraz wyraźniej rysował mu się w głowie. W dwa tygodnie mógłby to chyba naszkicować na brudno, a do Nowego Roku zakończyć przepisywanie całej cholernej sztuki.

Miał w Nowym Jorku agentkę, twardą rudowłosą babkę nazwiskiem Phyllis Sandler, która paliła papierosy Herbert Tareyton, piła Jim Beam z papierowego kubka i uważała, że słońce literatury wzeszło i zaszło wraz z Seanem O’Caseyem. Sprzedała trzy opowiadania Jacka, łącznie z tym, które zamieścił w „Esquire”. Jack doniósł jej listownie o sztuce zatytułowanej „Szkółka” i nakreślił zasadniczy konflikt między Denkerem, który ze zdolnego studenta przekształca się w brutalnego i brutalizującego otoczenie dyrektora szkoły przygotowawczej w Nowej Anglii na przełomie stulecia, a Garym Bensonem, uczniem, swoim młodszym *alter ego*. W odpowiedzi Phyllis wyraziła zainteresowanie i doradzała, żeby przeczytał O’Caseya, zanim się do tego zabierze. Napisała ponownie na początku roku zapytaniem, gdzież, do diabła, jest ta sztuka? Wyjaśnił kwaśno, że „Szkółka” na nieokreślony przeciąg czasu utknęła między ręką a kartką papieru, „na tej interesującej intelektualnej pustyni Gobi, znanej jako niemoc twórcza”. Teraz zanosilo się na to, że Phyllis może istotnie otrzymać sztukę. Inna sprawa, czy sztuka będzie dobra i czy ją kiedyś wystawią. Chyba na tym tak bardzo mu nie zależało. W jakiś sposób sama sztuka, cała ta rzecz, wydawała mu się przeszkodą, kolosal-

nym symbolem złych lat spędzonych w szkole przygotowawczej w Stovington, małżeństwa, które nieomal rozbił jak pomyłony dzieciak, siedzący za kierownicą starego gruchota, potwornej napaści na własnego syna, awantury z George'em Hatfieldem na parkingu, zajścia, w którym nie mógł już widzieć po prostu kolejnego przyływu nagłej i niszczycielskiej złości. Teraz sądził, że za piciem kryło się po części podświadome pragnienie, aby się uwolnić od Stovington i poczucia bezpieczeństwa, w jego mniemaniu dławiącego impuls twórczy. Rzucił picie, lecz nie osłabła potrzeba wolności. Stąd George Hatfield. Teraz jedyną pozostałością tamtych czasów jest sztuka na biurku w sypialni jego i Wendy, kiedy zaś ją skończy i prześle do nowojorskiej agencji Phyllis, będzie mógł się zająć czymś innym. Nie zacznie pisać powieści, bo nie ma zamiaru ugrzęznąć w bagnie nowego przedsięwzięcia, zakrojonego na trzy lata, ale na pewno weźmie się do opowiadań. Może zbierze je w tomie.

Ostrożnie zlązł z dachu na czworakach, mijając linię demarkacyjną między świeżymi zielonymi łupkami a kawałkiem oczyszczonym dopiero przed chwilą. Dotarł na skraj na lewo od osiego gniazda i z wielką rozwagą ruszył w jego stronę, gotów w razie niebezpieczeństwa zawrócić i zbiec po drabinie na dół.

Pochylił się nad miejscem, z którego zdarł obróbkę, i zajrzał do środka.

Gniazdo tkwiło między starą obróbką a podkładem. Było cholernie duże. Według Jacka, szarawa papierowa kula mogła mieć ze dwie stopy średnicy. Nie była idealnego kształtu, ponieważ między blachą a deskami brakowało miejsca, ale jego zdaniem, te małe dranie i tak odwaliły kawał porządnej roboty. Na powierzchni gniazda roiły się ocieźzałe, powolne owady. To były te duże, złośliwe, budujące gniazda w ścianach, nie te mniejsze i łagodniejsze, żółte. Pod wpływem jesiennych temperatur stały się niemrawe i ogłupiałe, ale Jack, od dziecka obeznany z osami, uważał się za szczęściarza, użądliła go bowiem tylko jedna. Pomyślał, że gdyby Ullman w środku lata wynajął robotników, człowiek zajęty zrywaniem tego kawałka obróbki przeżyłby moment cholernego zaskoczenia. Jeszcze jakiego. Kiedy kilkanaście os usiądzie na kimś jednocześnie i zacznie go żądlić po twarzy, rękach i ramionach, po nogach przez spodnie, to ten ktoś łatwo może zapomnieć, że się znajduje na wysokości siedemdziesięciu stóp, i podejmując próbę ucieczki, po prostu zlecieć z dachu. A osy są przecież takie małe, nie większe niż ogryzek ołówka.

Czytał gdzieś — w niedzielnym dodatku do gazety czy w czasopiśmie — że siedmiu procent śmiertelnych wypadków na drogach nie da się niczym wytłumaczyć. Nie są spowodowane żadnym defektem mechanicznym, nadmierną prędkością, alkoholem ani złą pogodą. Najzwyczajniej samochód rozbija się na pustym odcinku szosy, ginie jedna osoba, kierowca, więc nie ma kto wytłumaczyć, co się stało. W artykule zamieszczono wywiad z przedstawicielem policji stanowej, który głosił teorię, że wiele z tych tak zwanych „głupich wypadków” powodują owady wewnątrz samochodu. Osa, pszczoła, może nawet pająk czy ćma. Kierow-

ca w strachu próbuje pacnąć owada albo uchylić okno, żeby go wypuścić. Może zostaje ukłuty. Może tylko traci panowanie nad wozem. Tak czy owak, trzask!... i po wszystkim. A owad, zazwyczaj nietknięty, z wesołym bzyczeniem wylatuje z dymiącego wraka i rozgląda się za zieleńszymi pastwiskami. Jack przypomniał sobie, że policjant zachęcał patologów, aby robiąc sekcję takich zwłok, szukali śladów owadziego jadu.

Teraz, kiedy spoglądał na gniazdo, wydało mu się zarówno trafnym symbolem tego, co przeżył (i na co skazał swoją rodzinę), jak i zapowiedzią lepszej przyszłości. Bo jak inaczej można by wytłumaczyć to, co mu się przydarzyło? W jego odczuciu bowiem we wszystkich przykrych doświadczeniach stovingtonskich Jackowi Torrance'owi przypadała bierna rola. On nie robił tych rzeczy; jemu je robiono. Znał mnóstwo nauczycieli w Stovington, w tym dwóch anglistów, tego pociągających z butelki. Zack Tunney kupował beczułkę piwa w sobotę po południu, rzucał ją na noc w zaspę śnieżną za domem i osuszał prawie do dna w niedzielę, kiedy oglądał mecze futbolowe i stare filmy w telewizji. Mimo to w ciągu tygodnia Zack chodził trzeźwy jak sędzia — rzadko wypijał do lunchu słaby koktajl.

Jack Torrance i Al Shockley byli alkoholikami. Dobrali się w korcu maku — dwaj rozbitkowie, na tyle jeszcze towarzyscy, że woleli tonąć razem niż z osobna. Nie w słonym, lecz w wysokoprocentowym morzu, to wszystko. Patrząc w dół, na osy zajęte instynktowną krzątaniem przed nadejściem zimy, w czasie której zginą wszystkie prócz królowej, gotów był przyznać się do czegoś więcej. Nadal jest alkoholikiem, zawsze nim będzie, może stał się nim, kiedy na zabawie po drugim roku studiów pierwszy raz skosztował alkoholu. Nie miało to nic wspólnego z siłą woli lub moralnością, ze słabością czy siłą charakteru. Gdzieś wewnątrz nawalił przełącznik albo nie działał bezpiecznik i on, chcąc nie chcąc zepchnięty po pochylni, staczał się najpierw powoli, potem coraz szybciej, w miarę jak Stovington wywierało naciski. Duża nasmarowana zjeżdżalnia, a u dołu rozbity rower bez właściciela i syn ze złamaną ręką. Jack Torrance w biernej roli. To samo z wybuchami gniewu. Przez całe życie bezskutecznie próbował je opanowywać. Pamiętał, jak w wieku lat siedmiu dostał w skórę od sąsiadki za to, że bawił się zapalkami. Wyszedł na dwór i cisnął kamieniem w przejeżdżający samochód. Ojciec to zobaczył i z rykiem rzucił się na małego Jacka. Stłukł mu siedzenie... a potem podbił oko. Kiedy w końcu, mamrocząc, poszedł do domu na telewizję, Jack napotkał bezpańskiego psa i kopniakiem wrzucił go do rynsztoka. W szkole podstawowej miał na koncie ze dwadzieścia bójek, w średniej jeszcze więcej, i dwukrotnie zawieszano go w prawach ucznia, a niezliczoną ilość razy karano go mimo dobrych wyników w nauce. Futbol okazał się w pewnym sensie kląpą bezpieczeństwa, choć Jack doskonale pamiętał, że prawie każda minuta gry wpływała mu w stanie silnej irytacji, że każdy blok i atak traktował jako osobistą obrazę. Był świetnym piłkarzem, na pierwszym i ostatnim roku studiów grał

w reprezentacji międzyszkolnej i nie wątpił, że jest to zasługa... lub wina jego skłonności do gniewu. Nie lubił futbolu. Każdy mecz rozgrywał z wściekłością.

A jednak przez cały ten czas nie czuł się skurwysynem. Nie czuł się draniem. Zawsze uważał się za Jacka Torrance'a, naprawdę fajnego faceta, który kiedyś będzie się musiał nauczyć powściągnięcia gniewu, zanim napyta sobie biedy. Tak samo będzie się musiał nauczyć panowania nad pociągiem do kieliszka. Ale jego alkoholizm miał podłoże zarówno emocjonalne, jak fizyczne — te dwie podstawowe przyczyny, niewątpliwie ze sobą powiązane, tkwiły w nim gdzieś głęboko, gdzie lepiej nie zaglądać. Dla niego nie miało zresztą większego znaczenia, czy są ze sobą powiązane, czy nie, czy są z natury swej socjologiczne, psychologiczne czy fizjologiczne. Liczyły się skutki: lania, bicie przez ojca, zawieszanie w prawach ucznia, próby tłumaczenia, dlaczego w bójkach na boisku dał szkolną odzież, a później kace, powolny rozkład małżeństwa, jedno koło roweru z powyginanymi szprychami wskazującymi w niebo, złamana ręka Danny'ego. I naturalnie George Hatfield.

Odnosił wrażenie, że niechcący wetknął rękę w wielkie osie gniazdo życia. Była to kiepska przenośnia, lecz w jego odczuciu nieźle obrazowała stan rzeczy. W samym środku lata wetknął rękę w dziurę i tę rękę wraz z całym ramieniem strawił święty, sprawiedliwy ogień, niszcząc świadomą myśl, każąc zapomnieć o zasadach zachowania, które obowiązują w cywilizowanym świecie. Czy można się spodziewać, że człowiek z ręką wbity na rozżarzone igły zachowa się jak istota myśląca? Czy można się spodziewać, że będzie kochał swoich najbliższych, gdy tymczasem brunatna, wściekła chmura wydostaje się przez dziurę w tkance rzeczy (tkance tak na pozór niewinnej) i jak strzała godzi prosto w niego? Czy można go obarczać odpowiedzialnością za własne czyny, kiedy jak szalony biega po pochyłym dachu, siedemdziesiąt stóp nad ziemią, nieświadomy, dokąd zmierza, niepomyślny, że przerażone, chwiejne nogi mogą go zaprowadzić na krawędź, z której się zwali i poniesie śmierć na betonie? Zdaniem Jacka, nie można. Kiedy ktoś niechcący wtyka rękę w gniazdo os, nie obiecuje diabłu, że zrezygnuje ze swego cywilizowanego ja, które cechuje miłość, szacunek i honor. To się po prostu dzieje. W sposób bierny, bez udziału woli, człowiek przestaje się kierować rozumem, zaczyna zaś słuchać zakończeń nerwowych; w pięć sekund z absolwenta college'u łatwo przemienia się w kwilącą małpę.

Pomyślał o George'u Hatfieldzie.

George, wysoki blondyn o bujnych włosach, był niemal wyzywająco piękny. W obcisłych spłowiałych dzinsach i szkolnej trykotowej koszulce z rękawami nie dbale podwiniętymi do łokci, żeby demonstrować opalone przedramiona, przypominał Jackowi młodego Roberta Redforda. Niewątpliwie George bez trudu podbijał serca — podobnie jak ten młody szatan z boiska piłki nożnej, Jack Torrance, przed dziesięcioma laty. Jack doprawdy nie odczuwał w stosunku do George'a zawiści, nie zazdrościł mu urody; właściwie niemal podświadomie zaczął w nim

widzieć fizyczne uosobienie bohatera swej sztuki, Gary'ego Bensona — doskonale kontrastującego z ponurym, przygarbionym, starzejącym się Denkerem, który z czasem zapalał do Gary'ego tak wielką nienawiścią. Lecz on, Jack Torrance, nigdy nie żywił do George'a takich uczuć. Bo przecież by o tym wiedział. W to nie wątpił.

W Stovington George łatwo przechodził z klasy do klasy. Był gwiazdą drużyny piłkarskiej i baseballowej, więc na lekcjach wymagano od niego stosunkowo mało, a sam zadowalał się trójkami, niekiedy zaś czwórką z historii czy botaniki. Na boisku walczył zaciekle, w klasie zaś przejawiał brak zapału i rozbawienie. Jack znał ten typ raczej z własnych czasów uczniowskich i studenckich niż z doświadczenia nauczycielskiego, nabywanego z drugiej ręki. George Hatfield sprawiał niespodzianki. W klasie umiał być cichy i skromny, ale po zastosowaniu odpowiednich bodźców, budzących ducha rywalizacji (jak po przytknięciu elektrod do skroni Frankensteinowskiego potwora, pomyślał Jack z ironią), potrafił się przekształcić w ślepe, niszczycielską siłę.

W styczniu George wraz z dwudziestką kolegów zapisał się do klubu dyskusyjnego. Był z Jackiem całkiem szczerzy. Ojciec, radca prawny dużej korporacji, chciał, żeby syn poszedł w jego ślady. George się zgadzał, bo nie czuł żadnego innego silnego powołania. Uczył się nie najlepiej, ale ponieważ chodził dopiero do szkoły przygotowawczej, miał czas. W razie potrzeby ojciec mógł nacisnąć odpowiednie sprężyny. Osiągnięcia sportowe otwałyby przed George'em jeszcze inne drzwi. Brian Hatfield był jednak zdania, że jego syn powinien należeć do klubu dyskusyjnego. Nauczyłby się przemawiać, a taką umiejętność zawsze brano pod uwagę, przyjmując kandydatów do szkół prawniczych. Więc George zapisał się do klubu, skąd pod koniec marca Jack go wyrzucił.

U schyłku zimy drużynowe dyskusje rozpały w duszy George'a Hatfielda instynkt współzawodnictwa. Stał się zaciekłym dyskutantem, z zapałem gromadził argumenty za lub przeciw. Obojętne, czy chodziło o zalegalizowanie marihuany, przywrócenie kary śmierci, czy o dopuszczalne wydobycie ropy. George zbierał wszelkie możliwe informacje, a na tyle się angażował, że doprawdy było mu wszystko jedno, po której staje stronie, co — jak wiedział Jack — stanowi rzadką i cenną cechę nawet wybitnych dyskutantów. Rasowy spekulant mało się w głębi duszy różni od rasowego dyskutanta. Obu pasjonuje główna szansa. Jak dotąd, wszystko było w porządku.

Ale George Hatfield się jąkał.

Ta wada właściwie nie wychodziła na jaw w klasie, gdzie George zawsze pozostawał chłodny i opanowany (niezależnie od tego, czy odrobił lekcję, czy nie), a już z pewnością na stovingtonskich boiskach, gdzie nie należało rozmawiać i gdzie gracza zbyt zapamiętałe dyskutującego czasami wręcz wykluczano z gry.

George jąkał się w sposób dostrzegalny, kiedy się zapalał w trakcie dyskusji. Im większe ogarniało go ożywienie, tym bardziej się zacinał. Gdy zaś w swoim

odczuciu miał już przeciwnika na muszce, coś w rodzaju intelektualnej tremy myśliwskiej paraliżowało jego ośrodki mowy i wargi. Zastygał wtedy w milczeniu — a czas uciekał. Był to przykry widok.

— W-w-więc chyba trzeba p-p-powiedzieć, że f-f-fakty cytowane w tej sprawie p-p-przez pana D-d-dorsky'ego zdezaktualizowały się w-w-w-wskutek niedawnej d-d-decyzji, p-p-przekazanej. . .

Na dźwięk brzęczyka George odwracał się na swoim miejscu, aby wściekłym wzrokiem przeszyć Jacka, który miał brzęczyk pod ręką. W takich chwilach George się rumienił i konwulsyjnie miął w dłoni notatki.

Jack nie wyrzucał go, choć dawno już pozbył się większości oczywistych nudziarzy, liczył bowiem, że George się wyrobi. Zapamiętał jedno późne popołudnie, może na tydzień przed tym, jak niechętnie dokonał cięcia. George został po wyjściu innych uczniów i ze złością zaatakował Jacka:

— P-p-posunął p-p-pan brzęczyk.

Jack spojrział znad papierów, które chował do teczki.

— O czym ty mówisz, George?

— N-n-nie m-m-miałem pełnych p-p-pięciu minut. P-p-posunął go pan. P-p-patrzyłem na zegar.

— Zegar i brzęczyk mogą wskazywać trochę inny czas, George, ale nawet nie tknąłem tarczy tego diabelstwa. Słowo honoru skauta.

— P-p-pan t-t-to zrobił!

Wojowniczość i zaciekłość w obronie własnych praw, malujące się w oczach George'a, rozgniewały Jacka. Dwa miesiące już nie brał do ust alkoholu, o dwa miesiące za długo, i dało mu się to we znaki. Ostatnim wysiłkiem woli spróbował nad sobą zapanować.

— Zapewniam cię, George, że nie zrobiłem. To sprawa jąkania. Czy domyślasz się, co je wywołuje? Nie jąkasz się w klasie.

— Ja się n-n-nie j-j-jąkam.

— Nie podnoś głosu.

— Pan chce mnie na czymś złapać! N-n-nie chce pan, żebym n-n-należał do tego p-p-pańskiego cholernego klubu!

— Nie podnoś głosu, powiedziałem. Podyskutujmy o tym spokojnie.

— P-p-pieprzę to w-w-wszystko!

— Jeżeli zapanujesz nad jąkaniem, George, chętnie cię zatrzymam. Zawsze jesteś dobrze przygotowany, nie ograniczasz się do samego tematu, więc rzadko pozwalasz się zaskoczyć. Ale to wszystko niewiele znaczy, skoro nie potrafisz zapanować nad. . .

— J-j-ja się n-n-nigdy nie j-j-jąkałem! — krzyknął chłopak. — T-t-to przez p-p-pana! Gdyby k-k-ktos inny prowadził t-t-ten klub, mógłbym. . .

Złość Jacka wzrosła o jeden stopień.

— Nigdy nie będziesz dobrym prawnikiem, George, radcą czy nie radcą, jeśli nie potrafisz nad tym zapanować. Prawo to nie piłka nożna. Dwugodzinne ćwiczenia co wieczór nie załatwią sprawy. Co zrobisz, wstaniesz na zebraniu rady nadzorczej i powiesz: „P-p-panowie, a t-t-teraz pomówmy o t-t-tych szkodach”?

Nagle poczerwieniał, nie ze złości, ale ze wstydu wywołanego własnym okrucieństwem. Miał przed sobą nie dorosłego mężczyznę, lecz siedemnastolatka, który poniósł pierwszą większą porażkę w życiu i może prosił, tak jak umiał, o pomoc.

George obrzucił go ostatnim wściekłym spojrzeniem, wykrzywiając i wydymając usta, z których próbowały się wydobyć uwięzione słowa.

— P-p-pan go p-p-posunął! P-p-pan mnie n-n-nienawidzi, bo p-p-pan wie... p-p-pan wie...

Z krzykiem wypadł z klasy, tak mocno trzasnąwszy drzwiami, że szyba ze zbrojonego szkła zagrzechotała w ramie. Jack stał w miejscu, wyczuwając raczej niż słysząc echo adidasów George’a w pustym korytarzu. W dalszym ciągu zły i zawstydzony, że przedrzeźniał chłopaka, pomyślał z czymś w rodzaju niezdrowego triumfu: pierwszy raz w życiu George Hatfield sięgnął po coś nieosiągalnego. Pierwszy raz coś się nie udało mimo forsy tatusia. Nie można przekupić ośrodka mowy. Nie można zaoferować językowi dodatkowych pięćdziesięciu doliców na tydzień i premii na Boże Narodzenie za to, że nie będzie się zaciął niczym igła gramofonowa na wadliwej płycie. Później nad triumfem wziął górę wstyd i Jack poczuł się podobnie jak po złamaniu ręki Danny’emu.

Boże, przecież nie jestem skurwysynem. Nie, nie.

Ta niezdrowa radość wywołana porażką George’a bardziej pasowała do Denkera ze sztuki niż do dramaturga Jacka Torrance’a.

„Pan mnie nienawidzi, bo pan wie”.

Wie co?

Co takiego mógłby wiedzieć o George’u Hatfieldzie, żeby go nienawidzić? Że George ma przed sobą jeszcze całą przyszłość? Że trochę przypomina Roberta Redforda i że dziewczęta przerywają rozmowy, kiedy on wykonuje podwójny skok z koziołkiem do tyłu z trampoliny? Że gra w piłkę nożną i baseball z naturalnym, nie wystudiowanym wdziękiem?

Śmieszne. Zupełnie absurdalne. Niczego George’owi Hatfieldowi nie zazdrościł. Gdyby prawda wyszła na jaw, okazałoby się, że bardziej cierpi z powodu tego nieszczęsnego jąkania się George’a niż sam chłopak, ponieważ istotnie z George’a byłby znakomity dyskutant. A gdyby Jack posunął brzęczyk — czego oczywiście nie zrobił — stałoby się tak dlatego, że zarówno on, jak inni członkowie drużyny odczuwali skrępowanie na widok zmagania George’a, cierpieli z tego powodu katusze, podobnie jak bolałoby ich, jeśliby podczas zabawy na zakończenie roku szkolnego mówca zapomniał kilku linijek tekstu. Gdyby Jack posunął brzęczyk, zrobiłby to po prostu... żeby oszczędzić George’a.

Ale nie posunął. Tego był całkiem pewny.

W tydzień później skreślił George'a z listy dyskutantów i tym razem nad sobą panował. Krzyczał i wygrażał jedynie George. Po upływie następnego tygodnia Jack wyszedł w trakcie dyskusji na parking po pozostawione w bagażniku volkswagena materiały. Przy samochodzie zobaczył George'a klęczącego na jednym kolanie, z długimi jasnymi włosami opadającymi na twarz i nożem myśliwskim w ręce. George rznął prawą przednią oponę. Tylne opony były już pocięte i płaskie, a garbus siedział na nich jak zmęczony psiak.

— Dobra, George, jeśli tego chcesz, chodź i zażyj swoje lekarstwo.

A George, w zaskoczeniu i strachu, spojrzał w górę.

— Proszę pana... — zaczął, jakby próbując wytłumaczyć, że zaszła pomyłka, że w oponach już brakowało powietrza, kiedy tu przyszedł, i tylko wydłubywał błoto z bieżników przednich kół czubkiem noża do patroszenia zwierzyny, który przypadkiem miał przy sobie, i...

Jack zaatakował ostro, osłaniając się pięściami, i chyba z uśmiechem na ustach. Ale tego nie był pewien.

Ostatnie, co zapamiętał, to że George podniósł nóż i powiedział: „Lepiej niech się pan nie zbliża...”

A potem panna Strong, nauczycielka francuskiego, trzymała już Jacka za ramiona, wrzeszcząc i krzyząc:

— Daj spokój, Jack! Zostaw! Zabijesz go!

Jack rozglądał się dokoła ogłupiały. O cztery jardy od niego niegroźnie połykiwał na asfalcie nóż myśliwski. A volkswagen, biedny, stary gruchot, weteran wielu szalonych pijackich eskapad o północy, stał na trzech sflaczałych kiskach. W prawym przednim błotniku Jack dostrzegł nowe wklęsnięcie, a w nim coś jakby czerwoną farbę czy krew. Na chwilę wszystko mu się pomieszało, myślał

(Jezu Chryste, a jednak go potraciliśmy)

to, co tamtej nocy. Następnie przeniósł wzrok na George'a, w stanie oszołomienia leżącego na asfalcie i mrugającego oczami. Ze szkoły wyszli członkowie klubu dyskusyjnego i, stłoczeni przy drzwiach, wpatrywali się w George'a. Chłopak miał twarz zakrwawioną od niegroźnego rozcięcia głowy, ale krew ciekła mu również z ucha, co przypuszczalnie oznaczało wstrząs mózgu. Kiedy spróbował wstać, Jack wyrwał się pannie Strong i podszedł do niego. George skulił się ze strachu.

Jack położył mu ręce na piersiach i pchnął go z powrotem na ziemię.

— Leż spokojnie — powiedział. — Nie ruszaj się. Odwrócił się do panny Strong, z przerażeniem wpatrzony w nich obu.

— Proszę wezwać lekarza szkolnego — polecił.

Pognała do kancelarii, on zaś spojrzał na swoją grupę dyskusyjną, popatrzył wszystkim prosto w oczy, bo znów panował nad sytuacją, był w pełni sobą, a kiedy

był sobą, był najfajniejszym facetem w całym stanie Vermont. Chłopcy niewątpliwie o tym wiedzieli.

— Możecie iść do domu — rzekł spokojnie. — Następne spotkanie mamy jutro.

Ale do końca tego tygodnia zrezygnowało sześciu, w tym dwóch najlepszych w grupie, co oczywiście nie miało większego znaczenia, ponieważ został poinformowany, że szkoła rezygnuje z niego.

Mimo to jakoś nie zaglądał do butelki i uważał to za pewne osiągnięcie.

I nie czuł do George'a Hatfielda nienawiści. Za to mógł ręczyć. Nie był podmiotem, lecz przedmiotem.

„Pan mnie nienawidzi, bo pan wie. . .”

Nie wiedział jednak nic. Dosłownie nic. Gotów byłby przysiąc na wszystkie świętości, tak jak gotów byłby przysiąc, że nie posunął brzęczyka więcej niż o minutę. I nie z nienawiści, tylko z litości.

Po dachu, koło dziury, łąziły ospale dwie osy.

Obserwował je, dopóki nie rozwinęły skrzydełek wadliwych z punktu widzenia aerodynamiki, lecz mimo to dziwnie sprawnych, i nie wleciały ciężko w październikowe słońce, może po to, by użądlić kogoś innego. Bóg uznał za stosowne wyposażyć je w żądła i Jack uważał, że muszą się nimi posługiwać.

Jak długo tu siedział, zaglądając w dziurę, w której się kryła przykra niespodzianka, i odgrzebując dawne historie? Spojrzał na zegarek. Prawie pół godziny.

Ześliznął się na skraj dachu, przełożył nogę przez krawędź i namacał stopą górny szczebel drabiny tuż pod okapem. Pójdzie do szopy ze sprzętem, gdzie schował truciznę wysoko na półce, poza zasięgiem Danny'ego. Weźmie ją, wróci tu i wtedy osy z kolei się zdziwią. Można zostać ukłutym, ale samemu też można ukłuć. Święcie w to wierzył. Za dwie godziny gniazdo będzie już tylko przeżutym papierem i Danny będzie mógł je trzymać u siebie w pokoju, jeśli zechce — Jack jako mały chłopiec miał takie gniazdo w pokoju i zawsze wydzielało lekką woń dymu drzewnego i benzyny. Danny może je postawić w głowach łóżka. Niczym to nie grozi.

— Już mi lepiej.

Choć nie zamierzał mówić głośno, uspokoił go dźwięk własnego głosu brzmiącego pewnie w ciszy popołudnia. Rzeczywiście czuł się coraz lepiej. Przejście od roli biernej do czynnej jest możliwe, można potraktować coś, co kiedyś doprowadzało do szału, jako rzecz obojętną, budzącą tylko czasami akademickie zainteresowanie. A jeśli gdzieś jest to możliwe, to niewątpliwie tutaj.

Zszedł po drabinie, żeby wziąć rozpylacz. Już one za to zapłacą. Zapłacą za to, że go Ukłuły.

Rozdział piętnasty

Na frontowym dziedzińcu

Dwa tygodnie temu Jack znalazł w szopie ogromny wiklinowy fotel, pomalowany na biało, i zataszczył go na werandę mimo sprzeciwów Wendy, która twierdziła, że ohydniejszego mebla w życiu nie widziała. Siedział w nim teraz, czytając dla przyjemności „Witajcie w Ciężkich Czasach” E. L. Doctorowa, kiedy jego żona i syn z klekotem wjechali na podjazd hotelową ciężarówką.

Wendy zaparkowała na łuku, z fasonem dodała gazu, po czym wyłączyła silnik. Zgasło jedyne tylne światło samochodu. Silnik zaburczał zrzędnie od samozapłonu i wreszcie ucichł. Jack wstał z fotela i powolnym krokiem ruszył na ich spotkanie.

— Cześć, tato! — zawołał Danny, gnając pod górę. W jednym ręku trzymał pudełko. — Patrz, co mi mama kupiła!

Jack podniósł syna, dwa razy okręcił się z nim w kółko i serdecznie ucałował go w usta.

— Jack Torrance, Eugene O’Neill swojego pokolenia, amerykański Szekspir! — powiedziała Wendy z uśmiechem. — Że też spotykam cię tutaj wysoko w górach.

— Obmierzył mi szary tłum, droga pani — odrzekł, obejmując ją ramionami. Ucałowali się. — Jak przebiegła wyprawa?

Patrzyła na dach, a Danny podążył za jej wzrokiem. Z lekko zmarszczonym czołem przyglądał się szerokiej łacie nowych zielonych łupków nad zachodnim skrzydłem Panoramy, nieco jaśniejszych niż dach. Potem spojrział na trzymane w ręku pudełko i twarz ponownie mu pojaśniała. Obrazy pokazane przez Tony’ego wracały nocą, aby go straszyc, z całą swoją pierwotną wyrazistością, lecz w blasku słonecznego dnia łatwiej je było zlekceważyć.

— Spójrz, tato, popatrz!

Jack wziął od syna pudełko. Był to model samochodu, jedna z tych karykatur budzących niegdyś zachwyty Danny’ego. Ta przedstawiała Wściekle Fioletowego Volkswagena, a obrazek na pudełku ukazywał wielkiego fioletowego volkswage-

na ze światłami tylnymi w długiej obudowie, jak u cadillaca coupe de ville '59, rozjaśniającymi drogę gruntową. Nad opuszczonym dachem volkswagena sterowała głowa olbrzymiego, pokrytego brodawkami potwora, kurczowo zaciskającego ręce na kierownicy. Miał on wyłupiaste przekrwione oczy, uśmiech szaleńca i ogromnych rozmiarów angielską czapkę wyścigową odwróconą daszkiem do tyłu.

Wendy uśmiechała się do Jacka, który odpowiedział jej mrugnięciem.

— To mi się u ciebie podoba, stary — zauważył, zwracając pudełko. — Lubisz rzeczy spokojne, stonowane, introspekcyjne. Bez wątpienia jesteś dziecęcciem mych lędźwi.

— Mama mówiła, że pomożesz mi go złożyć, jak będę umiał przeczytać wszystko z pierwszej książeczki o Dicku i Jane.

— Czyli pod koniec tygodnia — uściślił Jack. — Co pani tam jeszcze ma w tej pięknej ciężarówce?

— Hola! — Wendy chwyciła go za ramię i odciągnęła do tyłu. — Tylko bez zaglądanía. Jest tam coś i dla ciebie. Pownosimy to z Dannym do środka. Ty możesz zabrać mleko. Stoi na podłodze w szoferce.

— Tym jestem dla ciebie! — wykrzyknął Jack, klepiąc się po czole. — Zwyczajnym koniem pociągowym. Zwieręcciem roboczym. Pociągnij to, pociągnij tamto.

— Pociągnij tylko mleko do kuchni, mój panie.

— Tego już za wiele! — zaprostestował, rzucając się na ziemię.

Danny stał nad nim, chichocząc.

— Wstawaj, ty wole. — Wendy szturchnęła go czubkiem tenisówki.

— Widzisz? — zwrócił się Jack do Danny'ego. — Nazwała mnie wołem. Biorę cię na świadka.

— Świadka, świadka! — powtórzył radośnie Danny i przeskoczył przez leżącego ojca.

Jack usiadł.

— To mi przypomina, że i ja mam coś dla ciebie, koleżko. Stoi na werandzie obok popielniczki.

— Co to takiego?

— Zapomniałem. Idź i zobacz.

Jack wstał i we dwójkę patrzyli, jak Danny pędzi przez trawnik, po czym wbiega na werandę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Jack objął Wendy w pasie.

— Szczęśliwa jesteś, maleńka?

Spojrzała na niego z powagą.

— Taka szczęśliwa nie byłam od ślubu.

— Naprawdę?

— Klnę się na Boga.

Przytulił ją mocno.

— Kocham cię.

Wzruszona, odwzajemniła uścisk. Jack Torrance nigdy nie szafował tymi słowami; na palcach obu rąk mogłaby policzyć, ile razy je wypowiedział, tak przed, jak i po ślubie.

— Ja też cię kocham.

— Mamo! Mamo! — Danny wołał teraz z werandy głosem piskliwym z podniecenia. — Chodź zobaczyć. Ojej! Jakie ładne!

— Co to takiego? — zapytała Wendy, kiedy trzymając się za ręce szli z parkingu.

— Zapomniałem — odparł Jack.

— Ja ci dam. — Kuksnęła go w bok. — Zobaczysz.

— Mam nadzieję, że dziś w nocy — zauważył, a ona się roześmiała. Po chwili zapytał: — Jak myślisz, czy Danny jest szczęśliwy?

— To ty powinieneś wiedzieć. Prowadzisz z nim przecież co wieczór długie rozmowy.

— Zwykle na temat tego, kim chciałby zostać, kiedy dorośnie, albo tego, czy święty Mikołaj jest rzeczywiście prawdziwy. To zaczyna go bardzo interesować. Musiał chyba robić do tego aluzje jego dawny koleżka Scott. Nie, nie mówił mi dużo o Panoramie.

— Ani mnie. — Wchodzili już na werandę. — Ale często bywa bardzo cichy. I jakby schudł. Naprawdę, Jack.

— Po prostu rośnie.

Danny, odwrócony do nich plecami, oglądał coś na stoliku obok fotela, Wendy nie wiedziała jednak co.

— Je też gorzej. Zwykle wcinał, aż mu się uszy trzęsły. Pamiętasz zeszły rok?

— Tracą apetyt — skonstatował mętnie. — Pewnie czytałem o tym u Spocka. Jak skończy siedem lat, znów zaczniesz pałaszować.

Przystanęli na najwyższym stopniu.

— No i strasznie się przykłada do czytania — ciągnęła. — Wiem, że chce nam zrobić przyjemność... tobie — dorzuciła niechętnie.

— Przede wszystkim sobie — sprostował Jack. — Ja go wcale nie naciskałem. Właściwie wolałbym, żeby się mniej starał.

— Czy uważałbyś to za głupie, gdybym kazała go zbadać? Jest w Sidewinder lekarz, prowadzi praktykę ogólną, sądząc z tego, co mówiła kontrolerka w domu towarowym, człowiek młody...

— Trochę cię denerwuje perspektywa śniegu, co?

Wzruszyła ramionami.

— Pewnie. Jeśli uważasz to za głupie..

— Nie, nie uważam. Właściwie możesz zamówić wizytę dla nas trojga. Dostaniemy świadectwa zdrowia i będziemy mogli spać spokojnie.

— Zamówię po południu — powiedziała.

— Mamo! Patrz, mamo!

Danny podbiegł do niej, trzymając coś dużego i szarego, a Wendy przez jedną komicznie straszną chwilę myślała, że to mózg. Kiedy zobaczyła, co to takiego, cofnęła się instynktownie.

Jack otoczył ją ramieniem.

— Nic się nie bój. Lokatorki, które nie wyfrunęły, zostały wytrząśnięte. Użyłem rozpylacza z trucizną.

Patrzyła na duże osie gniazdo w rękach syna, ale nie chciała go dotknąć.

— Jesteś pewny, że to bezpieczne?

— Absolutnie. Jako dzieciak miałem takie w swoim pokoju. Dostałem od ojca. Chcesz je mieć u siebie, Danny?

— Taak! Zaraz!

Danny odwrócił się na pięcie i wbiegł do holu. Słyszeli, jak ze stłumionym tupotem pędzi po głównych schodach.

— Tam na górze były osy — powiedziała Wendy. — Użądliła cię która?

— Gdzie moje odznaczenie za odniesione rany? — spytał, pokazując dłoń. Choć palec zaczynał już tęchnąć, Wendy użaliła się nad nim i delikatnie go pocałowała.

— Wyciągnąłeś żądło?

— Osy nie zostawiają żadeł. Zostawiają pszczoły, bo mają żądła haczykowate. Żądła os są gładkie. Dlatego osy są takie groźne. Mogą kłuć po wiele razy.

— Jesteś pewien, Jack, że Danny'emu nic się nie stanie, jak będzie trzymał u siebie gniazdo?

— Postąpiłem zgodnie ze wskazówkami na opakowaniu. Producent gwarantuje, że to paskudztwo zabije każdego owada w ciągu dwóch godzin, a potem całkowicie się ulatnia.

— Nie cierpię ich — powiedziała.

— Czego... os?

— Wszystkiego, co żądli. — Objęła łokcie dłońmi i skrzyżowała ręce na pierśsiach.

— Ja też. — Przytulił ją do siebie.

Rozdział szesnasty

Danny

Poprzez korytarz Wendy słyszała dolatujący z sypialni stukot maszyny, którą Jack przyniósł tu z parteru. Maszyna ożywała na trzydzieści sekund, milkła na minutę czy dwie i znów na krótko rozbrzmiewała terkotem. Przypominało to ogień karabinów maszynowych słyszany z odległego bunkra. Dźwięk ten był dla jej uszu muzyką. Jack nie pisał tak regularnie od drugiego roku po ślubie, kiedy to powstało opowiadanie zakupione przez „Esquire’a”. Powiedział, że jego zdaniem sztuka powinna być gotowa pod koniec roku i że niezależnie od tego, jak wyjdzie, on weźmie się za coś nowego. Jest mu obojętne, czy „Szkółka” narobi szumu, kiedy Phyllis pokaże ją ludziom, czy przejdzie nie zauważona, i Wendy wierzyła w to także. Z samym pisaniem wiązała wielkie nadzieje, nie dlatego, że spodziewała się dużo po sztuce, ale dlatego, że jej mąż jak gdyby powoli zamykał ogromne drzwi, wiodące do pokoju pełnego potworów. Już od dłuższego czasu przypierał te drzwi ramieniem, a teraz wreszcie się zamykały.

Przymykała je każda wystukana litera.

— Kto to? To Dick.

Danny siedział pochylony nad pierwszym z pięciu sfatygowanych elementów, które Jack wyszperał, zawzięcie myszkując w niezliczonych antykwariatach w Boulder. Po ich przerobieniu Danny będzie mógł pójść od razu do drugiej klasy. Wendy powiedziała Jackowi, że uważa ten program za zbyt ambitny. Ich syn jest inteligentny, o tym wiedzieli, lecz wymaganie zbyt szybkich i zbyt dużych postępów byłoby błędem. Jack się z tym zgodził. Nie będą wymagać za wiele. Jeżeli jednak chłopczyk prędko będzie się uczył, ich to nie zaskoczy. Teraz zastanawiała się, czy Jack i w tej sprawie nie miał racji.

Danny przez cztery lata oglądał telewizyjny program oświatowy „Ulica Sezamkowa”, przez trzy lata „Electric Company” i, dobrze przygotowany, chwycił wszystko w niesłychanym tempie. Martwiło ją to. Radio kryształkowe i szybowiec z drewna balsy stały na półce nad jego głową, a on garbił się nad niewinnymi książeczkami, jakby jego życie zależało od nauki czytania. Nie podobał jej się wyraz

napięcia na bladej buzi, widzianej w przytulnym blasku lampy, którą umieścili w jego pokoju. Danny traktował z wielką powagą zarówno czytanie, jak odrabianie co dzień po południu ćwiczeń przygotowywanych przez ojca. Na obrazku ananas i cebula. Słowo „ananas” wypisane poniżej przez Jacka dużymi, wyraźnymi drukowanymi literami. Obwiedź kółkiem właściwy obrazek, ten, który pasuje do słowa. Ich syn przenosił wzrok ze słowa na obrazek, poruszał wargami i odczytywał tekst z prawdziwym mozołem. Olbrzymim czerwonym ołówkiem, zaciśniętym w pulchnej prawej ręczce, potrafił już sam napisać ze czterdzieści słów.

Powoli wodził palcem pod słowami w elementarzu. Nad nimi widniał obrazek, który Wendy jak przez mgłę pamiętała z własnych czasów szkolnych, sprzed dziewiętnastu lat. Roześmiany chłopiec z kasztanowatymi kędziorami. Dziewczynka w krótkiej sukience, z włosami w złotych pierścionkach, w jednej ręce trzyma skakankę. Pies w podskokach biegnie za dużą czerwoną gumową piłką. Trójca pierwszoklasisty, Dick, Jane i Jip.

— Jip biega — czytał wolno Danny. — Tak, to Jip. — Urwał i przesunął palec o jedną linijkę niżej. — A tam... — Pochylił się jeszcze bardziej, nosem prawie dotykał stronicy. — A tam...

— Nie pochylaj się tak, stary — cicho powiedziała Wendy. — Popsujesz sobie oczy. To...

— Nie mów mi! — Wyprostował się gwałtownie. W jego głosie dzwięczał niepokój. — Nie mów mi, mamó, sam potrafię!

— Dobrze, skarbie — odparła. — Ale to głupstwo. Naprawdę.

Nie zważając na nią, Danny znów się pochylił z miną, która przywodziła na myśl kandydata na studia podczas egzaminu państwowego. Nie podobało jej się to coraz bardziej.

— A tam... pe. P-i-ł. Piłka. — Nagły triumf. Zaciekłość. Przeraziła ją zaciekłość w jego głosie. — A tam piłka!

— Dobrze — pochwaliła. — Uważam, kochanie, że na dziś wystarczy.

— Jeszcze ze dwie strony, mamó! Proszę cię!

— Nie, stary. — Stanowczo zamknęła książkę w czerwonej okładce. — Pora spać.

— Proszę cię, mamó.

— Nie nudź, Danny. Mama jest zmęczona.

— Dobra. — Ale tęsknie popatrzył na elementarz.

— Idź, daj buzi ojcu, a potem się umyj. Nie zapomnij o zębach.

— Taak.

Wyszedł ociężale, mały chłopczyk w spodniach od piżamy zakończonych stopami i w obszernej flanelowej bluzie, z piłką futbolową na piersi i napisem „Piraci nowoangielscy” na plecach.

Ucichł stukot maszyny i Wendy usłyszała serdeczne dziecinne cmoknięcie.

— Dobranoc, tato.
— Dobranoc, stary. Jak ci poszło?
— Chyba dobrze. Mama kazała mi skończyć.
— Miała rację. Już po wpół do dziewiątej. Idziesz do łazienki?
— Taak.
— Dobrze. W uszach można ci sadzić ziemniaki. I cebulę, i marchew, i szczy-
piorek, i . . .

Zamierający chichot Danny'ego, przerwany zdecydowanym zamknięciem drzwi. Chłopiec nie lubił towarzystwa w łazience, podczas gdy oni nie zwracali na takie rzeczy uwagi. Kolejny znak — a te znaki wciąż się mnożyły — że jest tu z nimi jeszcze jeden człowiek, ani kalka któregoś z nich, ani zlepek obojga. Napełniało ją to lekkim smutkiem. Pewnego dnia Danny stanie się dla nich kimś obcym i ona będzie obca dla niego. . . . byle nie aż tak obca, jak jej własna matka dla niej. Proszę cię, Boże, nie dopuść do tego. Niech dorośnie i nadal kocha swoją matkę.

Maszyna Jacka znów zaczęła się odzywać zrywami.

Wendy, nie wstając z krzesła przy stoliku, przy którym czytał Danny, obrzuciła spojrzeniem pokój syna. Skrzydło szybowca zostało porządnie zreperowane. Na biurczku piętrzył się stos książek z obrazkami, książeczek do kolorowania, starych komiksów z Człowiekiem-Pajakiem w ponadrywanych okładkach, kredek i rozrzuconych klocków. Model volkswagena leżał schludnie na tych drobiazgach, jeszcze nie rozpakowany. Danny z ojcem będą go składać jutro albo pojutrze wieczór, jeśli chłopiec nie zwolni tempa nauki, a już na pewno pod koniec tygodnia. Jak sądziła, podobizny Puchatka, Kłapouchego i Krzysia, równo przypinane pinezkami, wkrótce znikną, a miejsce ich zajmą fotosy ładnych dziewcząt i piosenkarzy rockowych, palących marihuanę. Od niewinności do doświadczenia. To leży w naturze ludzkiej, mała. Chwytaj i warcz. A jednak ją to smuciło. Na przyszły rok Danny pójdzie do szkoły, więc go utraci co najmniej w połowie, bo będzie miał przyjaciół. Choć przez jakiś czas myśleli z Jackiem o drugim dziecku, kiedy w Stovington wszystko układało się dobrze, teraz znów łykała pigułki. Sytuacja rysowała się zbyt niepewnie. Bóg jeden wie, gdzie będą za dziewięć miesięcy.

Wzrok jej padł na gniazdo os.

Zajmowało w pokoju Danny'ego miejsce najbardziej poczesne, na dużym plastikowym talerzu na stoliku obok łóżka. Nie podobało jej się, choć było puste. Pełna niejasnych obaw, że mogą w nim być jakieś zarazki, zamierzała spytać o to Jacka, ale doszła do wniosku, że ją wyśmiej. Jutro zapyta jednak doktora, jeśli zdoła z nim porozmawiać, kiedy Jacka nie będzie w pokoju. Z przykrością myślała o tym czymś, co powstało z jakichś przeżutych substancji i śliny tylu obcych istot, leżącym o stopę od główki jej śpiącego syna.

Woda w łazience wciąż się lała, toteż Wendy wstała i poszła do dużej sypialni, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Jack nie spojrzał na nią; zagubiony

w świecie, który sam tworzył, wpatrywał się w maszynę do pisania, przygryzając papierosa z filtrem.

Delikatnie zastukała do zamkniętych drzwi.

— Wszystko w porządku, stary? Nie śpisz?

Brak odpowiedzi.

— Danny?

Brak odpowiedzi. Nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

— Danny? — Zaczęła się niepokoić, że nie słyszy nic prócz jednostajnego plusku wody. — Danny? Otwórz drzwi, skarbie.

Brak odpowiedzi.

— Danny!

— Chryste Panie, Wendy, nie mogę zebrać myśli, czy musisz przez cały wieczór walić w te drzwi?

— Danny zamknął się na klucz w łazience i nie odpowiada!

Jack wyszedł zza biurka wyraźnie stropiony. Mocno uderzył w drzwi.

— Otwieraj, Danny. Bez żartów.

Brak odpowiedzi.

Jack walnął mocniej.

— Dość wygłupów, stary. Pora spać i koniec. Jak nie otworzysz, sprawię ci lanie.

Wpada w złość, pomyślała i zlekła się jeszcze bardziej. Nie tknął Danny'ego w gniewie od tamtego wieczora przed dwoma laty, ale w tej chwili sprawiał wrażenie dostatecznie rozzłoszczonego, aby to zrobić.

— Danny, kochanie... — zaczęła.

Brak odpowiedzi. Tylko szum wody.

— Danny, jeśli przez ciebie będę musiał wyłamać zamek, prześpisz całą noc na brzuchu — ostrzegł Jack.

Nic.

— Wyłam zamek — powiedziała i nagle trudno już było mówić. — Prędko.

Podniósł nogę i z całej siły kopnął drzwi na prawo od gałki. Kiepski zamek ustąpił natychmiast i drzwi otwarły się z dygotem, rąbnęły w kafelkowaną ścianę łazienki, odbiły się od niej i znów przymknęły.

— Danny! — wrzasnęła Wendy.

Woda lała się obfitym strumieniem do umywalki, obok której leżała tubka pasty do zębów bez nakrętki. Danny siedział na brzegu wanny po drugiej stronie łazienki, ze szczotką do zębów w bezwładnej lewej ręczce i cienką obwódką spienionej pasty wokół ust. Jak w transie wpatrywał się w lustrzane drzwi apteczki nad umywalką. Jego twarz wyrażała oszołomienie i grozę, toteż Wendy przyszło na myśl, że cierpi na jakiś atak epilepsji, a może połknął język.

— Danny!

Danny nie odpowiedział. Z jego ust wydobywały się gardłowe dźwięki.

I wtedy Jack odepchnął ją na bok tak mocno, że walnęła o wieszak na ręczniki, a sam ukląkł przed chłopcem.

— Danny — rzekł. — Danny, Danny! — Pstryknął palcami przed pustymi oczyma Danny'ego.

— Aaa tak — przemówił Danny. — Turniej. Uderzenie. Karrr...

— Danny...

— Roque. — Głos Danny'ego zabrzmiał grubo, niemal po męsku. — Roque. Uderzenie. Młotek do roque'a ma... dwie strony. Caaa...

— O Boże, Jack, co się z nim dzieje?

Jack chwycił chłopca za łokcie i mocno nim potrząsnął. Główka Danny'ego bezwładnie opadła do tyłu, a potem do przodu, jak balon na patyku.

— Roque. Uderzenie. Redrum.

Jack potrząsnął nim po raz drugi i oczy Danny'ego raptownie nabrały wyrazu. Upuszczona przez niego szczoteczka do zębów z cichym stukiem upadła na płytki podłogi.

— Co? — zapytał, rozglądając się dokoła. Zobaczył ojca na klęczkach i Wendy pod ścianą. — Co? — powtórzył z większym niepokojem. — C-c-co się s-s-stało?...

— Nie jąkaj się! — wrzasnął mu nagle Jack prosto w twarz.

Danny krzyknął zaskoczony, zeszywniał, spróbował się cofnąć, a potem wybuchnął płaczem. Jack w udręce przyciągnął go do siebie.

— Och, przepraszam, skarbie. Przepraszam, stary. Proszę cię. Nie płacz. Przepraszam. Już dobrze.

Woda nie przestawała lać się do umywalki i Wendy poczuła, że wkracza w jakiś straszny koszmar, w którym czas się cofa, cofa się do chwili, kiedy jej pijany mąż złamał synowi rękę, a następnie ze łzami wypowiadał nad nim prawie te same słowa.

(„Och, skarbie. Przepraszam. Przepraszam, stary. Proszę cię. Bardzo przepraszam”.)

Podbiegła do nich, wyrwała Jackowi Danny'ego (dostrzegła na jego twarzy wyraz gniewnego wyrzutu, ale nie chciała teraz się nad tym zastanawiać) i dźwignęła w górę. Razem z nim wróciła do małej sypialni. Danny trzymał ją za szyję, a Jack podążał za nimi.

Usiadła na łóżku Danny'ego i kołysała go, uspokajała, powtarzając w kółko słowa pozbawione sensu. Spojrzała na Jacka, lecz jego oczy wyrażały obecnie tylko troskę. Pytając uniósł brwi. Nieznacznie pokręciła głową.

— Danny — mówiła. — Danny, Danny, Danny. Wszystko w porządku, stary. Już dobrze.

W końcu Danny się uspokoił i jedynie lekko dygotał w jej objęciach. Ale odezwał się najpierw do Jacka, który usiadł przy nich na łóżku, ona zaś poczuła dawne słabe ukłucie

(to on jest i zawsze był pierwszy)
zazdrości. Jack na niego krzyknął, ona go pocieszała, a mimo to Danny zwrócił się do ojca:

— Przepraszam, że byłem niegrzeczny.

— Nie ma za co przepraszać, stary. — Jack zwichrzył mu włosy. — Co się tam stało, u diabła?

Oszołomiony Danny powoli kręcił głową.

— Sam... sam nie wiem. Dlaczego powiedziałaś, że mam się nie jękać, tato? Ja się nie jękam.

— Oczywiście że nie — skwapliwie zapewnił go Jack, lecz Wendy poczuła, jak zimny palec dotyka jej serca. Jack zrobił nagle przerażoną minę, jakby na widok czegoś, co mogło być duchem.

— Coś o brzeczyku... — wymamrotał Danny.

— Co? — Jack pochylił się do przodu, a Danny szarpnął się w jej ramionach.

— Straszysz go, Jack! — rzuciła piskliwym, oskarżycielskim tonem. Wtem uświadomiła sobie, że wszyscy się boją. Ale dlaczego?

— Nie wiem, nie wiem — mówił Danny do ojca. — Co... co ja takiego powiedziałem, tato?

— Nic — mruknął Jack. Z tylnej kieszeni spodni wyjął chusteczkę i otarł nią wargi.

Wendy znów odniosła nieprzyjemne wrażenie, że czas się cofa. Ten gest Jacka dobrze pamiętała z okresu, kiedy pił.

— Dlaczego zamknęłaś drzwi na klucz, Danny? — zapytała łagodnie. — Dlaczego to zrobiłaś?

— Tony — odparł. — Tony mi kazał.

Rodzice wymienili spojrzenia nad jego głową.

— Czy Tony mówił dlaczego, synu? — cicho zapytał Jack.

— Myślałem zęby i myślałem o czytaniu — tłumaczył Danny. — Myślałem z całych sił. I... i zobaczyłem Tony'ego daleko w lustrze. Powiedział, że musi znów mi pokazać.

— To znaczy, że stał za tobą? — chciała wiedzieć Wendy.

— Nie, on był w lustrze — odparł Danny z wyraźnym naciskiem. — Daleko w głębi lustro. I wtedy ja przeszedłem przez lustro. Potem pamiętam, że tata mną potrząsał, więc myślałem, że znowu byłem niegrzeczny.

Jack skrzywił się, jakby go ktoś uderzył.

— Nie, stary — powiedział cicho.

— Tony kazał ci zamknąć drzwi na klucz? — Wendy gładziła syna po włosach.

— Tak.

— A co chciał ci pokazać?

Danny zeszywniał w jej ramionach; sprawiało to takie wrażenie, jakby wszystkie mięśnie zamieniły mu się w struny fortepianu.

— Nie pamiętam — wybuchnął. — Nie pamiętam. Nie pytajcie mnie. Ja... ja nic nie pamiętam!

— Ciii — szepnęła Wendy zaniepokojona. Znowu zaczęła go kołysać. — Nie szkodzi, że nie pamiętasz, złotko. Naprawdę.

W końcu Danny nieco się odprężył.

— Chcesz, żebym tu jeszcze trochę została? Poczytała ci coś?

— Nie. Zapal tylko lampkę. — Nieśmiało popatrzył na ojca. — Może ty byś został, tato? Na chwilę?

— Pewnie, stary.

Wendy westchnęła.

— Będę w saloniku, Jack.

— Dobra.

Wstała i patrzyła, jak Danny wsuwa się pod koce. Wydawał się taki maleńki.

— Na pewno dobrze się czujesz, Danny?

— Na pewno. Zapal tylko lampkę ze Snoopym, mamó.

— Oczywiście.

Zapaliła lampkę z podobizną psa Snoopy'ego pogrążonego w głębokim śnie na dachu swej budy. Przed przeprowadzką do Panoramy Danny nigdy nie prosił o nocną lampkę, ale tu wyraźnie jej zażądał. Zgasiła obie lampy, stojącą i wiszącą, po czym obejrzała się na nich dwóch: nad małym białym krążkiem buzi Danny'ego zobaczyła twarz Jacka. Po chwili wahania

(i wtedy ja przeszedłem przez lustro)

cicho się oddaliła.

— Jesteś śpiący? — Jack odgarnął Danny'emu włosy z czoła.

— Taak.

— Chcesz się napić wody?

— Nie...

Przez pięć minut panowało milczenie. Danny leżał nieruchomo, a Jack trzymał mu rękę na głowie. W przekonaniu, że chłopiec usnął, już zamierzał wstać i po cichu wyjść z pokoju, gdy wtem Danny przemówił z pogranicza snu:

— Roque.

Jack się odwrócił — mróz przeniknął go do szpiku kości.

— Danny...?

— Nie zrobiłbyś krzywdy mamie, prawda, tato?

— Nie.

— Ani mnie?

— Nie!

Znów zapadło przedłużające się milczenie.

— Tato?

— Co?

— Tony przyszedł i opowiedział mi o roque'u.

— Naprawdę, stary? Co takiego?

— Mało pamiętam. Ale mówił, że gra się na punkty. Jak w baseball. Czy to nie śmieszne?

— Tak. — Serce głucho waliło Jackowi w piersi. Skąd chłopiec mógł wiedzieć coś takiego? W roque'a rzeczywiście grało się na punkty, tylko nie jak w baseball, lecz jak w krokieta.

— Tato?... — Danny już prawie spał.

— Co?

— Co to jest redrum?

— Red drum? To mi się kojarzy z Indianinem na ścieżce wojennej.

Milczenie.

— Hej, stary?

Ale Danny spał, oddech miał długi, powolny. Jack wpatrywał się w syna przez chwilę i nagle miłość zalała go niczym fala przyływu. Dlaczego tak wrzasnął na chłopca? Przecież to całkiem normalne, że mały trochę się jąkał. Właśnie otrząsał się z oszołomienia czy też z jakiegoś dziwnego transu i w tych okolicznościach jękanie się było czymś absolutnie normalnym. Nie powiedział też „brzęczyk”. Użył innego słowa, coś głupio wymamrotał.

Skąd wiedział, że w roque'a gra się na punkty? Czy od kogoś? Od Ullmana? Od Halloranna?

Jack popatrzył na swoje ręce. Pod wpływem napięcia mocno zacisnął je w pięści,

(Boże, jak bym się napił)

wbijając paznokcie w dłonie niczym małe żelaza do piętnowania bydła. Z wolna zmusił dłonie, aby się otwały.

— Kocham cię, Danny — szepnął. — Bóg mi świadkiem.

Wyszedł z pokoju. Znów wpadł w złość, a choć uczucie to nie było silne, ogarnęło go obrzydzenie i strach. Alkohol by je przytępił, o tak. Przytępiłby to

(coś o brzęczyku)

i wszystko inne. Co do tych słów nie mogło być pomyłki. Żadnej. Każde z nich dźwięczało czysto jak dzwon. Przystanął w korytarzu, obejrzał się do tyłu i odruchowo otarł wargi chusteczką.

W blasku nocnej lampki rysowały się ich ciemne sylwetki. Wendy w samych majtkach podeszła do łóżeczka i znów opatulila Danny'ego, który się rozkopał. Jack od drzwi patrzył, jak Wendy wewnętrzną stroną nadgarstka dotyka czoła syna.

— Ma gorączkę?

— Nie. — Pocałowała chłopca w policzek.
 — Bogu dziękować, że zamówiłaś tę wizytę — powiedział, kiedy do niego podeszła. — Myślisz, że facet zna się na rzeczy?
 — Zdaniem kontrolerki, to bardzo dobry lekarz. Nic więcej nie wiem.
 — Jeśli coś jest nie tak, odeślę cię z nim do twojej matki, Wendy.
 — Nie.
 — Wiem, co czujesz — rzekł, otaczając ją ramieniem.
 — Nie masz pojęcia, co czuję w stosunku do niej.
 — Wendy, do nikogo innego nie możemy się zwrócić. Wiesz o tym.
 — Gdybyś ty pojechał...
 — Bez tej pracy będzie po nas — rzekł po prostu. — Wiesz o tym.
 Powoli skinęła głową. Wiedziała.
 — W czasie rozmowy z Ullmanem myślałem, że tylko tak gada. Teraz nie jestem już pewien. Może naprawdę nie powinienem był podejmować próby razem z wami. Czterdzieści mil od nikąd.
 — Kocham cię — powiedziała. — A Danny kocha cię jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle możliwe. Serce by mu pękło, Jack. I pęknie, jak nas odeślesz.
 — Nie mów w ten sposób.
 — Jeżeli lekarz powie, że coś jest nie w porządku, poszukam pracy w Sidewinder — rzekła. — Jeśli nie znajdę w Sidewinder, pojedziemy z Dannym do Boulder. Nie mogę wrócić do matki, Jack. Nie na tych warunkach. Nie prosź mnie. Ja... ja po prostu nie mogę.
 — Chyba się tego domyślałem. Głowa do góry. Może to głupstwo.
 — Może.
 — Zamówiłaś wizytę na drugą?
 — Tak.
 — Zostawmy drzwi naszej sypialni otwarte, Wendy.
 — Chcę, żeby były otwarte. Ale teraz będzie już chyba spał.
 Nie spał jednak.

Bum... bum... bumbumbum...

Uciekał przed głuchym, wywołującym echo łoskotem przez labirynt korytarzy, a pod jego bosymi stopami szemrała puszysta dżungla błękitu i czerni. Ilekroć słyszał, jak młotek do roque'a wali gdzieś za nim w ścianę, chciał wrzeszczeć na głos. Ale tego robić nie powinien. Nie powinien. Krzyk by go zdradził, a wtedy

(wtedy redrum)

(„Chodź i zażyj swoje lekarstwo, ty pieprzony mazgaju!”)

Och, i słyszał, jak ten ktoś, kto go woła, idzie, idzie po niego korytarzem, naciera niczym tygrys w obcej niebiesko-czarnej dżungli. Ludojad.

(„Chodź, ty mały gówniarzu!”)

Gdyby mógł dopaść do schodów, gdyby mógł zbiec na dół z tego trzeciego piętra, może by się uratował. Nawet gdyby trafił do windy. Gdyby zdołał sobie przypomnieć o tym, o czym zapomniano. Ale w ciemnościach, ogarnięty przerażeniem, stracił orientację. Skręcał to w ten, to w inny korytarz, z sercem podchodzącym do gardła jak gorąca bryłka lodu, i bał się, że za kolejnym zakrętem stanie twarzą w twarz z tygrysem w ludzkiej skórze.

Teraz tuż za nim rozlegał się łoskot, straszny ochrypły krzyk.

Świst młotka w powietrzu,

(roque... bum... roque... bum... redrum)

zanim rąbnął w ścianę. Cichy szmer dżunglowego chodnika pod stopami. W ustach smak paniki tryskającej niby gorzki sok.

(„Przypomnisz sobie o tym, o czym zapomniano...”, ale czy rzeczywiście sobie przypomni? Co to było?)

Uciekał i za następnym zakrętem dojrzał ku swemu absolutnemu przerażeniu, od którego ciarki go przeszły, że znalazł się w ślepym zaułku. Z trzech strony groźnie spoglądały na niego drzwi pozamykane na klucz. Skrzydło zachodnie. Był w skrzydle zachodnim i słyszał, jak na dworze szaleje, zawodzi wichura, dławi się śniegiem wypełniającym jej ciemną gardziel.

Przywarł plecami do ściany, z trwożnym szlochem i sercem łomoczącym jak serce schwytanego w potrzask królika. Kiedy tak stał, tyłem do jasnyniebieskiej jedwabnej tapety w tłoczony wzór falistych linii, nogi się pod nim ugięły i runął na chodnik, rozpościerając dłonie na dżungli splełanych lian i pnączy, ze świstem wdychając i wydychając powietrze.

Głośniejsze. Głośniejsze.

W korytarzu znajdował się tygrys i teraz był tuż za rogiem, nadal wykrzykiwał tym przenikliwym i rozdrażnionym, wściekłym głosem, a młotek do roque'a walił i walił, bo ten tygrys chodził na dwóch nogach i był...

Danny obudził się, chwytając spazmatycznie powietrze, i usiadł na łóżku wyprostowany, jakby kij połknął, z oczyma szeroko otwartymi, zapatrzonymi w mrok, z rękami skrzyżowanymi przed twarzą.

Coś na jednej ręce. Łazi.

Osy. Trzy.

Wtedy go użądliły, chyba równocześnie, i to wtedy wszystkie obrazy rozpadły się na kawałki i zalały go ciemną falą, a on zaczął wrzeszczeć w ciemności, gdy tymczasem osy, uczipione jego lewej ręki, kłuły i kłuły.

Zabłyśły lampy. Danny zobaczył, że tata stoi nad łóżkiem w szortach i z gniewnym spojrzeniem. Mama za nim, rozspana, przerażona.

— Zdejmijcie je ze mnie! — darł się Danny.

— O mój Boże — powiedział Jack. Zobaczył.

— Co się stało, Jack? Co się stało?

Jack bez słowa podbiegł do łóżka, wyrwał spod Danny'ego poduszkę i zaczął nią okładać jego lewe ramię, wymachując w powietrzu. Jeszcze, jeszcze. Wendy dojrzała ciężkie owadzie kształty, które z bzykiem wlatywały w górę.

— Weź jakieś pismo! — wrzasnął przez ramię. — Pozabijaj je!

— Osy?! — spytała i przez chwilę pozostawała obojętna, jakby to do niej nie dotarło. Następnie coś w jej umyśle zaskoczyło, zaistniał związek między świadomością a uczuciem. — Osy, o Jezu, Jack, mówiłeś. . .

— Zaniknij się, do cholery, i zabij je! — ryknął. — Rób, co ci każe!

Jedna osa wylądowała na biurku Danny'ego. Wendy wzięła książeczkę do kolorowania z jego stołu i pacnęła owada. Pozostała po nim lepka brązowa plama.

— Druga osa siedzi na zasłonie — powiedział Jack i wybiegł z Danny'm w ramionach.

Zaniósł go do ich sypialni i położył po stronie Wendy na prowizorycznie zestawionym podwójnym łóżku.

— Leż tu, Danny. Nie wracaj, dopóki ci nie pozwolę. Zrozumiano?

Danny, z buzią obrzmiała i mokrą od łez, skinął głową.

— Dzielny chłopiec.

Jack pognął korytarzem w stronę schodów. Z tyłu dobiegło go dwukrotne płasniecie książeczki do kolorowania, a potem jego żona krzyknęła z bólu. Nie zwalnając i przeskakując po dwa stopnie naraz, wpadł do ciemnego holu. Przez gabinet Ullmana dostał się do kuchni, a choć po drodze wyrzucił udem o kant dębowego dyrektorskiego biurka, prawie tego nie poczuł. Po zapaleniu dwóch górnych świateł podszedł do zlewu. Pozmywane po kolacji naczynia piętrzyły się jeszcze na suszarce, gdzie zostawiła je Wendy, aby obeschły. Chwycił dużą żaroodporną miskę leżącą na wierzchu. Na podłogę spadł półmisek i roztrzaskał się z hukiem. Jack nie przejął się tym, zawrócił i pobiegł z powrotem tą samą drogą przez biuro i w górę schodami. Wendy stała pod drzwiami pokoju Danny'ego, dysząc ciężko. Twarz miała białą jak obrus, oczy lśniące i bez wyrazu; wilgotne włosy opadały jej na szyję.

— Zabiłam wszystkie — powiedziała głucho — ale jedna mnie ucięła. Mówiłeś, Jack, że nie żyją. — Rozpłakała się.

W milczeniu prześliznął się obok niej i podszedł z miską do gniazda stojącego przy łóżku syna. Nie dochodził z niego żaden odgłos. Było puste. Przynajmniej na zewnątrz. Nakrył je miską.

— Już — rzucił. — Chodź.

Wrócili do swojej sypialni.

— Gdzie cię ukłuła?

— W przegub.

— Pokaż.

Wyciągnęła rękę. Tuż nad bruzdami między nadgarstkiem a dłonią widniała mała okrągła dziurka. Dookoła niej ciało zaczynało obrzmiewać.

— Jesteś uczulona na jad? — zapytał. — Zastanów się dobrze. Jeśli tak, to i Danny może być uczulony. Te miałe pieprzone skurwiele ucięły go pięć czy sześć razy.

— Nie — odparła już z większym spokojem. — Ja... ja ich po prostu nie cierpię, to wszystko. Nie cierpię ich.

Danny siedział w nogach łóżka, trzymał się za lewą rękę i patrzył na rodziców. Z wyrzutem zwrócił na Jacka oczy obwiedzione białymi kręgami, co było pozostałością po przeżyтым szoku.

— Mówiłeś, tato, że zabiłeś je wszystkie. Moja ręka... naprawdę mnie boli.

— Pokaż, stary... nie, nie zamierzam jej dotykać. Bo jeszcze bardziej by bolała. Tylko ją wyciągnij.

Danny posłuchał, a Wendy jęknęła.

— Och, Danny... och, twoja biedna rączka!

Później lekarz miał się doliczyć jedenastu śladów po użądleniach. Teraz widzieli jedynie dłoń i palce upstrzone małymi dziurkami, jakby posypane ziarnkami papryki. Ręka mocno napuchła i zaczęła przypominać rękę królika Bugsa czy kaczora Daffy'ego z kreskówek w chwilę potem, jak się walnął w nią młotkiem.

— Wendy, przynieś z łazienki ten lek w aerozolu — polecił Jack.

Wendy poszła, on zaś usiadł przy Danny'm i objął go za ramiona.

— Najpierw spryskamy ci łapkę, a potem kilka razy ją pstrykniemy, stary. Resztę nocy prześpisz z nami, dobra?

— Pewnie — odrzekł Danny. — Ale po co będziesz robił zdjęcia?

— Bo może uda nam się zaskarżyć pewnych ludzi i dać im do wiwatu.

Wendy wróciła z rozpylaczem w kształcie gaśnicy pianowej.

— To nie będzie bolało, skarbie — powiedziała, zdejmując nakrętkę.

Danny wyciągnął rękę, którą ona spryskała z obu stron, aż skóra zaczęła lśnić. Wydał przeciągłe westchnienie i wstrząsnął nim dreszcz.

— Szczypie? — spytała.

— Nie, jest lepiej.

— A teraz to. Masz, schrup sobie. — Podała mu pięć dzieciennych aspiryn o smaku pomarańczowym. Danny wziął pastylki i po jednej włożył do buzi.

— Aż tak dużo? — zdziwił się Jack.

— Dużo razy go ucięły — warknęła gniewnie. — Idź i wyrzuć to gniazdo, Johnie Torrance. Ale już.

— Chwileczkę. — Wyjął polaroid leżący w górnej szufladzie komody. Szperał dalej, aż znalazł kilka kostek do flesza.

— Co ty robisz, Jack? — zapytała z nutą lekkiej hysterii w głosie.

— On robi zdjęcia mojej ręki — odparł Danny z powagą — a potem zaskarżymy pewnych ludzi i damy im do wiwatu. Mam rację, tato?

— Masz — ponuro przytaknął Jack. Znalazł kostki do flesza i zatknął je na

aparatu. — Wyciągnij rękę, synu. Każde ułknięcie szacuję na jakieś pięć tysięcy dolarów.

— O czym ty mówisz?! — prawie wrzasnęła Wendy.

— Zaraz ci wytłumaczę. Zastosowałem się do wskazówek na tym pieprzonym rozpylaczu. Podamy ich do sądu. To draństwo było wybrakowane. Musiało być. Bo jak inaczej można to wytłumaczyć?

— Och — powiedziała cienkim głosem.

Zrobił cztery zdjęcia i każde podawał Wendy, żeby sprawdzała czas na małym zegarku w kopercie, który nosiła na szyi. Danny, zafascynowany myślą o tym, że jego pokłuta ręka może być warta wiele tysięcy dolarów, stopniowo zapomniał o strachu i zaczął zdradzać żywe zainteresowanie. Odczuwał tępe pulsowanie w ręce i lekki ból głowy.

Kiedy Jack schował aparat i rozłożył odbitki na komodzie, żeby wyschły, Wendy zapytała:

— Czy nie powinniśmy jeszcze dziś zawieźć go do lekarza?

— Nie, chyba żeby go bardzo bolało — odparł Jack. — Jeśli ktoś jest silnie uczulony na jad os, powala go to w ciągu trzydziestu sekund.

— Powala? Co masz na... .

— Zapada w śpiączkę. Albo dostaje konwulsji.

— Och! O mój Jezu. — Chwyciła się dłońmi za łokcie i przycisnęła ramiona do ciała, blada i zmizerowana.

— Jak się czujesz, synku? Myślisz, że będziesz mógł zasnąć?

Danny zamrugnął powiekami. W jego umyśle koszmar stopił się z niewyraźnym, zamazanym tłem, ale on nadal się bał.

— Tak, jeśli pozwolicie mi spać z wami.

— Naturalnie — zgodziła się Wendy. — Och, skarbie, tak mi przykro.

— To drobiazg, mamo.

Znów zaczęła płakać i Jack położył jej ręce na barkach.

— Przysięgam ci, Wendy, że trzymałem się wskazówek.

— Zniszczysz je z rana? Tak cię proszę.

— Oczywiście, że zniszczę.

We trójkę położyli się do łóżka i Jack miał już zgasić wiszącą nad nimi lampę, ale zamiast sięgnąć do kontaktu, odrzucił koce.

— Zrobię też zdjęcie gniazda.

— Zaraz wracaj.

— Dobrze.

Wziął z komody aparat i ostatnią kostkę do flesza, a następnie porozumiewawczo pokazał Danny'emu kółko, zetknąwszy kciuk z palcem wskazującym. Danny z uśmiechem odwzajemnił ten gest zdrową ręką.

Co za dzieciak, pomyślał Jack, idąc do jego pokoju. Fantastyczny.

Górne światło wciąż się paliło. Jack podszedł do piętrowego łóżka i dostał gęziej skórki na widok stolika, który stał obok. Krótkie włoski na jego szyi zjeżyły się jak szczecina.

Przez przezroczyste żaroodporne szkło prawie nie mógł dostrzec gniazda. Na wewnętrznej powierzchni miski roilo się od os. Trudno powiedzieć, ile ich tam było. Co najmniej pięćdziesiąt. Może sto.

Z sercem łomoczącym w piersi zrobił zdjęcia, po czym odłożył aparat i czekał, aż zostaną wywołane. Otarł dłonią usta. Jedna myśl stale chodziła mu po głowie, rozbrzmiewała echem

(Wpadłeś w złość. Wpadłeś w złość. Wpadłeś w złość.)

niemal zabobonnego lęku. One wróciły. Zabił osy, lecz one wróciły.

W pamięci usłyszał, jak krzyczy w twarz przestraszonego, zapłakanego syna: „Nie jękaj się!”

Znów otarł usta.

Podszedł do stołu, poszperał w szufladach i znalazł dużą układankę na podstawie z płyty pilśniowej. Na tę płytę ostrożnie przesunął z nocnego stolika miskę z gniazdem w środku. Uwięzione osy bzycały wściekle. Następnie, mocno przyciskając ręką naczynie, żeby się nie ześliznęło, ruszył korytarzem.

— Wracasz do łóżka, Jack? — zapytała Wendy.

— Wracasz do łóżka, tato?

— Muszę na chwilę zejść na dół — odparł beztróskim tonem.

Jak to się stało? Na litość boską, jak?

Bomba w aerozolu nie mogła być niewypałem. Kiedy pociągnął za kółko, ujrzał wydobywające się na zewnątrz kłęby gęstego białego dymu. A kiedy w dwie godziny później wszedł na dach, z otworu w szczycie gniazda wytrząsnął garść martwych owadów.

Więc jak? Czy wskutek samoistnej regeneracji?

To wariactwo. Siedemnastowieczna bzdura. Owady się nie regenerują. A nawet gdyby z jajeczek mogły w dwanaście godzin wylęgnąć się dorosłe owady, to o tej porze roku królowa nie składa przecież jajek. Robi to w kwietniu czy w maju. Jesienią osy zdychają.

Osy, żywe zaprzeczenie tej teorii, wściekle bzycały pod pokrywą.

Zaniósł je do kuchni, skąd tylnymi drzwiami wyszedł na dwór. Zimny nocny wiatr owiał jego prawie nagie ciało, stopy niemal natychmiast skostniały mu od zetknięcia z lodowatym betonem rampy, na którą dostawcy wyładowywali w sezonie mleko dla hotelu. Ostrożnie postawił na ziemi układankę wraz z miską, a gdy się wyprostował, popatrzył na termometr z reklamą gazowanej wody. Słupek rtęci wskazywał równo minus cztery stopnie. Do rana osy zginą z zimna. Jack wszedł do środka i mocno zatrzęsął drzwiami. Po krótkim namyśle przekręcił też klucz.

W drodze powrotnej przez kuchnię pogasił światła. Przystanął w ciemnościach, rozmyślając, marząc o drinku. Raptem hotel jakby rozbrzmiał tysiącem

ukradkowych odgłosów: skrzyknięć, stęknąć i prychnięć wiatru wężącego pod okapami, gdzie może więcej jeszcze osich gniazd wisi niczym mordercze owoce.

One wróciły.

Nagle Jack stwierdził, że Panorama przestaje mu się podobać, że jest tak, jakby jego syna pocięły nie osy, cudem ocalałe po ataku bombowym, lecz sam hotel.

Jego ostatnią myśl przed pójściem na górę do żony i syna

(Od tej pory nie będziesz wpadać w złość. Żeby tam nie wiem co.)

cechowało zdecydowanie, stanowczość i pewność.

Już w korytarzu otarł wargi wierzchem dłoni.

Rozdział siedemnasty

Gabinet lekarski

Danny Torrance, leżący na stole w samych majtkach, wydawał się bardzo mały. Patrzył, jak doktor („Mów mi po prostu Bill”) Edmonds przytacza dużą czarną maszynę na kółkach, i przewracał oczami, żeby lepiej ją widzieć.

— Nic się nie bój, kolego — powiedział Bill Edmonds. — To elektroencefalograf i nie będzie bolało.

— Elektro...

— W skrócie nazywamy to EEG. Przyczepię ci pęczek drutów do głowy... nie, nie wbiję ich, tylko przylepię plastrem... a pióra umieszczone w tej części urządzenia narysują twoje fale mózgowe.

— Jak w filmie „Człowiek z sześcioma milionami dolarów”?

— Podobnie. Chciałbyś być taki jak Steve Austin, kiedy dorośniesz?

— Skądże — odparł Danny, a pielęgniarka zaczęła przylepiać plastrem druty do wygolonych punkcików na jego głowie. — Mój tata mówi, że kiedyś zrobi krótkie spięcie i popłynie w górę g... popłynie w górę strumienia.

— Dobrze znam ten strumień — rzekł uprzejmie lekarz. — Sam płynąłem nim kilka razy, i to bez wiosła. Z EEG potrafimy dowiedzieć się mnóstwa rzeczy, Danny.

— Na przykład?

— Na przykład, czy masz epilepsję, to taka niegroźna choroba, polegająca...

— Taak, wiem, co to epilepsja.

— Naprawdę?

— No pewnie. W moim przedszkolu w Vermont był jeden chłopak... chodziłem do przedszkola, jak byłem mały... i on to miał. Nie pozwalali mu używać tablicy błyskowej.

— Co to takiego, Dan? — Lekarz włączył maszynę.

Cienkie kreski zaczęły wytyczać ślad na papierze milimetrowym.

— Coś z mnóstwem świateł w różnych kolorach. I kiedy się to włączało, zapalały się niektóre kolory, ale nie wszystkie. Należało liczyć kolory, a jak się

nacisnęło odpowiedni guzik, można to było zgasić. Brent nie mógł tego używać.

— Bo jasne światła wywołują czasami atak epilepsji.

— Chce pan powiedzieć, że od używania tablicy Brent mógł dostać drgawek? Edmonds i pielęgniarka wymienili krótkie rozbawione spojrzenia.

— Wyrzuciłeś to niefachowo, ale dokładnie, Danny.

— Co?

— Powiedziałem, że masz rację, powinieneś jednak mówić „atak”, a nie „drgawki”. To nieładnie... no dobrze, a teraz leż cicho jak mysz pod miotłą.

— Dobra.

— Danny, czy przypominasz sobie, że kiedy masz te... no, te twoje... to przedtem widzisz jasne, rozbłyskujące światła?

— Nie.

— A słyszysz dziwne odgłosy? Dzwonienie? Albo coś w rodzaju dzwonka u drzwi?

— Uhu.

— Czujesz może jakiś dziwny zapach, pomarańczy czy trocin? Albo zgnilizny?

— Nie, proszę pana.

— Czasami, zanim stracisz przytomność, zbiera ci się na płacz? Choć nie jest ci smutno?

— Nigdy.

— To świetnie.

— Czy mam epilepsję, panie doktorze?

— Nie sądzę, Danny. Ale staraj się leżeć spokojnie. Zaraz będzie po wszystkim.

Maszyna brzęczała i skrobała jeszcze przez pięć minut, po czym doktor Edmonds ją wyłączył.

— Gotowe, kolego — rzekł różnym tonem. — Sally zdejmie z ciebie te elektrody, a potem przyjdź do sąsiedniego pokoju. Chcę z tobą pogadać, dobra?

— Dobra.

— Sally, zrób mu próbę tuberkulinową, zanim do mnie przyjdzie.

— Dobrze.

Edmonds oddał długi zwój papieru, wyrzucony przez maszynę, i przyglądając mu się, przeszedł do drugiego pokoju.

— Lekko ułkuję cię w rękę — zapowiedziała pielęgniarka, kiedy Danny podciągnął spodnie. — Żeby się upewnić, czy nie masz gruźlicy.

— Robili mi to w zeszłym roku w szkole — oświadczył Danny bez większej nadziei.

— Ale to było dawno temu, a teraz jesteś już duży, prawda?

— Chyba tak — westchnął, składając ramię w ofierze.

Po włożeniu koszuli i butów pomaszerował przez rozsuwane drzwi do gabinetu doktora Edmondsa. Edmonds siedział na brzegu biurka, w zadumie machając nogami.

— Cześć, Danny.

— Cześć.

— Jak się miewa ta ręka? — Wskazał na lewą rękę Danny'ego, luźno owiniętą bandażem.

— Nieźle.

— To świetnie. Popatrzyłem na to EEG i wydaje mi się dobre. Prześlę je jednak mojemu przyjacielowi w Denver, który zarabia na życie odczytywaniem takich rzeczy. Po prostu chcę się upewnić.

— Tak, proszę pana.

— Opowiedz mi o Tonym, Dan.

Danny zaszurał nogami.

— To mój niewidzialny przyjaciel — wyjaśnił. — Wymyśliłem go, żeby mieć towarzystwo.

Edmonds się roześmiał i położył Danny'emu dłonie na ramionach.

— To samo mówią twoja mama i tata. Ale tak między nami, kolego. Jestem twoim lekarzem. Powiedz mi prawdę, a obiecuję, że im nie powtórzę, jeśli nie będziesz chciał.

Danny się zastanowił. Popatrzył na Edmondsa, a potem spróbował się skupić, aby pochwycić tok jego myśli czy przynajmniej nastrój. I wtem w głowie zamajaczył mu dziwnie krzepiący obraz. Szafa z aktami, których drzwi zasuwwały się kolejno, zatrzaśkiwały ze szczękiem. Pośrodku każdych drzwi widniała mała kartka z napisem: A-C, tajne; D-G, tajne; i tak dalej. To go trochę uspokoiło. Powiedział ostrożnie:

— Nie wiem, kim jest Tony.

— Ma tyle lat co ty?

— Nie. Co najmniej jedenaście. A może być jeszcze starszy. Nigdy nie widziałem go z całkiem bliska. Może być w takim wieku, kiedy już wolno prowadzić samochód.

— Widujesz go tylko z daleka, tak?

— Tak, proszę pana.

— I zawsze przychodzi, zanim stracisz przytomność?

— No, ja nie tracę przytomności. Jest tak, jakbym z nim szedł. I on pokazuje mi różne rzeczy.

— Jakie rzeczy?

— No... — Po chwili namysłu Danny opowiedział Edmondsowi o kufrze z całym pisaniem taty i o tym, że ludzie od przeprowadzki nie zgubili go jednak po drodze z Vermont do Kolorado. Kufer przez cały czas stał pod schodami.

— I tata znalazł go tam, gdzie polecił szukać Tony?

— O tak, proszę pana. Tylko że Tony nic nie mówił. On mi pokazał.

— Rozumiem. Danny, co pokazał ci Tony wczoraj wieczorem? Kiedy zamknąłeś się na klucz w łazience?

— Nie pamiętam — odrzekł szybko Danny.

— Jesteś pewien?

— Tak, proszę pana.

— Przed chwilą powiedziałem, że to ty zamknąłeś się na klucz w łazience. Ale to nieprawda, co? To on zamknął drzwi na klucz.

— Nie, proszę pana. Tony nie mógł ich zamknąć, bo nie jest prawdziwy. Chciał, żebym ja to zrobił, więc zrobiłem. Ja zamknąłem drzwi.

— Czy Tony zawsze ci pokazuje, gdzie są zgubione rzeczy?

— Nie, proszę pana. Czasami pokazuje mi rzeczy, które się zdarzą.

— Naprawdę?

— Pewnie. Tak jak wtedy, kiedy mi pokazał wesołe miasteczko i park z dzikimi zwierzętami w Great Barrington. Powiedział, że tata zabierze mnie tam na moje urodziny. No i zabrał.

— Co jeszcze Tony ci pokazuje?

— Znaki. — Danny zmarszczył brwi. — Zawsze mi pokazuje jakieś głupie znaczyska. A ja prawie nigdy nie potrafię ich odczytać.

— Jak myślisz, po co to robi?

— Nie wiem. — Danny się rozpozogodził. — Ale tata i mama uczą mnie czytać, a ja się bardzo staram.

— Żeby odczytywać znaki Tony'ego?

— No, ja naprawdę chcę się nauczyć. Ale i dlatego też.

— Lubisz Tony'ego, Danny?

Danny bez słowa popatrzył na podłogę.

— Danny?

— Nie wiem. Kiedyś go lubiłem. Miałem nadzieję, że będzie przychodził co dzień, bo zawsze pokazywał mi dobre rzeczy, zwłaszcza odkąd mama i tata przestali myśleć o rozwodzie. — Doktor Edmonds przyjrzał mu się baczniejszym wzrokiem, lecz Danny tego nie zauważył. Uparcie wpatrywał się w podłogę, skoncentrowany na wyrażaniu swych myśli. — Ale teraz, ile razy przyjdzie, pokazuje mi złe rzeczy. Straszne rzeczy. Takie jak wczoraj w łazience. Rzeczy, które mi pokazuje, kłują mnie jak te osy. Tyle że kłują tutaj. — Z powagą wymierzył palec w skroń, nieświadomie, po chłopięcemu parodiując gest samobójcy.

— Jakie rzeczy, Danny?

— Nie pamiętam! — wykrzyknął Danny w udreće. — Powiedziałbym panu, gdybym mógł! Ale chyba nie pamiętam, bo to jest takie złe, że nie chcę pamiętać. Kiedy się budzę, pamiętam tylko redrum.

— Red drum czy red rum?

— Rum.

— Co to takiego, Danny?
— Nie wiem.
— Danny?
— Słucham, proszę pana.
— Czy możesz zrobić tak, żeby Tony przyszedł tu teraz?
— Nie wiem. Nie zawsze przychodzi. Nie wiem nawet, czy chcę, żeby dalej przychodził.

— Spróbuj, Danny. Będę tutaj.

Danny niepewnie popatrzył na Edmonsa. Lekarz skinął głową na znak zachęty.

Danny z długim, przeciągłym westchnieniem wyraził zgodę.

— Ale nie wiem, czy mi się uda. Nigdy jeszcze tego nie robiłem, jak ktoś na mnie patrzył. A zresztą Tony nie zawsze przychodzi.

— Jeśli nie przyjdzie, no to trudno — powiedział Edmonds. — Chcę tylko, żebyś spróbował.

— Dobra.

Danny spuścił wzrok na powoli kiwające się mokasyny Edmonsa i wybiegł myślami do mamy i taty. Byli gdzieś w pobliżu... jeśli chodzi o ścisłość, dokładnie za tą ścianą z obrazkiem. W poczekalni. Siedzieli obok siebie, ale nie rozmawiali. Kartkowali pisma ilustrowane. Martwili się. O niego.

Skupił się jeszcze bardziej, ze zmarszczką na czole próbował się wczuć w myśli mamy. Zawsze przychodziło mu to z większym trudem, kiedy rodzice znajdowali się w innym niż on pokoju. A potem zaczął chwycić te myśli. Mama myślała o siostrze. Swojej siostrze. Ta siostra nie żyła. Mama uważała, że to głównie dlatego jej mama stała się taką

(suką?)

taką starą sekutnicą. Bo ta siostra umarła. Była małą dziewczynką, kiedy

(potrafił ją samochód o Boże nigdy bym już czegoś podobnego nie zniósł czegoś takiego jak z Aileen ale co robić jeśli jest chory naprawdę chory ma raka zapalenie opon mózgowych białaczkę guza mózgu jak syn Johna Gunthera albo dystrofię mięśniową o jejku dzieci w tym wieku często dostają białaczki naświetlania chemioterapia na nic takiego nie byłoby nas stać ale oczywiście nikt ci nie każe umierać na ulicy prawda a zresztą nic mu nie jest nic mu nie jest naprawdę nie powinnaś dopuszczać myśli)

(Danny...)

(o Aileen i)

(Danee...)

(tym samochodzie)

(Danee...)

Tony się jednak nie pojawił. Danny słyszał tylko jego głos, a gdy ten głos zaczął przycichać, podążył za nim w ciemną głąb, spadał, staczał się w magicz-

ną dziurę między rozhuśtanymi mokasynami doktora Billa, mijał w locie głośny łoskot, potem wannę cicho przepływającą w mrokach z czymś strasznym rozwalonym w środku, wreszcie jakby słodki dźwięk kościelnych dzwonów i zegar pod szklaną kopułą.

Następnie ciemności przeszył słaby blask pojedynczej żarówki obwieszanej festonami pajęczyn. W mdłym świetle kamienna posadzka sprawiała wrażenie wilgotnej i nieprzyjemnej. Gdzieś w pobliżu rozlegał się jednostajny mechaniczny pomruk, stłumiony jednak i nie budzący strachu. Usypiający. To ta rzecz, która zostanie zapomniana, pomyślał Danny w sennym zdumieniu.

Kiedy jego oczy oswoiły się z ciemnością, tuż przed sobą dojrzał sylwetkę Tony'ego. Tony patrzył na coś i Danny wyteżył wzrok, żeby zobaczyć, co to takiego. (Twój tata. Widzisz twojego tatę?)

Oczywiście, że widział. Nie mógłby go przeoczyć nawet w tym słabym oświetleniu. Tata klęczał na podłodze w podziemiach, promień latarki kierował na stare kartonowe pudła i drewniane skrzynie. Kartony były rozmiękle i zużyte; niektóre popękały i z tych wysypały się na podłogę papiery. Gazety, książki, zadrukowane kartki podobne do rachunków. Tata przeglądał je z wielkim zainteresowaniem. Później spojrział w górę i oświetlił coś innego. Promień latarki wydobył z mroku kolejną księgę, dużą i białą, przewiazaną złotym sznurkiem. Był to album z wycinkami prasowymi. Nagle Danny zapragnął zawołać tatę, powiedzieć mu, żeby nie ruszał tej książki, że niektórych książek nie należy otwierać. Ale tata już się po nią wspinał.

W mechanicznym pomruku Danny rozpoznał huk kotła Panoramy, sprawdzanego przez tatę trzy czy cztery razy dziennie. Odgłos ten zaczął teraz dobiegać złowieszco, rytmicznie przerywany. Przemieniał się jakby... jakby w łoskot. A woń pleśni i wilgotnego, gnijącego papieru stopniowo ustępowała czemuś innemu... intensywnemu jałowcowemu zapachowi Złej Rzeczy. Zapach ten unosił się wokół taty niczym para, kiedy tata sięgał po księgę... i brał ją do ręki.

Tony przebywał gdzieś w mroku

(To nieludzkie miejsce czyni z ludzi potwory. To nieludzkie miejsce)

i w kółko powtarzał te same niezrozumiałe słowa.

(czyni z ludzi potwory.)

Danny znów gdzieś spadał w ciemnościach, tym razem przy akompaniamencie ciężkich, dudniących uderzeń, już nie odgłosów kotła, lecz młotka, który ze świstem walił w pokryte jedwabną tapetą ściany, wzbijał kłęby rozpylonego tynku. Danny kulił się bezradnie na chodniku w niebiesko-czarny splątany wzór.

(Chodź)

(To nieludzkie miejsce)

(i zażyj swoje lekarstwo!)

(czyni z ludzi potwory.)

Z sapaniem, którego echo rozbrzmiało w jego głowie, wyrwał się z mroku. Czuł dotyk czyichś rąk i zrazu się cofnął, bo myślał, że ciemna rzecz z Panoramy należącej do świata Tony'ego zdołała jakoś wrócić za nim do świata rzeczy prawdziwych — gdy wtem usłyszał głos doktora Edmondsa:

— Nic ci nie jest, Danny. Nic ci nie jest. Nic się nie stało.

Danny poznał lekarza, a następnie przedmioty w gabinecie. Wstrząsnęły nim bezwiedne dreszcze. Edmonds go przytrzymał.

Kiedy reakcja osłabła, Edmonds zapytał:

— Mówiłeś coś o potworach, Danny... Co to było?

— To nieludzkie miejsce — odrzekł chłopiec gardłowym głosem: — Tony mi powiedział... to nieludzkie miejsce... czyni... czyni... — Pokręcił głową. — Nie mogę sobie przypomnieć.

— Spróbuj!

— Nie mogę.

— Czy Tony przyszedł?

— Tak.

— Co ci pokazał?

— Ciemność. Łoskot. Nie pamiętam.

— A gdzie ty byłeś?

— Dajcie mi spokój! Nie pamiętam! Dajcie mi spokój! — Danny załkał bezradnie, przestraszony i zawiedziony. Tamto znikło, zmieniło się w kleistą papkę, podobną do zwitka wilgotnego papieru, wspomnienie się zatarło.

Edmonds poszedł i przyniósł mu chłodnej wody w tekturowym kubku. Danny się napił, lekarz po raz drugi napełnił kubek.

— Pomogło?

— Tak.

— Danny, nie chcę cię dręczyć... to znaczy, męczyć pytaniami. Ale czy przypominasz sobie coś, co było przed przyjściem Tony'ego?

— Moja mama — powoli odrzekł Danny — martwiła się o mnie.

— Matki zawsze się martwią, kolego.

— Nie... ona miała siostrę, która umarła, kiedy była małą dziewczynką. Aileen. Mama myślała o tym, jak Aileen potrafił samochód, i dlatego martwiła się o mnie. Nic więcej nie pamiętam.

Edmonds obserwował go z uwagą.

— Myślała o tym teraz? Tam w poczekalni?

— Tak, proszę pana.

— Danny, skąd ty to wiesz?

— Nie wiem — odparł Danny słabym głosem. — Chyba to jasność.

— Co?

Danny bardzo wolno pokręcił głową.

— Jestem strasznie zmęczony. Czy mogę iść do mamy i taty? Nie chcę już odpowiadać na żadne pytania. Jestem zmęczony. I boli mnie brzuch.

— Zbiera ci się na wymioty?

— Nie, proszę pana. Po prostu chcę zobaczyć mamę i tatę.

— Dobrze, Dan. — Edmonds wstał. — Idź i zobacz się z nimi, a potem przyślij ich tutaj, bo chcę z nimi porozmawiać. Zgoda?

— Tak, proszę pana.

— Tam są książki, możesz je sobie przejrzeć. Lubisz książki, prawda?

— Tak, proszę pana — odrzekł ulegle Danny.

— Jesteś grzecznym chłopcem, Danny.

Danny obdarzył go bladym uśmiechem.

— Moim zdaniem, nic mu nie dolega — zwrócił się doktor Edmonds do państwa Torrance. — Fizycznie jest zdrowy. Umysłowo rozgarnięty i obdarzony trochę zbyt bujną wyobraźnią. To się zdarza. Dzieci muszą dorosnąć do swojej wyobraźni jak do za dużych butów. Wyobraźnia Danny'ego wciąż jeszcze go przeraża. Czy sprawdzali państwo jego współczynnik inteligencji?

— Nie wierzę w takie rzeczy — odparł Jack. — Wyznaczają kres nadziejom zarówno rodziców, jak nauczycieli.

Doktor Edmonds potakująco kiwnął głową.

— Może. Ale gdyby państwo przeprowadzili takie badanie, okazałoby się zapewne, że Danny prześcignął swoich rówieśników. Jak na chłopca niespełna sześćioletniego, zdumiewająco dobrze potrafi się wyśłowić.

— My nie mówimy do niego w sposób dziecinny — poinformował Jack z nutką dumy.

— To chyba nigdy nie było potrzebne, bo i tak państwa rozumiał. — Edmonds umilkł i bawił się piórem. — Wpadł w trans przy mnie. Na moją prośbę. Wyglądał dokładnie tak, jak — sądząc z państwa opisu — wczoraj w łazience. Wszystkie mięśnie mu zwiotczały, okłapł, gałki oczne miał wywrócone. Podręcznikowy przykład autohipnozy. Byłem i nie przestaję być zdumiony.

Torrance'owie wychylili się do przodu.

— Co się stało? — zapytała w napięciu Wendy, Edmonds zaś szczegółowo opowiedział o transie Danny'ego, o wymamrotanym zdaniu, z którego zdołał wyłowić jedynie słowo „potwory”, o „ciemności” i „łaskocie”. O późniejszych łzach, niemal histerii i nerwicy żołądka.

— Znowu Tony — oświadczył Jack.

— Co to znaczy? — zapytała Wendy. — Wyrobił pan sobie jakiś pogląd?

— Kilka. Mogą być państwu nie w smak.

— Mimo to proszę mówić — rzekł Jack.

— Ze słów Danny’ego wynika, że jego „niewidzialny przyjaciel” był prawdziwym przyjacielem do waszego wyjazdu z Nowej Anglii. Dopiero od czasu przeprowadzki stał się postacią groźną. Miłe interludia zamieniły się w koszmary, tym bardziej przerażające, że wasz syn dokładnie ich nie pamięta. Jest to zjawisko dość powszechne. Wszyscy wyraźniej pamiętamy przyjemne sny niż straszne. Gdzieś między tym, co świadome, a tym, co podświadome, znajduje się strefa buforowa, zamieszkiwana przez cholernego purytańskiego moralistę. Ten cenzor przepuszcza przez swoje sito bardzo niewiele, a często przedostają się przez nie rzeczy wyłącznie symboliczne. To nadmiernie uproszczony Freud, lecz zarazem niezły opis tego, co wiemy o działaniu ludzkiego umysłu.

— Myśli pan, że przeprowadzka tak strasznie wytrąciła Danny’ego z równowagi? — zapytała Wendy.

— Może, jeśli spowodowało ją coś, co mogło wywołać uraz — odparł Edmonds. — Czy tak było?

Wendy i Jack wymienili spojrzenia.

— Uczyłem w szkole przygotowawczej — wolno powiedział Jack. — Straciłem pracę.

— Rozumiem — rzekł Edmonds. Zdecydowanym ruchem wetknął pióro, którym dotąd się bawił, na powrót do futerału. — Niestety, chodzi tu o coś więcej. Może to być dla państwa bolesne. Wasz syn jest chyba przekonany, że na serio braliście pod uwagę rozwód. Nie krył się z tym, ale tylko dlatego, że jego zdaniem, to już należy do przeszłości.

Jack otworzył usta, a Wendy wzdrygnęła się, jakby ją ktoś uderzył. Krew odpłynęła jej od twarzy.

— Nigdy o tym nie mówiliśmy! — zapewniła. — Ani przy nim, ani między sobą! My...

— Według mnie, najlepiej będzie, jeśli zrozumie pan, jak to było, panie doktorze — powiedział Jack. — Wkrótce po urodzeniu Danny’ego zostałem alkoholiczkiem. Miałem z tym problemy przez cały czas studiów, potem, kiedy poznaliśmy się z Wendy, nastąpiła pewna poprawa, a później — po urodzeniu Danny’ego, gdy nie szło mi pisanie, które uważam za swoją prawdziwą pracę — zdecydowane pogorszenie. Kiedy Danny miał trzy i pół roku, rozlał piwo na moją pisani-
nę... na plik kartek, które zresztą jedynie przekładałem z miejsca na miejsce... i ja... no... niech to diabli. — Głos się Jackowi załamał, ale oczy pozostały suche i patrzyły prosto. — To brzmi tak okropnie, kiedy się o tym mówi. Złamałem Danny’emu rękę, okręciwszy go, żeby mu dać klapsa. Trzy miesiące później przestałem pić. Od tej pory nie tknąłem alkoholu.

— Rozumiem — rzekł Edmonds obojętnym tonem. — Oczywiście wiedziałem o złamaniu ręki. Dobrze ją złożyono. — Odsunął się od biurka i skrzyżował nogi. — Szczerze mówiąc, widać, że od tamtego czasu nie odniósł żadnych obrażeń. Poza ukłuciami os ma tylko zwykłe siniaki i stupy, jakich nigdy dzieciakom

nie brakuje.

— To jasne — przytaknęła Wendy żarliwie. — Jack nie zamierzał. . .

— Nie, Wendy — przerwał jej Jack. — Zamierzałem. Chyba gdzieś w głębi duszy naprawdę chciałem to zrobić. Albo coś jeszcze gorszego. — Ponownie skierował wzrok na Edmondsa.

— Wie pan co, panie doktorze? Przed chwilą po raz pierwszy padło między nami słowo „rozwód”. I „alkoholizm”. I „bicie dziecka”. W ciągu pięciu minut po raz pierwszy wypowiedzieliśmy na głos te cztery słowa.

— To może tkwić u podłoża całej sprawy — rzekł Edmonds. — Nie jestem psychiatrą. Jeśli chcą państwo pokazać Danny’ego specjaliście od dzieci, mogę polecić dobrego lekarza z ośrodka Mission Ridge w Boulder. Ale moja diagnoza wydaje mi się dość trafna. Danny to chłopiec inteligentny, spostrzegawczy, obdarzony wyobraźnią. Nie sądzę, aby małżeńskie problemy rodziców tak wytrąciły go z równowagi, jak się państwu wydaje. Małe dzieci z niejednym umieją się pogodzić. Obcy im jest wstyd, nie widzą potrzeby ukrywania różnych rzeczy.

Jack przyglądał się swoim rękom. Wendy ujęła jego dłoń i ścisnęła.

— Mimo to wyczuwał, co było złe. Z jego punktu widzenia gorsze niż złamanie ręki było zerwanie. . . czy osłabienie. . . więzi między wami dwojgiem. Wspomniał mi o rozwodzie, nie o złamanej ręce. Uwagę pielęgniarki o nastawieniu kości zbył wzruszeniem ramion. Tym się nie przejmował. Powiedział chyba: „To się zdarzyło dawno temu”.

— Co za dzieciak — mruknął Jack. Szczęki miał mocno zaciśnięte, mięśnie twarzy wyraźnie zarysowane. — Nie zasługujemy na niego.

— Ale go macie — oschle skonstatował Edmonds. — On zaś od czasu do czasu ucieka w świat fantazji. Nie ma w tym nic niezwykłego; robi to mnóstwo dzieci. O ile pamiętam, w wieku Danny’ego też miałem swojego niewidzialnego przyjaciela, gadającego koguta imieniem Chug-Chug. Naturalnie nikt prócz mnie go nie widział. Moi dwaj starsi bracia często zostawiali mnie samego, a w takich sytuacjach Chug-Chug okazywał się szalenie przydatny. I naturalnie rozumieją państwo, dlaczego niewidzialny przyjaciel Danny’ego ma na imię Tony, a nie Mike, Hal lub Dutch.

— Tak — powiedziała Wendy.

— Zwracali mu państwo na to uwagę?

— Nie — odparł Jack. — Czy powinniśmy?

— Po co? Niech w odpowiednim czasie, kierując się własną logiką, sam zda sobie z tego sprawę. Proszę zauważyć, że fantazje Danny’ego były znacznie głębiej zakorzenione niż te, które się wiążą ze zwykłym syndromem niewidzialnego przyjaciela, lecz on tym bardziej potrzebował Tony’ego. Tony przychodził i pokazywał mu rzeczy przyjemne. Niekiedy zdumiewające. Zawsze dobre. Raz pokazał, gdzie jest zaginiony kufer taty. . . pod schodami. Kiedy indziej znów, że mama i tata zamierzają go zabrać do wesołego miasteczka w dniu jego urodzin.

— W Great Barrington! — wykrzyknęła Wendy. — Ale skąd mógł to wiedzieć? Czasem wyjedzie z czymś niesamowitym. Prawie jakby...

— ... miał dar jasnowidzenia? — zapytał Edmonds z uśmiechem.

— Urodził się w czepku — powiedziała Wendy niepewnie.

Teraz Edmonds wybuchnął głośnym, serdecznym śmiechem. Jack i Wendy wymienili spojrzenia, po czym też się uśmiechnęli, zdziwieni, że to takie łatwe. Choć Danny miewał niekiedy „trafne domysły”, o tym również rozmawiali z rzadka.

— Za chwilę pani powie, że lewituje — rzekł Edmonds, nadal uśmiechnięty. — Nie, nie, nie, niestety, nie. To nie jest nic pozazmysłowego, tylko zwyczajna ludzka spostrzegawczość, w przypadku Danny’ego niezwykle wyostrożona. Panie Torrance, on wiedział, że kufer jest pod schodami, bo wszędzie indziej pan zaglądał. Proces eliminacji, prawda? Takie to proste, że Ellery Queen byłby się uśmieł. Prędzej czy później i pan by wpadł na ten pomysł. A wesołe miasteczko w Great Barrington komu pierwszemu przyszło do głowy? Państwu czy jemu?

— Oczywiście jemu — przyznała Wendy. — Reklamowali je we wszystkich porannych programach dla dzieci. Oszalał na tym punkcie. Ale my, panie doktorze, nie mogliśmy sobie na taki wyjazd pozwolić. I powiedzieliśmy mu to.

— Potem z redakcji magazynu dla panów, której sprzedawałem opowiadanie w roku siedemdziesiątym pierwszym, dostałem czek na pięćdziesiąt dolarów — wyjaśnił Jack. — Robili przedruk w roczniku czy czymś takim. Więc postanowiliśmy wydać to na Danny’ego.

Edmonds wzruszył ramionami.

— Spełnienie życzeń plus szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Chyba tak, do licha — powiedział Jack.

Edmonds nieznacznie się uśmiechnął.

— Zresztą Danny sam mi mówił, że Tony często pokazywał mu rzeczy, które się nigdy nie zdarzyły. Wizje oparte na nietrafnych spostrzeżeniach, to wszystko. Danny podświadomie robi to, co tak zwani mistycy i osoby czytające w myślach robią z całą świadomością i cynizmem. Podziwiam chłopca za to. Jeśli życie nie zmusi go do schowania чулków, w moim przekonaniu wyrośnie na niezwyklego mężczyznę.

Wendy przytaknęła — naturalnie podzielała to przekonanie — lecz uderzyła ją zbytnia prostota lekarskiego wyjaśnienia. Smakowało raczej jak margaryna niż jak masło. Edmonds z nimi nie mieszkał. Nie widział, jak Danny znajduje zgubione guziki, nie słyszał, jak jej mówi, że program telewizyjny leży pewnie pod łóżkiem, że on powinien chyba pójść do przedszkola w kaloszach... i choć w tym momencie świeciło słońce, parę godzin później wracali do domu pod jej parasolką w ulewnym deszczu. Edmonds nie mógł wiedzieć, jak dziwnie Danny odgaduje myśli ich dwojga. Kiedy wbrew zwyczajowi chciała się napić wieczorem herbaty, szła do kuchni i zastawała na stole filiżankę z torebką w środku. Kiedy sobie przy-

pomniła, że trzeba zwrócić książki do wypożyczalni, znajdowała schludny stosik w przedpokoju na stole, a na wierzchu swoją kartę biblioteczną. Albo kiedy Jack myślał, że powinien wypucować volkswagena, Danny już czekał na niego na krawężniku ze swoim radiem kryształkowym i słuchał hałaśliwej muzyki pierwszej czterdziestki z listy przebojów. Na głos powiedziała:

— Więc dlaczego teraz ma te koszmary? Dlaczego Tony kazał mu się zamknąć na klucz w łazience?

— Według mnie dlatego, że Tony przestał już być przydatny — odrzekł Edmonds. — Urodził się... Tony, nie Danny... wówczas, kiedy oboje z mężem dokładaliście starań, aby zapobiec rozkładowi małżeństwa. Mąż pani pił za dużo. Zdarzył się wypadek ze złamaniem ręki. Zapadło między państwem złowieszcze milczenie.

Złowieszcze milczenie, tak, przynajmniej ten zwrot był prawdziwy. Ponure, spożywane w napięciu posiłki, kiedy wypowiadali jedynie zdania w rodzaju: „Poproszę o masło”, albo: „Danny, dokończ marchewkę”, albo: „Czy mogę już wstać?” Wieczory, gdy Jack wychodził, ona zaś z suchymi oczami kładła się na kanapie, a Danny oglądał program telewizyjny. Ranki, gdy ona i Jack obchodzili się z daleka niczym dwa gniewne koty, a między nimi była drżąca, zalękniona myszka. To wszystko brzmiało prawdziwie,

(Boże, czy stare blizny nigdy nie przestają boleć?)

straszenie, potwornie prawdziwie.

— Ale niejedno się zmieniło — podjął Edmonds. — Jak państwu wiadomo, zachowanie schizoidalne jest dość typowe dla dzieci. My, dorośli, akceptujemy je, ponieważ nie mówiąc o tym na głos, zakładamy, że dzieci są stuknięte. Mają niewidzialnych przyjaciół. W chwilach depresji potrafią pójść do schowka i tam siedzieć, ukryte przed światem. Albo zrobić sobie coś w rodzaju talizmanu z jakiegoś kocyka, misia czy wypchanego tygrysa. Ssą kciuki. Kiedy ktoś dorosły widzi rzeczy nie istniejące, uważamy, że kwalifikuje się do pokoju bez klamek. Kiedy dzieciak mówi, że widział trolla w sypialni albo wampira za oknem, po prostu uśmiechamy się pobłaźliwie. Jednym słowem, tłumaczymy najrozmaitsze takie zjawiska...

— On z tego wyrośnie — powiedział Jack.

Edmonds zamrugał.

— Z ust mi pan to wyjął. Owszem. W tym wypadku sądziłbym jednak, że Danny'emu mogła grozić prawdziwa psychoza. Wszystko za tym przemawiało. Nieszczęśliwa rodzina, bujna wyobraźnia, niewidzialny przyjaciel, tak dla niego rzeczywisty, że niemal stał się kimś rzeczywistym i dla państwa. Zamiast wyrastać ze swojej dziecinnej schizofrenii, mógłby w nią wrastać.

— Czy to by oznaczało autyzm? — spytała Wendy. Czytała o autyzmie. Przebrażała ją samo słowo; wiało od niego grozą i absolutną ciszą.

— Może, ale niekoniecznie. Pewnego dnia mógłby po prostu wkroczyć

w świat Tony'ego i nigdy nie powrócić do tego, co nazywa „rzeczami prawdziwymi”.

— Boże — powiedział Jack.

— Teraz wszakże sytuacja zasadniczo się zmieniła. Pan Torrance już nie pije. Znaleźli się państwo w nowym miejscu, gdzie zmuszeni warunkami, tworzyście rodzinę bardziej zwartą niż kiedykolwiek przedtem — z pewnością lepiej zżyta od mojej, mnie bowiem żona i dzieci widują zaledwie przez dwie, trzy godziny dziennie. Moim zdaniem, ta sytuacja idealnie sprzyja leczeniu. Sam zaś fakt, że Danny tak wyraźnie rozgranicza świat Tony'ego od świata „rzeczy prawdziwych”, bez wątpienia świadczy, że jego stan nie powinien budzić głębszych obaw. Według Danny'ego, nie myślą już państwo o rozwodzie. Czy ma rację, czy też tylko mnie się tak zdaje?

— Tak — odparła Wendy, a Jack ścisnął jej dłoń mocno, prawie do bólu. Odwzajemniła uścisk.

Edmonds kiwnął głową.

— On naprawdę nie potrzebuje już Tony'ego. Wypłukuje go ze swojego organizmu. Tony nie ukazuje teraz miłych wizji, lecz nieprzyjemne koszmary, zbyt przerażające, aby Danny mógł je zapamiętać w całości. Zinternalizował Tony'ego, będąc w trudnej... rozpaczliwej sytuacji życiowej, i teraz Tony nie odchodzi tak łatwo. Ale naprawdę odchodzi. Syn państwa jest trochę jak narkoman zrywający z nałogiem.

Wstał, a oni poszli za jego przykładem.

— Jak mówiłem, nie jestem psychiatrą. Jeśli nadal będzie miał koszmary, kiedy na wiosnę przestanie pan pracować w Panoramie, panie Torrance, bardzo bym radził zawieźć go do tego lekarza w Boulder.

— Zrobię to.

— W takim razie chodźmy mu powiedzieć, że może wracać do domu — rzekł Edmonds.

— Pragnę panu podziękować. — Jack z trudem wykrztusił te słowa. — Już od bardzo dawna nie czułem się tak dobrze.

— I ja także — dorzuciła Wendy.

Przy drzwiach Edmonds przystanął i popatrzył na nią.

— Czy pani ma albo miała siostrę? Imieniem Aileen?

Wendy spojrzała na niego zdziwiona.

— Tak, miałam. Zginęła przed naszym domem w Somersworth, w stanie New Hampshire, kiedy miała lat sześć, a ja dziesięć. Wybiegła za piłką na jezdnię i została potrącona przez ciężarówkę.

— Czy Danny o tym wie?

— Nie wiem. Chyba nie.

— Mówił, że myślała pani o niej w poczekalni.

— Myślałam — odrzekła Wendy powoli. — Po raz pierwszy od... och, od nie wiedzieć jak dawna.

— Czy słowo „redrum” coś dla któregoś z państwa znaczy?

Wendy przecząco pokręciła głową, lecz Jack odparł:

— Danny użył go wczoraj wieczór tuż przed zaśnięciem. Red drum.

— Nie, rum — poprawił go Edmonds. — Powiedział to całkiem wyraźnie. Rum. Jak napój. Napój alkoholowy.

— Och, to pasuje, prawda? — Jack wyjął chustkę do nosa z tylnej kieszeni spodni i otarł nią usta.

— A czy znaczy coś dla państwa słowo „jasność”?

Tym razem oboje pokręcili głowami.

— To chyba nieważne — stwierdził Edmonds. Otworzył drzwi poczekalni. — Czy jest tu ktoś nazwiskiem Danny Torrance, kto chciałby pojechać do domu?

— Cześć, tato! Cześć, mamó! — Danny wstał od małego stolika, przy którym siedział, kartkując powoli książkę i sylabizując łatwiejsze słowa.

Podbiegł do Jacka, ten zaś uniósł go w górę. Wendy zmierzwiła mu włosy.

Edmonds zerknął na chłopca.

— Jeśli nie kochasz swojej mamy i swojego taty, możesz zostać ze starym Billem.

— Nie, proszę pana! — stanowczo zaprotestował Danny. Jednym ramieniem otoczył szyję Jacka, drugim szyję Wendy. Promieniał szczęściem.

— Dobra — uśmiechnął się Edmonds. Popatrzył na Wendy. — W razie jakichś kłopotów proszę o telefon.

— Tak.

— Nie sądzę, żeby państwo je mieli. — Edmonds wciąż się uśmiechał.

Rozdział osiemnasty

Album z wycinkami

Jack znalazł album z wycinkami pierwszego listopada, kiedy jego żona i syn poszli na spacer starą, pokrytą koleinami drogą prowadzącą od boiska do roque'a w stronę opuszczonego tartaku i dwie mile dalej w górę. Trwał okres pięknej pogody i twarze całej trójki pokryły się nieprawdopodobną jesienną opalenizną.

Zszedł do podziemia, żeby spuścić parę w kotle, a następnie, pod wpływem impulsu, wziął latarkę z półki, gdzie leżały schematy instalacji wodociągowej, i postanowił przejrzeć stare papiery. Szukał też odpowiednich miejsc do rozstawienia pułapek na szczury, choć zamierzał to zrobić dopiero za miesiąc. Chcę, żeby wszystkie wróciły po wakacjach do domu, powiedział Wendy.

Świecąc sobie latarką, minął szyb windy, nie używanej na skutek usilnych nalegań Wendy, i przeszedł pod małym kamiennym sklepieniem łukowym. Zmarszczył z obrzydzeniem nos, kiedy poczuł zapach butwiejącego papieru. Za jego plecami kocioł syknął donośnie i Jack aż podskoczył.

Wodził dookoła latarką, niemelodyjnie poświstując przez zęby. Dziesiątki pudeł i skrzynek wypchanych papierami, na ogół pobielalymi i wymiętymi ze starości i pod wpływem wilgoci, tworzyły tutaj miniaturowy łańcuch Andów. Inne opakowania popękały, a pliki żółkłych papierów wysypały się z nich na kamienną posadzkę. Bele gazet powiązane były sznurkiem. Jedne pudła zawierały coś, co wyglądało na księgi główne, inne znów listy przewozowe w gumowych opaskach. Jack wyciągnął i oświetlił taką fakturę.

Rocky Mountain Express, Inc.
Do: Hotel Panorama
Od: Dom towarowy Sideya, ulica 16, nr 1210, Denver, Kolorado
Via: Kolej Canadian Pacific
Zawartość: 400 skrzynek papieru toaletowego Delseya po dwanaście tuzinów rolek w skrzynce

podpis D E F
Data 24 sierpnia 1954

Jack z uśmiechem upuścił kartkę na powrót do pudła. Uniósł latarkę; snop światła natrafił na wiszącą żarówkę, niemal ukrytą pod pajęczynami i pozbawioną łańcuszka, za który się pociąga. Jack wspiał się na palce i spróbował ją dokręcić. Rozbłysła nikłym blaskiem. Wziął tę samą co poprzednio fakturę i przetarł nią żarówkę. Niewiele to pomogło. Z latarką w ręce wędrował więc między pudłami i belami papieru w poszukiwaniu szurzych tropów. Szczury tu były, ale dość dawno temu... może przed kilku laty. Znalazł trochę bobków rozsypujących się ze starości i parę opuszczonych gniazd ze strzępków papieru. Z jednej paczki wyciągnął gazetę i popatrzył na nagłówek.

*Johnson obiecuje spokój
w okresie przejściowym
Mówi o kontynuowaniu w nadchodzącym roku
prac rozpoczętych przez JFK*

Gazeta, „Rocky Mountain News”, nosiła datę 19 grudnia 1963. Z powrotem upuścił ją na stos.

Sądził, że fascynuje go banalność historii, wyczuwalna, gdy się przegląda najnowsze wiadomości sprzed dziesięciu czy dwudziestu lat. Znalazł luki w poukładanych w stopy gazetach i rejestrach; brakowało ich od roku 1937 do 1945, od 1957 do 1960, od 1962 do 1963. W tych okresach przypuszczalnie hotel był zamknięty. A frajerzy myśleli, jak zrobić forszę.

Wyjaśnienia Ullmana dotyczące zmiennych kolei losu Panoramy nadal nie brzmiały w uszach Jacka całkiem prawdziwie. Przecież już samo malownicze położenie Panoramy powinno jej zapewnić stałą rentowność. Zawsze były w Ameryce bogate wędrowne ptaki i, zdaniem Jacka, tu się powinny zatrzymywać w swoich wędrowkach. Pasowało to nawet. Waldorf w maju, Bar Harbor House w czerwcu i lipcu, Panorama w sierpniu i w początkach września — przed dalszą drogą na Bermudy, do Hawany, Rio czy gdzieś indziej. Znalazł stosik starych

spisów gości, które potwierdziły jego teorię. Nelson Rockefeller w 1950. Henry Ford z rodziną w 1927. Jean Harlow w 1930. Clark Gable i Carole Lombard. W 1956 całe najwyższe piętro zajął na tydzień „Darryl F. Zanuck wraz ze swym towarzystwem”. Pieniądze musiały spływać korytarzami do kas rejestrujących niczym jakiś współczesny złotodajny potok. Widocznie kierownictwo hotelu było wyjątkowo nieudolne.

Tu także, nie tylko w nagłówkach gazet, kryła się historia. Pogrzebana wśród ksiąg meldunkowych i rachunkowych, wśród kwitów za jedzenie podawane do pokoi, niełatwo dostrzegalna. W roku 1922 Warren G. Harding zamówił całego łososia o dziesiątej wieczorem i skrzynkę piwa Coors. Ale z kim jadł i pił? Czy grał w pokera? Omawiał strategię? Co robił?

Jack spojrzął na zegarek i ze zdziwieniem stwierdził, że spędził w podziemiu czterdzieści pięć minut. Ubrudził ręce po pachy i pewnie cuchnął. Postanowił pójść na górę i przed powrotem Wendy i Danny’ego wziąć prysznic.

Wolno kroczył między górami papieru, a tymczasem umysł jego działał sprawnie, rozpatrywał różne możliwości z krzepiącym pośpiechem. Jack nie czuł się tak od lat. Nagle wydało mu się, że książka, którą półzartem obiecał sam sobie, może powstać naprawdę. Może nawet jest tutaj, w tych nieporządnym stertach dokumentów. Mogłaby to być powieść lub książka historyczna, albo i jedno, i drugie — coś długiego, co tutaj wzięłoby początek, ale zatoczyłoby szerokie kręgi.

Stanął pod zasnutą pajęczynami żarówką, bez zastanowienia wyjął z tylnej kieszeni chustkę i otarł nią wargi. Właśnie wtedy zobaczył album z wycinkami.

Na lewo od niego pięć ustawionych jedna na drugiej skrzynek tworzyło jakby krzywą wieżę w Pizie. Górna skrzynka zawierała dalsze dokumenty i faktury. Na samym wierzchu od nie wiedzieć jak dawna spoczywał gruby album z wycinkami, oprawiony w białą skórę i zszyty złotym sznurem, zawiązanym na dwie ozdobne kokardki.

Jack podszedł zaintrygowany i wziął go do ręki. Okładkę pokrywała gruba warstwa kurzu. Podniósł album do ust, zdmuchnął kurz i zajrzał do środka, skąd wyfrunęło drukowane zaproszenie. Jack chwycił kartonik w powietrzu, zanim zdążył spaść na kamienną posadzkę. Na pięknym kremowym papierze w oczy rzucał się przede wszystkim wypukły, tłoczony widok Panoramy: światła w oknach i japońskie lampiony, jarzące się na trawniku i placu zabaw. Wydawało się, że nieomal można wejść do środka — do hotelu Panorama sprzed trzydziestu lat.

*Horacy M. Derwent ma przyjemność
zaprosić Pana/Panią na bal maskowy
z okazji uroczystego otwarcia
hotelu Panorama.
Obiad o ósmej wieczorem.*

Zrzucenie masek i tańce o północy
29 sierpnia 1945 r.
Uprasza się o potwierdzenie przybycia

Obiad o ósmej! Zrzucenie masek o północy!

Jack prawie ich widział w jadalni, najbogatszych mężczyzn w Ameryce i ich kobiety. Smokingi i lśniące wykrochmalone koszule; suknie wieczorowe; grającą orkiestrę; połyskujące pantofle na wysokich obcasach. Słyszał brzęk kieliszków, wesołe wystrzały korków od szampana. Wojna się skończyła. Przyszłość leżała przed nimi jasna i promienna. Ameryka odgrywała wobec świata rolę prawdziwej potęgi, wreszcie tej roli świadoma i wreszcie z nią pogodzona.

A później, o północy, sam Derwent zawołał: „Zrzucić maski! Zrzucić maski!”
Maski spadają i...

(...i Mór Czerwony niepodzielnie zawładły wszystkim!)

Jack zmarszczył brwi. Kto to napisał? Poe, wielki pismak amerykański. I niewątpliwie Panoramie — tej oświetlonej, rozjarzonej Panoramie z zaproszenia, które trzymał w ręce — bardzo daleko było do E.A. Poego.

Włożył zaproszenie z powrotem do albumu i odwrócił kartkę. Pod naklejonym wycinkiem z jednej z denverskich gazet wydrapano datę: 15 maja 1947.

Elegancki hotel górski znów otwarty
Wśród gości same gwiazdy
Zdaniem Derwenta, Panorama będzie „światową osobliwością”
David Felton, nasz specjalny reporter

Hotel Panorama liczy sobie trzydzieści osiem lat i w tym czasie otwarto go raz, a potem powtórnie, nigdy jednak w tak wielkim stylu i z takim rozmachem, jak obiecuje to zrobić Horacy Derwent, tajemniczy milioner kalifornijski, a zarazem najnowszy właściciel.

Derwent, nie kryjąc się z tym, że ostatnie przedsięwzięcie kosztowało go ponad milion dolarów — zdaniem niektórych zaś, należałoby raczej powiedzieć trzy miliony — twierdzi, że „nowa Panorama będzie jedną ze światowych osobliwości i że każdy, kto spędzi noc w tym hotelu, będzie ją pamiętał przez następne trzydzieści lat”.

Derwent, rzekomy posiadacz solidnego pakietu akcji Las Vegas, na pytanie, czy zakup i remont Panoramy są pierwszym strzałem oddanym w bitwie o zalegalizowanie w Kolorado domów gry, udzielił przeczącej odpowiedzi... z uśmiechem. „Hazard byłby czymś niegodnym Panoramy — powiedział magnat lotniczy, filmowy, zbrojeniowy i okrętowy — i nie myślcie, że chcę zrujnować Vegas! Nie

mogę tego zrobić, bo mam tam zbyt wielu krupierów! Zabiegi kuluarowe, zmierzające do zalegalizowania hazardu w Kolorado, nie leżą w moim interesie. Mijałyby się z celem”.

Kiedy Panorama zostanie oficjalnie otwarta (jakiś czas temu, po zakończeniu robót, odbyło się tam wielkie, wspaniałe przyjęcie), w świeżo odmalowanych, wytapetowanych i umeblowanych pokojach zamieszkają same gwiazdy, począwszy od projektanta „Chic”, Corbata Stani, a na...

Jack odwrócił kartkę z nieprzytomnym uśmiechem. Teraz patrzył na całostro nicową reklamę działu podróży niedzielnego nowojorskiego „Timesa”. Wycinek na następnej stronie poświęcony był samemu Derwentowi, łysiejącemu mężczyź nie o przenikliwym spojrzeniu, bystrym nawet na starej fotografii w gazecie. Nosił okulary bez oprawki, a cienki wąsik w stylu lat czterdziestych bynajmniej nie upo dabniał go do Errola Flynna. Miał typową twarz księgowego. To oczy nadawały mu wygląd kogoś lub czegoś innego.

Jack szybko przebiegł wzrokiem artykułu. Większość szczegółów pamiętał, bo rok wcześniej czytał o Derwencie w „Newsweeku”. Urodzony w biednej rodzinie w St. Paul, Horacy nie ukończył szkoły średniej, gdyż zaciągnął się do marynarki. Tam szybko awansował, lecz zrezygnował ze służby w następstwie zacieklego sporu o patent na nowy typ śruby okrętowej, którą zaprojektował. Jak można było przewidzieć, w tym zmaganiach między marynarką a nikomu nie znanym młodym człowiekiem zwyciężył Wuj Sam. Ale Wuj Sam nigdy już nie dostał żadnego z mnóstwa patentów Horacego Derwenta.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych Derwenta zainteresowało lot nictwo. Wykupił zbankrutowaną spółkę zajmującą się opylaniem pól z samolo tów, przekształcił ją w pocztę lotniczą i prosperował. Zgłaszał kolejne patenty: projekt skrzydła nowego jednopłatowca, wózek do bomb używany w latających fortcach, z których deszcz ognia spadał na Hamburg, Drezno i Berlin, karabin maszynowy chłodzony alkoholem, prototyp fotela wyrzucanego, zastosowanego później w amerykańskich odrzutowcach.

A równocześnie księgowy i wynalazca w jednej osobie wciąż gromadził loka ty. Kilka małych fabryczek amunicji w stanach Nowy Jork i New Jersey. Pięć za kładów włókienniczych w Nowej Anglii. Fabryki chemiczne na zbankrutowanym, ledwie dyszącym Południu. Pod koniec kryzysu miał w całym majątku zaledwie garść udziałów kontrolnych, które kupił po nieopisanie niskich cenach i mógł sprzedawać tylko po cenach jeszcze niższych. W pewnym momencie chwalił się, że kompletna likwidacja interesów przyniosłaby mu tyle, ile kosztuje trzyletni chevrolet.

Jack przypominał sobie pogłoski, jakoby niektóre sposoby stosowane przez Derwenta w celu utrzymania się na powierzchni miały niezbyt przyjemny posma-

czek. Jego nazwisko kojarzono w przemyśle alkoholu. Prostyucją na Środkowym Zachodzie. Szmugłem na przybrzeżnych obszarach Południa, gdzie posiadał fabryki nawozów sztucznych. Wreszcie z udziałami w powstających na Zachodzie domach gry.

Zapewne najstynniejszą jego lokatą było podupadające studio Top Mark, w którym nie nakręcono żadnego kasowego filmu od śmierci Małej Margery Morris, zmarłej w roku 1934 wskutek przedawkowania heroiny. Gwiazdka ta miała lat czternaście, a jej specjalnością były role słodkich siedmiolatek zapobiegających rozkładowi małżeństw i ratujących psy niesłusznie oskarżane o zagryzanie kurcząt. Studio Top Mark wyprawiło jej najwspanialszy w dziejach pogrzeb hollywoodzki — w wersji oficjalnej Mała Margery nabawiła się „wyniszczającej choroby” podczas występów w nowojorskim sierocińcu — i ten czy ów cynik sugerował, że tak hojnie sypnęło dolcami, wiedząc, iż grzebie samo siebie.

Kierownikiem studia uczynił Derwent obrotnego biznesmena i skończonego maniaka seksualnego nazwiskiem Henry Finkel i w ciągu dwóch lat poprzedzających Pearl Harbor nakręcono tam sześćdziesiąt filmów. Pięćdziesiąt pięć urągało Urzędowi Hayesa¹ i szydziło sobie z tej instytucji. Pięć pozostałych były to rządowe filmy oświatowe. Długometrażówki odniosły ogromny sukces. W jednej z nich nie wymieniony z nazwiska projektant kostiumów kazał bohaterce nosić stanik bez ramiączek w scenie wielkiego balu, na którym pokazała wszystko, wyjąwszy może znamię tuż pod pośladkiem. Derwentowi przypisano również i ten wynalazek, więc wyrosła jego dobra — czy raczej zła — sława.

Wzbogacił się na wojnie i pozostał bogaty. Mieszkał w Chicago, pokazywał się z rzadka, chyba że na posiedzeniach rady nadzorczej Przedsiębiorstw Derwenta (którymi kierował żelazną ręką), posiadał rzekomo linie lotnicze United w Las Vegas (miał udziały kontrolne w czterech hotelach i kasynach i coś do powiedzenia w co najmniej sześciu innych), rozległe interesy w Los Angeles i całych Stanach Zjednoczonych. Przyjaźnił się jakoby z rodami panującymi, prezydentami i królami świata przestępczego, a zdaniem wielu osób, był najbogatszym człowiekiem na ziemi.

Nie potrafił jednak zrobić interesu na Panoramie, pomyślał Jack, odłożywszy na chwilę album z wycinkami i wyciągnąwszy z górnej kieszeni notes i ołówek automatyczny, które zawsze nosił przy sobie. Zapisał: „Sprawdzić H. Derw. Bibl. w Sidewinder?” Schował notes i znów wziął album do ręki. Minę miał zaafetowaną, spojrzenie zamyślane. Przewracając kartki, co chwila ocierał dłonią usta.

Dalsze materiały przeglądał pobieżnie i tylko notował sobie w pamięci, że z czasem musi je przeczytać dokładnie. Na wielu stronach powklejane były komunikaty prasowe. Kogoś tam oczekiwano w Panoramie w przyszłym tygodniu, ktoś inny będzie podejmował gości w salonie Kolorado (za czasów Derwenta zwa-

¹Cenzura filmowa w latach 1930–1940.

nym Salonem Czerwonego Oka). Wiele osób podejmujących gości nosiło nazwiska znane z Vegas, a wielu gości było dyrektorami i gwiazdami studia Top Mark.

Potem wycinek datowany 1 lutego 1952 roku:

Milioner dyr. sprzedał udziały w Kolorado

Transakcja zawarta z udziałowcami kalifornijskimi obejmuje Panoramę i inne lokaty, podaje do wiadomości Derwent

Rodney Conklin, redaktor finansowy

Wczoraj chicagowskie biura monolitycznych Przedsiębiorstw Derwenta podały w zwięzłym komunikacie do wiadomości, że milioner (może miliarder) Horacy Derwent sprzedał swoje aktywa w Kolorado w oszałamiającej finansowej rozgrywce o władzę, która zostanie zakończona 1 października 1954 roku. Derwent ma udziały w gazie ziemnym, węglu, energii hydroelektrycznej i spółce budowlanej Colorado Sunshine, Inc., która posiada na własność albo ma opcję na ponad 500 000 akrów ziemi w Kolorado.

Najsłynniejsza nieruchomość Derwenta w Kolorado, hotel Panorama, już została sprzedana, co sam podał wczoraj do wiadomości, kiedy udzielał jednego z nielicznych w swym życiu wywiadów. Hotel nabyła kalifornijska grupa udziałowców, na której czele stoi Charles Grondin, ongiś dyrektor Kalifornijskiej Spółki Budowlanej. Derwent nie chciał wprowadzić mówić o cenie, lecz źródła dobrze poinformowane...

Sprzedał wszystko, jak leci. Nie tylko Panoramę. Ale jakoś... jakoś...

Jack otarł wargi i zapragnął się napić. Z drinkiem łatwiej byłoby to przełknąć. W dalszym ciągu przewracał kartki.

Grupa kalifornijska otworzyła hotel na dwa sezony, a następnie sprzedała go miejscowej spółce Uzdrowiska Górskie. Ta zbankrutowała w 1957 w atmosferze oskarżeń o korupcję, wygodne zarządzanie się przez niektóre osoby i oszukiwanie akcjonariuszy. Prezes spółki zastrzelił się w dwa dni po otrzymaniu wezwania do sądu.

Do końca dekady hotel stał zamknięty. Poświęcono mu tylko jedną wzmiankę, komunikat w niedzielnej gazecie noszący tytuł „Wspaniały ongiś hotel popada w ruinę”. Na widok fotografii Jackowi ścisnęło się serce: farba obłaząca z frontowej werandy, trawnik nierówny i wyłysiały, szyby w oknach potłuczone podmuchami wichury i kamieniami. Ten wątek również złożyłby się na książkę, gdyby istotnie Jack ją napisał — wątek Feniksa ginącego w popiołach, aby się

na nowo narodzić. Obiecał sam sobie troszczyć się o hotel, troszczyć się jak najlepiej. Zupełnie jakby dopiero teraz zdołał w pełni pojąć ogrom ciężającej na nim odpowiedzialności. Odpowiedzialności niemal historycznej.

W 1961 roku czterech pisarzy, w tym dwóch laureatów Nagrody Pulitzera, wydzierżawiło Panoramę i otwarło w niej szkołę twórców. Trwała rok. Jeden student upił się w swoim pokoju na trzecim piętrze, jakimś sposobem wypadł przez okno i zginął na betonowym tarasie poniżej. Gazeta sugerowała, że mogło to być samobójstwo.

Każdy duży hotel ma swoje skandale, powiedział Watson, tak jak każdy duży hotel ma swojego ducha. Dlaczego? No bo ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają. . .

Raptem wydało się Jackowi, że niemal wyczuwa ciężar Panoramy przygniatający go z góry, brzemień stu dziesięciu pokoi gościnnych, magazynów, kuchni, spiżarni, zamrażalni, salonu, sali balowej, jadalni. . .

(W salonie, gdzie kobiety krążą dokoła)

(. . . i Mór Czerwony niepodzielnie zawładły wszystkim.)

Otarł usta i przewrócił kartkę. Przejrzał już dwie trzecie albumu i dopiero teraz świadomie zadał sobie pytanie, czyj on był, że tak leżał na najwyższym stosie rejestrów w piwnicy. Wycinek datowany 10 kwietnia 1963 roku głosił:

*Spółka z Las Vegas kupuje sławny hotel w Kolorado
Widokowa Panorama będzie klubem posiadaczy klucza*

Robert T. Leffing, rzecznik grupy udziałowców występującej pod nazwą Inwestycje Górskie, oznajmił dzisiaj w Las Vegas, że jego spółka zakupiła słynny hotel Panorama położony wysoko w Górach Skalistych. Leffing nie zgodził się zdradzić nazwisk udziałowców, lecz powiedział, że hotel zostanie zamieniony na ekskluzywny „klub posiadaczy klucza”. Poinformował, iż reprezentowana przez niego spółka spodziewa się sprzedawać karty członkowskie wysokiej rangi dyrektorom spółek amerykańskich i zagranicznych.

Do Inwestycji Górskich należą również hotele w Montanie, Wyoming i Utah.

Panorama zyskała światowy rozgłos w latach 1946–1952, kiedy jej właścicielem był nieuchwytny multimilioner Horacy Derwent, który. . .

Na następnej stronie znajdowała się króciutka notatka datowana cztery miesiące później. Panoramę otwarto pod nowym zarządem. Najwyraźniej reporter nie zdołał się dowiedzieć, kim byli posiadacze kluczy, może zresztą go to nie interesowało, dość że nie wymienił żadnego nazwiska ani nazwy prócz Inwestycji Górskich — Jack nigdy jeszcze nie słyszał, by jakaś spółka funkcjonowała pod równie anonimowym szyldem, wyjąwszy sieć sklepów z rowerami i częściami ro-

werowymi w zachodniej części Nowej Anglii, znaną pod nazwą Interesu, spółka akcyjna.

Na widok wycinka wklejonego na następnej stronie zamrugał powiekami.

Milioner Derwent wraca do Kolorado tylnymi drzwiami?

Dyrektorem Inwestycji Górskich okazuje się Charles Grondin

Rodney Conklin, redaktor finansowy

Hotel Panorama, pięknie położony w górach Kolorado pałac rozrywki, niegdyś osobista zabawka milionera Horacego Derwenta, znalazł się w centrum powikłań finansowych, które dopiero teraz zaczynają wychodzić na jaw.

Hotel, nabyty 10 kwietnia ubiegłego roku przez firmę z Las Vegas, Inwestycje Górskie, zamieniono na „klub posiadaczy klucza”, czyli zamożnych dyrektorów zarówno obcego, jak i domowego chowu. Źródła dobrze poinformowane podają obecnie, że na czele Inwestycji Górskich stoi pięćdziesięcioletni Charles Grondin, który kierował Kalifornijską Spółką Budowlaną do roku 1959, kiedy to złożył wymówienie, aby objąć stanowisko wiceprezesa w chicagowskiej centrali Przedsiębiorstw Derwenta.

Zrodziło to domysły, że Inwestycje Górskie mogą być kontrolowane przez Derwenta i że mógł on nabyć Panoramę ponownie, a do tego w dość szczególnych okolicznościach.

Nie udało się dotrzeć do Grondina, oskarżonego w roku 1960 o uchylanie się od płacenia podatków i następnie uniewinnionego, i poprosić go o komentarz, Horacy Derwent zaś, zazdrośnie strzegący swego spokoju, wstrzymał się od komentarza, kiedy się do niego zwrócono. Reprezentant stanowy Dick Bows z Golden zażądał wszechstronnego dochodzenia w...

Ten wycinek nosił datę 27 lipca 1964. Następnym była szpalta z niedzielnej gazety z września tegoż roku. Artykuł wyszedł spod pióra Josha Brannigara, spe-racza i demaskatora tego samego pokroju co Jack Anderson. Jack przypomniał sobie jak przez mgłę, że Brannigar zmarł w roku 1968 albo 1969.

Wolna strefa dla mafii w Kolorado?

Josh Brannigar

Obecnie wydaje się możliwe, że szefowie organizacji w Stanach robią kilku-

dniowe wypadły do ustronnego hotelu leżącego w samym sercu Gór Skalistych. Hotel Panorama, którego utrzymanie drogo kosztuje i którym bez powodzenia zarządzało z dziesięć różnych spółek i osób prywatnych, odkąd po raz pierwszy otworzył swe podwoje w roku 1910, stał się dzisiaj bezpiecznym „klubem posiadaczy klucza”, gdzie rzekomo odpoczywają ludzie interesu. Chodzi o to, jakie naprawdę interesy prowadzą ci posiadacze kluczy.

Pewne pojęcie może nam dać lista członków klubu obecnych w Panoramie w okresie od 16 do 23 sierpnia. Spis ten zdobył dawny pracownik Inwestycji Górskich, które pierwotnie uchodziły za spółkę należącą do Przedsiębiorstw Derwenta. Teraz wydaje się bardziej prawdopodobne, że jeśli Derwent w ogóle ma udziały w Inwestycjach Górskich, to o wiele mniejsze niż kilku baronów szulerki z Las Vegas. A tych samych szefów od hazardu łączono w przeszłości zarówno z podejrzanymi, jak i skazanymi królami świata przedsięwzięcia.

Słoneczny sierpniowy tydzień w Panoramie spędzili:

Charles Grondin, prezes Inwestycji Górskich. Kiedy w lipcu tego roku stało się wiadome, że stoi za sterem tejże spółki, ogłoszono — ze sporym opóźnieniem — że uprzednio zrezygnował ze stanowiska w Przedsiębiorstwach Derwenta. Srebrnogrzywy Grondin, który nie zgodził się udzielić mi wywiadu, stawał raz przed sądem pod zarzutem uchylania się od płacenia podatków i został uniewinniony (1960).

Charles „Baby Charlie” Battaglia, sześćdziesięcioletni akcjonariusz z Vegas (udziały kontrolne w Doku i Szczęśliwych Kościach na Stripie²). Battaglię łączy zażyła przyjaźń z Grondinem. Historia jego karalności sięga roku 1932, kiedy to stawał przed sądem pod zarzutem morderstwa popełnionego w stylu świata przestępczego na Jacku „Dutchym” Morganie i został uniewinniony. Władze federalne podejrzewają, że ciągnie zyski z handlu narkotykami, prostytutkami i płatnych morderstw, lecz „Baby Charlie” siedział zaledwie raz, za uchylanie się od płacenia podatku dochodowego w latach 1955–1956.

Richard Scarne, główny udziałowiec Automatów Rozrywkowych Zabawa. Zabawa produkuje automaty dla odbiorców z Nevady, kręgle mechaniczne i szafy grające (Melodia za Monetę) dla reszty kraju. Siedział za napaść z bronią w ręku (1940), za noszenie ukrytej broni (1948) i za zamiar popełnienia oszustwa podatkowego (1961).

Peter Zeiss, obecnie pod siedemdziesiątkę, importer z siedzibą w Miami. W ciągu ostatnich pięciu lat Zeissowi groziło deportowanie jako osobie niepożądaney. Dostał dwa wyroki: za przyjmowanie i ukrywanie rzeczy kradzionych (1958) i zamierzone oszustwo podatkowe (1954). Pete Zeiss, uroczy, dystyngowany i dworny, zwany przez bliskie mu osoby „Papa”, stawał przed sądem pod zarzutami zabójstwa i współudziału w zabójstwie. Ma liczne akcje Zabawy Scarne

²Główna ulica Las Vegas, przy której mieszczą się kasyna.

a, wiadomo też, że jest udziałowcem czterech kasyn w Vegas.

Vittorio Gienelli, znany również jako „Vito Rębacz”, sądzony dwukrotnie za zabójstwa w stylu gangsterskim, w tym jedno siekierą na bostońskim wiceszefie mafii Franku Scoffym. Gienelli, stawiany w stan oskarżenia dwadzieścia trzy razy, sądzony czternaście razy, skazany był zaledwie raz — za kradzież w sklepie w roku 1940. W ostatnich latach odgrywa jakoby wielką rolę w firmach organizacji na Zachodzie, skupionych w Las Vegas.

Carl „Jimmy-Ricks” Prashkin, inwestor z San Francisco, rzekomo następca potężnego Gienellego. Prashkin ma duże pakiety akcji w Przedsiębiorstwach Derwent, Inwestycjach Górskich, Automatach Rozrywkowych Zabawa w trzech kasynach w Vegas. Choć w Ameryce Prashkin jest czysty, w Meksyku oskarżono go o oszustwo, zarzut jednak wycofano szybko, zaledwie po trzech tygodniach. Sugerowano, że Prashkin może kierować praniem pieniędzy wpływających z kasyn w Las Vegas i kanalizowaniem grubych dolarów na konto legalnych poczynań organizacji na Zachodzie. A do takich legalnych firm może się teraz zaliczać hotel Panorama w Kolorado.

W bieżącym sezonie gościli w hotelu również...

Na tym nie koniec, lecz Jack tylko przerzucał kartki i wciąż ocierał dłonią usta. Bankier z powiązaniami w Las Vegas. Nowojorczycy najwyraźniej zajmujący się podejrzanymi machinacjami. Mężczyźni, którzy jakoby mieli coś wspólnego z narkotykami, zorganizowanym występkiem, rabunkami, morderstwami.

Boże, co za historia! I wszyscy oni byli tutaj, dosłownie nad jego głową, w tych pustych pokojach. Może pieprzyli drogie dziwki na trzecim piętrze. Pili szampana z dwukwartowych butli. Zawierali milionowe transakcje, niewykluczone, że może w tym samym apartamencie, w którym gościli prezydenci. Rzeczywiście niezwykła historia. Historia jak cholera. Jack, bliski szaleństwa, wyciągnął notes i dopisał w nim, że po zakończeniu obecnej pracy ma sprawdzić wszystkich tych ludzi w bibliotece w Denver. Każdy hotel ma swojego ducha? W Panoramie odbywa się ich sabat. Najpierw samobójstwo, potem mafia, co jeszcze?

W następnym wycinku Charles Grondin gniewnie odpierał zarzuty Brannigara. Jack skwitował to uśmiechem.

Kolejna notatka była taka długa, że została złożona. Jack ją rozłożył i aż się zachłusnął. Jakby skoczyła na niego fotografia ilustrująca tekst; od czerwca 1966 roku zdążono zmienić tapetę, on jednak doskonale znał to okno i ten widok. Widok roztaczający się z zachodniego okna apartamentu prezydenckiego. Popołniono tu morderstwo. Ściana salonu obok drzwi prowadzących do sypialni zbryzgana była krwią i czymś, co musiało być białymi strzępkami mózgu. Nad zwłokami nakrytymi kocem stał z obojętną miną policjant. Jack zafascynowany wpatrywał się

w zdjęcie, po czym przesunął wzrok na nagłówek.

Strzelanina w stylu mafijnym w hotelu w Kolorado
Rzekomy szef mafii ginie w górskim „klubie posiadaczy klucza”
Dwaj inni zabici

Sidewinder, Kolorado (UPI). W odległości czterdziestu mil od tego sennego miasteczka, w sercu Gór Skalistych, odbyła się egzekucja w stylu mafijnym. W hotelu Panorama, zakupionym trzy lata temu przez firmę z Las Vegas i zamienionym na ekskluzywny „klub posiadaczy klucza”, trzech mężczyzn zginęło od kuli. Dwaj z nich to albo towarzysze, albo straż przyboczna Vittoria Gienellego, znanego również jako „Rębacz” z uwagi na rzekomy udział w zabójstwie popełnionym dwadzieścia lat wcześniej w Bostonie.

Policję wezwał Robert Norman, dyrektor Panoramy, który powiedział, że słyszał strzały i że według domniemań paru gości, dwóch uzbrojonych mężczyzn z pończochami naciągniętymi na twarze uciekło schodami ewakuacyjnymi i odjechało brązowym kabrioletem najnowszej typu.

Policjant konny Benjamin Moorera znalazł zwłoki dwóch mężczyzn, zidentyfikowanych następnie jako Wiktor T. Boorman i Roger Macassi, obu z Las Vegas, pod drzwiami apartamentu prezydenckiego, zajmowanego ongiś przez dwóch amerykańskich prezydentów. Wewnątrz Moorera ujrzął rozciągnięte na podłodze ciało Gienellego. Widocznie Gienelli uciekał przed napastnikami, kiedy dosięgły go kule. Zdaniem Moorera, zastrzelony został z bliska. Narzędziem zbrodni była strzelba.

Z Charlesem Grondinem, przedstawicielem spółki, do której obecnie należy Panorama, nie udało się nawiązać...

Pod wycinkiem ktoś, mocno naciskając pióro kulkowe, dopisał: „Zabrali ze sobą jego jaja”. Jack długo wpatrywał się w to zdanie z uczuciem lodowatego chłodu. Do kogo należał ten album?

W końcu przeczucił kartkę i z trudem przełknął ślinę. Zobaczył kolejny felieton Josha Brannigara, z początku 1967 roku. Przeczytał tylko nagłówek: „Osławiony hotel sprzedany po zabójstwie grubej ryby ze świata przestępczego”.

Dalsze kartki albumu były puste.

(„Zabrali ze sobą jego jaja”.)

Zaczął teraz na pierwszych stronach szukać nazwiska albo adresu. Czy choćby numeru pokoju. Bo nie wątpił, że ten ktoś, kto prowadził taki pamiętnik, musiał tu mieszkać. Niczego jednak nie znalazł.

Już się zabierał do uważniejszej lektury wszystkich wycinków, gdy od schodów dobiegł go głos:

— Jack? Kochanie? Wendy.

Drgnął niemal jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku picia po kryjomu, którego zdradzić mogą opary alkoholu. Śmieszne. Mocno potarł usta dłonią i odkrzyknął:

— Tak, mała. Szukam szczurów.

Zbliżała się. Słyszał jej kroki na schodach, potem w kotłowni. Szybko, bez namysłu wepchnął album pod stertę rachunków i faktur. Kiedy Wendy przechodziła pod łukowym sklepieniem, stanął wyprostowany.

— Coś ty tu robił tak długo? Dochodzi trzecia!

— Już tak późno? — odparł z uśmiechem. — Zacząłem szperać w tych śmieciach. Chyba chciałem ustalić, gdzie pogrzebano ciała.

Słowa te dokuczliwie zadźwięczały mu w głowie.

Podeszła bliżej i spojrzała na niego, on zaś bezwiednie, niezręcznie zrobił krok w tył. Wiedział, o co chodzi. Wendy próbowała się zorientować, czy nie zalatuje od niego jakimś trunkiem. Ona zapewne nawet sobie tego nie uświadamiała, lecz on tak, i poczuł zarówno wyrzuty sumienia, jak gniew.

— Wargi ci krwawią — rzekła dziwnie bezbarwnym tonem.

— Co? — Przyłożył rękę do ust i skrzywił się od lekkiego ukłucia bólu. Na palcu wskazującym miał krew. Spotęgowały się wyrzuty sumienia.

— Znów tarłeś sobie usta — powiedziała.

Spuścił wzrok i wzruszył ramionami.

— Taak, chyba tak.

— Przeżyłeś piekło, prawda?

— Nie, nie było aż tak źle.

— A teraz jest ci lżej?

Podniósł oczy i zmusił nogi do ruchu. Ledwie drgnęły, wszystko stało się łatwiejsze. Podeszedł do żony i objął ją w talii. Odgarnął kosmyk jasnych włosów i pocałował Wendy w szyję.

— Tak — odparł. — Gdzie Danny?

— Och, kręci się gdzieś tutaj. Na dworze zaczęło się chmurzyć. Głodny jesteś?

Z udaną lubieżnością przesunął ręką po jedrnych, obciśniętych dżinsami pośladek.

— Jak miś, madame.

— Ostry z ciebie zawodnik. Nie zaczynaj, jeśli nie możesz dokończyć.

— Coś z tych rzeczy, madame? — zapytał, nie przestając jej podszczypywać.

— Nieprzyzwoite obrazki? Wyszukane pozycje? — Kiedy przechodzili pod łukowym sklepieniem, obejrzał się na pudło, gdzie album

(czyj?)

spoczywał w ukryciu. Teraz, po zgaszeniu światła, był już tylko cieniem. Jack doznał ulgi, że udało mu się wyprowadzić stąd Wendy. Im bardziej zbliżali się do schodów, tym mniej się zgrywał, tym silniej jej pożądał.

— Może — odparła. — Ale najpierw zjesz kanapkę. Jejku! — Wywinęła mu się z chichotem. — Mam łaskotki!

— Jack Torrance chciałby pani pokazać, co to są prawdziwe łaskotki, madame.

— Przestań, Jack. Co byś powiedział na szynkę i ser.. na pierwsze danie?

Razem zaczęli wchodzić na górę i Jack nie oglądał się już do tyłu. Ale myślał o słowach Watsona:

„Każdy duży hotel ma swojego ducha. Dlaczego? No bo ludzie przyjeżdżają i odjeżdżają...”

Potem Wendy zamknęła drzwi i w podziemiu zapanowały ciemności.

Rozdział dziewiętnasty

Pod drzwiami pokoju 217

Danny wspominał słowa kogoś innego, kto w sezonie pracował w hotelu.

„Ona powiedziała, że widziała coś w jednym z pokoi, gdzie... wydarzyło się coś złego. To było w pokoju 217 i masz mi obiecać, że nie będziesz tam wchodził, Danny...”

Drzwi, absolutnie zwyczajne, niczym się nie różniły od innych drzwi na dwóch pierwszych piętrach hotelu. Ciemnoszare, w połowie bocznego korytarza, prostopadłego do głównego korytarza na drugim piętrze. Cyfry na drzwiach takie same jak w ich czynszowej kamienicy w Boulder. Dwójka, jedynka, siódemka. Wielkie mi rzeczy. Tuż pod nimi małe szklane kółko, judasz. Danny wypróbował kilka takich judasz. Z wewnątrz widziało się daleko w obie strony korytarza. Z zewnątrz człowiek mógł nie wiadomo jak przewracać okiem, a i tak nic nie widział. Paskudne oszustwo.

(Dlaczego tu jesteś?)

Po spacerze na tyłach Panoramy wrócił z mamą do hotelu, gdzie zrobiła mu ulubiony lunch, kanapkę z serem i kiełbasą, a do tego zupę fasolową Campbella. Jedli w kuchni Dicka i rozmawiali. Radio grało, słuchali piskliwej, przerywanej trzaskami muzyki z radiostacji w Estes Park. W kuchni czuł się najlepiej, jego rodzice tak samo, bo choć próbowali jadać na sali, po jakichś trzech dniach zgodzili się, że wołają kuchnię, i od tej pory ustawiali krzesła wokół pniaka, na którym Dick Hallorann rąbał mięso i który rozmiarami dorównywał prawie stołowi w ich pokoju stołowym w Stovington. Jadalnia wywoływała nastrój zbytniego przygnębienia, choć zapalali lampy i puszczała przez głośniki muzykę ze znajdującego się w biurze magnetofonu. Mimo to tylko oni troje siedzieli przy stoliku otoczonym przez dziesiątki innych, pustych, nakrytych tymi przezroczystymi plastikowymi obrusami dla ochrony przed kurzem. Mama powiedziała, że przypomina to jedzenie obiadu pośrodku powieści Horacego Walpole’a, a tata ze śmiechem przyznał jej rację. Danny nie miał pojęcia, kim był Walpole, wiedział natomiast, że potrawy mamy zaczęły lepiej smakować, odkąd przenieśli się do kuchni. Wciąż spostrze-

gał dokoła małe przebłytski osobowości Dicka Halloranna, które działały na niego uspokajająco niczym ciepły dotyk.

Mama zjadła pół kanapki, bez zupy. Powiedziała, że tata musiał widocznie też pójść na spacer, skoro i volkswagen, i hotelowa ciężarówka stoją na parkingu. Ona jest zmęczona i pewnie przyłoży się na godzinkę, jeśli Danny potrafi sam się pobawić i nie napytać sobie biedy. Danny, z ustami pełnymi sera i kiełbasy, odrzekł, że chyba potrafi.

— Czemu nie pójdziesz na plac zabaw? — spytała. — Przypuszczałam, że bardzo ci się spodoba, jest tam piaskownica, w której mógłbyś jeździć ciężarówkami, i w ogóle.

Przełknął, ale jedzenie przeszło mu przez gardło jak sucha, twarda grudka.

— Może tam pójde. — Odwrócił się do radia i pokręcił gałkami.

— I są te ładne zwierzęta w pobliżu. — Zabrała jego pusty talerz. — Tata będzie musiał niedługo je przystrzyc.

— Taak.

(Po prostu rzeczy paskudne... raz miało to jakiś związek z tymi cholernymi żywopłotami, strzyżonymi tak, żeby przypominały zwierzęta...)

— Jeśli zobaczysz ojca wcześniej niż ja, powiedz mu, że się kładę.

— Dobrze, mamó.

Wstawiła brudne naczynia do zlewu i znów do niego podeszła.

— Jesteś tutaj szczęśliwy, Danny?

— Aha — odpowiedział ze szczerym wyrazem oczu i wąsikiem z mleka na wardze.

— Złe sny się skończyły?

— Tak. — Tony zjawił się raz, pewnej nocy, kiedy Danny leżał już w łóżku, wołał go po imieniu cicho i z bardzo daleka. Danny mocno zaciskał powieki, póki Tony sobie nie poszedł.

— Na pewno?

— Tak, mamó.

Robiła wrażenie zadowolonej.

— Jak twoja ręka?

Zgiął ją, żeby Wendy mogła zobaczyć.

— Dużo lepiej.

Skinęła głową. Jack zaniósł gniazdo z zamrożonymi osami, przykryte żaroodporną miską, do pieca za szopą na sprzęt i tam je spalił. Od tej pory nie widzieli już os. Napisał do adwokata w Boulder, do listu dołączył zdjęcie ręki Danny'ego i adwokat zadzwonił dwa dni później — po jego telefonie Jack do wieczora był w złym humorze. Prawnik powątpiewał, czy warto wnosić skargę przeciw producentom trucizny na osy, ponieważ tylko Jack mógł zaświadczyć, że trzymał się wskazówek wydrukowanych na opakowaniu. Jack zapytał, czy nie mogliby ku-

pić takich samych trucizn i sprawdzić, jak działają. Owszem, rzekł prawnik, lecz nawet gdyby żadna nie była skuteczna, sprawy zapewne by nie wygrali.

Opowiedział Jackowi o producentach drabiny i o mężczyźnie ze złamanym kręgosłupem. Wendy współczuła mężowi, lecz cieszyła się w duchu, że Danny nie ucierpiał tak bardzo. Niech procesują się ci, co to potrafią, do nich zaś Torrance'owie się nie zaliczają. I od tej pory nie widzieli już os.

— Idź na dwór, stary. Pobaw się.

Ale się nie pobawił. Bez celu wędrował po piętrach, zaglądał do bieliźniarek i na portiernię w poszukiwaniu czegoś ciekawszego, a ponieważ nic nie znajdował, dreptał po ciemnoniebieskim chodniku w splątany czarny deseń. Od czasu do czasu naciskał klamkę, choć oczywiście wszystkie drzwi były pozamykane na klucz. Klucz uniwersalny wisiał na dole, w biurze; Danny wiedział gdzie, tata nie pozwolił go jednak dotykać. On sam nie miał zresztą na to ochoty. Czy rzeczywiście?

(Dlaczego tu jesteś?)

Ta wędrowka bynajmniej nie była bezcelowa. W stronę pokoju 217 popychała Danny'ego jakaś chorobliwa ciekawość. Pamiętał bajkę, którą po pijanemu przeczytał mu kiedyś tata. Było to dawno temu, ale historia do dziś nie straciła dla Danny'ego nic ze swej żywości. Mama skrzyczała tatę i pytała, co to za pomysł, żeby czytać trzyletniemu malcowi takie okropieństwa. Nazywało się to „Sinobrody” i tytuł też wyraźnie utkwiał Danny'emu w pamięci, bo najpierw usłyszał „Siwobrody”, a tam nie było mowy o nikim siwym ani starym. Właściwie chodziło o żonę Sinobrodego, ładną młodą panią o pszenicznych włosach jak mama. Po ślubie zamieszkała z Sinobrodym w dużym, groźnym zamczysku, trochę podobnym do Panoramy. On co dzień wychodził do pracy i co dzień powtarzał swojej ładnej żonce, żeby nie zaglądała do jednego pokoju, chociaż klucz wisiał na haczyku, zupełnie jak tutaj klucz uniwersalny w biurze. Żonę Sinobrodego coraz bardziej ciekawił zamknięty pokój. Próbowwała zajrzeć przez dziurkę od klucza, tak jak Danny do pokoju 217 przez wizjer, i z równie marnym skutkiem. W książce był nawet obrazek ukazujący, jak na kolanach stara się coś zobaczyć pod drzwiami, tyle że szpara jest za wąska. Drzwi się otwierają i...

W starej bajce to odkrycie opisano z zamiłowaniem do upiornych szczegółów. Taki obraz wyrzył się w pamięci Danny'ego. W pokoju, na osobnych piedestałach, stały ucięte głowy siedmiu poprzednich żon Sinobrodego. Oczy miały wywrócone białkami do góry, usta rozdziawione w niemych okrzykach, szyje poszarpane śmiertelnymi cięciami miecza, a z piedestałów spływała krew.

Żona Sinobrodego w przerażeniu rzuciła się do ucieczki z pokoju i z zamku, lecz stwierdziła, że w drzwiach stoi jej mąż z gorejącym, straszliwym wzrokiem. „Zabroniłem ci wchodzić do tego pokoju — rzekł i wyciągnął miecz z pochwy. — Niestety, jesteś równie ciekawa jak siedem twoich poprzedniczek, a choć ciebie kochałem najbardziej, umrzesz tak jak one. Przygotuj się na śmierć, nieszczęsna

kobieto!”

Danny odnosił niejasne wrażenie, że wszystko dobrze się skończyło, bladło ono jednak i wydawało się nieważne w porównaniu z dwoma głównymi obrazkami: irytujących, urągliwie zamkniętych drzwi, za którymi kryła się jakaś wielka tajemnica, i samego straszliwego sekretu, powielonego siedmiokrotnie. Drzwi, zamknięte na klucz, za nimi głowy, ucięte głowy.

Wyciągnął dłoń i niemal ukradkiem pogładził gałkę u drzwi. Nie miał pojęcia, jak długo tak stoi, zahipnotyzowany, przed szyderczymi, zamkniętymi na klucz szarymi drzwiami.

(„Może ze trzy razy zdawało mi się, że coś widzę... rzeczy paskudne...”)

Ale pan Hallorann — Dick — powiedział również, że nie przypuszcza, aby te rzeczy mogły zrobić Danny’emu krzywdę. Są jak straszne obrazki w książce, i tyle. Może zresztą on nic nie zobaczy. Z drugiej strony...

Włożył lewą rękę do kieszeni, skąd wynurzyła się z kluczem uniwersalnym. Naturalnie klucz leżał tam od samego początku.

Danny przytrzymał go za prostokątną metalową przywieszkę, na której maziem napisano: BIURO. Zaczął okręcać klucz na łańcuszku i przyglądać się jego obrotom. Po paru minutach dał temu spokój i wetknął go w dziurkę. Klucz wszedł gładko, bez oporu, jakby chciał tego od początku.

(„Zdawało mi się, że coś widzę... rzeczy paskudne... masz mi obiecać, że nie będziesz tam wchodził”.)

(„Obiecuję”.)

A obietnica jest oczywiście czymś bardzo ważnym. Mimo to ciekawość świerzbiła go tak dokuczliwie jak jadowity sumak, kiedy ukłuje w miejsce nie przeznaczone do drapania. Ciekawość ta była jednak straszna, podobna do tej, która nakazuje patrzeć między palcami na najokropniejsze sceny przerażającego filmu. To, co jest za tymi drzwiami, nie będzie filmem.

(„Nie przypuszczam, aby te rzeczy mogły ci zrobić krzywdę... są jak straszne obrazki w książce...”)

Raptem sięgnął lewą ręką, niepewny, jak się ona zachowa, dopóki nie wyciągnęła klucza z dziurki i nie wepchnęła go z powrotem do kieszeni. Jeszcze przez moment wpatrywał się w drzwi szeroko otwartymi szaroniebieskimi oczami, po czym szybko się odwrócił i ruszył w stronę głównego korytarza, prostopadłego do tego, w którym się znajdował.

Coś go powstrzymało i zrazu nie wiedział, co to takiego. A potem sobie przypomniał, że tuż za zakrętem, po drodze do schodów, widział jedno z tych staroświeckich urządzeń gaśniczych, zwinięte przy ścianie. Zwinięte niczym uśpiony wąż.

Nie były to gaśnice chemiczne, powiedział tata, choć kilka takich umieszczono w kuchni, tylko poprzedniczki współczesnych hydrantów. Te długie brezentowe węże bezpośrednio łączyły się z wodociągami i wystarczyło przekręcić zawór,

aby zamienić się w strażaka. Zdaniem taty znacznie skuteczniejsze są gaśnice chemiczne, pianowe lub śniegowe. Chemikalia tłumią ogień, pochłaniają tlen niezbędny, żeby się paliło, gdy tymczasem rozpylana pod ciśnieniem woda może spowodować rozprzestrzenianie się pożaru. W przekonaniu taty pan Ullman powinien wymienić staroświeckie węże, podobnie jak staroświecki kocioł, ale przypuszczalnie tego nie zrobi, bo jest oszczędnym kutasiną. Danny wiedział, że to jeden z najgorszych epitetów w repertuarze jego ojca. Tak nazywał niektórych lekarzy, dentystów, monterów i swojego zwierzchnika ze Stovington, ponieważ nie zgodził się na zakup zamówionych przez tatę książek pod pozorem, że taki wydatek nie zmieści się w budżecie. „Nie zmieści się w budżecie, cholera” — mówił ze złością Jack do Wendy; Danny słyszał go z sypialni, choć powinien był spać. „Po prostu chowa te ostatnie pięć setek dla siebie, oszczędny kutasina”.

Danny wyjrzał zza rogu.

Urządzenie gaśnicze znajdowało się na swoim miejscu, płaski szlauch zwinięty kilkanaście razy i czerwony pojemnik na ścianie. Wyżej, niczym muzealny eksponat, leżała w szklanej gablocie siekierka, na czerwonym tle zaś wypisano białymi literami: „W razie niebezpieczeństwa stłuc szybę”. Danny potrafił przeczytać słowo „niebezpieczeństwo”, gdyż taki tytuł miał jeden z jego ulubionych programów telewizyjnych, co do pozostałych natomiast brakowało mu pewności. Ale nie podobało mu się, że tego słowa użyto w związku z długim płaskim szlauchem. Niebezpieczeństwo to pożar, wybuchy, kraksy samochodowe, niekiedy śmierć. I nie podobało mu się, że wąż tak spokojnie wisi sobie na ścianie. Ilekroć był sam, możliwie najszybciej przemyczał koło tych urządzeń. Bez żadnego szczególnego powodu. Po prostu pośpiech wydawał się wskazany. Bezpieczniejszy.

Teraz, z sercem głośno tłukącym się w piersi, wyszedł zza rogu i, omijając wzrokiem urządzenie gaśnicze, popatrzył wzdłuż korytarza w kierunku schodów. Tam, na dole, spała mama. A jeżeli tata wrócił już ze spaceru, to pewnie siedzi w kuchni, je kanapkę i czyta. Więc on, nie zwracając uwagi na ten stary hydrant na ścianie, najzwyczajniej zjeździe do nich.

Zaczął się posuwać do przodu, tak blisko przeciwległej ściany, że prawym ramieniem ocierał się o kosztowną jedwabną tapetę. Dwadzieścia kroków do tego urządzenia. Piętnaście. Dwanaście.

Danny znalazł się w odległości dziesięciu kroków od szlauchu, gdy mosiężna końcówka wylotowa nagle stoczyła się z brezentowej pętli, na której leżała

(uśpiona?)

i z głuchym stukiem upadła na chodnik. Spoczęła tam, ciemnym otworem wycelowana w Danny'ego, który przystanął natychmiast, pochylony i drżący ze strachu. Krew łomotała mu w uszach i skroniach. W ustach mu zaschło, czuł jakiś cierpki smak, dłonie zacisnął w pięści. Ale końcówka tylko sobie leżała, jej mosiężna obudowa lśniła łagodnym blaskiem, płaska brezentowa pętla prowadziła

z powrotem do czerwonego uchwytu na ścianie.

Spadła, więc co? To przecież tylko szlauch. Głupotą byłoby myśleć, że przypomina jadowitego węża z telewizyjnego „Świata zwierząt”, węża, który usłyszał Danny’ego i zbudził się ze snu. Choć szwy na brezencie rzeczywiście są trochę podobne do łusek. Danny przejdzie górą i pomaszeruje ku schodom, może nieco przyspieszy kroku, żeby wąż na pewno nie rzucił się za nim i nie owinał się dookoła jego nogi. . .

Otarł usta lewą ręką, nieświadomie naśladowując gest ojca, i postąpił do przodu. Szlauch ani drgnął. Następny krok. Nic, Proszę, patrz, jaki jesteś głupi. Tak cię podnieciła myśl o tym idiotycznym pokoju i o idiotycznej bajce o Sinobrodym, a ten szlauch pewnie już od pięciu lat miał spaść na ziemię. I tyle. Wpatrywał się w szlauch leżący na podłodze i myślał o osach.

Oddalona o osiem kroków mosiężna końcówka pokojowo błyskała z chodnika, jakby mu chciała powiedzieć: „Nic się nie martw. Jestem zwyczajnym szlauchem i na tym koniec. A jeśli nawet nie koniec, to to, co ci zrobię, nie będzie dużo gorsze od ukłucia pszczoły. Albo osy. Bo takiego grzecznego chłopczyka jak ty chciałbym najwyżej ugryźć. . .

i ugryźć. . . i ugryźć”.

Danny zrobił krok, a potem drugi. Miał sucho w gardle. Lada chwila wpadnie w panikę. Zaprzagnął, żeby szlauch naprawdę się poruszył, bo wtedy wreszcie by się przekonał, zyskałby pewność. Jeszcze jeden krok i znalazł się w zasięgu szlauchu. Ale on cię nie zaatakuje, myślał histerycznie. Jak może cię uderzyć, ugryźć, skoro jest tylko szlauchem?

Być może pełnym os.

Temperatura Danny’ego spadła do dziesięciu stopni poniżej zera. Nieomal zhipnotyzowany wpatrywał się w czarny otwór końcówki. Może pełno tam os, ukrytych os, z brązowymi ciałkami wzdętymi jadem, tak pełnymi jesiennego jadu, że ścieka z ich żądeł przezroczystymi kropelkami.

Nagle zdał sobie sprawę, że drętwieje z przerażenia; jeśli teraz nie zmusi stóp do ruchu, przywrą do chodnika, a on będzie tu tkwił, zapatrzony w czarny otwór mosiężnej końcówki jak ptak w węża, będzie tu tkwił, dopóki nie znajdzie go tata — a co się stanie wtedy?

Z przenikliwym jękiem zmusił się do biegu. Dotarł do szlauchu, a wtedy wskutek jakiejś gry światła końcówka się poruszyła, obróciła, jakby szykując się do ataku. Danny zaś wzbił się wysoko w powietrze, ogarnięty taką paniką, że zdawało mu się, iż wzlatuje pod sufit i sztywnym kosmykiem włosów omiata tynk, choć później zrozumiał, że byłoby to niemożliwe.

Wylądował po drugiej stronie szlauchu i pobiegł, po czym nagle usłyszał go za sobą, usłyszał odgłosy pościgu, cichy, suchy szelest, z jakim mosiężny łeb tego węża sunął za nim po chodniku, niczym grzechotnik przemykający wśród zeschłych traw. Wąż ścigał Danny’ego i raptem schody jakby bardzo się oddaliły,

jakby zaczęły się cofać, podczas gdy on biegł ku nim.

Próbował wrzasnąć „Tato!”, lecz żaden dźwięk nie wydobył się ze ściśniętej krtani. Był zdany na własne siły. Odgłos za jego plecami stawał się coraz donośniejszy, wąż z szelestem sunął po suchych włoskach chodnika. Już go dogonił, może podniósł łeb i z mosiężnego pyska kapie przezroczysta trucizna.

Danny dopadł do schodów i musiał zakręcić szaleńczego młynka ramionami, żeby nie stracić równowagi. Przez krótką chwilę zanosilo się na to, że skoziłkuje na sam dół.

Obejrzał się przez ramię.

Szlauch ani drgnął, nie zmienił pozycji. Jedna pętla leżała na podłodze, mosiężną końcówką obojętnie odwrócona od Danny’ego. Widzisz, ty głupku? — zganił sam siebie chłopiec. Wszystko to zmyśliłeś, ty płochliwy zającu. Wyobraziłeś sobie, ty strachajło.

Czepiał się poręczy schodów, bo na skutek reakcji nerwowej dygotały mu nogi.

(Wcale cię nie gonił)

podpowiadał jego umysł, on zaś chwycił tę myśl i powtarzał

(wcale cię nie gonił, wcale cię nie gonił, nie gonił, nie gonił)

Nie ma się czego bać. Gdyby zechciał, mógłby właściwie zawrócić i powiesić szlauch na uchwycie. Mógłby, ale jakoś nie miał ochoty. No bo jeśli szlauch rzeczywiście go ścigał i zawrócił tylko dlatego, że nie mógł... naprawdę nie mógł... go dogonić?

Szlauch leżał na chodniku i niemal prosił, aby chłopiec zechciał zawrócić i spróbować po raz drugi.

Danny zbiegł ze schodów zdyszany.

Rozdział dwudziesty

Rozmowa z panem Ullmanem

Biblioteka publiczna w Sidewinder, oddalona o jedną przecznicę od centrum handlowego, mieściła się w małym, niepozornym budynku. Ściany miała obrobione winem, a szeroki betonowy chodnik prowadzący do drzwi usłany był po obu stronach zwłokami letnich kwiatów. Na trawniku stał duży posąg z brązu wyobrażający generała z czasów wojny secesyjnej w ogóle nie znanego Jackowi, choć jako kilkunastoletni chłopak dość żywo interesował się tym okresem.

Stare numery gazet trzymano na parterze. Były tam egzemplarze wydawanej w Sidewinder „Gazette”, która zbankrutowała w roku 1963, dziennika wychodzącego w Estes Park i „Kamery” z Boulder. Brakowało gazet denverskich.

Jack z westchnieniem zasiadł do przeglądania „Kamery”.

Po roku 1965 na miejsce gazet wprowadzono mikrofilmy (Dotacja federalna — poinformował go rozpromieniony bibliotekarz. — Mamy nadzieję zrobić to samo z latami 1958–1964, kiedy nadejdzie następny czek, oni są jednak tacy powolni, prawda? Będzie pan uważał, co? Wiem, że tak. W razie potrzeby proszę mnie zawołać). Jedyne czytniki miały z niewiadomych przyczyn wadliwą soczewkę, toteż gdy Wendy położyła rękę na ramieniu Jacka mniej więcej czterdzieści pięć minut po tym, jak przerzucił się z gazet na mikrofilmy, głowa pękała mu z bólu.

— Danny jest w parku — powiedziała — ale nie chcę, żeby za długo siedział na dworze. Jak myślisz, ile ci to zajmie czasu?

— Dziesięć minut — odparł. Właściwie prześledził już ostatni okres fascynującej historii Panoramy — lata po strzelaninie, a przed przejęciem hotelu przez Stuarta Ullmana i Spółkę. Mimo to nadal nie miał ochoty informować o tym Wendy.

— Czego ty tak szukasz? — spytała. Mówiąc to, zwichrzyła mu włosy, lecz w jej głosie dźwięczała tylko na poły żartobliwa nuta.

— Zapoznaję się z dawnymi dziejami Panoramy — odrzekł.

— Z jakiegoś szczególnego powodu?

— Nie,
(a czemu, do cholery, taka jesteś wścibska?)
z prostej ciekawości.
— Znajdujesz coś interesującego?
— Niewiele. — Teraz z trudem nadawał głosowi przyjemne brzmienie. Była wścibska, zupełnie tak samo wścibiała nos i wtrącała się w jego sprawy w Stovington, zanim Danny wyrósł z pieluszek. Dokąd idziesz, Jack? Kiedy wrócisz? Ile masz przy sobie pieniędzy? Czy bierzesz samochód? Czy Al jedzie z tobą? Czy choć jeden z was będzie trzeźwy? I tak dalej, bez końca. Prawdę rzekłszy, to ona popchnęła go do picia. Może powodów było więcej, ale na Boga, przyznajmy szczerze i bez osłonek, że to też miało wpływ. Gderanie, ustawiczne gderanie, aż chciało się ją walnąć, żeby zamknęła gębę i dała spokój z
(Gdzie? Kiedy? Ile? Czy?)
tym nieprzerwanym strumieniem pytań. Który mógł wywołać prawdziwy
(ból głowy? kaca?)
ból głowy. Czytnik. Ten cholerny czytnik zniekształca litery. Stąd taki kurewski ból głowy.
— Dobrze się czujesz, Jack? Jesteś blady...
Gwałtownym ruchem odchylił głowę, uciekając przed jej palcami.
— Czuję się wyśmieniecie!
Cofnęła się, bo palił ją wzrokiem, i spróbowała przywdziać uśmiech o jeden numer za mały.
— Dobrze... jeśli ty... pójdę i zaczekam z Dannym w parku... — Ruszyła do wyjścia, a miejsce uśmiechu zajęły na jej twarzy zdziwienie i uraza.
— Wendy? — zawołał za nią.
Odwróciła się u stóp schodów.
— Co, Jack?
Wstał i podszedł do niej.
— Przepraszam, mała. Chyba rzeczywiście niedobrze się czuję. Ta maszyna... ma wadliwą soczewkę. Paskudnie rozboleła mnie głowa. Masz może aspirynę?
— Oczywiście. — Pogrzebała w torebce i wyciągnęła blaszane pudełko anacyny. — Zatrzymaj ją sobie.
Wziął pudełko.
— Nie masz excedryny?
Wzdrygnęła się lekko, on zaś zrozumiał. Początkowo, nim zaczął pić tyle, że już im nie było do śmiechu, pozwalali sobie na taki gorzki żarcik. Jack twierdził, że excedryna to jedyny spośród ogólnie dostępnych leków dobry na kaca. Absolutnie jedyny. Przywykł nazywać dolegliwości nazajutrz po przepiciu excedrynowym bólem głowy numer Vat 69.
— Nie mam excedryny — powiedziała Wendy. — Niestety.

— Nic nie szkodzi. Wystarczy mi anacyna. — Ale to oczywiście nieprawda, o czym Wendy też powinna wiedzieć. Czasami potrafiła być cholernie głupią suką.

— Chcesz popić? — zapytała żywo.

(Nie, ja chcę tylko widzieć, jak stąd spieprzasz!)

— Kiedy pójde na górę, popiję wodą z kranu. Dzięki.

— Okay. — Ruszyła po schodach, wdzięcznie przebierając zgrabnymi nogami pod krótką brązową wełnianą spódnica. — Będziemy w parku.

— Dobra.

Z roztargnieniem wsunął pudełeczko pastylek do kieszeni, wrócił do czytnika, po czym go wyłączył. Upewniwszy się, że Wendy już poszła, pośpieszył na górę. Boże, co za parszywy ból głowy. Jeśli człowiekowi łeb dosłownie pęka, powinien przynajmniej mieć prawo wypicia paru głębszych dla przeciwwagi.

Usiłował odegnać tę myśl, bardziej zły niż zazwyczaj. Skierował się do głównego kontuaru, ściskając w palcach kartonik po zapałkach z wypisanym numerem telefonu.

— Czy jest tu gdzieś automat telefoniczny, proszę pani?

— Nie, ale jeśli chodzi o rozmowę miejscową, może pan skorzystać z mojego aparatu.

— Niestety, chciałbym zamówić zamiejscową.

— W takim razie najlepiej będzie pójść do drogerii. Mają tam kabinę.

— Dzięki.

Wyszedł z biblioteki i, minawszy anonimowego generała z czasów wojny secesyjnej, skierował się w stronę centrum handlowego. Ręce wepchnął w kieszenie, w głowie głucho rozbrzmiewał mu jakby dzwon z ołowiu. Niebo też miało barwę ołowiu; był siódmy dzień listopada, a z początkiem miesiąca pogoda się popsufa. Przeżyli już kilka śnieżyc. Śnieg padał i w październiku, lecz topniał. Dziś jednak słońce nie wyrzało zza chmur, a gdy Jack dotarł do drogerii, śnieg znów zaczął prószyć.

Kabina telefoniczna znajdowała się w głębi budynku i Jack mijał właśnie stoisko z lekami, pobrzękując bilonem w kieszeni, kiedy wzrok jego padł na białe pudełka z zielonymi napisami. Wziął jedno z nich, zapłacił kasjerce i ruszył do telefonu. Zamknął drzwi kabiny, położył na półeczce kartonik z numerem i pieniądze, po czym wykręcił 0.

— Z jakim numerem mam łączyć?

— Z Fort Lauderdale na Florydzie. — Podał telefonistce zamawiany numer i numer aparatu w kabinie. Dowiedziawszy się, że pierwsze trzy minuty rozmowy będą kosztować dolara dziewięćdziesiąt centów, wrzucił do szpary osiem dwudziestopięciocentówek. Ilekroć w uszach rozbrzmiał mu dzwon, krzywił się z bólu.

Następnie, w stanie zawieszenia, w którym słyszał tylko dalekie szmery i trzaski na linii, wyjął zielony flakonik excedryny z pudełka, podważył białe wieczko i upuścił kłębek waty na podłogę. Ze słuchawką ramieniem przyciśniętą do ucha wytrząsnął trzy białe tabletki i ułożył na półeczce obok pozostałych monet. Zamknął butelkę i schował ją do kieszeni.

Po drugiej stronie słuchawkę podniesiono natychmiast.

— Hotel Plażowy, czym mogę służyć? — zapytał rażny kobiecy głos.

— Czy mogę mówić z dyrektorem?

— Chodzi panu o pana Trenta czy...

— O pana Ullmana.

— Pan Ullman jest chyba zajęty, ale jeśli pan sobie życzy, zaraz sprawdzę...

— Proszę sprawdzić. I powiedziec mu, że dzwoni Jack Torrance z Kolorado.

— Jedną chwileczkę.

Jacka znów ogarnęła fala niechęci do tego oszczędnego, zadufanego w sobie kutasiny Ullmana. Wziął tabletkę z półeczki, przyglądał jej się przez chwilę, po czym włożył ją do ust i zaczął żuć wolno, z upodobaniem. Smak powrócił jak wspomnienie, spowodował tryśnięcie śliny i wywołał uczucie ni to przyjemności, ni przykrości. Cierpki, gorzkawy smak, lecz zniewalający. Jack przełknął ślinę i skrzywił się. Przywykł żuć excedrynę w okresie zaglądania do butelki, od tamtej pory jednak zupełnie tego zaniechał. Ale kiedy odczuwał silny ból głowy po przepiciu albo tak jak tego dnia, żucie pastylek zdawało się przyspieszać ich działanie. Czytał gdzieś, że takie żucie może wejść w nałóg. Gdzie to wyczytał? Marszcząc czoło próbował sobie przypomnieć. I wtedy w słuchawce odezwał się Ullman:

— Torrance? Co się stało?

— Nic — odpowiedział Jack. — Kocioł jest w porządku i na razie nie zamierzam jeszcze zabić żony. Zostawiam to sobie na po świętach, kiedy zrobi się nudno.

— Bardzo zabawne. Dlaczego pan dzwoni? Jestem...

— Zajęty, tak, rozumiem. Dzwonię, bo chcę pomówić o tym, co pan przemilczał w swoim opowiadaniu o świetnej, chlubnej przeszłości Panoramy. Na przykład o tym, jak Horacy Derwent sprzedał ją paczce kanciarzy z Las Vegas, którzy opylali ją tyłu kolejnym niby to spółkom, że nawet urząd skarbowy nie wiedział, do kogo właściwie należy. O tym, jak doczekawszy stosownej chwili, przekształcili ją w miejsce rozrywek dla ważniaków z mafii, i o tym, jak trzeba ją było zamknąć w 1966, kiedy jednego z nich ukatrupiono. Razem z goryłami, którzy stali na korytarzu przy drzwiach apartamentu prezydenckiego. Wspaniałe miejsce, apartament prezydencki Panoramy. Wilson, Harding, Roosevelt, Nixon i Vito Rębacz, co?

Ullman przez chwilę milczał zdziwiony, po czym przemówił spokojnie:

— Nie rozumiem, jaki to może mieć związek z pańską pracą, panie Torrance. To...

— Ale najlepszy był numer po zastrzeleniu Gienellego, prawda? Jeszcze dwa szybkie przetasowania, szast-prast, i już właścicielką Panoramy jest osoba prywatna, kobieta nazwiskiem Sylwia Hunter. . . która od roku 1942 do 1948 przypadkiem nazywała się Sylwia Hunter Derwent.

— Trzy minuty minęły — oznajmiła telefonistka. — Proszę powiedzieć, kiedy pan skończy.

— Drogi panie Torrance, wszystko to są dobrze znane. . . i stare dzieje.

— Mnie nie były znane — odparł Jack. — I wątpię, czy wielu innych ludzi o tym wiedziało. Czy znało szczegóły. Może pamiętają, że zastrzelono Gienellego, ale chyba nikt nie powiązał w jedną całość tych cudownych, dziwnych przetasowań w Panoramie od roku 1945. A wydaje się, że zawsze korzysta na nich Derwent czy jakiś jego współnik. Co urządziła tam w roku sześćdziesiątym siódmym i sześćdziesiątym ósmym Sylwia Hunter, proszę pana? Dom schadzek, prawda?

— Torrance! — Chociaż głos dobiegał po drucie z odległości dwóch tysięcy mil, nie osłabiło to brzmiającej w nim nuty zgorszenia.

Jack z uśmiechem wrzucił do ust następną excedrynę i zaczął ją żuć.

— Sprzedała hotel, kiedy dość dobrze znany senator amerykański zmarł tam na atak serca. Krążyły plotki, że znaleziono go nagiego, jeśli nie liczyć czarnych nylonowych pończoch, paska do podwiązek i pantofli na wysokich obcasach. Dla ścisłości lakierków.

— To niecne, złośliwe kłamstwo! — krzyknął Ullman.

— Czyżby? — zapytał Jack. Zaczynał czuć się lepiej. Ból głowy ustępował. Włożył do ust ostatnią excedrynę i żuł ją, z przyjemnością smakując gorzcy rozgniatanego zębami proszka.

— To był straszny pech — powiedział Ullman. — Ale o co panu chodzi, Torrance? Jeśli zamierza pan nas obsmarować w jakimś artykule. . . jeśli to jakaś poroniona, głupia próba szantażu. . .

— Nic podobnego — odparł Jack. — Zadzwoiłem, bo wydało mi się, że nie grał pan ze mną w otwarte karty. I że. . .

— Nie grałem w otwarte karty? — wykrzyknął Ullman. — Mój Boże, czy spodziewał się pan, że będę prał stertę brudnej bielizny z dozorcą hotelu? Za kogo, na litość boską, pan się uważa? A zresztą jakież wpływy na pana mogłyby mieć te dziwne historie? Może pan myśli, że po korytarzach skrzydła zachodniego przechadzają się duchy w prześcieradłach i zawodzą: „Biada!”?

— Nie, nie przypuszczam, żeby tam były duchy. Ale pan odgrzebał mnóstwo szczegółów z mojego życia, zanim mnie pan zaangażował. Wezwał mnie pan na dywanik i wypytywał, czy potrafię pilnować pańskiego hotelu, zupełnie jakbym był małym chłopcem przywołanym przed katedrę, gdzie ma się wytłumaczyć, dlaczego nasiusiał w szatni. Wprawił mnie pan w zakłopotanie.

— Po prostu nie wierzę w to pańskie bezczelne gadanie, w pańskie cholerne, przekłete impertynencje. — Ullman mówił takim głosem, jakby się dławiał. —

Z przyjemnością bym pana wylał. I może to zrobię.

— Sądzę, że Al Shockley mógłby wyrazić sprzeciw. Bardzo stanowczy.

— A ja sądzą, że ostatecznie pan Shockley może mieć względem pana mniejsze zobowiązania, niż pan przypuszcza, panie Torrance.

Na chwilę ból głowy powrócił w całej swej potędze i Jack przymknął pod jego wpływem oczy. Jak gdyby z oddali usłyszał własne pytanie:

— Do kogo należy teraz Panorama? Nadal do Przedsiębiorstw Derwenta? Czy może jest pan za drobną płotką, aby to wiedzieć?

— Dość już chyba, panie Torrance. Jest pan pracownikiem hotelu, nie lepszym od młodszego kelnera czy pomywacza. Nie zamierzam. . .

— Dobra, napiszę do Ala. On będzie wiedział; jest przecież w radzie nadzorczej. I może dodam małe postscriptum tej treści, że. . .

— Panorama nie należy do Derwenta.

— Co? To mi nie przyszło do głowy.

— Powiedziałem, że do niego nie należy. Wszyscy akcjonariusze pochodzą ze Wschodu. Pański przyjaciel, pan Shockley, ma największy pakiet akcji, ponad trzydzieści pięć procent. Pan powinien lepiej ode mnie wiedzieć o jego powiązaniach z Derwentem.

— Kto poza nim?

— Nie zamierzam panu zdradzać pozostałych akcjonariuszy, panie Torrance. Zamierzam całą tą sprawą zainteresować. . .

— Jeszcze jedno pytanie.

— Nie muszę panu odpowiadać.

— Prawie wszystkie te historie. . . smaczne i niesmaczne. . . znalazłem w podziemiu, w albumie z wycinkami. Dużym, w białej skórzanej oprawie. Przewiązanym złotą nicią. Nie wie pan, do kogo mógł należeć?

— Nie mam pojęcia.

— Czy mógł należeć do Grady'ego? Dozorcy, który odebrał sobie życie?

— Panie Torrance — powiedział Ullman najbardziej lodowatym tonem. — Nie jestem bynajmniej pewny, czy pan Grady umiał czytać, nie mówiąc już o odgrzebywaniu tych brudów, którymi zawraca mi pan głowę.

— Noszę się z zamiarem napisania książki o Panoramie. Przyszło mi na myśl, że gdybym rzeczywiście to zrobił, właściciel albumu chciałby przeczytać podziękowania na pierwszej stronie.

— Według mnie pisanie takiej książki byłoby rzeczą wielce nierozsądną — rzekł Ullman. — Zwłaszcza z pańskiego. . . no, z pańskiego punktu widzenia.

— Ten pogląd mnie nie dziwi. — Ból głowy całkowicie ustąpił. Przeszył ją tylko jeden raz i minął. Umysł Jacka działał sprawnie i z absolutną precyzją. Zazwyczaj zdarzało się to wyłącznie wtedy, kiedy bardzo dobrze szło mu pisanie albo kiedy miał rausza po trzech drinkach. O tym też zapomniał; nie wiedział, czy

excedryna wywiera podobny wpływ na innych ludzi, ale on po zgryzieniu trzech tabletek natychmiast był jakby na haju. Teraz powiedział:

— Pan chciałby mieć coś w rodzaju przewodnika, który ktoś napisałby na zamówienie i który można by wręczać przyjeżdżającym gościom. Coś z mnóstwem zdjęć na kredowym papierze, z widokami gór o wschodzie i zachodzie słońca i ze stosownym landrynkowym tekstem. A także z rozdziałem poświęconym barwnym postaciom, które tu mieszkały, rzecz prosta, nie tym naprawdę barwnym, takim jak Gienelli i jego przyjaciele.

— Gdybym mógł panu wymówić i na sto, a nie tylko na dziewięćdziesiąt pięć procent liczyć, że zachowam posadę — rzekł Ullman urywanym, zdławionym głosem — wylałbym pana z miejsca, przez telefon. Ponieważ jednak brak mi tych pięciu procent pewności, zadzwonię do pana Shockleya, jak tylko pan się rozłączy. . . co, mam szczerą nadzieję, nastąpi niebawem.

— Książka będzie mówić wyłącznie prawdę, wie pan. Nie potrzeba żadnych upiększeń.

(Czemu się nad nim znęcasz? Chcesz wylecieć?)

— Obojętne mi, jakie świństwa powypisuje pan w piątym rozdziale o papieżu.

— Ullman podniósł głos. — Chcę, żeby się pan wyniósł z mojego hotelu.

— To nie pański hotel! — wrzasnął Jack i z trzaskiem powiesił słuchawkę.

Usiadł na stołku zdyszany i trochę przestraszony,

(trochę? Jeszcze jak, do diabła)

niezdolny zrozumieć, dlaczego, na litość boską, w ogóle dzwonił do Ullmana.

(Znow wpadłeś w złość, Jack.)

Tak. Istotnie. Na nic się nie zda zaprzeczać. A najgorsze było to, że nie miał pojęcia, jak silny wpływ wywiera ten oszczędny kutasina na Ala, nie wiedział też, jakie bzdury pozwoli mu Al wygadywać w imię dawnej przyjaźni. Czy gdyby Ullman dotrzymał słowa i postawił Alowi ultimatum: albo on, albo ja, Al nie musiałby akceptować wymówienia? Jack przymknął oczy i spróbował sobie wyobrazić, jak mówi do Wendy: „Wiesz co, mała? Straciłem kolejną posadę. Tym razem wymagało to połączenia telefonicznego z kimś oddalonym o dwa tysiące mil, komu mógłbym dołożyć, ale dopiąłem swego”.

Otworzył oczy i otarł wargi chusteczką. Miał ochotę na drinka. Do licha, to była potrzeba. Trochę dalej na tej samej ulicy jest kawiarnia, na pewno zdąży strzelić sobie piwo po drodze do parku, tylko jedno, żeby splukać proszek. . .

Bezradnie zacisnął pięści.

Powróciło pytanie: dlaczego w ogóle dzwonił do Ullmana? Numer Hotelu Plażowego miał wypisany w notesiku leżącym w biurze przy telefonie i krótkofalówce — obok numerów hydraulików, stolarzy, szklarzy, elektryków i tak dalej. Zanotował go na kartoniku z zapałkami wkrótce po przebudzeniu, gdy pomysł zadzwonienia do Ullmana był już w pełni ukształtowany w jego głowie i napełniał go radością. Ale jaki to miało cel? Kiedyś, w okresie pijatyk, Wendy zarzuciła mu,

że dąży do własnej zguby, nie ma jednak siły moralnej nieodzownej do zrealizowania w pełni uformowanego pragnienia śmierci. Więc dostarczał innym ludziom okazji, za każdym razem z uszczerbkiem dla siebie i rodziny. Czy to mogła być prawda? Czy odczuwał jakiś wewnętrzny lęk, że Panorama okaże się właśnie tym, czego mu potrzeba, aby ukończyć sztukę i w ogóle wziąć się w garść, pozbierać do kupy? Czy sam na siebie składa donos? O Boże, proszę, nie pozwól, żeby tak było. Proszę.

Zamknął oczy, a na przyciemnionym ekranie powiek natychmiast pojawił się obraz: wsadza rękę przez tę dziurę w dachu, bo chce wyciągnąć przerdzewiałą obróbkę, nagłe bolesne uklucie, jego własny rozpaczliwy, zdumiony okrzyk w nieruchomym, obojętnym powietrzu: „Och, ty cholerna pieprzona dziwko...”

Miejsce tego obrazu zajął inny, sprzed dwóch lat: Jack wtacza się do domu o trzeciej nad ranem, pijany, potraça stolik i pada jak długi na podłogę, klnąc, budząc Wendy, która śpi na kanapie. Wendy zapala światło, widzi jego ubranie, podarte i ubrudzone w jakiejś bójce na parkingu, która wybuchła w niewyraźnie zapamiętanej mordowni tuż za granicą stanu New Hampshire przed paroma godzinami, widzi zakrzepłą krew pod jego nosem, oczy skierowane teraz na żonę, głupawo mrugające w blasku lampy jak oczy kreta w słońcu. Wendy mówi głucho: „Ty skurwysynu, obudziłeś Danny’ego. Skoro nie troszczysz się o siebie, czy nie mógłbyś choć trochę zatroszczyć się o nas? Och, ale po co ja się do ciebie w ogóle zwracam?”

Podsłuchując, słysząc dzwonek telefonu. Chwycił słuchawkę w nielogicznym przeświadczeniu, że musi to być albo Ullman, albo Al Shockley.

— Co? — warknął.

— Należność za dodatkowe minuty, proszę pana. Trzy i pół dolara.

— Będę musiał zmienić pieniądze — powiedział. — Proszę zaczekać.

Położył słuchawkę na półce, wrzucił ostatnie sześć dwudziestopięciocentówek i poszedł do kasjerki poprosić o więcej. Wykonał to odruchowo, a jego myśli krążyły po zamkniętym obwodzie niczym wiewiórka po swoim kółku.

Dlaczego zadzwonił do Ullmana?

Bo Ullman wprawił go w zakłopotanie? Wprawiano go w zakłopotanie również przedtem — i robili to prawdziwi mistrzowie, wielkim mistrzem zaś oczywiście był on sam. Bo chciał po prostu zatriumfować nad tym człowiekiem, zdemaskować jego obłudę? Jack nie uważał się za kogoś aż tak małostkowego. Rzeczywistego powodu dopatrywał się w albumie, ale to też nie trzymało się kupy. Były najwyżej dwie szanse na tysiąc, że Ullman będzie znał nazwisko jego właściciela. W trakcie ich pierwszej rozmowy podziemie traktował jak inny kraj — do tego wstrętny i zacofany. Gdyby Jack istotnie pragnął się dowiedzieć, zadzwoniłby do Watsona, którego numer telefonu również figurował w biurowym notesie. Nawet Watson nie byłby pewnym informatorem, pewniejszym jednak niż Ullman.

A zdradzanie pomysłu książki to kolejna głupota. Niewiarygodna głupota. Nie

dość, że zagrażało jego posiadzie, ale mogło także zatamować dopływ wiadomości, gdyby Ullman przez telefon ostrzegł ludzi przed przebyszami z Nowej Anglii, wypytującymi o Panoramę. Jack mógł przecież prowadzić badania po cichu, wysyłać grzeczne listy, może nawet umawiać się na wiosenne spotkania... a potem śmiać się w kułak z rozwścieczonego Ullmana, już po wydaniu książki i z bezpiecznej odległości — „Zamaskowany autor uderza ponownie”. Tymczasem odbył tę idiotyczną rozmowę, wpadł w złość, naraził się Ullmanowi i wydobył na jaw dyktatorskie zapędy dyrektora hotelu. Dlaczego? Czym to tłumaczyć, jeśli nie próbą doprowadzenia do tego, że go wyleją z dobrej posady załatwionej przez Alę?

Wrzucił do aparatu resztę pieniędzy i powiesił słuchawkę. Właśnie tak idiotycznie mógłby postąpić po pijanemu. Ale był trzeźwy, trzeźwiusieńki.

Na chodniku spotkał Wendy i Danny'ego.

— Hej, przyszliśmy po ciebie — powiedziała Wendy. — Pada śnieg, nie widzisz?

— Rzeczywiście.

Jack wzniosł zmrużone oczy. Sywał gęsty śnieg. Główna ulica Sidewinder była już grubo przyprószona, znikła linia pośrodku jezdni. Danny nastawił twarz do białego nieba, otworzył usta i wysunął język, żeby chwytać duże spadające płatki.

— Myślisz, że to już to? — zapytała Wendy.

Jack wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Liczyłem, że się o tydzień czy dwa odwlecze. Może jeszcze się tego doczekamy.

Zwłoka, o nią chodziło.

(Przepraszam, AL Błagam o zwłokę. Zmiłuj się. Daj jeszcze jedną szansę. Z całego serca przepraszam.)

Ile razy, w ciągu ilu lat, on — dorosły mężczyzna — prosił, aby dano mu jeszcze jedną szansę? Nagle sam sobie obrzydł, poczuł do siebie taką odrazę, że o mało nie jęknął na głos.

— Jak głowa? — Wendy obserwowała go bacznie.

Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

— Lepiej. Chodźcie, wracajmy do domu, póki się da.

Poszli w stronę ciężarówki, skośnie zaparkowanej przy krawężniku. Idący pośrodku Jack lewą ręką obejmował plecy Wendy, prawą trzymał dłoń Danny'ego. Pierwszy raz nazwał to domem, na dolę i niedolę.

Kiedy siadał za kierownicą, olśniła go myśl, że Panorama wprawdzie go fascynuje, ale nie bardzo przypadła mu do serca. Nie miał pewności, czy służy jego żonie, synowi i jemu samemu. Może właśnie dlatego zadzwonił do Ullmana.

Żeby dostać wymówienie, zanim się zrobi za późno.

Cofnął wóz i wywiózł ich z miasta, w góry.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Nocne rozmyślenia

Była dziesiąta. Wszyscy udawali, że śpią.

Jack leżał na boku, twarzą do ściany, z otwartymi oczami, i wsłuchiwał się w powolny, regularny oddech Wendy. W ustach wciąż miał smak rozpuszczonej excedryny, od której język stał się szorstki i z lekka odrętwiały. Al Shockley zadzwonił kwadrans po piątej, kwadrans po siódmej czasu wschodniego. Wendy była na dole z Dannym, siedziała w holu przy kominku i czytała.

— Z przywołaniem pana Jacka Torrance’a — powiedziała telefonistka.

— Jestem przy aparacie. — Przełożył słuchawkę do prawej ręki, lewą wyciągnął z tylnej kieszeni chustkę i otarł obolałe wargi. Po czym zapalił papierosa.

I głos Ala donośnie zabrzmiał mu w uchu.

— Jacky, mój chłopcze, co ty, na litość boską, wyprawiasz?

— Cześć, Al. — Poczuł zapach dymu i po omacku poszukał buteleczki z excedryną.

— Co się dzieje, Jack? Odebrałem po południu dziwny telefon od Stuarta Ullmana. A kiedy Stu Ullman płaci za rozmowę międzymiastową z własnej kieszeni, wiadomo, że to nie żarty.

— Ullman nie ma powodu do zmartwienia, Al. I ty także.

— Co to za brak powodu do zmartwienia? Stu dawał odczuć, że chodzi ni to o szantaż, ni o reportaż do „National Enquirer”, poświęcony Panoramie. Mów, bracie.

— Chciałem go trochę podrażnić — powiedział Jack. — Kiedy przyjechałem tu na pierwszą rozmowę, powywlekał wszystkie moje brudy. Picie. Utratę posady wskutek znęcania się nad uczniem. Był ciekaw, czy się nadam do pracy. I tak dalej. A mnie wkurzyło, że to wszystko wyciąga z wielkiej miłości do tego przekłętego hotelu. Do pięknej Panoramy. Panoramy z tradycjami. Cholernej świętej Panoramy. No więc znalazłem w podziemiu album z wycinkami. Ktoś zgromadził mniej smaczne historyjki związane z tą katedrą Ullmana i odniosłem wrażenie, że po godzinach odprawia się tu cichą czarną mszę.

— Mam nadzieję, że mówisz metaforycznie, Jack. — W głosie Ala brzmiał przerażający chłód.

— Owszem. Ale odkryłem. . .

— Znam historię hotelu.

Jack przeczesał włosy palcami.

— Więc zadzwoniłem, aby się z nim trochę podrażnić. Przyznaję, że nie postąpiłem zbyt inteligentnie, i na pewno drugi raz bym tego nie zrobił. Sprawa skończona.

— Stu twierdzi, że to ty zamierzasz wywlec trochę brudów na światło dzienne.

— Stu to dureń! — warknął Jack w słuchawkę. — Owszem, powiedziałem mu, że noszę się z myślą napisania o Panoramie. Tak jest. Moim zdaniem, wskazuje ona na charakter Amerykanów po drugiej wojnie. Wygląda to na przesadę, kiedy się mówi bez osłonek. . . wiem, że tak. . . ale on cały się tu objawia. Al! Mój Boże, to mogłaby być świetna książka. Należy jednak do dalekiej przyszłości, tyle ci mogę obiecać. W chwili obecnej mam za dużo na głowie i. . .

— Jack, to nie wystarczy.

Jack gapił się w czarną tubkę, niezdolny uwierzyć słowom, które na pewno usłyszał.

— Co? Al, czy powiedziałeś? . . .

— Powiedziałem to, co powiedziałem. Jak daleka jest ta przyszłość, Jack? Dla ciebie może oznaczać dwa lata albo pięć. Dla mnie trzydzieści lub czterdzieści, bo spodziewam się długo mieć powiązania z Panoramą. Mdli mnie na myśl, że będziesz zbierać szumowiny z mojego hotelu i puszczać w obieg jako wielkie dzieło literatury amerykańskiej.

Jack zaniemówił.

— Próbowałem ci pomóc, Jacky. Przeżyliśmy razem niejedno i uważałem, że winien ci jestem pomoc. Pamiętasz nasze boje?

— Pamiętam — mruknął Jack, lecz poczuł w sercu urazę. Najpierw Ullman, potem Wendy, teraz Al. Co to takiego? Krajowy Tydzień Dręczenia Jacka Torrance'a? Jeszcze mocniej zacisnął usta, sięgnął po papierosy i zrzucił je na podłogę. Czy rzeczywiście lubił kiedyś tego nędznego kutasa, który teraz przemawia do niego z wyłożonego mahoniem pokoju telewizyjnego w Vermont? Naprawdę go lubił?

— Zanim uderzyłeś tego małego Hatfielda — ciągnął Al — przekonałem członków rady, że nie należy cię zwalniać, i nawet przekabaciłem ich na tyle, że zaczęli myśleć o daniu ci etatu. Sam przekreśliłeś tę szansę. Znalazłem ci ten hotel, miłe, spokojne miejsce, żebyś mógł się pozbierać, skończyć sztukę i poczekać do czasu, kiedy Harry Effinger i ja zdołamy przekonać pozostałych facetów, że popełnili dużą omyłkę. Teraz wygląda na to, że chcesz mnie postrzelić, nim zapolujesz na grubszą zwierzynę. Czy tak dziękujesz swoim przyjaciom?

— Nie — szepnął Jack.

Nie śmiał powiedzieć więcej. W głowie pulsowały mu gorące, wytrawione kwasem słowa, które poszukiwały ujścia. Z całych sił starał się myśleć o Dannym i Wendy, którzy całkowicie zdani na niego siedzieli spokojnie przy kominku, pochłonięci pierwszym elementarzem dla drugiej klasy i przeświadczeni, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Co by się stało, gdyby stracił tę posiadłość? Wyruszyliby do Kalifornii sfatygowanym starym volkswagenem ze zdezelowaną pompą paliwową, niczym rodzina wędrownego robotnika rolnego? Zanimby do tego dopuścił, powiedział sobie, padłby na kolana i błagał Ala, słowa jednak nadal nie mogły się wydobyć z ust.

— Co? — zapytał Al ostro.

— Nie — odparł. — Nie tak traktuję swoich przyjaciół. I ty o tym wiesz.

— Skąd mogę wiedzieć? W najgorszym wypadku zamierzasz obsmarować mój hotel, odgrzebując zwłoki przywoicie pochowane przed wieloma laty. A w najlepszym dzwonisz do mojego wybuchowego, lecz wyjątkowo kompetentnego dyrektora hotelu i doprowadzasz go do szału jakąś... jakąś głupią dziecinną grą.

— To było coś więcej niż gra, Al. Dla ciebie wszystko jest łatwiejsze. Ty nie musisz korzystać z pomocy bogatego przyjaciela. Nie potrzebujesz przyjaciela w sądzie, bo sam jesteś sądem. A o tym, że ty o mało się nie zapiliś na amen, nikt raczej nie wspomina, co?

— No, raczej nie — przyznał Al cichszym już głosem, jakby zmęczony całą tą sprawą. — Ale, Jack. Jack... ja nic nie poradzę. Nie mogę tego zmienić.

— Wiem — rzekł Jack głucho. — Wylewasz mnie? Jeśli tak, to lepiej mów od razu.

— Nie, jeśli zrobisz dla mnie dwie rzeczy.

— Zgoda.

— Może lepiej zapoznaj się z warunkami, zanim je przyjmiesz.

— Nie. Postaw je, a będą przyjęte. Muszę myśleć o Wendy i Dannym. Jeżeli zażadasz moich jaj, przyślę ci je pocztą lotniczą.

— Jesteś pewny, że stać cię na luksus rozczulania się nad sobą?

Jack zamknął oczy i do suchych ust wsunął excedrynę.

— W tym momencie uważam, że to jedyny luksus, na jaki mnie stać. Wal... to słowo nie jest zamierzonym dwuznacznikiem.

Al milczał przez chwilę. Potem rzekł:

— Po pierwsze, żadnych telefonów do Ullmana. Choćby się paliło. W takim wypadku dzwoń do konserwatora, do tego faceta, który klnie bez przerwy, wiesz, o kogo chodzi...

— O Watsona. — Tak.

— Dobra. Zrobione.

— Po drugie, obiecaj mi, Jack. Daj słowo honoru. Żadnej książki o słynnym hotelu górskim z barwną historią.

Jack w przyplywie wściekłości dosłownie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Krew głośno tętniła mu w uszach. Było to tak, jakby zadzwonił do niego jakiś współczesny Medyceusz. . . proszę, żebyś na portretach członków rodziny książęcej nie malował kurzajek, a jeśli nie posłuchasz, ponownie zmieszasz się z pospółstwem. Subsydiuję wyłącznie ładne obrazy. Proszę, żebyś malując córkę mojego serdecznego przyjaciela i współnika, pominął znamię, jeśli zaś nie posłuchasz, ponownie zmieszasz się z pospółstwem. Oczywiście jesteśmy przyjaciółmi. . . obaj zaliczamy się do ludzi cywilizowanych, prawda? Dzieliliśmy się łóżkiem, wikttem i butelką. Na zawsze pozostaniemy przyjaciółmi i za obopólną zgodą nigdy nie będziemy zwracać uwagi na obrożę, którą ci nałożyłem, a ja będę cię otaczać troską i życzliwością. W zamian żądam jedynie twojej duszy. To drobiazg. Możemy nawet zapomnieć o tym, że mi ją oddałeś, tak jak zapominamy o obroży. Pamiętaj, mój utalentowany przyjacielu, na ulicach Rzymu pełno jest żebrzących Michałów Aniołów. . .

— Jack? Jesteś?

Wydał zdławiony dźwięk, który miał być słowem „tak”. Głos Ala rozbrzmiewał siłą i wielką pewnością siebie.

— Doprawdy nie żądam chyba tak wiele, Jack. I napiszesz inne książki. Po prostu nie możesz oczekiwać, że będę cię subsydiował, gdy tymczasem ty. . .

— W porządku, zgoda.

— Nie uważaj przypadkiem, że próbuję kierować twoją działalnością artystyczną, Jack. Za dobrze mnie znasz. Chodzi tylko o. . .

— Al?

— Co?

— Czy Derwent nadal jest powiązany z Panoramą? W jakikolwiek sposób?

— To ciebie w ogóle nie powinno obchodzić.

— Tak — przyznał Jack z rezerwą — nie powinno. Słuchaj, Al, zdaje się, że woła mnie Wendy. Zadzwonię do ciebie.

— Koniecznie, Jacky. Pogadamy sobie od serca. Jak leci? Nie pijesz?

(Dostałeś swój funt krwawego mięsa, więc daj mi wreszcie spokój.)

— Ani kropelki.

— Ja też. Właściwie zaczynam się rozkoszować trzeźwością. Jeżeli. . .

— Zadzwonię, Al. Wendy. . .

— Dobra. W porządku.

Odłożył słuchawkę i właśnie wtedy chwyciły go kurcze, poraziły jak błyskawica, sprawiły, że skulił się przed telefonem w pozie skruszonego grzesznika, z rękami na brzuchu i z głową pulsującą niczym olbrzymi pęcherz.

Lecząca osa użądli i dalej leci. . .

Kurcze już nieco zelżały, kiedy Wendy przysłała na górę i zapytała, kto dzwonił.

— Al — odrzekł. — Chciał się dowiedzieć, jak nam leci. Powiedziałem, że świetnie.

— Wyglądasz okropnie, Jack. Jesteś chory?

— Znów rozboleła mnie głowa. Położę się wcześniej do łóżka. Nie ma sensu zasiadać do pisania.

— Przynieść ci może ciepłego mleka?

Uśmiechnął się blade.

— Bardzo byłabyś miła.

Teraz leżał przy niej, czuł ciepło uda śpiącej żony. Na myśl o rozmowie z Alem, o tym, jak się przed nim płaszczył, Jackowi robiło się na przemian zimno i gorąco. Kiedyś nadejdzie czas porachunku. Kiedyś powstanie książka, nie tak łagodna i rozważna jak w pierwotnym zamiarze, ale studium ostre niczym szlifowany kamień, z fotografiami i tak dalej. Przeanalizuje w niej dzieje Panoramy, plugawe, kazirodcze przechodzenie z rąk do rąk i całą resztę. Poda to wszystko czytelnikowi jak pokrajaną langustę. A jeśli Al Shockley ma powiązania z imperium Derwenta, niechaj go Pan Bóg strzeże.

Napięty niczym struna fortepianowa Jack leżał i wpatrywał się w ciemności, wiedząc, że wiele godzin może jeszcze upłynąć, nim zaśnie.

Wendy Torrance leżała na wznak z zamkniętymi oczami i wsłuchiwała się w oddech śpiącego męża — długi wdech, zatrzymanie na krótko powietrza w płucach, trochę gardłowy wydech. Była ciekawa, dokąd wędruje przez sen. Do jakiegoś wesołego miasteczka, do Great Barrington z marzeń sennych, gdzie wszystkie przejażdżki są za darmo i gdzie żona-matka nie mówi, że dość już hot dogów albo że powinni zaraz wracać, jeśli chcą dotrzeć do domu przed zmrokiem? Czy podąży do jakiegoś bezdennego baru, gdzie picie nigdy nie ustaje, drzwi są stale otwarte, a starzy druhowie ze szklankami w rękach gromadzą się w komplecie wokół elektronicznego hokeja, wśród nich zaś wyróżnia się Al Shockley w rozluźnionym krawacie i koszuli rozpiętej pod szyją? Do miejsca, gdzie zarówno ona, jak Danny nie mają wstępu i gdzie popijawa trwa bez końca?

Wendy martwiła się o niego, dręczyło ją dawne poczucie bezradności i troska, którą spodziewała się na zawsze pozostawić w Vermont, jak gdyby troski nie mogły przekraczać granic stanów. Nie podobało jej się to, co Panorama najwyraźniej robiła z Jackiem i Dannym.

Ale czymś najbardziej przerażającym, nieuchwytnym i przemilczanym, czego może nie należało poruszać, był nawrót wszystkich po kolei objawów alkoholizmu Jacka. . . wszystkich prócz samego picia. Ocieranie wciąż warg dłonią albo chustką, jakby były nadmiernie wilgotne. Długie przerwy w pisaniu na maszynie, więcej kul papieru w koszu na śmiecie. Na stoliku przy telefonie stała po wieczornej rozmowie z Alem buteleczka excedryny, brakowało natomiast szklanki

z wodą. Jack znów żuł pastylki. Irytował go byle drobiazg. Nieświadomie zaczynał pstrykać palcami w nerwowym rytmie, kiedy robiło się zbyt cicho. Klął coraz częściej. Troską napełniało ją też jego opanowanie. Niemal z ulgą patrzyłaby, jak je traci, jak spuszcza trochę pary, podobnie jak z samego rana i późno w noc spuszczał parę z kotła w podziemiach. Sprawiałby jej niemal przyjemność, gdyby zaklął, kopnął krzesło w kąt albo trzasnął drzwiami. Ale takie wyskoki, zawsze dla niego typowe, prawie zupełnie się skończyły. Mimo to odnosiła wrażenie, iż Jack coraz częściej złości się na nią czy na Danny'ego, tyle że się hamuje. Kocioł miał ciśnieniomierz: stary, spekany, zatłuszczony, lecz wciąż sprawny. Jack nie miał. Wendy nigdy nie potrafiła go przejrzeć. Danny czasem potrafił, Danny jednak milczał.

I ten telefon Ala. Mniej więcej równocześnie z dzwonkiem Danny przestał się interesować tym, co czytali. Zostawił ją przy kominku, a sam przeszedł do kontuaru, na którym Jack zbudował szosy dla jego samochodzików i ciężarówek. Stał tam Wściekle Fioletowy Volkswagen i Danny zaczął szybko popychać go tam i z powrotem. Wendy, niby zajęta lekturą, obserwowała syna znad książki i widziała, jak dziwnie łączy typowe dla niej i dla Jacka gesty wyrażające niepokój. Ociera wargi. Obiema rękami nerwowo przeczesuje włosy, tak jak ona, kiedy czekała na powrót Jacka z wędrowni po barach. Nie mogła uwierzyć, że Al dzwonił z prostej ciekawości, jak im leci. Jeśli się chciało pogadać o głupstwach, dzwoniło się do Ala. Al dzwonił, kiedy miał interes.

Później, po jej powrocie na parter, Danny znów siedział skulony przy kominku, całkowicie pochłonięty czytanką o przygodach Joego i Rachel w cyrku, dokąd wybrali się z tatą. Bez śladu znikło nerwowe roztargnienie. Patrząc na niego, kolejny raz doznała uczucia niesamowitej pewności, że Danny więcej wie i więcej rozumie, niż to zakłada doktor („Mów mi po prostu Bill”) Edmonds.

- Hej, czas do łóżka, stary — powiedziała.
- Taak, dobra. — Zaznaczył miejsce w książce i wstał.
- Umyj się i pamiętaj o zębach.
- Dobra.
- Nie zapomnij prócz szczoteczki użyć też nitki.
- Nie zapomnę.

Przez chwilę stali obok siebie, wpatrzeni w rozpadające się i przygasające węgle. W całym prawie holu panował chłód i przeciągi, lecz ten krąg wokół kominka był magicznie ciepły i nie chciało się stąd odejść.

- Dzwonił wujek Al — powiedziała obojętnym tonem.
- Och, tak? — Żadnego zdziwienia.
- Ciekawa jestem, czy się złościł na tatę. — Nadal zachowywała obojętność.
- Pewnie, że się złościł. — Danny wciąż wpatrywał się w ogień. — Nie chciał, żeby tata napisał tę książkę.
- Jaką książkę, Danny?

— O hotelu.

Na usta cisnęło jej się pytanie, które tysiące razy zadawali z Jackiem Danny'emu: „Skąd wiesz?” Nie zadała go. Nie chciała denerwować chłopca przed snem ani mu dawać do zrozumienia, że niekiedy dyskutowali o tym, skąd wie coś, czego przecież nie mógł wiedzieć. On zaś wiedział, tego była pewna. Gadanie doktora Edmondsa o wnioskowaniu indukcyjnym i podświadomej logice sprowadzało się właśnie do tego: do pustego gadania. Jej siostra... skąd Danny wiedział, że tamtego dnia w poczekalni myślała o Aileen? I...

(Śniło mi się, że tata miał wypadek.) Potrząsnęła głową, jakby chcąc odegnać te myśli.

— Idź się myć, stary.

— Dobra. — Pobiegł po schodach do ich mieszkania.

Ze zmarszczką na czole poszła do kuchni, żeby podgrzać mleko dla Jacka.

A teraz, leżąc bezsennie w łóżku i wsłuchując się w oddech męża i wycie wiatru na dworze (jakimś cudem po południu skończyło się na jednej tylko przelotnej śnieżyicy; wciąż nie były to duże opady), skoncentrowała się wyłącznie na swym uroczym, kłopotliwym synku, urodzonym w czepku, z błoną na twarzy, widywaną przez doktorów może raz na siedemset porodów, w opowieściach starych kobiet zaś oznaczającą dar jasnowidzenia.

Jej zdaniem, nadeszła pora, aby powiedzieć Danny'emu o Panoramie... i jego skłonić do mówienia. Jutro. Z całą pewnością. Pojadą we dwójkę do Sidewinder, wypożyczyć dla niego z biblioteki publicznej książki do drugiej klasy na całą zimę, i wtedy z nim porozmawia. Szczerze. Na tę myśl poczuła się lepiej i wreszcie zaczęła zapadać w sen.

Danny czuwał w swoim łóżku, oczy miał otwarte, lewą ręką obejmował wiekowego i nieco podniszczonego Puchatka (Puchatek stracił jedno oko jak guzik, a przez kilka pękniętych szwów wyłaźła z niego wata) i słuchał, jak rodzice śpią w swojej sypialni. Czuł się tak, jakby wbrew woli pełnił przy nich wartę. Noce były najgorsze. Nie cierpiał nocy i ustawicznego zawodzenia wiatru wokół zachodniego skrzydła hotelu.

Szybowiec unosił się na sznurku nad jego głową. Na komodzie model volkwagena, przyniesiony ze zbudowanej na parterze jezdni, jarzył się z lekka fluorescencyjnym fioletem. Książki stały na półce, książeczki do kolorowania leżały na biurku. „Miejsce dla każdej rzeczy i każda rzecz na swoim miejscu, mówiła mama, wtedy wiadomo, gdzie szukać”. Ale teraz zostały poprzekładane. Niektórych brakowało. Co gorsza, innych przybywało, tych nie całkiem widocznych, takich jak na jednym z obrazków podpisanych: „Czy widzisz Indian?” Wyteżając wzrok i mrużąc oczy, rzeczywiście można ich było dojrzeć — coś, co zrazu wyglądało na kaktus, okazywało się wojownikiem z nożem w zębach, inni zaś kryli się wśród skał, a jedna zła, bezlitosna twarz wyzierała spoza szprych koła krytego wozu. Nigdy jednak nie można było zobaczyć ich wszystkich, i to budziło lęk.

Bo właśnie ci nie spostrzeżeni skradali się od tyłu, z tomahawkiem w jednej ręce, a nożem do skalpowania w drugiej. . .

Niespokojnie przesunął się na łóżku i poszukał wzrokiem krzepiącego światła nocnej lampki. Tutaj sprawy uległy pogorszeniu. To nie budziło wątpliwości. Z początku nie było tak źle, lecz stopniowo. . . jego tata dużo częściej myślał o pi-ciu. Czasami złościł się na mamę, choć nie wiedział o co. Chodził, ocierając war-gi chustką, z mrocznym, nieobecnym spojrzeniem. Mama się o niego martwiła, o Danny'ego także. Danny nie potrzebował przenikać jej swą jasnością, bo i tak to wiedział; zdradziła się, zadając mu trwożne pytania w tym dniu, kiedy szlauch jakby przeobraził się w węża. Pan Hallorann powiedział, że według niego wszystkie matki mają leciutką jasność, toteż wiedziała, że coś się stało. Nie wiedziała jednak co.

O mało jej nie powiedział, ale z paru względów się powstrzymał. Wiedział, że doktor z Sidewinder potraktował Tony'ego i rzeczy przez niego pokazywane jako coś absolutnie

(no, prawie)

normalnego. Matka mogłaby nie uwierzyć, gdyby jej opowiedział o szlauchu. Gorzej, mogłaby uwierzyć, lecz źle to sobie wytłumaczyć, mogłaby pomyśleć, że on dostaje kręcka. Wiedział coś niecoś o kręcku, choć mniej niż o rodzeniu dziecka, to bowiem mama wytłumaczyła mu rok wcześniej dość szczegółowo.

Kiedyś w przedszkolu jego przyjaciel Scott wskazał na chłopca nazwiskiem Robin Stenger, który osowiały łąził przy huśtawkach, z nosem tak bardzo spuszczo-nym na kwintę, że prawie można było na niego nadepnąć. Ojciec Robina uczył arytmetyki w szkole taty, a tata Scotta uczył tam historii. Ojcowie większości przedszkolaków pracowali w szkole przygotowawczej w Stovington albo w ma-łej fabryczce IBM tuż za miastem. Dzieci nauczycieli trzymały się razem, dzieci z IBM także. Oczywiście zdarzały się przyjaźnie między przedstawicielami tych dwóch grup, lecz naturalną kolejną rzeczy dzieci, których ojcowie się znali, łączyła bliższa więź. Kiedy w jednej grupie dorosłych wybuchał skandal, prawie zawsze przecieki docierały do dzieci w jakiejś strasznie zniekształconej formie, rzadko natomiast dowiadywała się o tym druga grupa.

Danny i Scotty siedzieli w modelu rakiety, gdy wtem Scotty wskazał palcem Robina i spytał:

— Znasz tego chłopca?

— Taak — odparł Danny.

Scott pochylił się do przodu.

— Jego tata dostał wczoraj wieczorem kręcka. Zabrali go z domu.

— Taak? Tylko dlatego, że się trochę pokręcił?

Na twarzy Scotta odmalował się niesmak.

— On zwariował. Wiesz. — Scott zrobił zeza, wywalił język i wskazującymi palcami zaczął zataczać duże elipsy wokół uszu. — Zabrali go do domu wariatów.

— Jej — powiedział Danny. — Kiedy pozwolą mu wrócić?

— Nigdy-przenigdy — ponuro odrzekł Scotty.

W ciągu tego i następnego dnia Danny dowiedział się, że

a) pan Stenger usiłował pozabijać wszystkich członków rodziny, włącznie z Robinem, z pistoletu stanowiącego pamiątkę z drugiej wojny światowej;

b) pan Stenger potłukł w domu wszystko w drobny mak, kiedy sfiksował;

c) pan Stenger, jak zauważono, zjadał z miski zdechłe chrabąszcze i trawę, jakby to były płatki z mlekiem, i płakał;

d) pan Stenger próbował udusić żonę pończochą, kiedy drużyna Red Sox przegrała ważny mecz piłkarski.

Wreszcie Danny, zbyt zmartwiony, żeby siedzieć cicho, zapytał tatę o pana Stengera. Tata wziął go na kolana i wytłumaczył, że pan Stenger żył w wielkim napięciu, spowodowanym częściowo przez rodzinę, częściowo przez pracę, w końcu zaś przez sprawy, których nikt prócz lekarzy nie potrafi zrozumieć. Miał napady płaczu, a trzy dni wcześniej rozplakał się wieczorem i nie mógł przestać, i potłukł mnóstwo rzeczy w mieszkaniu. Nie nazywa się tego kręćkiem, tylko załamaniem, powiedział tata, a pan Stenger nie jest w domu wariatów, tylko w sanatorium. Ale choć tata wytłumaczył mu to tak dokładnie, Danny się bał. Nie widział żadnej różnicy między kręćkiem a załamaniem, niezależnie zaś od tego, czy to coś nazywano domem wariatów, czy sanatorium, i tak były tam kraty w oknach i nie wypuszczano stamtąd, choć człowiek chciał wyjść. Ojciec powtórzył też z całą naiwnością jeszcze jedno określenie Scotta, to, które napełniło Danny'ego niejasnym i nieokreślonym przerażeniem. Tam, gdzie teraz znajdował się pan Stenger, byli mężczyźni w białych kitlach. Przyjeżdżali ciężarówką bez okien, szarą jak kamień nagrobny. Zatrzymywała się przy krawężniku pod domem i mężczyźni w białych kitlach wysiadali, zabierali cię od rodziny i wsadzali do pokoju o miękkich ścianach. A jeśli chciałeś napisać do domu, musiałeś pisać ołówkiem.

— Kiedy pozwolą mu wrócić? — zapytał Danny ojca.

— Jak tylko poczuje się lepiej, stary.

— A kiedy to będzie? — nie ustępował Danny.

— Tego nikt nie wie, Dan — odpowiedział ojciec.

I to było najgorsze. Innymi słowami wyrażało to samo co „nigdy-przenigdy”. Miesiąc później matka Robina zabrała go z przedszkola i wyprowadzili się ze Stovington bez pana Stengera.

Działo się to z górą rok temu, kiedy już tata przestał robić Złą Rzeczą, ale zanim stracił posiadłość. Danny w dalszym ciągu często wracał do tego myślami. Nieraz, kiedy się wywalił, rąbnął o coś głową albo rozboleł go brzuch, wybuchał płaczem, a wtedy przemykało mu przez głowę wspomnienie połączone z lękiem, że nie potrafi się opanować, że będzie płakał i chlipał bez końca, aż wreszcie tata podejdzie do telefonu, wykręci numer i powie: „Halo, mówi Jack Torrance; mój adres Mapleline Way 149. Nasz syn płacze i płacze. Proszę o przysłanie mężczyzn

w białych kiltach, żeby go zabrali do sanatorium. Owszem, tak, dostał kręćka. Dziękuję”. A szara ciężarówka bez okien zajędzie pod jego drzwi, załadują go do środka, wciąż płaczącego histerycznie, i gdzieś wywiozą. Kiedy znów zobaczy mamę i tatę? Tego nikt nie wie.

Milczał więc ze strachu. Teraz był o rok starszy i nie wątpił, że tata i mama nie pozwoliliby go zabrać z domu za to, że wziął szlauch za węża, mówił mu to rozum, a jednak na myśl, że im powie, dawne wspomnienie niczym kamień wypełniało mu usta, nie pozwalało popłynąć słowom. Z Tonym było inaczej; on zawsze wydawał się czymś całkowicie naturalnym (oczywiście do czasu złych snów) i rodzice chyba też się z nim pogodzili jako ze zjawiskiem mniej lub bardziej naturalnym. Rzeczy takie jak Tony brały się stąd, że Danny był inteligentny, co zakładali oboje (podobnie jak zakładali, że sami są inteligentni), szlauch natomiast zamieniający się w węża albo krew i mózg na ścianie apartamentu prezydenckiego, które on jednak widział, nie mogły być naturalne. Rodzice już go wzięli do prawdziwego doktora. Czy zgodnie z rozsądkiem nie należy przypuszczać, że teraz przyjdzie kolej na mężczyzn w białych kiltach?

Mimo to może by im powiedział, gdyby nie pewność, że prędzej czy później zabrają go z hotelu. A on strasznie chciał się stąd wydostać, ale jednocześnie wiedział, że to ostatnia szansa jego taty, że tata jest tutaj, bo ma robić znacznie więcej niż tylko pilnować Panoramy. Jest tutaj, żeby pracować nad swoim pisaniem. Żeby się pogodzić ze stratą posady. Żeby kochać mamę/Wendy. I jeszcze do niedawna zdawało się, że to robi. Dopiero ostatnio zaczął mieć kłopoty. Odkąd znalazł te papiery.

(To nieludzkie miejsce czyni z ludzi potwory.)

Co to znaczyło? Modlił się do Boga, lecz Bóg mu nie powiedział. I cóż by tata robił, gdyby przestał tu pracować? Danny próbował odczytać myśli taty i coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że tata nie wie. Najdobitniej dowiodła tego wieczorna rozmowa telefoniczna z wujkiem Alem, który mówił tacie przykre rzeczy, a tata nie śmiał nic odpowiedzieć, bo wujek Al mógłby go wylać z tej pracy, tak jak to zrobił pan Crommert, dyrektor Stovington, i rada nadzorcza, kiedy zwolnili tatę ze szkoły. A tego tata śmiertelnie się bał ze względu na niego, na mamę, a także na siebie samego.

Więc Danny nie miał odwagi się odezwać. Mógł tylko bezradnie obserwować i liczyć na to, że po drodze nie ma żadnych Indian, a jeśli są, to zadowolą się czekaniem na lepszą zdobycz i przepuszczą ich matą karawanę, złożoną z trzech wozów.

Mimo usilnych starań nie potrafił w to jednak uwierzyć.

Sprawy przybierały teraz w Panoramie gorszy obrót.

Niedługo spadnie śnieg, a wtedy nie będzie już nawet tak skromnego wyboru jak obecnie. Później zaś co? Co się stanie, kiedy ich zasypie i będą żyli zdani na łaskę czegoś, co przedtem może się nimi jedynie bawiło?

(„Chodź i zażyj swoje lekarstwo!”)

Co potem? Redrum.

Zadygotał w łóżku i znów przewrócił się na bok. Czyta już lepiej. Może jutro spróbuje przywołać Tony’ego, spróbuje go namówić, żeby pokazał, co to właściwie jest redrum i czy w jakiś sposób da się mu zapobiec. Danny zaryzykuje nocne koszmary. Musi wiedzieć.

Czuwał jeszcze długo po tym, jak rodzice przestali udawać sen i zasnęli na prawdę. Wiercił się w łóżku, kłębiąc pościel i borykając się z problemem, który o wiele lat go przerastał, rozbudzony pośrodku nocy niczym jedyny wartownik na posterunku. Po dwunastej on również zasnął i wtedy czuwał już wyłącznie wiatr, wścibski, poświstujący pod okapami, a z góry jasnym, przenikliwym wzrokiem patrzyły gwiazdy.

Rozdział dwudziesty drugi

W ciężarówce

*Widzę, jak księżyc wstaje
I swe oblicze chmurzy,
Gromy i błyskawice,
I złą nam porę wróży.
Nie ruszaj w drogę nocą,
Tak się o ciebie boję,
Księżyc na niebie wstaje...*

Pod tablicą rozdzielczą hotelowej ciężarówki ktoś umieścił bardzo stare radio z buicka i teraz płynęła z niego hałaśliwa, przytłumiona wskutek zakłóceń atmosferycznych, ale charakterystyczna muzyka w wykonaniu orkiestry Johna Fogerty'ego. Wendy i Danny jechali do Sidewinder. Dzień był pogodny, bezchmurny. Danny obracał w rękach pomarańczową kartę biblioteczną Jacka i wydawał się dość wesoły, ale Wendy widziała, że jest mizerny i zmęczony, jak gdyby za mało sypiał i funkcjonował tylko dzięki zasobom energii nerwowej.

Piosenka się skończyła i odezwał się spiker: — „Taak, to orkiestra Fogerty'ego. A skoro już mowa o złej porze, wszystko wskazuje, że niebawem może nastać na obszarze zasięgu radiostacji KMTX, chociaż trudno w to uwierzyć przy tej pięknej wiosennej pogodzie, jaka dopisuje od dwóch, trzech dni. Nieustraszony prognosta KMTX twierdzi, że do pierwszej w południe ciśnienie spadnie i znajdziemy się w szerokim klinie niskiego ciśnienia, który zatrzyma się tutaj, w górach, gdzie powietrze jest rozrzedzone. Temperatura spadnie raptownie, a o zmierzchu powinny wystąpić opady. Na wysokościach powyżej siedmiu tysięcy stóp, włącznie z terenami wokół Denver, można się spodziewać deszczu ze śniegiem i śniegu, zapewne marznącego na niektórych drogach, tu wysoko zaś nic prócz śniegu. Przewidujemy, że poniżej siedmiu tysięcy spadnie jeden do trzech cali, a w środkowym Kolorado i na Stoku może się wytworzyć warstwa grubości sześciu do dziesięciu cali. Drogowy Komitet Doradczy przypomina tym, którzy

dziś po południu albo wieczorem zamierzają się wybrać samochodem w góry, o obowiązku zakładania łańcuchów. I proszę nie jeździć bez potrzeby. Pamiętajcie — dodał żartobliwie spiker — że w ten sposób Donnerowie popadli w tarapaty. Po prostu nie byli aż tak blisko najbliższej siedemset jedenastki¹, jak im się zdawało”.

Zaczęto nadawać reklamę farby do włosów Clairol i Wendy wyłączyła radio.

— Można?

— Aha, proszę. — Danny spojrzał w niebo, jeszcze jasnobłękitne. — Tata wybrał chyba odpowiedni dzień na strzyżenie tych zwierzaków, prawda?

— Chyba tak — przyznała Wendy.

— Nie zanosi się przecież na śnieg — dorzucił Danny z nadzieją w głosie.

— Masz stracha? — zapytała Wendy, nie przestając myśleć o żarcie spikera na temat Donnerów.

— Nie, chyba nie.

No, pomyślała, teraz. Jeśli zamierzasz poruszyć tę sprawę, musisz zrobić to teraz albo nigdy.

— Danny — zaczęła tonem możliwie najbardziej zdawkowym. — Czy byłbyś szczęśliwszy, gdybyśmy wyjechali z Panoramy? Gdybyśmy nie zostali tu na zimę?

Danny popatrzył na swoje ręce.

— Pewnie tak — odrzekł. — Taak. Ale tata ma tu pracę.

— Czasami — podjęła z rozwagą — mam wrażenie, że i tata byłby szczęśliwszy z dala od Panoramy.

Minęli drogowskaz z napisem „Sidewinder 18 mil”, po czym Wendy ostrożnie wyprowadziła ciężarówkę z ostrego zakrętu i wrzuciła drugi bieg. Nie ryzykowała na takich pochyłościach; napełniały ją idiotycznym lękiem.

— Naprawdę tak uważasz? — Danny obserwował ją ciekawie i po chwili pokręcił głową. — A ja nie.

— Dlaczego?

— Bo martwi się o nas. — Danny starannie dobierał słów. Trudno to było wytłumaczyć, sam tak niewiele przecież rozumiał. Przyłapał się na tym, że wraca do wydarzenia, o którym opowiedział panu Hallorannowi, do tego, jak duży chłopak patrzył w domu towarowym na radia i chciał jedno z nich ukraść. To, co się działo, chociaż takie smutne, nie budziło przynajmniej wątpliwości, nawet w Danym, wówczas całkiem malutkim. Dorośli jednak zawsze wprowadzają straszne zamieszanie, każdy ewentualny czyn zamącają myślami o następstwach, brakiem zaufania do siebie, wyobrażeniami o sobie, uczuciami miłości i odpowiedzialności. Każda decyzja miała złe strony, Danny zaś nie rozumiał czasami, dlaczego one są złe. Sprawiało to dużą trudność. — Jego zdaniem... — zaczął znów Dan-

¹Sklepy spożywcze czynne całą dobę.

ny, po czym obrzucił matkę szybkim spojrzeniem. Patrzyła na drogę, nie na niego, więc uznał, że może mówić dalej. — Jego zdaniem, może nam dokuczyć samotność. Ale z drugiej strony jemu się tu podoba i uważa to miejsce za dobre dla nas. Kocha nas i nie chce nas narażać na samotność... czy smutek... a mimo to myśli, że choćbyśmy byli osamotnieni i smutni, na dłuższą metę będzie nam tu dobrze. Rozumiesz, co to znaczy: na dłuższą metę?

— Tak, kochanie, rozumiem.

— Martwi się, bo gdybyśmy stąd wyjechali, nie mógłby znaleźć innej pracy. I musielibyśmy żebrac czy coś w tym rodzaju.

— To wszystko?

— Nie, ale reszta jest taka zagmatwana. Bo on się teraz zmienił.

— Tak — przyznała nieomal z westchnieniem. Stromizna nieco złagodniała, więc Wendy ostrożnie wrzuciła znów trójkę.

— Ja tego nie zmyślam, mamu. Jak Boga kocham.

— Wiem — odparła z uśmiechem. — Powiedział ci Tony?

— Nie. Po prostu wiem. Ten doktor nie wierzył w Tony'ego, prawda?

— Mniejsza o doktora. Ja wierzę w Tony'ego. Nie wiem, czym ani kim jest, czy jakąś specjalną częścią twojej osoby albo czy przybywa z... skądś z zewnątrz, ale ja w niego wierzę, Danny. I jeśli ty... jeśli on... uważa, że powinniśmy stąd wyjechać, to wyjedziemy. Wyjedziemy we dwójkę, a z tatą połączymy się na wiośnię.

Spojrzał na nią z przebłyskiem nadziei.

— Dokąd? Do motelu?

— Nie stać by nas było na motel, złotko. Musielibyśmy pojechać do mojej matki.

Na twarzy Danny'ego zgasła nadzieja.

— Wiem... — powiedział i umilkł.

— Co?

— Nic — mruknął.

Znów zmieniła bieg na dwójkę, bo zrobiło się bardziej stromo.

— Nie, stary, nie mów tak, proszę. Wydaje mi się, że trzeba było o tym porozmawiać już parę tygodni temu. Więc bardzo cię proszę. Powiedz, co wiesz. Nie będę się gniewać. Nie mogę się gniewać, bo to jest zbyt ważne. Bądź ze mną szczerzy.

— Wiem, co do niej czujesz — powiedział Danny z westchnieniem.

— Co?

— Ona cię drażni — odparł, a potem ku jej przerażeniu pewnie wyrecytował: — Drażni. Smuci. Złości. Jakby wcale nie była twoją mamą. Jakby chciała cię zjeść. — Z lękiem spojrzał na matkę. — A mnie się u niej nie podoba. Ona stale myśli, co zrobić, żeby być dla mnie lepsza niż ty. I jak mnie zabrać od ciebie. Mamu, nie chcę tam jechać. Już wolę zostać w Panoramie.

Wendy doznała wstrząsu. Czy jej stosunki z matką aż tak źle się układają? Boże, jakie piekło przeżywa chłopiec, jeśli tak jest naprawdę, a on wie, co jedna myśli o drugiej. Wtem poczuła się nie tyle obrażona, ile wręcz przyłapaną na czymś nieprzyzwoitym.

— Dobrze, Danny — powiedziała. — Dobrze.

— Gniewasz się na mnie. — Głos miał cienki, płaczliwy.

— Nie, nie gniewam się. Wcale się nie gniewam. Jestem tylko trochę poruszona. — Mijali drogowskaz z napisem: „Sidewinder 15 mil” i Wendy nieco się odprężyła. Dalej droga była już lepsza. — Chcę ci zadać jeszcze jedno pytanie, Danny. I chcę, żebyś na nie odpowiedział jak najzgodniej z prawdą. Zrobisz to?

— Tak, mam — rzekł niemal szeptem.

— Czy tata znów pije?

— Nie — odparł i powstrzymał się od wypowiedzenia dwóch słów, które pchały mu się na usta po tym prostym przeczeniu: „Jeszcze nie”.

Wendy odprężyła się trochę bardziej. Położyła rękę na jego nodze i lekko ją ścisnęła.

— Tata szalenie się starał — powiedziała cicho. — Bo nas kocha. I my go kochamy, prawda?

Przytaknął z powagą.

— Nie jest człowiekiem bez skazy — mówiła dalej, jakby sama do siebie. — Ale się starał... Danny, starał się ze wszystkich sił! Kiedy... rzucił... przeżywał swego rodzaju piekło. Nadal je przeżywa. Gdyby nie my, pewnie by się nie hamował. Chcę zrobić to, co należy. I nie wiem. Czy mamy wyjechać? Czy zostać? Jedno jest gorsze od drugiego.

— Wiem.

— Zrobisz coś dla mnie, stary?

— Co?

— Spróbuj przywołać Tony’ego. W tej chwili. Zapytaj go, czy jesteśmy w Panoramie bezpieczni.

— Już próbowałem — z wolna odrzekł Danny. — Dziś rano.

— I co? — zapytała Wendy. — Co mówił?

— Nie przyszedł — wyjaśnił Danny. — Tony nie przyszedł. — Nagle się rozplakał.

— Danny — odezwała się zaniepokojona. — Złotko, nie rób tego. Proszę cię... — Ciężarówka przecięła podwójną żółtą linię i Wendy cofnęła ją ze strachem.

— Nie zabieraj mnie do babci — powiedział przez łzy Danny. — Proszę cię, mam, ja nie chcę tam jechać, chcę zostać z tatą... .

— Dobrze — obiecała cicho. — Tak właśnie zrobimy. — Z kieszeni swojej koszuli, o kroju typowo zachodnim, wyciągnęła ligninową chusteczkę i podała ją Danny’emu. — Zostaniemy. I wszystko będzie dobrze. Będzie doskonale.

Rozdział dwudziesty trzeci

Na placu zabaw

Jack wyszedł na werandę, zaciągając zamek błyskawiczny pod samą szyję i mrużąc oczy w roziskrzonym powietrzu. W lewej ręce trzymał sekator o napędzie akumulatorowym, służący do strzyżenia żywopłotów. Prawą ręką wyjął z tylnej kieszeni czystą chustkę, otarł nią usta i schował ją z powrotem. Śnieg, powiedzieli przez radio. Wydawało się to nieprawdopodobne, chociaż w dali na horyzoncie dostrzegał gromadzące się chmury.

Przerzuciwszy sekator do drugiej ręki, ruszył ścieżką. Pomyślał, że roboty będzie niewiele; wystarczy drobny retusz. Nocne chłody niewątpliwie zahamowały wzrost żywopłotów. Uszy królika sprawiały wrażenie zbyt puszystych, a na dwóch psich łapach wyrosły bujne zielone ostrogi, lwy i bawół natomiast wyglądały dobrze. Małe strzyżenie załatwi sprawę, potem może spaść śnieg.

Betonowa ścieżka urywała się raptownie niczym trampolina. Jack zszedł niżej, minął pusty basen i wydostał się na krętą zwirowaną ścieżkę, która między rzeźbionymi w żywopłocie zwierzętami wiodła na plac zabaw. Zbliżył się do królika i nacisnął guzik w ręczce sekatora. Ostrza poruszyły się z cichym warkotem.

— Cześć, bracie króliku — powiedział Jack. — Jak się dzisiaj mamy? Przystrzyć cię trochę od góry i odrobinę zmniejszyć te za duże uszy? Świetnie. Powiedz, znasz ten kawał z komiwojażerem, starszą panią i jej pudełkiem?

Własny głos zabrzmiał w uszach Jacka nienaturalnie i głupio, toteż zamilkł. Pomyślał, że jakoś nigdy nie zachwycał się tymi zwierzakami. Zawsze uważał za lekko zwyrodniałe takie przycinanie i torturowanie zwykłych poczciwych żywopłotów, żeby wyglądały na coś, czym nie są. Przy jednej z szos w Vermont stała na wysokim stoku wycięta z żywopłotu tablica z reklamą jakichś lodów. Niestosowne jest zmuszanie przyrody do handlu lodami. Po prostu groteskowe.

(Nie płacą ci za filozofowanie, Torrance.)

Och, to prawda. Święta prawda. Przycinał uszy królika, patyki i gałązki rzucając na trawę. Sekator wydawał niski, nieprzyjemnie metaliczny terkot, typowy dla wszystkich chyba narzędzi o napędzie akumulatorowym. Słońce świeciło jasno,

lecz nie grzało, i teraz łatwiej było uwierzyć, że wkrótce spadnie śnieg.

Śpieszył się, świadomy, że przerwa w tego rodzaju pracy i rozmyślenia zazwyczaj kończą się omyłką. Przystrzygł króliczy pyszczek (z tak bliska wcale nie przypominał pyszczka, ale Jack wiedział, że z odległości jakichś dwudziestu kroków gra światła i cieni wywoła takie złudzenie; reszty dokona wyobraźnia widza), po czym przejechał sekatorem po brzuchu.

Następnie wyłączył narzędzie i ruszył w stronę placu zabaw, ale raptownie zawrócił, żeby jednym spojrzeniem ogarnąć całego królika. Tak, ładnie wygląda. No, kolej na psa.

— Gdybym jednak to ja był właścicielem hotelu — powiedział — wyciąłbym was w pień. — I tak by zrobił. Wyciąłby tę cholerną gromadkę, położył w tym miejscu nową darń i rozstawił kilka metalowych stolików z wesołymi, barwnymi parasolami. Ludzie mogliby w blaskach letniego słońca pić na trawniku Panoramy koktajle. Tarniówkę z wodą sodową i cytryną, margarity i różowe damy, i wszystkie te słodkie drinki, tak lubiane przez turystów. Może rum z tonikiem. Jack wyjął z kieszeni chustkę i powoli otarł nią wargi. — No, dalej — powiedział cicho. O tym nie należało rozmyślać.

Już miał wracać, kiedy pod wpływem jakiegoś impulsu zmienił zamiar i poszedł na plac zabaw. Śmieszne, jak to z dziećmi nigdy nic nie wiadomo, pomyślał. Oboje z Wendy spodziewali się, że Danny będzie przepadać za placem zabaw; było tu wszystko, czego malec mógłby zapragnąć. Ale w przekonaniu Jacka chłopiec zajrzał tu najwyżej parę razy. Zapewne inaczej by się zachowywał, gdyby miał towarzystwo.

Uchylona furtka skrzypnęła cicho, po czym żwir zachrząścił pod jego stopami. Najpierw podszedł do domku, idealnej miniatury hotelu. Domek sięgał mu powyżej kolan, był mniej więcej tej wysokości co Danny. Jack przykucnął i zajrzał przez okno trzeciego piętra.

— Olbrzym przyszedł, żeby pożreć was w łózkach — przemówił głucho. — Pożegnajcie się z hotelem kategorii A.

Ale to też nie było śmieszne. Domek otwierało się jednym pociągnięciem — od środka miał ukryty zawias. Wnętrze sprawiło Jackowi zawód. Mimo pomalowanych ścian świeciło pustkami. Oczywiście tak być musiało, mówił sobie, bo w przeciwnym wypadku dzieci nie mogłyby tam wejść. Te mebelki, które przypuszczalnie stały tu w lecie, znikły, schowane zapewne do szopy. Zamknął domek i usłyszał ciche szcęknięcie zatrzasku.

Przeszedł do zjeżdżalni, odłożył sekator i, zerknąwszy na podjazd, czy Wendy z Dannyem przypadkiem nie wrócili, wdrapał się na górę i usiadł. Była to zjeżdżalnia dla dużych dzieci, lecz i tak za ciasna na siedzenie dorosłego mężczyzny. Ile lat temu siedział na czymś takim? Dwadzieścia? To chyba niemożliwe, nie czuł tych lat, a przecież musiało upłynąć tyle albo i więcej. Pamiętał, że kiedy był w wieku Danny'ego, jego stary zabierał go do parku w Berlinie, gdzie zaliczał wszystko —

zjeżdżalnię, huśtawki na sznurach i na deskach. Potem jedli z ojcem gorącą bułkę z kiełbasą na lunch i kupowali orzeszki ziemne od mężczyzny z wózkiem. Jedli je, siedząc na ławce, a ciemne chmury gołębi zlatywały się do ich nóg.

„Przeklęte ptaszyska, czyściciele ulic — mówił tata. — Nie karm ich, Jacky”. W końcu jednak karmili je obaj i z chichotem patrzyli, jak łapczywie rzucają się na orzechy. Jack nie sądził, żeby stary zabrał kiedyś jego braci do parku. Chociaż był ulubieńcem ojca, zarabiał guzy, kiedy ten się upił, co zdarzało się bardzo często. Mimo wszystko Jack kochał go dopóty, dopóki potrafił, jeszcze długo po tym, jak pozostali członkowie rodziny zaczęli już tylko bać się i nienawidzić ojca.

Odepchnąwszy się rękami, Jack zjechał na dół, lecz doznał zawodu. Na skutek nieużywania zjeżdżalnia nie była wyslizzana, toteż nie zdołał rozwinąć naprawdę przyjemnej prędkości. I tyłek miał zdecydowanie za duży. Dorosłymi stopami walnął w lekkie zakłębienie gruntu, gdzie przed nim lądowały tysiące dziecięcych stóp. Wstał, otrząpął spodnie na siedzeniu i popatrzył na sekator. Zamiast do niego podejść, ruszył w kierunku huśtawek, które też go rozczarowały. Po zakończeniu sezonu łańcuchy zdążyły zardzewieć i skrzypiały boleśnie. Jack obiecał sobie, że naoliwi je na wiosnę.

— Daj spokój — mówił do siebie. — Nie jesteś dzieckiem. Nie potrzeba ci takich dowodów.

Mimo to przeszedł do betonowych pierścieni — były dla niego za małe, więc je ominął — i do ogrodzenia na skraju terenów hotelowych. Złapał palcami za siatkę i patrzył przez nią, słońce zaś cieniami kreskowało mu twarz, upodabniając ją do twarzy mężczyzny za kratkami. Sam dostrzegł to podobieństwo, potrząsnął siatką, zrobił udręczoną minę i szepnął:

— Wypuście mnie stąd! Wypuście mnie stąd!

Po raz trzeci jednak dowcip nie okazał się śmieszny. Należało wracać do pracy. Właśnie wtedy usłyszał za plecami ten odgłos.

Odwrócił się szybko, zły, speszony, ciekawy, czy ktoś widział te jego wygłupy w królestwie dzieciaków. Przebiegł wzrokiem po zjeżdżalniach, po huśtawkach stojących i wiszących, na których bujał się tylko wiatr. I popatrzył dalej, na furtekę i niski płótek oddzielający plac zabaw od trawnika i zwierząt — lwów skupionych opiekuńczo wzdłuż ścieżki, królika pochylonego, jakby zamierzał skubać trawę, bawołu gotowego zaatakować, psa sprężonego do skoku. Za nimi był trawnik z dołkami do gry w golfa i hotel. Stąd Jack widział nawet podwyższoną krawędź boiska do roque'a po zachodniej stronie Panoramy.

Nic się właściwie nie zmieniło. Więc dlaczego zaczęła mu cierpnąć skóra na twarzy i rękach, dlaczego zaczęły się jeżyć włosy na karku, jakby nagle mięśnie się tam napięły?

Znów zerknął na hotel, ale to niczego nie wyjaśniło. Panorama stała sobie z ciemnymi oknami i cienką smużką dymu wijącą się z komina, bo przed wyjściem przytłumił ogień w holu.

(Bierz się lepiej do roboty, chłopcze, zanim oni wrócą i spytają, co przez ten czas robiłeś.)

Pewnie, bierz się do roboty. Bo śnieg spadnie, a trzeba przystrzyc te cholerne zwierzaki. Zgodnie z umową. Poza tym nie śmieliby. . .

(Kto by nie śmiał? Co by nie śmiało? Nie śmiało czego?)

Ruszył w stronę sekatora pozostawionego u stóp zjeżdżalni dla dużych dzieci, a żwir nienaturalnie głośno chrzęścił pod jego stopami. Teraz zaczęły mu również cierpnąć jądra, a pośladki stwardniały i ciążyły jak kamienie.

(Jezu, co to takiego?)

Przystanął przy sekatorze, lecz nie zrobił żadnego ruchu, aby go podnieść. Tak, coś się zmieniło. W zwierzętach. A było to takie proste, tak łatwo dostrzegalne, że najzwyczajniej nie podnosił sekatora. Dalej, beształ sam siebie, tylko co przystrzygłeś pieprzonego królika, więc

(właśnie)

Oddech uwiązał mu w krtani.

Królik na czworakach skubał trawę. Brzuchem dotykał ziemi. Ale przed niespełna dziesięcioma minutami stał słupka, naturalnie że tak, przecież Jack strzygł mu uszy. . . i brzuch.

Spojrzał na psa. Kiedy szedł ścieżką, pies siedział, jakby prosząc o coś słodkiego. Teraz prężył się do skoku, łeb miał przechylony, a z przyciętego spiczastego pyska zdawało się wydobywać bezgłośnie warczenie. Lwy zaś. . .

(och nie, dziecino, och nie, nie, nie, to niemożliwe)

Lwy przybliżyły się do ścieżki, dwa z prawej strony nieco zmieniły położenie, przysunęły się do siebie. Ogon lewego nieomal wystawał na ścieżkę. Kiedy Jack mijał je i przechodził przez furtkę, ten lew znajdował się po prawej i z całą pewnością był owinięty własnym ogonem.

Lwy nie strzegły już ścieżki; one ją blokowały.

Jack szybko zakrył oczy dłonią, po czym je odsłonił. Obraz nie uległ zmianie. Jackowi wymknęło się ciche westchnienie, za ciche jak na jęk. W okresie pijackim zawsze się bał, że zdarzy się coś takiego. Ale gdy człowiek tego popijał, nazywało się to *delirium tremens* — zacytował stary Ray Milland w „Straconym weekendzie” widział pluskwy wyłazące ze ścian.

Jak nazywało się to samo, gdy był trzeźwusieńki? Chociaż pytanie miało być retoryczne, mimo wszystko odpowiedział na nie w myśli:

(nazywało się obłędem).

Wpatrzony w żywopłoty, zdał sobie sprawę, że coś się jednak zmieniło, kiedy zasłaniał oczy ręką. Pies podszedł bliżej. Już się nie prężył do skoku, zdawał się biec, zad miał zaokrąglony, jedną z przednich łap wysuniętą przed siebie, drugą cofniętą, pysk z gałązek rozwarty szerzej, a w nim patyki niby ostre, groźne zębi-ska. Jack odniósł teraz wrażenie, że widzi również lekkie nacięcia w zieleni. Przez te szpary patrzyły na niego oczy.

Po co je strzyc? — pomyślał histerycznie. — Są idealne.

Znów cichy odgłos. Spojrzawszy na lwy, mimo woli zrobił krok do tyłu. Jeden z tych dwóch na prawo od niego jakby nieznacznie wyprzedził drugiego. Łeb miał spuszczone. Jedną łapą nieomal dosięgał płotka. Boże wielki, i co potem?

(potem przeskoczy przez płotek i pożre cię jak stwór z jakiejś strasznej bajeczki)

Przypominało to taką zabawę z lat dziecińczych. Ktoś, kto był Babą-Jagą, odwracał się do uczestników zabawy plecami i liczył, oni zaś posuwali się do przodu. Na trzy Baba-Jaga oglądała się za siebie i jeśli przyłapała kogoś w ruchu, wypadła z gry. Pozostali nieruchomieli jak posągi i czekali, aż ona znów się odwróci i zacznie liczyć. Przybliżali się coraz bardziej i w końcu ktoś czuł dotyk ręki na plecach. . .

Chrzęst żwiru.

Jack gwałtownie odwrócił głowę i ujrzał psa już w połowie ścieżki, zaraz za lwami, z pyskiem szeroko rozwartym. Przedtem był to tylko żywoplot, przystrzyżony tak, że kształtem przypominał psa, ale z bliska zatracał podobieństwo do czegokolwiek. W tej chwili jednak Jack widział, że wygląda jak owczarek niemiecki, owczarki zaś potrafią być złośliwe. Można je wytresować, aby zabijały.

Cichy, stłumiony szelest.

Lew stojący po lewej stronie zbliżył się do płotka; pyskiem dotykał desek. Zdawał się uśmiechać do Jacka, który zrobił jeszcze dwa kroki do tyłu. W głowie mu łomotało, suchy oddech drażnił gardło. Teraz poruszył się bawół, zatoczył krąg w prawo, zaszedł królika od tyłu. Łeb miał pochylony, zielonymi rogami z gałęzi mierzył w Jacka. Najgorsze, że nie dawało się patrzeć na wszystkie zwierzęta. Na wszystkie jednocześnie.

Jack zaczął pojękiwać, ale w stanie szalonej koncentracji wcale sobie tego nie uświadamiał. Przeskakiwał wzrokiem z jednego stwora na drugiego, usiłując pochwycić je w ruchu. Porywisty wiatr z głośnym szelestem przelatywał przez splątany gąszcz gałązek. Co byłoby słyhać, gdyby zwierzaki go dopadły? Jack oczywiście wiedział. Kłapnięcie, darcie, łamanie. Byłby to odgłos. . .

(Nie, nie, nie, nie, nigdy w to nie uwierz!)

Zakrył rękami oczy, chwycił się za włosy, dotykał czoła, pulsujących skroni. I stał tak długo, w coraz większym strachu, aż wreszcie, nie mogąc już tego znieść, z krzykiem oderwał dłonie od twarzy.

Przy trawniku z dołkami do golfa pies siedział, jakby prosił o resztki jedzenia. Bawół obojętnie spoglądał w stronę boiska do roque'a, tak jak wówczas, kiedy Jack zjawił się z sekatorem. Królik stał słupka, z nastawionymi uszami, gotów pochwycić najlżejszy dźwięk, i pokazywał świeżo przystrzyżony brzuch. Lwy nieruchomo tkwiły przy ścieżce.

Jack przez dłuższą chwilę stał jak skamieniały, aż w końcu chrapliwy oddech zaczął wolniej wydobywać się z jego gardła. Sięgnął po papierosy; cztery wy-

padły mu na żwir. Schyliwszy się, pozbierał je po omacku, ani na moment nie spuszczać oka z żywoplotu w obawie, że zwierzaki znowu się poruszą. Podniósł papierosy, trzy niedbale wetknął na powrót do paczki, czwartego zapalił. Dwa razy zaciągnął się głęboko, po czym rzucił i zgniótł niedopałek. Poszedł po sekator.

— Jestem bardzo zmęczony — rzekł, obecnie zaś nic nie szkodziło, że mówił na głos. Nie wyglądało to na szaleństwo. — Żyłem w napięciu. Osy... sztuka... ten telefon Ala. Ale już jest dobrze.

Powlókł się do hotelu. Choć jakaś cząstka umysłu niespokojnie go wstrzymywała, usiłowała zmusić do obejścia zwierząt dokoła, ruszył prosto żwirowaną ścieżką, przez środek ich gromadki. Lekki wietrzyk szeleścił w gałęziach i nic poza tym. Jack wszystko to sobie wyobraził. Najadł się porządnego strachu, ale już go nie czuł.

W kuchni przystanął, zażył dwie excedryny, po czym zszedł na dół, gdzie przeglądał papiery, dopóki nie usłyszał niewyraźnego chrzęstu ciężarówki na podjeździe. Wtedy wrócił na górę, aby powitać żonę i syna. Czuł się dobrze. Nie widział potrzeby wspomnienia o tych halucynacjach. Tak, najadł się porządnego strachu, ale już go nie czuł.

Rozdział dwudziesty czwarty

Śnieg

Zapadł zmierzch.

W gasnącym świetle stali na werandzie, Jack pośrodku, lewą ręką otaczając ramiona Danny'ego, prawą obejmując Wendy w pasie. Razem patrzyli, jak odebrana im zostaje zdolność podejmowania decyzji.

Do wpół do trzeciej niebo całkowicie powlokło się chmurami, a w godzinę później sypnął śnieg; tym razem zbędna była prognoza, bo nie ulegało wątpliwości, że to opad prawdziwy, nie przelotny, który stopnieje lub zniknie zwiany wieczornym podmuchem wiatru. Najpierw śnieg padał równo, prostopadle, okrywając wszystko gładką powłoką, lecz po godzinie z północnego zachodu nadleciał wiatr i zaczął tworzyć śniegowe zasy przy werandzie i dokoła podjazdu. Poza terenami hotelu szosa skryła się pod jednolitą warstwą bieli. Znikły też strzyżone zwierzęta, mimo to jednak Wendy pochwaliła po powrocie robotę Jacka. „Uważasz, że dobrze się spisałem?” — zapytał i nie dodał nic więcej. Obecnie żywo płoty ginęły pod bezkształtnymi białymi płaszczami.

Rzecz dziwna, każde z nich trojga myślało o czym innym, odczuwało natomiast to samo: ulgę. Przeszli przez most.

— Czy wreszcie nadejdzie wiosna? — szepnęła Wendy. Jack mocniej przycisnął ją do siebie.

— Zanim się zorientujesz. Co byś powiedziała na to, żeby wejść do środka i zjeść kolację? Zimno tu.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Przez całe popołudnie Jack wydawał się nieobecny duchem i... cóż, jakiś dziwny. Teraz mówił tonem mniej więcej normalnym.

— Ja się zgadzam. A ty, Danny?

— Pewnie.

Więc we trójkę weszli do środka, na dworze zaś wiatr zawodził coraz głośniej i to wycie miało trwać przez całą noc — a oni mieli dobrze je poznać. Płatki śniegu wirowały, tańczyły na werandzie. Panorama znosiła to już od bez mała

trzech czwartych stulecia, z ciemnymi oknami zasnutymi śniegiem, obojętna na fakt swego odcięcia od świata. Albo może uradowana tą perspektywą. W jej wnętrzu Torrance'owie zajmowali się swoimi wiecznymi obrządkami jak drobno-ustroje uwięzione w jelicie potwora.

Rozdział dwudziesty piąty

W 217

Półtora tygodnia później warstwa białego, skrzypiącego i gładkiego śniegu, gruba na dwie stopy, pokrywała tereny wokół hotelu. Menażerię wyciętą z żywopłotu przysypało po zady; królik, zastygły na tylnych łapach, zdawał się wznosić z białej kałuży. Niektóre zasy miały ponad pięć stóp wysokości. Wiatr ustawicznie je zmieniał i rzeźbił, nadając im faliste, wydmowe kształty. Dwa razy Jack przeszedł niezdarnie na raketach śnieżnych do szopy ze sprzętem po szuflę, aby odgarnąć śnieg z werandy, za trzecim razem wzruszył ramionami, po prostu zrobił ścieżkę w wielkiej zaspie pod drzwiami i pozwolił Danny'emu zjeżdżać na sankach na prawo i lewo od niej. Rzeczywiście wspaniałe zasy utworzyły się po zachodniej stronie Panoramy; niekiedy mierzyły po dwadzieścia stóp, a za nimi spod śniegu odmiatanego ciągłymi podmuchami wiatru ukazywała się trawa. Zasy sypały okna pierwszego piętra i widok z jadalni, którym tak zachwycał się Jack w dniu zamknięcia hotelu, był teraz równie podniecający jak pusty ekran w kinie. Telefon nie działał od ośmiu dni, więc ze światem zewnętrznym łączyła ich obecnie tylko krótkofalówka w gabinecie Ullmana.

Padało dzień po dniu, czasami przelotna śnieżycą przyprószyła roziskrzoną skorupę, czasami sypało na dobre, świst wiatru zaś nabrzmiewał, przechodził w kobiecy pisk, od którego stary hotel dygotał i stękał groźnie nawet w swej głębokiej kotłyszce ze śniegu. W nocy temperatura spadała do minus dziesięciu stopni, a chociaż wczesnym popołudniem termometr przy wejściu kuchennym wskazywał niekiedy tylko kilka stopni poniżej zera, wiatr ciął jak nożem i nieprzyjemnie było wychodzić na dwór bez maski narciarskiej. Wszyscy troje robili to jednak w dni słoneczne, zazwyczaj w dwóch kompletach ubrania i w łapawicach naciągniętych na rękawiczki. Wychodzenie stało się niemal przymusowe; dokoła hotelu płozy sanek Danny'ego rysowały podwójny ślad. Wymyślali niezliczone kombinacje: Danny siedział na sankach, które ciągnęli rodzice; tata jechał i śmiał się, a Wendy i Danny próbowali ciągnąć (udawało się to na zamrożonej skorupie, lecz kiedy pokrył ją puch, było wykluczone); Danny z mamą siedział na sankach;

Wendy siedziała sama, a jej mężczyźni ciągnęli i parskali kłębami pary niczym konie w zaprzęgu, udając, że jest cięższa, niż była w rzeczywistości. Podczas tych wypraw saneczkowych dookoła domu śmiali się bardzo często, lecz w porównaniu z głuchym, bezosobowym rykiem wiatru, donośnym i tubalnie szczerym, ich śmiech rozbrzmiewał blaszanym, wymuszonym dźwiękiem.

Widzieli tropy karibu, a raz same zwierzęta, pięć sztuk stojących bez ruchu poniżej bariery. Wszyscy po kolei brali zeissowską lornetkę Jacka, żeby je lepiej zobaczyć, a ich widok zrobił na Wendy dziwne, niesamowite wrażenie; tkwiły po brzuchy zanurzone w śniegu na szosie i pomyślała, że odtąd aż do wiosennej odwilży droga będzie należała raczej do nich niż do mieszkańców hotelu. Teraz twory rąk ludzkich zostały ku górze unieszkodliwione. W jej przekonaniu karibu to rozumiały. Odłożyła lornetkę i powiedziała coś o lunchu, a w kuchni trochę popłakała, próbując się otrząsnąć ze strasznego uczucia, że są uwięzieni, które czasami ją nawiedzało i niby duża dłoń uciskało serce. Myślała o karibu. Myślała o osach pod żaroodporną miską, wystawionych przez Jacka na rampę przed wejściem kuchennym, żeby zamarzły.

W szopie ze sprzętem wisało na gwoździach mnóstwo rakiet śnieżnych i Jack dobrał dla nich trzy pary, chociaż te dla Danny'ego były sporo za duże. Jack dobrze się nimi posługiwał. Ostatni raz chodził wprawdzie na raketach jako dziecko w Berlinie, w stanie New Hampshire, ale wkrótce nauczył się tego na nowo. Wendy za tym nie przepadała — już po piętnastu minutach dreptania w wielkich sznurowanych płetwach nogi i kostki potwornie ją bolały — Danny natomiast zdradzał zainteresowanie i bardzo się starał opanować tę sztukę. W dalszym ciągu przewracał się często, Jacka jednak zadowalały jego postępy. Twierdził, że z nadejściem lutego Danny będzie już skakał dokoła nich obojga.

Ten dzień był pochmurny i koło południa zaczął prószyć śnieg. Radio obiecywało nowe osiem do dwunastu cali i wysławiło pod niebiosa Opad, tego wielkiego boga narciarzy w Kolorado. Wendy, siedząc w sypialni i robiąc na drutach szalik, mówiła sobie w myśli, że doskonale wie, co mogą zrobić narciarze z całym tym śniegiem. Wiedziała doskonale, gdzie mogą go sobie wsadzić.

Jack był w podziemiu. Zszedł na dół, aby skontrolować piec i kocioł — weszło mu to w nawyk, odkąd zostali zasypani — upewniwszy się zaś, że wszystko jest w porządku, powędrował pod sklepieniem łukowym, dokręcił żarówkę i usadowił się w starym, zasnutym pajęczynami krześle składanym, które tam znalazł. Kartkował dawne rejestry i papiery, wciąż ocierając wargi chustką do nosa. W zamknięciu zesza z niego jesienna opalenizna i kiedy tak siedział przygarbiony nad pożółkłymi, szeleszczącymi kartkami, a rudawoblond włosy opadały mu w nieładzie na czoło, wyglądał na lekko pomyłonego. Znalazł trochę dziwnych rzeczy wepchniętych między faktury, listy przewozowe, kwity. Rzeczy niepokojących. Zakrwawiony skrawek płótna pościelowego. Kawalki misia, jakby rozmyślnie poćwiartowanego. Zmiętą kartkę z damskiej liliowej papeterii, wciąż

jeszcze wydzielającą leciutki zapach perfum, nie przytłumiony przez woń starości, nie dokończony liścik, pisany spłowiałym niebieskim atramentem: „Najdroższy Tommy, nie mogę tu, na górze, myśleć tak dobrze, jak się spodziewałam, to znaczy o nas, naturalnie, no bo o kim? Ha, ha. Różne sprawy wciąż stają na przeszkodzie. Miałam dziwne sny o rzeczach wyskakujących w nocy, dasz wiarę i...” Na tym liściku się urywał. Datowany był 27 czerwca 1934. Jack znalazł pacynkę, z wyglądu czarownicę albo czarownika — w każdym razie coś z długimi zębami i w spiczastej czapce — wetkniętą w miejsce całkiem nieprawdopodobne, między plik kwitów za gaz ziemny a plik kwitów za wodę Vichy. I coś jakby wiersz, nabazgrane na odwrocie menu ciemnym ołówkiem:

*Medoc, jesteś tu?
Znowu chodziłam nocą podczas snu.
Kwiaty ruszają się pod kocem.*

Menu nie miało daty, a wiersz — jeśli to był wiersz — podpisu. Nieuchwytnie, lecz fascynujące. Jackowi się zdawało, że te rzeczy są jak kawałki układanki i że w końcu zdoła dopasować je do siebie, jeśli znajdzie odpowiednie połączenia. Nie przestawał więc szukać, ilekroć zaś piec za jego plecami ożywał z hukiem, podskakiwał i ocierał usta.

Danny znów stał przed drzwiami pokoju 217.

Klucz uniwersalny spoczywał w jego kieszeni. Chłopiec wpatrywał się w drzwi jakby z narkotycznym głodem i dygotał pod flanelową koszulą. Nucił coś cicho i niemelodyjnie.

Po wydarzeniu ze szlauchem odechciało mu się tu przychodzić. Bał się być tutaj. Bał się, bo znowu wziął klucz uniwersalny, nie posłuchał ojca.

A jednak chciał przyjść. Ciekawość
(zabiła kota; a gdy ją zaspokoił, wrócił cały i zdrowy)

wciąż go dręczyła, wabiła niczym syreni śpiew, którego nie można uciszyć. Czyż zresztą pan Hallorann nie powiedział: „Nie przypuszczam, żeby tu było coś, co ci może wyrządzić krzywdę”?

(Obiecałeś.)

(Obietnice daje się po to, aby je łamać.)

Poderwał się na tę myśl, jakby przyszła z zewnątrz, podobna do owada, bzycząca, słodko przymilna.

(Obietnice daje się po to, aby je łamać, mój drogi redrum, aby łamać, łupać, gruchotać, roztrzaskiwać. Uwaga!)

Nerwowe nucenie przekształciło się w cichy atonalny śpiew:

Nie chcę cię, nie chcę cię, nie chcę cię znać...

Czyżby pan Hallorann nie miał racji? Czy w końcu on nie dlatego milczał i pozwolił, aby zasypał ich śnieg?

Po prostu zamknij oczy i to zniknie.

Zniknęło to, co widział w apartamencie prezydenckim. A wąż był tylko szlauchem, który spadł na chodnik. Tak, nawet krew w apartamencie prezydenckim okazała się nieszkodliwa, rozlano ją dawno, na długo przed jego urodzeniem, kiedy jeszcze nikt o nim nie myślał, należała do spraw zakończonych. Przypominała film, widoczny jedynie dla niego. W tym hotelu nie ma nic, naprawdę nie ma nic takiego, co by mogło wyrządzić mu krzywdę, a jeśli na dowód tego musi wejść do pokoju 217, to czy wejść nie powinien?

Nie chcę cię, nie chcę cię...

(Ciekawość zabiła kota, mój drogi redrum, redrum mój drogi, a gdy ją zaspokoił, wrócił cały i zdrowy, od łapki po czubek głowy; cały i zdrowy wrócił i nikt się już nie smucił. Danny wiedział, że te inne rzeczy)

(są jak straszne obrazki, nie mogą zrobić krzywdy, ale, o Boże)

(jakie ty masz długie zęby babciu i czy to wilk w przebraniu Sinobrodego czy Sinobrody w przebraniu wilka a ja)

(tak się cieszę że zapytałeś bo ciekawość zabiła tego kota a on wrócił w nadziei że ją zaspokoii)

korytarzem, cicho stąpając po niebieskim chodniku w splątany dżunglowy wzór. Przystanął koło szlaucha, włożył z powrotem w uchwyt mosiężną końcówkę, a potem kilkakrotnie dźgnął go palcem, z głośnym biciem serca szepcząc: „No, spróbuj zrobić mi krzywdę. No, spróbuj zrobić mi krzywdę, ty kutasino. Nie możesz, co? He? Jesteś najzwyczajniejszym szlauchem. Jedno, co możesz, to leżeć tutaj. No, spróbuj, proszę!” Zuchwalstwo odebrało mu zmysły. I nie stało się nic, bo przecież był to tylko szlauch, sam brezent i mosiądz, można by go porąbać w kawałki i nawet by się nie poskarżył, nie zwinąłby się i nie dostał drgawek, nie bluznąłby zielonym szlamem na niebieski chodnik, bo to zwykły szlauch przeciwpożarowy, nie nos i nie guzik, nie krawat satynowy, a wygląd ma wcale nie taki wężowy... i Danny spiesznie poszedł dalej, spiesznie, bo był

(„spóźniony, jestem spóźniony” — powiedział biały królik)

białym królikiem. Tak. Teraz na dworze, przy placu zabaw, był biały królik,

kiedys zielony, ale teraz biały, jakby się postarzał pod wpływem wstrząsów doznawanych wciąż w śnieżne, wietrzne noce...

Danny wyjął klucz uniwersalny z kieszeni i wetknął go w dziurkę.

Nie chcę cię, nie chcę cię...

(biały królik szedł grać w krokieta do Czerwonej Królowej, u której zamiast młotków używa się bocianów, a zamiast kul — jeży)

Dotknął klucza, przejechał po nim palcami. W głowie czuł pustkę i zawroty. Klucz gładko przekręcił się w zamku.

(„Ściąć mu głowę! Ściąć mu głowę! Ściąć mu głowę!”)

(Ta gra to krokiet, choć młotki są za krótkie, ta gra to)

(Łup-trzask! Prosto w bramkę!)

(„Ściąć mu głooooowę...”)

Danny popchnął drzwi. Uchyliły się łatwo, bez skrzypnięcia. Stał na progu dużego pokoju, sypialni połączonej z salonem, ciemnej, mimo iż śnieg nie sięgał tak wysoko — największe zaspasy znajdowały się jeszcze o stopę poniżej okien drugiego piętra — bo dwa tygodnie wcześniej tata pozamykał wszystkie okiennice od strony zachodniej.

Od drzwi Danny po omacku sięgnął w prawo i odnalazł kontakt. Pod sufitem zabłyśły dwie żarówki w lampie z rżniętego szkła. Wszedł do środka i rozejrzał się dokoła. Dywan był gruby, puszysty, w niejaskrawym kolorze różowym. Uspokajający. Podwójne łóżko przykryte białą narzutą. Biureczko

(Powiedz mi, proszę, dlaczego kruk jest jak biureczko?)

pod dużym oknem z zamkniętą okiennicą. W sezonie człowiek ustawicznie piszący

(który świetnie się bawi, szkoda, że was tu nie ma)

miałby stąd ładny widok na góry i mógłby go opisywać rodzinie pozostawionej w domu.

Danny postąpił kilka kroków do przodu. Nic tu nie ma, absolutnie nic. Pusty pokój, zimny, bo dzisiaj tata ogrzewa skrzydło wschodnie. Komoda. Szafa ścienna z otwartymi drzwiami, a w niej kilka wieszaków hotelowych, z rodzaju tych, których nie można ukraść. Biblia gedeonitów¹ na przenośnym stoliczku. Na lewo drzwi do łazienki z dużym lustrem, a w nim odbicie pobladłego Danny’ego. Te drzwi były uchylone i...

Patrzył, jak jego sobowtór powoli kiwa głową.

¹Gedeonici — członkowie amerykańskiego stowarzyszenia komiwojażerów, zawiązanego w 1890 roku i zajmującego się rozprowadzaniem Biblii po pokojach hotelowych i wagonach sypialnych.

Tak, właśnie tam było to coś, nie wiadomo co. Tam. W łazience. Sobowtór ruszył do przodu, jakby chcąc uciec przed lustrem. Wyciągnął rękę, dotknął nią dłoni Danny'ego. A potem uskoczył w bok, kiedy otwarły się drzwi łazienki. Danny zajął do środka.

Długie staroświeckie pomieszczenie, podobne do wagonu pulmanowskiego. Małe białe sześcianiki terakoty na posadzce. W głębi miska klozetowa z podniesioną pokrywą. Na prawo umywalka, a nad nią jeszcze jedno lustro, takie jak na apteczce. Na lewo olbrzymia biała wanna na nóżkach w kształcie zwierzęcych łap, z zaciągniętą zasłoną do prysznicu. Danny wszedł do łazienki i sennie skierował się w stronę wanny, jakby popychany przez siłę zewnętrzną, jakby to wszystko działo się w jednym ze snów, które sprowadzał na niego Tony, i zapowiadało, że po odsunięciu zasłony może zobaczyć coś ładnego, coś, o czym zapomniał tata, albo coś, co zgubiła mama, coś, co oboje ich uszczęśliwi. . .

Więc odsunął plastikową zasłonę.

Kobieta w wannie nie żyła od dawna. Była wzdęta i sina, a jej wypełniony gazami brzuch wystawał nad powierzchnię zimnej, zamrożonej po brzegach wody niczym wyspa. Oczy szkliste i duże jak kulki do gry wbiła w Danny'ego. Uśmiechała się; jej zsiniałe wargi wykrzywiały grymas. Piersi miała obwisłe. Włosy łonowe unosiły się na wodzie. Dłonie zaciśnięte na porcelanowych, karbowanych krawędziach wanny przypominały kleszcze kraba.

Danny wrzasnął. Ale głos nie wydobył się z jego ust, tylko zwrócony do wnętrza spadał w ciemną głąb jak kamień w studnię. Danny niepewnie zrobił krok do tyłu, usłyszał stuk własnych obcasów na białych sześciokątnych płytkach i w tej samej chwili bezwiednie oddał mocz.

Kobieta siadała.

Wciąż z uśmiechem, z utkwionymi w niego wielkimi oczami jak kulki, siadała w wannie. Jej martwe dłonie z piskiem sunęły po porcelanie. Piersi kołysały się niczym stare, spękane worki treningowe.

Rozlegał się cichutki trzask łamanego lodu. Nie oddychała. Była martwa, nie żyła od lat.

Danny odwrócił się i pobiegł. Umknął z łazienki z wybałuszonymi oczami, z włosami sterczącymi jak kolce jeża, który zaraz zostanie zamieniony w ofiarną (krokietową? czy roque'ową?)

kulę, z rozwartymi, niemymi ustami.

Pędem dopadł do drzwi na korytarz, teraz zamkniętych. Zaczął w nie walić, niezdolny zrozumieć, że nie są zamknięte na klucz i że wystarczy przekręcić gałkę, aby wydostać się z pokoju. Z jego ust wydobywały się ogłuszające wrzaski, niedosłyszalne dla ludzkiego ucha. Mógł jedynie łomotać w drzwi i słuchać, jak martwa kobieta go ściga, z wzdętym brzuchem, suchymi włosami i wyciągniętymi rękami — coś, co leżało zamordowane w tej wannie może od lat, magicznie tam zabalsamowane.

Drzwi nie chciały się otworzyć, nie chciały, nie chciały, nie chciały.

I wtedy dotarł do niego głos Dicka Halloranna, tak nagle i nieoczekiwanie, taki spokojny, że struny głosowe mu się rozsunęły i zaczął płakać cicho, nie ze strachu, lecz pod wpływem błogosławionego uczucia ulgi.

(„Nie przypuszczam, żeby mogły zrobić ci krzywdę... są jak obrazki w książce... zamknij oczy, to znikną.”)

Opuścił powieki. Dłonie zacisnął w pięści. Przygarbił się z wysiłku, jakiego wymagało skupienie.

(Nic tu nie ma, nic tu nie ma, zupełnie nic tu nie ma, nie ma nic!)

Czas mijał. Danny właśnie zaczynał się odprężyć, zaczynał pojmować, że drzwi muszą być otwarte i może się stąd wydostać, kiedy od lat nawilgłe, wzdęte, zalatujące rybami ręce delikatnie zacisnęły się na jego szyi i bezlitośnie obrócono go, aby popatrzył w martwą, siną twarz.

CZEŚĆ IV

Zasypani śniegiem

Rozdział dwudziesty szósty

Kraina snów

Robota na drutach ją usypiała. Dzisiaj uspiłby ją nawet Bartok, a na małym gramofonie nastawiła płytę nie Bartoka, lecz Bacha. Coraz wolniej poruszała rękami i w tym czasie, kiedy jej syn zawierał znajomość z długoletnią lokatorką pokoju 217, Wendy już spała z robótką na kolanach. Włóczka i druty unosiły się w powolnym rytmie jej oddechu. Spała głęboko, bez snów.

Jack Torrance także zapadł w sen, choć lekki i niespokojny, a dręczące go majaki zdawały się niezwykle żywe, jak na urojenia — z pewnością żywsze niż kiedykolwiek przedtem.

Oczy zaczęły mu się kleić podczas kartkowania chyba dziesiątków tysięcy rachunków za mleko, po sto w paczce. Mimo to przebiegał wzrokiem każdy z osobna w obawie, że mógłby przeoczyć ten jeden dokument nieodzowny do ustalenia mistycznego związku, który, jego zdaniem, na pewno gdzieś tu zachodził. Czuł się jak człowiek ze sznurem elektrycznym w ręce, szukający po omacku gniazdka w ciemnym obcym pokoju. Gdyby mógł je znaleźć, w nagrodę ujrzałby cuda.

Uporał się z telefonem Ala Shockleya i jego żądaniem: pomogło mu w tym dziwne przeżycie na placu zabaw. Przypominało jakieś cholerne załamanie i Jack nie wątpił, że tak przejawia się jego bunt intelektualny, wywołany piekielnie kategorycznym żądaniem Ala, aby zaniechał projektu napisania książki. Może sygnalizowało, że należy zachować resztki poczucia godności, jeśli nie chce się zupełnie go stracić. Napisze tę książkę. Nawet za cenę zerwania stosunków z Alem Shockleyem. Napisze biografię hotelu, niczego nie owijając w bawełnę, za wstęp zaś posłuży mu przywidzenie, że poruszyły się zwierzęta wycięte z żywopłotu. Tytuł nada jej banalny, lecz zręczny: „Dziwne lotnisko. Historia hotelu Panorama”. Powie wszystko prosto z mostu, owszem, ale nie mściwie, nie będzie próbował odegrać się na Alu, Stuarcie Ullmanie, George’u Hatfieldzie czy własnym ojcu (tym nieszczęsnym zapijaczonym tyranie), w ogóle na nikim. Napisze ją, bo hotel rzucił na niego urok — czy jakieś inne wyjaśnienie może być równie proste lub

równie prawdziwe? Napisze ją z tej samej przyczyny, z jakiej jego zdaniem powstaje cała wielka literatura, zarówno beletrystyka, jak literatura faktu: bo prawda wychodzi na jaw, w końcu zawsze wychodzi na jaw. Napisze książkę, gdyż czuje taki przymus.

Pięćset galonów mleka pełnego. Sto galonów mleka odciąganego. Zapł. inkasem. Trzysta półkw. soku pomarańczowego. Zapł.

Niżej osunął się na krzesło, z plikiem kwitów wciąż w ręce, ale już ich nie czytał. Nie skupiał na nich wzroku. Powieki miał ociężałe. Myśli jego pobiegły od Panoramy do ojca, pielęgniarza w berlińskim szpitalu. Dużego mężczyzny. Tęgiego mężczyzny mierzącego sześć stóp i dwa cale, więcej niż Jack, kiedy dorósł i osiągnął równe sześć stóp — ale wtedy stary już nie żył. „Najmniejszy szczeniak z miotu” — mawiał ojciec ze śmiechem, czule kuksając Jacka. Byli jeszcze dwaj bracia, obaj wyżsi niż ojciec, i Becky, zaledwie o dwa cale niższa niż Jack, ale przez niemal cały okres dzieciństwa wyższa od niego.

Stosunki Jacka z ojcem przypominały pęk, który pięknie się zapowiada, ale w pełni rozkwitu ukazuje w środku skazę. Do siódmego roku życia chłopiec kochał wysokiego, brzuchatego mężczyznę bezkrytycznie, gorąco, choć dostawał od niego w skórę, nieraz chodził posiniaczony, czasami z podbitym okiem.

Pamiętał łagodne letnie wieczory, kiedy w domu panowała cisza, najstarszy brat Brett wychodził gdzieś ze swoją dziewczyną, średni brat Mike czegoś się uczył, Becky z matką siedziały w saloniku, wpatrzone w stary, krnąbrny telewizor, a on w korytarzu, w samej tylko koszulce od piżamy, niby to bawił się ciężarówkami, a w rzeczywistości wyczekiwał chwili, kiedy ciszę zakłóci głośny trzask otwieranych drzwi, powitalny ryk ojca na widok syna i jego własny radosny pisk. Duży mężczyzna szedł korytarzem, różowa skóra przeświecająca spod przyszytych na jeża włosów lśniła w blasku lampy. W tym oświetleniu i w szpitalnej bieli, z koszulą stale wyłażącą zza paska (i czasem zakrwawioną), z mankietami spodni opadającymi na czarne półbuty, zawsze przypominał jakiegoś łagodnego, trzepoczącego skrzydłami, nadmiernie wyrośniętego ducha.

Chwytał Jacka w ramiona i oszalałego z radości wyrzucał w górę tak szybko, że ten niemal czuł napór powietrza na czaszce, ciężkiego jak ołowiana czapka. Obaj krzyczeli: „Winda! Winda!”, Jacky wlatywał wysoko, a zdarzały się wieczory, kiedy zamroczony alkoholem ojciec nie przestawał unosić silnie umięśnionych ramion i wtedy Jacky jak żywy pocisk przelatywał nad głową taty, po czym z hukiem lądował na podłodze za jego plecami. Kiedy indziej znów ojciec pobudzał syna jedynie do ekstatycznego chichotu, przerzucając go przez strefę powietrza wokół swojej twarzy, powietrza nasyczonego piwem jak maleńkimi kropelkami deszczu, okręcał nim, obracał i wymachiwał niby roześmianą szmatką, wreszcie zaś stawiał go na nogi, wstrząsanego czkawką.

Kwity wyśliznęły się ze zwiotczalej dłoni Jacka i leniwie sfrunęły na podłogę. Powieki, które zamknęły się z wytatuowanym od spodu obrazem ojca, uchyliły się

niec i znów opadły. Jackiem wstrząsnęły lekkie drgawki. Świadomość, podobnie jak kwity, jak osikowe liście jesienią, leniwie sfrunęła w dół.

To była pierwsza faza jego stosunków z ojcem, a gdy zaczęła dobiegać końca, pojął, że trójka starszego rodzeństwa nienawidzi ojca, matka zaś, kobieta o nieokreślonym wyglądzie, rzadko odzywająca się głośniejszym niż szeptem, znosi go jedynie dlatego, że tak jej nakazuje katolickie wychowanie. W tamtych czasach nie dziwiło Jacka rozstrzygnięcie przez ojca pięścią wszystkich sporów z dziećmi, podobnie jak go nie dziwiła własna miłość do ojca, pomieszana ze strachem: strachem przed zabawą w windę, która co wieczór mogła się zakończyć bolesnym upadkiem; strachem, że gburowata wesołość ojca w dzień wolny od pracy może się nagle przerodzić w dzikie wywrzaskiwanie i zakończyć trzepnięciem „dobrą prawą ręką”; niekiedy nawet, jak pamiętał, strachem, że podczas zabawy padnie na niego cień ojca. Pod koniec tego okresu zaczął zauważać, że Brett nigdy nie przyprowadza swoich sympatii do domu, podobnie jak Mike i Becky swoich kolegów i przyjaciółek.

Miłość zaczęła stygnąć, kiedy miał lat dziewięć, a ojciec użył laski i matka musiała pójść do szpitala. Ojciec rok wcześniej zaczął chodzić o lasce, okulał bowiem w wypadku samochodowym. Potem nigdzie się bez niej nie ruszał, bez tej długiej, grubej czarnej laski ze złotą gałką. Teraz, we śnie, ciałem Jacka szarpnął skurcz, skuliło się jak dawniej na odgłos laski przecinającej powietrze z morderczym świstem i z głośnym trzaskiem walącej w ścianę... albo w kogoś. Ojciec pobił matkę, całkiem bez powodu, nagle i bez ostrzeżenia. Siedzieli przy kolacji. Laska stała obok jego krzesła. Wydarzyło się to w niedzielę wieczorem, pod koniec trzydniowego weekendu, który tata jak zwykle spędził, gazując w swoim niepowtarzalnym stylu. Pieczone kurczęta. Groszek. Tłuczone kartofle. Tata u szczytu stołu, z górą jedzenia na talerzu, drzemał albo zapadał w drzemkę. Matka podawała talerze. Wtem tata zupełnie się rozbudził, jego głęboko osadzone w tłuszczu oczy rozbłysły jakimś głupim, złym rozdrażnieniem. Powiódł nimi po wszystkich członkach rodziny, a żyła pośrodku czoła nabrzmiała mu wyraźnie, co zawsze stanowiło zły znak. Jedną dużą piegowatą dłoń opuścił pieścizotliwie na złoconą gałkę laski. Powiedział coś o kawie — po dziś dzień Jack był przekonany, że jego ojciec wymówił to słowo. Mama otworzyła usta, żeby mu odpowiedzieć, i wtedy laska świsnęła w powietrzu, uderzyła ją w twarz. Z nosa matki trysnęła krew. Becky wrzasnęła. Okulary mamy wpadły do sosu. Laska się uniosła, opadła znowu, tym razem na czubek matki głowy, rozcięła skórę. Mama osunęła się na podłogę. Ojciec zerwał się z krzesła i podbiegł do miejsca, gdzie nieprzytomna leżała na dywanie, wywijając laską, poruszając się z groteskową chyżością i zwinnością grubasa. Jego małe oczka błyszczały, a policzki się trzęsły, kiedy przemawiał do niej tak, jak zwykł był w napadach złości zwracać się do dzieci. „Teraz. Teraz, jak Boga kocham. Chyba teraz zażyjesz swoje lekarstwo. Przeklęty szczeniaku. Chodź i zażyj swoje lekarstwo”. Laska uniosła się i spadła na nią

jeszcze siedem razy, zanim Brett i Mike go złapali, odciągnęli na bok, wyrwali mu laskę z ręki. Jack

(mały Jacky teraz był małym Jackym drzemiącym i mamroczącym coś na pokrytym pajęczynami składanym krzeselku, podczas gdy za jego plecami piec ryczał i huczał głucho)

znał dokładnie liczbę uderzeń, ponieważ każde miękkie grzmotnięcie w ciało matki wyryło się w jego pamięci niczym irracjonalny znak wyciosany dłutem w kamieniu. Siedem grzmotnięć. Ni mniej, ni więcej. On i Becky płakali, pełni niedowierzania, patrzyli na okulary matki leżące w tłuczonych ziemniakach, na jedno pęknięte szkło umazane sosem. Brett krzyczał na tatę z sionki na tyłach domu, groził, że go zabije, jeśli się tata poruszy. A tata powtarzał w kółko: „Przeklęty malec. Przeklęty szczeniak. Daj mi moją laskę, ty cholerny szczeniaku. Daj mi ją”. Brett wymachiwał nią histerycznie, mówił, tak, tak, dam ci, tylko spróbuj się ruszyć, a dam ci, ile zechcesz, i jeszcze coś na dokładkę. Dam ci, ile wlezie. Mama powoli dźwigała się na nogi, oszołomiona, z twarzą już obrzmiałą i nadymającą się jak stara, za mocno nadmuchana dętka, krwawiącą w czterech czy pięciu różnych miejscach. I powiedziała coś strasznego, a zapewne tę jedną jej wypowiedź Jacky zapamiętał słowo w słowo: „Kto ma gazetę? Tata chce obejrzeć komiksy. Czy już pada?” Potem znów osunęła się na kolana, włosy opadły na jej spuchniętą, zakrwawioną twarz. Mike wzywał telefonicznie lekarza, bełkotał w słuchawkę. Czy może przyjechać natychmiast? Chodzi o ich matkę. Nie, nie może powiedzieć, co się stało, bo mają telefon towarzyski. Po prostu niech przyjeżdża. Doktor przyjechał i zabrał matkę do szpitala, gdzie tata przepracował całe swoje dorosłe życie. Tata, z lekka wytrzeźwiawszy (albo może tylko z głupią przebiegłością zaszczutego zwierzęcia), powiedział lekarzowi, że spadła ze schodów. Na obrusie jest krew, bo próbował nim ocierać jej kochaną twarz. „Czy okulary przeleciały przez cały salonik do stołowego po to, aby wylądować w tłuczonych kartoflach z sosem? — zapytał lekarz z jakąś straszną, złośliwą ironią. — Czy tak było, Mark? Słyszałem o facetach, którzy potrafią mieć radiostację w złotych plombach, i widziałem mężczyznę, który otrzymał postrzał między oczy, a mimo to wyżył i opowiadał tę historię, ale coś takiego to dla mnie nowość”. Tata jedynie pokręcił głową i odparł, że nie wie; widocznie okulary spadły, kiedy ją niósł przez jadalnię. Spokój i ogrom tego kłamstwa odebrały czwórce dzieci mowę. Po czterech dniach Brett rzucił pracę w fabryce i zaciągnął się do wojska. W odczuciu Jacka u podłoża tej decyzji leżało nie tyle nagłe, nieuzasadnione bicie, jakiego ojciec dopuścił się przy stole, ile fakt, że w szpitalu, trzymając księdza za rękę, matka potwierdziła wersję ojca. Brett, pełen obrzydzenia, pozostawił ich oboje własnemu losowi. Poległ w prowincji Dong Ho w roku 1965, tym samym, w którym Jack Torrance, wówczas student, zaczął agitować w college’u na rzecz zakończenia wojny. Jack wymachiwał zakrwawioną koszulą brata na wiecach przyciągających coraz większe tłumy, ale gdy przemawiał, przed oczami jawiła mu się

nie twarz Bretta, tylko twarz matki, oszołomiona, zdezorientowana, i słyszał, jak matka pyta: „Kto ma gazetę?”

Trzy lata później uciekł Mike — dostał dobre stypendium dla wyróżniających się studentów na uniwersytecie stanowym New Hampshire. W rok potem ich ojciec zmarł nagle na rozległy zawał, którego dostał, przygotowując pacjenta do zabiegu. Runął w swoim rozmamłanym szpitalnym kitlu i przypuszczalnie wyzionął ducha, zanim dotknął czerwono-czarnych kafelków posadzki. Po upływie trzech dni mężczyzna, który odgrywał dominującą rolę w życiu Jacky’ego, irracjonalny biały bóg-upiór, spoczął w ziemi.

Napis na nagrobku brzmiał: „Mark Anthony Torrance, kochający ojciec”. Jack dodałby do tego jedną linijkę: „Umiał bawić się w windę”.

Wpłynęło mnóstwo pieniędzy z ubezpieczeń. Niektórzy ludzie nałogowo kolekcjonują polisy, jak inni monety czy znaczki, i do nich należał Mark Torrance. Pieniądze te zaczęto nadsyłać w tym samym czasie, kiedy Torrance’owie przestali płacić polisy i regulować rachunki za alkohol. Przez pięć lat byli bogaci. Prawie bogaci...

W płytkim, niespokojnym śnie ukazała się Jackowi własna twarz, jak gdyby w szklance, jego twarz, ale nie jego, szeroko otwarte oczy i niewinny łuk warg chłopczyka siedzącego w korytarzu, bawiącego się ciężarówkami i chłopczyka czekającego na tatę, czekającego na białego boga-upióra, czekającego, aż winda wzięci w górę z zawrotną wesołą szybkością, wzbije się ponad słono-trocinową mgłę knajpianych wyziewów, czekającego być może, aż winda runie na ziemię, jemu z uszu wysypią się stare sprężyny od zegarków, a tata będzie ryczał ze śmiechu. I ona...

(przekształciła się w twarz Danny’ego, tak bardzo podobną do tamtej twarzy, choć on sam oczy miał jasnoniebieskie, Danny zaś ciemnoszare; wargi natomiast tworzyły łuk, a cera była jasna; Danny w jego gabinecie, w spodniach od dresu, wszystkie papiery zamoczone i zapach piwa unoszący się nad tym jak delikatna mgiełka... straszne rzadkie ciasto, całe sfermentowane, wzlatające na skrzydłach drożdży... wyziew knajpiany... trzask kości... jego własny głos, pijackie kwilenie: „Danny, nic ci nie jest, stary?... O mój Boże, o dobry Boże, twoje biedne kochane ramionko...” i ta twarz przekształcona w)

(pełną oszołomienia twarz mamy dźwigającej się spod stołu, pobitej i zakrwawionej, mówiącej)

(„... twojego ojca. Powtarzam, szalenie ważny komunikat twojego ojca. Proszę pozostać nastrojonym albo nastroić się natychmiast na częstotliwość Jacka Szczęściarza. Powtarzam, nastroić się natychmiast na częstotliwość Jacka Szczęściarza. Powtarzam...”)

Powolny zanik. Odcieleśnione głosy docierają do niego echem jak gdyby z bezkresnego, zasnutego chmurami korytarza.

(„Różne sprawy wciąż stają na przeszkodzie, drogi Tommy...”)

Medoc, jesteś tu?

Znowu chodziłam nocą podczas snu.

Dzikich potworów boję się w tym dniu...

(„Przepraszam pana, ale czy to nie...”)

Pokój z szafkami na akta, duże biurko Ullmana, już wyłożona czysta księga z rezerwacjami na rok przyszły — ten Ullman nigdy niczego nie przeoczy — wszystkie klucze pozawieszane na haczykach

(z wyjątkiem jednego, którego, którego klucza, uniwersalnego — klucz uniwersalny, kto wziął klucz uniwersalny? Gdybyśmy poszli na górę, może byśmy zobaczyli)

i duży aparat nadawczo-odbiorczy na półce.

Włączył go. Programy nadawane na falach krótkich docierały urywane, przy akompaniamencie trzasków. Zmienił pasmo i kręcił gałką, natrafiając na strzępy muzyki, wiadomości, kazania wygłaszanego do cicho pojękującej kongregacji, prognozy pogody. Złapał też inny głos, do którego powrócił. Głos swojego ojca.

— ... zabij go. Musisz go zabić, Jacky, i ją także. Bo prawdziwy artysta musi cierpieć. Bo każdy mężczyzna zabija to, co kocha. Bo zawsze będą przeciw tobie spiskować, będą próbowali cię powstrzymać i pociągnąć w dół. Właśnie w tej chwili ten twój chłopak jest tam, gdzie być nie powinien. Wchodzi na zakazany teren. Tak właśnie. To przeklęty szczeniak. Zdziel go za to laską, Jacky, zdziel go laską tak, żeby się znalazł o włos od śmierci. Napij się, Jacky, mój chłopcze, i zabawimy się w windę. A potem pójdę z tobą, kiedy mu będziesz dawał jego lekarstwo. Wiem, że możesz to zrobić, oczywiście, że możesz. Musisz go zabić. Koniecznie musisz go zabić, Jacky, i ją także. Bo prawdziwy artysta musi cierpieć. Bo każdy mężczyzna...

Głos ojca, coraz cieńszy, doprowadzający do szału, bynajmniej nie ludzki, piskliwy, rozdrażniony, irytujący, głos boga-upiora, boga-świni, martwym dźwiękiem dolatywał do niego z radia i...

— Nie! — odwrzasnął Jack. — Ty nie żyjesz, leżysz w grobie, nie jesteś we mnie! — Bo wyciął z siebie całego ojca i ojciec nie powinien był wracać, łązić po tym hotelu oddalonym o dwa tysiące mil od miasteczka w Nowej Anglii, w którym żył i umarł.

Jack uniósł radio i rzucił je na podłogę, gdzie się roztrzaskało. Posypały się z niego stare sprężyny i rurki, jakby w następstwie jakiejś szalonej, opacznej zabawy w windę. Głos ojca zamilkł i tylko jego głos, głos Jacka, Jacky’ego, zawodził w zimnej biurowej rzeczywistości.

— ... nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz!

I niespokojny tupot Wendy nad jego głową, jej niespokojny, zalekniony głos:

— Jack? Jack!

Stał i mrużąc oczy spoglądał na roztrzaskane radio. Obecnie tylko śniegołaz trzymany w szopie na sprzęt zapewniał łączność ze światem zewnętrznym.

Jack zakrył rękami oczy i ścisnął skronie. Rozbolała go głowa.

Rozdział dwudziesty siódmy

Katatonik

Wendy w pończochach pognała korytarzem i przeskakując po dwa stopnie, zbiegła głównymi schodami do holu. Nie spojrzała w górę na wyścielony chodnikiem podest między pierwszym a drugim piętrem, ale gdyby to zrobiła, zobaczyłaby Danny'ego, który stał u szczytu schodów, nieruchomo i w milczeniu, zapatrzony gdzieś w obojętną przestrzeń, z kciukiem w buzi, z wilgotnym kołnierzykiem i górą koszuli. Na szyi i tuż pod brodą miał sine obrzęki.

Choć Jack przestał wrzeszczeć, nadal odczuwała strach. Wyrwana ze snu jego krzykiem, rozbrzmiewającym tą dawną wysoką, groźną, tak dobrze zapamiętaną nutą, wciąż sądziła, że śni — choć inną częścią swojej osoby pojmowała, że nie śpi, co bardziej ją przerażało. Na wpół oczekiwała, że wpadnie do biura i ujrzy Jacka w pijackim zamroczeniu stojącego nad powalonym Dannym.

Popchnęła drzwi i rzeczywiście stał tam Jack, pocierał palcami skronie. Twarz miał upiornie bladą. Radio leżało u jego stóp wśród odłamków stłuczonego szkła.

— Wendy? — zapytał niepewnie. — Wendy?...

Oszołomienie Jacka jakby wzrastało i w krótkim przebłysku ukazała jej się prawdziwa twarz męża, ta, którą zazwyczaj tak dobrze ukrywał, twarz beznadziejnie nieszczęśliwa, twarz zwierzęcia schwytanego w potrzask zbyt skomplikowany, aby mogło się z niego wyrwać. Potem mięśnie się poruszyły, jęły się kurczyć pod skórą, wargi zadrżały bezsilnie, jabłko Adama zaczęło się wznosić i opadać.

Wstrząs, jakiego doznała, był silniejszy od oszołomienia i zdziwienia: Jackowi zbierało się na płacz. Widywała już jego łzy, ale nigdy po tym, jak przestał pić... a i w tamtych czasach też nie, chyba że był bardzo zalany i ogarnęła go żałosna skrucha. Mocno trzymał się w garści, więc kiedy stracił panowanie nad sobą, znów się przestraszyła.

Podszedł do niej z oczami pełnymi łez, bezwiednie potrząsając głową, jakby na próżno usiłował odegnać tę burzę uczuć, po czym konwulsyjnie zaczerpnął powietrza i wypuścił je z donośnym, przeraźliwym łkaniem. Potknął się o szczątki radia i omal nie padł w ramiona Wendy, która zatoczyła się do tyłu pod jego

ciężarem. Chuchnął jej w twarz, lecz jego oddech nie zalatywał alkoholem. Jasne, że nie; tu, na górze, nie było alkoholu.

— Co się stało? — Podtrzymała go, jak mogła. — O co chodzi, Jack?

Z początku łkał tylko i czepiał jej się kurczowo, tak że prawie nie mogła oddychać, bezradnym, roztrzęsionym, obronnym gestem obracając głowę opartą na jej ramieniu; łkał głośno, gwałtownie. Dygotał na całym ciele, mięśnie drgały mu pod kraciastą koszulą i dżinsami.

— Jack? O co chodzi? Powiedz, co się stało!

W końcu łkania zaczęły się przekształcać w słowa, najpierw pozbawione sensu, ale coraz bardziej sensowne, w miarę jak ustawał płacz.

— ... sen, chyba to był sen, ale taki prawdziwy, ja... moja matka zapowiedziała, że tata będzie mówił przez radio, i ja... on... on mi kazał... nie wiem, wrzeszczał na mnie... więc stłukłem radio... żeby się zamknął. Żeby się zamknął. On nie żyje. Nie chcę go widzieć nawet we śnie. On nie żyje. O Boże, Wendy, mój Boże. Jeszcze nigdy nie miałem takiego koszmaru. I nie chcę mieć podobnego. Jezu! To było straszne.

— Po prostu zasnąłeś w biurze?

— Nie... nie tutaj. Na dole. — Zaczął się prostować, uwalniać ją od swego ciężaru, coraz rzadziej obracać głowę, aż wreszcie całkiem tego zaprzestał. — Przeglądałem te stare papiery. Siedziałem tam na składanym krześle. Rachunki za mleko. Nudziarstwo. Widocznie się zdrzemnąłem. Wtedy mi się przyśniło. Chyba przyszedłem tu we śnie. — Parsknął niepewnym śmiechem w jej szyję. — Jeszcze coś zdarzyło się po raz pierwszy.

— Gdzie Danny, Jack?

— Nie wiem. Nie z tobą?

— Nie był z tobą tu... na dole?

Obejrzał się przez ramię i twarz mu się ściągnęła na widok jej miny.

— Nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, co, Wendy?

— Jack...

— Kiedy będę leżał na łożu śmierci, pochylisz się nade mną i powiesz: „Dobrze ci tak, pamiętasz, jak złamałeś rękę Danny’emu?”

— Jack!

— Co Jack?! — wykrzyknął zapalczywie i zerwał się na nogi. — Niby tak nie myślisz? Ze zrobiłem mu krzywdę? Że już raz zrobiłem mu krzywdę i mógłbym zrobić ją znowu?

— Chcę tylko wiedzieć, gdzie on jest!

— Proszę, wrzeszcz sobie, zedrzyj to swoje pieprzone gardło, a wszystko będzie dobrze, co?

Odwróciła się i wyszła.

Jack patrzył za nią, na chwilę znieruchomiła, trzymając w ręce bibularz pokryty okruciami szkła. Potem wrzucił go do kosza na śmiecie, ruszył za Wendy,

a dogoniwszy ją w holu przy kontuarze, złapał za ramiona i odwrócił do siebie. Jej twarz miała starannie wystudiowany wyraz.

— Przepraszam, Wendy. To ten sen. Zdenerwowałem się. Wybaczysz?

— Naturalnie — odrzekła z tym samym wyrazem twarzy. Jej zeszywniałe ramiona wymknęły się spod jego dłoni. Przeszła na środek holu i zawołała: — Hej, stary! Gdzie jesteś?

Odpowiedziało jej milczenie. Ruszyła w stronę drzwi, otworzyła jedno skrzydło i stanęła na ścieżce wykopanej przez Jacka. Ścieżka bardziej przypominała okop niż przejście; ubity, nawiany śnieg, w którym została wycięta, sięgał Wendy do ramion. Zawołała raz jeszcze, a jej oddech utworzył biały pióropusz pary. Po powrocie do holu sprawiała już wrażenie przestraszonej.

Usiłując panować nad irytacją, Jack zadał trzeźwe pytanie:

— Jesteś pewna, że nie śpi w swoim pokoju?

— Mówiłam ci, że gdzieś się bawił, kiedy robiłam na drutach. Słyszałam go na dole.

— Zasnęłaś?

— Co to ma do rzeczy? Tak. Danny?

— Zajrzałaś do jego pokoju, zanim tu zeszłaś?

— Ja... — Urwała.

Skinął głową.

— Tak też myślałem.

Nie czekając na nią, pośpieszył na górę. Prawie pobiegła za nim, on jednak przeskakiwał po dwa stopnie naraz. O mało na niego nie wpadła, kiedy stanął jak wryty na podeście pierwszego piętra, gdzie utkwiał ze wzniesionymi, szeroko otwartymi oczami.

— Co?... — zaczęła i podążyła za jego wzrokiem. Danny jeszcze tam był; z oczami pozbawionymi wyrazu ssał kciuk. W świetle zapalonych w korytarzu kinkietów ślady na jego szyi rysowały się z okrutną wyrazistością.

— Danny! — wrzasnęła Wendy.

Ten okrzyk wyrwał z bezruchu Jacka i razem pognali do Danny'ego. Wendy rzuciła się na kolana i otoczyła go ramionami. Danny pozwolił się przytulić, lecz nie odwzajemnił uścisku. Przypominało to ściskanie owiniętego czymś miękkim patyka, toteż poczuła w ustach słodki smak grozy. Danny ssał kciuk i obojętnie, tępo wpatrywał się w duszę schodów za ich plecami.

— Co się stało, Danny? — zapytał Jack. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć obręku na szyi chłopca, — Kto ci to zro... .

— Nie dotykaj go! — syknęła Wendy. Kurczowo przycisnęła do siebie syna, uniosła go i cofnęła się do połowy schodów, zanim zdezorientowany Jack zdążył wstać.

— Co? Wendy, co ty, u diabła, mó... .

— Nie dotykaj go! Zabiję cię, jeżeli znów go dotkniesz!

— Wendy...

— Ty draniu!

Zawróciła i zbiegła na pierwsze piętro. Głowa Danny'ego podskakiwała lekko w rytm jej kroków. Kciuk bezpiecznie tkwił w buzi. Oczy przypominały namydlone okna. U stóp schodów skręciła w prawo i Jack słyszał jej kroki w korytarzu. Trzasnęły drzwi ich sypialni. Zgrzytnęła zasuwa. Szczęknął zamek. Krótka cisza. A potem stłumione, niewyraźne słowa pociechy.

Jack stał nie wiedząc jak długo, dosłownie sparaliżowany tym, co zaszło w tak krótkim czasie. Sen jeszcze się nie oddalił i zabarwił wszystko trochę nierzeczywistym odcieniem. Jack czuł się jak po zażyciu maleńkiej dawki meskaliny. Czy może zrobił Danny'emu krzywdę, jak sądziła Wendy? Na żądanie zmarłego ojca próbował udusić syna? Nie. Nigdy by nie zrobił Danny'emu nic złego.

(„Spadł ze schodów, panie doktorze”.)

Teraz na pewno nie zrobiłby Danny'emu nic złego.

(„Skąd mogłem wiedzieć, że trucizna na osy jest wybrakowana?”)

Na trzeźwo nigdy w życiu nie był rozmyślnie złośliwy.

(Wyjawszy ten raz, kiedy omal nie zabiłeś George'a Hatfielda.)

— Nie! — wykrzyknął w mrok. Walnął się obiema pięściami po udach raz, drugi, trzeci.

Wendy siedziała w za miękko wyściełanym fotelu pod oknem, trzymając Danny'ego na kolanach, nucąc półgłosem te dawne, pozbawione sensu słowa, których potem, niezależnie od obrotu sprawy, nigdy się nie pamięta. Mały wtulił się w nią bez oznak protestu czy radości, niczym papierowa wycinanka, i nawet nie spojrzał na drzwi, kiedy gdzieś w korytarzu Jack krzyknął: „Nie!”

W głowie jej się nieco przejaśniło, ale teraz stwierdziła, że za pomieszeniem kryje się coś gorszego. Panika.

Nie wątpiła, że zrobił to Jack. Jego zaprzeczenia nic dla niej nie znaczyły. Uważała za najzupełniej możliwe, że we śnie próbował udusić Danny'ego, tak jak we śnie roztrzaskał krótkofalówkę. Jack przeżywa jakieś załamanie. Ale co ona ma w tej sytuacji zrobić? Nie może stale siedzieć tu zamknięta. Będą musieli jeść.

W istocie sprowadzało się to do jednego pytania, które zadała sobie głosem absolutnie opanowanym i rzeczowym, głosem swojego macierzyństwa, zimnym i beznamiętnym, ilekroć z zamkniętego kręgu, jaki tworzy matka i dziecko, kierowała go na zewnątrz, do Jacka. Ten głos mówił, że najpierw musi ratować syna, a dopiero potem siebie, i pytał:

(Jak bardzo właściwie jest niebezpieczny?)

Jack wyparł się tego. Zgrozę wzbudziły w nim sińce Danny'ego, łagodne, ale uporczywe rozkojarzenie chłopca. Jeśli to zrobił, odpowiedzialność ponosiła cała-

kiem inna jego cząstka. I — w jakiś straszny, pokrętny sposób — budził otuchę fakt, że zrobił to we śnie. Czyż więc nie można by ufać, że ich stąd wyprowadzi? Zwiezie na dół, daleko stąd. A potem. . .

Ale oczami wyobraźni nie sięgała dalej niż do gabinetu doktora Edmondsa w Sidewinder, do którego bezpiecznie przybywają wraz z Dannym. Nie odczuwała specjalnej potrzeby wybiegania w dalszą przyszłość. Obecny kryzys aż nadto ją zaprzętał.

Nuciła Danny'emu, tuląc go do piersi i kołysząc. Palce jej zarejestrowały wilgoć trykotowej koszulki pod szyją, od niechcienia natomiast przekazały tę informację mózgowi. Gdyby ta wiadomość do niej dotarła, Wendy może by sobie przypomniała, że ściskając ją w biurze i łkając z twarzą ukrytą na jej ramieniu, Jack dłonie miał suche. Może zawahałaby się na chwilę. Ona jednak wciąż myślała o innych sprawach. Musiała powziąć decyzję: zwrócić się do Jacka czy nie?

Właściwie nie była to decyzja. Sama Wendy nie mogła nic zrobić, nawet znieść Danny'ego do biura i wezwać pomocy przez radio. Danny przeżył silny wstrząs. Powinien wyjechać stąd szybko, zanim poniesie trwałą szkodę. Nie chciała uwierzyć, że trwała szkoda już mogła zostać wyrządzona.

Wciąż się tym dręcząc, szukała innego wyjścia. Pragnęła trzymać Danny'ego z dala od Jacka. Rozumiała obecnie, że podjęła jedną błędną decyzję, kiedy wbrew sobie (i Danny'emu) dopuściła, aby zasypał ich śnieg. . . z uwagi na Jacka. Drugą złą decyzją było zaniechanie myśli o rozwodzie. Teraz niemal paraliżowała ją świadomość, że mogłaby popełnić kolejny błąd, którego żałowałyby do końca życia, w dzień i w nocy.

W hotelu nie ma broni. W kuchni są noże, wiszą na namagnesowanych szynach, ale drogę zagradza jej Jack.

Próbując dokonać wyboru, znaleźć jakieś wyjście, nie dostrzegła, jak gorzka ironia kryje się w jej myślach: przed godziną spała, głęboko przeświadczona, że jest dobrze, a wkrótce będzie jeszcze lepiej. W tej chwili rozważała możliwość użycia noża rzeźnickiego, w razie gdyby mąż zechciał się mieszać do niej czy do jej syna.

W końcu stanęła na drżących nogach, z Dannym w ramionach. Nie ma innej rady. Musi założyć, że kiedy Jack nie śpi, jest zdrowy na umyśle i pomoże jej zawieźć Danny'ego do Sidewinder, do doktora Edmondsa. Gdyby zaś nie ograniczył się do pomocy, Boże, miej go w swojej opiece.

Skierowała się do drzwi i przekreśliła klucz. Dźwignęła Danny'ego wyżej, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

— Jack? — zawołała nerwowo, lecz nie otrzymała odpowiedzi.

Drżąc coraz gwałtowniej, ruszyła do schodów, i tu go jednak nie było. Kiedy tak stała na podeście, niepewna, co robić dalej, z dołu dobiegł ją śpiew, donośny, gniewny, gorzko satyryczny.

*Na tym sianie
niech się stanie,
Na tym sianie połóż mnie...*

Choć jego głosu bała się bardziej niż milczenia, nadal nie miała wyboru. Zaczęła schodzić na dół.

Rozdział dwudziesty ósmy

„To była ona”

Jack stał na schodach, słuchał śpiewnych, stłumionych słów pociechy, które dobiegały przez zamknięte drzwi, i powoli jego pomieszczenie ustępowało miejsca złości. Nic się właściwie nie zmieniło. Nie dla Wendy. Mógłby przez dwadzieścia lat nie zaglądać do butelki, a mimo to, gdyby wrócił w nocy do domu, ona zaś uścisnęłaby go w progu, zobaczyłby (wyczuł), jak nieznacznie rozdyma nozdrza, próbując pochwycić w jego oddechu opary whisky czy dżinu. Zawsze będzie zakładała najgorsze; gdyby wiozł Danny’ego samochodem i zderzył się z pijanym ślepcem, który na chwilę przed wypadkiem dostałby udaru, w milczeniu oskarżyłaby męża o to, że Danny doznał obrażeń, i odwróciłaby się do niego plecami.

Przed oczyma stanęła mu jej twarz, kiedy porwała Danny’ego, i nagle zapragnął pięścią zmasać z niej gniew.

Do cholery, nie ma prawa!

Owszem, początkowo może miała. Gazował tego, robił straszne rzeczy. Straszna rzeczą było złamanie ręki Danny’emu. Ale jeśli człowiek się poprawi, to przecież prędzej czy później zasłuży na uznanie. A jeśli odmawia mu się uznania, to czy nie powinien zasłużyć na zarzuty? Jeżeli ojciec stale oskarża niewinną córkę o pieprzenie się z wszystkimi chłopakami w gimnazjum, to czyż nie powinna w końcu, znużona tym, zasłużyć na jego łajania? A jeżeli żona wciąż żywi skryte — i nie tylko skryte — przekonanie, że jej mąż abstynent to pijus...

Powoli zszedł na pierwsze piętro i przystanął na podeście. Z tylnej kieszeni wyjął chustkę, otarł nią wargi i rozważał, czyby nie pójść, nie zacząć się dobijać do sypialni i nie zażądać, aby go wpuściła, bo chce zobaczyć syna. Ona nie ma prawa być tak cholernie samowolna.

Cóż, prędzej czy później będzie musiała wyjść, chyba że zaplanowała dla nich obojga skuteczną dietę. Na tę myśl dość niemiły uśmiezek zagościł mu na ustach. Niech ona do niego przyjdzie. Z czasem to zrobi.

Skierował się na parter, przez chwilę bez celu zwlekał przy kontuarze, po czym skręcił w prawo. W jadalni zatrzymał się tuż za drzwiami. Stoliki z białymi lnia-

nymi obrusami, ładnie wypranymi i uprasowanymi pod przezroczystymi plastikowymi pokrowcami, połyskiwały w jego stronę. Wszystko świeciło teraz pustkami, ale

(Obiad o ósmej wieczorem.

Zrzucenie masek i tańce o północy)

Jack przechadzał się między stolikami, niepomny na żonę i syna na górze, niepomny na sen, na strzaskane radio i sińce. Przesuwał palcami po gładkich plastikowych pokrowcach, próbując sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać tej gorącej sierpniowej nocy w roku 1945, po wygranej wojnie, kiedy przyszłość ukazywała się tak różnorodna i nowa, niczym kraina z marzeń sennych. Jasne i kolorowe japońskie lampiony zawieszane były nad całym kolistym podjazdem, z tych wysokich okien, teraz zawianych śniegiem, spływało złotożółte światło. Mężczyźni i kobiety w kostiumach, tu jakaś olśniewająca księżniczka, tam kawalerzysta w długich butach, wszędzie błysk klejnotów i błysk dowcipu, tańce, rzeka alkoholu, najpierw wino, potem koktajle, później może coś mocniejszego, rozmowy coraz głośniejsze i głośniejsze, aż wreszcie z podium kapelmistrza rozbrzmiewa wesoly okrzyk: „Zrzucić maski! Zrzucić maski!”

(...i Mór Czerwony niepodzielnie zawładły wszystkim...)

Jack znalazł się po drugiej stronie jadalni, pod stylizowanymi barowymi drzwiami salonu Kolorado, gdzie tej nocy 1945 roku wszystkie trunki podawano bezpłatnie.

(Wal prosto do baru, przyjacielu, drinki na koszt firmy.) Wszedł do baru, a tam spowił go głęboki cień. I wydarzyło się coś dziwnego. Był tu już raz przedtem, żeby sprawdzić spis inwentarza pozostawiony przez Ullmana, toteż wiedział, że to miejsce ogołocono do czysta. Na półkach nie stało nic. Ale teraz, w mrocznym wnętrzu, rozjaśnionym tylko przez światło sączące się z jadalni (również ciemnawej, bo śnieg zasypał okna), widział chyba całe rzędy butelek rzucających przytłumiony blask zza baru, syfony i nawet piwo kapiące z wszystkich trzech pięknie wypolerowanych kurków. Tak, wręcz czuł zapach piwa, tę woń wilgoci, fermentacji i drożdży, identyczną z zapachem, który delikatną mgiełką otaczał twarz ojca co wieczór po jego powrocie z pracy do domu.

Jack szeroko otworzył oczy i namacał kontakt w ścianie. Słabym, intymnym światłem zapłonęły lampy barowe, kręgi dwudziestowatowych żarówek na trzech wiszących nad głową żyrandolach z kół od wozu.

Półki były zupełnie puste. Nie zdążyła ich jeszcze pokryć porządna warstwa kurzu. Chromowane rurki nie doprowadzały piwa do kurków. Na prawo i lewo wyściełane pluszem łóżka stały jak mężczyźni na baczość, tak zaprojektowane,

aby zapewnić maksymalne odosobnienie siedzącej wewnątrz parze. Na wprost, wokół baru w kształcie podkowy, znajdowało się czterdzieści stołków obitych skórą, z odcisniętymi na niej bydlęcymi piętnami — Krąg H, Bar D (to pasowało), Bujak W, Leniwy B.

Po czerwonym dywanie Jack skierował się do baru, lekko kiwając głową w oszołomieniu. Przypomnił mu się tamten dzień na placu zabaw, kiedy... ale rozmyślanie o tym nie miało sensu. Mógłby jednak przysiąc, że widział butelki, niewyraźnie, to prawda, tak jak się dostrzega ciemne sylwetki mebli w pokoju, w którym zaciągnięto zasłony. Słabe błyski na szkle. Pozostał tylko zapach piwa, a Jack wiedział, że po pewnym czasie przesiąka nim stolarka w każdym barze na świecie i że nie wynaleziono dotąd sposobu na usunięcie tej woni. Tutaj wszakże zdawała się ostra... niemal świeża.

Usiadł na stołku, wsparty łokciami o miękką skórzaną krawędź baru. Po jego lewej ręce stała miska na orzeszki ziemne — teraz oczywiście pusta. Pierwszy bar, jaki odwiedził po dziewiętnastu miesiącach, a w nim nic do picia — takiego już miał cholernego pecha. Mimo wszystko ogarnęła go potężna, gorzka fala nostalgii i łaknienie alkoholu jakby z żołądka podeszło do gardła, do ust i do nosa, po drodze wysuszając i ściągając tkanki, które zaczęły się domagać czegoś wilgotnego, zimnego, w wysokiej szklance.

Znów popatrzył na półki z dziką, irracjonalną nadzieją, lecz pozostały równie puste jak przedtem. Uśmiechnął się, zbolały i zawiedziony. Zaciskając powoli pięści, pozostawiał maleńkie zadraśnięcia na skórzanej krawędzi baru.

— Cześć, Lloyd — rzekł. — Dostyc tu dziś sennie, co? Lloyd przyznał, że tak. Zapytał, czego się Jack napije.

— Doprawdy rad jestem, że o to pytasz — odparł Jack. — Doprawdy rad. Bo mam przypadkiem w portfelu dwie dwudziestki i dwie dziesiątki, a już się obawiałem, że przeleżą tam do kwietnia przyszłego roku. Nigdzie tu nie ma siedemset jedenastki, dałbyś wiarę? A myślałem, że one są nawet na pieprzonym Księżycu.

Lloyd wyraził współczucie.

— Więc niech będzie tak — powiedział Jack. — Ty mi przyrządzisz równo dwadzieścia martinich. Równo dwadzieścia, co do sztuki. Po jednym za każdy miesiąc abstynencji i jeden awansem. Możesz to zrobić, prawda? Nie jesteś za nadto zajęty?

Lloyd oświadczył, że wcale nie jest zajęty.

— Poczciwy jesteś. Ustaw tych Marsjan równiutko na barze, a ja obalę jednego po drugim. Brzemień białego człowieka, mój drogi.

Lloyd obrócił się, żeby to zrobić. Jack sięgnął do kieszeni po pieniądze i zamiast nich wyjął pudełeczko excedryny. Portfel zostawił na komodzie w sypialni, gdzie przecież zamknęła się ta jego chudonoga żona. Ładnie sobie poczynasz, Wendy. Ty wściekła suko.

— Wygląda na to, że chwilowo jestem bez forsy — powiedział. — Jak z moim

kredytem w tej knajpie?

Lloyd odparł, że w porządku.

— Znakomicie. Lubię cię, Lloyd. Zawsze byłeś najlepszy z nich wszystkich. Najlepszy z całej zgrai barmanów między Barre a Portland w stanie Maine. A właściwie Portland w stanie Oregon.

Lloyd podziękował mu za słowa uznania.

Jack otworzył buteleczkę, wysypał dwie excedryny na dłoń i wrzucił je do ust. Poczł znajomy kwaskowaty smak.

Nagle odniósł wrażenie, że ciekawie i z odcieniem wzgardy obserwują go jacyś ludzie. Łoże za jego plecami były pełne — siedzieli w nich siwiejący dystyngowani panowie i piękne młode dziewczyny, wszyscy poprzebierani, i z chłodnym rozbawieniem przyglądali się temu smętnemu popisowi.

Określił się na stołku.

Łoże były puste. Znajdowały się na lewo i prawo od drzwi, a ich lewy rząd załamywał się i od strony krótszej ściany oskrzydlał półkolisty bufet. Skórzane siedzenia i oparcia. Lśniące blaty stolików z ciemnego tworzywa, na każdym popielniczka, w niej kartonik zapalek z napisem „salon Kolorado” wytłoczonym w złotej folii nad znaczkiem z drzwiami barowymi.

Jack ponownie zwrócił się twarzą do baru, z grymasem przełknąwszy resztę prawie już rozpuszczonej excedryny.

— Jesteś nadzwyczajny, Lloyd — pochwalił. — Już przyrządzone. Pięknie się spisalesz, ale jeszcze piękniej patrzysz tymi uduchowionymi neapolitańskimi oczami. *Salud.*

Przyglądał się dwudziestu wyimaginowanym drinkom, szklankom martini rumieniącym się kropelkami wilgoci. Na dnie każdej z nich leżała nadziana na pałeczkę okrągła zielona oliwka. W powietrzu niemal unosił się zapach dżinu.

— Wóz z abstynentami — powiedział. — Znalesz kiedy dżentelmena, który by na niego wskoczył?

Lloyd przyznał, że zdarzało mu się spotykać takich mężczyzn.

— Czy odnowiłeś kiedyś znajomość z mężczyzną, który z niego zeskoczył?

Lloyd nie mógł z czystym sercem powiedzieć, że taki fakt pamięta.

— A więc to ci się nigdy nie zdarzyło — rzekł Jack. Otulił dłonią pierwszą wyimaginowaną szklankę, podniósł do otwartych ust i przechylił. Łyknął, po czym cisnął ją za siebie. Ludzie powrócili, przyszedli prosto z balu kostiumowego, obserwowali go, śmiali się, zasłaniając rękami twarze. Wyczuwał ich obecność. Gdyby w głębi baru, na miejscu tych przeklętych, idiotycznych pustych półek znajdowało się lustro, mógłby ich zobaczyć. Niech się gapią. Pieprzyć ich. Niech się gapi ten, kto ma ochotę. — Nie, to ci się nie zdarzyło — zapewnił Lloyd. — Niewielu mężczyzn zeskakuje z legendarnego wozu, ale ci, co to robią, mają do opowiedzenia straszną historię. Kiedy się na niego wskakuje, wóz wprost olśniewa niespotykaną czystością, jego koła mają dziesięć stóp średnicy, żeby platforma

była dość wysoko nad rynsztokiem, w którym walają się wszystkie pijusy ze swoimi papierowymi torbami i flaszками taniego wińska i whisky. Jest się daleko od tych ludzi, którzy rzucają groźne spojrzenia i mówią, żeby się nie zgrywać albo robić to w innym mieście. Widziany z perspektywy rynsztoka jest to najpiękniejszy wóz, jaki zdarzyło ci się oglądać, Lloyd, mój chłopcze. Cały udekorowany chorągiewkami, przed nim kroczy orkiestra dęta, z każdej strony idą trzy umundurowane dziewczyny, kręcą batutami i pokazują ci majtki. Człowieku, musisz wleźć na ten wóz i odjechać od ochlapusów, którzy obciągają denaturat i wachają własne rzygowiny, żeby znów się zalać, i wygrzebują z rynsztoka pety z resztą tytoniu przy filtrze. — Wychylił jeszcze dwie wymaginowane szklanki i cisnął je za siebie. Prawie słyszał, jak się roztrzaskują na podłodze. I niech to diabli, jeśli nie zaczynał mieć rausza. To excedryna. — Więc włączysz — powiedział Lloydowi — i czyż nie jesteś szczęśliwy, że się tam znalazłeś? Mój Boże, tak, naturalnie. Ten wóz to największa i najlepsza platforma w całym pochodzie, a ludzie tworzą szpaler, biją brawo, wznoszą okrzyki i machają, wszystko dla ciebie. Z wyjątkiem pijacków w trupa zalanych w rynsztoku. Ci faceci to byli kiedyś twoi przyjaciele, ale ten etap masz już za sobą.

Uniósł pustą dłoń do ust i opróżnił kolejną szklankę — czwartą — zostało mu więc szesnaście. Szybko ich ubywa. Zachwiał się nieco na stołku. Niech patrz, jeśli to ich skłoni do zejścia z wozu. Zróbcie zdjęcie, ludziska, będzie trwało dłużej.

— Potem zaczniesz dostrzegać różne rzeczy, Lloyd, mój chłopcze. Takie, jakich nie widziałeś z rynsztoka. Na przykład to, że platforma jest z nie heblowanych sosnowych desek, całkiem świeżych, jeszcze ociekających żywicą, i gdybyś zdjął buty, na pewno wbiłbyś sobie drzazgę. I że na wozie stoją tylko te długie ławy z wysokimi oparciami, bez poduszek, na których można by usiąść, i że właściwie są to ławki kościelne z porozkładanymi co jakieś pięć stóp śpiewnikami. I że w tych ławkach siedzą same płaskie jak decha babki w długich sukniach z odrobiną koronki przy kołnierzyku i z włosami upiętymi w koki, ściągniętymi tak mocno, że prawie słyszać, jak te włosy krzyczą. A wszystkie twarze są bezduszne, blade i lśniące. Kobiety śpiewają chórem. „Zbierzmy się nad rzeką, piękną, piękną rzeeką”, z przodu zaś siedzi ta śmierdząca suka z włosami blond, gra na organach i każe im śpiewać głośniej, wciąż głośniej. Ktoś wciska ci śpiewnik do rąk i mówi: „Śpiewaj, bracie. Jeśli chcesz zostać na tym wozie, musisz śpiewać rano, w południe i z wieczora. Zwłaszcza z wieczora”. Właśnie wtedy zdajesz sobie sprawę, czym jest w istocie ten wóz, Lloyd. To kościół z zakratowanymi oknami, kościół dla kobiet, dla ciebie więzienie.

Urwał. Lloyd zniknął. Co gorsza, nigdy go tu nie było. Nigdy nie było tu drinków. Tylko ludzie w łóżach, uczestnicy balu kostiumowego. Jack słyszał niemal ich stłumiony śmiech, kiedy podnosili dłonie do ust i z okrutnymi błyskami w oczach wskazywali na niego.

Znów okręcił się na stołku.

— Zostawcie mnie. . .

(w spokoju?)

Wszystkie łoże świeciły pustkami. Śmiech zamarł niczym szelest jesiennych liści. Jack przez krótką chwilę obserwował opustoszałą salę rozszerzonymi, pociemniałymi oczami. Pośrodku jego czoła dostrzegalnie pulsowała żyłka. Narastała w nim chłodna pewność, że traci rozum. Gwałtownie zapragnął chwycić sąsiedni stołek, obrócić go do góry nogami i przelecieć z nim przez bar niby mściwa trąba powietrzna. Zamiast tego jednak z powrotem się okręcił i siedząc przodem do kontuaru, zaryczał.

*Na tym sianie
Niech się stanie,
Na tym sianie połóż mnie. . .*

Ukazała mu się twarz Danny'ego, nie ta normalna, żywa i czujna, z roziskrzonymi otwartymi oczami, lecz katatoniczna, trupia twarz obcego człowieka, z oczami bez blasku, zmętniałymi, z ustami w niemowłęcy sposób zaciśniętymi na kciuku. Co on robi, dlaczego siedzi tu i gada do siebie jak naburmuszony nastolatek, gdy tymczasem jego syn przebywa gdzieś na górze i zachowuje się niczym lokator pokoju bez klamek, tak samo jak — według relacji Wally'ego Hollisa — zachowywał się Vix Stenger, zanim mężczyźni w białych kitlach przyszli zabrać go z domu?

(Ale nawet go nie tknąłem! Niech to diabli, ja tego nie zrobiłem!)

— Jack? — głos brzmiał niepewnie, lękliwie.

Jack zaskoczony okręcił się na stołku i o mało z niego nie spadł. Wendy stała tuż za drzwiami barowymi, kołysząc w ramionach Danny'ego, podobnego do woskowej kukielki z teatrzyku grozy. We trójkę tworzyli żywy obraz, który bardzo silnie przemawiał do Jacka; ukazywali się tuż przed spuszczeniem kurtyny po akcie drugim jakiejś dawnej sztuki propagującej abstynencję, tak kiepsko wystawionej, że rekwizytor zapomniał pozapełniać półki w jaskini zepsucia.

— Nawet go nie tknąłem — powiedział ochryple Jack. — Nie tknąłem go od tego dnia, kiedy złamałem mu rękę. Nie dałem mu nawet w skórę.

— Teraz nie chodzi o to, Jack. Chodzi o. . .

— Właśnie że chodzi! — krzyknął. Jedną pięścią tak mocno walnął w bar, że aż podskoczyły puste miski po orzeszkach.

— Chodzi o to, do cholery, chodzi o to!

— Musimy zwieźć go na dół, Jack. On. . .

Danny zaczął się poruszać w jej objęciach. Senna, pozbawiona wyrazu maska, powlekająca jego twarz, zaczęła pękać niby skorupa lodowa na ukrytej pod

spodem powierzchni. Wykrzywił usta, jakby poczuł w nich dziwny smak. Szeroko rozwarł powieki. Uniósł ręce, jakby chcąc osłonić oczy, po czym znów je opuścił.

Nagle zeszywniał. Grzbiet mu się wygiął tak silnie, że Wendy aż się zachwiała. I niespodziewanie rozwrzeszczał się na całe gardło. Szalone dźwięki wydobywały się z jego ust raz za razem, budziły echo. Krzyk zdawał się wypełniać pusty parter i powracać do nich niczym zwiastun śmierci. Jakby stu Dannych darło się równocześnie.

— Jack! — zawołała przerażona. — O Boże, Jack, co mu jest?

Jack zsunął się ze stołka, zdrętwiały od pasa w dół, przestraszony jak jeszcze nigdy w życiu. W jaką to dziurę jego syn wetknął palec? W jakie ciemne gniazdo? I co go użądliło?

— Danny! — ryknął. — Danny!

Danny go dostrzegł. Wyrwał się z objęć matki z nagłą siłą, tak wielką, że Wendy nie zdołała go utrzymać. Zatoczyła się na jedną z łóż i o mało nie wpadła do środka.

— Tato! — wrzeszczał Danny i podbiegł do Jacka z przerażeniem w ogromnych oczach. — Och, tato, tato, to była ona. Ona! Ona! Ona, taaaato. . .

Pomknął w ramiona ojca niby przytępiona strzała, zachwiał nim, przywarł do niego kurczowo, najpierw jakby okładał go pięściami, po czym chwycił za pasek i rozszłochał się, wtulony w jego koszulę. Jack wyczuwał przez nią gorącą, rozedrganą twarz syna, przyciśniętą do swego brzucha.

— To była ona, tato.

Jack z wolna podniósł wzrok i spojrzał na Wendy. Jego oczy przypominały małe srebrne monety.

— Wendy? — Głos miał cichy, nieomal mruczał. — Wendy, co mu zrobiłaś?

Wendy odwzajemniła spojrzenie, oszołomiona, pełna niedowierzania i pobladła. Pokręciła głową.

— Och, Jack, wiesz przecież. . .

Na dworze znów zaczął padać śnieg.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozmowa w kuchni

Jack zaniósł Danny'ego do kuchni. Chłopiec wciąż łkał gwałtownie i nie chciał oderwać twarzy od piersi ojca. W kuchni Jack oddał go Wendy, nadal oszłamionej i pełnej niedowierzania.

— Nie mam pojęcia, o czym on mówi, Jack. Proszę cię, uwierz.

— Wierzę — odparł, choć w duchu musiał przyznać, że obserwuje tę szaleńczo, nieoczekiwanie prędką zmianę ról z pewną przyjemnością. Ale jego gniew na Wendy był przelotny. W głębi serca wiedział, że wolałaby się oblać benzyną i podpalić, niż skrzywdzić Danny'ego.

Duży czajnik z gorącą wodą stał na tylnej płytce. Jack wrzucił torebkę herbaty do własnej pojemnej filiżanki, po czym do połowy napełnił ją wrzątkiem.

— Masz sherry do potraw, prawda? — zapytał Wendy.

— Co?... Och, tak. Dwie czy trzy butelki.

— W której szafce?

Wskazała szafkę i Jack wyjął jedną z butelek. Szczodrze zaprawił herbatę alkoholem, odstawił butelkę, dolał ćwierć filiżanki mleka. Wsypał trzy łyżeczki cukru i zamieszał napój. Zniósł go Danny'emu. Chłopiec już nie łkał, tylko co jakiś czas pociągał nosem. Dygotał natomiast cały i oczy miał szeroko rozwarte, nieruchome.

— Wypij, stary — powiedział Jack. — Będzie paskudne, ale dobrze ci zrobi. Wypijesz za tatę?

Danny skinął głową, wziął filiżankę i pociągnął łyk. Skrzywił się, po czym pytająco spojrział na Jacka. Jack przytaknął i Danny napił się jeszcze. Wendy poczuła znajomy skurcz zazdrości gdzieś w okolicy serca, bo wiedziała, że dla niej by tego nie zrobił.

A w ślad za tym skurczem pojawiła się przykra, wręcz niepokojąca myśl: czy wini o to Jacka? Jest aż tak zazdrosna? Tak myślałaby jej matka i to było naprawdę straszne. Wendy pamiętała, jak w którąś niedzielę tata wziął ją do parku,

a ona spadła z drugiej poprzeczki drabinki i pokaleczyła sobie kolana. Kiedy ojciec przyprowadził ją do domu, matka wrzasnęła na niego: „Co zrobiłeś? Dlaczego jej nie pilnowałeś? Co z ciebie za ojciec?”

(Wpędziła go do grobu; rozwiódł się z nią, kiedy za późno już było na ratunek.)

Wendy nigdy nawet nie próbowała jakoś usprawiedliwić Jacka. Co to, to nie. Twarz ją zapiekła, a mimo to nie umiała się oprzeć przekonaniu, że gdyby trzeba było wszystko to odegrać na nowo, postępowałyby i myślała tak samo. Na dobre czy złe, zawsze nosiła w sobie cząstkę swojej matki.

— Jack... — zaczęła, niepewna, czy chce go przeprosić, czy się wytłumaczyć. Wiedziała, że jedno i drugie byłoby bezcelowe.

— Nie teraz — rzekł.

Upłynęło piętnaście minut, zanim Danny do połowy opróżnił dużą filiżankę, i przez ten czas wyraźnie się uspokoił. Prawie przestał dygotać.

— Myślisz, Danny, że możesz nam opowiedzieć, co właściwie ci się przytrafiło? To bardzo ważne.

Danny popatrzył na Jacka, na Wendy i znów na Jacka. Zapadła chwila ciszy i wtedy uświadomili sobie, gdzie i w jakim położeniu się znajdują; wiatr zawodził na dworze, miótł świeżym śniegiem z północnego zachodu; stary hotel trzeszczał i stękał, szykując się do przetrwania kolejnej zawieruchy. Ich odcięcie od świata objawiło się Wendy z nieoczekiwaną mocą, przypominając cios zadany pod serce.

— Ja chcę... powiedzieć wam wszystko — zaczął Danny. — Żałuję, że nie zrobiłem tego wcześniej. — Wziął do rąk filiżankę i trzymał ją, jakby z ciepła czerpał pociechę.

— Dlaczego nic nie mówiłeś, synu? — Jack delikatnie odgarnął mu z czoła spoczone, potargane włosy.

— Bo wujek Al dał ci tę pracę. A ja nie mogłem się połapać, jak to jest, że ta Panorama robi ci dobrze i źle naraz. To był... — Spojrzeniem poprosił ich o pomoc. Zabrakło mu potrzebnego słowa.

— Dylemat? — podsunęła łagodnie Wendy.

— Tak, właśnie to — przytaknął z ulgą.

— Tego dnia, kiedy ty strzygłeś żywoploty — zwróciła się Wendy do Jacka — przeprowadziliśmy z Dannyem rozmowę w ciężarówce. W tym dniu spadł pierwszy prawdziwy śnieg. Pamiętasz?

Jack kiwnął głową. Dzień strzyżenia żywoplotów bardzo wyraźnie utkwiał mu w pamięci.

— Chyba nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego — westchnęła Wendy. — Prawda, stary?

Danny, uosobienie nieszczęścia, zaprzeczył gestem.

— O czym właściwie rozmawialiście? — zapytał Jack. — Nie jestem pewien, czy mi się podoba, że moja żona i syn...

— ... rozmawiają o swojej miłości do ciebie?
— Obojętne, o czym, ja tego nie rozumiem. Czuję się tak, jakbym przyszedł do kina zaraz po przerwie.
— Rozmawialiśmy o tobie — cicho odrzekła Wendy. — I może nie wszystko zostało ujęte w słowa, ale oboje wiedzieliśmy. Ja, bo jestem twoją żoną, a Danny, bo on... po prostu różne rzeczy rozumie.
Jack milczał.
— Danny trafnie to sformułował. Hotel na pozór dobrze ci robił. Uwolniłeś się tu od wszystkich nacisków, które tak cię unieszczęśliwiały w Stovington. Byłeś swoim własnym szefem, pracowałeś rękami, więc nie wyęczałeś umysłu, mogłeś się skoncentrować na wieczornym pisaniu. Potem... nie wiem dokładnie kiedy... hotel zaczął jakby robić ci źle. Ciągłe siedziałeś w podziemiu, szperałeś w tych starych papierach, pochłonięty dawnymi dziejami. Mówiłeś przez sen.
— Przez sen? — Na twarzy Jacka odmalowały się czujność i zaskoczenie. — Mówię przez sen?
— Najczęściej bełkoczesz niezrozumiale. Raz wstałam, żeby pójść do łazienki, a ty mówiłeś: „Do diabła z tym, zainstalujcie chociaż automaty do gry, nikt się nie dowie, nikt nigdy się nie dowie”. Kiedy indziej obudziłeś mnie, bo wrzasnąłeś: „Zrzucić maski! Zrzucić maski! Zrzucić maski!”
— Jezu Chryste — powiedział i otarł twarz dłonią. Sprawiał wrażenie chorego.
— Wróciły też twoje dawne pijackie nawyki. Żucie excedryny. Ustawiczne ocieranie warg. Poranne drżączki. I jak dotąd, nie zdołałeś skończyć sztuki, prawda?
— Nie. Jak dotąd nie, ale to tylko kwestia czasu. Zastanawiałem się nad czymś innym... mam nowy pomysł...
— Ten hotel. W sprawie tego pomysłu dzwonił do ciebie Al. Chciał, żebyś z niego zrezygnował.
— Skąd wiesz? — warknął Jack. — Podśluchiwałaś? Ty...
— Nie. Nie mogłam podśluchiwać, choćbym chciała, i ty byś o tym wiedział, gdybyś rozumował prawidłowo. Tego wieczoru byliśmy z Dannym na dole. Centrala jest wyłączona. Nasz aparat na górze to jedyny czynny telefon w hotelu, bo jest bezpośredni. Sam mi o tym mówiłeś.
— Więc skąd mogłabyś wiedzieć, co mi powiedział Al?
— Od Danny'ego. Danny wiedział. Tak jak czasami wie, że coś leży nie ma swoim miejscu albo że ktoś myśli o rozwodzie.
— Lekarz powiedział...
Niecierpliwie pokręciła głową.
— Lekarz gadał bzdury i oboje o tym wiemy. Wiedzieliśmy od początku. Pamiętasz, jak Danny powiedział, że chce zobaczyć wozy strażackie? To nie było przecucie. Był jeszcze malutki. On wie różne rzeczy. A teraz się boję... — Popatrzyła na sińce na szyi Danny'ego.

— Rzeczywiście wiedziałeś, że dzwonił do mnie wujek Al?
Danny przytaknął.
— On naprawdę był wściekły, tato. Bo dzwoniłeś do pana Ullmana, a pan Ullman do niego. Wujek Al nie życzył sobie, żebyś pisał o hotelu.
— Jezu — powtórzył Jack. — Te sińce, Danny. Kto cię próbował udusić?
Danny spochmurniał.
— Ona — powiedział. — Kobieta z tego pokoju. Z 217. Ta zmarła pani. —
Wargi znów zaczęły mu dygotać, więc chwycił filiżankę i napił się herbaty.
Jack i Wendy wymienili nad jego pochyloną głową trwożne spojrzenia.
— Wiesz coś o tym? — zapytał Jack.
Pokręciła głową.
— Nie, o tym nie wiem.
— Danny? — Jack uniósł do góry wylęknioną twarz chłopca. — Spróbuj, synu. Jesteśmy tutaj.
— Wiedziałem, że tu jest źle — wyszeptał Danny. — Jeszcze w Boulder. Bo Tony pokazywał mi to w snach.
— W jakich snach?
— Nie pamiętam dokładnie. Pokazał mi Panoramę w nocy, z trupa czaszką i puszczelami na froncie. I były łomoty. Coś... nie pamiętam co... mnie goniło. Jakiś potwór. Tony pokazał mi też redrum.
— Co to takiego, stary? — zapytała Wendy.
Pokręcił głową.
— Nie wiem.
— Rum jak ju-hu-hu-hu i butelka rumu? — dopytywał się Jack.
Danny znów pokręcił głową.
— Nie wiem. A potem przyjechaliśmy tutaj i pan Hallorann rozmawiał ze mną w swoim samochodzie. Bo on także ma jasność.
— Jasność?
— To... — Danny szerokim gestem rąk wskazał wszystko dokoła. — Kto to ma, rozumie różne rzeczy. Wie. Czasem widzi. Tak jak ja wiedziałem, że dzwoni wujek AL I pan Hallorann wiedział, że nazywacie mnie stary. Pan Hallorann obierał w wojsku ziemniaki i nagle już wiedział, że jego brat zginął w katastrofie kolejowej. A kiedy zadzwonił do domu, okazało się, że to prawda.
— Boże święty — szepnął Jack. — Ty tego nie zmyślasz, co, Dan?
Danny gwałtownie pokręcił głową.
— Nie, jak Boga kocham. — A następnie z odcieniem dumy dodał: — Pan Hallorann powiedział, że nie spotkał dotąd nikogo, kto by tak jaśniał jak ja. Mogliśmy ze sobą rozmawiać prawie bez otwierania ust.
Jego rodzice znów popatrzyli na siebie, dosłownie osłupiali.
— Pan Hallorann wziął mnie na bok, bo się martwił — podjął Danny. — Według niego, to miejsce jest złe dla ludzi, którzy jaśnieją. Podobno widział różne

rzeczy. Ja też coś widziałem. Zaraz po rozmowie z panem Hallorannem. Kiedy pan Ullman oprowadzał nas po hotelu.

— Co to było? — zapytał Jack.

— W apartamencie prezydenckim. Na ścianie przy drzwiach prowadzących do sypialni. Mnóstwo krwi i jeszcze czegoś. Jakiejś packi. Ta packa to chyba... był mózg.

— O mój Boże — powiedział Jack.

Wendy bardzo pobladła, usta miała nieomal szare.

— Ten hotel — wyjaśnił Jack — należał jakiś czas temu do dość paskudnych typków. Członków organizacji z Las Vegas.

— Kanciarzy? — zapytał Danny.

— Taak, kanciarzy. — Jack popatrzył na Wendy. — W roku sześćdziesiątym szóstym zabito tam wielkiego zbirą, Vita Gienellego, i jego dwóch goryli. Było zdjęcie w gazecie. Danny po prostu je opisał.

— Pan Hallorann mówił, że widział inne rzeczy — poinformował rodziców Danny. — Raz coś na placu zabaw. A raz coś złego w tym pokoju. W 217. Zobaczyła to pokojówka i straciła pracę, bo gadała. Więc pan Hallorann poszedł na górę i też to zobaczył. Ale on nic nie mówił, żeby nie stracić pracy. Tylko mnie zabronił tam wchodzić. Ale ja wszedłem. Bo mu uwierzyłem, kiedy mówił, że te rzeczy tutaj nie mogą mi zrobić krzywdy. — Ostatnie słowa prawie wyszeptał cichym, ochryplym głosem i dotknął obrzmiałego, sinego kręgu na szyi.

— A co z placem zabaw? — zapytał Jack dziwnym, obojętnym tonem.

— Nie wiem. Plac zabaw, powiedział. I zwierzęta z żywopłotu.

Jack z lekka podskoczył, a Wendy spojrzała na niego ciekawie.

— Widziałeś tam coś, Jack?

— Nie — odparł. — Nic nie widziałem.

Danny patrzył na niego.

— Nic — powtórzył Jack już spokojnie. I była to prawda. Padł ofiarą halucynacji. I tyle.

— Musisz nam opowiedzieć o tej kobiecie, Danny — przemówiła Wendy łagodnie.

Opowiedział, lecz słowa wydobywały się z jego ust salwami, czasem zlewały się w prawie niezrozumiały bełkot, bo tak prędko chciał to z siebie wyrzucić, uwolnić się od tego. Mówiąc, coraz mocniej i mocniej tulił się do piersi matki.

— Wszedłem. Skradłem klucz uniwersalny i wszedłem. Bo... bo ja się nie mogłem powstrzymać. Musiałem wiedzieć. A ona.. ta pani... leżała w wannie. Nieżywa. Cała wzdęta. Była na... nie miała na sobie ubrania. — Żałośnie popatrzył na matkę. — I zaczęła wstawać, i chciała mnie dopaść. Wiem, że chciała, bo to czułem. Nawet nie myślała, nie myślała tak jak ty i tata. To były czarne myśli... chciała zrobić krzywdę... jak... jak osy tamtego wieczora w moim pokoju! Chciała tylko zrobić krzywdę. Jak osy.

Przełknął ślinę i na moment zapadło milczenie, w ciszy przenikał do ich świadomości obraz os.

— Więc uciekłem — podjął Danny. — Uciekłem, ale drzwi były zamknięte. Zostawiłem je otwarte, ale były zamknięte. Nie pomyślałem, żeby je po prostu otworzyć i wybiec. Bałem się. Więc tylko... oparłem się o drzwi i zamknąłem oczy, i myślałem o tym, co mówił pan Hallorann, że te rzeczy są jak obrazki w książce i jeżeli... wciąż będę sobie powtarzał... nie ma cię tutaj, odejdz, nie ma cię tutaj... to ona odejdz. Ale nic nie pomogło.

W jego głosie zabrzmiała wysoka nuta hysterii.

— Chwyciła mnie... odwróciła do siebie... mogłem zobaczyć jej oczy... jakie ma oczy... i zaczęła mnie dusić... Czuję jej zapach... czuję, jaka jest nieżywa...

— Dość już, ciii — powiedziała Wendy zaniepokojona. — Przestań, Danny. Już dobrze. To...

Gotowa była znów pocieszająco zanucić. Uniwersalne nucenie Wendy Torrance. Na każde zawołanie.

— Pozwól mu skończyć — polecił Jack.

— To już wszystko — rzekł Danny. — Zemdlałem. Albo dlatego, że mnie dusiła, albo ze strachu. Kiedy oprzytomniałem, śniło mi się, że ty i mama kłócicie się o mnie i ty chcesz znowu robić Złą Rzeczą, tato. I wtedy zrozumiałem, że to wcale nie sen... i nie śnię... i... zsiusiałem się w spodnie. Zsiusiałem się jak niemowlak. — Opuścił głowę na sweter Wendy i zaczął płakać w poczuciu strasznej słabości, z rękami bezwładnie, miękko złożonymi na kolanach.

Jack wstał.

— Zajmij się nim.

— Co chcesz zrobić? — Na jej twarzy malowało się przerażenie.

— Pójść do tego pokoju. Co, według ciebie, miałbym zrobić? Napić się kawy?

— Nie! Proszę cię, Jack, nie rób tego!

— Wendy, jeśli w hotelu jest ktoś oprócz nas, musimy o tym wiedzieć.

— Ani się waż zostawiać nas samych! — wrzasnęła z taką furią, że ślina strzyknęła jej z ust.

— Wendy, zdradzasz wybitne podobieństwo do swojej mamy — powiedział Jack.

Wtedy Wendy zalała się łzami, niezdolna zakryć twarzy, bo Danny siedział jej na kolanach.

— Przepraszam — rzucił Jack. — Ale wiesz, że muszę. Jestem cholernym dozorcą. Za to mi płacą.

Rozpłakała się jeszcze żałośniej i tak ją zostawił, wyszedł z kuchni, ocierając wargi chustką, a wahadłowe drzwi zamknęły się za nim.

— Nie martw się, mamó — pocieszył ją Danny. — Nic mu nie będzie. On nie jaśniej. Nic tutaj nie może zrobić mu krzywdy.

— Nie, ja w to nie wierzę — odparła przez łyżę.

Rozdział trzydziesty

Ponowna wizyta w pokoju 217

Pojechał na górę windą, co było dziwne, bo odkąd tu zamieszkali, nigdy tego nie robili. Przerzucił mosiężną dźwignię i kabina ruszyła z wibrującym sapaniem, przy wtórze wściekłego szczęku mosiężnej kraty. Wiedział, że Wendy odczuwa chorobliwy strach przed windą, widzi oczyma wyobraźni ich troje uwięzionych między piętrami, gdy tymczasem na dworze szaleją zimowie zamiecie, coraz słabszych i chudszych, umierających z głodu. Albo może zjadających się nawzajem, tak jak ci gracze w rugby. Przypomniawszy sobie nalepkę na zderzaku zauważoną w Boulder: „Drużyna rugby zjada swoich zmarłych”. Przychodziły mu na myśl i inne teksty: „Jesteś tym, co jesz”. Albo spisy potraw. „Witajcie w sali jadalnej hotelu Panorama, chluby Gór Skalistych. Spożywajcie wystawne posiłki na Dachy Świata. *Specialite de la mason*: ludzki udziec pieczony na zapałkach”. Pogardliwy uśmieszek znów przemknął mu po twarzy. Kiedy na ścianie szybu pojawiła się dwójka, cofnął dźwignię do poprzedniej pozycji i ze zgrzytem zatrzymał windę. Wyjął z kieszeni excedrynę, wysypał na dłoń trzy pastylki i otworzył kabinę. W Panoramie nie bał się niczego. W jego odczuciu on i hotel byli *simpatico*.

Wędrował korytarzem, wrzucając do ust i żując po jednej pigułce. Na rogu skręcił w krótki korytarz prostopadły do głównego. Drzwi do pokoju 217 były uchylone, a klucz uniwersalny zwisał z zamka na białym jęczyczku.

Jack zmarszczył brwi w przypiływie irytacji, wręcz gniewu. Niezależnie od skutków chłopiec wszedł na zakazany teren. Zapowiedziano mu, i to wprost, że wstęp ma wzbroniony do szopy ze sprzętem, do podziemi i wszystkich pokoiów gościnnych. Porozmawia z Dannym na ten temat, jak tylko malec przestanie się bać. Porozmawia spokojnie, lecz surowo. Mnóstwo ojców nie poprzestałoby na rozmowie. Porządnie przetrzepałoby synowi skórę i może tego właśnie Danny potrzebował. Jeśli najadł się strachu, to w pełni sobie na niego zasłużył.

Jack podszedł do drzwi, wyjął klucz z zamka i wrzucił do kieszeni, po czym wkroczył do środka. Górna lampa była zapalona. Spojrzał na łóżko, stwierdził, że jest gładko zasłane, a następnie skierował się wprost to łazienki. Nabrał dziw-

nej pewności. Chociaż Watson nie wymieniał nazwisk ani numerów pokoi, Jack nie wątpił, że ten pokój zajmowała żona prawnika ze swoim gachem, że to w tej łazience znaleziono ją martwą, z brzuchem pełnym barbituranów i trunków wypitych w salonie Kolorado.

Popchnął drzwi z lustrem i przestąpił próg. Tutaj światło było zgaszone. Zapalił je i rozejrzał się po długim niby wagon pulmanowski pomieszczeniu, urządzonym w sposób typowy dla początków stulecia, a przerobionym w latach dwudziestych, jak wszystkie chyba łazienki w Panoramic, z wyjątkiem tych na trzecim piętrze — te były należycie bizantyjskie, jak przystało na apartamenty, w których przez tyle lat zatrzymywali się członkowie rodzin królewskich, politycy, gwiazdy filmowe i przywódca mafii.

Pastelowa bladoróżowa zasłona do prysznicza zabezpieczała długą wannę na nogach w kształcie zwierzęcych łap.

(A jednak się poruszyły.)

Po raz pierwszy opuściła Jacka ta nowa pewność siebie (niemal buta), jaką poczuł, kiedy Danny podbiegł do niego, krzycząc: „To była ona! To była ona!” Zimny palec, przytknięty delikatnie do krzyża, ostudził go o dziesięć stopni. Do tego palca dołączyły się inne i wtem zaczęły sunąć mu po plecach aż do rdzenia przedłużonego, grając na kręgosłupie jak na murzyńskim instrumencie.

Złość na Danny'ego się ulotniła, gdy zaś postąpił parę kroków naprzód i rozsunął zasłonę, w ustach mu zaschło i ogarnięty strachem już tylko współczuł synowi.

Wanna była sucha i pusta.

Wyładował ulgę i irytację w nagłym prychnięciu, które wyrwało się z jego zacisniętych ust z siłą małej eksplozji. Wanna, wyszorowana na zakończenie sezonu, lśniła czystością i tylko pod podwójnym kranem widniała rdzawa plama. Rozchodziła się słaba, lecz łatwa do określenia woń środka czyszczącego, z rodzaju tych, które w wiele tygodni, a nawet miesięcy po zastosowaniu potrafią drażnić nos zapachem własnej cnoty.

Jack schylił się i przesunął czubkami palców po dnie wanny. Sucha jak pieprz. Ani śladu wilgoci. Chłopcu albo się przywidziało, albo łągał w żywe oczy. Znów się zezłościł. I właśnie wtedy uwagę jego przykuł dywanik kąpielowy na podłodze. Przyjrzał mu się ze zmarszczką na czole. Co tutaj robi dywanik? Powinien być w bielizniarce na końcu skrzydła razem z prześcieradłami, ręcznikami i powłóczkami. Cała bielizna powinna się tam znajdować. W tych pokojach gościnnych nawet łóżek nie pościelono naprawdę. Na materace naciągnięto przezroczyste plastikowe pokrowce, a na wierzch położono narzuty. Zdaniem Jacka, Danny mógł wziąć dywanik — klucz uniwersalny otworzyłby drzwi bielizniarki — ale po co? Opuszkami palców przejechał tam i z powrotem po dywaniku. Był suchy jak pieprz.

Jack cofnął się do drzwi i przystanął. Nic się tu nie działo. Chłopiec śnił. Każ-

da rzecz leżała na swoim miejscu. Trochę dziwne z tym dywanikiem, zgoda, ale nasuwało się logiczne wytłumaczenie, że ostatniego dnia sezonu jakaś pokojówka w szalonym pośpiechu najwyczejniej zapomniała go zabrać. Poza tym nic. . .

Leciutko rozdał nozdrza. Środek dezynfekcyjny, ten obłudny zapaszek, czyściejszy od ciebie. I. . .

Mydło?

Na pewno nie. Ale zapach, raz zidentyfikowany, był zbyt wyraźny, aby go przegnać z myśli. Mydło. I bynajmniej nie kostka mydła Ivory formatu pocztówkowego, typowa dla hoteli i moteli. To mydło, delikatnie zalatujące perfumami, należało do gatunku mydeł damskich. Wydzielało woń jakby różową. Camay albo Łowiła, tych mydeł Wendy zawsze używała w Stovington.

(To nic. To twoja wyobraźnia.)

(Owszem, jak te żywopłoty, a jednak się poruszyły.)

(Nie poruszyły się!)

Rozdygotany przeszedł do zewnętrznych drzwi, czując w skroniach nieregularne, głuche uderzenia, zapowiedź bólu głowy. Za wiele się dziś wydarzyło, stanowczo za wiele. Nie sprawi chłopcu lania, nie przetrzepie mu skóry, po prostu z nim porozmawia, ale, na Boga, nie będzie na dodatek zawracał sobie głowy pokojem 217. Nie z powodu suchego dywanika i leciutkiego zapachu mydła Łowiła. On. . .

Raptem za jego plecami rozległ się metaliczny szczęk. Właśnie wtedy Jack zaciskał dłoń na gałce u drzwi i obserwatorowi mogłoby się wydawać, że wyczyszczona stal jest naelektryzowana. Wstrząsnęły nim konwulsyjne drgawki, szeroko rozwarł oczy, twarz wykrzywił mu grymas.

Potem zresztą trochę nad sobą zapanował, puścił gałkę i ostrożnie się odwrócił. Zatrzeszczało mu w stawach. Ruszył z powrotem do drzwi łazienki, dźwigając nogi ciężkie jak ołów.

Zasłonka, którą poprzednio odsunął, żeby zajrzeć do wanny, teraz była zaciągnięta. Metaliczny szczęk, przypominający mu grzechot kości w krypcie, wydały kółka przesuwane po pręcie. Jack patrzył na zasłonę. Miał takie uczucie, jakby twarz powlokła mu się grubą warstwą wosku i na zewnątrz znajdowała się matowa skóra, pod spodem zaś płynęły żywe, gorące strumyki strachu. Tak samo czuł się na placu zabaw. Coś było za różową plastikową zasłonką. Coś było w wannie.

Widział to, niewyraźne i zamazane za plastikiem, niemal bezkształtne. Mogło to być cokolwiek. Efekt świetlny. Cień uchwytu prysznic. Kobieta dawno zmarła i leżąca w kąpielu z kawałkiem mydła Łowiła w zeszywniałej dłoni, cierpliwie wyczekująca pojawienia się jakiegoś kochanka.

Jack mówił sobie, że powinien śmiało ruszyć naprzód i odsunąć zasłonę. Ujawnić to, co może się tam znajdować. Zawrócił jednak i podrygując jak marionetka, z sercem straszliwie łomoczącym w piersi, wycofał się do saloniku sypialni.

Drzwi na korytarz były zamknięte.

Długą chwilę wpatrywał się w nie bez ruchu. Czuł teraz smak swego przerażenia. Zachował go w głębi gardła jak smak dawno zjedzonych wiśni.

Tym samym nierównym krokiem podszedł do drzwi i zmusił palce, aby zaciśnięły się na gałce.

(Drzwi nie zechcą się otworzyć.)

Ale się otwały.

Po omacku zgasił światło, przekroczył próg i bez oglądania się za siebie zatrzasnął drzwi. Zdawało mu się, że z pokoju dobiega go dziwne wilgotne pluskanie, dalekie, niewyraźne, jakby coś właśnie wygramoliło się za późno z wanny, gotowe powitać gościa, świadome, że on się oddala przed wymianą towarzyskich uprzejmości, więc śpieszące obecnie do drzwi, całe sine i wyszczerzone, żeby go wezwać do powrotu. Może na zawsze.

Kroki pod drzwiami czy tylko pulsowanie w uszach?

Namacał klucz, który sprawiał wrażenie pokrytego szlamem i nie chciał się przekręcić w zaniku. Jack zaatakował klucz. Zapadka nagle zaskoczyła, więc z cichym jękiem ulgi cofnął się pod przeciwległą ścianę. Zaniknął oczy, a wszystkie dawne określenia rozpoczęły przemarsz przez jego głowę. Wyglądało na to, że są ich setki,

(cierpi na załamanie brak mu piątej klepki sfiksował ma bzika w głowie mu się pokiełbaśilo ma kuku na muniu cierpi na pomieszanie zmysłów szajba mu odbiła w piętę goni)

oznaczały zaś to samo: traci rozum.

— Nie — zakwilił, prawie nieświadomy, że doszło już do tego: że kwili z zamkniętymi oczami jak dziecko. — Och, nie, Boże. Proszę cię, Boże, nie.

Ale poprzez chaos bezładnych myśli, poprzez walenie serca przebijał cichy odgłos daremnego obracania gałki u drzwi, podczas gdy coś, co było zamknięte w środku, nieporadnie usiłowało się wydostać, coś, co chciało zawrzeć z nim znajomość, coś, co pragnęłoby zostać przedstawione jego rodzinie. Jednocześnie wicher zawodził dokoła, a jasne światło dnia ustępowało czarnej nocy. Jack by zwariował, gdyby otworzył oczy i zobaczył, że ta gałka się porusza. Więc zaciśkał powieki, aż po nie wiedzieć jak długiej chwili zapanowała cisza.

Zmusił się do otwarcia oczu, na pół przeświadczony, że kiedy to zrobi, ona będzie przed nim stała. Lecz w korytarzu nie było nikogo.

Mimo to czuł się obserwowany.

Popatrzył na judasza pośrodku drzwi, ciekaw, co by się stało, gdyby podszedł i zajrzał do środka. Z czym by się zmierzył oko w oko?

Jego nogi się poruszyły,

(nogi, nie sprawcie mi teraz zawodu)

zanim zdał sobie z tego sprawę. Zawrócił od drzwi w stronę głównego korytarza, z szelestem stawiając stopy na chodniku w splątany niebiesko-czarny deseń.

Przystanął w pół drogi do schodów i zerknął na urządzenie przeciwpożarowe. Wydawało mu się, że fałdy brezentu leżą nieco inaczej. Z całą pewnością zaś miedziana końcówka wylotowa szlauchu, skierowana ku windzie, kiedy szedł tutaj, teraz zmieniła położenie.

— Wcale tego nie widziałem — powiedział całkiem wyraźnie Jack Torrance. Twarz miał bladą, zmęczoną, wargi wciąż zmuszał do uśmiechu.

Ale nie zjechał na dół. Winda zanadto przypominała rozdziawione usta. Zdecydowanie zanadto. Zszedł schodami.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Werdykt

Wkroczył do kuchni i popatrzył na nich. Podrzucił klucz uniwersalny lewą ręką, pobrzękując łańcuszkiem przy białym metalowym języczku, po czym chwycił go znowu. Danny był mizerny i wyczerpany. Wendy musiała płakać, bo oczy miała czerwone, podkrążone. Na ten widok poczuł nagły przypływ radości. Nie cierpiał sam, to pewne.

Spojrzeli na niego bez słowa.

— Nic tam nie ma — oznajmił, zdumiony szczerością własnego głosu. — Absolutnie nic.

Podrzucił klucz i łapał, podrzucił go i łapał z uspokajającym uśmiechem, widział, jak na ich twarzach pojawia się wyraz ulgi, a zarazem myślał, że nigdy w życiu tak bardzo nie chciał się napić jak właśnie w tej chwili.

Rozdział trzydziesty drugi

Sypialnia

Późnym popołudniem Jack wyciągnął łóżeczko składane z magazynu na pierwszym piętrze i ustawił w kącie ich sypialni. Wendy przewidywała, że chłopiec do północy nie zdoła zasnąć, lecz Danny zaczął się kiwać, nim serial „Waltownie” dobiegł do połowy, a w piętnaście minut po tym, jak znalazł się w pościeli, już spał głęboko, bez ruchu, z dłonią podłożoną pod policzek. Wendy obserwowała go, założywszy palcem miejsce w grubym broszurowym wydaniu „Cashelmary”. Jack siedział przy biurku i patrzył na swoją sztukę.

— Och, bzdura — powiedział.

Wendy przestała obserwować Danny’ego i podniosła wzrok.

— Co?

— Nic.

Spojrzał na maszynopis z błyskiem irytacji. Jak mógł uważać to za dobre? Coś tak dziecinnego. Takie rzeczy wypisywano tysiące razy. Co gorsza, nie miał pojęcia, jak sztukę zakończyć. Kiedyś wydawało się to dość proste. W przypiływie wściekłości Denker chwytając pogrzebacznym przedmiotem i zabija nim świątobliwego Gary’ego. Potem, stojąc w rozkroku nad ciałem, z zakrwawionym pogrzebacznym w ręce, wrzeszczy w stronę widowni: „To jest gdzieś tutaj i ja to znajdę!” Następnie, gdy przygasają światła i kurtyna powoli opada, publiczność widzi na proscenium Gary’ego leżącego twarzą do ziemi, w głębi zaś Denkera, który podchodzi do biblioteki, gorączkowo zaczyna zdejmować książki z półek, przegląda je i odrzuca na bok. Jack sądził, że jest to na tyle stare, aby być nowe, i że sama nowość może zapewnić na Broadwayu sukces sztuce: tragedii w pięciu aktach.

Nagle jednak zainteresował się dziejami Panoramy, a w dodatku zdarzyło się coś jeszcze. Zmieniło się jego nastawienie do bohaterów sztuki. To było coś całkiem nowego. Zazwyczaj lubił ich wszystkich, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Cieszył się z tego. Pozwalało mu to widzieć ich w różnych aspektach i lepiej rozumieć motywy ich postępowania. Swoje ulubione opowiadanie, sprzedane pisemku o atrakcyjnym tytule „Kontrabanda”, nazwał „Szympan jest tutaj,

Paul DeLong”. Jego bohater, mężczyzna napastujący dzieci, ma niebawem popełnić samobójstwo w wynajętym pokoju. Nazywa się Paul DeLong, Szympansem przezwali go przyjaciele. Jack bardzo go lubił. Współczuł człowiekowi mającemu tak dziwaczne potrzeby i wiedział, że nie tylko Szympanś ponosi winę za trzy gwałty i morderstwa popełnione w przeszłości. Miał złych rodziców. Ojciec, jak ojciec Jacka, bił wszystkich w domu, matka, jak matka Jacka, była słabym, milczącym popychadłem. W gimnazjum miał pierwsze doświadczenia z pederastą. Publiczne upokorzenie. Gorsze przeżycia w liceum i college’u. Aresztowany i oddany do zakładu dla chorych psychicznie, gdy się obnażył przed dwiema dziewczynkami wysiadającymi ze szkolnego autobusu. A co najgorsze, wypuszczony z zakładu z powrotem na ulicę, bo kierownik uznał go za zdrowego. Człowiek ten nazywał się Grimmer. Grimmer wiedział, że Szympanś DeLong zdradza odchylenia od normy, lecz napisał opinię pełną dobrych rokowań i jednak go wypuścił. Jack darzył również sympatią i współczuciem Grimmera. Grimmer musiał prowadzić zakład, choć brakowało personelu i funduszy, na wszelkie sposoby łątać biedę, zabiegać o centowe kredyty u stanowego ciała ustawodawczego, odpowiedzialnego przed wyborcami. Grimmer wiedział, że Szympanś jest zdolny do interakcji z ludźmi, że nie robi w spodnie i nie próbuje dźgać innych wychowanków nożyczkami. Nie uważa się za Napoleona. Zakładowy psychiatra, który opiekował się Szympansem, sądził, że zapewne da on sobie radę w świecie, obaj zaś byli świadomi, że im dłużej ktoś przebywa w zakładzie, tym silniejszą odczuwa potrzebę pozostania w tym zamkniętym środowisku, tak jak narkoman odczuwa głód hery. A tymczasem pacjenci dobijali się do drzwi. Paranoicy, schizofrenicy, cyklofrenicy, półkatatonicy, mężczyźni, którzy twierdzili, że polecili do nieba na latających talerzach, kobiety, które przypalały dzieciom organy płciowe zapalniczkami, alkoholicy, piromani, kleptomani, typy maniakalno-depresyjne, osoby cierpiące na manię samobójczą. Trudny świat, dziecińo. Jeśli mocno nie weźmiesz się w garść przed trzydziestką, będziesz się trząść, rzeźić i zataczać. Jack potrafił współczuć skłopotanemu Grimmerowi. Potrafił współczuć rodzicom pomordowanych dzieci. I oczywiście tym dzieciom również. I Szympanśowi DeLongowi. Winę niech zwala na kogoś czytelnik. W tamtych czasach Jack nie chciał nikogo osądzać. Płaszcz moralisty źle na nim leżał. Do pisania „Szkółki” zabrał się w tym samym optymistycznym nastroju. Ale ostatnio zaczął się opowiadać po stronie różnych osób, a co gorsza, stopniowo zniechędził swojego bohatera, Gary’ego Bensona. W pierwotnym zamierzeniu autorskim był to inteligentny chłopak, dla którego pieniądze stanowiły raczej przekleństwo niż błogosławieństwo, chłopak, któremu najbardziej zależało na dobrym świadectwie, ponieważ chciał się dostać na dobry uniwersytet o własnych siłach, a nie dlatego, że ojciec nacisnął odpowiednie sprężyny. Teraz stał się dla Jacka kimś takim jak wdzięcząca się Dobrusia

Butki-Ma-Dwa¹, raczej kandydatem do zakonu klęczącym u stóp ołtarza wiedzy niż szczerym akolitą, na zewnątrz wzorem cnót skautowskich, w głębi duszy cynikiem, bynajmniej nie inteligentnym (wbrew pierwotnemu zamierzeniu), tylko szczywanym i przebiegłym jak zwierzę. Przez wszystkie akty sztuki nieodmiennie mówił Denkerowi „proszę pana”, tak jak Danny, nauczony przez ojca, zwracał się do ludzi starszych i na stanowisku. Jack myślał, że Danny robi to całkiem szczerze, i zrazu Gary Benson tak samo używał tych słów, ale zaczawszy akt piąty, Jack stopniowo doszedł do wniosku, że Gary posługuje się nimi szydlerczo, wymawia je z twarzą poważną, w głębi duszy zaś złośliwie naigrawa się z Denkera. Z Denkera, który nigdy nie miał tego wszystkiego co Gary. Z Denkera, który przez całe życie musiał pracować na to, aby zostać dyrektorem jednej szkółki. Któremu teraz grozi ruina z powodu tego przystojnego, bogatego, na pozór niewinnego chłopaka, bo ten ściągał, pisząc końcowe wypracowanie, a potem przebiegle zatarał ślady. Jack nie widział wielkiej różnicy między Denkerem-nauczycielem a dumnie stąpającymi dyktatorami południowoamerykańskich republik bananowych, którzy stawiają dysydemtów pod ścianą najbliższej sali do gry w squasha czy piłkę ręczną. Uważał go za nadgorliwca działającego w stosunkowo małym bagienku, człowieka z każdej swojej zachcianki czyniącego krucjatę. Początkowo chciał ukazać w miniatrze problem nadużywania władzy. Obecnie coraz bardziej skłonny był widzieć w Denkerze pana Chipisa, a tragedia obrazowała nie tyle udręki intelektualne Gary’ego Bensona, ile drogę do zguby dobrotliwego starego nauczyciela i dyrektora szkoły, niezdolnego przejrzeć forteli tego cynicznego potwora, udającego ucznia.

Nie mógł skończyć tej sztuki.

Teraz siedział, patrzył na nią gniewnie i zastanawiał się, czy zdoła jakoś uratować sytuację. Właściwie na to nie liczył. Zaczął pisać jedną sztukę, ona zaś szybko przekształciła się w inną. Więc cóż, u diabła? Tak czy owak, pisano już takie rzeczy. Tak czy owak, był to stek bzdur. Dlaczego zresztą dziś wieczór szaleje z tego powodu? Nic dziwnego, że po takim dniu zatracił zdolność jasnego myślenia.

— ... go zwieziemy?

Podniósł oczy jakby zasnute pajęczyną i zamrugał, aby widzieć lepiej.

— Hę?

— Pytałam, jak go zwieziemy. Musimy go stąd zabrać, Jack.

Przez chwilę do tego stopnia nie potrafił się skupić, że nie miał nawet pewności, o czym ona mówi. Potem zrozumiał i parsknął krótkim, warkliwym śmiechem.

— Mówisz, jakby to było takie łatwe.

— Nie chciałam. . .

¹ Bohaterka książeczki dla dzieci, uszczęśliwiona, że dostała drugi bucik, bo zawsze miała tylko jeden.

— To nic wielkiego, Wendy. Po prostu przebiorę się w tej kabinie telefonicznej w holu i polecę do Denver, a on będzie siedział na moich plecach. W szczenięcych latach przezywano mnie Jack Torrance Superman.

Na jej twarzy odmalowała się uraza.

— Wiem, na czym polega kłopot. Radio jest rozbite. Śnieg... musisz jednak zrozumieć, Jack, co dolega Danny'emu. Mój Boże, czy ty tego nie rozumiesz? Zachowywał się prawie jak katatonik! Co by się stało, gdyby atak nie minął?

— Ale minął — uciał krótko Jack.

Jego również przeraził stan Danny'ego, te oczy bez wyrazu, ospałość, oczywiście że tak. Z początku. Lecz w miarę jak o tym rozmyślał, budziło się podejrzenie, czy to przypadkiem nie była gierka mająca na celu wymiganie się od kary. Przecież Danny wszedł na zakazany teren.

— Mimo to. — Wendy zbliżyła się i usiadła w nogach łóżka, przy biurku. Jej twarz wyrażała zdziwienie i troskę. — Te sińce na jego szyi, Jack. Coś go dopadło! Więc chcę, żeby był od tego czegoś z daleka!

— Nie krzycz, Wendy — powiedział. — Boli mnie głowa. Martwię się tym tak samo jak ty, więc proszę cię... nie krzycz.

— Dobrze — odparta cichszym głosem. — Nie będę krzyczeć. Ale ja ciebie nie rozumiem, Jack. Ktoś jest tutaj z nami. I to ktoś niezbyt miły. Musimy zjechać do Sidewinder, nie tylko Danny, my dwoje też. Możliwie prędko. A ty... ty sobie siedzisz i czytasz swoją sztukę!

— „Musimy zjechać, musimy zjechać”, powtarzasz w kółko. Chyba naprawdę uważasz mnie za Supermana.

— Uważam cię za mojego męża — rzekła łagodnie i popatrzyła na swoje ręce.

Zawrzał gniewem. Cisnął maszynopis, znów rozsypując kartki, mnąc te, które leżały na spodzie.

— Czas już poznać pewne gorzkie prawdy, Wendy. Chyba ich nie zinternalizowałaś, jak mówią socjologowie. Obijają ci się po głowie niczym popchnięte bile. Musisz je powrzucać do łuz. Musisz zrozumieć, że jesteśmy zasypani śniegiem.

Raptem Danny poruszył się w łóżeczku. Zaczął się wiercić i kręcić przez sen. Tak jak zawsze, kiedy się kłóciliśmy, pomyślała w przygnębieniu Wendy. I znów to robimy.

— Nie budź go, Jack. Proszę cię.

Popatrzył na Danny'ego i nieco ochłonął.

— Dobra. Przepraszam. Przepraszam, że się wściekłem, Wendy. Właściwie nie na ciebie. Ale ja rozwalilem radio. Jeśli ktoś ponosi winę, to na pewno ja. To było ważne ogniwo, łączące nas ze światem zewnętrznym. Halo, halo. Proszę przyjechać i zabrać nas stąd, panie strażniku. Nie możemy tak późno przebywać na dworze.

— Przestań. — Położyła mu rękę na ramieniu. Oparł na niej głowę. Wendy drugą ręką pogłaskała go po włosach. — Chyba masz prawo się wściekać o to

moje oskarżenie. Czasami jestem jak moja matka. Potrafię być podła. Ale musisz zrozumieć, że z pewnymi rzeczami... trudno się pogodzić. Musisz to zrozumieć.

— Masz na myśli jego rękę? — Mocno zacisnął usta.

— Tak — odparta Wendy i prędko mówiła dalej: — Ale chodzi nie tylko o ciebie. Niepokoję się, kiedy on się bawi na dworze. Niepokoję się, bo chce na przyszły rok dostać rower na dwóch kółkach, choćby to miał być rower z kółkami do nauki jazdy. Martwię się o jego zęby i wzrok, i o to coś, co nazywa swoim jaśnieniem. Martwię się. Bo on jest mały i wydaje się bardzo kruchutki, a... a coś w tym hotelu jakby go chciało dostać w swe łapy. I jeśli będzie musiało, przejdzie przez nas, żeby go dostać. Dlatego powinniśmy go stąd zabrać, Jack. Wiem to! Ja to czuję! Musimy go stąd zabrać!

Podniecona zacisnęła mu rękę na ramieniu, on jednak nie cofnął się przed bólem. Odnalazł dłonią jędrną pierś żony i zaczął ją gładzić przez koszulę.

— Wendy — rzekł i urwał. Czekwała, aż sformułuje to, co ma do powiedzenia. Dobrze było czuć jego silną rękę na piersi, jej dotyk działał kojąco. — Pewnie mógłbym go znieść na raketach śnieżnych. Część drogi mógłby przebyć sam, ale przeważnie ja musiałbym go nieść. Oznaczałoby to konieczność spędzenia jednej, dwóch czy trzech nocy pod gołym niebem. A co za tym idzie, zrobienia czegoś w rodzaju sanek, żeby móc zabrać prowiant i zrolowaną pościel. Mamy radio Sony, więc moglibyśmy wyruszyć, kiedy zapowiedzą trzydniowy okres dobrej pogody. Ale w razie błędnej prognozy — dokończył stłumionym, miarowym głosem — chyba czeka nas śmierć.

Wendy pobladła. Twarz miała błyszczącą, niemal widmową. Jack nie przestał głaskać jej piersi, delikatnie pocierając brodawkę opuszką palca.

Jęknęła cicho — nie wiedział, czy to reakcja na jego słowa, czy na delikatną pieczętę. Uniósł rękę i odpiął górny guzik jej koszuli. Wendy przestawiła nogi. Raptem dzinsy wydały jej się za ciasne, drażniły lekko, ale w przyjemny sposób.

— Oznaczałoby to, że zostawimy cię samą, bo nie radzisz sobie z raketami. Przez trzy dni nic byś nie wiedziała. Chciałabyś tego? — Opuścił rękę na drugi guzik, odpiął go i odsłonił rowek między piersiami.

— Nie — zaprzeczyła głosem nieco schrypniętym. Spojrzała na Danny'ego. Przestał się wiercić. Jego kciuk z powrotem zawędrował do buzi. Więc to jest w porządku. Ale Jack malował obraz niepełny. Zbyt ponury. Było coś jeszcze... co?

— Jeśli zostaniemy na miejscu — mówił Jack, odpinając trzeci i czwarty guzik z tą samą rozmyślną powolnością — jakiś strażnik z parku czy z lasu zajrzy tutaj, żeby zobaczyć, jak nam leci. Wtedy zwyczajnie mu powiemy, że chcemy zjechać na dół. On się tym zajmie. — Szeroko rozchylił jej koszulę, odsłonił nagie piersi i wziął do ust brodawkę. Była twarda, stercząca. Z wolna przesuwając po niej językiem, wiedział, że Wendy to lubi. Wypreżyła się, pojękując.

(Coś, o czym zapomniałam?)

— Skarbie! — Instynktownie przygarnęła jego głowę do piersi. — A jak by strażnik nas stąd zabrał?

Trochę się odchylił, żeby odpowiedzieć, po czym chwycił w usta drugą brodawkę.

— Gdyby poproszono o helikopter, to chyba śniegołazem.

(!!!)

— Przecież tu jest śniegołaz! Tak mówił Ullman!

Jack na chwilę zastygł z wargami na jej piersi, po czym usiadł. Wendy miała twarz lekko zarumienioną, oczy nadmiernie błyszczące. Jack był spokojny, jak gdyby czytał dość nudną książkę, a nie zaczynał grę miłosną z żoną.

— Jeśli tu jest śniegołaz, nie ma problemu — oświadczyła Wendy podniecona. — Możemy we trójkę zjechać na dół.

— Wendy, ja nigdy w życiu nie prowadziłem śniegołaza.

— Na pewno nie tak trudno jest się tego nauczyć. Przecież w Vermont dziesięcioletnie dzieci jeżdżą śniegołazami po polach. . . choć nie wiem, co o tym sądzą ich rodzice. A ty miałaś motocykl, kiedy cię poznałam.

Istotnie miał hondę o pojemności silnika 350 centymetrów sześciennych. Wkrótce po tym, jak zamieszkali razem, przehandlowali ją na saaba.

— Przypuszczalnie mógłbym się nauczyć — rzekł powoli. — Ciekawe jednak, czy śniegołaz jest na chodzie. Ullman i Watson. . . oni prowadzą hotel od maja do października. Patrzą na wszystko pod kątem lata. Wiem, że w baku nie będzie benzyny. Może też brakować świec czy akumulatora. Wolę, żebyś za dużo sobie nie obiecywała, Wendy.

Podniecona teraz do ostatecznych granic, nachyliła się nad nim, jej piersi wypłynęły z rozcięcia koszuli. Powodowany nagłym impulsem zapragnął chwycić jedną z nich i wykręcić tak, żeby Wendy wrzasnęła. Może wtedy nauczyłaby się milczeć.

— Z benzyną nie ma kłopotu — powiedziała. — Baki volkswagena i ciężarówka są pełne. Jest też paliwo do zapasowej prądnicy na dole. I musi być kanister w tej szopie, więc mógłbyś wziąć na zapas.

— Tak — przyznał. — Jest. — W rzeczywistości były tam trzy kanistry, dwa pięciogalonowe i jeden dwugalonowy.

— Założę się, że znajdziesz świece i akumulator. Nikt by nie trzymał śniegołaza w jednym miejscu, a świece i akumulatora w innym, prawda?

— Wydaje się to mało prawdopodobne. — Wstał i podszedł do łóżeczka Danny'ego. Kosmyk włosów opadł chłopcu na czoło, więc Jack odgarnął go delikatnie. Danny się nie poruszył.

— Ale czy zabierzesz nas stąd, jeśli zdołasz go uruchomić? — spytała z za jego pleców. — Pierwszego dnia, kiedy usłyszemy dobrą prognozę?

Przez chwilę nie odpowiadał. Stał, patrząc na syna, i jego mieszane uczucia rozplywały się w fali miłości. Chłopiec jest taki, jak mówiła, wrażliwy, kruchy.

Ślady na jego szyi były bardzo wyraźne.

— Tak — obiecał. — Uruchomię go i wyjedziemy stąd możliwie jak najszybciej.

— Bogu dzięki.

Odwrócił się do niej. Zdjęła koszulę i leżała na łóżku, z płaskim brzuchem, z piersiami zuchwale wymierzonymi w sufit. Bawiła się nimi leniwie, przytkając w brodawki.

— Śpieszcie się, panowie — powiedziała cicho. — Już czas.

Później, kiedy w sypialni paliła się tylko nocna lampka przyniesiona przez Danny'ego z jego pokoju, Wendy leżała z głową na ramieniu Jacka, cudownie ukojona. Wydawało jej się rzeczą wprost nie do wiary, by razem z nimi mógł mieszkać w Panoramic ukryty morderca.

— Jack?

— Mhm?

— Co się na niego rzuciło?

Nie odpowiedział wprost.

— On ma w sobie coś. Jakiś dar, którego nam brakuje. Przepraszam, którego brakuje większości z nas. I może Panorama też coś ma.

— Duchy?

— Nie wiem. Nie w tym sensie co u Algernona Blackwooda, to pewne. Raczej resztki uczuć ludzi, którzy tu mieszkali. Dobrych i złych. W tym sensie chyba każdy duży hotel ma swoje duchy. Zwłaszcza stary hotel.

— Ale martwa kobieta w wannie... Jack, on nie dostaje pomieszania zmysłów, co?

Uścisnął ją.

— Wiemy, że od czasu do czasu... wpada w trans... w braku lepszego określenia. Wiemy, że w takim transie niekiedy... widzi?... rzeczy, których nie rozumiemy. Jeśli taki proroczy trans jest możliwy, stanowi on zapewne funkcję podświadomości. Zdaniem Freuda, podświadomość nigdy nie przemawia do nas w sposób dosłowny. Tylko symbolami. Jeśli ci się śni, że jesteś w piekarni, gdzie nikt nie mówi po angielsku, to może znaczyć, że się niepokoisz, czy potrafisz utrzymać rodzinę. Albo po prostu martwisz się tym, że nikt cię nie rozumie. Czytałem, że sen o spadaniu jest typową sublimacją poczucia niepewności. Gry, gierki. Świadomość po jednej stronie siatki, podświadomość po drugiej, odbijają jakieś bzdurne wyobrażenia. Tak samo jak z chorobą umysłową, z przecuciami, z takimi rzeczami. Dlaczego wiedza o przyszłych zdarzeniach miałaby być inna? Może Danny istotnie widział krew na ścianach apartamentu prezydenckiego. Dla dzieciaka w jego wieku wyobrażenie krwi i pojęcie śmierci są prawie wymienne. Zresztą dla dzieci wyobrażenie zawsze jest przystępniejsze niż pojęcie. Wiedział o tym

William Carlos Williams, był pediatrą. Kiedy dorastamy, pojęcia stopniowo stają się łatwiejsze i wyobrażenia pozostawiamy poetom. . . a ja gadam od rzeczy.

— Lubię słuchać, jak gadasz od rzeczy.

— Ludzie, ona to powiedziała. Powiedziała to. Wszyscy słyszeli.

— Te ślady na jego szyi, Jack. One są prawdziwe.

— Tak.

Nie odzywał się długo. Już myślała, że pewnie zasnął, i sama też zapadała w drzemkę, kiedy przemówił.

— Przychodzą mi do głowy dwa wyjaśnienia. I żadne nie wskazuje na obecność osoby czwartej w hotelu.

— Co? — Dźwignęła się na łokciu.

— Może stygmaty — powiedział.

— Stygmaty? Czy to nie polega na tym, że ludzie krwawią w Wielki Piątek albo coś takiego?

— Tak. Czasami ludzie, którzy głęboko wierzą w boskość Chrystusa, wystawiają na pokaz w Wielkim Tygodniu krwawiące znamiona na dłoniach i stopach. Zdarzało się to częściej w średniowieczu niż obecnie. W tamtej epoce tacy ludzie uchodzili za błogosławionych. Nie przypuszczam, aby Kościół katolicki uznał kiedyś takie zjawisko za bezwzględny cud, co dowodzi niemałego sprytu. Stygmaty niezbyt się różnią od niektórych rzeczy robionych przez jogów. Teraz lepiej to pojmujemy, i koniec. Ludzie, którzy rozumieją, jak wzajemnie oddziałują na siebie umysł i ciało — a raczej badają to oddziaływanie, bo nikt go nie rozumie — są przeświadczeni, że znacznie skuteczniej kontrolujemy funkcje naszego układu vegetatywnego, niż ongiś sądzili. Człowiek potrafi zwolnić bicie swego serca, jeśli dostatecznie dużo o tym rozmyśla. Przyśpiesz swój własny metabolizm. Spraw, żebyś się bardziej pocił. Albo żebyś krwawił.

— Uważasz, że Danny wymyślił te sińce i sprawił, że ukazały się na jego szyi? Wprost nie mogę w to uwierzyć, Jack.

— Ja potrafię uwierzyć w taką możliwość, chociaż i mnie wydaje się to nieprawdopodobne. Bardziej prawdopodobne jest, że sam to sobie zrobił.

— Sam sobie?

— W przeszłości parę razy wpadał w takie „transy” i robił sobie krzywdę. Pamiętasz, co się stało wtedy przy kolacji? Chyba ze dwa lata temu. Byliśmy na siebie wyjątkowo wkurzeni. Nikt się właściwie nie odzywał. Wtem, całkiem zniecka, Danny zaczął przewracać oczami i wylądował twarzą w talerzu. A potem na podłodze. Pamiętasz?

— Tak. Oczywiście. Myślałam, że dostał konwulsji.

— Innym razem byliśmy w parku — podjął Jack. — Tylko we dwóch. W sobotę po południu. Danny bujał się na huśtawce. Nagle upadł na ziemię. Jakby zestrzelony. Podbiegłem, żeby go podnieść, a on po prostu odzyskał przytomność.

Zamrugnął do mnie i powiedział: „Uderzyłem się w brzusek. Powiedz mamie, żeby pozamykała okna w sypialni, jak będzie padać”. I tej nocy lało jak z cebra.

— Tak, ale...

— I zawsze wraca pokaleczony, z pokiereszowanymi łokciami. Jego łydki przypominają pole krwawej bitwy. A na zapytanie, jak się dorobił tego czy innego zadraśnięcia, odpowiada zwyczajnie: „Och, bawiłem się”, i nic więcej.

— Jack, każde dziecko tłucze się i kaleczy. Małym chłopcom zdarza się to prawie nieustannie, od chwili gdy nauczą się chodzić aż do dwunastego czy trzynastego roku życia.

— I z pewnością Danny nie stanowi wyjątku — odparł Jack. — Jest dzieckiem ruchliwym. Ale pamiętam ten dzień w parku i tę kolację. I zastanawiam się, czy niektóre guzy i sińce naszych dzieci są wynikiem zwykłego upadku. Na litość boską, ten doktor Edmonds powiedział, że Danny zrobił to w jego gabinecie!

— Zgoda. Ale on miał na szyi odciski palców. Mogłabym na to przysiąc. Takich siniaków nie narobił sobie, padając.

— Wpada w trans — powiedział Jack. — Może widzi coś, co się zdarzyło w tym pokoju. Sprzeczkę. Może samobójstwo. Gwałtowny wybuch uczuć. To nie to samo co oglądanie filmu; w takim transie łatwo ulega sugestii. Bierze w tym czymś udział. Podświadomie wywołuje, być może, symboliczny obraz tego wydarzenia... widzi na przykład zmarłą kobietę, która ożyła, trupa przywróconego do życia, widmo, upiora, co wolisz.

— Dostaję gęziej skórki, kiedy tak mówisz. — Głos miała ochryply.

— I ja także. Nie jestem psychiatrą, ale to chyba dobrze pasuje. Chodząca zmarła jako symbol zmarłych uczuć, zmarłych istot, które najzwyczajniej nie chcą dać za wygraną i odejść... ale ponieważ jest postacią z podświadomości, jest również nim samym. W transie znika świadomy Danny. Sprężyny porusza postać z poświadomości. Toteż Danny zacisnął ręce na szyi i...

— Przestań, Jack — poprosiła. — Rozumiem. Według mnie to bardziej przerażające, niż gdyby ktoś obcy skradał się po korytarzach. Od obcego można uciec. Nie można uciec od samego siebie. Mówisz o schizofrenii.

— W bardzo ograniczonym zakresie — odrzekł, lecz zdradził lekki niepokój. — I bardzo szczególnej. Bo on rzeczywiście wydaje się zdolny czytać w myślach i naprawdę od czasu do czasu chyba widzi, co się wydarzy. Żadną miarą jednak nie mogę tego uznać za chorobę umysłową. Każdy z nas ma w sobie zresztą coś schizofrenicznego. Uważam, że w miarę dorastania Danny zacznie nad tym panować.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, koniecznie musimy go stąd zabrać. Cokolwiek on ma w sobie, ten hotel to pogarsza.

— Tego bym nie powiedział. Gdyby się słuchał, po pierwsze nigdy by nie poszedł do tamtego pokoju. I to by się nie stało.

— Mój Boże, Jack! Czy sugerujesz, że został na pół uduszony za karę... że zasłużył na nią nieposłuszeństwem?

— Nie... nie. Oczywiście że nie. Ale...

— Żadnych ale. — Gwałtownie pokręciła głowę. — Tak naprawdę to zgadzamy. Nie mamy pojęcia, kiedy za rogiem natkniemy się na jedną z tych... dziur powietrznych, krótkometrażowych filmów grozy, czy co to tam jest. Musimy go stąd zabrać. — Parsknęła w mroku krótkim śmiechem. — Tylko patrzeć, a nam się zacznie coś przywidywać.

— Nie pleć głupstw — powiedział i w ciemnym pokoju ujrzał lwy skupione wokół ścieżki, już nie strzyżony żywopłot, lecz strzegące przejścia głodne listopadowe lwy. Zimny pot wystąpił mu na czoło.

— Naprawdę nic nie widziałeś, co? — pytała. — Wtedy, w tamtym pokoju? Nic nie widziałeś?

Lwy znikły. Teraz widział pastelworóżową zasłonę od prysznicu i rozwalony za nią ciemny kształt. Zamknięte drzwi. Stłumiony, pośpieszny łomot, a potem odgłos jakby prędkich kroków. Straszny, nierówny rytm bijące serce, kiedy zmagał się z kluczem.

— Nic — odpowiedział zgodnie z prawdą. W tamtym stanie napięcia nie był pewny, co się dzieje. Nie miał okazji zastanowić się nad rozsądnym wyjaśnieniem zagadki sińców na szyi syna. Sam też cholernie łatwo ulegał sugestii. Halucynacje potrafią niekiedy być zaraźliwe.

— I nie zmieniłeś postanowienia? Chodzi mi o śniegołaza.

Nagle mocno zacisnął w pięści

(Przestań mnie dręczyć!)

ręce wyciągnięte wzdłuż boków.

— Powiedziałem, że go uruchomię, prawda? I uruchomię. A teraz śpij. Dzień był długi i ciężki.

— Bardzo. — Zaszleściła pościel, kiedy Wendy obróciła się do niego i pocałowała go w ramię. — Kocham cię, Jack.

— Ja też cię kocham — odpowiedział, ale były to tylko słowa.

Nadal zaciskał pięści. Przypominały kamienie uczone u rąk. Żyła silnie pulsowała mu na czoło. Wendy nie wspomniała o tym, co się z nimi stanie, kiedy już zjadą na dół, kiedy skończy się ta zabawa. Ani słowem. Mówiła, że Danny to i Danny tamto, i tak się boję, Jack, mówiła. Och, tak, okropnie się bała tego upiora zamkniętego w szafie i skaczących cieni, potwornie się bała. Ale nie brakło też prawdziwych powodów do strachu. Zjadą do Sidewinder z sześćdziesięcioma dolarami i ubraniem na grzbiecie. Nawet bez samochodu. Choćby tam był lombard, którego zresztą nie ma, mogliby zastawić jedynie zaręczynowy pierścionek Wendy z brylantem, wart dziewięćdziesiąt dolarów, i radio Sony. Właściciel lombardu mógłby dać im dwadzieścia dolarów. Gdyby był życzliwy. Jack nie miałby pracy; nawet dorywczej, nawet sezonowej, mógłby najwyżej odgar-

niać śnieg z podjazdów, po trzy dolary od domu. Obraz Johna Torrance'a, mężczyzny trzydziestoletniego, publikującego niegdyś w „Esquire” i marzącego — nie całkiem bezpodstawnie, jak sądził — że w ciągu najbliższego dziesięciolecia zostanie wybitnym pisarzem amerykańskim, dzwoniącego do domu z wypożyczoną ze Związku Motorowego w Sidewinder szuflą na ramieniu... ten obraz nagle ukazał mu się znacznie wyraźniej niż strzyżone lwy. Jack jeszcze mocniej zacisnął pięści i poczuł, jak paznokcie wbijają mu się w dłonie, znaczą je mistycznymi, krwawymi sierpami księżycy. John Torrance stoi w kolejce, żeby zamienić swoje sześćdziesiąt dolarów na bony żywnościowe, a potem znów stoi w kolejce w kościele metodystów w Sidewinder, żeby dostać coś z darów i zarobić na niechętnie spojrzania mieszkańców miasteczka. John Torrance tłumaczy Alowi, że po prostu musieli wyjechać, musieli wyłączyć ogrzewanie, zostawić Panoramę wraz z całym wyposażeniem na pastwę wandalów czy złodziei posługujących się śniegołazami, bo rozumiesz, Al, *attendez-vous*, Al, tam są duchy i mają na pieńku z moim malcem. Do widzenia, Al. Myśli o rozdziale czwartym. Wiosna nadchodzi dla Johna Torrance'a. Co wtedy? Co wtedy, u licha? Jak przypuszczam, mogliby zapewne dotrzeć volkswagenem na Zachodnie Wybrzeże. Gdyby kupili nową pompę paliwową. To pięćdziesiąt mil stąd i cały czas z góry, można by właściwie jechać na tym cholernym biegu jałowym i tak dobić do Utah. Dalej do słonecznej Kalifornii, kraju pomarańczy i wielkich możliwości. Człowiek o tak bogatej jak on przeszłości, który pił, pobił ucznia i uganiał się za duchami, niewątpliwie miałby duży wybór. Proszę bardzo. Posada pomocnika kierowcy — mycie autobusów Greyhound. Motoryzacja — mycie wozów w gumowym kombinezonie. Może sztuka kulinarna — mycie naczyń w wagonie restauracyjnym. Albo stanowisko bardziej odpowiedzialne, na przykład nalewanie benzyny na stacji. Taka praca nawet pobudza intelektualnie, bo trzeba wydawać resztę i wypisywać kwity osobom płacącym kartami kredytowymi. Mogę zaproponować dwadzieścia pięć godzin tygodniowo i najniższą stawkę. To nie brzmiało zachęcająco w roku, kiedy bochenek chleba kosztował sześćdziesiąt centów.

Krew zaczęła kapać mu z dłoni. Jak stygmaty, o tak. Mocniej zacisnął pięści, zadając sobie ból. Żona śpi obok, bo dlaczego by nie? Nie ma żadnych problemów. Zgodził się zabrać stąd ją i Danny'ego, uciec od dużego, złego stracha, więc nie ma żadnych problemów. Widzisz, Al, pomyślałem, że najlepiej byłoby (ją zabić).

Ta myśl przyszła mu do głowy nie wiadomo skąd, naga, niczym nie upiększona. Zapragnął wypchnąć Wendy z łóżka, gołą, oszołomioną, ledwie zaczynającą się budzić; chciał się na nią rzucić, chwycić ją za szyję, podobną do zielonej gałęzi młodej osiki, i dusić, naciskać kciukiem tchawicę, a palcami gnieść górne kręgi, podrywać głowę do góry i walić nią o deski podłogi, jeszcze raz i jeszcze, grzmocić, tłuc, miażdżyć i gruchotać. Podryguj i podskakuj, mała. Trzęś się, wij i charkocz. Zmusi ją, żeby zażyła swoje lekarstwo. Do ostatniej kropli. Do ostat-

niej gorzkiej kropelki.

Niejasno zdał sobie sprawę, że skądś z zewnątrz, spoza jego gorączkowo pędzącego świata wewnętrznego, dobiega stłumiony odgłos. Spojrzał w przeciwną stronę kąta pokoju, gdzie Danny znów się rzucał, kręcił i wiercił w pościeli. Z głębi jego gardła z trudem dobywał się cichy jęk. Co mu się śni? Sina kobieta, zmarła dawno temu, człapiąca za nim po krętych korytarzach hotelu? Ale chyba nie. Coś innego ściga chłopca w sennych majakach. Coś gorszego.

Jack otrząsnął się z przykrych uczuć. Wstał z łóżka i podszedł do syna, pełen wstydu i obrzydzenia do siebie. Musi myśleć o Dannym, nie o Wendy i nie o sobie. Tylko o Dannym. I choćby na siłę przeinaczał fakty, mimo to w głębi duszy wiedział, że chłopca trzeba stąd zabrać. Wygładził mu pościel i nakrył go dodatkowo leżącą w nogach łóżka kołderką. Danny się uspokoił. Jack dotknął jego czoła

(Co za potwory harczą pod tą sklepioną kością?)

i stwierdził, że jest ciepłe, lecz nie rozpalone. Chłopiec znów spał spokojnie.

Dziwne.

Jack wrócił do łóżka i próbował zasnąć. Sen nie nadchodził.

Co za straszna niesprawiedliwość, że tak się stało — pech ich prześladował. Nie mogli się od niego uwolnić nawet tutaj. Kiedy jutro po południu znajdą się w Sidewinder, będą się mogli pożegnać ze świetną okazją — pomachać jej na do widzenia, jak zwykły mawiać kolega, z którym Jack dawno temu dzielił pokój. Gdyby natomiast nie wyjechali, gdyby jakoś wytrwali do wiosny, wszystko ułożyłoby się inaczej. Skończyłby sztukę. Obojętne jak. Dopisałby jakieś zakończenie. To, o którym pierwotnie myślał, mogłoby się wydawać wzruszająco niejasne, skoro sam nie potrafił się zdecydować, czy lubi swych bohaterów. Może nawet trochę by na sztuce zarobił, niewykluczone. A gdyby nie, Al mógłby przekonać radę nadzorczą, żeby ponownie go zaangażowała. Oczywiście przyjęto by go na okres próbny, może aż trzyletni, gdyby jednak dalej nie pił i pisał, może nie musiałby tak długo tam siedzieć. Naturalnie dawniej niezbyt mu zależało na Stovington, dusił się tam, czuł się żywcem pogrzebany, lecz tak na to reagował, bo był niedojrzały. Co więcej, czyż nauczanie może sprawiać przyjemność, skoro co drugi czy trzeci dzień człowiek ma kaca i przez trzy pierwsze lekcje łeb mu dosłownie pęka z bólu? To się już nie powtórzy. Potrafi o wiele lepiej wywiązywać się ze swoich obowiązków. Tego jest pewien.

Wśród takich rozmyślań wszystko mu się poplątało i zapadł w sen. Ostatnia myśl podążała za nim w głąb jak sonda.

Wydawało się, że mógłby tu znaleźć spokój. Nareszcie. Gdyby tylko mu pozwolono.

Zbudził się w łazience pokoju 217.

(Znów chodziłem we śnie — dlaczego? — nie ma tu aparatów radiowych do tłuczenia.)

W łazience się paliło, w pokoju za jego plecami panowały ciemności. Zastłona była zaciągnięta wokół długiej wanny na nóżkach w kształcie łap. Dywanik przed wanną był zmięty i wilgotny.

Jack zaczął odczuwać strach, lecz taki jak we śnie, co wskazywało, że nie jest to strach prawdziwy. Mimo to nie potrafił nad nim zapanować. Tyle rzeczy przypominało w Panoramie sny.

Podszedł do wanny i odsunął zastłonę.

Leżał tam nagi, prawie nieważki George Hatfield z nożem w piersi. Woda wokół niego barwiła się jaskrawą różowością. George miał oczy zamknięte. Jego penis kołysał się bezwładnie niczym pasmo wodorostów.

— George... — usłyszał Jack własny głos.

Na to słowo oczy George'a otwarły się gwałtownie. Były srebrne, wcale nie ludzkie. Jego ręce, białe jak ryby, odnalazły krawędzie wanny i George dźwignął się do pozycji siedzącej. Nóż sterczał mu dokładnie pośrodku piersi, między brodawkami. Rana nie miała brzegów.

— Posunął pan brzeczyc — powiedział srebrnooki George.

— Nie, George, ja tego nie zrobiłem. Ja...

— Ja się nie jąkam.

Teraz George już stał, nadal przeszywał Jacka tym nieludzkim srebrzystym spojrzeniem, ale usta miał rozciągnięte w martwym, krzywym uśmiechu. Przełożył jedną nogę przez porcelanową krawędź wanny. Biała, pomarszczona stopa spoczęła na dywaniku.

— Najpierw próbował mnie pan przejechać, kiedy jechałem na rowerze, potem posunął pan brzeczyc, jeszcze później chciał mnie pan zadźgać, a mimo to się nie jąkam. — George szedł ku niemu z wyciągniętymi rękami o lekko zakrzywionych palcach. Zalaatywał stęchlizną i wilgocią jak liście po deszczu.

— To było dla twojego dobra — odrzekł, cofając się, Jack. — Posunąłem go dla twojego dobra. Co więcej, przez przypadek wiem, że ściągałeś, pisząc końcowe wypracowanie.

— Ja nie ściągam... i się nie jąkam. Ręce George'a dotknęły szyi Jacka.

Jack odwrócił się i zaczął biec; biegł z tą płynną, nieważką powolnością, tak typową dla snów.

— Owszem! Ściągałeś! — wrzasnął w przerażeniu i gniewie, kiedy przebiegał przez ciemny salonik i sypialnię. — Ja to udowodnię!

Ręce George'a znów zacisnęły mu się na szyi. Serce Jacka tak wezbrało łęką, że o mało nie pękło. A potem, wreszcie, chwycił za gałkę, przekręcił ją i szarpnięciem otworzył drzwi. Wpadł na zewnątrz, nie na korytarz drugiego piętra, tylko do pokoju w podziemiach, tego za łukowym sklepieniem. Paliła się tu

żarówka zasnutą pajęczyną. Pod nią stało jego składane krzesło, surowe, geometryczne. Wokół krzesła piętrzyło się miniaturowe pasmo górskie z pudeł, skrzynek, powiązanych w paczki rejestrów, faktur i Bóg wie czego jeszcze. Doznał ulgi.

— Ja to znajdę! — usłyszał własny wrzask. Chwycił wilgotny, pleśniejący karton, który rozlaźł mu się w dłoniach. Ze środka jak wodospad runęły żółte bibułki. — To jest gdzieś tutaj! Ja to znajdę! — Głęboko zanurzył ręce w stosie kartek; jedną ręką wyciągnął suche, szeleszczące jak papier gniazdo os, drugą brzęczyk. Brzęczyk tykał. Przyczepionym z tyłu kawałkiem przewodu elektrycznego połączony był z paczką dynamitu. — Jest! — wrzasnął. — Jest, weź sobie!

Ulga przeobraziła się w pełny triumf. Nie tylko uciekł George'owi, lecz także zwyciężył. Jeśli będzie trzymał te talizmany w dłoniach, George go już nie tknie. Umknie przerażony.

Zaczął się odwracać, żeby stawić czoło George'owi, i właśnie wtedy palce chłopaka zacisnęły się na jego szyi, dusząc, dławiąc, całkowicie uniemożliwiając zaczerpnięcie powietrza po jednym ostatnim, przeciągłym wdechu.

— Ja się nie jąkam — szepnął George zza jego pleców. Jack upuścił gniazdo, z którego wściekłą brązowo-żółtą falą wyroiły się osy. Płuca mu płonęły. Niezdecydowanie spojrzął na brzęczyk i wraz ze wzbierającym słusznym gniewem powróciło uczucie triumfu. Przewód nie łączył brzęczyka z dynamitem, biegł natomiast do złotej gałki na grubej lasce, podobnej do laski, jaką nosił jego ojciec po wypadku z ciężarówką mleczarza.

Kiedy Jack ją złapał, przewód się oderwał. Laska sprawiała wrażenie ciężkiej i pasowała mu do dłoni. Zamachnął się nią. Wzniesiona w górę przesunęła się po drucie od żarówki i światło się zachybotало, wskutek czego zakapturzone cienie zakotłosały się potwornie na podłodze i ścianach. Laska opuszczona w dół uderzyła w coś znacznie twardszego. George krzyknął przeraźliwie. Przestał tak mocno ścisnąć Jacka za gardło.

Jack wyrwał mu się i okręcił dokoła. George klęczał z pochyloną głową i rękami splecionymi na jej czubku. Krew przeciekała mu przez palce.

— Proszę — szepnął pokornie. — Niech mi pan da wytchnąć, panie Torrance.

— Teraz zażyjesz swoje lekarstwo — mruknął Jack. — Teraz, na Boga, to zrobisz. Szczeniaku. Nic niewart kundlu. Teraz, na Boga, w tej chwili. Co do kropli. Do ostatniej kropelki!

Światło kołysało się nad nim, cienie tańczyły i trzepotały, a on zaczął wymachiwać laską — młócić nią raz za razem jak maszyna, podnosząc i opuszczając ramię. Zakrwawione palce George'a, osłaniające głowę, opadły i Jack miarowo opuszczał laskę na jego szyję i barki, na plecy i ramiona. Tyle że laska przestała już właściwie być laską; zdawało się, że to młotek z trzonkiem w kolorowe pasy. Młotek z jednej strony twardy, z drugiej miękki. Używany koniec był oblepiony krwią i włosami. A tępe walenie młotka o ciało zamieniło się w głuchy łoskot, któ-

ry odbijał się grzmiącym echem. Głos Jacka zaczął dźwięczeć podobnie, niczym odcieleśniony ryk. Mimo to, rzecz paradoksalna, wydawał się cichszy, niewyraźny, rozdrażniony... jak gdyby Jack był pijany.

Kłęcząca postać wolno uniosła głowę błagalnym gestem. Nie miała twarzy w ścisłym znaczeniu tego słowa, tylko krwawą maskę, z której wyzierały oczy. Jack ponownie opuścił młotek, by ze świstem wymierzyć ostateczny cios; a kiedy to robił, spostrzegł, że błagalna twarz u jego stóp nie należy do George'a, lecz do Danny'ego. Że to twarz jego syna.

— Tato...

Wtedy młotek uderzył, trafił Danny'ego między oczy, zamknął je na zawsze. A gdzieś coś jakby się śmiało...

(Nie!)

Ocknął się nagi nad łóżkiem Danny'ego, z pustymi rękami, z ciałem lśniącym od potu. Ostatni wrzask wydał tylko w myślach. Ponownie wymówił to słowo, tym razem szeptem.

— Nie. Nie, Danny. Nigdy.

Wrócił do łóżka na nogach jak z gumy. Wendy była pogrążona w głębokim śnie. Budzik na nocnym stoliku wskazywał za kwadrans piątą. Jack leżał bezsen- nie do siódmej. Kiedy Danny zaczął się wiercić, spuścił nogi na ziemię i chwycił ubranie. Nadszedł czas, by skontrolować kocioł.

Rozdział trzydziesty trzeci

Śniegołaz

Jakoś po północy, gdy wszyscy troje spali niespokojnie, śnieg przestał padać, przysypawszy starą skorupę ośmiocalową warstwą świeżego puchu. Chmury się rozproszyły, rzeński wiatr przegnał je z nieba i teraz Jack stał w nasyczonej kurzem smudze słonecznego światła, skośnie wpadającej przez brudne okno we wschodniej ścianie szopy ze sprzętem.

Budynek ten był w przybliżeniu tak długi i wysoki jak wagon towarowy. Zalały tu smarem, olejem, benzyną i z lekka nostalgicznym zapaszkiem turówki wonnej. Pod południową ścianą cztery elektryczne kosiarki stały równo jak żołnierze na defiladzie; dwie z siodełkami, podobne do małych traktorów. Na lewo od nich znajdowały się świdry ziemne, zaokrąglone łopaty do robienia w trawniku dołków do golfa, piła łańcuchowa, elektryczny sekator do strzyżenia żywopłotów i długa, cienka stalowa tyczka z czerwoną chorągiewką na czubku. Chłopcze, przynieś mi piłkę, a jak się uwiniesz w niecałe dziesięć sekund, dostaniesz dwadzieścia pięć centów. Tak jest, proszę pana.

Pod wschodnią ścianą, najlepiej oświetloną skośnymi promieniami porannego słońca, wsparte o siebie trzy stoły pingpongowe tworzyły jak gdyby krzywy domek z kart. Zdjęte z nich siatki zwisały z półki na ścianie. W rogu piętrzył się stos krążków do przesuwania po tablicy i komplet przyborów do roque'a — bramki szczipione kawałkami drutu, kolorowe kule w czymś zbliżonym do kartonu na jajka (dziwne kury masz tutaj, Watson... tak, i powinieneś zobaczyć zwierzęta na frontowym trawniku, ha, ha, ha), dwa komplety młotków na stojakach.

Jack podszedł do nich, unosząc nogi, bo nie chciał nadepnąć na stary ośmioogniowy akumulator (ongiś niewątpliwie ukryty pod maską hotelowej ciężarówki), na prostownik i na dwa kable złączowe, zwinięte pośrodku. Wyciągnął jeden młotek z krótkim trzonkiem z przedniego stojaka i podniósł go do twarzy niczym rycerz pozdrawiający przed bitwą swego króla.

Odżyły fragmenty snu (teraz pomieszane, niewyraźne), coś o George'u Hatfieldzie i ojcowskiej lasce, ale to wystarczyło, aby napełnić go niepokojem

i, rzecz dość absurdalna, lekkim poczuciem winy, że trzyma zwykły stary młotek do ogrodowego roque'a. Oczywiście roque nie był już dzisiaj tak pospolitą grą ogrodową; jego nowocześniejsza odmiana, krokiet, zyskała znacznie większą popularność... a zwłaszcza krokiet dla dzieci. Ale roque... to dopiero musiała być gra. Jack znalazł w podziemiu zapleśniały podręcznik do niej z początku lat dwudziestych, kiedy to rozegrano w Panoramic Północnoamerykański Turniej Roque'a. Niezła gra.

(schizo)

Zmarszczył się lekko, a następnie uśmiechnął. Tak, istotnie gra nieco schizofreniczna. Doskonale wyrażał to młotek. Miękki koniec i twardy koniec. Gra wymagająca finezyjności i celności, a zarazem brutalnej siły uderzenia.

Zamachnął się młotkiem w powietrzu... i uśmiechem zareagował na donośny świst. Następnie odłożył młotek i odwrócił się w lewo. I znów się zasępił.

Prawie pośrodku szopy stał dość nowy śniegołaz, który bynajmniej mu się nie spodobał. Nazwę Bombardier Ślizg wypisano na osłonie silnika czarnymi literami skośnie do tyłu, przypuszczalnie po to, aby wywołać wrażenie prędkości. Sterczące narty również były czarne. Na prawo i lewo od osłony silnika ciągnęły się czarne lamówki, coś, co w samochodzie wyścigowym nazywałoby się pasami wyścigowymi. Ale cały pojazd pomalowano na jaskrawy, szyderczo żółty kolor i dlatego nie podobał się Jackowi. Widziany w smudze porannego słońca, z żółtym kadłubem w czarne pasy, z czarnymi nartami i otwartą kabiną tapicerowaną na czarno, przypominał olbrzymią zmechanizowaną osę. A po uruchomieniu będzie wydawał podobny jak ona odgłos. Będzie brzęczał i bzyczał, gotów uządlić. Lecz przecież tak właśnie powinien wyglądać. Przynajmniej niczego nie udaje. Bo kiedy spełni swoje zadanie, będą bardzo obolali. Wszyscy troje. Do wiosny rodzina Torrance'ów będzie tak obolała, że to, co zrobiły te osy z ręką Danny'ego, wyda się macierzyńskim pocałunkiem.

Otarł wargi chustką wyjętą z tylnej kieszeni i podszedł do Ślizga. Popatrzył na niego, teraz z bardzo głęboką zmarszczką na czole, po czym wepchnął chustkę na powrót do kieszeni. Nagły podmuch wiatru uderzył w szopę, aż się zatrzęsała i zakrzypiała. Jack wyjrzał oknem i zobaczył tuman roziskrzonych śnieżnych kryształków, które zmiotane w stronę zasp na tyłach hotelu, wirując, wzlatywały wysoko w surowe błękitne niebo.

Wiatr ucichł i Jack ponownie zajął się oglądaniem pojazdu. Był rzeczywiście odrażający. Jack nie zdziwiłby się na widok długiego, giętkiego żądła sterczącego z tyłu. Nigdy nie lubił tych cholernych śniegołazów. Rozbijały głuchą zimową ciszę na miliony terkotliwych kawałków. Płoszyły zwierzynę. Wlokły za sobą długie trujące smugi niebieskich, skłębionych spalin — chy, chy, uchy, uchy, daj mi odetchnąć. Może były ostatnią groteskową zabawką w erze powszechnego stosowania paliw kopalnych, dawaną dzieciom w prezencie gwiazdkowym.

Przypomniał sobie, jak będąc w Stovington, przeczytał w gazecie o czymś,

co wydarzyło się gdzieś w Maine. Dzieciak na śniegołazie mknął nie znaną sobie drogą z prędkością ponad trzydziestu mil na godzinę. Wieczorem. Ze zgaszonymi przednimi światłami. A tam na grubym łańcuchu przeciągniętym między dwoma słupkami wisiała tabliczka z napisem „Wstęp wzbroniony”. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, jak pisano, dzieciak jej nie dostrzegł. Może księżyc zaszedł za chmurę. W każdym razie łańcuch ściał mu głowę. Jack czytał o tym nieomal z radością, teraz zaś, patrząc na pojazd, doznawał tego samego uczucia.

(Gdyby nie Danny, z rozkoszą chwyciłbym jeden z tych młotków, podniósłbym maskę i walił, aż. . .)

Z długim, przeciągłym westchnieniem wypuścił z płuc powietrze. Wendy miała rację. Choćby groziło im piekło, powódź czy stanie w kolejce po zupe, Wendy miała rację. Rozwalenie tego pojazdu byłoby szczytem głupoty, niezależnie od przyjemnych aspektów takiego szaleństwa. Równałoby się prawie zatłuczeniu na śmierć własnego syna.

— Pieprzony luddyto — powiedział na głos.

Od tyłu podszedł do śniegołaza i odkręcił korek wlewu. Na jednej z niewysoko zawieszonych półek znalazł prętowy wskaźnik poziomu paliwa i wetknął go do środka. Po jego wyciągnięciu okazało się, że w baku jest jeszcze jedna ósma cała benzyny. Niewiele, wystarczy jednak, by się przekonać, czy to cholerstwo da się uruchomić. Później będzie mógł przelać paliwo z volkswagena i ciężarówki.

Po zakręceniu korka podniósł maskę. Brakowało świec i akumulatora. Znów zaczął szperać na półce, odsuwać na bok śrubokręty i klucze nastawne, wyciągnięty ze starej kosiarki gaźnik o jednym płucu, plastikowe pojemniki z różnej wielkości śrubami, gwoździami i sworzniami. Pociemniała półka lepiała się od starego smaru, a nagromadzony z biegiem lat kurz porastał ją niczym futro. Jack dotykał jej niechętnie.

Znalazł małe, zatłuszczone pudełko ze skrótem „ŚI” wypisanym ołówkiem na pokrywce. Coś zagrzecotało, kiedy nim potrząsnął. Świece. Podniósł jedną z nich do światła, usiłując na oko określić, jaką ma średnicę. Pieprzyć to, pomyślał z urazą i na powrót wrzucił świecę do pudełka. Bieda, jeśli nie będzie pasować. Cholerny pech.

Wyciągnął zza drzwi stół, usiadł na nim, wetknął cztery świece na miejsca, po czym na każdą nasadził mały gumowy kołpak. Następnie przez chwilę przebiegał palcami po iskrowniku. Śmiali się, kiedy siadałem do fortepianu.

Znów zaczął przeszukiwać półki. Tym razem nie mógł znaleźć potrzebnej rzeczy, czyli małego akumulatora. Trzy- czy czteroogniowego. Natrafił na klucze nasadowe, na skrzynkę z wiertłami i koronkami wiertniczymi, na torby z nawozem do użyźniania trawnika i rabat kwiatowych, nigdzie jednak nie dostrzegł akumulatora. Bynajmniej się tym nie zmartwił. Raczej ucieszył. Doznał ulgi. Robiłem, co mogłem, panie kapitanie, ale nie dałem rady. Nie szkodzi, synu. Przedstawię cię do Srebrnej Gwiazdy i do Szkarłatnego Śniegołaza. Jesteś chlubą swojego

pułku. Dziękuję, panie kapitanie. Staralem się bardzo.

Zaczął pogwizdywać „Red River Valley”, coraz szybciej, w miarę jak zbliżał się do końca półki. Tony wydobywały się z jego ust małymi kłębkami białej pary. Okrążył już szopę dokoła, a tego czegoś nie znalazł. Może ktoś to zwędził. Na przykład Watson. Roześmiał się na głos. Stary numer to wynoszenie z miejsca pracy. Parę spinaczy, ze dwie ryzy papieru, nikt nie zauważył braku tego obrusa czy tamtych sztuczków Golden Regal... a co powiesz na ten świetny akumulator do śniegołaza? Tak, może się przydać. Wrzuć go do worka. Przepięstwo inteligenta, moja mała. Każdy ma lepkie ręce. W dzieciństwie nazywaliśmy to pokątnym rabatem.

Wrócił do śniegołaza i wymierzył mu tęgiego kopniaka. No więc z tym sprawa skończona. Pozostaje tylko powiedzieć Wendy: niestety, mała, nic...

W kącie przy drzwiach, zasłonięte przez stołek, stało pudełko z wypisanym na wierzchu skrótem „ŚI”.

Jack spojrzął na nie z uśmiechem zastygającym na wargach. Proszę popatrzeć, panie kapitanie, to konnica. Mimo wszystko pańskie sygnały dymne okazały się skuteczne.

To nieuczciwe.

Do diabła, po prostu nieuczciwe.

Coś — szczęście, los, opatrność — usiłowało mu przyjść z pomocą. Jakies inne, prawdziwe szczęście. I w ostatniej chwili znów dopisało dawne parszywe szczęście Jacka Torrance’a. Zła passa w kartach jeszcze nie minęła.

Szara, ponura fala oburzenia podeszła mu do gardła. Znów zacisnął dłonie w pięści.

(To nieuczciwe, do diabła, nieuczciwe!)

Dlaczego nie spojrzął w inną stronę? Jakąkolwiek! Czemuż nie chwycił go kurcz w szyi, nie zaswędział nos, czemu nie musiał zmrużyć oczu? Jedno takie głupstwo, a nigdy nie zobaczyłby pudełka.

No cóż, wcale go nie zobaczył. I koniec. Doznał halucynacji, tak jak wczoraj pod drzwiami tego pokoju na drugim piętrze albo przy tych cholernych żywopłotach. Chwilowe napięcie, nic więcej. Proszę sobie wyobrazić, zdawało mi się, że tu w tym kącie widzę akumulator do śniegołaza. Teraz nic tam nie ma. Wyczerpanie walką, jak sądzę, panie kapitanie. Przepraszam. Głowa do góry, synu. Prędzej czy później zdarza się to każdemu.

Otworzył drzwi z taką energią, że omal nie wypadły z zawiasów, i wciągnął rakiety do środka. Były oblepione śniegiem, więc je wytrzepał, wzbijając chmurę pyłu z podłogi. Umieścił lewą stopę na lewej rakiecie... i znieruchomiał.

Danny stał na dworze, obok rampy na mleko. Wyglądało na to, że próbuje ulepić bałwana. Bez większego powodzenia; śnieg był zanadto zmrożony i sycki. Lecz Danny się starał; mały opatulony chłopczyk w blasku poranka, nad roziskrzoną śniegową powłoką i pod roziskrzonym niebem. W czapce włożonej tył

na przód, jakby był Carltonem Fiske.

(O czym, na litość boską, myślałeś?)

Odpowiedź nadeszła bez zwłoki.

(O sobie. Myślałem o sobie.)

Raptem przypomniało mu się, jak minionej nocy leżał w łóżku i nagle zaczął rozważać możliwość zamordowania żony.

W tym momencie, na klęczkach w szopie, ujrzał wszystko wyraźnie. Panorama oddziałuje nie tylko na Danny'ego. Na niego również. Słabym ogniwem jest nie Danny, lecz on sam. To on jest delikatny, można go naginać i wykręcać, dopóki coś nie trzaśnie.

(Dopóki olewam i śpię. . . a kiedy to robię, jeśli robię. . .)

Popatrzył w górę na rzędy okien, mimo iż odbijały niemal oślepiający blask słońca. Po raz pierwszy zauważył ich wielkie podobieństwo do oczu. Odbijały światło, własną ciemność zatrzymując w głębi. Nie obserwowały Danny'ego. Obserwowały jego.

W tych kilka sekund pojął wszystko. Z lat dziecińczych, z lekcji katechizmu zapamiętał taki biało-czarny obraz. Zakonnica ustawiła go na sztalugach i nazwała cudem boskim. Uczniowie gapili się na niego i nie widzieli nic prócz płataniny białych i czarnych kresek, pozbawionych sensu i nie układających się w żaden wzór. Wtem jedno z dzieci w trzecim rzędzie, zachłystując się, wykrzyknęło: „To Jezus!”, i ono wróciło do domu z nowiutkim Pismem Świętym i kalendarzem, ponieważ było pierwsze. Pozostali, a wśród nich Jacky Torrance, jeszcze bardziej wpatrywali się w obraz. Zachłystywali się kolejno w podobny sposób, a jakaś mała dziewczynka, bliska ekstazy, wrzasnęła piskliwie: „Widzę Go! Widzę Go!” Ona też dostała Pismo Święte w nagrodę. W końcu wszyscy z wyjątkiem Jacky'ego dopatrzyli się twarzy Jezusa w płataninie czerni i bieli. Więc coraz bardziej wyęźżał wzrok, teraz już załęczniony, jakąś cząstką umysłu podejrzewając cynicznie, że tamci po prostu udają, aby zrobić przyjemność siostrze Beatrycze, po trosze zaś przekonany, że sam tego nie widzi, bo Bóg uznał go za najgorszego grzesznika w klasie. „Nie widzisz, Jacky?” — spytała siostra Beatrycze, jak to ona, smutno i ze słodyczą. Widzę twoje cycki, pomyślał złośliwie, w rozpacz. Zaczął kręcić głową, po czym z udanym podnieceniem powiedział: „Tak, widzę! Jej! Tak, to Jezus!”. Cała klasa śmiała się i biła mu brawo, budząc uczucie triumfu, wstydu i strachu. Później, kiedy dzieci wysypały się z kościelnych podziemi na ulicę, on pozostał w tyle i zapatrzył się w bezsensowną biało-czarną płataninę, której siostra Beatrycze nie zdjęła ze sztalug. Obraz napełniał go wstrętem. Wszyscy zmyślali podobnie jak on, nawet sama siostra. To było wielkie oszustwo. „Psiakrew-cholera-psiakrew”, szeptał pod nosem, a gdy skierował się do wyjścia, kątem oka dojrzał twarz Jezusa, smutną i mądrą. Ze ściśniętym gardłem odwrócił się do tyłu. Nagle wszystko ułożyło się w całość i przyglądał się obrazowi w trwożnym zdumieniu, niezdolny uwierzyć, że to przegapił. Oczywiście, zygzak cienia na stroskanym

czole, cienki nos, współczujące usta. Jezus patrzył na Jacka Torrance'a. Porzucane bez sensu kreski przeobraziły się raptem w wyraźny biało-czarny rysunek twarzy Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Trwożne zdumienie ustąpiło miejsca przerażeniu. Klął przed obrazem Jezusa. Czeką go potępienie. Pójdzie do piekła razem z grzesznikami. Obraz przez cały czas ukazywał twarz Chrystusa. Przez cały czas.

Teraz, kiedy klęczał w słońcu i obserwował syna bawiącego się w cieniu Panoramy, wiedział, że wszystko to jest prawda. Hotel chce Danny'ego, może ich trójkę, ale Danny'ego z pewnością. Żywopłoty istotnie ruszyły z miejsca. W pokoju 217 znajduje się martwa kobieta, może tylko jej duch, na ogół nieszkodliwa, lecz teraz bardzo niebezpieczna. Siłą dziwnych myśli Danny'ego... i jego własnych nakrecona i wprawiona w ruch niczym jakaś złośliwa mechaniczna zabawka. Czy to Watson powiedział mu o kimś, kto kiedyś dostał udaru na boisku do roque'a? Czy też Ullman? Mniejsza z tym. Na trzecim piętrze popełniono morderstwo. Ile było dawnych kłótni, samobójstw, udarów? Ile zabójstw? Czy Grady czyha gdzieś w skrzydle zachodnim ze swoją siekierą i jak tylko Danny go uruchomi, wyjdzie z ukrycia?

Obrzmiały, siny krąg na szyi Danny'ego.

Lśnienie na pół dostrzeganych butelek w pustym barze.

Radio.

Sny.

Album z wycinkami znaleziony w piwnicy.

(Medoc, jesteś tu? Znowu chodziłam nocą podczas snu...)

Poderwał się gwałtownie i wyrzucił na śnieg rakiety. Cały dygotał. Zatrzasnąwszy drzwi, wziął do rąk pudełko z akumulatorem. Wyśliznęło się z drżących palców

(o Chryste, a gdybym go rozwalił)

i z głuchym stukiem przewróciło się na bok. Otworzył karton i wyjął akumulator, nie bacząc na kwas, który mógłby wyciekać, gdyby się stłukła obudowa. Ale nie pękła. Była cała. Z ust Jacka wyrwało się ciche westchnienie. Ostrożnie przeniósł akumulator i ustawił przy silniku śniegołaza. Na jednej z półek znalazł klucz nastawny, więc szybko, bez trudu, podłączył akumulator, jak się okazało, naładowany. Rozległ się trzask elektryczności i zaleciało ozonem, gdy Jack wetknął dodatkową klemę. Następnie cofnął się i nerwowo otarł dłonie o spleśniałą drelichową kurtkę. Proszę bardzo. Śniegołaz powinien działać. Nic nie stoi na przeszkodzie. Nic, chyba to, że należy do Panoramy, a ona nie życzy sobie ich wyjazdu. Bynajmniej. Panorama świetnie się bawi. Może napędzać stracha małemu chłopcu, napuszczać na siebie nawzajem męża i żonę, a jeśli umiejętnie rozegra karty, może skończyć się tak, że będą przemykali po korytarzach niczym urojone cienie z powieści Shirley Jackson, tyle że tam po Domu na Wzgórzu coś chodziło w pojedynkę, a tutaj nie zabrakłoby towarzystwa, o nie, byłoby go w bród. Ale istotnie

nic nie stoi na przeszkodzie uruchomieniu śniegołaza. Chyba że, oczywiście,
(chyba że on nadal nie będzie właściwie chciał wyjechać)
tak, chyba że to.

Stał wpatrzony w Ślizga, a kłęby jego oddechu tworzyły małe zamarzniete pióropusze. Chciał, żeby było tak jak przedtem. Kiedy tu wszedł, nie miał żadnych wątpliwości. Już wtedy wiedział, że decyzja zjechania na dół będzie zła. Wendy bała się jedynie stracha, którego przywołał rozhisteryzowany chłopczyk. Teraz Jack mógł się nagle postawić na jej miejscu. To było tak jak ze sztuką, z jego cholerną sztuką. Nie wiedział już, po czyjej stoi stronie ani jaki obrót przybiorą sprawy. Skoro się raz ujrzy Boga w tej płataninie czerni i bieli, zabawa jest skończona — nigdy nie przestanie się Go widzieć. Inni ludzie mogą się śmiać i mówić, że to nic takiego, że to mnóstwo bezsensownych kresek i oni wołają dobry stary obrazek z książeczki do kolorowania, ale ty zawsze będziesz widział twarz patrzącego na ciebie Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Widziałeś ją w jednym kształcie, kiedy świadomość i nieświadomość stapiały się we wstrząsającym momencie zrozumienia. Zawsze będziesz ją widział. Zostałeś na to skazany.

(Znowu chodziłam nocą podczas snu. . .)

Dobrze było, dopóki nie zobaczył Danny'ego bawiącego się w śniegu. Winę ponosił Danny. Całą winę ponosił Danny. On z tą swoją jasnością czy jak to tam nazwać. To nie była jasność. To było przekleństwo. Gdyby Jack i Wendy mieszkali tu sami, dość przyjemnie mogliby spędzić tę zimę. Bez napięcia i bez bólu.

(Nie chcę wyjechać? Nie mogę?)

Panorama nie chciała ich wyjazdu i Jack też go nie chciał. Nie chciał go nawet Danny. Może teraz Jack stał się częścią hotelu. Może hotel, ten rosły, przeskakujący z tematu na temat Samuel Johnson, wybrał go na swego Boswella. Podobno nowy dozorca pisze? Doskonale, przyjmij go do pracy. Już czas zmienić nasz punkt widzenia. Ale najpierw pozbadźmy się kobiety i smarkacza. Nie chcemy, żeby rozpraszano jego uwagę. Nie chcemy. . .

Stał przy kabinie śniegołaza i znów zaczynał odczuwać ból głowy. Do czego się to sprowadza? Do wyjazdu czy do pozostania? Bardzo proste. Niech nadal będzie proste. Mamy wyjechać czy nie?

Jeśli wyjedziemy, ile czasu upłynie, zanim znajdziesz tę dziurę w Sidewinder? — zapytał jakiś wewnętrzny głos. Ciemną norę z kiepskim kolorowym telewizorem, przed którym nie ogoleni bezrobotni mężczyźni spędzają całe dnie, oglądając mecze. Norę, gdzie w męskiej ubikacji śmierdzi moczem starym jak świat, a w misce klozetowej zawsze pływa rozmiękły niedopałek camela. Gdzie szklanka paskudnego piwa kosztuje trzydzieści centów i zaprawia się je solą, a z szafy grającej dolatują w kółko te same stare melodie country.

Ile czasu? O Chryste, tak strasznie się bał, że niewiele.

— Nic z tego — powiedział bardzo cicho. W tym rzecz. Przypominało to stawianie pasjansa bez jednego asa w talii.

Nagle pochylił się i z przedziału silnika wyszarpnął iskrownik. Poszło mu obrzydliwie łatwo. Przez chwilę patrzył na iskrownik, po czym ruszył w głąb szopy i otworzył tylne drzwi. Nic tu nie przesłaniało widoku gór, pięknego jak na pocztówce w roziskrzanej światłości poranka. Równa połać śniegu rozpościerała się w górę do pierwszych sosen oddalonych mniej więcej o milę. Jack, zamachnąwszy się z całych sił, rzucił iskrownik, który upadł o wiele dalej, niż powinien, wzbijając chmurkę puchu. Lekki wiatr przeniósł drobiny śnieżne w inne miejsca. Rozprosz się, powiadam. Nic nie widać. Wszystko skończone. Rozprosz się.

Ogarnął go spokój.

Długo stał na progu, wdychając świeże górskie powietrze, po czym porządnie zamknął te drzwi i wyszedł drugimi, aby powiedzieć Wendy, że nie jada. Po drodze zatrzymał się i pobawił z Dannym w śnieżki.

Rozdział trzydziesty czwarty

Żywopłoty

Był dzień 29 listopada, przed trzema dniami obchodzili Święto Dziękczynienia. Ostatni tydzień upłynął spokojnie, a takiego obiadu jak świąteczny nigdy jeszcze we troje nie jedli. Wendy doskonale przyrządziła indyka i choć mało nie pękli, ledwie go napoczęli. Jack stękał, że będzie go podawała do końca zimy — w białym sosie, na chlebie, z kluskami, a resztki w potrawce.

Nie, oznajmiła Wendy z uśmiechem. Tylko do Gwiazdki. Potem będziemy jedli kapłona.

Jack i Danny jęknęli równocześnie.

Sińce na szyi Danny'ego znikły, a wraz z nimi rozwiały się ich obawy. W świąteczne popołudnie Jack pracował nad sztuką, niemal już ukończoną, Wendy zaś wozila Danny'ego na sankach.

— Wciąż się boisz, stary? — spytała, bo nie umiała inaczej sformułować pytania.

— Tak — odrzekł po prostu. — Ale teraz trzymam się miejsc bezpiecznych.

— Tata mówi, że prędzej czy później strażnicy leśni zaczną się zastanawiać, dlaczego nie używamy krótkofalówki. Przyjdą sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Może wtedy zjedziemy na dół. Ty i ja. I pozwolimy tacie pracować do końca zimy. Chce tego, i nie bez racji. W pewnym sensie, stary... wiem, że trudno ci to zrozumieć... jesteśmy przyparci do muru.

— Tak — odpowiedział wymijająco.

Tego roziskrzonego popołudnia oni dwoje byli na górze i Danny wiedział, że się kochali. Teraz zapadli w drzemkę. Wiedział, że są szczęśliwi. Matka jeszcze troszkę się boi, ojciec jest dziwny. Czuje, że postąpił w sposób bezwzględny, a zarazem słuszny. Danny nie rozumiał jednak, o co chodzi. Ojciec otaczał to głęboką tajemnicą, nawet we własnej głowie. Czy można, zastanawiał się Danny, cieszyć się swoim postępkem, a jednocześnie tak się go wstydzić, że się próbuje o nim nie myśleć? Pytanie budziło niepokój. Coś takiego wydawało się niemożliwe... u normalnego człowieka. Danny z całych sił próbował wybadać ojca, lecz ukazał

mu się tylko niewyraźny obraz czegoś podobnego do ośmiornicy, co wirowym ruchem wzbijało się w bezlitośnie błękitne niebo. I dwukrotnie, skoncentrowawszy się na tyle, aby wywołać ten obraz, dostrzegał nagle tatę wpatrzonego w niego surowo, groźnie, jakby tata wiedział, co Danny robi.

Teraz Danny był w holu, szykował się do wyjścia. Często wyruszał na dwór z sankami albo z raketami śnieżnymi. Lubił przebywać poza hotelem. Pod gołym niebem, na słońcu, ciężar jak gdyby spadał mu z ramion.

Przesunął krzesło, włożył na nie, wyjął z szafy kurtkę z kapturem i ocieplane spodnie, po czym usiadł, żeby je włożyć. Buty były w schowku, naciągnął je i, wysuwając koniuszek języka, z namaszczeniem przewłócił skórzane sznurowadła, po czym starannie, po babsku je zawiązał. Rękawice i maska narciarska dopełniły stroju.

Przez kuchnię dotarł do tylnych drzwi, ale przystanął. Znudziła mu się zabawa za hotelem, o tej porze zresztą padałby tu cień Panoramy. A Danny nie lubił przebywać choćby w jej cieniu. Zdecydował się zejść w raketach na plac zabaw. Choć Dick Hallorann kazał mu się trzymać z dala od żywopłotów, niezbyt się przejmował myślą o zwierzakach. Zniknęły teraz pod zaspami i jedynie jakiś niewyraźny garb wskazywał, gdzie znajduje się głowa królika czy lwi ogon. Sterczące tak spod śniegu ogony sprawiały raczej absurdalne niż groźne wrażenie.

Danny otworzył drzwi kuchenne i wziął rakiety z rampy na mleko. Pięć minut później zawiązywał je na nogach na frontowej werandzie. Tata powiedział, że on (Danny) ma wszystko, czego potrzeba do chodzenia w raketach — leniwy, posuwisty krok, umiejętność skręcania nogi w kostce tak, aby strząsać puch z plecionki, zanim znowu postawi się but — i musi tylko wyrobić sobie mięśnie ud, łydek i ścięgna pięt. Danny'emu najszybciej męczyły się nogi w kostkach. Posługiwanie się raketami było niemal tak męczące dla kostek jak jazda na łyżwach, bo należało wciąż otrzepywać plecionkę. Mniej więcej co pięć minut musiał wypoczywać, stając w rozkroku na płasko ułożonych raketach.

Nie potrzebował jednak robić tego w drodze na plac zabaw, ponieważ cały czas biegła z górki. W dziesięć minut po przelezeniu przez olbrzymią zaspę na frontowej werandzie Panoramy dotykał już rękawiczką zjeżdżalni. Nie był nawet zadyszany.

Pokryty grubą warstwą śniegu plac zabaw sprawiał o wiele miłsze wrażenie niż na jesieni. Przypominał rzeźbę z krainy czarów. Łańcuchy huśtawek pozamażały w dziwnych pozycjach, a krzeselka huśtawek dla większych dzieci dotykały śniegowej powłoki. Drabinki tworzyły lodową jaskinię, strzeżoną przez zęby związających sopli. Tylko kominy miniaturowej Panoramy sterczały spod śniegu

(chciałbym, żeby tę drugą przysypało tak samo, ale bez nas w środku)

i w dwóch miejscach, niczym eskimoskie igloo, wybrzuszały się betonowe pierścienie. Danny powędrował w ich stronę, przykucnął i zaczął kopać. Dość szybko odkrył ciemną gardziel i wśliznął się do zimnego tunelu. Wyobrażał so-

bie, że jest Patrykiem McGoohanem, tajnym agentem (powtarzała ten program dwukrotnie telewizja burlingtońska i tata za każdym razem go oglądał; wolał zostawać w domu i patrzeć na „Tajnego agenta” albo na „Mścicieli” niż iść na przyjęcie, a Danny zawsze dotrzymywał mu towarzystwa), uciekającym przed agentami KGB w górach Szwajcarii. W tej okolicy zagrażały lawiny, Slobbo, osławiony agent KGB, zabił swoją dziewczynę zatrutą strzałą, lecz gdzieś w pobliżu znajdowała się rosyjska maszyna antygrawitacyjna. Może przy końcu tego właśnie betonowego tunelu. Wyciągnął automat i siedł z szeroko, czujnie rozwartymi oczami, wydmuchując kłęby pary.

Z drugiego końca pierścień zablokowany był śniegiem. Danny próbował przekopać sobie drogę i zdziwiony (a także lekko zaniepokojony) stwierdził, że śnieg jest twardy, niemal jak lód, zmrożony, ubity pod ciężarem warstw wierzchnich.

Skończyła się zabawa w udawanie i raptem dotarło do jego świadomości, że w tym ciasnym betonowym pierścieniu czuje się uwięziony i strasznie zdenerwowany. Słyszał własny oddech, wilgotny, przyśpieszony, głuchy. Przebywał pod śniegiem, a wygrzebaną przez niego dziurą prawie nie przesączało się tutaj światło. Nagle z całego serca zapragnął wydostać się na słońce, przypomniał sobie, że rodzice śpią i nie wiedzą, gdzie go szukać, że gdyby śnieg się obsunął, utknąłby w potrzasku, a Panorama nie darzy go sympatią.

Nie bez trudu zawrócił i popęłzył betonowym pierścieniem; z tyłu dolatywał go drewniany stukot, z jakim uderzały o siebie rakiety, dłońmi rozgarniał martwe, szeleszczące, jesienne liście osik. Ledwie dotarł do końca tunelu i zimnej smugi światła sączącego się z góry, śnieg rzeczywiście się obsunął, a choć posypało się go niewiele, wystarczyło, aby przyprószyć Danny’emu twarz, zatkać otwór, przez który się przecisnął, i pozostawić chłopca w ciemnościach.

Przez chwilę pod wpływem skrajnej paniki nie umiał zmusić się do myślenia. Potem, jakby z oddali, dobiegł go głos taty mówiącego, że ma nigdy nie bawić się na stovingtonskim wysypisku śmieci, bo czasami jacyś durnie wywożą tam stare lodówki i nie wyjmują drzwiczek, więc gdyby wszedł do środka, a drzwiczki przypadkiem by się zatrzasnęły, w żaden sposób nie mógłby się wydostać. Umarłby w ciemnościach.

(Nie chciałbyś, żeby ci się przytrafiło coś takiego, co, stary?)

(Nie, tato.)

A jednak się przytrafiło, kołatała mu w głowie szalona myśl, przytrafiło się naprawdę, jest w ciemnościach, zamknięty, i zimno tu jak w lodówce. I . . .

Przerażenie zapało mu dech, ścięło krew w żyłach. Tak. Tak. Coś tu było, coś straszego, co Panorama zachowała na taką właśnie okazję. Może wielki pajak zagrzebany pod tymi zeschniętymi liśćmi albo szczur. . . albo może zwłoki jakiegoś małego dziecka zmarłego tutaj, na placu zabaw. Czy ktoś rzeczywiście tu umarł? Tak, chyba tak. Myślał o kobiecie w wannie. O krwi i mózgu na ścianie apartamentu prezydenckiego. O małym dziecku, które spadło z drabiny czy huśtawki

i z rozłupaną czaszką czołga się za nim po ciemku, uśmiechnięte, w poszukiwaniu ostatniego towarzysza na tym swoim wiecznym placu zabaw. Za chwilę usłyszy, jak ono się zbliża.

W drugim końcu betonowego pierścienia cicho zaszeleściły suche liście, jakby coś ścigało go na czworakach. Lada moment zimna dłoń zaciśnie się na jego kostce. . .

Na tę myśl ustąpił paraliż. Danny zaczął rozkopywać usypisko w wylocie tunelu i niczym pies odgrzebujący kość wyrzucał między nogami puszyste kłęby śniegu. Z góry przesączało się niebieskie światło, ku któremu wznosił się jak nurerek wypływający z głębin. Start sobie skórę na palcach o krawędź pierścienia. Jedna rakieta zahaczyła o drugą. Śnieg przedostał się pod maskę narciarską i za kołnierz kurtki, Danny kopał i odgarniał zwały, a śnieg jakby próbował go zatrzymać, wessać z powrotem, wciągnąć w betonowy krąg, gdzie znajdowało się coś niewidocznego, szeleszczącego liśćmi, i tam uwięzić. Na zawsze.

Wtem wydostał się na powierzchnię. Zwrócony do słońca, pełził w puchu, oddalał się od na wpół zaszypanego pierścienia, sapiąc chrapliwie, z twarzą niemal komicznie białą, bo przyprószoną śniegiem — żywą maską przerażenia. Pokuśtykał do drabinek, gdzie usiadł, żeby nabrać tchu i poprawić rakiety. Prostował je i zaciągał rzemyki ze wzrokiem utkwionym w otwór betonowego kręgu. Czekał, bo chciał się przekonać, czy to coś wyjdzie na zewnątrz. Ponieważ nic nie wyszło, po trzech, czterech minutach zaczął oddychać trochę wolniej. To coś nie cierpiało światła słonecznego. Może, trzymane tam w środku, wychodziło tylko po ciemku. . . albo kiedy oba końce walcowatego więzienia zatykał śnieg.

(Ale teraz jestem bezpieczny, jestem bezpieczny, po prostu wrócę do domu, bo teraz jestem. . .)

Coś miękko za nim pacnęło.

Odwrócił się w stronę hotelu i popatrzył. Ale jeszcze zanim popatrzył,

(Czy widzisz Indian na tym obrazku?)

już wiedział, co zobaczy, bo wiedział, co tak miękko pacnęło. Z takim odgłosem spada duży płat śniegu, kiedy ześliznie się z dachu hotelowego na ziemię.

(Czy widzisz?. . .)

Tak. Widział. Śnieg spadł z wystrzyżonego w żywopłocie psa. Kiedy Danny szedł w tę stronę, pies tworzył nieszkodliwy wzgórek przy placu zabaw. Teraz sterczał odsłonięty, absurdalnie zielony na tle oślepiającej bieli. Siedział na tylnych łapach, jakby prosił o cukierek czy resztki jedzenia.

Ale tym razem Danny nie zgłupieje, nie straci panowania nad sobą. Bo przynajmniej nie tkwi uwięziony w jakiejś wstrętnej ciemnej norze. Przebywa na słońcu. A to tylko pies. Na dworze jest dość ciepło, pomyślał z nadzieją. Może promienie słoneczne nadtopiły na psisku trochę śniegu, a reszta sama się zsunęła. Może tak właśnie się stało.

(Nie podchodź tam. . . trzymaj się z daleka.)

Wiązania raket były naciągnięte najmocniej, jak potrafił. Wstał i obejrzał się na betonowy pierścień, niemal zupełnie zanurzony w śniegu, a na widok końca, którym się wydostał, zamarło w nim serce. Okrągła ciemna plama, załamane cienia wskazywało na wykopany przez niego otwór. W tej chwili, choć oślepiiony blaskiem, coś tam chyba dostrzegł. Coś, co się poruszało. Rękę. Machającą rączkę strasznie nieszczęśliwego dziecka, rączkę machającą błagalnie, tonącą.

(Ratuj mnie, proszę, ratuj, jeśli nie możesz mnie uratować, to przynajmniej chodź się ze mną bawić... i zostań na zawsze, na zawsze...)

— Nie — wyszeptał Danny ochryple. To słowo padło suche, bez upiększeń, z ust, w których nie pozostała ani kropla wilgoci. Czuł, że w głowie mu się mąci, że nie potrafi się skupić, podobnie jak wtedy, kiedy kobieta w pokoju... nie, lepiej o tym nie myśleć.

Uczepił się rzeczywistości i trzymał z całej siły. Musi się stąd wydostać. Skoncentrować na tym. Być opanowany. Być jak tajny agent. Czy Patryk McGoochan mażaby się i siusiał w majtki jak dzidzius?

A tata?

To go trochę uspokoiło.

Za jego plecami znów miękko pacnął opadający śnieg. Danny się obejrzał; teraz spod śniegu wystawał łeb jednego z lwów. Lew warczał na niego i znajdował się bliżej, niż powinien, prawie przy furtce placu zabaw.

W Dannym zaczynało wzbierać przerażenie, ale je stłumił. Jest tajnym agentem, więc na pewno ucieknie.

Ruszył z powrotem tą samą okrężną drogą co jego ojciec w dniu, w którym spadł śnieg. Koncentrował się na właściwym operowaniu raketami. Stawiaj stopy powoli, płasko. Nie podnoś ich za wysoko, bo stracisz równowagę. Wykręcaj nogi w kostce i strzepuj śnieg z plecionki. Tempo wydawało się tak powolne. Dotarł na róg placu zabaw. Zaspasy spiętrzyły się tu wysoko, toteż mógł przejść górą. Przełożył już jedną nogę przez płot i o mało nie upadł, bo drugą raketą zahaczył o słupek. Zachwiał się, zamachał ramionami, pomny na to, jak trudno wstać, kiedy się upadnie.

Na prawo znów z cichym pacnięciem opadły płatki śniegu. Danny odwrócił się i w odległości jakichś sześćdziesięciu kroków zobaczył dwa pozostałe lwy: uwolnione już od okrywającej je pierzyny, stały obok siebie. Zielone szpary oczu skierowały w jego stronę. Pies wykręcił łeb.

(To się zdarza tylko wtedy, kiedy nie patrzysz.)

O! Hej...

Rakiety się skrzyżowały i runął twarzą w puch, na próżno wymachując rękami. Znowu nasypało mu się śniegu do kaptura, za kołnierz i do butów. Danny wygrzebał się z trudem i z dzikim łomotem serca spróbował stanąć na raketach, (tajny agencie, pamiętaj, że nim jesteś)

ale upadł do tyłu. Przez chwilę leżał wpatrzony w niebo, myśląc, że prościej byłoby dać za wygraną.

Potem, na wspomnienie tego czegoś w betonowym tunelu, postanowił się podnieść. Dźwignął się i spojrzał na żywoplot. Trzy lwy zbiły się teraz w gromadkę o niecałe czterdzieści stóp od niego. Pies pobiegł w lewo, jakby chciał odciąć Danny'emu odwrót. Śnieg opadł ze zwierząt i tworzył jedynie puszyste krezy wokół ich szyj i pysków. Wszystkie wpatrywały się w chłopca.

Danny oddychał bardzo szybko, a przerażenie niczym szczur wwierało się i wgrzyzało w jego mózg. Zmagał się ze strachem i z raketami.

(Głos taty: Nie, nie walcz z nimi, stary. Chodź na nich, jakby to były twoje własne stopy. Chodź razem z nimi.)

(Tak, tato.)

Znów ruszył, próbując odnaleźć ten swobodny rytm, który ćwiczył z tatą. Rytm stopniowo wracał, lecz wraz z rytmem dotarło do jego świadomości, jak bardzo jest zmęczony, jak ogromnie wyczerpany strachem. Ściągną w udach, łydkach i kostkach piekły go i drżały. Przed sobą widział szyderczo oddaloną Panoramę, która zdawała się patrzeć na niego licznymi oknami, jakby to były w miarę ciekawe zawody.

Obejrzał się do tyłu i na chwilę szybki oddech uwiązał mu w gardle, po czym zaczął się wydobywać jeszcze szybciej. Najbliższy lew, oddalony zaledwie o dwadzieścia stóp, pruł śnieg niczym pies wodę w sadzawce. Pozostałe dwa biegly z lewej i prawej strony, nadając mu tempo. Przypominały patrol wojskowy, a pies, wciąż na lewo od nich, zwiadowcę. Najbliższy lew miał łeb zwieszony. Grzbiet potężnie uwypuklał mu się nad szyją. Lew zadarł ogon, jak gdyby przed sekundą, zanim Danny się obejrzał, machał nim w tył i w przód, w tył i w przód. Danny'emu przypominał olbrzymiego domowego kota, który świetnie się bawi myszą, zanim ją zabije.

(... padają...)

Nie, gdyby upadł, już by nie żył. Nie pozwoliłyby mu wstać. Rzuciłyby się na niego z pazurami. Zakręcił ramionami szaleńczego młynka i dał susa do przodu, a własny środek ciężkości tańczył mu tuż przed nosem. Dogonił go i spiesznie ruszył dalej, zerkając przez ramię. Powietrze świszcząło mu w zaschniętym gardle i piekło jak rozgrzane szkło.

Świat zawęził się do roziskrzonego śniegu, zielonych żywoplotów i szmeru rakiet. I czegoś jeszcze. Cichego, przytłumionego człapania. Danny spróbował iść prędzej, lecz nie mógł. Przecinał teraz zasypany podjazd — mały chłopiec z twarzą prawie niewidoczną w cieniu kaptura kurtki. Popołudnie było ciche i słoneczne.

Kiedy znów się obejrzał, lew na szpicy znajdował się zaledwie o pięć stóp od niego. Uśmiechnął się. Paszczę miał otwartą, pośladki napięte jak sprężyny zegara. Za nim i za jego towarzyszami Danny widział królika, który z zieloniutkim

łbem sterczącym ze śniegu, jakby obróciwszy swój straszny, tępy pysk, obserwował zakończenie podchodów.

Teraz, na frontowym trawniku, między kolistym podjazdem a werandą, Danny przestał panować nad strachem i pobiegł niezdarnie, bojąc się już oglądać za siebie, coraz bardziej nachylony do przodu, z wyciągniętymi ramionami, niczym ślepiec, który próbuje wymacać przeszkody. Kaptur zsunął mu się z głowy i wyrzała ziemista twarz, z ceglastymi wypiekami na policzkach, z trwożnie wybałuszonymi oczami. Weranda była bardzo blisko.

Wtem śnieg chrupnął donośnie za jego plecami i coś skoczyło.

Danny runął na stopnie werandy z bezgłośnym wrzaskiem i zaczął się gramolić w górę na czworakach, a za nim klekotały poprzekrzywiane rakiety.

Powietrze rozdarł świst, nagły ból przeszył mu nogę. Trzask materiału. I coś jeszcze, o czym chyba — na pewno — myślał.

Donośny gniewny ryk.

Zapach krwi i zimozielonych krzewów.

Upadł jak długi na werandę i załkał ochryple, czując w ustach ostry, metaliczny smak miedzi. Serce łomotało mu w piersi. Wąska strużka krwi ciekła z nosa.

Nie miał pojęcia, ile czasu tam przeleżał, zanim drzwi do holu otwarty się gwałtownie i wypadł z nich Jack, w samych tylko dżinsach i rannych pantoflach. A za nim Wendy.

— Danny! — wrzasnęła.

— Stary! Na litość boską, Danny! Co ci jest? Co się stało? Tata pomagał mu wstać. Danny miał spodnie rozdarte pod kolanem, wełnianą narciarską skarpetę także, a łydkę lekko zadrapaną... jakby próbował się przedrzeć przez gęsty żywopłot i zahaczył o gałąź.

Obejrzał się przez ramię. W oddali, za trawnikiem z dołkami do gry w golfa, majaczyło kilka niewyraźnych, ośnieżonych pagórków. Zwierzęta z żywopłotu. Między nimi a placem zabaw. Między nimi a drogą.

Nogi się pod nim ugięły. Jack go podtrzymał. Danny wybuchnął płaczem.

Rozdział trzydziesty piąty

Hol

Opowiedział im wszystko prócz tego, co mu się przydarzyło, kiedy śnieg zablokował wylot betonowego pierścienia. Nie potrafił się zmusić do mówienia o tym. I nie znał odpowiednich słów, którymi mógłby wyrazić to straszne, paraliżujące przerażenie, jakie go ogarnęło, kiedy tam, w zimnym mroku, ukradkiem zaczęły szeleścić suche osikowe liście. Opowiedział o cichych pacnięciach spadającego płatami śniegu. O tym, jak lew dźwigał łeb i kłęby ze śniegu, aby go ścigać. Opisał nawet królika, ciekawie obracającego pod koniec głowę.

Byli we trójkę w holu. Jack rozpałił wielki ogień na kominku. Danny, opatulony kocem, ulokował się na kanapce, gdzie kiedyś, milion lat wcześniej, trzy zakonnice, śmiejąc się jak małe dziewczynki, czekały, aż zmaleje kolejka w recepcji. Popijał z kubka gorącą zupę z kluskami. Wendy siedziała obok i głaskała go po włosach. Jack usadowił się na podłodze i w miarę jak Danny mówił, jego twarz wydawała się coraz bardziej nieruchoma i skupiona. Dwukrotnie wyjął z tylnej kieszeni chustkę, którą otarł spierzchnięte wargi.

— Potem mnie goniły — zakończył Danny. Jack podszedł do okna i stanął zwrócony do nich plecami. Danny spojrzął na mamę. — Goniły mnie aż do werandy. — Starał się panować nad głosem, bo jeśli nie straci opanowania, może mu uwierzą. Pan Stenger przestał nad sobą panować. Zaczął płakać i nie mógł się uspokoić, więc przyszli po niego mężczyźni w białych kitlach, bo jeśli ktoś nie przestaje płakać, oznacza to, że dostał kręćka, i nie wiadomo, kiedy wróci do domu. Tego nikt nie wie.

Kurtka, spodnie i oblepione śniegiem rakiety Danny'ego leżały na dywaniku za dużymi dwuskrzydłowymi drzwiami.

(Nie będę płakać, nie pozwolę sobie na płacz.) Sądził, że potrafi nie płakać, lecz nie umiał pohamować drżenia. Patrzył w ogień i czekał, aż tata się odezwie. Wysokie żółte płomienie tańczyły na tle ciemnych kamieni paleniska. Sęk sosnowy wystrzelił z hukiem, iskry pognały do komina.

— Chodź tu, Danny. — Jack odwrócił się z twarzą nadal ściągniętą, trupią. Danny wolałby na nią nie patrzeć.

— Jack...

— Chcę tylko, żeby na chwilę tu przyszedł.

Danny zsunął się z kanapy i stanął przy tacie.

— Grzeczny chłopiec. No, i co widzisz?

Danny wiedział, co zobaczy, jeszcze zanim się zbliżył do okna. Poniżej terenu ich zwykłych spacerów, poznaczonego śladami butów, sanek i rakiet hotelowe trawniki, skryte pod warstwą śniegu, opadały ku żywopłotom i położonemu za nimi placowi zabaw. Gładką białą powłokę szpeciły dwa ślady, jeden biegnący prosto z werandy na plac, drugi wiodący z powrotem długą krętą linią.

— Moje ślady, tato, nic więcej. Ale...

— A co z żywopłotami?

Danny'emu zadrżały wargi. Zaraz się rozplacze. Co będzie, jeśli nie zdoła przestać?

(nie będę płakać, nie będę płakać, nie, nie, nie będę)

— Schowały się pod śniegiem — szepnął. — Ale, tato...

— Co? Nie dosłyszałem?

— Jack, ty go przesłuchujesz! Nie widzisz, że jest zdenerwowany, że...

— Zamknij się! No więc, Danny?

— Podrapały mnie, tato. Moja noga..

— Musiałeś się skaleczyć o śnieżną skorupę.

Rozdzieliła ich Wendy, blada i zagniewana.

— Do czego usiłujesz go zmusić? Żeby się przyznał do zabójstwa? Co się z tobą dzieje?

Oczy Jacka jak gdyby odzyskiwały normalny wyraz.

— Usiłuję mu pomóc w dostrzeżeniu różnicy między czymś rzeczywistym a przywidzeniem, to wszystko. — Przykucnął obok Danny'ego, tak że ich oczy znalazły się na równym poziomie, i mocno go przytulił. — To nie zdarzyło się naprawdę, Danny. Zgoda? To było jak w jednym z tych twoich transów. I tyle.

— Tato?

— Co, Dan?

— Nie skaleczyłem się o skorupę. Żadnej skorupy nie ma. Nie lepi się nawet na tyle, żeby robić kule. Pamiętasz, próbowaliśmy się bawić w śnieżki i nie mogliśmy.

Czuł, jak przytulony do niego ojciec sztywnieje.

— Więc o stopień werandy.

Danny się odsunął. Ni stąd, ni zowąd pojawił. Doznał nagiego olśnienia, jak to się czasem zdarzało, na przykład z tą kobietą, która chciała wskoczyć w spodnie siwego mężczyzny. Wpatrywał się w ojca, coraz szerzej otwierając oczy.

— Wiesz, że mówię prawdę — szepnął zaskoczony.

— Danny. . . — Rysy Jacka się zaostrzyły.

— Wiesz, bo widziałeś. . .

Jack otwartą dłonią uderzył Danny'ego w twarz; towarzyszył temu odgłos głuchy, bynajmniej nie dramatyczny. Główka chłopca odskoczyła do tyłu, na policzku jak piętno czerwieniał ślad ręki.

Wendy jęknęła przeciągle.

Na sekundę ucichli wszyscy troje, po czym Jack chwycił syna i powiedział:

— Przepraszam, Danny. Nic ci nie jest, stary?

— Uderzyłeś go, ty draniu! — krzyknęła Wendy. — Ty wstrętny draniu!

Złapała Danny'ego za drugie ramię i przez chwilę wydzielali go sobie.

— Och, nie ciągnijcie mnie, proszę! — wrzasnął głosem tak udęczonym, że go puścili.

Musiał się rozpląkać i ze szlochem upadł na podłogę między kanapą a oknem, rodzice zaś patrzyli na niego bezradnie, jak dzieci na zabawkę, którą połamały, bijąc się o nią. W kominku kolejny sęk eksplodował niczym granat; wszyscy podskoczyli na ten odgłos.

Wendy dała mu dziecienną aspirynę i Jack bez protestów z jego strony ułożył go w łóżeczku. Danny zasnął od razu z kciukiem w buzi.

— To mi się nie podoba — powiedziała Wendy. — Bo oznacza nawrót choroby.

Jack milczał. Patrzyła na niego łagodnie, bez złości, ale bez uśmiechu.

— Mam cię przeprosić za to, że nazwałam cię draniem? Doskonale. Przepraszam. Bardzo mi przykro. Mimo to nie powinieneś być go uderzyć.

— Wiem — mruknął. — Wiem o tym. Nie mam pojęcia, co mnie napadło.

— Obiecałeś już nigdy tego nie robić.

Rzucił jej wściekłe spojrzenie, po czym wściekłość z niego uszła. Nagle, pełna litości i przerażenia, zobaczyła, jak Jack będzie wyglądał na stare lata. Nigdy dotąd tak nie wyglądał.

(?jak?)

Jak człowiek przegrany, odpowiedziała sama sobie. Robi wrażenie przegranego.

— Zawsze sądziłem, że potrafię dotrzymywać obietnic.

Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Dobrze, sprawa skończona. A kiedy zajrzy tu strażnik, powiemy, że chcemy we trójkę zjechać na dół. Zgoda?

— Zgoda. — Przynajmniej w tej chwili Jack mówił serio. Tak jak zawsze mówił serio nazajutrz po pijatyce, kiedy lustro w łazience ukazywało mu bladą, zmizerowaną twarz. Skończę z tym, skończę zdecydowanie. Po rankach przychodziły jednak popołudnia, po południu zaś czuł się nieco lepiej. A potem zapadał

wieczór. Jak stwierdził pewien wielki myśliciel dwudziestego wieku, wieczór musi zapaść.

Przyląpał się na tym, że chce, aby Wendy zapytała go o żywopłoty, o to, co miał na myśli Danny, mówiąc: „Wiesz, bo widziałeś”. Gdyby to zrobiła, powiedziałaby jej o wszystkim. O wszystkim. O żywopłotach, o kobiecie w pokoju, nawet o szlauchu, który jakby się przemieścił. Ale na czym się kończą wyznania? Czy mógł jej powiedzieć, że wyrzucił iskrownik, że gdyby tego nie zrobił, mogliby już być w Sidewinder?

Ona spytała jednak:

— Napijesz się herbaty?

— Tak. Filiżanka herbaty dobrze mi zrobi.

Wendy przystanęła w drzwiach i podrapała się w rękę przez sweter.

— Jestem tak samo winna jak ty — oświadczyła. — Bo cóż robiliśmy, kiedy on miał ten sen... czy co to tam było?

— Wendy...

— Spaliśmy. Spaliśmy jak para nastolatków, które zabawiały się w łóżku.

— Daj spokój — powiedział. — Nie ma sprawy.

— Nie. — Wendy przesłała mu dziwny, niespokojny uśmiech. — Sprawa jest. Poszła zaparzyć herbatę i zostawiła go na straży ich syna.

Rozdział trzydziesty szósty

Winda

Jack przecknął się z lekkiego, nieprzyjemnego snu, w którym olbrzymie, niewyraźne sylwetki gnały go po śnieżnych, bezkresnych połaciach ku czemuś, co wziął zrazu za kolejny sen: ku rozbrzmiałej nagle w ciemnościach mechanicznej kakofonii — połączeniu brzęków, szczęków, buczenia, trzeszczenia, klekotów i zgrzytów.

Po chwili Wendy też usiadła na łóżku i już wiedział, że to nie sen.

— Co to takiego? — Ręką jak z zimnego marmuru chwyciła go za przegub. Pohamował pragnienie, aby strząsnąć jej dłoń — skądże, u diabła, ma wiedzieć? Fosforyzujący budzik na jego nocnym stoliku wskazywał za pięć dwunastą.

Znowu buczenie. Głośne i monotonne, bardzo nieznacznie zróżnicowane. A potem szczęk, kiedy ustało. Trzask i grzechot. Łomotnięcie. Znowu buczenie.

To była winda.

Danny właśnie siadał.

— Tato? Tato? — Głos miał senny, wystraszony.

— Tutaj, stary — powiedział Jack. — Chodź tu, wskakuj. Mama też nie śpi.

Zaszeleściła pościel, gdy Danny wchodził do łóżka i lokował się między rodzicami.

— To winda — szepnął.

— Racja — przytaknął Jack. — Tylko winda.

— Co rozumiesz przez „tylko”? — zażądała wyjaśnienia Wendy. W jej pytaniu brzmiała ostra nuta hysterii. — Jest środek nocy. Kto używa windy?

Buuuuuu. Brzęk, szczęk. Teraz nad nimi. Klekot odsuwanej kraty odbijający się echem, trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Potem znowu buczenie silnika i nucenie lin.

Danny zakwilił.

Jack opuścił nogi na podłogę.

— Pewno krótkie śpięcie. Pójdę sprawdzić.

— Ani się waż wychodzić z tego pokoju!

— Nie bądź głupia — odrzekł, narzucając szlafrok. — To mój obowiązek.
Po chwili i ona wstała, ciągnąc za sobą Danny'ego.

— My też pójdziemy.

— Wendy...

— Dlaczego nie? — zapytał smutno Danny. — Dlaczego nie, tato?

Zamiast odpowiedzi Jack odwrócił od nich złą, skupioną twarz. Przy drzwiach zawiązał szlafrok i wyszedł w mrok korytarza.

Wendy trochę się zawahała i właściwie to Danny ruszył przodem. Dogoniła go prędko.

Jack nie pofatygował się zapalić światła. Ona namacała kontakt i w korytarzyku prowadzącym do głównego korytarza rozbłysły cztery równomiernie rozmieszczone górne lampy. Jack już skręcał na rogu. Tym razem to Danny odnalazł kontakt i pstryknął nim trzy razy. Koło schodów i windy zrobiło się jasno.

Jack stał w poczekalni, gdzie pod ścianami umieszczono ławki i duże popielniczki, znieruchomiały na wprost zamkniętych drzwi windy. W splewiastym kraśnym szlafroku i brązowych skórzanych rannych pantoflach z przydeptanymi piętami, z włosami w kosmykach i strąkach, przypominał Wendy absurdalnego współczesnego Hamleta, osobnika niezdecydowanego, który pod naporem tragedii staje się tak bezwolny, że nie potrafi jej odwrócić czy jakoś przemienić.

(Jezu, człowieku, porzuć te szalone myśli!)

Danny boleśnie ścisnął ją za rękę. Obserwował matkę bacznie, z wyrazem napięcia i niepokoju. Zrozumiała, że podąża za jej myślami. Nie sposób było stwierdzić, jak dużo czy też jak mało z nich rozumie, lecz mimo to się zarumieniała, jakby przyłapaną na masturbacji.

— Chodź — powiedziała i ruszyli w stronę Jacka.

Tutaj buczenie, szczęki i łoskoty rozlegały się głośniejsz, chaotycznie, wywołując paraliż i przerażenie. Jack wpatrywał się w zamknięte drzwi z gorączkowym skupieniem. Wendy wydało się, że przez romboidalną szybę widzi leciutko pobrzękujące liny. Winda ze szczękiem zatrzymała się na parterze. Dobiegł ich głuchy łoskot otwieranych drzwi. I...

(bal)

Dlaczego pomyślała o balu? To słowo ot, tak sobie wpadło jej do głowy. Panoramę zalegała absolutna, głęboka cisza, jeśli nie liczyć niesamowitych odgłosów płynących w górę szybem windy.

(bal musiał być udany)

(???co za bal???)

Przez krótki moment oglądała oczami duszy obraz tak rzeczywisty, że wydawał się wspomnieniem... nie jakimś zwyczajnym, ale jednym z tych, które się ceni jak skarb, zachowuje na bardzo specjalne okazje i o których mówi się z rzadka. Światła... setki, może tysiące światła. Światła i kolory, strzelanie korków od

szampana, orkiestra złożona z czterdziestu instrumentów gra „In the Mood” Glen-
na Millera. Ale Glenn Miller spadł ze swoim bombowcem, zanim się urodziła,
więc jak mogłaby go pamiętać?

Spojrzała na Danny’ego, którzy przekrzywił głowę, jakby nasłuchując niedo-
słyszalnych dla niej odgłosów. Był bardzo blady.

Łup.

Na dole zasunęły się drzwi. Winda ruszyła w górę z jęklwym buczeniem.
Przez romboidalne okienko Wendy dojrzała najpierw obudowę silnika na dachu
kabiny, a potem, przez kolejne romboidalne otwory w mosiężnej kratce, jej wnę-
trze. Ciepły żółty blask pod sufitem. Winda była pusta. Pusta. Pusta, ale

(wieczorem tamtego dnia musieli się tłoczyć w kabinie dziesiątkami, musieli
ją wypełniać o wiele szczelniej, niż dopuszczają przepisy bezpieczeństwa, natu-
ralnie jednak winda była wtedy nowa, a oni wszyscy mieli na twarzach maski)

(???)jakie maski???)

Kabina zatrzymała się wyżej, na trzecim piętrze. Wendy popatrzyła na Dan-
ny’ego. Zobaczyła tylko jego oczy, ogromne, rozszerzone. Zaciśnięte wargi two-
rzyły zalęknioną, bezkrwistą kreskę. W górze zaklekotała odsuwana mosiężna
krata. Drzwi windy otworzyły się z hukiem, otworzyły się z hukiem, bo był już czas,
nadszedł czas, czas, żeby powiedzieć

(Dobranoc... dobranoc... tak, było cudownie... nie, doprawdy, nie mogę zo-
stać do chwili zrzucenia masek... kto rano wstaje, temu... och, czy to była She-
ila?... zakonnik? szalenie dowcipne, Sheila w przebraniu zakonnika, co?... tak,
dobranoc... dobra)

Łup.

Szczękały prowadnice. Silnik zaskoczył. Kabina z zawodzeniem zaczęła zjeż-
dzać w dół.

— Jack — szepnęła Wendy. — Co to jest? Co się zepsuło?

— Krótkie spięcie — odparł. Twarz miał jak z drewna. — Mówiłem ci, że to
krótkie spięcie.

— W głowie wciąż rozbrzmiewają mi głosy! — krzyknęła. — Co to jest? Co
się stało? Czuję się tak, jakbym miała zwariować!

— Jakie głosy? — Popatrzył na nią z zabójczą ironią.

Odwróciła się do Danny’ego.

— Czy ty?... Danny skinął główką powoli.

— Tak. I muzyka. Jakby bardzo dawna. W głowie.

Winda znów się zatrzymała. Hotel trzeszczał, cichy i opustoszały. W ciemno-
ściach na dworze wiatr wył pod okapami.

— Może oboje jesteście pomyleni — odezwał się Jack tonem towarzyskiej
rozmowy. — Ja tam nic nie słyszę, poza tym, że winda ma napad cholernej elek-
trycznej czkawki. Jeżeli wy chcecie odstawić histeryczny duet, proszę bardzo.
Ale nie liczcie na mój udział.

Kabina po raz kolejny zjeżdżała w dół.

Jack zrobił krok w prawo, ku ścianie, gdzie na wysokości piersi wisiała oszklona gablota. Walnął w nią gołą pięścią. Szkło z brzękiem posypało się do wewnątrz. Z dwóch kłykci pociekła mu krew. Wsadził rękę do środka i wyciągnął długi, gładki klucz.

— Nie, Jack. Nie.

— Zamierzam zrobić to, co do mnie należy. Daj mi spokój, Wendy.

Spróbowała go schwycić za ramię. Odepchnął ją. Zaplątała się w obrębek szlafroka i niezdarnie rymnęła na dywan. Danny z przenikliwym wrzaskiem padł obok niej na kolana. Jack odwrócił się do windy i wetknął klucz w dziurkę.

Liny znikły, a w małym okienku pojawił się spód kabiny. W sekundę później Jack mocno przekręcił klucz. Winda znieruchomiała raptownie, ze zgrzytem i piśkiem. Przez chwilę silnik w podziemiu wył jeszcze głośniejsze, ale potem zadziałał automatyczny wyłącznik i w Panoramic zaległa niesamowita cisza. W porównaniu z nią nocny wiatr na dworze wydawał się bardzo głośny. Jack z głupią miną patrzył na szare metalowe drzwi. Pod dziurką od klucza jego pokancerowane kłykcie pozostawiły trzy krwawe plamki.

Na moment znów się obrócił do Wendy i Danny'ego. Wendy siedziała, Danny otaczał ją ramieniem. Oboje obserwowali go ostrożnie, jak kogoś obcego, kogo nigdy przedtem nie widzieli, może kogoś niebezpiecznego. Otworzył usta, niepewny, co się z nich wydobędzie.

— To... Wendy, na tym polega moja praca.

Odpowiedziała wyraźnie:

— Pieprzę twoją pracę.

Znowu zajął się windą, wetknął palce w szparę po prawej stronie drzwi i uchylił je nieco. Później, napierając całym ciężarem, zdołał otworzyć je na oścież.

Kabina zatrzymała się w pół piętra, z podłogą na poziomie piersi Jacka. Wciąż płynęło z niej ciepłe światło, kontrastujące z oleistym mrokiem szybu poniżej.

Jack długo zaglądał do środka.

— Jest pusta — powiedział w końcu. — Krótkie spięcie, jak mówiłem. — Wetknął zagięte palce w szparę za drzwiami, zaczął je ciągnąć, zamykać... gdy wtem ręka Wendy z zadziwiającą siłą spoczęła na jego ramieniu i szarpnęła go do tyłu.

— Wendy! — krzyknął. Ale ona już uchwyciła się za dolną krawędź kabiny i podciągnęła na tyle, że zdołała zobaczyć jej wnętrze. Potem, konwulsyjnie napinając mięśnie barków i brzucha, spróbowała dźwignąć się wyżej. Przez chwilę zanosilo się na niepowodzenie. Jej nogi zwisały nad czarną czeluścią szybu, jeden różowy ranny pantofel zsunął się ze stopy i zniknął z pola widzenia.

— Mamo! — wrzasnął Danny.

Wtedy się wgramoliła, z zarumienionymi policzkami, z czołem bladym i świecącym jak lampa spirytusowa.

— A to, Jack? Czy to jest krótkie śpięcie? — Cisnęła czymś i nagle w całym korytarzu zawirowało konfetti, czerwone i białe, niebieskie i żółte. — A to? — Zielona serpentyna, spłowiła, pastelowa ze starości. — A to?

Na chodniku w splątany czarno-niebieski deseń spoczęła wyrzucona z windy czarna jedwabna kocia maska, przyprószona cekinami na skroniach. — Czy to jest dla ciebie krótkie śpięcie, Jack?! — krzyczała Wendy.

Powoli odstąpił od maski, machinalnie kiwając głową. Kocie oczy obojętnie spoglądały w sufit z zasłanego konfetti chodnika.

Rozdział trzydziesty siódmy

Sala Balowa

Był pierwszy dzień grudnia.

W sali balowej we wschodnim skrzydle Danny stał na miętko wyściełanym wolterowskim fotelu i patrzył na zegar pod kloszem. Zegara, zajmującego środek ozdobnej półki nad kominkiem, strzegły z obu stron duże słonie z kości słoniowej. Danny nieomal oczekiwał, że się poruszą i spróbują przebić go kłami, lecz tkwiły w miejscu. Były „bezpieczne”. Od tamtej nocy z windą przywykł dzielić wszystko w Panorami na dwie kategorie. Winda, podziemie, plac zabaw, pokój 217 i apartament prezydencki były niebezpieczne; ich mieszkanie, hol i weranda — bezpieczne. Najwidoczniej i sala balowa również.

(W każdym razie słonie.)

Nie miał pewności co do innych miejsc, toteż z zasady ich unikał.

Obserwował zegar pod szklanym kloszem, nakryty nim, bo wszystkie kółka i sprężyny miał na wierzchu. Mechanizm okalała chromowa bądź stalowa szyna, a bezpośrednio pod tarczą znajdowała się mała dźwigienka z parą zazębiających się kółek na każdym końcu. Zegar wskazywał kwadrans po XI, a chociaż Danny nie znał cyfr rzymskich, z układu wskazówek domyślił się, która to jest godzina. Zegar stał na aksamitnej podstawie. Przed nim, lekko zniekształcony za kolistym szkłem, leżał starannie cyzelowany srebrny kluczyk.

Danny przypuszczał, że zegar jest jedną z tych rzeczy, których nie powinien dotykać, takich jak ozdobne przybory kominkowe w szafce z mosiężnymi okuciami w holu albo wysoka serwantka w głębi jadalni.

Nagle wezbrało w nim poczucie krzywdy i gniewny bunt i

(niniejsza z tym, czego nie powinien dotykać, po prostu mniejsza z tym, dotknęło mnie, prawda? bawiło się mną, prawda?)

Rzeczywiście. I aż tak bardzo nie uważało, żeby go nie potłuc.

Wyciągnął rękę, chwycił klosz i odstawił na bok. Palcem wskazującym wodził przez chwilę po mechanizmie, opuszką naciskał ząbki, gładził kółka. Wziął do ręki srebrny kluczyk, który dla człowieka dorosłego byłby mały i niewygodny,

lecz do jego dłoni pasował jak ulał. Wetknął go w dziurkę pośrodku tarczy. Kluczyk z cichym, bardziej wyczuwalnym niż dostyśzalnym szczęknięciem wśliznął się na swoje miejsce. Kręciło się nim w prawo, oczywiście; zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Danny robił to do oporu, po czym wyjął kluczyk. Zegar zaczął tykać. Kółka się obracały. Duży balans wahadłowym ruchem zataczał półkola. Wskazówki się poruszały. Jeśli się trzymało głowę absolutnie nieruchomo, a oczy szeroko otwarte, można było zobaczyć, jak wskazówka minutowa pełznie powolutku, by za jakieś czterdzieści pięć minut spotkać się ze wskazówką godzinową. O XII.

(... i Mór Czerwony niepodzielnie zawładły wszystkim.)

Danny się zasepił, po czym odegnał tę myśl. Nic dla niego nie znaczyła ani nie miała z nim związku.

Ponownie wyciągnął palec wskazujący i popchnął wskazówkę minutową w górę ku godzinie, ciekaw, co się stanie. Najwyraźniej nie był to zegar z kukłą, ale ta stalowa szyna musiała do czegoś służyć.

Parę razy cicho stuknęły kółka zapadkowe i brzękliwie rozbrzmiał walc Straussa „Nad pięknym, modrym Dunajem”. Zaczęła się odwijać rolka dziurkowanej tkaniny, szerokiej najwyżej na dwa cale. Kilka mosiężnych iglic uniosło się i opadło. Zza tarczy zegara wyjechały po stalowej szynie dwie figurki tancerzy; z lewej dziewczyna w marszczonej spódniczce i białych pończochach, z prawej chłopak w czarnym trykocie i baletkach. Ręce łukowato unosili nad głowami. Spotkali się pośrodku, na wprost VI.

Danny wypatrzył małe rowki w ich bokach, tuż pod pachami. Dźwigienka wśliznęła się w te rowki i usłyszał kolejny cichy stuk. Kółka na obu jej końcach zaczęły się obracać. Brzękliwie rozbrzmiał walc. Tancerze opuścili ramiona i objęli się w pół. Chłopak przerzucił sobie dziewczynę nad głową i okręcił się wokół dźwigienki. Teraz leżeli rozciągnięci, chłopak z głową wetkniętą pod krótką baletową spódniczkę dziewczyny, dziewczyna z twarzą przyciśniętą do jego obleczonego trykotem podbrzusza. Wili się w mechanicznym szale.

Danny zmarszczył nos. Całowali swoje siusiaki. Zrobiło mu się niedobrze.

W chwilę później wszystko zaczęło się dziać na odwrót. Chłopak z powrotem okręcił się wokół dźwigienki. Postawił dziewczynę na nogi. Zdawało się, że z miłą osób znających się na rzeczy kiwają sobie głowami, jednocześnie zaś wznosili ręce łukiem do góry. Wycofali się tak, jak przyszli, i zniknęli wraz z ostatnim taktiem „Pięknego, modrego Dunaju”. Zegar zaczął odliczać srebrzyste uderzenia.

(Północ! Bije północ!)

(Hura dla masek!)

Danny obrócił się w fotelu i o mało nie upadł na ziemię. Sala balowa była pusta. Widział, jak za dwuskrzydłowym ostrołukowym oknem zaczyna prószyć świeży śnieg. Olbrzymi dywan (zwinęty naturalnie z uwagi na tańce), z bogatym splotem czerwonych i złotych nici, leżał spokojnie na podłodze. Otaczały go małe

stoliki przeznaczone dla dwóch osób, na każdym zaś stały pająkowane krzesła, nogami wskazujące sufit.

Cała sala świeciła pustkami.

Ale nie naprawdę. Bo tu w Panoramie ciągle coś się działo. Tutaj wszystkie pory stapały się w jedną. Bez końca trwała sierpniowa noc roku 1945, ze śmiechem i trunkami, i olśniewającą garstką wybrańców losu, którzy jeździli w górę i w dół windą, pili szampana, obrzucali się konfetti i serpentynami. I szary czerwcowy świt w jakieś dwadzieścia lat później, kiedy najęci przez mafię rewolwerowcy nieprzerwanie dziurawili kulami poszarpane, skrwawione ciała trzech mężczyzn przeżywających męczarnie bez kresu. W łazience przy pokoju na drugim piętrze rozwalona w wannie kobieta czekała na gości.

W Panoramie wszystko w jakiś sposób żyło, jakby ją nakręcono srebrnym kluczykiem. Zegar chodził. Zegar chodził.

To on jest tym kluczem, myślał smętnie Danny. Mimo przestróg Tony'ego pozwolił, aby rzeczy się działy.

(Mam dopiero pięć lat!)

zawołał, na wpół wyczuwając czyjaś obecność w pokoju.

(Czy nie robi różnicy, że mam dopiero pięć lat?)

Nie usłyszał odpowiedzi.

Z ociąganiem odwrócił się znowu w stronę zegara.

Zwlekał z tym w nadziei, że coś się stanie i nie będzie musiał jeszcze raz przywołać Tony'ego, że zjawi się strażnik czy helikopter albo ekipa ratowników; zawsze przybywali na czas w oglądanych przez niego programach telewizyjnych i ratowali ludzi. W telewizji strażnicy, ratownicy i niższy personel medyczny stanowili przyjazną, dobrą siłę, przeciwwagę niesprecyzowanego zła, jakie dostrzegał na świecie; kiedy ludzie popadali w tarapaty, śpieszono im z pomocą, zajmowano się nimi. Nie musieli sami sobie radzić.

(Proszę?)

Nie dostał odpowiedzi.

Brak odpowiedzi, gdyby zaś Tony przyszedł, czy byłby to ten sam koszmar sen? Łoskot, ochrypli, rozdrażniony głos, niebiesko-czarny chodnik jak w węże? Redrum?

Ale co jeszcze?

(proszę, och, proszę)

Brak odpowiedzi.

Z dygotem i westchnieniem spojrzął na tarczę zegara. Kółka się obróciły, ząbki z innymi. Balans wahał się hipnotycznie. A jeśli ktoś trzymał głowę absolutnie bez ruchu, mógł dostrzec nieubłagane przesuwanie się wskazówki minutowej z XII na V. Jeśli ktoś trzymał głowę absolutnie bez ruchu, mógł dostrzec, że...

Zniknęła tarcza zegara. Na jej miejscu ukazała się okrągła czarna dziura. Przewadziła w dół, w nieskończoność. Zaczęła olbrzymieć. Zniknął zegar. Sala w głą-

bi. Danny się zachwiał, runął w mrok przez cały czas skrywający się za tarczą zegara.

Mały chłopiec zwał się nagle na fotel i leżał nienaturalnie wykrzywiony, z głową odrzuconą do tyłu, niewidzącymi oczyma wpatrzony w sufit sali balowej wysoko ponad nim.

Dalej i dalej, i dalej, i dalej na... -

— korytarz, kulił się w korytarzu i skręcił w złą stronę, próbując wrócić na schody, skręcił w złą stronę i teraz, i teraz... -

— zobaczył, że jest w krótkim ślepym korytarzyku prowadzącym tylko do apartamentu prezydenckiego, a łoskot rozbrzmiewał coraz bliżej, młotek do roque'a dziko świszczął w powietrzu, obuch walił w ścianę, ciął jedwabną tapetę, wzbijał kłęby gipsowego pyłu.

(„Chodź, do cholery! Zażyj swoje...”)

Ale w korytarzu była też inna postać. Nonszalancko oparta o ścianę tuż za nim. Jak duch.

Nie, nie duch, lecz cała w bieli. Ubrana na biało. (Ja cię znajdę, ty zakazany, rozpustny kurduplu!) Danny skurczył się i cofnął, słysząc ten głos, który teraz dobiegał z głównego korytarza na trzecim piętrze. Niebawem ten, kto go wydaje, wyjdzie zza rogu.

(„Chodź tu! Chodź tutaj, ty mały gówniarzu!”) Postać w bieli wyprostowała się nieznacznie, wyjęła papierosa z kącika ust i zdrapała strzępek tytoniu z pełnej dolnej wargi. Danny poznał Halloranna. Ubranego w biały strój kucharza, nie w granatowy garnitur, który miał na sobie w dniu zamknięcia hotelu.

— W razie jakichś kłopotów — powiedział Hallorann — zawołaj. Krzyknij tak głośno, jak parę minut temu. Może cię usłyszę nawet tam na Florydzie. A jeśli usłyszę, przylecę co sił w nogach. Przylecę. Przylecę...

(Więc przyleć teraz! Przyleć teraz, przyleć teraz! Och, Dick, jesteś mi potrzebny, potrzebny nam wszystkim)

— co sił w nogach. Przepraszam, ale muszę już pędzić. Przepraszam, Danny, dziecino, staruszku, ale muszę pędzić. Choć było mi tak miło, że nawet się nie śniło, teraz pędzić już muszę, śpieszę się, na mą duszę.

(nie)

Danny widział, jak Dick Hallorann zawraca, znów wtyka papierosa w kącik ust i nonszalancko przechodzi przez ścianę.

Pozostawiając go samego.

Właśnie wtedy ukazał się zza rogu cień, olbrzymi w mrokach korytarza, z wyraźnym tylko czerwonym błyskiem w oczach.

(Jesteś tu! Teraz cię mam, ty draniu! Teraz dostaniesz nauczkę!)

Cień chwiejnym krokiem pobiegł w jego stronę, jakoś strasznie powłócząc nogami i zamachując się młotkiem do roque'a. Danny z wrzaskiem rzucił się do

tyłu i wtem przeleciał przez ścianę, skoziolkował w dziurę, wpadł do króliczej nory i wylądował w krainie obrzydliwych dziwów.

Dużo niżej od niego Tony też spadał.

(Nie mogę już przychodzić, Danny... on nie dopuszcza mnie do ciebie... nikt z nich nie dopuszcza mnie do ciebie... wołaj Dicka... wołaj Dicka...)

— Tony! — wrzasnął.

Tony zniknął jednak, on zaś nagle znalazł się w ciemnym pokoju. Choć niezupełnie ciemnym. Napływało tu skądś przytłumione światło. To była sypialnia mamy i taty. Widział biurko taty. Lecz w pokoju panował straszliwy bałagan. Danny był tu przedtem. Adapter mamy na podłodze. Jej płyty porozrzucane na dywanie. Materac do połowy ściągnięty z łóżka. Obrazy pozdierane ze ścian. Jego łóżeczko przewrócone na bok i leżące jak martwy pies, Wściekle Fioletowy Volkswagen pogruchotany na drobne plastikowe kawałki.

Zza uchylonych do połowy drzwi łazienki padało światło. Tuż za drzwiami bezwładnie dyndała ręka, z jej palców kapłała krew. A w lustrze apteczki rozbłyśkiwało i przygasało słowo REDRUM.

Wtem przed lustrem zmaterializował się wielki zegar pod kloszem. Zamiast wskazówek i cyfr miał wypisaną czerwonymi literami na tarczy datę 2 grudnia. Potem przed rozszerzonymi ze strachu oczami Danny'ego pojawiło się słowo REDRUM, niewyraźnie odbite od klosza, teraz odbite powtórnie jako MURDER.

Wrzasnął w panicznym przerażeniu. Data znikła z tarczy. Znikła i sama tarcza zegara, a na jej miejscu ukazała się okrągła czarna dziura, która coraz bardziej się powiększała, niczym tęczęwka oka. Ta dziura przysłoniła wszystko, a on poleciał do przodu i zaczął spadać, spadać, spadać...

— spadł z fotela.

Przez chwilę, dysząc ciężko, leżał na podłodze sali balowej.

Redrum.

Murder.

Redrum.

Murder.

(... i Mór Czerwony niepodzielnie zawładły wszystkim.)

(Zrzucić maski! Zrzucić maski!)

A za każdą śliczną, połyskliwą maską jeszcze nie widziana twarz postaci, która go ścigała po tych ciemnych korytarzach, coraz szerzej otwierając czerwone, obojętne oczy mordercy.

Och, bał się tej twarzy, która mogłaby zostać odsłonięta, kiedy wreszcie nadejdzie pora zrzucania masek.

(Dick!)

wrzasnął, jak umiał najgłośniejszy. Głowa aż mu się zatrzęsła z wysiłku.

(!!! Och, Dick, och, proszę, proszę, proszę cię, przyjedź!!!)

Nad nim zegar nakręcony srebrnym kluczykiem nie przestawał odliczać sekund, minut i godzin.

CZEŚĆ V

Sprawy życia i śmierci

Rozdział trzydziesty ósmy

Floryda

Trzeci syn pani Hallorann, Dick, w białym stroju kucharza, z lucky strike'em w kąciku ust, wyjechał odzyskanym cadillakiem z miejsca na tyłach Hurtowej Składnicy Warzyw I-A i powoli ją okrążył. Masterton, obecnie wspólnik, nadal jednak szurający nogami jak przed drugą wojną światową, kiedy był ekspedientem, popychał skrzynkę sałaty do drzwi wysokiego, ciemnego budynku.

Hallorann otworzył okno po stronie pasażera i krzyknął:

— Te awokado są cholernie drogie, zdzierco!

Masterton obejrzał się przez ramię i uśmiechnięty od ucha do ucha, błyskając wszystkimi trzema złotymi zębami, odwrzasnął:

— A ja dobrze wiem, gdzie możesz je sobie wsadzić, koleś.

— Takich uwag nie zapominam, brachu.

Masterton wymownym gestem zgiął rękę. Hallorann mu się odwzajemnił.

— Dostałeś ogórki, co? — zapytał Masterton.

— Tak.

— Przyjedź jutro wcześniej z rana, dam ci najładniejszych młodych ziemniaków, jakie w życiu widziałeś.

— Przyślę chłopaka — odparł Hallorann. — Przyjdiesz dziś wieczorem?

— Masz szkło, brachu?

— Mowa!

— Przyjđę. Nie jedź na pełnym gazie, słyszysz? Twoje nazwisko zna każdy glina stąd aż do St. Pete.

— Wiesz coś o tym, co? — uśmiechnął się Hallorann.

— Więcej niż tobie uda się kiedykolwiek dowiedzieć, człowieku.

— Co za bezczelny czarnuch.

— Jazda, spływaj stąd, nim zacznę rzucać tymi sałatami.

— Proszę bardzo, rzucaj. Za darmo wezmę wszystko.

Masterton się zamachnął, jakby chciał rzucić główką sałaty. Hallorann zrobił unik, podniósł szybę i odjechał. Był w świetnym nastroju. Mniej więcej od pół

godziny czuł zapach pomarańczy, nie widział w tym jednak nic dziwnego. Czas ten spędził w hurtowni owocowo-warzywnej.

Chociaż tego dnia, pierwszego grudnia, o szesnastej trzydzieści czasu wschodnioamerykańskiego, Stara Zima przysiadła na odmrożonym tyłku prawie wszędzie, tutaj mężczyźni chodzili w porozpinanych pod szyją koszulach z krótkimi rękawami, a kobiety w cienkich letnich sukienkach lub szortach. Na budynku Pierwszego Banku Florydy cyfrowy termometr w obramowaniu z olbrzymich grejpfrutów wciąż wskazywał 25 stopni. Dzięki Bogu za Florydę, pomyślał Hallorann, z jej komarami i w ogóle.

Na tylnym siedzeniu limuzyny leżały dwa tuziny awokado, skrzynka ogórków, druga pomarańczy, trzecia grejpfrutów. W trzech workach wioził cebule bermudzkie, najśłodsze z warzyw, jakie Pan Bóg stworzył, całkiem niezły groszek, który poda do zakąski i który w dziewięciu wypadkach na dziesięć wróci do kuchni nie zjedzony, wreszcie bakłażana do użytku ściśle osobistego.

Przystanął pod światłami na Vermont Street i kiedy zabłysła zielona strzałka, skręcił na stanową autostradę 219. Zwiększył prędkość do czterdziestu mil na godzinę i tak jechał, dopóki miasto się nie skończyło i nie zaczęły się ukazywać przydrożne stacje benzynowe i bary szybkiej obsługi: Burger King i McDonald. Dziś zamówienie miał małe, mógł posłać Baedeckera, ale Baedeker strasznie chciał kupić mięso, poza tym zaś Hallorann lubił się przekomarzać z Frankiem Mastertonem i wolał nie tracić takiej okazji. Może Masterton wpadnie wieczorem na telewizję i na szklankę whisky Bushmill, a może nie wpadnie. Wszystko jedno. Ale zobaczenie się było ważne. Za każdym razem. Bo nie są już młodzi. W ciągu ostatnich kilku dni dużo o tym rozmyślał. Człowiek niemłody, pod sześćdziesiątkę (albo — żeby powiedzieć prawdę i nie skłamać — po sześćdziesiątce), musi się liczyć z wysiadką. Może kipnąć lada chwila. I to przez cały tydzień chodziło mu po głowie. Nie martwił się, stwierdzał fakt. Umieranie jest częścią życia. Człowiek musi ciągle się na to nastawiać, jeśli chce osiągnąć pełnię osobowości. A choćby nawet trudno było zrozumieć fakt własnej śmierci, przynajmniej można się z nim pogodzić.

Hallorann nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego zaprzęta sobie tym głowę, ale postanowił sam odebrać to niewielkie zamówienie także i dlatego, by po drodze wstąpić do małej kancelarii nad barem Franka, gdzie urzędował teraz adwokat (dentysta, który w zeszłym roku miał tam gabinet, widocznie zbankrutował), młody Murzyn nazwiskiem McIver. Hallorann zaszedł do McIvera i powiedział mu, że chce sporządzić testament, więc pyta, czy może liczyć na pomoc. Cóż, odrzekł McIver, na kiedy przygotować dokument? Na wczoraj — mówiąc to Hallorann odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Czy chodzi o coś skomplikowanego? — brzmiało następne pytanie McIvera. Hallorannowi nie chodziło o nic w tym rodzaju. Miał cadillaca, rachunek bankowy — około dziesięciu tysięcy dolarów — maleńką sumkę na książeczce czekowej i szafę z ubraniami. Chciał to

wszystko zapisać siostrze. A jeżeli siostra umrze pierwsza? — zapytał McIver. Nie szkodzi — odparł Hallorann. — W takim wypadku sporządzą nowy testament. Dokument, przygotowany i podpisany w niespełna trzy godziny — szybko, jak na pokątnego adwokata — spoczywał już w górnej kieszeni kurtki Halloranna, a na twardej niebieskiej kopercie widniało wykaligrafowane staroangielskimi literami słowo „Testament”.

Hallorann nie umiałby wytłumaczyć, dlaczego właśnie w ten ciepły, słoneczny dzień, kiedy czuł się tak dobrze, postanowił zrobić coś, co od lat odkładał, nie zlekceważył jednak impulsu. Przywykł kierować się intuicją.

Oddalił się już od miasta. Jechał z niedozwoloną prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę lewym pasem, wyprzedzając większość pojazdów, które zmierzały do Petersburga. Z doświadczenia wiedział, że jak nic mógłby ją zwiększyć do dziewięćdziesięciu, a nawet stu dwudziestu mil, bo wóz by to wytrzymał, lecz te szalone dni minęły dawno temu. Myśl o rozwijaniu prędkości stu dwudziestu mil na prostym odcinku napełniała go jedynie strachem. Starzał się.

(Jezu, ależ te pomarańcze mają mocny zapach. Ciekawe, czy nie są przejrzałe?)

O szybko rozbijały się owady. Złapał w radiu muzykę soul nadawaną z Miami i usłyszał cichy, rzewny głos Ala Greena.

*Choć piękne nas chwile złączyły, kochanie,
Już późno się robi i czas na rozstanie.*

Opuścił szybko, wyrzucił niedopałek papierosa, po czym opuścił ją jeszcze niżej, żeby się uwolnić od zapachu pomarańczy. Wystukując palcami rytm na kierownicy, nucił pod nosem. Zawieszony nad lusterkiem medal ze świętym Krzysztofem kołysał się lekko. . .

Nagle zapach się spotęgował i Hallorann poznał, że to nadchodzi, że jest blisko. Dojrzał własne oczy w lusterku, szeroko otwarte ze zdumienia. A potem to przyszło w jednej chwili, niczym potężny podmuch zmiotło wszystko inne: muzykę, szosę przed samochodem, niejasną świadomość, że jest niepowtarzalną istotą ludzką. Zupełnie jakby ktoś przyłożył mu do głowy psychiczny rewolwer i postrzelił go wrzaskiem kalibru 45.

(!!!Och Dick och proszę proszę proszę cię przyjedź!!!)

Limuzyna zrównała się z farmerskim samochodem osobowo-ciężarowym, który prowadził mężczyzna w roboczym ubraniu. Robotnik zobaczył zjeżdżającego na jego pas cadillaca i nacisnął klakson. Limuzynę wciąż znosiło w bok, więc robotnik zerknął na kierowcę: dostrzegł rośłego Murzyna, wyprostowanego, jakby kij połknął, ze wzrokiem wbitym gdzieś w górę. Później powiedział żonie, że wprawdzie takie fryzury mają dziś wszystkie czarnuchy, ale wtedy odniósł wrażenie, że każdy włos na głowie tego Murzyna się jeży. Wyglądało to tak, jakby tamten dostał ataku serca.

Robotnik zahamował gwałtownie i został w tyle, na pustym, dzięki Bogu, odcinku autostrady. Cadillac, wciąż zbaczając, zjechał mu drogę i osłupiały z przerażenia robotnik zobaczył długie tylne światła w kształcie rakiet na swoim pasie, najwyżej o ćwierć cala od własnego zderzaka.

Skręcił w lewo, wciąż na sygnale, i z rykiem silnika wyminał limuzynę zataczającą pijackie łuki. Zaproponował jej kierowcy, aby sam z sobą odbył niedozwolony stosunek płciowy. Aby odbywał stosunki oralne z różnymi gryzoniami i ptakami. Niedwuznacznie sugerował, że wszystkie osoby pochodzenia murzyńskiego powinny wrócić na rodzinny kontynent. Ze szczerym przekonaniem mówił, jakie miejsce na tamtym świecie zajmie dusza kierowcy cadillaca. Na zakończenie oznajmił, że musiał chyba spotkać jego matkę w nowoorleańskim domu rozpusty.

Znalazłszy się na przodzie, z dala od niebezpieczeństwa, uświadomił sobie nagle, że złał się w spodnie.

Hallorannowi z uporem rozbrzmiewała w głowie myśl (przyjeźdź Dick proszę przyjeźdź Dick proszę) coraz ciszej jednak, podobnie jak muzyka, kiedy słuchacz zbliża się do granicy obszaru radiofonicznego. Niejasno zdał sobie sprawę, że jedzie po miękkim poboczu z prędkością ponad pięćdziesięciu mil na godzinę. Skręcił na autostradę; przez chwilę czuł, jak tyłem wozu zarzuca na boki, po czym koła natrafiły na twardą nawierzchnię.

Z przodu zobaczył bar zajezdny. Nacisnął klakson i skręcił, z sercem boleśnie tłukącym o żebra, z cerą niezdrową, poszarzałą. Zajął miejsce na parkingu i wyciągniętą z kieszeni chustką otarł czoło.

(Boże święty!)

— Co mam podać?

Głos znowu napełnił go strachem, choć nie był to głos Boga, lecz ładniutkiej roznosicielki potraw, która stanęła z bloczkiem przy otwartym oknie samochodu, gotowa przyjąć zamówienie.

— Poczekaj, mała. Napój śliwkowy z dwiema łyżkami lodów waniliowych, dobrze?

— Tak, proszę pana. — Dziewczyna odeszła, wdzięcznie kołysząc biodrami pod czerwonym nylonowym mundurkiem.

Hallorann odchylił się na skórzane oparcie i zamknął oczy. Nie miał już czego nasłuchiwać. Ostatnie wezwanie rozplynęło się w ciszy, jaka panowała po zaparkowaniu wozu, dopóki nie zamówił u kelnerki napoju. Pozostało tylko przykre łupanie w głowie, jakby wyżęty, wyciśnięty mózg powieszono na sznurze do suszenia. Tak samo rozboleła go głowa, kiedy pozwolił temu małemu Danny'emu jaśnieć tam, w Kaprysie Ullmana.

Ale to wołanie było o wiele głośniejsze. Wtedy chłopiec jedynie się z nim bawił. Teraz wprowadził go w panikę, bo każde słowo głośnym wrzaskiem rozbrzmiewało mu w głowie.

Hallorann popatrzył na swoje ręce, pokryte gęsią skórą, chociaż przygrzewało słońce. Powiedział chłopcu, że ma go wezwać, w razie gdyby potrzebował pomocy, to pamiętał. No i chłopiec woła.

Nagle wydało mu się niepojęte, jak mógł zostawić tam dzieciaka jaśniejącego aż takim blaskiem. Musiały z tego wyniknąć kłopoty, może nawet poważne.

Znienacka zapuścił silnik, wrzucił wsteczny bieg i z wizgiem opon wyjechał na autostradę. Kołysząca biodrami kelnerka stała w sklepionym przejściu, z napojem na tacy.

— Co to, pożar? — krzyknęła, lecz Hallorann już zniknął.

Dyrektor nazywał się Queems i rozmawiał właśnie ze swoim bukmacherem, kiedy Hallorann wszedł do biura. Queems chciał obstawić kwadruplę na torze Rockaway. Bez żadnych kumulatywów i innych kombinacji. Taką prostą kwadruplę, po sześć stów na łeb. I drużynę Jets na niedzielę. Co to znaczy, że Jets grają z Bills? Czy on nie wie, z kim grają Jets? Pięć stów na różnicę siedmiu punktów.

Zirytowany Queems odwiesił słuchawkę i wtedy Hallorann zrozumiał, dlaczego facet zarabiający pięćdziesiąt kawałków rocznie w tym hoteliku mimo to chodzi w ubraniach wyświeconych na siedzeniu. Queems skierował na Halloranna oczy wciąż jeszcze przekrwione, bo wieczorem zbyt często zaglądał do butelki bourbona.

— Masz jakąś sprawę, Dick?

— Tak, proszę pana, chyba tak. Muszę na trzy dni się zwolnić.

Queems miał w kieszonce cienkiej żółtej koszuli paczkę kentów z filtrem. Nie wyjmując jej, wyciągnął papierosa, zdusił w palcach i markotnie przygryzł filtr. Zapalił papierosa stojącą na biurku zapalniczką.

— I ja też — powiedział. — Ale o co chodzi?

— Potrzebne mi są trzy dni — powtórzył Hallorann. — Chodzi o mojego chłopaka.

Queems popatrzył na lewą rękę Halloranna, ale nie zobaczył obrączki.

— Jestem rozwiedziony od 1964 roku — cierpliwie wyjaśnił Hallorann.

— Wiesz, co się dzieje pod koniec tygodnia, Dick. Mamy pełno. Szpilki nigdzie nie wetkniesz. Pozajmowane są nawet tanie miejsca. W niedzielę wieczór w Pokoju Florydzkim też będą goście. Więc weź mój zegarek, portfel, fundusz emerytalny. Do licha, weź i żonę, jeśli wytrzymasz z taką babą. Ale nie proś o dni wolne, dobrze? Co mu jest, chory?

— Tak, proszę pana — odrzekł Hallorann, nadal próbując sobie wyobrazić, jak miętosi tani płócienny kapelusz i wywraca oczami. — Postrzelony.

— Postrzelony! — Queems położył papierosa na popielniczce z emblematem starego uniwersytetu w stanie Missisipi, na którym ukończył wydział zarządzania.

— Tak, proszę pana — powiedział Hallorann ponuro.

— W czasie polowania?

— Nie, proszę pana. — Hallorann niżył głos, nadał mu bardziej matowe brzmienie. — Jana żyje z tym kierowcą ciężarówki. Z białym. To on postrzelił mojego chłopaka. I mały leży teraz w szpitalu w Denver, w Kolorado. Stan krytyczny.

— Jakże, u diabła, się dowiedziałeś? Myślałem, że kupujesz warzywa.

— Tak, proszę pana, kupowałem. — Tuż przed przyjazdem tutaj wstąpił do Western Union i telegraficznie zamówił sobie w firmie Avis samochód z lotniska Stapleton. Zanim wyszedł, zwędził firmowy arkusik z nadrukiem Western Union. Teraz wyjął złożoną, zmiętą kartkę z kieszeni i pomachał nią przed przekrwionymi oczami Queemsa. Chowając ją, powiedział jeszcze ciszej: — To od Jany. Znalazłem przed chwilą w skrzynce.

— Jezu. Chryste Panie. — Twarz Queemsa ściągnęła się w specyficznym wyrazie troski, dobrze znanym Hallorannowi. Queems okazywał w ten sposób coś w rodzaju współczucia, na jakie potrafił się zdobyć biały — we własnym mniemaniu „umiejętnie postępujący z kolorowymi” — w stosunku do czarnego mężczyzny czy jego mitycznego czarnego syna.

— No dobra, jedź sobie. — I dodał: — Baedeker może cię chyba przez te trzy dni zastąpić. Z pomocą chłopca do wszystkiego.

Hallorann kiwnął głową, jeszcze bardziej zasepiony, choć w duchu śmiał się na myśl o tej pomocy. Wątpił, czy nawet w swój dobry dzień chłopiec trafiłby od pierwszego razu do pisuaru.

— Proszę potrącić mi z pensji — powiedział Hallorann. — Za cały tydzień. Wiem, ile ma pan przeze mnie kłopotów.

Twarz Queemsa jeszcze bardziej się ściągnęła; wyglądał, jakby połknął ość.

— Możemy później o tym porozmawiać. Idź i się spakuj. Pogadam z Baedekerem. Chcesz, żeby ci zarezerwować miejsce w samolocie?

— Nie, proszę pana, sam to zrobię.

— Dobra. — Queems wstał, nachylił się z powagą i wciągnął w płuca smużkę dymu z papierosa. Zakaszłał głośno i poczerwieniał na chudej, mizernej twarzy. Hallorann z całych sił starał się robić zasmuconą minę. — Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku, Dick. Zadzwoń, jak czegoś się dowiesz.

— Zadzwoń.

Podali sobie ręce nad biurkiem.

Hallorann zdążył zejść na dół i dopiero pod domkiem dla pracowników wybuchnął perlistym, niepohamowanym śmiechem. Nie przestawał się uśmiechać i ocierać załzawionych oczu chusteczką, gdy wtem poczuł zapach pomarańczy, silny, zatykający dech w piersi, a następnie rąbnięcie w głowę, od którego zatoczył się jak pijany na różową, pokrytą stiukami ścianę.

(!!!Proszę cię Dick przyjedź proszę przyjedź przyjedź szybko!!!)

Powoli wracał do siebie i w końcu mógł się już wdrapać po zewnętrznych schodach do swojego mieszkania. Kiedy się schylił, aby spod plecionej z sitowia słomianki wyciągnąć klucz, coś wyleciało mu z wewnętrznej kieszeni i głucho pacnęło na podest. Hallorann był nadal tak zaprzątnięty głosem, który zawibrował mu w głowie, że przez chwilę wpatrywał się tępo w niebieską kopertę, nieświadomy, co ona zawiera.

Potem obrócił ją w rękach, w oczy zaś rzuciło mu się słowo „Testament”, wypisane czarnymi, pajęczymi literami.

(O mój Boże, więc to tak?)

Nie wiedział. Ale mogło tak być. Przez cały tydzień myśl o własnej śmierci pojawiała się niczym... no, niczym

(śmiało, powiedz)

niczym ostrzeżenie.

Śmierć? W mgnieniu oka całe życie stanęło mu przed oczami, widziane nie w sensie historycznym czy topograficznym, jako osiągnięcie szczytów lub staczenie się w dół trzeciego syna pani Hallorann, Dicka, ale takie, jakie wiódł teraz. Martin Luther King powiedział im na krótko przed dniem, w którym jak męczennik padł od kuli, że wspiął się na górę. Tego Dick nie mógłby o sobie twierdzić. Po latach zmagania wspiął się nie na górę, lecz na słoneczną wyżynę. Miał dobrych przyjaciół. Zebrał dość referencji, żeby zawsze i wszędzie znaleźć pracę. Kiedy zachciało mu się popieprzyć, no cóż, mógł poszukać życzliwej partnerki, która nie będzie zadawała pytań i kłóciła się o sens tego, co robią. Pogodził się z kolorem swej skóry — i to całkowicie. Miał po sześćdziesiątce i dzięki Bogu jakoś się trzymał.

Czy zaryzykuje to wszystko — zaryzykuje własne życie — dla trojga białych, niezbyt dobrze mu znanych?

Ale to kłamstwo, prawda?

Znał chłopca. Mieli ze sobą więcej wspólnego niż bliscy przyjaciele po czterdziestu nieraz latach znajomości. Znał chłopca, a chłopiec znał jego, ponieważ każdy z nich miał w głowie jakby reflektor, coś, o co nie prosił, a co po prostu zostało mu dane.

(No nie, twój to flesz, jego to reflektor.)

Niekiedy to światło, ta jasność wydawała się rzeczą przyjemną. Pozwalała typować konie albo, jak powiedział chłopiec, wskazywać ojcu, gdzie się zapodział kufer. Była to jednak tylko przyprawa, sos na sałatce, do której wrzucono tyleż wyki soczewicowatej, co orzeźwiającego ogórka. Czuło się smak bólu, śmierci i łez. A teraz chłopiec utknął w tym hotelu i on pojedzie. Dla chłopca. Bo różnili się kolorem wyłącznie wtedy, gdy otwierali usta, aby się porozumieć. Więc pojedzie. Zrobi, co się da, w przeciwnym razie bowiem chłopiec umrze mu w głowie.

Mimo to, będąc człowiekiem, nie umiał stłumić gorzkiego pragnienia, by od-

sunięto od niego ten kielich.

(Zaczęła wychodzić i puściła się w pogoń za nim.)

Wrzucał właśnie zmianę bielizny do torby podróżnej, kiedy ta myśl przyszła mu do głowy i poraziła go jak zawsze, ilekroć o tym wspominał. Usiłował możliwie najrzadziej wracać do tego pamięcią.

Pokojówka Delores Vickery wpadła w histerię. Opowiadała różne rzeczy innym pokojówkom, a co gorsza, niektórym z gości. Dotarło to do Ullmana, co głupia flądra powinna była przewidzieć, i z miejsca ją wylał. Zwróciła się do Halloranna, tonąc we łzach nie z powodu wymówienia, ale tego, co widziała w tamtym pokoju na drugim piętrze. Poszła do dwieście siedemnastki zmienić ręczniki, a tu pani Massey leży martwa w wannie. To oczywiście nie mogło być prawdą. Panią Massey wywieziono dyskretnie poprzedniego dnia i o tej porze leciała właśnie z powrotem do Nowego Jorku — tyle że w ładowni, a nie pierwszą klasą, jak to miała w zwyczaju.

Hallorann nie przepadał za Delores, lecz tego wieczora zajrzał na górę. Pokojówka, dwudziestotrzyletnia dziewczyna o oliwkowej cerze, podawała do stołu pod koniec sezonu, gdy ruch mieli mniejszy. Jaśniała nikłym blaskiem, w mniemaniu Halloranna zupełnie słabiutkim; kiedy na przykład przyjeżdżał ze swoją panią na obiad nieśmiały człowieczek w wypetłłej sukiennej marynarce, Delores zamieniała się i brała ich stolik. Nieśmiały człowieczek zostawiał pod talerzem podobiznę Aleksandra Hamiltona¹, rzecz bolesna dla dziewczyny, która się zamieniała, tym bardziej, że Delores aż piszcziała z uciechy. Była leniwa, objiała się, choć jej pracodawca na to nie pozwalał. Siadywała w bieliźniarce, czytała brukowe pisma dla kobiet i paliła, ilekroć jednak Ullman wybrał się na nie zapowiedzianą inspekcję (a biada tej, którą przyłapał na odpoczynku), zastawał ją pogrążoną w pracy, pismo leżało schowane pod prześcieradłami wysoko na półce, popielniczka na dnie kieszeni fartuszka. Tak, myślał Hallorann, z Delores był obibok i flądra, koleżanki się na nią złościły, lecz jaśniała leciutko. Dzięki temu szło jej jak po maśle. Ale pod 217 najadła się takiego strachu, że z radością odebrała od Ullmana papiery i odeszła.

Czemu zwróciła się do niego? Jedna jasność rozpoznaje drugą, pomyślał Hallorann z uśmiechem.

Wybrał się więc z wieczora na górę i otworzył pokój, który miał zostać ponownie zajęty nazajutrz. Posłużył się biurowym kluczem uniwersalnym i gdyby przyłapał go z nim Ullman, Dick dołączyłby do Delores Vickery i grona bezrobotnych.

Plastikowa zasłona wokół wanny była zaciągnięta. Odsunął ją, choć przeczu-

¹Głowa Aleksandra Hamiltona widnieje na banknotach dziesięciodolarowych.

wał, co zobaczy. Wzdęta i sina pani Massey moczyła się w wannie do połowy napełnionej wodą. Hallorann patrzył na nią, a tętno gwałtownie biło mu w gardle. W Panoramię działały się też inne rzeczy; w regularnych odstępach czasu powracał zły sen — jakiś bal kostiumowy; on podaje jedzenie w sali balowej, wezwani do zrzucenia masek goście ukazują twarze gnijących owadów — no i były te strzyżone żywopłoty. Ze dwa, trzy razy widział (albo mu się zdawało, że widzi) ruchy zwierząt, choć bardzo nieznaczne. Ten siedzący pies chyba troszkę zmieniał pozycję i spręzał się do skoku. Lwy szły naprzód, zagrażając brzdącom na placu zabaw. W maju Ullman posłał go na strych po komplet ozdobnych przyborów kominowych, które teraz stały w holu. Kiedy był na górze, zgasty mu nad głowę wszystkie trzy żarówki i nie mógł trafić do klapy w podłodze. Bez końca krążył w kółko, nieomal w panice, kalecząc nogi o skrzynie, objając się o różne sprzęty, coraz mocniej przeświadczony, że coś się za nim skrada w ciemnościach. Coś wielkiego i straszliwego, co przesączyło się przez stolarkę, ledwie pogasty światła. A kiedy dosłownie potknął się o kółko klapy, zbiegł na dół, jak umiał najszybciej, nie opuściwszy jej, umazany sadzą i rozchełstany, pewien, że o mały włos spotkałoby go nieszczęście. Później Ullman osobiście zaszedł do kuchni, aby go poinformować, że zostawił drzwi na strych otwarte i zapalone lampy. Czy, zdaniem Halloranna, goście chcą się tam bawić w poszukiwanie skarbów? Czy może elektryczność nic nie kosztuje?

Podejrzał też — nie, był prawie pewny — że kilku gości również coś widziało czy słyszało. W ciągu trzech przepracowanych przez niego w Panoramię sezonów apartament prezydencki rezerwowano dziewiętnaście razy. Sześć spośród osób, które go zajmowały, szybko wyniosło się z hotelu, a paru gości sprawiało wrażenie niewątpliwie chorych. Inni opuszczali różne pokoje z tym samym pośpiechem. W roku 1974 mężczyzna odznaczony w Korei Gwiazdami Brązową i Srebrną (obecnie członek rad nadzorczych trzech wielkich spółek, który jakoby osobiście wylał słynnego prezentera z dziennika telewizyjnego) dostał pewnego sierpniowego wieczora o zmierzchu ataku hysterii i zaczął wrzeszczeć na trawniku do gry w golfa. Przez ten czas, kiedy Hallorann był związany z Panoramią, mnóstwo dzieci po prostu nie chciało chodzić na plac zabaw. Jedno dostało konwulsji w betonowych pierścieniach, lecz Hallorann nie wiedział, czy można to przypisać zgubnemu oddziaływaniu hotelu — wśród służby rozeszła się pogłoska, że dziecko, jedyna córka przystojnego aktora filmowego, ma epilepsję i jest pod opieką lekarzy, a tego dnia po prostu zapomniało zażyć lekarstwo.

Toteż wpatrywał się w zwłoki pani Massey ze strachem, ale bez specjalnego przerażenia. Tego można się było spodziewać. Przeraził się na dobre dopiero wtedy, gdy otworzyła oczy i, błyskając srebrzystymi źrenicami pozbawionymi wyrazu, przesłała mu uśmiech. Groza go przejęła, gdy

(zaczęła wychodzić i puściła się w pogoń za nim).

Uciekł z szybkim biciem serca i nie poczuł się bezpieczny nawet za zamknię-

tymi na klucz drzwiami. Właśnie, przyznawał teraz w duchu, zapinając torbę lotniczą na suwak, nigdy już nigdzie w Panoramie nie czuł się bezpieczny.

A teraz chłopiec — woła go, wzywa na pomoc.

Spojrzał na zegarek. Była siedemnasta trzydzieści. Zanim wyszedł, przypomniał sobie, że w Kolorado jest surowa zima, zwłaszcza wysoko w górach, więc cofnął się do szafy w ścianie. Z plastikowego worka z nazwą pralni chemicznej wyciągnął długą pelisę na barankach i przerzucił ją przez ramię. Innego stroju zimowego nie miał. Pogasił wszystkie światła i rozejrzał się dookoła. O niczym nie zapomniał? Owszem.

O jednym. Wyjął z górnej kieszeni testament i zatknął za ramę lustra stojącego na toalecie. Przy odrobinie szczęścia wróci po niego.

Tak, przy odrobinie szczęścia.

Wyszedł z mieszkania, zamknął za sobą drzwi, klucz schował pod słomiankę i zbiegł na dół do cadillaca.

W połowie drogi na międzynarodowe lotnisko w Miami, bezpiecznie oddalony od centralki, w której — jak było wiadomo — lubili podsłuchiwać rozmowy Queems albo jego zausznicy, Hallorann zatrzymał się przed centrum handlowym i z pralni zadzwonił do linii lotniczych United. Loty do Denver?

Jest jeden o osiemnastej trzydzieści sześć. Czy pan zdąży?

Hallorann rzucił okiem na zegarek wskazujący dwie po szóstej i oświadczył, że zdąży. Są jeszcze wolne miejsca?

Zaraz sprawdzę.

W uchu mu zabrzęczało, po czym rozległy się cukierkowe dźwięki, kiedy włączono nagranie orkiestry Mantovaniego. Miało to jakoby umilać czekanie. Nie umilało. Hallorann przestępował z nogi na nogę i spoglądał to na zegarek, to na młodą dziewczynę z uspionym niemowlęciem w czymś na kształt plecaczka, wyjmującą pranie z automatu. Bała się, że z opóźnieniem wróci do domu, że pieczeń się przypali i mąż — Mark? Matt? Mike? — będzie wściekły.

Upłynęła minuta. Dwie minuty. Już postanowił jechać dalej i zaryzykować, gdy ponownie odezwał się jak nagrany głos panienki z rezerwacji. Jest wolne miejsce. W pierwszej klasie. Nie szkodzi?

Nie. Prosi o ten bilet.

Zapłaci gotówką czy kartą kredytową?

Gotówką, małą, gotówką. Muszę lecieć.

Nazwisko?...

Hallorann, przez dwa l i dwa n. Będę niedługo.

Odwiesił słuchawkę i pośpieszył do drzwi. Prosta myśl dziewczyny zatroskanej o pieczeń ścigała go tak natarczywie, że o mało nie zwariował. Czasami zdarzało się coś w tym rodzaju: całkiem bez powodu łapał myśl absolutnie oderwaną,

absolutnie klarowną i prostą. . . i zazwyczaj absolutnie bezużyteczną.

Mało brakowało, a byłby zdążył. Ciągnął osiemdziesiątką i już widział lotnisko, kiedy zatrzymał go patrol drogowy.

Opuściwszy szybę, Hallorann otworzył usta.

— Wiem — pocieszająco odezwał się glina, który przerzucał kartki w bloczku z mandatami. — Pogrzeb w Cleveland. Pańskiego ojca. Wesele w Seattle. Pańskiej siostry. Pański dziadek z San Jose stracił w pożarze sklepik ze słodyczami. Wspañiała trawa czeka w szafce na nowojorskim dworcu lotniczym. Przepadam za tym odcinkiem drogi tuż przed lotniskiem. Już jako uczeń najbardziej lubiłem ostatnią lekcję, kiedy nauczycielka opowiadała nam różne historie.

— Proszę posłuchać, panie władzo, mój syn. . .

— Jedno, czego nie wiem do końca w takiej historyjce — rzekł funkcjonariusz po odnalezieniu właściwej strony w bloczku — to numer prawa jazdy kierowcy gawędziarza i dowód rejestracyjny wozu. Więc proszę grzecznie mi je pokazać.

Hallorann popatrzył w spokojne niebieskie oczy policjanta, zastanowił się, czy i tak nie opowiedzieć o ciężkim stanie syna, lecz doszedł do wniosku, że tylko by sobie zaszkodził. Ten gliniarz to nie Queems. Wyjął portfel.

— Znakomicie — oświadczył policjant. — Proszę o papiery. Po prostu muszę wiedzieć, jak to się skończy.

Hallorann w milczeniu podał mu prawo jazdy i florydzki dowód rejestracyjny.

— Doskonale. Należy się za to prezent.

— Jaki? — z nadzieją w głosie spytał Hallorann.

— Po spisaniu tych numerów pozwolę panu nadmuchać balonik.

— Chryste Paaanie! — jęknął Hallorann. — Mój samolot, panie władzo. . .

— Ciii — uspokoił go policjant. — Tylko grzecznie.

Hallorann zamknął oczy.

Do stanowiska linii United dotarł o osiemnastej czterdzieści dziewięć, żywiąc złudną nadzieję, że lot się opóźnił. Nie musiał nawet pytać. Wszystko powiedział mu monitor odlotów umieszczony nad ladą. Samolot do Denver, numer rejsu 901, odleciał o osiemnastej czterdzieści czasu wschodniego, z czterominutowym opóźnieniem. Dziewięć minut temu.

— Cholera — zaklął Dick Hallorann.

I nagle zapach pomarańczy, mocny, upajający: Dick ledwie zdążył do toalety, nim nadleciało ogłuszające, trwożne wezwanie:

(!!!Przyjedź proszę przyjedź Dick proszę proszę przyjedź!!!)

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Na schodach

Jedną z rzeczy upłynionych, by nieco powiększyć ich aktywa przed przeprowadzką z Vermont do Kolorado, był zbiór dwustu starych albumów Jacka z muzyką rockową oraz rhythm and bluesową; poszły na wyprzedaży po dolarze za sztukę. Danny najbardziej lubił dwie płyty Eddiego Cochrana, oprawione razem z czterema stronicami krytycznego tekstu pióra Lenny'ego Kaye'a. Wendy zawsze się dziwiła, że jej syna fascynuje ten właśnie album z piosenkami mężczyzny, a raczej chłopca, który żył intensywnie i zmarł młodo... zmarł, jeśli chodzi o ścisłość, kiedy ona miała zaledwie lat dziesięć.

Teraz, kwadrans pod siódmej (czasu górskiego), kiedy Dick Hallorann mówił Queemsowi o białym przyjacielu swojej byłej żony, Wendy natknęła się na Danny'ego w połowie schodów między holem a pierwszym piętrzem. Chłopiec siedział tam i, przerzucając czerwoną gumową piłeczkę z ręki do ręki, śpiewał cicho, niemelodyjnie piosenkę z tego albumu.

*Wchodzę na pierwsze piętro, drugie, trzecie,
Na piąte, szóste, ile jeszcze chcecie.
Dalej nie mam już sił, ale rock ten fajny był, człowiek żył...*

Podeszła bliżej, usiadła na stopniu i zobaczyła opuchniętą dolną wargę syna, dwa razy grubszą niż normalnie, a na jego brodzie ślady zaschłej krwi. Choć serce ze strachu podskoczyło jej w piersi, zdołała się odezwać obojętnym tonem.

— Co się stało? — zapytała, pewna, że i tak wie. Jack go uderzył. No cóż, oczywiście. Taka jest kolej rzeczy, prawda? Koła postępu; prędzej czy później zawracają do punktu wyjścia.

— Wołałem Tony'ego — odrzekł Danny. — W sali balowej. Chyba spadłem z fotela. To już nie boli. Tylko ta warga... jakby była za duża.

— Naprawdę tak było? — Patrzyła na niego z niepokojem.

— Tata tego nie zrobił. Dzisiaj nie.

Wendy doznała niesamowitego uczucia. Piłeczka wędrowała z jednej ręki chłopca do drugiej. Odczytał jej myśli. Syn odgadł jej myśli.

— Co... co ci powiedział Tony?

— Mniejsza z tym. — Twarz miał spokojną, głos mrożąco obojętny.

— Danny. — Ścisnęła go za ramię silniej, niż zamierzała. Nie skrzywił się jednak, nie próbował uwolnić.

(Och, marnujemy tego chłopca. Nie tylko Jack, ja też, może nawet nie my sami, ale ojciec Jacka, moja matka, czy oni są tutaj? Pewnie, dlaczego by nie? Roi się tu przecież od duchów, więc czemu nie miałyby być o dwa więcej? Boże wielki, on przypomina jedną z tych walizek, które pokazują w telewizji, rozjeżdżanych, upuszczanych z samolotów, zgniatanych w fabrycznych zgniatarkach. Albo zegarek Timex. Cokolwiek się stanie, tykać nie przestanie. Och, Danny, strasznie mi przykro.)

— Mniejsza z tym — powtórzył. Piłeczka przelatywała z ręki do ręki. — Tony nie może już przychodzić. Oni mu nie pozwolą. Załatwili go.

— Kto nie pozwoli?

— Ci ludzie w hotelu. — Patrzył na nią wzrokiem bynajmniej nieobojętnym, lecz przenikliwym i zaleknionym. — I... i te rzeczy w hotelu. Najróżniejsze. W hotelu się od nich roi.

— Widzisz...

— Nie chcę widzieć — odparł cicho i znów skierował oczy na gumową piłeczkę przelatującą łukiem z ręki do ręki. — Ale czasami późną nocą słyszę. Są jak wiatr, zawodzą wszystkie razem. Na strychu, w podziemiach. W pokojach. Wszędzie. Myślałem, że to moja wina, że taki już jestem. Kluczyk. Ten mały srebrny kluczyk.

— Przestań, Danny... nie denerwuj się tak.

— Ale chodzi też o niego — powiedział Danny. — O tatę. I o ciebie. Hotel chce dostać nas troje. Oszukuje tatę, wyprowadza w pole, próbuje mu wmówić, że na niego najbardziej się zawiązał. Najbardziej zależy hotelowi na mnie, ale dopadnie nas wszystkich.

— Gdyby tylko ten śniegołaz...

— Nie pozwolili mu — rzekł Danny tym samym cichym głosem. — Kazali mu rzucić jedną część w śnieg. Daleko. To mi się śniło. I on wie, że ta kobieta naprawdę jest w dwieście siedemnastce. — Zwrócił na Wendy ciemne, przerażone oczy. — Mniejsza z tym, czy mi wierzysz, czy nie.

Otoczyła go ramieniem.

— Wierzę ci, Danny, ale powiedz prawdę. Czy Jack... czy on będzie próbował zrobić nam krzywdę?

— Oni będą się starali zmusić go do tego — odrzekł Danny. — Wzywałem pana Halloranna. Powiedział, że gdybym go kiedyś potrzebował, mam zawołać, i wołałem. Ale jest strasznie trudno. To mnie męczy. A co najgorsze, nie wiem,

czy słyszy, czy nie. Chyba nie może odkrzyknąć, bo to dla niego za daleko. I nie wiem, czy dla mnie to za daleko, czy nie. Jutro. . .

— Co jutro?

Pokręcił głową.

— Nic.

— Gdzie on jest teraz? — spytała. — Tata?

— Na dole. Dzisiaj chyba nie przyjdzie na górę.

Wstała raptownie.

— Zaczekaj tu na mnie. Pięć minut.

Kuchnia była zimna i opustoszała w blasku świetlówek. Wendy podeszła do namagnesowanych szyn, z których zwisały noże do mięsa. Wybrała najdłuższy i najostrzejszy, owinęła go ścierką do naczyń i wyszła z kuchni, gasząc po drodze światła.

Danny siedział na schodach i śledził lot czerwonej gumowej piłeczki, którą przerzucał z ręki do ręki. Śpiewał:

*Na dwudziestym piętrze mieszka moja miła,
A tu winda właśnie całkiem nawaliła.
Wchodzę na pierwsze piętro, drugie, trzecie. . .*

Śpiew ucichł. Danny nasłuchiwał.

Chodź do mnie, chodź do mnie rączkę mi dać. . .

Ten głos rozbrzmiewał mu w głowie, tak bardzo z nim związany, tak straszliwie bliski, że mógłby być wytworem jego własnych myśli. Dźwięczała w nim łagodność i bezbrzeżna przebiegłość. Głos szydził z Danny'ego. Zdawał się mówić:

(O tak, spodoba ci się tutaj. Spróbuj, na pewno ci się spodoba. Spróbuj, na pewno ci się spoodooba. . .)

Teraz Danny uszy miał otwarte i znowu je słyszał, to zgromadzenie, upiory czy duchy, a może sam hotel, przerażający gabinet osobliwości, gdzie wszystkie pokazy kończyły się śmiercią, gdzie wszystkie specjalnie malowane potwory żyły naprawdę, gdzie żywopłoty spacerowały, a po przekręceniu małego srebrnego kluczyka rozpoczynał się sprośny występ. Słyszał ciche zawodzenie i szmer jakby bez ustanku igrającego nocą pod okapami zimowego wiatru, wiatru powodującego otepienie, nigdy nie słyszanego przez turystów w lecie. Ten szum przypominał senne brzęczenie os, które latem budzą się w ziemnym gnieździe, ospałe i groźne. Mają dziesięć tysięcy stóp wysokości.

(Dlaczego kruk jest jak biurko? Im wyżej, tym mniej, naturalnie! Napij się jeszcze herbaty!)

Był to żywy dźwięk, ale nie głosy, nie oddech. Człowiek nastawiony filozoficznie mógłby go nazwać dźwiękiem dusz. Babcia Dicka Halloranna, dorastająca na drogach Południa w latach poprzedzających przełom stulecia, nazwałaby go wyciem upiórów. Psycholog mógłby wymyślić długą nazwę — echo psychiczne, psychokineza, zabawa telesmiczna. Ale dla Danny'ego był to jedynie głos hotelu, starego potwora skrzypiącego wciąż dokoła nich, w coraz mniejszej odległości: korytarzy cofających się teraz w czasie i w przestrzeni, wygłodniałych cieni, ożywionych gości, którzy nie bardzo potrafią spocząć.

W mrocznej sali balowej zegar pod kloszem wybił siódmą trzydzieści, rozdźwięczał się jedną nutą.

Rozległ się schrypnięty, brutalny z przepicia głos: „Zrzucić maski i pieprzyć!”

Wendy jak wryta stanęła pośrodku holu.

Spojrzała na Danny'ego, który siedział na schodach i wciąż przerzucał piłeczkę z ręki do ręki.

— Słyszałeś coś?

Popatrzył na nią tylko, nie przestając rzucać piłeczką.

Tę noc spędzili prawie bezsennie za zamkniętymi na klucz drzwiami.

Z oczami otwartymi w ciemnościach Danny myślał:

(Chce być jednym z nich i żyć wiecznie. Tego właśnie pragnie.)

Wendy myślała:

(W razie konieczności zabiorę go wyżej. Jeśli mamy umrzeć, wolałabym, żeby się to stało w górach.)

Nóż rzeźnicki, nadal owinięty ścierką, wsunęła pod łóżko. Rękę trzymała w pobliżu. To zapadali w drzemkę, to się budzili. Wokół nich skrzypiał hotel. Na dworze śnieg zaczął prószyć z ołowianego nieba.

Rozdział czterdziesty

W podziemiach

(!!!Kocioł cholerny kocioł!!!)

Ta myśl, w pełni ukształtowana, rozbłysła Jackowi Torrance'owi w głowie, obwiedziona jaskrawoczerwoną ostrzegawczą otoczką. W ślad za nią rozbrzmiał głos Watsona:

(Jeśli pan zapomni, będzie rosnać i rosnać i jak nic ockniecie się całą rodziną na pieprzonym Księżycu... Kocioł może wytrzymać dwieście pięćdziesiąt, ale teraz rozerwałoby go przy znacznie niższym ciśnieniu... bałbym się zejść tutaj i stanąć przy nim, kiedy wskazówka pokaże sto osiemdziesiąt.)

Jack całą noc przesłęczał w podziemiach nad pudłami starych papierów w szaleńczym przeświadczeniu, że czas ucieka, więc trzeba się śpieszyć. W dalszym ciągu jednak nie natrafiał na ważne wskazówki, na powiązania, które wszystko by wyjaśniały. Palce miał pożółkłe, ubrudzone od dotykania starych, rozlatujących się papierzysk. I w swoim zaabsorbowaniu ani razu nie sprawdził kotła. Spuścił parę poprzedniego wieczora około szóstej, kiedy zszedł na dół. Obecnie była...

Spojrzał na zegarek i poderwał się, rozrzucając kopniakiem plik dawnych faktur.

Chryste, była piąta piętnaście rano.

Za jego plecami ogień buzował pod kotłem, który poświstywał jękliwie.

Jack podbiegł ku niemu z twarzą wychudzoną w ciągu ostatniego miesiąca, ciemną od gęstego zarostu, zapadniętą, jakby wyszedł z obozu koncentracyjnego.

Manometr wskazywał dwieście dziesięć funtów na cal kwadratowy. Jack niemal widział oczami wyobraźni, jak boki starego, połatanego i pospawanego kotła wybrzuszają się pod straszliwym naporem.

(Będzie rosnać i rosnać... bałbym się zejść tutaj i stanąć przy nim, kiedy wskazówka pokaże sto osiemdziesiąt...)

Wtem przemówił do niego chłodny, kuszący głos wewnętrzny.

(Niech trzaśnie. Idź po Wendy i Danny'ego i spieprzaj stąd. A on niech wyleci w powietrze.)

Wyobrażał sobie wybuch. Podwójny piorun, który najpierw wydarłby z hotelu serce, potem duszę. Kocioł rozerwałby się z pomarańczowo-fioletowym błyskiem i na całą piwnicę spadłby deszcz gorących, rozżarzonych odłamków. Jack widział w duchu czerwone skrawki metalu, odbijające się od podłogi, ścian i sufitu niczym dziwaczne kule bilardowe, świstem oznajmiające śmierć. Niektóre z nich niewątpliwie przeleciałyby pod łukowym sklepieniem, upadłyby na papierzyska i wzniciłyby piekielny pożar. Zniszczone sekrety, popalone wskazówki, a tajemnicy nie odgadnie nikt spośród żywych. Potem wybuch gazu, grzmot i huk ognia, olbrzymi płomyk oszczędnościowy, od którego cały środek hotelu przemieniłby się w piekarnik. Schody, korytarze, sufity i pokoje płonące jak zamek w ostatniej rolce filmu o Frankensteinie. Pożar rozprzestrzenia się na skrzydła, biegnie po czarno-niebieskich chodnikach jak niecierpliwi goście. Jedwabna tapeta zwęglą się i zwija. Brak instalacji tryskaczowej, są tylko te przestarzałe hydranty, których nie ma kto obsługiwać. A żaden wóz strażacki na świecie nie zdołałby tu dotrzeć przed końcem marca. Pal się, dziecino, pal. W dwanaście godzin nie pozostałoby nic prócz nagich kości.

Wskazówka ciśnieniomierza przesunęła się na dwieście dwanaście. Kocioł trzeszczał i stękał jak stara kobieta, próbująca wstać z łóżka. Smuzki pary z sykiem zaczęły tańczyć po brzegach starych łat, zaskwierczały kropelki cyny.

Jack nic nie widział, nic nie słyszał. Z oczami lśniącymi w oczodołach jak szafiry znieruchomiał z ręką na zaworze, za którego pomocą mógłby zmniejszyć ciśnienie i stłumić ogień.

(To moja ostatnia szansa.)

Jak dotąd nie spieniężyli jedynie polisy ubezpieczeniowej na życie, wykupionej przez niego i Wendy w lecie po pierwszym roku pobytu w Stovington. Czterdzieści tysięcy dolarów w razie śmierci, podwójne odszkodowanie, w razie gdyby on czy ona zginęli w katastrofie kolejowej, lotniczej czy w pożarze. Niech ci szczęście dopisze, umrzyj tajemniczą śmiercią i wygraj sto dolarów.

(Pożar... osiemdziesiąt tysięcy dolarów.)

Zdążyliby się wydostać. Nawet gdyby spali, zdążyliby uciec, w to nie wątpił. Nie przypuszczał też, aby żywopłoty czy coś innego próbowało ich zatrzymać, gdyby Panoramę trawiły płomienie.

(Płomienie.)

Wskazówka na tarczy, pod brudnym, prawie nieprzezroczystym szkłem podskoczyła do dwustu piętnastu funtów na cal kwadratowy.

Powróciło inne wspomnienie, wspomnienie z dzieciństwa. Na jabłoni za ich domem osy dość nisko zrobiły sobie gniazdo. Któryś ze starszych braci — Jack nie pamiętał już który — został użądłony, kiedy się huśtał na starej oponie zawieszanej na gałęzi przez tatę. Działo się to u schyłku lata, kiedy osy bywają najbardziej kąśliwe.

Ojciec wrócił właśnie z pracy, ubrany na biało, z lekkim oparem piwa unoszą-

cym się wokół twarzy. Zebrał wszystkich trzech chłopców, Bretta, Mike'a i małego Jacky'ego, i powiedział im, że zamierza się uwolnić od os.

— A teraz popatrzcie — rzekł z uśmiechem i lekko się zatoczył (wtedy nie używał jeszcze laski, zderzenie z ciężarówką mleczarza należało do odległej przyszłości.) — Może się czegoś nauczycie. To mi pokazał mój ojciec.

Zgrabił dużo wilgotnych od deszczu liści pod gałąź, z której zwisało gniazdo, owoc bardziej niebezpieczny niż pomarszczone, lecz smaczne jabłka, dojrzewające zazwyczaj pod koniec września, czyli dopiero za dwa tygodnie od tamtego dnia. Podpalił liście. Dzień był pogodny, bezwietrzny. Liście się tliły, nie buchały płomieniem, i wydzierały zapach — woń powracającą do Jacka każdej jesieni, kiedy mężczyźni w starych spodniach i lekkich wiatrówkach grabili na kupy i palili liście. Słodki zapach, odrobinę cierpkawy, intensywny, nabrzmiały wspomnieniami. Dym z tłących się liści grubymi pasmami unosił się w górę i przesłaniał gniazdo.

Ojciec nie robił nic przez całe popołudnie, pił na werandzie piwo i wyrzucał puste puszkę do żoninego plastikowego kubła. Dwaj starsi synowie siedzieli obok niego, a mały Jacky na schodach u stóp ojca bawił się jo-jo i nucił monotonie, wciąż od nowa:

serce ci skłamię..
zapłaczesz przeze mnie...
serce ci skłamię...
powie o tobie

Kwadrans po piątej, tuż przed kolacją, tata podszedł do jabłoni, a synowie przezornie skupili się za nim. W jednej ręce trzymał motykę. Rozgarnął liście, aby porozrzucane dokoła kupki wygasły powoli. Następnie sięgnął trzonkiem motyki, mrużąc oczy, zamachnął się nim dwa czy trzy razy i strącił gniazdo na ziemię.

Chłopcy umknęli na werandę, tata jednak stał sobie nad gniazdem, wymachiwał motyką i mrużył oczy. Jacky wrócił chyłkiem, bo był ciekawy. Parę os nie-mrawo łąziło po papierowym terenie swej posiadłości, lecz żadna nie starała się frunąć. Ze środka, z miejsca czarnego i odrażającego, dobiegał dźwięk, którego nie da się zapomnieć: stłumione, senne brzęczenie jakby przewodów wysokiego napięcia.

— Dlaczego ciebie nie próbują ukłuć, tato? — zapytał Jacky.

— Są pijane od dymu. Przyniesi bańkę z benzyną.

Zrobił to biegiem. Tata polał gniazdo bursztynowym płynem.

— Teraz się cofnij, Jacky, jeśli nie chcesz osmalić sobie brwi.

Więc się cofnął. Spomiędzy fałd obszernej białej bluzy tata wyciągnął drewnianą zapalkę kuchenną. Potarł ją o paznokcie kciuka i rzucił na gniazdo. Biało-

-pomarańczowa eksplozja była niemal bezdźwięczna w swym okrucieństwie. Tata z dzikim rechotem odstał do tyłu. Gniazdo spłonęło w mgnieniu oka.

— Ogień — zwrócił się uśmiechnięty do Jacky'ego. — Ogień zabije wszystko.

Po kolacji chłopcy wyszli na dwór i w gasnącym blasku dnia stanęli z powagą wokół zwęglonego, poczerniałego gniazda. Z rozpalonego wnętrza dobiegał trzask osich ciałek pękających niczym prażona kukurydza.

Ciśnieniomierz wskazywał dwieście dwadzieścia. W trzewiach kotła przybiegał na sile cichy, metaliczny skowyt. Pasemka pary sterczały w setkach miejsc jak kolce jeżozwierz.

(Ogień zabije wszystko.)

Nagle Jack drgnął. Zdrzemnął się... i w tej drzemce o mało nie przeniósł się na tamten świat. O czym, na litość boską, myślał? Ma pilnować hotelu. Jest dozorcą.

Pod wpływem przerażenia ręce tak szybko mu się spociły, że zrazu ześliznęły się z dużego zaworu. Następnie zacisnął palce na szprychach. Jeden obrót, dwa, trzy. Rozległ się potężny syk pary, jakby sapnięcie smoka. Ciepła, tropikalna mgła uniosła się spod kotła i spowiła Jacka. Na moment przestał widzieć tarczę, sądził jednak, że pewnie za długo czekał. Wewnątrz stękanie i brzęczenie przybrało na sile, po czym kilka razy coś donośnie szcęknęło i drażniąco zgrzytnął metal.

Kiedy para trochę się rozwiła, Jack zobaczył, że manometr znowu wskazuje dwieście i ciśnienie dalej spada. Smużki pary z mniejszym impetem wydobywały się spod przyspawanych łąt. Dokuczliwe, zgrzytliwe dźwięki przycichały z wolna.

Sto dziewięćdziesiąt... sto osiemdziesiąt... sto siedemdziesiąt pięć...

(Zjeżdżał z góry z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, kiedy przeraźliwie świsnął gwizdek -)

Nie przypuszczał jednak, aby teraz nastąpił wybuch. Ciśnienie spadło do stu sześćdziesięciu.

(... znaleźli go we wraku z ręką na zaworze dławiającym, na śmierć poparzonego parą...)

Ciężko dysząc, rozdygotany odstał od kotła. Popatrzył na ręce i zobaczył, że na dłoniach już wyskakują bąble. Diabli niech wezmą bąble, pomyślał i roześmiał się niepewnie. O mało nie zmarł z ręką na zaworze, jak mechanik Casey z „Wraka Starego 97”. Co gorsza, zabiłby Panoramę. Ostateczna druzgocząca porażka. Zawiódł jako nauczyciel, pisarz, mąż i ojciec. A nawet pijak. Ale w kategorii porażek nic nie dorówna wysadzeniu w powietrze budynku, nad którym się miało sprawować pieczę. I nie był to zwyczajny budynek.

Bynajmniej.

Chryste, jakże łaknął alkoholu.

Ciśnienie spadło do osiemdziesięciu. Ostrożnie, krzywiąc się trochę, bo piekły go dłonie, zakręcił zawór. Od tej pory jednak będzie musiał baczej niż dotych-

czas obserwować kocioł, który mógł zostać poważnie osłabiony. Do końca zimy nie pozwoli, aby ciśnienie przekroczyło setkę. A jeśli zrobi im się chłodnawo, będą po prostu musieli znosić to z uśmiechem.

Dwa bąble na dłoniach pękły. Ręce mu pulsowały jak ropiejące zęby.

Drinka. Jeden drink postawiłby go na nogi, a w całym tym zakazanym hotelu nie było nic prócz kuchennego sherry. W chwili obecnej trunk miałby działanie lecznicze. Właśnie, na Boga. Byłby środkiem znieczulającym. Jack spełnił swój obowiązek i teraz mógł zażyć małą dawkę takiego środka — czegoś mocniejszego niż excedryna. Ale nie było nic.

Przypomniawszy sobie lśniące w cieniu butelki.

Ocalił hotel. Hotel go nagrodi. Tego był pewny. Z tylnej kieszeni wyciągnął chustkę i ruszył ku schodom. Ocierał wargi. Jeden kieliszek. Tylko jeden. Na uśmierzenie bólu.

Przysłużył się Panoramie, a teraz ona przysłuży się jemu. W to nie wątpił. Stopy szybko, niecierpliwie niosły go po schodach, śpieszył się jak człowiek, który po długotrwałej, żaźartej wojnie powraca do domu. Była piąta dwadzieścia rano czasu górskiego.

Rozdział czterdziesty pierwszy

W świetle dziennym

Danny przebudził się z okropnego snu ze zdławionym sapnięciem. Coś eksplodowało. Wybuchł pożar. Panorama płonęła. On i mama obserwowali to z frontowego trawnika.

Mama powiedziała:

— Patrz, Danny, spójrz na żywopłoty.

Spojrzał i wszystkie były martwe. Ich liście nieprzyjemnie zbrązowiły, a przeświecająca płatanina gałązek przypominała szkielety na wpół rozczłonkowanych zwłok. Właśnie wtedy tata wypadł z Panoramy przez duże drzwi dwuskrzydłowe jak gorejąca pochodnia. Odzież się na nim paliła, jego skóra przybierała ciemny, złowrogi odcień, Z każdą chwilą ciemniejszy, włosy wyglądały jak krzew ognisty.

W tym momencie Danny się przebudził z gardłem ściśniętym trwogą, chwytając rękami prześcieradło i koce. Czy krzyczał? Popatrzył na matkę. Wendy leżała na boku, przykryta pod brodę, z pasmem pszenicznych włosów rozspanych na policzku. Sama wyglądała jak dziecko. Nie, nie krzyczał.

Tu w łóżku, kiedy tak spoglądał w górę, koszmar zaczął blaknąć. Danny odnosił dziwne wrażenie, że w ostatniej chwili zdołano zapobiec jakiejś wielkiej tragedii.

(pożarowi? wybuchowi?)

Pozwolił myślom poszybować na poszukiwanie taty i znalazł go gdzieś na dole. W holu. Natężył się nieco bardziej i spróbował przeniknąć do ojcowskiego wnętrza. Bezskutecznie. Bo tata myślał o Złej Rzeczy. Myślał, że

(dobrze byłoby strzelić sobie jednego albo dwa mniejsza z tym gdzieś na świecie słońce stoi nad nokiem rei pamiętasz jak zwykliśmy mawiać al? dżin z tonikiem bourbon zaprawiony gorzkimi kropelkami szkocka z wodą sodową rum z colą nie pałą go to kijem ty się napijesz i ja się napiję marsjanie wylądowali gdzieś na świecie w princeton czy houston czy stokely nad rzeką carmichael w jakiejś pieprzonej miejscowości przecież to sezon a nikt z nas)

(„Wynoś się z jego głowy, ty mały gówniarzu!”)

Przerażony cofnął się przed tym wewnętrznym głosem, szerzej rozwarł oczy i zacisnął na kocach ręce jak szpony. To nie był głos ojca, lecz zręczne naśladownictwo. Głos znajomy. Schrypły, brutalny, mimo to zabarwiony jakimś czczym humorem.

A więc jest tak blisko?

Odrzucił koc i spuścił nogi na podłogę. Kopnął stojące pod łóżkiem ranne pantofle, po czym je włożył. Podszedł do drzwi, otworzył je i pośpieszył w stronę głównego korytarza, szurając podszwami po puszystym chodniku. Skręcił za rogiem.

W korytarzu, w pół drogi między nim a schodami, stał na czworakach mężczyzna.

Danny znieruchomiał.

Mężczyzna podniósł na niego małe, czerwone oczka. Ubrany był w srebrzysty, zdobiony świecidełkami kostium. Kostium psa, uświadomił sobie Danny. Z zadu tego dziwnego stwora zwisał długi, miękki ogon z puszką na końcu. Na plecach kostium zapięty był aż po szyję na suwak. Po lewej stronie mężczyzny leżała psia lub wilcza głowa, z pustymi oczodołami nad pyskiem otwartym, jakby pies warczał bezsensownie. Spoza kłów, zrobionych chyba z *papier mache*, przeświecał deseń czarno-niebieskiego chodnika.

Usta, brodę i policzki mężczyzna umazane miał krwią.

Zaczął warczeć na Danny’ego. Uśmiechał się, lecz warczał naprawdę. Ten dźwięk, prymitywny, mrozący krew w żyłach, wydobywał się z głębi gardła. Potem mężczyzna zaszczekał. Zęby również miał czerwone. Poczłogał się ku Danny’emu, wlokąc za sobą bezkostny ogon. Psi łeb należący do przebrania pozostał na chodniku ze wzrokiem bezmyślnie wlepionym w punkt ponad ramieniem Danny’ego.

— Proszę mnie przepuścić — powiedział Danny.

— Zjem cię, chłopczyku — odrzekł pies-człowiek. Nagle z jego uśmiechniętych ust jak salwa karabinowa posypały się szczeknięcia. To człowiek naśladował psa, ale dzikość szczekania była autentyczna. Ciemne włosy mężczyzny lśniły, bo się pocił w ciasnym kostiumie. Jego oddech zalatywał mieszaniną szkockiej i szampana.

Danny się cofnął, lecz nie uciekał.

— Proszę mnie przepuścić.

— Co to, to nie, na mój ogon się klnę — odparł pies-człowiek. Jego czerwone oczka z uwagą wpatrywały się w twarz Danny’ego. Uśmiech nie schodził mu z warg. — Pożrę cię, chłopczyku. I coś mi się zdaje, że zacznę od twojego tłustego kutaska.

Swawolnie harcując, zaczął małymi susami posuwać się naprzód i warczeć.

Danny'ego opuściła odwaga. Umknął do korytarzyka, który prowadził do ich mieszkania, ale po drodze obejrzał się za siebie. Ściagała go seria szczęknięć, warknięć i wyc przerywanych niewyraźnym mamrotaniem i chichotami.

— Jazda! — krzyczał pijany pies-człowiek zza rogu. Głos miał wściekły i zrozpaczony zarazem. — Jazda, Harry, ty kurewski sukinsynu! Nie obchodzi mnie, ile masz kasyn, linii lotniczych i spółek filmowych! Wiem, co lubisz w zaciszu własnego d-domu! Jazda! Będę chuchał... i dmuchał... aż zdmuchnę Harry'ego Derwenta! — Zakończył przeciągłym, przeraźliwym wyciem, które przeszło jakby we wrzask wściekłości i bólu, a po chwili ucichło.

Danny zawrócił lekliwie i cicho ruszył w stronę sypialni na końcu korytarza. Otworzył drzwi i wetknął głowę do środka. Mama spała w tej samej pozycji co poprzednio. Tylko on jeden to słyszał.

Bezgłośnie zamknął drzwi, po czym doszedł do skrzyżowania korytarzy w nadziei, że pies-człowiek zniknął, tak jak znikła krew ze ścian apartamentu prezydenckiego. Ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Mężczyzna w psim przebraniu jeszcze tam był. Na powrót nasadził głowę i teraz brykał na czworakach przy klatce schodowej, goniąc za własnym ogonem. Od czasu do czasu zeskakiwał z chodnika i z psim charkotem przypadał do ziemi.

— Hau! Hau! Chrrrr! Wrrrr! — wydobywało się głucho ze stylizowanego pyska maski, a zmieszane z warczeniem odgłosy mogłyby uchodzić za łkania lub śmiech.

Danny wycofał się do sypialni i usiadł na swoim łóżeczku, zakrywszy oczy rękami. Obecnie hotel przejął kierownictwo. Może na początku te rzeczy, które się wydarzyły, to były tylko przypadki. Może na początku te rzeczy, które widział, istotnie przypominały straszne obrazki, niezdolne wyrządzić mu krzywdy. Ale teraz hotel panował nad tymi rzeczami, one zaś mogły wyrządzić krzywdę. Panorama nie chciała, aby poszedł do ojca. To mogłoby popsuć całą zabawę. Więc postawiła na jego drodze mężczyznę w psim kostiumie, tak jak między nimi trojgiem a szosą umieściła zwierzęta z żywopłotu.

Tata jednak mógł przyjść tutaj. I prędzej czy później to zrobi.

Danny się rozplakał, łzy bezgłośnie popłynęły mu po policzkach. Było za późno. Umrą wszyscy troje, a kiedy Panorama ponownie otworzy się pod koniec wiosny, będą tu na miejscu i powitają gości wraz z resztą duchów. Z kobietą w wannie. Z człowiekiem w psim kostiumie. Z tą okropną ciemną rzeczą znajdującą się w betonowym tunelu. Będą -

(Przestań! Przestań w tej chwili!)

Zapamiętałe ocierał łzy kłykciami. Ze wszystkich sił postara się temu zapobiec. Nie pozwoli, żeby to się przydarzyło jemu, jego tacie i mamie. Ze wszystkich sił się postara.

Zamknął oczy i wypuścił myśli wysoko jak twardą kryształową strzałę.

(Proszę Dick przyjeżdżaj szybko jesteście w strasznych tarapatach Dick potrzebujemy cię!)

I nagle w ciemności, gdzieś za oczami, ta rzecz, która ścigała go w snach po mrocznych korytarzach Panoramy, pojawiła się naprawdę, była tam, olbrzymia istota w bieli, z prehistoryczną maczugą wzniesioną nad głową.

— Zmuszę cię, żebyś przestał! Ty sakramencki szczeniaku! Zmuszę cię, żebyś przestał, bo jestem twoim ojcem!

— Nie! — Danny raptownie powrócił do rzeczywistości pokoju sypialnego, z oczami otwartymi szeroko, wytrzeszczonymi, z wrzaskiem bezradnie wydzierającym mu się z ust, podczas gdy jego matka, gwałtownie wyrwana ze snu, przycisnęła prześcieradło do piersi.

— Nie, tato, nie, nie, nie. . .

I oboje usłyszeli zjadliwy świst, z jakim niewidzialna maczuga gdzieś bardzo blisko przecięła powietrze. Później odgłos ten rozplynął się w ciszy, a on podbiegł do matki i przytulił się do niej, drżąc niczym królik w potrzasku.

Panorama nie pozwoli mu wezwać Dicka. To także mogłoby popsuć zabawę. Byli sami.

Na dworze śnieg padał coraz gęściejszy, zasłaniał ich przed światem.

Rozdział czterdziesty drugi

W powietrzu

O szóstej czterdzieści pięć rano czasu wschodnioamerykańskiego wezwano pasażerów do samolotu, którym miał lecieć Dick Hallorann. Ale jego zatrzymał przed wejściem numer 31 pracownik linii lotniczych. Dick stał, nerwowo przekładając torbę podróżną z ręki do ręki aż do ostatniego wezwania o szóstej pięćdziesiąt pięć. Obaj wypatrywali mężczyzny nazwiskiem Carlton Vecker, jedyne go pasażera linii lotniczych TWA, numer rejsu 196 z Miami do Denver, który dotychczas nie zgłosił się do odprawy.

— Dobra — powiedział urzędnik i wręczył Hallorannowi niebieską kartę pokładową pierwszej klasy. — Poszczęściło się panu. Może pan wsiadać.

Hallorann pośpieszył krytym wejściem, podał machinalnie uśmiechniętej stewardesie kartę, którą mu zwróciła po oddarciu odcinka.

— W samolocie podajemy śniadanie — oznajmiła stewardesa. — Jeśli pan chce...

— Tylko kawę, dziecino — odparł i ruszył w stronę miejsc dla palących. Wciąż oczekiwał, że Vecker, który się nie zgłosił, wyskoczy w ostatniej sekundzie zza drzwi jak diabeł z pudełka. Kobieta siedząca przy oknie z kwaśną, pełną niedowierzania miną czytała „Możesz być swoją najlepszą przyjaciółką”. Hallorann zapiął pas, po czym zacisnął duże czarne dłonie na poręczach fotela i ostrzegł nieobecnego Carltona Veckera, że musiałby wziąć do pomocy pięciu krzepkich facetów z personelu TWA, gdyby go zechciał wywlec z tego miejsca. Nie spuszczał oczu z zegarka odmierzającego minuty do startu o godzinie siódmej z powolnością, która doprowadzała do szału.

Pięć po siódmej stewardesa poinformowała ich, że nastąpi małe opóźnienie spowodowane koniecznością ponownego sprawdzenia przez obsługę naziemną jednego z zatrząsków luku bagażowego.

— Tępe pały — mruknął Dick Hallorann.

Kobieta o bystrej twarzy spojrzała na niego z kwaśną, pełną niedowierzania miną i znów zajęła się książką.

Noc spędził na lotnisku, chodząc od lady do lady — linii United, American, TWA, Continental, Braniff — i polując na kasjerów. W pewnym momencie, po północy, kiedy wypijał ósmą czy dziewiątą filiżankę kawy w bufecie, stwierdził, że jak dureń wziął to wszystko na swoje barki. Są przecież ludzie do tego powołani. Podszedł do najbliższego rzędu telefonów i po rozmowie z trzema różnymi telefonistkami dostał numer Zarządu Parku Narodowego w Górach Skalistych, pod który należało dzwonić w nagłych wypadkach.

Sądząc po głosie, mężczyzna przy aparacie był całkowicie wyczerpany. Hallorann podał fałszywe nazwisko i powiedział, że w hotelu Panorama na zachód od Sidewinder dzieje się coś złego. Coś bardzo złego.

Kazano mu czekać.

Strażnik (Hallorann zakładał, że to strażnik) odezwał się po upływie mniej więcej pięciu minut.

— Mają krótkofalówkę — rzekł.

— Pewnie, że mają — zgodził się Hallorann.

— Nie wzywali nas w nagłej potrzebie.

— To nie ma znaczenia, człowieku. Oni. . .

— Co się tam właściwie dzieje, panie Hall?

— No, tam jest rodzina. Dozorca z rodziną. Podejrzewam, że lekko zszikował, wie pan. Moim zdaniem, mógł zrobić krzywdę żonie i synkowi.

— Czy wolno zapytać o źródło tych pańskich informacji?

Hallorann zamknął oczy.

— Twoje nazwisko?

— Tom Staunton, proszę pana.

— No więc, Tom, ja wiem. Wyrażę to możliwie najprościej. Dzieje się tam coś złego. Może ktoś kogoś zabija, kapujesz?

— Ja naprawdę muszę wiedzieć, skąd pan, panie Hall. . .

— Posłuchaj — przerwał Hallorann. — Mówię ci, że wiem. Parę lat temu był tam facet nazwiskiem Grady. Zamordował żonę i dwie córki, a potem sobie odebrał życie. Powiadam ci, że to się powtórzy, jeśli nie ruszycie tyłków i nie pojedziecie, aby temu zapobiec!

— Pan nie dzwoni z Kolorado, panie Hall.

— Nie. Ale co to za różnica. . .

— Jeśli nie jest pan w Kolorado, nie znajduje się pan w zasięgu ich fal. Jeśli nie znajduje się pan w zasięgu ich fal, to zapewne nie mógł się pan kontaktować z, hm. . . — Cichy szelest kartek. — Z rodziną Torrance'ów. Prosiłem, żeby pan zaczekał, i przez ten czas próbowałem się dodzwonić. Aparat nie działa, rzecz całkiem zwyczajna. Między hotelem a stacją przełącznikową w Sidewinder przewody naziemne ciągną się jeszcze na odcinku dwudziestu pięciu mil. Dochodzę do wniosku, że to pan musi być troszkę stuknięty.

— Och, ty głupi. . . — Ale pod wpływem ogromnej rozpaczony Hallorann nie potrafił do tego przymiotnika dobrać odpowiedniego rzeczownika. Nagłe olśnienie. — Nawiąż z nimi łączność! — krzyknął.

— Słucham?

— Ty masz krótkofalówkę i oni mają. Nawiąż z nimi łączność. Nawiąż łączność i spytaj, co się dzieje.

Na chwilę zapadło milczenie, słychać było tylko trzaski w przewodach.

— To też próbowałeś zrobić, prawda? — zapytał Hallorann. — Dlatego kazałeś mi tak długo czekać? Próbowałeś dzwonić, potem próbowałeś nawiązać łączność radiową, nie udało ci się, ale uważasz, że wszystko jest w porządku. . . Czym wy się tam zajmujecie? Siedzicie na tyłkach i rżnicie w karty?

— Nie, nie siedzimy — odrzekł Staunton ze złością. Hallorannowi ta gniewna nuta przyniosła ulgę. Po raz pierwszy miał wrażenie, że rozmawia z człowiekiem, nie zaś z głosem nagrany na taśmę. — Jestem tu sam jeden, proszę pana. Pozostali strażnicy z parku plus gajowi, plus ochotnicy są w Hasty Notch i narażają życie, bo trzech głupich durniów z półrocznym doświadczeniem postanowiło spróbować wspinaczki na północną ścianę King's Ram. Utknęli w połowie drogi i może zejść na dół, a może nie zejść. Są tam dwa helikoptery i piloci ryzykują życie, bo tu jest noc i zaczyna padać śnieg. Więc jeśli nadal trudno panu poskładać to wszystko do kupy, służę pomocą. Po pierwsze, nie mam kogo posłać do Panoramy. Po drugie, Panorama nie jest najważniejsza — najważniejsze jest to, co się dzieje w parku. Po trzecie, nad ranem żaden z tych helikopterów nie będzie mógł latać, bo krajowi synoptycy zapowiadają szalone opady śniegu. Rozumie pan, jaka jest sytuacja?

— Taak — odparł cicho Hallorann. — Rozumiem.

— Domyślam się, że nie mogłem nawiązać z nimi łączności z bardzo prostej przyczyny. Nie wiem, która jest tam u pana godzina, ale tutaj mamy dziewięć trzydzieści. Może wyłączyli krótkofalówkę i poszli spać. Więc jeśli pan. . .

— Powodzenia z amatorami wspinaczki — powiedział Hallorann. — Ale chcę cię poinformować, że nie oni jedni utknęli w górach, bo nie wiedzieli, w co się pakują.

Powiesił słuchawkę.

O siódmej dwadzieścia rano TWA 747 ociążale wykołował ze swego stanowiska, zawrócił i potoczył się na pas startowy. Hallorann odetchnął z przeciągłym, bezdźwięcznym sapaniem. Martw się, Carltonie Vecker, gdziekolwiek jesteś.

Samolot oderwał się od ziemi o siódmej dwadzieścia osiem, a w trzy minuty później, kiedy nabral wysokość, w głowie Dicka Halloranna ponownie odpaliła myśl. Dick pochylał się bezradnie, czując zapach pomarańczy, i po plecach przebiegł mu spazmatyczny dreszcz. Jego czoło pokryły zmarszczki, usta ściągnął bo-

lesny grymas.

(!!! Proszę Dick przyjeżdżaj szybko jesteśmy w strasznych tarapatkach Dick potrzebujemy cię!!!)

I to było wszystko. Nagle się skończyło. Tym razem nie zanikało powoli. Połączenie zostało przerwane równo jak nożem uciął. To napełniło go strachem. Dłonie, wciąż zaciśnięte na poręczach fotela, niemal mu zbieleły. W ustach zaschło. Coś przydarzyło się chłopcu. Tego był pewien. Jeśli ktoś skrzywdził tego dzieciaka...

— Czy zawsze tak gwałtownie reaguje pan na starty?

Obejrzał się. Pytanie zadała kobieta w okularach w rogowej oprawie.

— Nie o to chodzi — odparł. — Mam stalową płytkę w głowie. Z Korei. Od czasu do czasu sprawia mi ból. Wibruje, wie pani. Zniekształca sygnał.

— Naprawdę?

— Tak, proszę pani.

— Ostatecznie to żołnierz frontowy płaci za interwencję w obcym kraju — orzekła ponuro kobieta o ostrych rysach.

— Naprawdę?

— Tak. Ten kraj musi się odzegnać od swoich brudnych wojen. U podstaw każdej brudnej wojny, jaką Ameryka toczyła w tym stuleciu, znajdowała się CIA. CIA i polityka dolarowa.

Otworzyła książkę i zaczęła czytać. Zgasł napis „Nie palić”. Hallorann obserwował oddalającą się ziemię, ciekaw, czy chłopcu nie stało się nic złego. To dziecko wzbudziło jego sympatię, chociaż rodziców miało takich sobie.

W Bogu pokładał nadzieję, że pilnują Danny’ego.

Rozdział czterdziesty trzeci

Drinki na koszt firmy

Jack stał w jadalni pod drzwiami barowymi prowadzącymi do salonu Kolorado i nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Uśmiechał się blado.

Wokół niego Panorama zaczynała pulsować życiem.

Trudno powiedzieć, skąd to wiedział, domyślał się jednak, że coś podobnego postrzega niekiedy Danny... jaki ojciec, taki syn. Jest przecież takie popularne powiedzonko.

Nie były to wrażenia wzrokowe ani słuchowe, lecz coś bardzo do nich zbliżonego, ukrytego przed zmysłami wzroku i słuchu za najcieńszą postrzeżeniową zasłonką. Zupełnie jakby inna Panorama stała o parę zaledwie cali za tą, oderwana od świata rzeczywistego (jeśli istnieje coś takiego, jak „świat rzeczywisty”, pomyślał Jack), lecz stopniowo przekształcająca się w jej przeciwwagę. Przypominało mu to filmy trójwymiarowe, oglądane w dzieciństwie. Jeśli patrzyłeś na ekran bez specjalnych okularów, widziałeś obraz podwójny — coś podobnego czuł w tej chwili. Ale kiedy je włożyłeś, nabierało to sensu.

Wszystkie ery hotelowe połączyły się teraz, wszystkie prócz obecnej, ery Torrance'ów. I ona jednak już wkrótce się z nimi połączy. To dobrze. To bardzo dobrze.

Nieomal słyszał zarozumiałe dzyń! dzyń! posrebrzanego dzwonka na ladzie recepcji, przywołującego chłopców hotelowych do holu, gdy przybyli mężczyźni w modnych prążkowanych dwurzędówkach z lat czterdziestych. Trzy zakonnice siedziały przed kominkiem i czekały, aż zmaleje kolejka do kasy, za nimi stali Charles Grondin i Vito Gienelli, wymuskani, z brylantowymi szpilkami we wzorzystych granatowo-białych krawatach, pogrążeni w dyskusji na temat zysków i strat, życia i śmierci. Niektóre z kilkunastu ciężarówek przy rampach na tył hotelu nakładały się na siebie, jakby je sfotografowano, źle obliczywszy czas naświetlania. W sali balowej odbywało się prawie równocześnie kilka różnych zjazdów handlowych. Trwał bal kostiumowy. Organizowano wieczorki, wesela, przyjęcia urodzinowe i jubileuszowe. Mężczyźni rozmawiali o Neville'u Cham-

berlainie i arcyksięciu austriackim. Muzyka. Śmiech. Pijaństwo. Histeria. Mało miłości, tu jej nie ma, ale pod powierzchnią przepływa nieustanny prąd zmysłowości.

I prawie słyszał ich wszystkich naraz, jak przesuwają się przez hotel i tworzą wdzięczną kakofonię. W miejscu, gdzie stał, w jadalni tuż za jego plecami podawano jednocześnie wszystkie śniadania, lunche i obiady przygotowane w ciągu siedemdziesięciu lat. Niemal... nie, wykreślić to „niemal”. Słyszał ich, początkowo z oddali, lecz wyraźnie — jak w upalny letni dzień słyszy się grzmot z odległości wielu mil. Słyszał ich wszystkich, tych pięknych nieznajomych. Zaczynał uświadamiać sobie ich obecność, tak jak oni od samego początku musieli być świadomi jego obecności.

Wszystkie pokoje Panoramy były tego ranka zajęte.

Pełny hotel.

Za drzwiami barowymi stłumiony szmer rozmów unosił się i wirował leniwie jak dym z papierosa. Rozmów bardziej wyrafinowanych, bardziej intymnych. Niski, gardłowy śmiech kobiecy, z tych, co to zataczają czarodziejskie kręgi wokół podbrzusza i genitaliów. Szczęk kasy rejestrującej, z okienkiem łagodnie oświetlonym w ciepłym półmroku, ogłasza ceny dzinu z wodą sodową i limą, manhattanu, tarniówki z wodą sodową i cytryną, mocnego koktajlu. Z szafy grającej płyną pijackie melodie, zazębione o siebie w czasie.

Jack Torrance pchnął drzwi i wszedł do środka.

— Czołem, chłopaki — powiedział cicho. — Nie było mnie, ale wróciłem.

— Dobry wieczór panu — odezwał się Lloyd, szczerze ucieszony. — Miło pana widzieć.

— Miło wrócić, Lloyd — odparł z powagą Jack i usiadł okrakiem na stołku między mężczyzną w garniturze o ostrej barwie granatu a kobietą w czarnej sukni, zmętniałymi oczami wpatrzoną w głąb szklanki z rumem, dżinem i przyprawami korzennymi.

— Co podać, panie Torrance?

— Martini — odrzekł wielce uradowany. Rozejrzał się po barze, po rzędach mętnie połyskujących butelek, ze srebrnymi rurkami w szyjkach. Jim Beam. Wild Turkey. Gilby's. Sharrod's Private Label. Toro. Seagram's. Znów w domu.

— Jednego dużego Marsjanina, jeśli można — poprosił. — Marsjanie wylądowali gdzieś na świecie, Lloyd. — Wyciągnął portfel i ostrożnie położył dwudziestkę na blacie.

Kiedy Lloyd przyrządził mu napój, Jack popatrzył do tyłu. Wszystkie łóżka były zajęte. Niektórzy goście mieli na sobie kostiumy... kobieta w przezroczystych haremowych hajdawerach i staniku usianym kryształami górskimi, mężczyzna z lisim łbem sterczącym chytrze z wieczorowego garnituru, mężczyzna w srebrzystym psim przebraniu, który ku ogólnemu rozbawieniu łechtął puszystym czubkiem swego długiego ogona nos kobiety w sarongu.

— Nie płaci pan — oznajmił Lloyd, stawiając szklankę na dwudziestodolarówce Jacka. — Pańskie pieniądze są tu do niczego. Rozkaz dyrektora.

— Dyrektora?

Owładnął nim lekki niepokój; mimo to uniósł szklankę z martini i okręcił ją, patrząc, jak oliwka na dnie podskakuje nieznacznie w chłodnych głębinach trunku.

— A jakże. Dyrektora. — Lloyd bardziej rozchylił wargi w uśmiechu, lecz jego oczy ginęły w cieniu oczodołów, skóra zaś była potwornie biała, jakby trupia. — Później osobiście zatroszczy się o pańskiego syna. Jest nim ogromnie zainteresowany. Danny to dziecko utalentowane.

Jałowcowe opary dżinu podrażniały przyjemnie, ale chyba zaćmiewały też umysł. Danny? O co tu chodzi? I co on, Jack, robi w barze ze szklanką w ręce?

Zobowiązał się. Rzucił picie. Odzegnał się od niego.

Czego oni mogą chcieć od jego syna? Czego mogą chcieć od Danny'ego? Wendy i Danny nie mają z tym nic wspólnego. Usiłował zajrzeć w ocienione oczy Lloyda, było jednak za ciemno, za ciemno, przypominało to próbę dopatrzenia się uczuć w pustych oczodołach czaszki.

(To mnie muszą chcieć... prawda? O mnie im chodzi. Nie o Danny'ego, nie o Wendy. To mnie tak bardzo się tu podoba. Oni chcieli wyjechać. To ja załatwiłem śniegołaza... przeglądałem stare rejestry... spuszczałem parę z kotła... kłamałem... właściwie zaprzedałem duszę... czego oni mogą chcieć od niego?)

— Gdzie jest dyrektor? — Choć starał się nadać pytaniu ton obojętny, słowa wydobyły się z ust już zdrewniałych po wypiciu pierwszego drinka i przypominały raczej słowa wypowiedane w koszmarze niż w błogim śnie.

Lloyd tylko się uśmiechnął.

— Czego chcecie od mojego syna? Danny nie ma z tym nic wspólnego... prawda? — Dosłyszał jawne błaganie w swym głosie.

Twarz Lloyda jakby się rozpląnęła, zmieniła, stała się niezdrowa. Biała skóra pożółkła chorobliwie, popękała. Pootwierały się na niej czerwone wrzodzianki, z których kapała smrodliwa ciecz. Kropelki krwi wystąpiły na jego czole niczym pot, a srebrzyste dzwonek wybijał gdzieś kwadrans.

(Zrzucić maski, zrzucić maski!)

— Niech pan pije — powiedział Lloyd łagodnie. — To nie pańska sprawa. Na razie.

Więc znów wziął do ręki szklankę, podniósł ją do ust i zawahał się. Usłyszał suchy, straszny trzask łamanej ręki Danny'ego. Zobaczył pogruchotany rower wzlatający nad maskę samochodu Ala, rozbitą szybę. Ujrzał jedno koło na szosie, z poskręcanyimi szprychami, wymierzonymi w niebo jak pozrywane struny fortepianowe.

Uświadomił sobie, że wszystkie rozmowy ucichły.

Popatrzył przez ramię. Zebrani goście obserwowali go wyczekująco, w milczeniu. Mężczyzna obok kobiety w sarongu zdjął lisią głowę i Jack stwierdził, że to Horacy Derwent z jasnoblond włosami rozsypanymi na czole. Pozostałe osoby przy barze też patrzyły. Sąsiadka śledziła go bacznie, jakby starając się skoncentrować. Suknia zsunęła jej się z ramienia i Jack, spuściwszy oczy, dostrzegł obwisłą pierś zakończoną lekko pomarszczonym sutkiem. Kiedy ponownie podniósł wzrok na twarz, zaczęło mu się wydawać, że mogłaby to być kobieta z pokoju 217, ta, która chciała udusić Danny'ego. Po drugiej stronie mężczyzna w granatowym garniturze wyjął z kieszeni marynarki pistolecik kalibru 32, o rękojeści wykładanej masą perłową, i leniwie puszczał go w ruch wirowy na ladzie, jakby zaprzątnięty myślą o rosyjskiej ruletce.

(Chcę...)

Pojął, że zmrożone struny głosowe nie przepuszczają słów, i spróbował od nowa.

— Chcę się widzieć z dyrektorem. On... on nie rozumie. Mój syn nie ma nic do tego. On...

— Proszę pana — głos Lloyda z ohydną łagodnością wydobywał się z poznaczonej krostami twarzy — spotka się pan z dyrektorem we właściwym czasie. Mówiąc szczerze, postanowił posłużyć się panem w tej sprawie. Teraz proszę się napić.

— Proszę się napić — powtórzyli wszyscy jak echo. Rozdygotaną ręką uniósł szklanę. Zawierała czysty dżin.

Zajrzał do środka, a to patrzenie przypominało tonięcie.

Kobieta obok niego zaczęła śpiewać bezbarwnym, martwym głosem:

*Wytocz beczkę, troszeczkę, a będziemy
mieli śmiechu beczkę...*

Lloyd podchwycił piosenkę. Potem mężczyzna w granatowym ubraniu. Człowiek-pies przyłączył się, wybijając łapą rytm na stole.

Pora już wytoczyć beczkę...

Głos Derwenta rozbrzmiał wraz z innymi. Derwent trzymał w kąciку ust zawiadacko wetkniętego papierosa. Prawym ramieniem otaczał plecy kobiety w sarongu, prawą dłonią delikatnie i w roztargnieniu gładził jej prawą pierś. Ze wzgardliwym rozbawieniem patrzył na człowieka w psim przebraniu i śpiewał:

...bo banda cala... tu się zebrała!

Jack podniósł trunek do ust i wychylił go trzema długimi haustami. Dżin przeleciał mu przez gardło jak wóz meblowy przez tunel, eksplodował w żołądku, odbił się i jednym susem wskoczył do głowy, zawładnął nim, przyprawił o ostatni spazmatyczny atak dreszczy.

Po ataku Jack poczuł się świetnie.

— Jeszcze raz — rzekł, podsuwając pustką szklankę Lloydowi.

— Już się robi. — Lloyd wziął szklankę do ręki. Teraz wygląd miał najzupełniej normalny. Człowiek o oliwkowej cerze odłożył pistolet. Kobieta na prawo od Jacka znów wpatrywała się w swój trunek. Jedna pierś, całkowicie już obnażona, spływała na skórzane obramowanie lady. Z obwisłych warg kobiety wydobywało się tępe zawrodożenie. Warsztat tkacki rozmowy ruszył znowu, przeplatając wątki. Przed Jackiem pojawił się następny koktajl.

— *Muchas gracias*, Lloyd. — Podniósł szklankę.

— Zawsze z przyjemnością panu podaję — powiedział Lloyd z uśmiechem.

— Ty byłeś najlepszy ze wszystkich, Lloyd.

— Dziękuję panu.

Tym razem pił powoli, pozwalał, by alkohol cienką strużką spływał mu do gardła, i wrzucał do zsypu po parę orzeszków na szczęście.

Ani się obejrzał, szklanka była pusta, więc zamówił trzecią. Panie prezydencie, spotkałem Marsjan i rad jestem donieść, że są nastawieni przyjaźnie. Lloyd przyrządził kolejnego drinka, a on tymczasem zaczął szukać w kieszeniach dwudziestopięciocentówki, którą chciał wrzucić do szafy grającej. Znów pomyślał o Danny, lecz twarz syna stała się teraz przyjemnie zamazana i niewyraźna. Kiedyś zrobił Danny'emu krzywdę, było to jednak dawno temu, zanim nauczył się pić. Ten okres ma już za sobą. Nigdy więcej nie zrobi Danny'emu krzywdy.

Za nic w świecie.

Rozdział czterdziesty czwarty

Rozmowy podczas balu

Tańczył z piękną kobietą.

Nie miał pojęcia, która to godzina, jak długo zabawił w salonie Kolorado ani od jak dawna przebywa tutaj, w sali balowej. Czas przestał się liczyć.

Zachował niejasne wspomnienia: mężczyzny, który niegdyś odnosił sukcesy jako komik radiowy, a później gwiazdor teatryku rewiowego w niemowlęcym okresie telewizji, opowiadającego bardzo długi i bardzo zabawny dowcip o kazi-rodczym związku między syjamskimi bliźniętami; kobiety w haremowych hajdawerach i usianym cekinami staniku powoli, wężowymi ruchami robiącej striptiz w takt donośnej, zgrzytliwej muzyki z szafy grającej (chyba melodii przewodniej z filmu „The Stripper”, kompozytora Davida Rose’a); przejścia przez hol z dwoma kompanami w wieczorowych strojach z lat dwudziestych i wyśpiewywania z nimi o sztywnej płamie na reformach Rosie O’Grady. Jakby pamiętał, że przez duże drzwi dwuskrzydłowe widział japońskie lampiony, wdzięcznymi łukami rozwieszane wzdłuż półkolistego podjazdu — jarzące się pastelowo niczym ciemne klejnoty. Pod sufitem werandy świeciła duża szklana kula, w którą uderzały zlatujące się do niej nocne owady. Jakaś jego cząstka, może ostatnia maleńka iskierka trzeźwości, usiłowała mu wytłumaczyć, że jest grudzień, godzina szósta rano. Czas został jednak przekreślony.

*Argumenty przeciwko pomieszaniu zmysłów
padają z lekkim szelestem
jeden na drugi...*

Kto to był? Jakiś poeta czytany w latach studenckich? Student poeta sprzedający obecnie pralki w Wausau albo polisy ubezpieczeniowe w Indianapolis? Może myśl oryginalna? Mniejsza z tym.

*Ciemna jest noc,
rój gwiazd nad nami,*

*po niebie płynie
ciasto z rodzynekami...*

Zachichotał bezradnie.

— Co cię rozśmieszyło, skarbie?

I oto znów był w sali balowej. Płonął żyrandol, pary kręciły się dokoła nich, jedne w kostiumach, inne nie, w rytm łagodnych dźwięków jakiejś powojennej orkiestry — ale która to była wojna? Czy można mieć pewność?

Nie, skądże znowu. Jednego tylko był pewny: że tańczy z piękną kobietą.

Wysoka, o kasztanowatych włosach, w obcisłej sukni z białego atłasu, delikatnie, słodko przytulała w tańcu biust do jego piersi. Palce białej ręki splatała z jego palcami. Na oczach miała iskrzącą się kocią maseczkę, włosy szesane na bok spływały w dolinę między ich ramionami miękką, połyskliwą falą i tworzyły tam rozlewisko. Choć suknię miała sutą od pasa, wyczuwał niekiedy nogami dotyk jej ud i utwierdzał się w przekonaniu, że pod tą suknią jest naga, gładka i upudrowana,

(aby tym lepiej czuć twoją erekcję, mój drogi)

więc popisowywał się prawdziwym kołkiem w płocie. Jeśli była zgorszona, potrafiła dobrze to ukryć; tym mocniej tuliła się do niego.

— Nic mnie nie rozśmieszyło, skarbie — odparł i znów zachichotał.

— Podobasz mi się — szepnęła, on zaś pomyślał, że pachnie liliami — utajonymi, skrytymi w szczelinach porośniętych zielonym mchem, w miejscach, gdzie krótkie są promienie słońca, cienie natomiast długie.

— I ty mi się podobasz.

— Gdybyś zechciał, moglibyśmy pójść na górę. Niby jestem tu z Harrym, ale on niczego nie zauważy. Tak bardzo jest zajęty dokuczaniem biednemu Rogerowi.

Muzyka się skończyła. Rozbrzmiały rzadkie oklaski, po czym orkiestra, prawie nie robiąc przerwy, zagrała „Mood Indigo”.

Ponad jej nagim ramieniem Jack dojrzał Derwenta stojącego przy bufecie. Towarzyszyła mu dziewczyna w sarongu. Na stole przykrytym cienkim białym płótnem stał rząd butelek szampana w kubelkach z lodem, Derwent zaś trzymał w ręce spienioną butelkę. Otaczała go grupka roześmianych osób. Przed Derwentem i dziewczyną w sarongu Roger groteskowo brykał na czworakach, wlokąc za sobą wiotki ogon. Szczekał.

— Mów, chłopcze, mów! — zawołał Harry Derwent.

— Hau! Hau! — odpowiedział Roger. Wszyscy klaskali; paru mężczyzn gwizdnęło.

— A teraz służyć. Służyć, piesku!

Roger stanął na tylnych nogach. Pysk jego maski zastygł w wyrazie wiecznego warczenia. W głębi otworów Roger wywracał oczami, pocąc się z szalonej wesołości. Wyciągał ramiona i przebierał łapami.

— Hau! Hau!

Derwent przechylił butelkę szampana i na podniesioną maskę spłynęła pianista Niagara. Roger siorbał zapamiętałe i wszyscy znów bili brawo. Niektóre kobiety zanosily się piskliwym śmiechem.

— Czy Harry to nie numer? — zapytała partnerka Jacka i znowu przytuliła się do niego. — Wszyscy tak uważają. On jest bi, wiesz. Biedny Roger jest tylko homo. Spędził kiedyś z Harrym weekend na Kubie... och, wiele miesięcy temu. Teraz wszędzie łązi za nim, merdając tym swoim ogonkiem.

Zachichotała. Nieśmiały zapach lilii uniósł się w górę.

— Ale oczywiście Harry nie prosi o dokładkę... przynajmniej pedziów... a Roger wprost szaleje. Harry mu powiedział, że jeśli przyjdzie na bal maskowy w przebraniu pieska, ślicznego małego pieska, to może się namyśli, z Rogera zaś taki głupek, że...

Popis się skończył. Zabrzmiały nowe oklaski. Członkowie orkiestry rzędem schodzili z estrady na przerwę.

— Wybacz, mój słodki — powiedziała. — Jest ktoś, z kim dosłownie muszę... Darła! Darła kochana, gdzie byłaś?

Zaczęła się przeciskać przez tłum zajęty jedzeniem i pić, a Jack gapił się za nią głupawo, nie pojmując, jak to się stało, że w ogóle tańczył z tą kobietą. Nie pamiętał. Wydarzenia jakby nie miały ze sobą związku. Najpierw tu, później tam, potem wszędzie. W głowie mu się kręciło. Czuł zapach lilii i jagód jałowca. Przy bufecie Derwent trzymał teraz małą trójkątną kanapkę nad głową Rogera i ku uciechu widzów zachęcał go, żeby fiknął koziołka. Psia maska zwrócona była w górę. Srebrzyste boki psiego kostiumu wzdymały się i zapadały. Nagle Roger skoczył, ze spuszczoną głową, próbując zrobić salto w powietrzu. Odbił się jednak za słabo, zbyt wyczerpany, więc niezdarnie wylądował na plecach, wyrzawszy czaszką o podłogę. Z psiej maski wydobyło się głuche stęknienie.

Derwent zachęcał do oklasków.

— Spróbuj jeszcze raz, piesku! Spróbuj jeszcze!

Widzowie podchwycili okrzyk — spróbuj jeszcze raz, spróbuj jeszcze — a Jack niepewnym krokiem ruszył w przeciwną stronę, czując się dziwnie chory.

Omal się nie przewrócił na wózek z trunkami popychany przez mężczyznę o niskim czole, w białej kurtce kelnerskiej. Potracił chromowaną dolną półkę wózka; butelki z wetkniętymi w szyjki rurkami melodyjnie ze sobą pogwarzyły.

— Przepraszam — powiedział Jack stłumionym głosem. Nagle wydało mu się, że jest osaczony, doznał uczucia klaustrofobii; zapragnął stąd wyjść. Chciał, aby Panorama była taka jak przedtem... bez tych niepożądanych gości. Nie został uhonorowany, nie przyznano mu pierwszego miejsca; znajdował się wśród dziesięciu tysięcy wiwatujących statystów, był pieskiem na rozkaz fikającym kozły i służącym.

— Nic nie szkodzi — odparł mężczyzna w białej kurtce. W zestawieniu z tą gębą zbira grzeczny ton i typowo angielskie połykanie zgłosek wywierały surrealistyczne wrażenie. — Napije się pan?

— Martini.

Z tyłu znów dobiegł wybuch śmiechu; Roger wył na melodię „Home on the Range”. Ktoś wystukiwał akompaniament na małym fortepianie Steinwaya.

— Służę.

Wciśnięto mu do ręki oszronioną szklankę. Pił z wdzięcznością, bo czuł, że dżin atakuje i rozprasza pierwsze oddziały nacierającej trzeźwości.

— Dobry, proszę pana?

— Znakomity.

— Dziękuję panu. — Wózek potoczył się dalej.

Nagle Jack wyciągnął rękę i dotknął ramienia kelnera.

— Słucham pana.

— Przepraszam, ale... jak się pan nazywa?

Tamten nie okazał zdziwienia.

— Grady, proszę pana. Delbert Grady.

— Przecież pan... chcę powiedzieć, że...

Barman spoglądał na niego grzecznie. Jack znów podjął próbę, chociaż dżin i poczucie nierzeczywistości utrudniały mówienie; każde słowo zdawało się duże jak kostka lodu.

— Nie był pan tu kiedyś dozorcą? Kiedy pan... kiedy... — Nie mógł jednak dokończyć. Nie mógł tego powiedzieć.

— Skądże znowu, proszę pana. Nie.

— Ale pańska żona... córki...

— Moja żona pomaga w kuchni, proszę pana. Dziewczynki oczywiście śpią. Dla nich pora jest o wiele za późna.

— Pan był dozorcą. Pan... — Och, powiedz to wreszcie! — Pan je zabił.

Twarz Grady'ego pozostała grzecznie obojętna.

— Zupełnie sobie tego nie przypominam, proszę pana.

Szklanka Jacka była pusta. Grady wyjął mu ją z palców nie stawiających oporu i zabrał się do przyrządzania następnego drinka. Na wózku stał biały plastikowy kubek z oliwkami. Z jakiegoś powodu przypominały Jackowi małe ucięte głowy. Grady zgrabnie nadział jedną z nich na szpikulec i wpuścił do szklanki, którą podał Jackowi.

— Ale pan...

— To pan jest dozorcą, proszę pana — odrzekł łagodnie Grady. — Zawsze pan nim był. Ja powinienem to wiedzieć. Byłem tu przez cały czas. Obu nas zaangażował równocześnie ten sam dyrektor. Dobry, proszę pana?

Jack przełknął koktajl. W głowie mu wirowało.

— Pan Ullman...

— Nie znam nikogo o tym nazwisku, proszę pana.

— Ale on...

— Dyrektor — powiedział Grady. — Hotel, proszę pana. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, kto pana zaangażował.

— Nie — odrzekł Jack niewyraźnie. — Nie, ja...

— Chyba musi pan to przedyskutować ze swoim synem, panie Torrance. On wszystko rozumie, mimo że pana nie objaśnił. To dość niegrzecznie z jego strony, jeżeli wolno mi być tak śmiałym, proszę pana. W rzeczy samej stawiał się panu niemal na każdym kroku, prawda? A ma niespełna sześć lat.

— Tak — przyznał Jack. — Istotnie się stawiał. — Zza ich pleców napłynęła kolejna fala śmiechu.

— Należy go ukarać, jeśli wolno mi to powiedzieć. Należy mu się ostra reprimenda, a może i coś więcej. Moje dziewczynki, proszę pana, nie przepadały początkowo za Panoramą. Jedna z nich ukradła mi nawet paczkę zapalek i próbowała podpalić hotel. Więc je ukarałem. Ukarałem je bardzo surowo. A kiedy żona próbowała mi przeszkodzić w spełnieniu obowiązku, ją też ukarałem. — Obdarzył Jacka łagodnym, nic nie znaczącym uśmiechem. — Według mnie to smutne, lecz prawdziwe, że kobiety z rzadka rozumieją, na czym polega odpowiedzialność ojca za dzieci. Mężowie i ojcowie są za pewne rzeczy odpowiedzialni, prawda, proszę pana?

— Tak — przyznał Jack.

— One nie kochały Panoramy tak jak ja — podjął Grady i zaczął mu przyrządzać kolejnego drinka. Srebrne bąbelki podniosły się w przechylonej butelce dżinu. — Podobnie jak pański syn i żona jej nie kochają... przynajmniej teraz. Ale pokochają. Musi im pan wytknąć błędne postępowanie, panie Torrance. Zgadza się pan?

— Tak. Zgadzam się.

Dostrzegał to istotnie. Był w stosunku do nich za mało wymagający. Mężowie i ojcowie są za pewne rzeczy odpowiedzialni. Ojciec wie najlepiej. Oni nie rozumieli. To jeszcze nie przestępstwo, oni jednak nie rozumieli z premedytacją. Zazwyczaj nie był surowy. Ale wierzył w karę. Jeśli zaś syn i żona z premedytacją sprzeciwiali się jego życzeniom, sprzeciwiali się rzeczom w jego przekonaniu dla nich najlepszym, to czyż nie miał obowiązku?...

— Niewdzięczne dziecko rani bardziej niż ząb węża — rzekł Grady, podając mu szklankę. — Moim zdaniem, dyrektor mógłby zmusić pańskiego syna, aby się przystosował. A pańska żona wkrótce poszłaby za jego przykładem. Zgadza się pan?

Wtem ogarnęła go niepewność.

— Ja... ale... gdyby mogli po prostu wyjechać... To znaczy, przecież dyrektorowi zależy na mnie, prawda? Tak musi być. Bo... — Bo co? Powinien wiedzieć, lecz nagle się zagubił. Och, kręciło mu się w biednej głowie.

— Niedobry pies! — mówił głośno Derwent, czemu towarzyszył śmiech. — Niedobry pies, susia na podłogę.

— Oczywiście pan wie — ciągnął Grady, pochylając się konfidencjonalnie nad wózkiem — że pański syn usiłuje w to zamieszać kogoś z zewnątrz. Pański syn posiada ogromny dar, który dyrektor mógłby wykorzystać w celu dalszego udoskonalenia Panoramy, w celu dalszego... powiedzmy, jej wzbogacenia. Ale pański syn próbuje obrócić ten właśnie talent przeciwko nam. Jest samowolny, panie Torrance. Samowolny.

— Kogoś z zewnątrz? — zapytał Jack głupio.

Grady skinął głową.

— Kogo?

— Czarnucha — odparł Grady. — Czarnego kucharza.

— Halloranna?

— Chyba rzeczywiście tak się nazywa, proszę pana, tak.

Po kolejnej salwie śmiechu Roger skomlącym głosem wyraził jakiś protest.

— Tak! Tak! Tak! — wyskandował Derwent. Inne osoby zgromadzone wokół niego podchwyciły to słowo, zanim jednak Jack dosłyszał, czego tym razem domagają się od Rogera, orkiestra zagrała znowu — melodię „Tuxedo Junction”: dużo łagodnego saksofonu i niewielki dodatek soulu.

(Soul? Jeszcze go nawet nie wymyślono. A może tak?)

(Czarnuch... czarny kucharz.)

Otworzył usta, aby coś powiedzieć, nieświadomy, co się z nich wydostanie. Wydostało się to:

— Podobno nie ukończył pan szkoły średniej. A tymczasem mówi pan jak człowiek wykształcony.

— To prawda, że bardzo wcześnie przestałem korzystać ze zorganizowanego systemu oświaty, proszę pana. Lecz dyrektor troszczy się o swoich ludzi. Uważa to za opłacalne. Wykształcenie zawsze jest opłacalne, zgodzi się pan chyba?

— Tak — odrzekł Jack nieprzytomnie.

— Na przykład pan usilnie się stara dowiedzieć czegoś więcej o hotelu Panorama. Bardzo to mądrze z pańskiej strony. Bardzo szlachetnie. W podziemiach zostawiono pewien album z wycinkami, żeby go pan znalazł...

— Kto go zostawił? — zapytał Jack skwapliwie.

— Dyrektor, rzecz jasna. Mógłby pan otrzymać do swojej dyspozycji trochę innych materiałów, gdyby pan sobie tego życzył...

— Życzę sobie. I to bardzo. — Jack próbował nie zdradzić tonem głosu, jak ogromnie mu na tym zależy, lecz zrobił żalostną kłapę.

— Jest pan prawdziwym uczonym — rzekł Grady. — Niech Pan zgłębia temat do końca. Wykorzysta wszystkie źródła. — Pochylił swoje niskie czoło, pociągnął za kłapę białej kurtki i starł knykciami plamę brudu, dla Jacka niedostrzegalną.

— A szczodrość dyrektora nie zna granic — mówił dalej.

— Żadnych. Proszę spojrzeć na mnie, ja nie ukończyłem nawet dziesięciu klas. Niech pan pomyśli, o ile dalej pan mógłby zajść w strukturze organizacyjnej Panoramy. Może... w swoim czasie... zaszedłby pan na sam szczyt.

— Naprawdę? — szepnął Jack.

— Ale o tym zadecyduje właściwie pański syn, prawda? — zapytał Grady, unosząc brwi. Ten delikatny grymas nie pasował do nich, były bowiem krzaczaste i wyglądały jakoś dziko.

— Danny? — Jack zmarszczył czoło. — Skądże znowu. Nie pozwoliłbym synowi decydować o mojej karierze. To wykluczone. Za kogo pan mnie ma?

— Za człowieka oddanego — rzekł Grady z żarem. — Może źle to ujmuję, proszę pana. Powiedzmy, że pańska przyszłość tutaj zależy od tego, jak pan zareaguje na samowolę syna.

— Ja sam decyduję — szepnął Jack.

— Ale musi się pan z nim rozprawić.

— Zrobię to.

— Stanowczo.

— Tak.

— Człowiek niezdolny zapanować nad własną rodziną niezbyt interesuje naszego dyrektora. Człowiek, który nie potrafi pokierować swoją żoną i synem, nie potrafi zapewne pokierować sobą, nie mówiąc już o pełnieniu odpowiedzialnego stanowiska w przedsięwzięciu na taką skalę. Taki człowiek...

— Powiedziałem, że sobie z nim poradzę! — krzyknął nagle Jack rozwścieczony.

Ucichła właśnie melodia „Tuxedo Junction”, a nie rozbrzmiała jeszcze następna. Okrzyk Jacka idealnie wypełnił tę lukę i raptem urwała się rozmowa za jego plecami. Skóra zaczęła go palić. Był przeświadczony, że wszyscy na niego patrzą. Skończyli z Rogerem i teraz wezmą się do niego. Przewrót. Siad. Leżeć. Jeśli będziesz się bawić z nami, my będziemy się bawić z tobą. Odpowiedzialne stanowisko. Chcieli, żeby poświęcił syna.

(„Teraz wszędzie łązi za Harrym, merdając tym swoim ogonkiem...”)

(Przewrót. Leżeć. Surowo ukarż syna.)

— Proszę tędy — mówił Grady. — Coś, co mogłoby pana zainteresować.

Znów podjęta rozmowa wznosiła się i opadała we własnym rytmie, przeplatała się z dźwiękami orkiestry wykonującej teraz swingową wersję „Ticket to Ride” Lennona i McCartneya.

(Słyszałem lepiej z głośników w supermarketach.)

Zachichotał głupawo. Spojrzał na swoją lewą rękę i zobaczył, że trzyma w niej nową szklanke, napełnioną do połowy. Opróżnił ją jednym haustem.

Obecnie tkwił przed półką nad kominkiem, a żar trzaskającego w palenisku ognia ogrzewał mu nogi.

(Ogień... w sierpniu?... tak... i nie... wszystkie pory zlewają się w jedną...)

Pod szklanym kloszem stał zegar, a po obu jego stronach dwa słonie z kości słoniowej. Zegar wskazywał za minutę dwunastą. Jack patrzył na niego zamgłonym wzrokiem. Czy Grady chciał, aby to właśnie zobaczył? Odwrócił się, żeby zapytać, ale Grady już odszedł.

Gdzieś w połowie melodii orkiestra zagrziała hałaśliwą fanfarą.

— Godzina się zbliża! — obwieścił Horacy Derwent. — Północ! Zrzucić maski! Zrzucić maski!

Jack znów próbował się obrócić, ciekaw, jakie sławne twarze kryją się pod tą migotliwością, farbą i maskami, ale znieruchomiał, niezdolny oderwać oczu od zegara — wskazówki się połączyły i wskazywały prosto w górę.

— Zrzucić maski! Zrzucić maski! — popłynął monotony okrzyk.

Zegar zaczął delikatnie wybijać godzinę. Po stalowej szynie poniżej jego tarczy ruszyły z lewej i prawej strony dwie figurki. Jack patrzył zafascynowany, niepomny na maski. Furkotał mechanizm zegarowy. Kółka obracały się i zazębiały z ciepłym lśnieniem mosiądzu. Balans precyzyjnie kołysał się tam i z powrotem.

Jedna z figurek wyobrażała mężczyznę stojącego na czubkach palców z czymś w rodzaju maleńkiej maczugi w dłoniach. Druga była chłopczykiem w stożkowej czapce. Figurki lśniły, wykonane z fantastyczną precyzją. Na czapce chłopca Jack mógł odczytać wygrawerowane słowo „dureń”.

Figurki wśliznęły się na przeciwległe końce stalowej dźwigienki. Gdzieś rozbrzmiewał rozdzwoniony walc Straussa. Szaleńczy reklamowy bełkot rozległ się w głowie Jacka na nutę: Kupujcie pokarm dla psów, hau, hau, hau, kupujcie pokarm dla... .

Stalowy młotek w rękach taty z mechanizmu zegarowego opadł na głowę chłopczyka. Syn z mechanizmu zegarowego runął zgięty do przodu. Młotek unosił się i opadał, unosił i opadał. Wyciągnięte w proteście ramiona chłopca powoli zwiotczały, a on sam jak długi legł na ziemi. Mimo to młotek wciąż się unosił i opadał w takt lekkiej, rozdzwonionej melodii walca. Jack miał wrażenie, że widzi twarz mężczyzny, ruchliwą, ściągającą się i kurczącą, widzi, jak otwierają się i zamykają usta mechanicznego taty, gdy ten wymyśla nieprzytomnej, okładanej pałką figurce syna.

Wnętrze szklanego klosza splamiła kropla czerwienu.

Za nią druga. Jeszcze dwie prysnęły obok.

Teraz czerwona ciecz rozbryzgiwała się niczym ohydny deszcz o szklane ścianki klosza i spływała, przesłaniając to, co działo się w środku, ze szkarłatnym zaś przeplatały się małe szare strzępki tkanki, kawałki kości i mózgu. Jack nadal widział, jak młotek unosi się i opada, poruszany tym przemyślnie skonstruowanym mechanizmem zegarowym, z jego kółkami, przekładniami i ząbkami.

— Zrzucić maski! Zrzucić maski! — wrzeszczał za jego plecami Derwent, a pies wył gdzieś ludzkim głosem.

(Ale mechanizm zegarowy nie może krwawić, mechanizm zegarowy nie może krwawić)

Cały klosz był zbryzgany krwią, Jack widział pozlepiane kosmyki włosów, ale nic więcej, dzięki Bogu, nie mógł dojrzeć nic więcej, ciągle jednak chciało mu się wymiotować, bo słyszał uderzenia wciąż opadającego młotka, słyszał je przez szkło, tak jak słyszał frazy „Pięknego modrego Dunaju”. Lecz teraz mechaniczne dzwonięcie młotka walącego w mechaniczną głowę przekształciło się w miękkie, głuche plaśnięcia prawdziwego młotka walącego, grzmocącego w gąbczastą, rozpaćkaną masę. Masę, która niegdyś była...

— Zrzucić maski!

(...i Mór Czerwony niepodzielnie zawładły wszystkim.)

Z żalonym, przenikliwym krzykiem Jack odwrócił się od zegara. Ręce wyciągnął przed siebie, potykał się o własne nogi jak o drewniane kłody i błagał ich, aby dali spokój, aby wzięli jego, Danny’ego, Wendy, aby wzięli sobie cały świat, jeśli chcą, lecz dali spokój i pozostawili mu resztki zdrowych zmysłów, odrobinę światła.

Sala balowa była pusta.

Krzesały stały na stolikach pokrytych plastikowymi pokrowcami, ich długie, cienkie nogi sterczały w górę. Czerwony dywan w złocisty wzór znów leżał na parkiecie, chronił wyfroterowaną powierzchnię twardego drewna. Podium dla orkiestry opustoszało, walał się tam jedynie rozłożony statyw mikrofonu i przyprószona kurzem gitara bez strun, oparta o ścianę. Zimne poranne światło, światło zimowe wpadało leniwie przez wąskie okna.

Jackowi wciąż kręciło się w głowie, nadal czuł się pijany, ale kiedy po raz kolejny spojrzął w stronę półki nad kominkiem, nie dostrzegł tam szklanki, tylko kościane słońce... i zegar.

Zataczając się, wrócił przez chłodny, mroczny hol i przez jadalnię. Zahaczył stopą o nogę stolika i runął jak długi, a stół przewrócił się z łoskotem. Jack walnął w podłogę nosem, z którego pociekła krew. Wstał, siąkając i ocierając nos wierzchem dłoni. Przeszedł do salonu Kolorado i pchnął drzwi barowe tak mocno, że łupnęły o ściany.

Salon świecił pustkami... lecz bar był obficie zaopatrzone. Chwała Bogu! Szkło i srebrne obwódki etykiet jarzyły się w mroku ciepłym blaskiem.

Jack przypomniał sobie, jak kiedyś, bardzo dawno temu, złościł się na brak lustra nad barem. Teraz się z tego cieszył. Gdyby w nie popatrzył, zobaczyłby jeszcze jednego pijusa, który właśnie uderzył w gaz: z zakrwawionym nosem, z koszulą wyłażącą zza paska, z włosami zmierzwionymi i policzkami porośniętymi szczecina.

(Tak to jest, kiedy się wsadzi całą rękę do gniazda.)

Nagle i bez reszty ogarnęło go poczucie samotności. Wydał głośny okrzyk rozpaczny i szczerze zapragnął umrzeć. Jego żona i syn zamknęli się przed nim na górze. Wszyscy inni zniknęli. Bal się skończył.

Znowu chwiejnie ruszył przed siebie i dotarł do lady.

— Gdzie jesteś, Lloyd, ty kutasie?! — wrzasnął.

Odpowiedziało mu milczenie. W tej miękko wyścielonej (celi)

sali nie było nawet echa, więc się nie łudził, że jest w towarzystwie.

— Grady!

Brak odpowiedzi. Tylko butelki sztywno stojące na baczność.

(Przewrót. Leżeć. Aport. Leżeć. Służyć. Leżeć.)

— Mniejsza z tym. Sam to zrobię, do jasnej cholery.

W połowie drogi przez bufet stracił równowagę i runął do przodu, głucho stuknąwszy głową o podłogę. Dźwignął się i stanął na czworakach, tocząc oczami z boku na bok, wydając pijacki bełkot. Potem padł z odwróconą twarzą i ostrym chrapaniem.

Na dworze wiatr zawodził głośniejsz, gnał przed sobą coraz gęściejszy śnieg. Była ósma trzydzieści rano.

Rozdział czterdziesty piąty

Lotnisko Stapleton, Denver

O godzinie ósmej trzydzieści jeden rano czasu górskiego, w samolocie linii lotniczych TWA, numer rejsu 196, kobieta wybuchnęła płaczem i zaczęła głosić opinię, którą przypuszczalnie podzielali też inni pasażerowie (a ściślej mówiąc, nawet i członkowie załogi), że ten samolot runie.

Sąsiadka Halloranna, kobieta o ostrych rysach, oderwała wzrok od książki i dokonała zwięzłej analizy charakterologicznej: „histeryczka”, a następnie powróciła do lektury. Choć na pokładzie golnęła sobie dwie wódki z sokiem pomarańczowym, chyba wcale pod ich wpływem nie złagodniała.

— Rozbije się! — wrzeszczała przenikliwym głosem kobieta. — Och, wiem, że się rozbije!

Pośpieszyła do niej stewardesa i przykucnęła obok jej fotela. Hallorann pomyślał, że tylko stewardesy i bardzo młode panie domu potrafią przykucnąć z jakim takim wdziękiem; jest to umiejętność rzadka i cudowna. Zastanawiał się nad tym, podczas gdy stewardesa cicho, kojąco przemawiała do kobiety i stopniowo ją uspokajała.

Hallorann nie wiedział, co czują inni pasażerowie jego samolotu, lecz sam miał takiego stracha, że mógłby srać pestkami brzoskwiń. Za oknem było widać jedynie trzepoczącą zasłonę bieli. Samolot obrzydliwie przechylał się z boku na bok w podmuchach dolatujących na pozór zewsząd. Silniki pracowały na pełnych obrotach, aby częściowo łagodzić kołysanie, toteż podłoga wibrowała pod stopami. Z tyłu, w klasie turystycznej, parę osób jęczało, więc jedna stewardesa poszła tam z plikiem świeżych toreb chorobowych. Tymczasem mężczyzna w trzecim rzędzie przed Hallorannem zwymiotował na rozpostarty egzemplarz „National Observera” i uśmiechał się z zażenowaniem do stewardesy, która pomagała mu się doprowadzić do porządku.

— Drobiazg — pocieszała go. — Ja mam podobny stosunek do „Reader’s Digest”.

Hallorann latał na tyle często, że się domyślał, co zaszło. Prawie przez cały

czas musieli stawiać czoło silnemu wiatrowi, pogoda nad Denver nagle i nieoczekiwanie się popszała, a teraz zrobiło się trochę za późno na szukanie miejsca, gdzie pogoda jest lepsza. Stopy mnie nie mylą.

(To jakaś spieprzona szarża kawaleryjska, koleżko.)

Stewardesa zdołała chyba uspokoić najgorszy wybuch hysterii tamtej kobiety, która pociągała nosem i wycierała go koronkową chusteczką, ale już nie informowała reszty pasażerów, jak, jej zdaniem, może się zakończyć lot. Stewardesa po raz ostatni poklepała ją po ramieniu i wstała akurat w chwili, gdy samolot przechylił się jak jeszcze nigdy. Dziewczyna zatoczyła się do tyłu i wylądowała na kolanach mężczyzny, który zwymiotował na gazetę, a przy tej okazji błysnęła ślicznym kawałkiem uda w nylonowych rajstopach. Mężczyzna zamrugał i życzliwie pogłaskał ją po plecach. Odwzajemniła uśmiech, lecz zdaniem Hallorana, zdradzała napięcie. Ten poranny lot był diabło ciężki.

Po krótkim sygnale dźwiękowym ponownie rozbłysł napis „Nie palić”.

— Tu mówi kapitan — poinformował ich cichy głos o lekko południowym akcencie. — Schodzimy do lądowania na międzynarodowym lotnisku Stapleton. Lot był nieprzyjemny, za co przepraszam. Lądowanie też może być niezbyt przyjemne, nie przewidujemy jednak prawdziwych trudności. Proszę zapiąć pasy i nie palić. Mamy nadzieję, że mile spędzą państwo czas w Denver. Mamy również nadzieję...

Samolot natrafił na kolejną dziurę powietrzną, zakołysał się, po czym opadł raptownie jak winda, przyprawiając pasażerów o mdłości. Żołądek podszedł Hallorannowi do gardła. Kilka osób — bynajmniej nie same kobiety — wrzasnęło.

— ... że wkrótce powitamy państwa znowu na pokładzie samolotu TWA.

— Cholernie mało prawdopodobne — odezwał się ktoś za plecami Hallorana.

— Jakie to głupie — skonstatowała jego sąsiadka, kobieta o ostrych rysach. Założyła książkę kartonikiem zapalek i zamknęła ją, kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania. — Jeśli ktoś widział okropieństwa brudnej wojny... jak pan... albo wyczuwał poniżającą niemoralność interwencji, do której doprowadziła dolarowa polityka CIA... tak jak ja... przykre lądowanie nie robi na nim żadnego wrażenia. Zgadza się pan ze mną?

— Święta racja — odparł Hallorann i posepnie zapatrzył się w szalejącą zadydkę.

— Jak na to wszystko reaguje pańska stalowa płytko, jeśli wolno zapytać?

— Och, głowa nie sprawia mi kłopotu. Tylko żołądek daje się troszkę we znaki.

— To nieładnie. — Znów otworzyła książkę.

Kiedy schodzili w dół przez nieprzeniknione chmury śniegu, Hallorann myślał o katastrofie, która przed paru laty wydarzyła się na bostońskim lotnisku Logana. Warunki były wtedy podobne, tyle że mgła, a nie śnieg, ograniczyła widoczność do zera. Podwozie samolotu zaczęło o mur oporowy przy końcu pasa do lądowania.

wania. To, co pozostało z osiemdziesięciu dziewięciu osób na pokładzie, niewiele różniło się od mięsnej potrawki.

Nie przejmowałby się aż tak bardzo, gdyby chodziło wyłącznie o niego. Czuł się teraz dość samotny na świecie, a udział w jego pogrzebie wzięliby głównie ludzie, z którymi pracował, i ten stary odszczepieniec Masterton, ale on przynajmniej wypiłby za zmarłego. Chłopiec jednak. . . chłopiec na niego liczył. Być może tylko jego pomocy mógł oczekiwać, Hallorannowi zaś nie podobał się sposób, w jaki przerwano temu dziecku, kiedy ostatni raz go wzywało. Nie opuszczała go myśl, że te zwierzęta z żywopłotu chyba się poruszały.

Szczupła biała ręka spoczęła na jego dłoni.

Kobieta o ostrych rysach zdjęła okulary. Bez nich twarz miała jakby o wiele ładniejszą.

— Wszystko będzie dobrze — zapewniła.

Hallorann zmusił się do uśmiechu i kiwnął głową.

Jak zapowiedziano, samolot wylądował twardo i z takim impetem dotknął ziemi, że większość czasopism wyleciała ze stojaka na przodzie, a plastikowe talce kaskadą posypały się z kuchenki, niczym bardzo duże karty do gry. Nikt nie wrzeszczał, lecz Hallorann usłyszał szczekanie zębów podobne do odgłosu cygańskich kastanietów.

Potem zawyły silniki turbinowe, gdy samolot hamował, ledwie zaś przycichły, w telefonie pokładowym zabrzmiał miękki południowy głos pilota, może niezupełnie spokojny:

— Panie i panowie, wylądowaliśmy na lotnisku Stapleton. Proszę o pozostanie na swoich miejscach, dopóki samolot całkiem się nie zatrzyma. Dziękuję.

Sąsiadka Halloranna z przeciągłym westchnieniem zamknęła książkę.

— Żyjemy, aby walczyć jeszcze jeden dzień, proszę pana.

— Dzień dzisiejszy na razie się dla nas nie skończył, proszę pani.

— Racja. Święta racja. Napiłby się pan czegoś ze mną w barze?

— Z chęcią, ale jestem umówiony.

— Coś pilnego?

— Bardzo — odrzekł Hallorann z powagą.

— Mam nadzieję, że choć trochę przyczyni się to do poprawy sytuacji ogólnej.

— I ja na to liczę — uśmiechnął się Hallorann.

Odwzajemniła uśmiech, a robiąc to odmłodziła nagle o dziesięć lat.

Ponieważ cały jego bagaż stanowiła torba podróżna, Hallorann wyprzedził tłum do kontuaru Hertza na dolnym poziomie dworca lotniczego. Za oknami z dymnego szkła wciąż równo padał śnieg. Silne podmuchy przepędzały białe chmury tam i z powrotem, a ludzie idący na parking walczyli z wiatrem. Jednemu mężczyźnie zerwał on z głowy kapelusz i Hallorann mógł tylko współczuć

właścicielowi, gdy kapelusz zataczał w górze szerokie, ładne kręgi. Mężczyzna podążał za nim wzrokiem, Hallorann zaś myślał:

(Ech, zapomnij o nim, człowieku. Ten filcowy kapelusz spadnie na ziemię najwcześniej w Arizonie.)

Po tej myśli pojawiła się druga:

(Jeśli tak źle jest w Denver, co będzie na zachód od Boulder?)

Może lepiej się nad tym nie zastanawiać.

— Czym mogę panu służyć? — odezwała się dziewczyna w żółtym firmowym stroju.

— Samochodem, jeśli go macie.

Za opłatą wyższą niż przeciętna mógł dostać samochód od przeciętnego cięższy: srebrno-czarnego buicka electrę. Chodziło mu raczej o kręte drogi górskie niż o zadawanie szyku; będzie jeszcze musiał gdzieś po drodze założyć łańcuchy. Bez nich daleko nie zajędzie.

— Bardzo jest źle? — zapytał, kiedy dziewczyna podawała mu umowę do podpisania.

— Podobno takiej śnieżycy nie było od sześćdziesiątego dziewiątego roku — odparła pogodnie. — Czeka pana daleka podróż?

— Dalsza, niżbym sobie życzył.

— Jeśli pan chce, od razu zadzwonię na stację Texaco przy skrzyżowaniu szosy 270. Założą panu łańcuchy.

— To by było wspaniale, moja kochana. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła.

— Będą na pana czekali.

— Dziękuję bardzo.

Odchodząc od kontuaru, zobaczył kobietę o ostrych rysach w kolejce przed transporterem bagażowym. Nadal czytała książkę. Hallorann mrugnął do niej w przejściu. Podniosła wzrok, uśmiechnęła się do niego i zrobiła znak pokoju.

(jasność)

Z uśmiechem postawił kołnierz płaszcza i przełożył torbę lotniczą do drugiej ręki. Jasność, wprawdzie niewielka, ale poprawiła mu samopoczucie. Żałował, że opowiadał kobiecie te duby smalone o stalowej płytce w głowie. W milczeniu życzył jej wszystkiego dobrego, a gdy wychodził w zamieć śnieżną, odniósł wrażenie, że i ona mu tego życzy.

Opłata za założenie łańcuchów na stacji obsługi nie była wygórowana, lecz Hallorann wetknął pracownikowi warsztatu dychę ekstra, żeby trochę przesunąć się w kolejce. Było dopiero piętnaście po dziewiątej, kiedy wyruszył w drogę. Wycieraczki cmokały, a łańcuchy na dużych kołach buicka pobrzękiwały z bezdźwięczną monotonią.

Na szosie za rogatkami panował chaos. Nawet łańcuchy nie pozwalały się posuwać szybciej niż trzydziestką. Samochody pozjeżdżały z trasy i utknęły pod dziwaczными kątami, na kilku wzniesieniach zaś ruch nieomal zamarł, letnie opony kręciły się bezradnie w lotnym puchu. Ta pierwsza tutaj na nizinach (jeśli można tak nazwać teren położony o milę nad poziomem morza) wielka zimowa zamieć stanowiła nie lada wydarzenie. Licznych kierowców zastała nie przygotowanych, rzecz dość zwyczajna, mimo to Hallorann, klnąc, wyprzedzał ich powolutku i spoglądał w zalepione śniegiem lustro, aby się upewnić, czy nic

(nie przemyka po śniegu. . .)

nie nadjeżdża lewym pasem i nie rozkwasi mu czarnego tyłka.

Przy wjeździe na szosę 36 miał nowego pecha. Jest ona płatna i prowadzi z Denver do Boulder, odgałęzia się też na zachód do Estes Park, gdzie się łączy z szosą 7, znaną również jako Górską, przebiegając przez Sidewinder, obok hotelu Panorama i wreszcie w dół Zboczem Zachodnim dalej do Utah.

Wjazd zablokował przewrócony ciągnik z przyczepą. Dokoła niego rozstawiono jasne sygnały świetlne, niczym świece na urodzinowym torcie jakiegoś zidiociałego dziecka.

Hallorann zahamował i opuścił szybę. Policjant w futrzanej czapce kozackiej, naciągniętej na uszy, jedną dłonią w rękawiczce wskazał strumień pojazdów sunących na północ szosą I-25.

— Tędy nie można! — wrzasnął do Halloranna, przekrzykując wiatr. — Niech pan jedzie dalej, przy drugim zjeździe skęci na 91 i w Broomfield spróbuje się dostać na 36!

— Chyba mógłbym go objechać od lewej! — odkrzyknął Hallorann. — To głupia rada, bo musiałbym dwadzieścia mil nadłóżyć!

— Wbiję ci ją do łba, zobaczysz! — ryknął glina. — Tu nie ma przejazdu!

Hallorann cofnął buicką, zaczekał na przerwę w ruchu i wrócił na szosę 25. Drogowskazy informowały go, że Cheyenne w stanie Wyoming jest oddalone za ledwie o sto mil. Jeśli przeoczy odpowiedni zjazd, to w końcu tam wyląduje.

Odważył się zwiększyć prędkość do trzydziestu pięciu, ale nie bardziej; śnieg i tak już groził zalepieniem wycieraczek, na szosie panował kompletny bałagan. Dwudziestomilowy objazd. Zaklął i znów wezbrało w nim z niemal dławiącą siłą uczucie, że chłopcu ucieka czas. A zarazem utwierdził się w fatalistycznym przekonaniu, iż on sam nie wróci z tej wyprawy.

Włączył radio i kręcił gałką dopóty, dopóki wśród reklam gwiazdkowych nie natrafił na prognozę pogody.

— . . . już sześć cali, a przewiduje się, że do wieczora wokół Denver przybędzie go na stopę. Policja miejscowa i stanowa nalega, aby nikt nie korzystał z samochodu, jeśli to nie jest absolutnie konieczne, ostrzega też, że większość przełęczy górskich już zamknięto. Zostańcie więc w domu, woskujcie podłogi i przystosujcie się do. . .

— Gadaj zdrowa — powiedział Hallorann i z wściekłością wyłączył odbiornik.

Rozdział czterdziesty szósty

Wendy

Około południa, kiedy Danny poszedł do ubikacji, Wendy wyciągnęła spod poduszki nóż zawinięty w ścierkę, włożyła go do kieszeni szlafroka i stanęła pod drzwiami łazienki.

— Danny?

— Co?

— Idę na dół przygotować lunch. Dobra?

— Dobra. Chcesz, żebym poszedł z tobą?

— Nie, przyniosę jedzenie na górę. Co powiesz na omlet z serem i zupę?

— Świetnie.

Jeszcze chwilę zwlekała pod zamkniętymi drzwiami.

— Danny, jesteś pewny, że mogę to zrobić?

— Taak — odparł. — Tylko bądź ostrożna.

— Czy wiesz, gdzie jest ojciec?

Odpowiedział jej głos dziwnie bezbarwny.

— Nie. Ale możesz iść.

Stłumiła impuls nakazujący pytać dalej, krążyć wokół tej sprawy. Sprawa istniała, wiedzieli, na czym polega, ale poruszenie tego tematu tylko napędzi większego stracha Danny'emu... i jej.

Jack postradał zmysły. Siedzieli we dwójkę na łóżeczku Danny'ego, kiedy około ósmej rano wicher zaczął przybierać na sile i zajadłości, i słuchali, jak na dole Jack z rykiem zatacza się z miejsca na miejsce. Największy hałas dobiegał chyba z sali balowej. Niemelodyjne strzępy piosenek, kłótlivy głos, w pewnej chwili głośny wrzask, od którego stężały im twarze, gdy popatrzyli sobie w oczy. Wreszcie usłyszeli niepewne kroki w holu i Wendy wydało się, że runął z hukiem albo trzasnął gwałtownie otwieranymi drzwiami. Od jakiejś ósmej trzydzieści — czyli od trzech i pół godzin — panowała głucha cisza.

Krótkim korytarzykiem i głównym korytarzem pierwszego piętra Wendy doszła do schodów. Z podestu popatrzyła w dół, na hol. Sprawił wrażenie opusto-

szalego, lecz w ten szary dzień zadymki duża część długiego pomieszczenia tonęła w cieniu. Danny mógł się mylić. Może Jack czai się za fotelem czy kanapą... albo za ladą recepcji... i czeka na nią...

Zwilżyła wargi.

— Jack?

Cisza.

Namaciała rękojeść noża i ruszyła w dół. Nieraz wyobrażała sobie, jak ich małżeństwo kończy się rozwodem lub śmiercią Jacka w wypadku drogowym spowodowanym po pijanemu (tę wizję często miewała w Stovington, w ciemnościach o drugiej nad ranem), rzadziej zaś marzyła, że odkryje ją inny mężczyzna, Galaad z cikliwego serialu, porwie wraz z Dannym na siodło śnieżnego rumaka i uwięzie daleko. Nigdy natomiast nie widziała siebie w roli nerwowej zbrodniarki, myszkującej po korytarzach i klatkach schodowych z nożem zaciśniętym w dłoni, gotowej ugodzić nim Jacka.

Na tę myśl załała ją fala rozpacz; musiała przystanąć w połowie schodów i chwycić za poręcz w obawie, że ugną się pod nią kolana.

(Przyznaj, że chodzi nie tylko o Jacka, że on jest po prostu jedynym tutaj punktem stałym, że z nim możesz powiązać wszystko inne, to, w co nie potrafisz uwierzyć, a jednak wierzyć musisz, to o żywopłotach, o konfetti i serpentynach w windzie, o masce...)

Spróbowała nie dopuścić do siebie tej myśli, było jednak za późno.

(... i o głosach)

Bo od czasu do czasu wydawało się, że na dole to nie samotny szaleniec krzyczy na zjawy będące tworem jego chorego umysłu i prowadzi z nimi rozmowy. Niekiedy, jak sygnał radiowy o zmiennym natężeniu, słyszała — bądź sądziła, że słyszy — inne głosy, muzykę i śmiech. W pewnej chwili słyszała rozmowę Jacka z jakimś Gradym (nazwisko to brzmiało dziwnie znajomo, lecz nie umiała go z nikim skojarzyć), jego stwierdzenia i pytania zapadające w ciszę, a mimo to wypowiedane głośno, jakby nie chciał, aby utonęły w nieustannym gwarze, który panował gdzieś na dalszym planie. A potem, rzecz niesamowita, rozbrzmiały inne odgłosy, jakby wśliznęły się na swoje miejsce — zagrała orkiestra taneczna, ludzie klaskali, mężczyzna rozbawionym, lecz władcym tonem próbował chyba nakłonić kogoś do wygłoszenia mowy. Słyszała to przez jakieś pół minuty czy całą minutę, na tyle długo, że słabła z przerażenia, po czym znów dobiegał ją wyłącznie głos Jacka, rozkazujący, choć z lekka bełkotliwy, zapamiętany z jego pijackiego okresu. W Panoramicie nie było jednak żadnych trunków prócz kuchennego sherry. Prawda? Tak, ale skoro ona potrafiła sobie wyobrazić hotel pełen głosów i muzyki, czyż Jack nie mógł sobie wyobrazić, że jest pijany?

Ta myśl nie przepadła jej do smaku. Bynajmniej.

Wendy dotarła do holu i rozejrzała się dookoła. Ktoś zdjął aksamitną linę zagradzającą wejście do sali balowej; stalowy słupek, na którym była zawieszona,

leżał na ziemi, jakby potrącony przez nieuwagę. Łagodne białe światło wlewało się przez wąskie, wysokie okna sali balowej i padało na dywan za otwartymi drzwiami do holu. Z biciem serca Wendy zbliżyła się i zajrzała do sali, pustej i cichej. Rozbrzmiewało tam jedynie to dziwne poddźwiękowe echo, słyszalne chyba zawsze we wszystkich dużych pomieszczeniach, począwszy od największej katedry, a na najmniejszej miasteczkowej sali do gry w loteryjkę skończywszy.

Wróciła do recepcji i przez chwilę stała przy ladzie niezdecydowana, zasłuchana w wycie wiatru na dworze. Jak dotąd, nie przeżyli jeszcze takiej zawiei, a wichur wciąż przybierał na sile. Gdzieś po stronie zachodniej odleciał rygiel okiennicy, która z łoskotem otwierała się i zamykała, wydając monotony trzask, co przypominało strzelnicę z jednym tylko klientem.

(Doprawdy powinieneś się tym zająć, Jack. Zanim coś się dostanie do środka.)

Ciekawe, co by zrobiła, gdyby podszedł do niej właśnie teraz. Gdyby wyskoczył zza ciemnego polituowanego blatu recepcji, z leżącymi na nim formularzami w trzech egzemplarzach i stojącym platerowanym dzwoneczkiem, niczym jakiś diabeł z pudełka, uśmiechnięty diabeł o morderczych zamiarach, z tasakiem w jednej ręce i absolutnym obłędem w oczach? Czy zastygłaby w bezruchu, sparaliżowana strachem, czy też pierwotny instynkt macierzyński byłby na tyle silny, że kazałby jej walczyć o syna, dopóki jedno z nich nie padłoby martwe? Tego nie wiedziała. Mdliło ją na tę myśl — czuła, że całe jej życie było długim, spokojnym snem, który miał ją ukołysać i bezradną rzucić na pastwę obecnego koszmaru na jawie. Brakło jej twardości. W trudnych momentach spała. W przeszłości nie odznaczyła się niczym. Nigdy nie przeszła przez próbę ognia. Teraz poddano ją próbie, nie ognia, lecz lodu, i tego nie będzie mogła przespać. Syn czeka na nią na górze.

Mocniej ścisnąwszy rękojeść noża, zajrzała za ladę.

Pusto.

Z długim, przeciągłym westchnieniem ulgi wypuściła powietrze.

Podniosła barierkę, minęła kontuar i przystanąła, aby zajrzeć do biura w głębi, zanim tam wejdzie. Po omacku sięgnęła przez następne drzwi do kontaktów kuchennych, czekając ze spokojem, aż lada sekunda na jej ręce zaciśnie się druga ręka. Kiedy z cichutkim tykaniem i brzęczeniem rozbłyły świetlówki, zobaczyła kuchnię pana Halloranna — teraz jej kuchnię, na dobre i złe — jasnozielone kafelki, lśniące blaty, nieskazitelną porcelanę, rozjarzone chromowane krawędzie. Obiecała utrzymywać jego kuchnię w czystości i dotrzymała słowa. W jej odczuciu było to jedno z bezpiecznych miejsc Danny'ego. Obecność Dicka Halloranna jak gdyby ją spowijała i pocieszała. Danny wezwał pana Halloranna i siedząc na górze obok syna, przerażona mężowskimi tyradami i wrzaskami, doznawała przebłysków nadziei. Tutaj natomiast, w miejscu należącym do pana Halloranna, miała prawie pewność. Może on już jedzie, zdecydowany dotrzeć do nich bez względu na zadymkę. Może tak właśnie jest.

Ruszyła do spizarni, odsunęła rygiel i weszła do środka. Wzięła puszkę zupy pomidorowej i ponownie zamknęła drzwi na zasuwę. Szczelnie przylegały do podłogi. Jeśli były stale zaryglowane, nie zachodziła obawa, że w ryżu, mące czy cukrze znajdują się mysie lub szcurze bobki.

Otworzyła puszkę i wyrzuciła lekko zgalaretowaciałą zawartość do rondelka — plusk. Z lodówki wyjęła mleko i jajka na omlet. Potem ser z zamrażalnika. Wszystkie te czynności, tak bardzo powszednie, tak nieodłącznie związane z jej życiem, zanim wkroczyła w nie Panorama, działały uspokajająco.

Stopiła masło na patelni, rozprowadziła zupę mlekiem, a następnie wlała na patelnię roztrzepane jajka.

Nagle uczucie, że ktoś za nią stoi, sięgnęło jej do gardła.

Odwróciła się, chwytając nóż. Nikogo.

(Opanuj się, dziewczyno!)

Utarta ser nad miską, dodała go do omletu, który przerzuciła na drugą stronę, po czym przekręciła gaz. Zupa była gorąca. Wendy postawiła rondelk na dużej tacy, obok położyła sztućce, dwie miski, dwa talerze, solniczkę i pieprzniczkę. Kiedy omlet nabrał lekkiej puszystości, zsunęła go na talerz i nakryła.

(Teraz powrót tą samą drogą. Pogaś światła kuchenne. Przejdź przez biuro na zaplecze. Przez barierkę przy ladzie, pobierz dwieście dolarów.)

Przystanęła przy kontuarze od strony holu i postawiła tacę obok srebrnego dzwonka.

Nierzeczywistość nie sięgnie dalej; przypominało to jakąś surrealistyczną zabawę w chowanego.

W mrocznym holu Wendy w zadumie zmarszczyła czoło.

(Tym razem nie lekceważ faktów, dziewczyno. Są pewne rzeczy realne, choć ta sytuacja może robić wrażenie zwariowanej. Między innymi może ty rzeczywiście jesteś jedyną odpowiedzialną osobą w tej groteskowej gromadce. Masz pod opieką niespełna sześciolatniego syna. A twój mąż, niezależnie od tego, co mu się przydarzyło i jaki może być niebezpieczny... może za niego też jesteś po części odpowiedzialna. Jeśli zaś nie, zastanów się nad tym: mamy dzisiaj drugiego grudnia. Mogłabyś tkwić tutaj przez dalsze cztery miesiące, gdyby przypadkiem nie przejechał tędy strażnik. Nawet jeśli istotnie zaczną się dziwić, dlaczego nie nawiązaliśmy łączności radiowej, nikt nie przyjedzie tu dzisiaj... ani jutro... a może jeszcze przez parę tygodni. Czy zamierzasz przez miesiąc przekradać się z nożem w kieszeni na dół po posiłki i podskakiwać na widok każdego cienia? Czy rzeczywiście sądzisz, że przez miesiąc potrafisz unikać Jacka? Uważasz, że możesz nie wpuścić go na górę, jeśli zechce tam wejść? Ma klucz uniwersalny, a jednym dobrym kopniakiem rozwali zasuwę.)

Zostawiła tacę na ladzie, wolno przeszła do jadalni i zajrzała do wnętrza. Było opustoszałe. Krzesła stały tylko wokół jednego stolika, tego, przy którym próbowali jeść, dopóki nie wypłoszyła ich panująca na sali pustka.

— Jack? — zawołała Wendy z wahaniem w głosie.

W tej chwili podmuch wiatru sypnął śniegiem w okiennice, ale jej się wydało, że coś słyszy. Jakiś zdławiony jęk.

— Jack?

Tym razem brakło oddźwięku, wzrok jej padł jednak na coś pod barowymi drzwiami salonu Kolorado, na coś pobłyskującego słabo w przyćmionym świetle. Na zapalniczkę Jacka.

Zebrała się na odwagę i pchnęła drzwi. Zapach dżinu był tak intensywny, że dech jej zaparło. Nie należało właściwie nazywać go zapachem, tylko smrodem. Lecz na półkach nic nie dostrzegła. Gdzież, na Boga, to znalazł? Butelka stała ukryta w głębi jednej z szafek? Gdzie?

Nowy jęk, cichy i stłumiony, lecz tym razem absolutnie dosłyszalny. Wendy powoli zbliżyła się do baru.

— Jack? Cisza.

Zajrzała za ladę i rzeczywiście leżał tam, rozwalony na podłodze w stanie pijackiego ośpienia. Sądząc po zapachu, zalany w pestkę. Widocznie próbował przeleźć górą i stracił równowagę. Cudem nie skręcił karku. Przypomniało jej się stare porzekadło: Bóg czuwa nad pijakami i nad małymi dziećmi. Amen.

Mimo wszystko nie czuła gniewu; widziany z góry Jack wyglądał na potwornie przemęczonego chłopczyka, który chciał zrobić za dużo i usnął pośrodku salonu. Przestał pić i to nie on zdecydował, że znów zacznie; nie miał przecież alkoholu, więc skąd go wziął?

Bar w kształcie podkowy zdołały rozstawić co pięć czy sześć stóp butelki po winie w słomianych koszykach, ze świecami wetkniętymi w szyjki. Miało to zapewne robić artystyczne wrażenie. Wendy podniosła taką butelkę i potrząsnęła nią, na poły oczekując, że usłyszy plusk dżinu,

(młode wino w starych bukłakach)

lecz na próżno. Więc ją odstawiła.

Jack się poruszył. Okrążyła bar, znalazła barierkę i po wewnętrznej stronie lady podeszła do Jacka, przystanąwszy jedynie po to, aby spojrzeć na lśniące chromowane kurki. Były suche, lecz z bliska zalatywały piwem; jego wilgotny i świeży zapach unosił się niczym lekka mgiełka.

Jack przewrócił się na plecy, otworzył oczy i popatrzył na nią. Przez chwilę wzrok miał całkowicie zmetniały, po czym odzyskał jasność widzenia.

— Wendy? — zapytał. — To ty?

— Tak — odparła. — Jak myślisz, czy będziesz mógł wejść na górę? Jeśli obejmiesz mnie w pół? Skąd ty...

Brutalnie zacisnął dłoń na jej kostce.

— Jack! Co ty...

— Mam cię! — powiedział i zaczął się uśmiechać. Wydzielana przez niego woń zwietrzałego dżinu i oliwek wzbudziła w Wendy dawny lęk, nappełniła ją

przerażeniem większym, niż mógłby wywołać jakikolwiek hotel. Jakaś cząstką umysłu pojęła, że stała się rzecz najgorsza, że wszystko znowu sprowadza się do niej i jej pijanego męża.

— Chcę ci pomóc, Jack.

— Och, tak. Ty i Danny chcecie tylko pomóc. — Nieomal miażdżył jej kostkę w zaciśniętej dłoni. Nie zwalniając uchwytu, zaczął chwiejnie dźwigać się na kolana. — Chciałaś pomóc i doprowadzić do tego, żebyśmy się stąd wynieśli. Ale teraz... cię mam!

— Jack, to boli...

— Będzie bolało jeszcze bardziej, ty suko.

Na dźwięk tego słowa zatkało ją tak kompletnie, że nie próbowała się poruszyć, kiedy puścił jej kostkę i niepewnie, zataczając się, stanął przed nią na nogach.

— Nigdy mnie nie kochałaś — powiedział. — Pragniesz naszego wyjazdu, bo wiesz, że to będzie mój koniec. Czy zastanawiałaś się kiedyś nad moimi o... o... obowiązkami? Nie, bo gównu cię to obchodziło. Zawsze obmyślasz tylko sposoby, jak by pociągnąć mnie w dół. Jesteś zupełnie jak moja matka, ty rozlała dziwko!

— Przestań — poprosiła z płaczem. — Nie wiesz, co mówisz. Jesteś pijany. Nie wiem czym, ale się upiłeś.

— Och, wiem. Teraz wiem. Ty i on. Ten szczeniak na górze. We dwójkę coś planujecie. Mam rację?

— Nie, nie! Nigdy niczego nie planowaliśmy! Co ty...

— Łgarstwo! — wrzasnął. — Och, wiem, jak to robisz! Chyba wiem! Kiedy mówię: „Zostaniemy tu i ja będę pracować”, ty odpowiadasz: „Tak, kochanie”, a on: „Tak, tato”, po czym snujecie plany. Zamierzałaś użyć śniegołaza. Ty to zaplanowałaś. Ale ja wiedziałem. Ja się domyśliłem. Sądziłaś, że się nie domyśle? Miałaś mnie za głupca?

Wpatrywała się w niego, niezdolna wydobyć głosu. Zabije ją, a potem zabije Danny'ego. To może zadowolili hotel, który wtedy pozwoli, aby sam się zabił. Jak tamten dozorca. Jak

(Grady).

Półprzytomna z przerażenia, uświadomiła sobie w końcu, z kim w sali balowej rozmawiał Jack.

— Judziłaś przeciw mnie syna. To było najgorsze. — Twarz mu obwisła w wyrazie ubolewania nad sobą. — Mojego chłopczyka. Teraz i on mnie nienawidzi. Postarałaś się o to. Zaplanowałaś to od początku, prawda? Zawsze byłaś zazdrośna, co? Zupełnie jak twoja matka. Nie umiałaś poprzestać na małym, prawda? Nie umiałaś?

Nie mogła mówić.

— Już ja cię załatwię. — Spróbował ją chwycić za gardło. Zrobiła do tyłu krok, potem drugi, a Jack zwałił się na nią. Przypomniała sobie o nożu i sięgnęła do kieszeni szlafroka. Jack otoczył ją jednak lewym ramieniem, przycisnął jej rękę do boku. Wyczuła ostry zapach dżinu i kwaskowatą woń potu.

— Dostaniesz nauczkę — mruczał Jack. — Będziesz ukarana. Surowo ukarana...

Prawą ręką odnalazł jej gardło.

Przestała oddychać i wpadła w prawdziwą panikę. Jack połączył obie dłonie i teraz mogła chwycić nóż, lecz o nim zapomniała. Podniosła ręce do góry i zaczęła bezradnie szarpać go za ręce większe, silniejsze.

— Mamo! — dobiegł skądś wrzask Danny'ego. — Przestań, tato! Mamę to boli! — Chłopiec darł się przenikliwie i ten wysoki, krystaliczny głos słyszała z oddali.

Czerwone błyski zatańczyły jej przed oczami jak baletnice. W pokoju pociemniało. Zobaczyła, jak jej syn wdrapuje się na ladę i skacze Jackowi na ramiona. Nagle jedna z dłoni miażdżących jej krtań oderwała się i Jack z warczeniem wymierzył Danny'emu kuksańca. Chłopiec poleciał do tyłu na puste półki, po czym oszołomiony upadł na podłogę. Ręka znów zacisnęła się na jej gardle. Czerwone błyski zaczęły czernieć.

Danny kwilił bezsilnie. Paliło ją w klatce piersiowej. Jack krzyczał jej w twarz:

— Już ja cię załatwię! Ty cholero, pokażę ci, kto tu rządzi! Pokażę ci...

Wszystkie dźwięki cichły jednak w długim ciemnym korytarzu. Stawiała coraz słabszy opór. Puściła jedną jego rękę i powoli wyciągała ramię, aż znalazło się pod kątem prostym do ciała, z dłonią dyndającą bezwładnie w przegubie niczym dłoń topielicy.

Ta dłoń namacała butelkę w słomianym koszyczku — jedną z butelek po winie, które służyły za ozdobne świeczniki.

Nic nie widząc, ostatkiem sił poszukała szyjki i wyczuła pod palcami tłuste paciorki wosku.

(O Boże, jeśli się ześlizgnie...)

Kiedy unosiła i opuszczała butelkę, błagała Boga, aby nie chybić, świadoma, że cios w kark lub ramię oznacza jej koniec.

Ale butelka wylądowała dokładnie na głowie Jacka Torrance'a, szkło z trzaskiem rozprysło się wewnątrz koszyczka. Podstawa butelki, gruba i ciężka, rąbnęła w czaszkę tak głośno, jak piłka skórzana upuszczona na podłogę z twardego drewna. Jack zakołysał się na piętach, przewracając oczami. Ucisk na jej krtani zelżał, potem ustał zupełnie. Jack wyciągnął przed siebie ręce, jakby dla złapania równowagi, a następnie runął na wznak.

Wendy z łkaniem wciągnęła długi haust powietrza. Sama o mało nie upadła, chwyciła jednak za krawędź baru i zdołała się utrzymać na nogach. Odzyskiwała i traciła przytomność. Słyszała płacz Danny'ego, ale nie miała pojęcia, skąd

dobiega. Przypominał płacz w komorze pogłosowej. Jak przez mgłę widziała duże krople krwi padające na ciemną powierzchnię lady — chyba z jej nosa. Odchrząknęła i splunęła na podłogę. Fala ostrego bólu przepłynęła przez gardło, lecz paroksyzm minął i zamienił się w stały tępy ucisk... już do zniesienia.

Opanowała się stopniowo.

Puściła krawędź baru, odwróciła się i zobaczyła Jacka rozciągniętego obok potłuczonej butelki. Wyglądał jak powalony olbrzym. Danny przycupnął pod kasą i z obiema rękami w buzi wpatrywał się w nieprzytomnego ojca.

Wendy podeszła chwiejnym krokiem i dotknęła jego ramienia. Danny się cofnął.

— Posłuchaj, Danny...

— Nie, nie — wymamrotał ochryplym głosem starego mężczyzny. — Tata zrobił ci krzywdę... ty zrobiłaś krzywdę tacie... tata zrobił ci krzywdę... Chcę spać. Danny chce spać.

— Danny.

— Lulu spać. Dobrej nocy.

— Nie!

Ból znowu rozdarł jej gardło. Skrzywiła się. Ale Danny otworzył oczy. Spojrzały na nią ostrożnie z sinawych, okrytych cieniem oczodołów.

Zmusiła się do tego, aby mówić spokojnie, ani na chwilę nie spuszczać z niego wzroku. Głos miała cichy, matowy, znizony nieomal do szeptu. Mówienie sprawiało jej ból.

— Posłuchaj, Danny. To nie twój tata próbował zrobić mi krzywdę. A ja nie chciałam zrobić krzywdy jemu. To hotel w niego wstąpił, Danny. Panorama wstąpiła w twoją tatę. Czy mnie rozumiesz?

Oczy Danny'ego powoli zaczynały zdradzać jakieś zrozumienie.

— Zła Rzecz — szepnął. — Nie było jej tu przedtem, prawda?

— Nie. Hotel ją tutaj postawił. Ho... — Zakasłała i znów splunęła krwią. Gardło już jej opuchło, szyja stała się dwa razy grubsza niż zwykle. — Hotel zmusił go do picia. Czy słyszałeś tych ludzi, z którymi rozmawiał dziś rano?

— Tak... ludzie z hotelu...

— I ja ich słyszałam. A to oznacza, że hotel nabiera sił. Chce zrobić krzywdę nam wszystkim. Myślę jednak... mam nadzieję... że może spełnić ten zamiar tylko przez tatę. Jego jednego zdołał dopaść. Rozumiesz mnie, Danny? Jest szalenie ważne, żebyś mnie rozumiał.

— Hotel dopadł tatę. — Danny spojrział na Jacka z bezradnym jękiem.

— Wiem, że kochasz tatę. Ja też go Kocham. Musimy pamiętać, że hotel usiłuje skrzywdzić i jego, i nas.

W jej przekonaniu była to prawda. Co więcej, podejrzewała, że hotelowi zależy właściwie na Dannym, że dla niego posuwa się tak daleko... może dzięki

niemu jest zdolny posunąć się tak daleko. Może nawet w jakiś niezbadany sposób czerpie energię z jasności Danny'ego, podobnie jak instalacja elektryczna samochodu czerpie ją z akumulatora... co pozwala uruchomić silnik. Gdyby się stąd wydostali, Panorama mogłaby powrócić do dawnego stanu półświadomości, w którym potrafiłaby najwyżej ukazywać co wrażliwszym psychicznie gościom groszowe przezrocza z okropieństwami. Bez Danny'ego hotel niewiele się różnił od domu nawiedzanego przez duchy, jaki można oglądać w wesołym miasteczku; ktoś mógł tu słyszeć stukania lub odgłosy widmowej maskarady, mógł też czasem zobaczyć coś niepokojącego. Jeśli natomiast Panorama wchłonie Danny'ego... jego jasność, czy siłę żywotną, czy też ducha... obojętne jak to nazwiecie — cóż się wtedy stanie?

Na tę myśl przeniknął ją chłód.

— Chciałbym, żeby tata poczuł się lepiej — rzekł Danny i lzy znów popłynęły mu z oczu.

— Ja również. — Z tymi słowy mocno przytuliła Danny'ego. — I dlatego, skarbie, powinieneś mi pomóc w umieszczeniu gdzieś taty. Gdzieś, gdzie hotel nie będzie mógł go zmusić, żeby zrobił nam krzywdę, i gdzie sobie nie zdoła zrobić nic złego. A potem... jeśli przyjedzie twój przyjaciel Dick albo strażnik z parku, będziemy mogli go stąd zabrać. I znów wydobreje. Wszyscy możemy wydobreć. Nadal widzę taką szansę, jeżeli będziemy silni i odważni, jak ty w tamtej chwili, kiedy skoczyłeś mu na plecy. Rozumiesz? — Popatrzyła na chłopca błagalnie i pomyślała, jakie to dziwne: nigdy dotąd nie dostrzegą w nim takiego podobieństwa do Jacka.

— Tak. — Skinął głową. — Myślę... że jeśli uda nam się stąd wyjechać... wszystko będzie po staremu. Gdzie moglibyśmy go zamknąć?

— W spiżarni. Jest tam jedzenie i dobry, mocny rygiel od zewnątrz. Jest ciepło. A my możemy jeść rzeczy z lodówki i z zamrażalni. Wystarczy tego dla nas trojga aż do nadejścia pomocy.

— Zrobimy to teraz?

— Tak, natychmiast. Zanim się obudzi.

Danny podniósł barierkę przy ladzie, ona zaś tymczasem złożyła Jackowi ręce na piersi i przez sekundę słuchała, jak oddycha. Oddychał powoli, ale miarowo. Zapach wskazywał, że musiał wypić bardzo dużo... a odwykł od alkoholu. Jej zdaniem, mógł stracić przytomność zarówno z przepicia, jak od uderzenia w głowę butelką.

Chwyciła go za nogi i powlokła po podłodze. Choć była jego żoną od siedmiu prawie lat, choć leżał na niej niezliczoną ilość razy — zapewne tysiące — nie zdawała sobie sprawy, jaki jest ciężki. Oddech z bolesnym świstem przedostawał się przez jej zmaltretowane gardło. Mimo to od dawna nie czuła się tak dobrze. Żyła. A ponieważ przed chwilą z tak bliska otarła się o śmierć, umiała to docenić. I Jack żył również. Może raczej ślepy przypadek niż plan sprawił, że znaleźli

jedyny sposób bezpiecznego wydostania się z hotelu.

Ciężko dysząc, przystanęła na moment ze stopami Jacka przyciśniętymi do swoich bioder. W tym otoczeniu przypomniał jej się okrzyk kapitana z „Wyspy Skarbów”, kiedy stary ślepy Pew odwiedził go nad Zatoką Czarnego Wzgórza: „Jeszcze zalejemy im sadła za skórę!”

Następnie uświadomiła sobie z niepokojem, że ten wilk morski padł martwy zaledwie w parę sekund później.

— Dobrze się czujesz, mamó? On nie jest. . . nie jest za ciężki?

— Dam radę. — Znów pociągnęła. Danny szedł koło Jacka i kiedy jedna ręka zsunęła mu się z piersi, położył ją tam na powrót delikatnie, z miłością.

— Na pewno, mamó?

— Tak. To najlepsze wyjście, Danny.

— Zupełnie jakbyśmy wsadzili go do więzienia.

— Tylko na jakiś czas.

— No dobrze. Na pewno dasz radę?

— Tak.

Ale o mały włos nie dała. Danny podtrzymywał głowę ojca na progach, tłuste włosy wysliznęły mu się jednak z rąk, gdy wchodzili do kuchni. Jack uderzył tyłem głowy o kafle i jęcząc, zaczął się poruszać.

— Trzeba posłużyć się dymem — mamrotał prędko. — Leć i przynieś bańkę z benzyną.

Wendy i Danny w napięciu wymienili spojrzenia.

— Pomóż mi — powiedziała cicho.

Przez chwilę Danny stał przy głowie ojca jak sparaliżowany, a następnie, trzęsąc się, podszedł do matki i razem z nią chwycił go za lewą nogę. Wlekli Jacka po kuchennej posadzce koszmarne powolnym ruchem, tylko przy wtórze leciutkiego, owadziego brzęczenia świetlówek i własnego sapania.

Kiedy dotarli do spiżarni, Wendy położyła stopy Jacka na ziemi, odwróciła się i zaczęła niezdarnie manipulować przy ryglu. Danny spojrzał na ojca, bezwładnego i znów odprężonego. Po drodze zadarła mu się na plecach koszula i Danny był ciekaw, czy tata jest zanadto pijany, aby odczuwać zimno. Nie powinno się chyba zamykać go w spiżarni jak dzikiego zwierzęcia, ale Danny widział, co tata próbował zrobić mamie. Już na górze zdawał sobie sprawę, że tata zamierza to zrobić. W głowie rozbrzmiewały mu odgłosy ich kłótni.

(Gdybyśmy tylko wszyscy mogli stąd wyjechać. Albo gdyby to mi się śniło tam, w Stovington. Gdyby tylko.)

Rygiel się zaciął.

Wendy ciągnęła co sił, lecz nie ustępował. Nie mogła wywlec tego cholernego rygla. Było to głupie i niesprawiedliwe. . . otworzyła drzwi bez najmniejszego trudu, kiedy przyszła po zupe. Teraz zaszuwa ani drgnęła, więc co ona ma robić? Nie

mogli zamknąć Jacka w zamrażalni, bo zamarzlby albo udusiłby się na śmierć. Gdyby jednak zostawili go w kuchni, a on by się przecknął. . .

Jack znów poruszył się na podłodze.

— Ja się tym zajmę — wymamrotał. — Rozumiem.

— Budzi się, mamó! — ostrzegł Danny.

Teraz już z łkaniem szarpnęła rygiel obiema rękami.

— Danny? — W głosie Jacka dźwięczała lekka, choć wciąż jeszcze niewyraźna groźba. — To ty, stary?

— Śpij, tato — odparł Danny nerwowo. — Pora spać.

Spojrzał na matkę, w dalszym ciągu borykającą się z rygłem, i natychmiast dostrzegł, co się stało. Zapomniała przekrócić rygiel, zanim spróbowała go wyciągnąć. Mały sztyft tkwił w nacięciu.

— Pozwól — rzekł cicho i odsunął jej drżące ręce; jemu ręce trzęsły się prawie tak samo. Nasadą dłoni wypchnął sztyft i rygiel ustąpił z łatwością.

— Prędko — powiedział. Oczy zwrócone miał w dół. Jack zatrzepotał powiekami i tym razem popatrzył na niego, wzrokiem dziwnie mętym i zadumanym.

— Skopiowałeś to — oznajmił tata. — Wiem, że tak. Ale to jest gdzieś tutaj. I ja to znajdę. Obiecuję ci. Znajdę. . . — Jego słowa ponownie rozplynęły się w bełkocie.

Wendy kolanem pchnęła drzwi, ledwie świadoma cierpkiego zapachu suszonych owoców, który się rozszedł po otwarciu spiżarni. Chwyciła Jacka za nogi i pociągnęła do środka. Dyszała teraz ciężko, była u kresu sił. Szarpnęła za łańcuszek, a gdy rozbłysło światło, Jack zamrugał i podniósł powieki.

— Co robisz? Wendy? Co robisz?

Przeszła nad nim.

Był szybki; zadziwiająco szybki. Sięgnął ręką, więc Wendy musiała odskoczyć i o mało nie wyleciała przez drzwi. Mimo to złapał ją za poję szlafroka, którą naderwał z głośnym trzaskiem. Dźwignął się, stanął na czworakach, z włosami opadającymi na oczy, podobny do jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Dużego psa. . . czy lwa.

— Niech was cholera. Wiem, czego chcecie. Ale nic z tego. Ten hotel. . . jest mój. To mnie oni chcą. Mnie! Mnie!

— Drzwi, Danny! — wrzasnęła Wendy. — Zamknij drzwi!

Zatrzasnął ciężkie drewniane drzwi dokładnie w chwili, kiedy Jack do nich się rzucił. Zamek zaskoczył i Jack na próżno walił w nie pięściami.

Małe rączki Danny'ego namacały rygiel. Wendy była za daleko, więc nie mogła pomóc; dwie sekundy miały zdecydować o tym, czy Jack zostanie zamknięty, czy wyrwie się na wolność. Danny puścił rygiel, odnalazł go znowu i zasunął, a tymczasem klamka poniżej zaczęła podskakiwać jak szalona. Kiedy wreszcie pozostała w górze, rozległa się seria łomotów — to Jack walił barkiem w drzwi.

Stalowy rygiel o ćwierćcalowej średnicy ani drgnął. Wendy zrobiła powolny wydech.

— Wypuście mnie! — wściekał się Jack. — Wypuść mnie! Danny, do jasnej, jestem twoim ojcem i chcę wyjść! Rób, co ci każe!

Ręka Danny'ego odruchowo uniosła się do rygla. Wendy chwyciła ją i przycisnęła do swoich piersi.

— Słuchaj taty, Danny! Rób, co ci każe! Zrób to, bo spuszczę ci takie lanie, że popamiętasz. Otwórz drzwi, jak nie otworzysz, rozwalę ci tę twoją pieprzoną mózgownicę!

Danny patrzył na matkę, biały jak prześcieradło. Słyszeli świszczący oddech Jacka za solidnymi dębowymi drzwiami, grubymi na pół cala.

— Wendy, wypuść mnie! Wypuść mnie w tej chwili! Ty tania, zimna cipo! Wypuść mnie! Mówię poważnie! Wypuść mnie stąd, a ja ci przebaczę! Jeśli nie wypuścisz, zrobię z ciebie miazgę! Mówię poważnie! Tak cię zamaluję, że rodzona matka nie pozna cię na ulicy! Jazda, otwieraj te drzwi!

Danny jęknął. Wendy popatrzyła na niego i zorientowała się, że chłopiec zaraz zemdleje.

— No, stary — powiedziała zdumiona spokojem własnego głosu. — Pamiętaj, że tego nie mówi twój tata. To hotel.

— Wracaj i wypuść mnie natychmiast! — wrzeszczał Jack. Rozległo się drapanie i trzask, bo zaatakował drzwi paznokciami.

— To hotel — powtórzył Danny. — To hotel. Pamiętam. — Ale obejrzał się przez ramię z czołem zmarszczonym i pełen przerażenia.

Rozdział czterdziesty siódmy

Danny

Była trzecia po południu długiego, długiego dnia.

Siedzieli na dużym łóżku w swoim mieszkaniu. Danny nie mógł się powstrzymać od ustawicznego obracania w rękach fioletowego modelu volkswagena z potworem wystawiającym głowę przez otwór w dachu.

Słyszeli, jak daleko, po drugiej stronie holu, tata wali w drzwi, łomocze i wykrzykuje głosem ochryplym, złym, rozdrażnionym, jakoś władczo i słabo zarazem, bluzga obietnicami kar, wyzwiskami, grozi im obojgu, że jeszcze pożałują tej zdrady, której się dopuścili, choć przez tyle lat flaki sobie dla nich wypruwał.

Danny uważał, że nie będą już tego słyszeli na górze, ale odgłosy wściekłości docierały wyraźnie przez szyb wyciągu kuchennego. Mama miała mizerną twarz i okropne brązowe sińce na szyi, w miejscu, gdzie tata próbował...

Wciąż obracał w rękach model, nagrodę od taty za to, że się nauczył czytać.
(... w miejscu, gdzie tata próbował za mocno ją ścisnąć).

Mama puściła parę płyt na małym adapterze, z muzyką zgrzytliwą, pełną rogów i fletów. Uśmiechnęła się do niego znużona. Chciał odwzajemnić uśmiech, lecz nic z tego nie wyszło. Nawet przy nastawionym głośno adapterze wydawało mu się, że wciąż słyszy, jak tata wrzeszczy na nich i dobija się do drzwi niczym zwierzę zamknięte w klatce. Co się stanie, jeśli będzie musiał pójść do łazienki? Co zrobi wtedy?

Danny wybuchnął płaczem.

Wendy natychmiast ściszyła muzykę, przytuliła go, pohaustała na kolanach.

— Danny, kochanie, wszystko będzie dobrze. Na pewno. Jeśli pan Hallorann nie dostał od ciebie wiadomości, dostanie ją ktoś inny. Jak tylko ucichnie wiatr. Dopóki wieje, i tak nikt by nie mógł tu przyjechać. Pan Hallorann ani nikt inny. Ale po zamieci wszystko znów świetnie się ułoży. Wyjedziemy stąd. A czy wiesz, co zrobimy wiosną? We trójkę?

Danny pokręcił głową przytuloną do jej piersi. Nie wiedział. Zdawało się, że wiosna nigdy już nie nadejdzie.

— Popłyniemy na ryby. Wynajmiemy łódkę i popłyniemy na ryby, tak jak w zeszłym roku nad jeziorem Chatterton. Ty, ja i twój tata. Może złowisz okonia na kolację. A może nic nie złowimy, ale i tak będziemy dobrze się bawić.

— Kocham cię, mamo — powiedział, garnąc się do niej.

— Och, Danny, i ja ciebie kocham.

Na dworze wiatr wył i zawodził.

Około wpół do piątej, kiedy światło dzienne zaczęło przygasać, wrzaski ucichły.

Oboje zapadli w niespokojną drzemkę, Wendy wciąż z Dannym w ramionach; Wendy się nie zbudziła. To on się przecknął. Na swój sposób cisza była gorsza, bardziej złowroga niż ryki i walenie do drzwi. Czy tata znów zasnął? Czy umarł? Czy co?

(Czy się wydostał?)

Po piętnastu minutach ciszę przerwał donośny, zgrzytliwy, metaliczny grzechot. Coś głośno zaskrzypiało, a potem rozległ się mechaniczny warkot. Wendy obudziła się z krzykiem.

Winda znów była w ruchu.

Nasłuchiwali z szeroko otwartymi oczami, przytuleni do siebie. Kabina jeździła z piętra na piętro, krata odsuwała się z grzechotem, mosiężne drzwi otwierały się z trzaskiem. Rozbrzmiewał śmiech, pijackie nawoływania, niekiedy wrzaski, brzęk tłuczonego szkła.

Dokoła nich Panorama zaczynała tętnić życiem.

Rozdział czterdziesty ósmy

Jack

Siedział w spiżarni na podłodze z wyciągniętymi przed siebie nogami, między którymi trzymał pudełko słonych krakersów, i patrzył na drzwi. Jadł jednego krakersa po drugim, nie ze względu na ich smak, ale dlatego, że coś zjeść musiał. Kiedy się stąd wydostanie, siły będą mu potrzebne. Wszystkie siły.

Dokładnie w tym momencie czuł się tak nieszczęśliwy, jak jeszcze nigdy w życiu. Jego umysł i ciało rejestrowały ból przez duże B. Głowa dokuczała okropnie, pulsowała niezdrowo wskutek przepicia. A towarzyszyły temu zwykle objawy: smak w ustach taki, jakby ktoś przeciągnął po nich grabiami od gnoju, dzwonienie w uszach, bardziej głuchy i donośny łomot serca, podobny do tam-tamu. W dodatku barki miał wściekle obolałe od rzucania się na drzwi, a gardło zdarte od próżnych nawoływań. Prawą rękę skaleczył sobie o zatrzask.

A kiedy się stąd wydostanie, da komuś kopa w tyłek.

Chrupał kolejne krakersy na przekór nieszczęsnemu żołądkowi, który wszystko chciał zwrócić. Pomyślał o excedrynie w kieszeni i postanowił zaczekać, aż żołądek trochę się uspokoi. Nie ma sensu łykać środka przeciwbólowego, jeśli się zaraz wymiotuje. Trzeba ruszyć głową. Słynną głową Jacka Torrance'a. Czyż nie jesteś facetem, który kiedyś zamierzał żyć z tego, że ma głowę na karku? Jack Torrance, autor bestsellerów. Jack Torrance, uznany dramaturg i laureat Nagrody Nowojorskiego Koła Krytyków. Jack Torrance, literat, poważany myśliciel, w wieku lat siedemdziesięciu wyróżniony Nagrodą Pulitzera za cięty pamiętnik pod tytułem „Moje życie w dwudziestym wieku”. Całe to gówno sprowadzało się do tego, aby w życiu posługiwać się głową.

Kiedy ktoś posługuje się głową, zawsze wie, gdzie są osy.

Włożył do ust i schrupał następnego krakersa.

Jak przypuszczał, wszystko polegało właściwie na tym, że mu nie ufali. Nie mogli uwierzyć, że on wie, co jest dla nich najlepsze i jak to zdobyć. Żona próbowała rościć sobie do niego prawo, stosując najpierw dopuszczalne,

(poniekąd)

a potem niedopuszczalne metody. Kiedy rozsądnymi argumentami zbił jej aluzjki i płaczliwe obiekcje, podburzyła przeciw niemu syna, a jego usiłowała zabić butelką, po czym zamknęła go, i to gdzie, w tej cholernej, pieprzonej spiżarni.

Cichy głos wewnętrzny nie dawał mu jednak spokoju.

(Tak, ale skąd się wziął alkohol? Czy to nie jest najistotniejsze? Wiesz, co się dzieje, kiedy pijesz, wiesz to z własnego gorzkiego doświadczenia. Kiedy pijesz, tracisz rozum.)

Cisnął krakersami w drugi koniec niewielkiego pomieszczenia. Pudełko trafiło w półkę z konserwami i spadło na podłogę. Popatrzył na nie, otarł dłonią wargi i spojrział na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści. Siedzi tutaj od wielu godzin. Żona go zamknęła i przesiedział tu już tyle pieprzonych godzin.

Zaczynał współczuć swojemu ojcu.

Pojął teraz, że nigdy nie zadawał sobie pytania, co właściwie popchnęło tatę do picia. I rzeczywiście jądrem sprawy... jak lubili mówić jego dawni uczniowie... była kobieta, z którą się ożenił. Pasożyt i fajtłapa zawsze w milczeniu snująca się po domu z miną osoby skazanej na męczeństwo. Kula i łańcuch u nogi taty. Nie, nie kula i łańcuch. Ona nigdy nie próbowała uwięzić taty, tak jak Wendy uwięziła jego. Ojcu Jacka przypadł raczej los dentysty McTeague'a, który w zakończeniu wielkiej powieści Franka Norrisa zostaje na pustkowiu przykuty do nieboszczyka. Tak, to lepsze porównanie. Umysłowo i duchowo martwa, jego matka trwała przykuta do ojca małżeństwem. A tata starał się czynić, co należy, gdy tak włókł jej gnijące zwłoki przez życie. Próbował wychować czwórkę dzieci tak, by wiedziały, co jest dobre, a co złe, by znały mores i — rzecz najważniejsza — szanowały swojego ojca.

Cóż, wszyscy byli niewdzięcznikami, nie wyłączając samego Jacka. I teraz za to płaci; jego syn też się okazał niewdzięcznikiem. Ale pozostała nadzieja. Jakoś się stąd wydostanie. Ukarze ich oboje, i to surowo. Da przykład Danny'emu i może kiedyś, gdy Danny dorośnie, będzie lepiej od ojca wiedział, jak postępować.

Przypomniał sobie niedzielny obiad, w czasie którego ojciec zbił matkę łaską przy stole... przerażenie własne i rodzeństwa. Obecnie dostrzegał, że było to konieczne, że ojciec tylko udawał pijanego, a wbrew pozorom nie tracił przytomności i bystrości umysłu, że wypatrywał najlżejszego objawu nieposzanowania.

Jack podpełził do pudełka krakersów i znów zaczął jeść, siedząc pod drzwiami tak podstępnie przez Wendy zaryglowanymi. Ciekawiło go, co właściwie zobaczył ojciec i jak przyłapał matkę na gorącym uczynku tym swoim udawaniem. Czy szyderczo się z niego śmiała, zasłoniwszy twarz dłonią? Pokazywała język? Robiła nieprzyzwoite gesty palcami? Czy tylko patrzyła na niego beczelnie, wyzywająco, przekonana, że jest zbyt ogłupiały od alkoholu, aby to dostrzec? Obojętne, co to było, przyłapał ją na tym i surowo ukarał. A dzisiaj, po dwudziestu latach, on, Jack, może wreszcie docenić mądrość taty.

Oczywiście można by powiedzieć, że tata postąpił niemądrze, żeniąc się z taką

kobietą, że się przykuł do tego trupa. . . który w dodatku go lekceważył. Ale kiedy młodzi żenią się w pośpiechu, w wolnej chwili muszą tego żałować, i być może ojciec taty ożenił się z kobietą takiego samego pokroju, więc tata Jacka nieświadomie też się z podobną ożenił, i Jack również. Tyle że jego żona nie zadowolila się bierną rolą, jaką odegrała w uniemożliwieniu mu jednej kariery, a zwichnięciu drugiej. Postanowiła działać na jego szkodę i pozbawić go ostatniej, najlepszej szansy: zostania członkiem personelu Panoramy, a potem przypuszczalnie objęcia. . . aż stanowiska dyrektora. Próbowwała mu odebrać Danny'ego, który był jakby jego biletem wstępu. Oczywiście to głupota — po co był im syn, skoro mogli mieć ojca? Lecz pracodawcom często przychodzą do głowy głupie pomysły, a taki postawili warunek.

Rozumiał teraz, że nie zdoła jej przekonać. Starał się to zrobić w salonie Kolorado, lecz nie chciała słuchać, za te wysiłki rąbnęła go w głowę butelką. Nadarzy się jednak inna okazja, i to wkrótce. On się stąd wydostanie.

Nagle wstrzymał oddech i przekrzywił głowę. Fortepian grał gdzieś boogie-woogie, ludzie się śmiali i klaskali do taktu. Mimo iż grube drewniane drzwi tłumiły dźwięki, słyszał muzykę. Tytuł piosenki brzmiał: „There'll Be a Hot Time in the Old Town Tonight”.

Jack bezradnie zacisnął pięści; musiał się powstrzymać od walenia w drzwi. Bal znów się zaczął. Trunki popłyną strumieniem. Gdzieś zatańczy z kimś innym dziewczyna, która sprawiała wrażenie tak oszłamiająco nagiej pod białym jedwabiem sukni.

— Zapłacicie za to! — zawył. — Zapłacicie, wy dwoje, niech was diabli! Zażyjecie za to cholerne lekarstwo, obiecuję wam! Wy. . .

— No, no, spokój — przemówił łagodny głos tuż za drzwiami. — Nie musisz krzyczeć, stary. Słyszę cię doskonale.

Jack niepewnie poderwał się na nogi.

— Grady? To ty?

— Tak, proszę pana. W rzeczy samej. Wygląda na to, że został pan zamknięty.

— Wypuść mnie, Grady. Prędko.

— Widzę, że chyba nie mógł pan się zająć tym, o czym dyskutowaliśmy, sir. Ukarami swojej żony i syna.

— To oni mnie zamknęli. Otwórz, na litość boską!

— Pozwolił się pan zamknąć? — Głos Grady'ego wyrażał grzeczne zdziwienie. — O rety. Kobiecie o połowę mniejszej od siebie i małemu chłopczykowi? To słaba rekomendacja dla kandydata na kierownicze stanowisko, co?

Puls zaczął walić w splocie żył na prawej skroni Jacka.

— Wypuść mnie, Grady. Już ja się nimi zajmę.

— Czy rzeczywiście, sir? Nie jestem pewny. — Grzeczne zdziwienie ustąpiło miejsca grzecznemu żalowi. — Z bólem stwierdzam, że budzi to moją wątpliwość.

Ja... i inni... doprawdy nabraliśmy przekonania, że nie wkłada pan w to serca, sir. Brak panu... niezbędnej odwagi.

— Nie! — krzyknął Jack. — Przysięgam, że nie!

— Przyprawdziłby pan do nas swojego syna?

— Tak! Tak!

— Pańska żona gorąco by się temu sprzeciwiała, panie Torrance, a ona wydaje się... nieco mocniejsza, niż sądziliśmy. Nieco zaradniejsza. Wygląda na to, że zdobyła nad panem przewagę. — Grady zachichotał. — Może, panie Torrance, należało od początku z nią pertraktować.

— Klnę się, że go przyprowadzę — powiedział Jack. Przywarł twarzą do drzwi. Pocił się. — Ona nie będzie się sprzeciwiać. Przysięgam. Nie będzie mogła.

— Obawiam się, że musiałby pan ją zabić — rzekł chłodno Grady.

— Zrobię, co powinienem. Tylko mnie wypuść.

— Da pan słowo, sir? — upierał się Grady.

— Słowo, obietnicę, solenne przyrzeczenie, co sobie, u licha, życzysz. Jeśli...

Sucho szcęknęła zasuwka. Drzwi z dygotem uchyliły się na ćwierć cala. Jack zaniemówił i przestał oddychać. Przez chwilę miał wrażenie, że sama śmierć stoi za tymi drzwiami.

Wrażenie ustąpiło.

— Dziękuję, Grady — szepnął. — Klnę się, że nie pożałujesz. Przysięgam.

Nie było odpowiedzi. Zdał sobie sprawę, że umilkły wszystkie odgłosy prócz mroźnych podmuchów wiatru na dworze.

Pchnął drzwi spiżarni; zawiasy skrzypnęły cicho.

Kuchnia świeciła pustkami. Grady zniknął. Pod świetlówkami, jarzącymi się zimnym, białym blaskiem, panował spokój i bezruch. Wzrok Jacka padł na duży kłoc rzeźniczy, przy którym we trójkę jadaliby posiłki.

Na pniaku stała szklanka martini, jedna piąta galona dżinu i plastikowa miska z oliwkami; oparty o pień był jeden z młotków do roque'a z szopy ze sprzętem.

Jack długo mu się przyglądał.

Potem głos, o wiele bardziej tubalny i potężniejszy niż głos Grady'ego, przemówił skądś, zewsząd... z jego wnętrza.

(„Niech pan dotrzyma obietnicy, panie Torrance”.)

— Dotrzymam — odrzekł. Słyszał nutę służalności we własnym głosie, lecz nie mógł nad nim zapanować. — Dotrzymam.

Podszedł do kłoca i położył dłoń na trzonku młotka.

Podniósł go.

Zamachnął się.

Młotek ze zjadliwym świstem przeciął powietrze.

Jack Torrance zaczął się uśmiechać.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Hallorann jedzie w góry

Była trzynasta piętnaście i według ośnieżonych drogowskazów i drogomierza w wynajętym buicku Hallorann znajdował się o niespełna trzy mile od Estes Park, kiedy ostatecznie zjechał z szosy.

Nigdy jeszcze nie widział śniegu padającego szybciej i z większą zaciekłością niż na pogórzcu (co właściwie o niczym nie świadczy, bo starał się widywać w życiu jak najmniej śniegu), a zawierucha była kapryśna — raz wiało z zachodu, raz z północy, wichur przeganiał tumany puchu, przesłaniając mu pole widzenia, toteż wciąż od nowa uświadamiał sobie beznamiętnie, że gdyby nie zdążył skrócić, jak nic zwałiby się z wysokości dwustu stóp w samochodzie kręcącym szalone młynki. Co gorsza, nie miał żadnego doświadczenia w prowadzeniu wozu zimą. Strachem napełniał go brak żółtej linii pośrodku szosy, ukrytej pod wirami miecionego wiatrem śniegu, i silne podmuchy nadlatujące przesykami górskimi i dosłownie obracające ciężkim buickiem. Bał się, bo większość znaków drogowych przysypał śnieg i trzeba było zgadywać, czy na białym ekranie filmowym przed jego oczami droga skręci w prawo, czy w lewo. Bał się — jeszcze jak. Jechał obłany zimnym potem, odkąd się wspinał na wzgórze na zachód od Boulder i Lyons. Z pedałem gazu i hamulcem obchodził się jak z wazami z czasów dynastii Ming. Pośród nadawanych przez radio melodii rock'n'rollowych ustawicznie rozbrzmiewały zaklęcia spikera, który błagał kierowców, aby omijali główne autostrady i w żadnym razie nie jechali w góry, gdyż wiele dróg jest nieprzejezdnych, wszystkie zaś niebezpieczne. Donoszono o dziesiątkach mniej groźnych wypadków i dwóch poważniejszych: jednemu uległa grupa narciarzy w mikrobusie marki Volkswagen, drugiemu rodzina udająca się do Albuquerque przez góry Sangre de Cristo. Łącznie zginęły w obu cztery osoby, pięć odniosło rany. „Więc omijajcie te trasy i słuchajcie dobrej muzyki nadawanej przez KTLK”, zakończył wesoło spiker, po czym dobił Halloranna piosenką „Seasons in the Sun”.

Była radość i był śmiech, była...

bełkotał wesoło Terry Jacks, więc Hallorann ze złością wyłączył radio, świadom, że za pięć minut włączy je znowu. Żeby nie wiedzieć jak złe, było jednak lepsze niż samotna jazda przez to białe szaleństwo.

(Przyznaj. Ten tu czarnuch ma przynajmniej jeden długi pas żółty... i to wzdłuż zakazanego grzbietu!)

Nie było to nawet zabawne. Wycofałby się jeszcze w Boulder, gdyby nie świadomość, że chłopiec jest w straszliwych opałach. I teraz cichy głos w głębi jego czaszki — głos raczej rozsądku niż tchórzostwa — nakazywał zaszyć się na noc w jakimś motelu w Estes Park i poczekać, aż pługi odsłonią chociaż środkową linię. Ten głos stale przypominał o niepewnym lądowaniu odrzutowca na lotnisku Stapleton, o mdlącym uczuciu, że samolot runie nosem w dół i dostarczy pasażerów do bram piekielnych zamiast do wyjścia 39, hala B. Ale rozsądek nie chciał się przeciwstawić tej świadomości. Trzeba to zrobić dzisiaj. Ma pecha z zadymką. Będzie musiał się z nią borykać. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, może będzie musiał borykać się w snach z czymś o wiele gorszym.

Nowy podmuch wiatru, tym razem z północnego wschodu, zawirował jak podcięta piłka, on zaś ponownie stracił z oczu niewyraźne zarysy wzgórz, nawet nasypy po obu stronach drogi. Jechał przez białą pustkę.

Wtem jaskrawe lampy sodowe pługą odśnieżnego wychynęły z tej zupy, waląc na niego, on zaś ku swemu przerażeniu zobaczył, że maska buicka, zamiast znajdować się z boku, wymierzona jest dokładnie między te dwa przednie światła. Pług niezbyt skrupulatnie trzymał się swojej strony szosy, a Hallorann pozwolił buickowi zjechać na środek.

Ogłuszający ryk dieslowskiego silnika przedarł się przez wycie wiatru, po czym zadźwięczał klakson, donośny, przeciągły, niemal ogłuszający.

Jądra Halloranna zamieniły się w dwa małe pomarszczone woreczki wypełnione wiórkami lodu, a wnętrzności w wielką masę plasteliny.

Pośród bieli pojawiła się teraz barwa pomarańczowa, przyprószona śniegiem. Wysoko w górze Hallorann widział kabinę, a nawet gestykulującą postać kierowcy za pojedynczą długą wycieraczką. Widział, jak lemiesz pługą, tworzące literę V, wyrzucają na lewy nasyp jeszcze więcej śniegu podobnego do białych spalin.

Buuuuu! — zaryczał z oburzeniem klakson.

Hallorann nacisnął gaz, jakby to była pierś ukochanej kobiety, i buick pomknął w prawo do przodu. Tutaj nie było nasypu; pługi jadące w górę, nie w dół, musiały jedynie spychać śnieg bezpośrednio z uskoku.

(Uskok, ach tak, uskok -)

Na lewo od Halloranna lemiesz, o całe cztery stopy wyższe niż jego elektra, przemknęły w odległości zaledwie cala czy dwóch. Dopóki pług ostatecznie go nie wyminął, Hallorann uważał zderzenie za rzecz nieuniknioną. Ni to modlitwa, ni nieme przeprosiny skierowane do chłopca załopotwały w jego głowie jak porwana szmata.

Pług przejechał, migając i błyskając w lusterku Halloranna obrotowymi niebieskimi światłami.

Hallorann skręcił kierownicę w lewo, ale nie zdało się to na nic. Buick wpadł w poślizg i sennie płynął w stronę krawędzi uskoków, sypiąc śniegiem spod błotników.

Hallorann błyskawicznie skręcił kierownicę w prawo, zgodnie z kierunkiem poślizgu, i samochód zaczął się obracać tyłem do przodu. Już w panice, Dick mocno nadusił hamulec i poczuł silne uderzenie. Droga przed nim zniknęła... spozierał w bezdenną czeluść wypełnioną wirującym śniegiem i niewyraźnymi, zielonawoszarymi sosnami, które rosły w oddali i w głębi.

(Spadam, najświętsza matko Jezusa, spadam!)

Właśnie tam samochód się zatrzymał, wychylony do przodu pod kątem trzydziestu stopni, lewym zderzakiem zaczepiony o barierę ochronną, z tylnymi kołami prawie w powietrzu. Hallorann spróbował wrzucić wsteczny bieg, ale koła tylko kręciły się bezradnie w miejscu. Łomotanie jego serca przypominało werbel Gene'a Krupy.

Wysiadł — bardzo ostrożnie — i zaszedł buicka od tyłu.

Kiedy tam stał i nie wiedząc, co robić, spoglądał na tylne koła, za jego plecami rozległ się wesoły głos:

— Hejże, człowieku. Tym masz chyba kompletnego fioła.

Odwrócił się i zobaczył pług o czterdzieści jardów dalej na drodze, mający w zadymce, z wyraźnie widoczną ciemnobrązową prążkowaną smugą spalin i obrotowymi niebieskimi światłami na dachu kabiny. Kierowca znajdował się tuż za nim, ubrany w długą kurtkę barania i płaszcz nieprzemakalny. Na czubku głowy miał czapkę mechanika w wąskie biało-niebieskie paski, która w sposób dla Halloranna niepojęty jakoś się tam trzymała pomimo wiatru.

(Klej. Z całą pewnością musi być przyklejona.)

— Cześć — powiedział. — Może mnie pan ściągnąć na szosę?

— Chyba tak — odparł kierowca. — Co, u diabła, robi pan tak wysoko w górach? Dobry sposób, żeby sobie napytać biedy.

— Mam pilny interes.

— Żaden interes nie jest pilny — oświadczył kierowca powoli i życzliwie, jakby się zwracał do kogoś upośledzonego.

— Gdyby pan odrobinę mocniej walnął w ten słupek, wyciągnęliby pana dopiero na prima aprilis. Pan nie z tych stron, prawda?

-. Nie. I nigdy bym tu nie przejechał, gdyby sprawa nie była aż tak pilna.

— Czyżby? — Kierowca stanął wygodnie, jakby prowadzili towarzyską pogawędkę na tylnych schodach domu, nie zaś w zadymce na tym wygwizdowie, gdzie wóz Halloranna zawisł o trzysta stóp nad czubkami drzew.

— Dokąd pan jedzie? Do Estes?

— Nie, do hotelu zwanego Panorama. Leży trochę powyżej Sidewinder...

Kierowca ponuro kiwał głową.

— Chyba dość dobrze wiem, gdzie leży. Panie, nie dotrze pan do tej Panoramy, żeby nie wiem co. Drogi między Estes Park a Sidewinder to jedno piekło. Tuż za nami nawiewa śniegu, choć go stale spychamy. Parę mil stąd przejeżdżałem przez zasypy wysokie na prawie sześć stóp. A nawet gdyby się pan przedarł do Sidewinder, cóż, droga stamtąd zamknięta jest aż do Buckland w stanie Utah. Niii. — Pokręcił głową.

— To się panu nie uda. Wykluczone.

— Muszę spróbować — oświadczył Hallorann, przywołując na pomoc resztki cierpliwości, żeby mówić normalnym tonem. — Jest tam chłopiec. . .

— Chłopiec? No nie. Panoramę zamykają pod sam koniec września. Nie opłaca się, żeby dłużej była otwarta. Za wiele takich zaszpanych wichur jak ta.

— To syn dozorca. Jest w tarapatach.

— A to skąd pan wie?

Cierpliwość Halloranna przysła.

— Na litość boską, będzie pan tu stał i do końca dnia kłapał dziobem? Ja wiem, ja wiem! No więc ściągnie mnie pan na szosę czy nie?

— Niepotrzebnie się pan tak zaperza — zauważył kierowca niezbyt poruszony. — Proszę wsiadać do wozu. Mam łańcuch za siedzeniem.

Hallorann, dygocąc, włożył za kierownicę. Ręce mu skostniały. Zapomniał wziąć rękawiczki.

Pług cofnął się i podjechał do buicka od tyłu, po czym kierowca wysiadł z pokaznym zwojem łańcucha. Hallorann otworzył drzwi i krzyknął:

— W czym mogę pomóc?

— Niech pan mi nie wchodzi w drogę, to wszystko — odkrzyknął kierowca. — Uwinę się raz-dwa.

Mówił prawdę. Podwozie buicka zadygotało, gdy łańcuch się naprężył, i po sekundzie wóz znowu znalazł się na drodze, zwrócony mniej więcej w stronę Estes Park. Kierowca podszedł do okienka i zastukał w szybę. Hallorann ją opuścił.

— Dzięki — rzekł. — Przepraszam, że się uniosłem.

— Krzyczano na mnie już nieraz — z uśmiechem odparł kierowca. — Domyślam się, że jest pan nieco podenerwowany. Proszę to wziąć. — Para grubych niebieskich rękawic upadła Hallorannowi na kolana. — Przydadzą się, jak pan drugi raz zjedzie z drogi. Jest zimno. Radzę je włożyć, jeśli nie chce pan do końca życia dłużyć w nosie szydełkiem. I niech mi je pan potem odeśle. Zrobiła mi je na drutach żona, więc mam do nich słabość. Nazwisko i adres są przyszyte do podszewki. Nawiasem mówiąc, nazywani się Howard Cottrell. Proszę je po prostu odesłać, jak już nie będą potrzebne. I żeby to nie była przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

— Dobra — powiedział Hallorann. — Dzięki. Stokrotne dzięki.

— Proszę zachować ostrożność. Sam bym pana zawiózł, ale jestem zaharowany jak wół.

— Dam sobie radę. Jeszcze raz dzięki.

Nie zdążył podnieść szyby, bo Cottrell mu przeszkodził.

— Kiedy pan dojedzie do Sidewinder... jeżeli pan tam dojedzie... radzę wstąpić do Durkina na stację benzynową Conoco. To tuż obok biblioteki. Nie sposób nie trafić. Niech pan zapyta o Larry'ego Durkina. I powie mu, że przysłała pana Howie Cottrell i żeby panu wynajął jeden ze śniegołazów. Jak pan poda moje nazwisko i pokaże te rękawice, dostanie pan zniżkę.

— Jeszcze raz dziękuję — rzekł Hallorann.

Cottrell skinął głową.

— Śmieszna rzecz. W żaden sposób nie mógł się pan dowiedzieć, że tam w Panoramie ktoś wpadł w opał... telefon wysiadł, to murowane. Ale ja panu wierzę. Sam czasem miewam przecucia.

Hallorann przytaknął.

— I ja także.

— Taak. Wiem o tym. Ale proszę uważać.

— Będę uważał.

Cottrell skinął ręką na pożegnanie i rozpląnął się w wietrznym zmroku, z czapką mechanika wciąż zawadiacko przekrzywioną na głowie. Hallorann zapuścił silnik, łańcuchy zaczęły młócić śnieżną pokrywę na szosie, wreszcie wbiły się w nią na tyle, że buick ruszył. Z tyłu Howard Cottrell po raz ostatni nacisnął klakson, sygnalizując, że życzy mu szczęścia, chociaż doprawdy było to zbyteczne; Hallorann czuł, że mu tego życzy.

Dwa jaśnienia w ciągu jednego dnia, pomyślał, a to powinien być dobry znak. Nie ufał jednak znakom, dobrym ani złym. Fakt, że jednego dnia spotkał dwie jaśniejące osoby (podczas gdy zwykle natrafiał najwyżej na cztery czy pięć w ciągu roku), może przecież niczego nie oznaczać. To poczucie ostateczności, poczucie, (wszystkie rzeczy podobne kończą się szczęśliwie)

którego nie potrafił w pełni zdefiniować, nadal pozostawało bardzo żywe. Było...

Buick chciał wpaść w poślizg i bokiem wziął ostry zakręt, więc Hallorann manewrował nim ostrożnie, ledwie ośmielając się oddychać. Znów włączył radio, śpiewała Aretha, rzeczywiście świetna. Zawsze był gotów dzielić z nią wynajęty samochód.

Kolejny podmuch wiatru uderzył w buicka, zakołysał nim, okręcił dokoła. Hallorann, klnąc, pochylił się jeszcze niżej nad kierownicą. Aretha skończyła piosenkę, po czym włączył się spiker i poinformował go, że prowadzenie wozu w dniu dzisiejszym to dobry sposób na przeniesienie się na tamten świat.

Hallorann zamknął radio.

Dotarł jednak do Sidewinder, choć droga z Estes Park zajęła mu cztery i pół godziny. Zanim wy dostał się na Szosę Górską, zapadły kompletne ciemności, lecz nic nie wskazywało na to, że zadyмка słabnie. Dwukrotnie musiał przystawać przed zaspami wysokimi jak maska jego wozu i czekać, aż rozgarną je pługi. Raz pług nadjechał pasem, na którym on się znajdował, i znów wszystko wisiało na włosku. Kierowca pługa tylko go wyminął i nie wysiadł na przyjacielską pogawędkę, zrobił natomiast palcami jeden z dwóch gestów, znanych każdemu Amerykaninowi od dziesiątego roku życia, a nie był to znak pokoju.

Zdawało się, że im bliżej jest Panoramy, tym silniej odczuwa potrzebę pośpiechu. Przyłapał się na tym, że niemal bez przerwy spogląda na zegarek. Wskazówki jakby pędziły do przodu.

Skręcił na Szosę Górską i w dziesięć minut później minął dwa drogowaskazy, czytelne, bo wiatr oczyścił je ze śniegu: „Sidewinder 10”, informował pierwszy. A drugi: „12 mil dalej droga zamknięta na czas zimy”.

— Larry Durkin — wymamrotał pod nosem Hallorann. W przytłumionym zielonym blasku tablicy rozdzielczej jego ciemna twarz zdradzała przemęczenie i napięcie. Było dziesięć po szóstej. — Conoco obok biblioteki. Larry...

I właśnie w tej chwili z całą siłą ugodził go zapach pomarańczy oraz myśl groźna, nienawistna, mordercza:

(Zjeżdżaj stąd ty brudny czarnuchu to nie twój interes ty czarnuchu zawróć zawróć albo cię zabijemy powiesimy na konarze drzewa ty pieprzony smoluchu z dżungli a potem spalimy ciało bo tak robimy z czarnuchami więc zaraz zawracaj!)

Hallorann wrzasnął w ciasnym wnętrzu samochodu. To polecenie, nie w formie słów, lecz serii obrazów podobnych do rebusu, wbiło mu się ze straszliwą mocą w głowę. Odjął ręce od kierownicy, żeby wymazać te obrazy.

W tym momencie samochód bokiem rąbnął w nasyp, odbił się, zrobił pół obrotu i stanął. Tylne koła kręciły się nadaremnie.

Hallorann wyłączył bieg i zakrył twarz dłońmi. Właściwie nie płakał; wydawał jakiś nierytmiczny odgłos — chu, chu, chu. Pierś mu falowała. Wiedział, że gdyby ten prąd poraził go na odcinku drogi nad urwiskiem, pewnie by już nie żył. Może o to chodziło. A ta rzecz w każdej chwili mogła się powtórzyć. Będzie musiał się przed nią bronić. Otaczała go czerwona siła niesłychanie potężna, zapewne pamięć. Tonał w instynkcie.

Opuścił ręce i ostrożnie uniośł powieki. Nic. Jeśli coś znów go próbuje nastrozyć, to do niego nie dociera. Jest odcięty.

Czy to się przydarzyło temu chłopcu? Boże wielki, czy to się przydarzyło temu chłopczykowi?

Najbardziej niepokojące ze wszystkich obrazów było głuche walenie, jakby młotka plaskającego w gruby ser. Co to oznaczało?

(Jezu, nie tego chłopczyka. Proszę cię, Jezu.)

Wrzucił jedynkę i stopniowo dodawał gazu. Koła się zakreśliły, natrafiły na opór, zakreśliły się i znów natrafiły na opór. Buick ruszył, słabo oświetlając reflektorami drogę wśród śnieżnych wirów. Hallorann spojrział na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści. I zaczynało go ogarniać uczucie, że naprawdę jest bardzo późno.

Rozdział pięćdziesiąty

Redrum

Wendy Torrance stała niezdecydowana pośrodku sypialni, patrząc na syna zagrożonego w głębokim śnie.

Pół godziny temu hałasy ucichły. Wszystkie, całkiem nagle. Szczęk windy, okrzyki i śmiechy, trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Nie przyniosło jej to ulgi, przeciwnie, zaostrzyło stan nerwowego napięcia. Przypominało zgubną ciszę przed ostatnim brutalnym podmuchem wichury. Danny jednak usnął prawie natychmiast; zrazu zapadł w lekką drzemkę, wstrząsany drgawkami, a jakieś dziesięć minut temu w głębszy sen. Nawet patrząc prosto na niego, z trudem dostrzegła powolne unoszenie się i opadanie wąskiej klatki piersiowej.

Zastanawiała się, kiedy ostatnio przespał całą noc, bez dręczących snów czy długich okresów czuwania w ciemności, wsłuchiwania się w odgłosy balu, dosłyszalne — i widzialne — dla niej od paru dni, odkąd spotęgował się wpływ, jaki na nich troje wywierała Panorama.

(Prawdziwe zjawisko psychiczne czy hipnoza grupowa?)

Nie wiedziała i nie sądziła, aby to miało znaczenie. To, co się działo, i tak było mordercze. Patrząc na Danny'ego, myślała,

(daj Boże niech leży spokojnie)

że gdyby nic mu nie przeszkodziło, mógłby przespać noc do końca. Niezależnie od posiadanych zdolności jest jeszcze małym chłopcem i potrzebuje wypoczynku.

To o Jacka zaczęła się martwić.

Z nagłym grymasem bólu odjęła rękę od ust i zobaczyła ułamany paznokieć. A właśnie paznokcie zawsze starała się utrzymywać w porządku. Nie na tyle długie, żeby można było mówić o szponach, miały ładny kształt i

(czemu martwisz się o paznokcie?)

Wybuchnęła krótkim, lecz niepewnym, niewesołym śmiechem.

Najpierw Jack przestał wyć i walić do drzwi. Potem bal znów się zaczął

(a czy w ogóle się skończył? czy po prostu odpływał niekiedy w trochę inny czas gdzie mieli go nie słyszeć?)

przy wtórze łoskotu i trzaskania windą. Następnie te odgłosy umilkły. W nowej ciszy, gdy Danny zasypiał, wydało jej się, że słyszy ciche, konspiratorskie szepty dochodzące z kuchni, niemal dokładnie spod podłogi. Początkowo je zlekceważyła, bo przecież wiatr potrafi naśladować najróżniejsze skale głosu ludzkiego; szemrać sucho wokół drzwi i framug okiennych jak człowiek na łożu śmierci, wreszcie zawodzić pod okapami... jak kobieta umykająca przed mordercą w takim melodramacie. A jednak, kiedy sztywno siedziała przy Dannym, zaczęła się utwierdzać w przekonaniu, że istotnie są to głosy.

Jack omawiał z kimś drugim ucieczkę ze spiżarni.

Omawiał zabójstwo żony i syna.

To nic nowego tutaj, gdzie popełniano już morderstwa.

Podeszła do przewodu ogrzewczego i przytknęła do niego ucho, akurat w tym momencie jednak włączył się piec i prąd ciepłego powietrza napływającego z podziemi wchłonał wszelkie odgłosy. Przed pięcioma minutami, gdy piec się ponownie wyłączył, cisza panowała zupełna, zakłócał ją tylko wiatr, śnieg siekł po ścianach budynku, czasami stęknęła deska.

Wendy spojrzała na ułamany paznokciec. Pokazały się pod nim kropelki krwi.

(Jack się wydostał.)

(Nie gadaj głupstw.)

(Tak, jest na wolności. Wziął nóż z kuchni, a może tasak. Idzie teraz na górę, stąpa ostrożnie, żeby schody nie skrzypiały.)

(!Jesteś szalona!)

Wargi jej drżały i przez chwilę zdawało się, że głośno wykrzyknęła te słowa. Trwała jednak niezmacona cisza.

Wendy czuła, że ktoś ją obserwuje.

Odwróciła się i spojrzała w ciemne okno, zza którego patrzyła na nią ohydna biała twarz z czarnymi krążkami zamiast oczu, twarz potwornego obłąkańca, od początku ukrytego w tym stękającym budynku...

Był to tylko wzór namalowany przez mróz na szybie.

Wendy odetchnęła przeciągle, z trwożnym świstem, i wydało jej się, że słyszy, tym razem bardzo wyraźnie, dobiegające skądś rozbawione chichoty.

(Podskakujesz na widok cieni. I bez tego jest już dość źle. Jutro rano będziesz się nadawała na lokatorkę domu bez klamek.)

Rozproszyć te obawy mogła w jeden tylko sposób, i wiedziała w jaki.

Będzie musiała zejść na dół i upewnić się, czy Jack nadal przebywa w spiżarni.

Bardzo proste. Zejść na dół. Rzuć okiem. Wróć na górę. Och, a przy okazji zatrzymaj się i weź tacę z kontuaru recepcji. Omlet będzie do wyrzucenia, ale zupę da się odgrzać na płytce, która stoi obok Jackowej maszyny do pisania.

(O tak, i nie daj się zabić, jeśli on jest tam z nożem.)

Podeszła do komody, usiłując się otrząsnąć ze strachu. Na komodzie leżały porzucane drobne pieniądze, plik kwitków za benzynę do hotelowej ciężarówki, dwie fajki, które Jack wszędzie ze sobą zabierał, ale rzadko palił... i jego kółko z kluczami.

Wzięła je, pottrzymała przez chwilę i odłożyła z powrotem. Myśl, żeby zamknąć za sobą drzwi na klucz, przyszła jej do głowy, nie wydała się jednak dobra. Danny spał. Niejasną obawę budziła możliwość pożaru, silniejszą coś jeszcze innego, lecz nie chciała się nad tym zastanawiać.

Przeszła przez pokój, przystanąła przed drzwiami niezdecydowana, a następnie wyjęła nóż z kieszeni szlafroka i zacisnęła prawą dłoń na drewnianej rękojeści.

Otworzyła drzwi.

Krótki korytarzyk prowadzący do ich mieszkania był pusty. Elektryczne kinikiety, rozmieszczone w regularnych odstępach na ścianie, świeciły jasno, uwydatniając niebieskie tło chodnika i kręty, splecione deseń.

(Widzisz? Nie ma tu strachów.)

(Nie, to oczywiste. Chcą, żebyś poszła dalej. Chcą, żebyś zrobiła coś głupiego i kobiecego, a ty właśnie to robisz.)

Znów się zawahała, rozdarła wewnętrznie, bo z jednej strony, wołała nie opuszczać Danny'ego i bezpiecznego schronienia pokoju, z drugiej zaś, koniecznie musiała się upewnić, że Jack nadal przebywa... w zamknięciu.

(Naturalnie że tak.)

(Ale głosy...)

(Nie było żadnych głosów. To twoja wyobraźnia. To wiatr.)

— To nie był wiatr.

Podskoczyła na dźwięk własnego głosu. Rozbrzmiewająca w nim jednak niezachwiana pewność popchnęła ją do przodu. Nóż kołysał się u jej boku, chwycił promienie światła i rzucał je na jedwabną tapetę. Ranne pantofle Wendy ze szmerem sunęły po puszystym chodniku. Rozedrgane nerwy wibrowały jak druty telegraficzne.

Dotarła do głównego korytarza i wyjrzała zza rogu, przygotowana w duchu na każdy widok.

Nie było widać nic.

Po krótkim wahaniu skrzyła w główny korytarz. Z każdym krokiem w stronę mrocznej duszy schodów potęgował się jej strach i świadomość, że zostawiła śpiącego syna samego, bez opieki. Szmer, jaki wydawały pantofle w zetknięciu z chodnikiem, coraz głośniejsz rozbrzmiewał jej w uszach; dwa razy zerknęła przez ramię dla pewności, że nikt się za nią nie skrada.

Wreszcie położyła rękę na zimnym słupku balustrady schodów. W dół do holu prowadziło dziewiętnaście szerokich stopni. Liczyła je dostatecznie często, aby wiedzieć. Dziewiętnaście stopni pokrytych chodnikiem, a na żadnym z nich

ani śladu przycupniętego Jacka. To oczywiste. Jack siedzi w spiżarni za grubymi drewnianymi drzwiami, zamkniętymi na mocny stalowy rygiel.

Ale hol był mroczny i, och, pełen cieni.

Puls łomotał jej w gardle regularnie i silnie.

Z przodu i troszkę w lewo mosiężna paszcza windy, szyderczo rozwarta, zapraszała do wejścia i zażycia najwspanialszej przejażdżki.

(Nie, dziękuję)

Wnętrze kabiny było przystrojone różowymi i białymi serpentynami z bibułki. Konfetti wysypało się z dwóch tutek. W głębi leżała w lewym kącie pusta butelka po szampanie.

Wendy wyczuła ruch na górze i obróciła się, aby spojrzeć w kierunku ciemnego podestu drugiego piętra, oddalonego o dziewiętnaście stopni. Niczego nie dostrzegła, a jednak kątem oka odebrała niepokojące wrażenie, iż rzeczy

(rzeczy)

odskoczyły w głębszą czerń tamtego korytarza, zanim jej wzrok zdążył je zarejestrować.

Znowu powiodła oczami w dół schodów.

Pociła jej się prawa dłoń zaciśnięta na drewnianej rękojeści noża, więc Wendy przełożyła go do lewej ręki, prawą otarła o różowy aksamit szlafroka i ponownie ujęła nią nóż. Właściwie nie zdając sobie sprawy z tego, że umysł nakazał ciału iść naprzód, zaczęła zstępować ze stopni. Stawiała najpierw nogę lewą, potem prawą, lewą i prawą, a wolną ręką lekko sunęła po poręczy.

(Gdzie się odbywa bal? Nie daj się odstraszyć, ty kupko zatechłych szmat! Nie daj się odstraszyć jednej zalęknionej kobiecie z nożem! Niech nam tu zabrzmie jakaś muzyka! Niech będzie trochę ruchu!)

Dziesięć stopni w dół, dwanaście, trzynaście.

Z korytarza na pierwszym piętrze sączyło się tutaj przyćmione żółte światło i przypominała sobie, że będzie musiała zapalić lampy w holu albo przy wejściu do jadalni, albo w gabinecie dyrektora.

Blask napływał jednak skądś jeszcze, biały i nikły.

Światłówki, oczywiście. W kuchni.

Przystanęła na trzynastym stopniu, niepewna, czy je zgasiła, czy zostawiła zapalone, gdy wychodziła razem z Dannym. Po prostu tego nie pamiętała.

Pod nią, w holu, fotele z wysokimi oparciami majaczyły w kałużach cienia. Szyby drzwi dwuskrzydłowych powlekała zbita, jednolicie biała warstwa nawianego śniegu. Ozdobne mosiężne gwoździe w wyściełanej kanapie połyskiwały niczym kocie oczy. Były tu setki kryjówek.

Na nogach, sztywnych ze strachu jak szczudła, wciąż schodziła w dół.

Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście.

(„Poziom holu, proszę pani. Proszę zejść ostrożnie”.)

Przez szeroko otwarte drzwi sali balowej wylewała się tylko ciemność. Ze środka dochodziło miarowe cykanie jakby bomby zegarowej. Wendy zeszywniała, a następnie przypomniała sobie o zegarze na kominku, zegarze pod szkłem. Jack albo Danny musieli go nakręcić... albo nakręcił się sam, jak wszystko inne w Panoramie.

Zawróciła w stronę lady, zamierzając przejść za barierkę i przez gabinet dyrektora dalej do kuchni. Po matowym srebrzystym lśnieniu poznała tacę z nie zjedzonym lunchem.

W tej chwili zegar zaczął bić, rozzwonił się cichymi nutkami.

Wendy zeszywniała, językiem dotknęła podniebienia. Następnie się odprężyła. Zegar wybijał ósmą, i tyle. Godzina ósma

... pięć, sześć, siedem...

Liczyła uderzenia. Nagle uznała, że nie powinna się poruszyć, dopóki zegar nie umilknie.

... osiem... dziewięć...

(?dziewięć?)

... dziesięć... jedenaście.

Wtem, z opóźnieniem, zrozumiała. Niezdarnie ruszyła w kierunku schodów, zdając sobie już sprawę, że się spóźniła. Ale skąd miała wiedzieć?

Dwanaście.

W sali balowej rozbłysły wszystkie światła. Orkiestra zagrała gromki, przenikliwy tusz. Wendy wrzasnęła, lecz jej głos utonął w grzmocie, który się wydobywał z tych mosiężnych płuc.

— Zrzucić maski! — rozbrzmiał echem okrzyk. — Zrzucić maski! Zrzucić maski!

Odptłynęli, jakby długim korytarzem czasu, i znów pozostawili ją samą.

Nie, nie samą.

Obróciła się, a on szedł do niej.

Jack i zarazem nie Jack. Oczy mu płonęły nieprzytomnym, morderczym blaskiem; na znajomych ustach gościł drżący, niewesoły uśmiech.

W jednej ręce trzymał młotek do roque'a.

— Myślałaś, że mnie zamkniesz? Tak myślałaś?

Młotek świsnął w powietrzu. Wendy zrobiła krok w tył, potknęła się o podnózek i upadła na dywan.

— Jack...

— Ty suko — szepnął. — Wiem, czym jesteś.

Młotek opadł ponownie ze świszczącą, zabójczą szybkością i zagłębił się w jej miękkim brzuchu. Wrzasnęła, zniemacka pogrążona w oceanie bólu. Jak przez mgłę zobaczyła odbijający się młotek. Sparaliżowała ją nagła świadomość, że Jack chce ją zatłuc tym młotkiem.

Spróbowała krzyknąć raz jeszcze, błagać go, aby dał spokój ze względu na Danny'ego, ale zabrakło jej tchu. Zdołała wydusić z siebie zaledwie cichy skowyt, właściwie nawet nie dźwięk.

— Teraz. Teraz, na Boga — powiedział z uśmiechem. Kopnął podnózek stojący mu na drodze. — Chyba teraz zażyjesz swoje lekarstwo.

Młotek opadł. Wendy przetoczyła się na lewy bok, szlafrok zaplątał jej się powyżej kolan. Cios w podłogę wytrącił młotek z rąk Jackowi, który musiał się po niego schylić. W tym czasie Wendy pobiegła do schodów, wreszcie wciągając przerywany oddech. Jej skatowany brzuch pulsował bólem.

— Suko — rzekł uśmiechnięty i puścił się w pogoń. — Ty parszywa suko. Chyba dostaniesz za swoje. Chyba dostaniesz.

Usłyszała, jak młotek przecina powietrze, po czym z prawej strony chwycił ją paroksyzm bólu, gdy obuch wylądował tuż pod piersią, łamiąc dwa żebra. Runęła na schody i znów przeszył ją ból, bo padła na potłuczony bok. Mimo to instynktownie się przetoczyła, sturlała i młotek świsnął koło jej twarzy, zaledwie o cal od policzka. Ze stłumionym łomotem rąbnął w puszysty chodnik. Właśnie wtedy spostrzegła nóż, który w chwili upadku wypuściła z ręki. Leżał, połyskując na czwartym stopniu.

— Suko — powtórzył Jack.

Młotek opadł. Podciągnęła się w górę i obuch wylądował tuż pod jej kolanem. Noga nagle zapiekła z bólu. Krew zaczęła ściekać po łydce. Po czym młotek znów opadł. Wendy szarpnęła głową, więc trafił w wolną przestrzeń między jej szyją a ramieniem, zdzierając skórę z ucha.

Jack zamachnął się ponownie, lecz tym razem Wendy stoczyła się w dół i uniknęła ciosu. Z jej piersi wyrwał się okrzyk, kiedy połamanymi żebrami tłukła i tarła o schody. W momencie gdy Jack się zachwiał, podcięła mu nogi, on zaś z rykiem wściekłości i zdziwienia poleciał do tyłu, choć próbował utrzymać się na stopniu. Zwalił się na podłogę, a młotek wypadł mu z ręki. Usiadł, przypatrując się jej z oburzeniem.

— Zabiję cię za to — powiedział.

Przeturlał się i sięgnął po młotek. Wendy zmusiła się do wstania. Ból w lewej nodze raz za razem rozchodził się aż do biodra. Twarz miała popielatą, lecz zaciętą. Skoczyła Jackowi na plecy, kiedy zaciskał dłoń na trzonku.

— Boże drogi! — wrzasnęła w głąb cienistego holu i po rękojeść wbiła Jackowi nóż kuchenny gdzieś poniżej pasa.

Zesztywniał pod nią i zaczął się drzeć. Chyba nigdy w życiu nie słyszała tak okropnego głosu; jakby to darły się deski, okna i drzwi hotelu. Rozbrzmiewał na pozór bez końca, a tymczasem Jack tkwił pod nią sztywny jak kłoda, przygnieciony jej ciężarem. Przypominali żywy obraz konia i jeźdźca. Tyle że jego kraciasta czerwono-czarna flanelowa koszula coraz bardziej ciemniała na plecach, nasiąkała krwią.

W końcu Jack przewrócił się na twarz, ją zaś zwałił na obolały bok, aż jęknęła. Przez jakiś czas leżała, oddychając chrapliwie, niezdolna się poruszyć. Ostry ból przeszywał ją od stóp do głów. Ilekroć wciągała powietrze, odczuwała zjadliwe ukłucia, szyję miała wilgotną od krwi z zadraśniętego ucha.

Słyszać było tylko jej rżenie, wiatr i tykanie zegara w sali balowej.

Wreszcie dźwignęła się na nogi i pokuśtykała do schodów. Kiedy do nich dotarła, uczepliła się słupka balustrady i zwiesiła głowę w przypiływie słabości. Nabrawszy trochę sił, zaczęła się pięć pod górę, podpierając zdrową nogą i podciągając na rękach. Raz podniosła wzrok, spodziewając się zobaczyć Danny'ego, lecz go tam nie było.

(Dzięki Bogu, że to przespał, dzięki Bogu dzięki Bogu)

Na szóstym stopniu musiała odpocząć; spuściła głowę, a jej jasne włosy opały na poręcz. Powietrze z przykrym świstem przedzierało się przez gardło, jakby porośnięte kolcami. Prawy bok miała spuchnięty, rozpalony.

(Dalej Wendy dalej staruszko znajdź się za zamkniętymi na klucz drzwiami i wtedy obejrzyj szkody jeszcze trzynaście więc nie tak źle. A na górze będziesz mogła się czołgać korytarzem. Wyrażam zgodę.)

Zaczerpnęła tyle powietrza, na ile pozwoliły połamane żebra, i częściowo się podciągnęła, częściowo padła na następny stopień. I na jeszcze jeden.

Znajdowała się na dziewiątym, prawie w połowie drogi, gdy z dołu dobiegł głos Jacka.

— Zabiłaś mnie, ty suko — powiedział głucho.

Ogarnęło ją czarne jak noc przerażenie. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła Jacka wstającego powoli.

Grzbiet miał wygięty, więc widziała rękojeść kuchennego noża wbitego w plecy. Oczy jakby mu się zwęziły, nieomal znikły w obwisłych fałdach bladej skóry. Lewą rękę słabo zaciskał na trzonku młotka. Obuch splamiony był krwią. Strzępek jej różowego aksamitnego szlafroka przywarł do niego prawie pośrodku.

— Dam ci twoje lekarstwo — szepnął i chwiejnie ruszył ku schodom.

Kwiląc ze strachu, znów zaczęła się podciągać po poręczy. Dziesięć stopni, dwanaście, trzynaście. Ale korytarz na pierwszym piętrze wciąż wydawał się odległy jak niedosiężny szczyt górski. Dyszała teraz, a jej bok protestował gwałtownie. Zwichrzone włosy powiewały przed twarzą. Oczy piekły od potu. Uszy wypełniało tykanie zegara w sali balowej i skontrapunktowane z nim sapanie Jacka, który, z bólem łapiąc powietrze, ruszył po schodach.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Hallorann przybywa

Larry Durkin był wysokim, chudym mężczyzną o ponurej twarzy pod wspinałą strzechą rudych włosów. Hallorann przyłapał go akurat w chwili, kiedy Durkin wychodził ze stacji benzynowej Conoco, z kapturem wojskowej kurtki naciągniętym na oczy. Wcale się nie kwapił do załatwiania dalszych interesów w ten wietrzny dzień i nie wzruszyło go, że Hallorann przybywa z tak daleka. Jeszcze mniej się palił do wypożyczenia jednego z dwóch swoich śniegołazów temu czarnemu o szalonym spojrzeniu, zdecydowanemu jechać do starej Panoramy. U ludzi przez większą część życia zamieszkałych w miasteczku Sidewinder hotel nie cieszył się dobrą sławą. Popełniano tam morderstwa. Przez jakiś czas prowadziła go paczka gangsterów, później grupa bezwzględnych biznesmenów. I robiono tam rzeczy nigdy nie wzmiankowane w prasie, bo pieniądze umieją mówić po swojemu. Mieszkańcy Sidewinder jednak mieli na to dość jasny pogląd. Spośród nich rekrutowały się prawie wszystkie hotelowe pokojówki, pokojówki zaś niejedno widzą.

Mimo to właściciel stacji benzynowej zmiękł na dźwięk nazwiska Howarda Cottrella i na widok skrawka materiału wszytego w jedną z niebieskich rękawic.

— Przysłał tu pana, co? — zapytał, otwierając boks i wprowadzając Halloranna do garażu. — Dobrze wiedzieć, że ten stary łajdak ma jeszcze trochę oleju w głowie. Myślałem, że go do reszty postradał. — Pstryknął kontakt i przy wtórze brzęczenia niespiesznie ożył rząd bardzo starych, bardzo brudnych świetlówek. — No, a czego tam, do diabła, szukasz, koleżko?

Halloranna zaczynała opuszczać odwaga. Ostatni paromilowy odcinek przed Sidewinder był bardzo zły. Raz podmuch wiatru, pędzącego niechybnie z prędkością ponad sześćdziesięciu mil na godzinę, obrócił buicką o 360 stopni. A czekała go jeszcze daleka podróż i Bogu jednemu wiadomo co u jej końca. Strasznie bał się o chłopca. Dochodziła za dziesięć siódma, dla niego zaś cała ta zabawa zaczęła się na nowo.

— Ktoś tam jest w tarapatach — odparł bardzo ostrożnie. — Syn dozorca.

— Kto? Synek Torrance'ów? A w jakich on może być opalach?

— Nie wiem — wymamrotał Hallorann. Denerwowała go ta strata czasu. Rozmawiał z człowiekiem małomiasteczkowym i wiedział, że tacy ludzie zawsze podchodzą do sprawy okreśną drogą, węższą dokoła, zanim przystąpią do rzeczy. Nie może jednak zwlekać, bo ma pietra i gdyby to potrwało znacznie dłużej, weźmie nogi za pas. — Proszę posłuchać — powiedział. — Muszę się tam dostać, a do tego potrzebny mi jest śniegołaz. Zapłacę, ile pan zażąda, ale na litość boską, proszę mnie nie zatrzymywać!

— Dobra — rzekł Durkin z niezmaconym spokojem. — Wystarczy, że przysyła pana Howard. Niech pan weźmie tego Arktycznego Kota. Wleję pięć galonów benzyny da kanistra. Bak jest pełny. Chyba wystarczy w obie strony.

— Dziękuję. — Hallorann nie całkiem nad sobą panował.

— Policzę dwadzieścia dolarów. Razem z etyliną.

Hallorann wyciągnął z portfela i wręczył mu dwudziestkę. Durkin, ledwo na nią spojrzawszy, wetknął ją do jednej z kieszonek koszuli.

— Lepiej też zamienić okrycia. — Z tymi słowy ściągnął kurtkę. — Ten pański płaszcz będzie dziś w nocy do niczego. Zamienimy się znowu, jak pan zwróci sanki.

— Ależ ja nie mogę...

— Proszę się ze mną nie sprzeczać — przerwał Durkin głosem nadal łagodnym. — Nie chcę, żeby pan zamarł. Ja przejdę tylko dwie przecznice dalej i zasiądę do kolacji. No, już.

Z lekka oszołomiony Hallorann zamienił swój płaszcz na podbitą futrem kurtkę Durkina. Nad ich głowami świetlóweki brzęczały cicho, przypominając mu kuchnię Panoramy.

— Synek Torrance'ów. — Durkin pokiwał głową. — Ładny malec, no nie? Często zachodził tu z tatą, zanim spadł prawdziwy śnieg. Zwykle przyjeżdżali hotelową ciężarówką. Wyglądali na bardzo z sobą zżytych. Ten chłopczyk rzeczywiście kocha swojego tatę. Mam nadzieję, że nie stało mu się nic złego.

— I ja też. — Hallorann zapiął kurtkę na suwak i zawiązał kaptur.

— Pomogę go wypchnąć — rzekł Durkin. Popchnęli śniegołaz po zaplamionym olejami betonie. — Prowadził pan kiedyś coś takiego?

— Nie.

— To żadna sztuka. Instrukcje są naklejone na tablicy rozdzielczej, ale najważniejsze to gaz i hamulec. Gaz jest tutaj, całkiem jak w motocyklu. Hamulec po drugiej stronie. Trzeba się razem z tym malcem przechylać na zakrętach. Po ubitym śniegu ciągnie siedemdziesiątką, ale w takim puchu najwyżej pięćdziesiątką, a i to z trudem.

Stali teraz na zaśnieżonym placyku przed stacją benzynową i Durkin podniósł głos, żeby przekrzyczeć wycie wiatru.

— Niech się pan trzyma drogi! — ryknął Hallorannowi do ucha. — I pilnuje słupków bariery i znaków drogowych, to wszystko będzie dobrze. Ale jak pan zjedzie na bok, to po panu. Jasne?

Hallorann skinął głową.

— Chwileczkę! — zawołał Durkin i biegiem wrócił do boksu. Pod jego nieobecność Hallorann przekręcił kluczyk w stacyjce i dodał gazu. Silnik śniegołaza zakastał i zaczął nierówno pracować.

Durkin przyniósł czerwono-czarną maskę narciarską.

— Proszę to włożyć pod kaptur! — krzyknął.

Hallorann naciągnął maskę. Przylegała ciasno, lecz skutecznie chroniła policzki, czoło i brodę przed mroźnym wiatrem.

Durkin się nachylił, żeby Hallorann mógł go słyszeć.

— Zapewne wie pan różne rzeczy, tak jak czasami Howie — powiedział. — Mniejsza z tym, ale hotel ma złą sławę. Jeśli pan chce, dam panu strzelbę.

— Chyba się na nic nie przyda! — odkrzyknął Hallorann.

— Pan wie najlepiej. Ale jeśli przywiezie pan chłopca, proszę zajechać na Peach Lane pod szesnasty. Żona będzie trzymać zupę na ogniu.

— Dobra. Dzięki za wszystko.

— Proszę uważać! — wrzasnął Durkin. — I nie zjeżdżać z drogi!

Hallorann kiwnął głową i powoli dodał gazu. Śniegołaz, mruczając, ruszył na przód, a jego reflektor wycinał kształtny stożek świetlny w gęstym śniegu. Hallorann dojrzał w lusterku podniesioną rękę Durkina i odpowiedział takim samym gestem. Potem skręcił w lewo i już jechał ulicą Główną, sunął gładko w białym blasku latarni ulicznych. Wskazówka prędkościomierza zatrzymała się na trzydziestce. Było dziesięć po siódmej. W Panorami Wendy i Danny spali, Jack Torrance zaś omawiał sprawy życia i śmierci z poprzednim dozorcą.

O pięć przecznic dalej skończyło się oświetlenie ulic. Jeszcze przez pół mili ciągnęły się małe domki, szczelnie pozamykane przed wichurą, później pozostała już tylko wietrzna ciemność. W mrokach, które jedynie reflektor przebijał cienką włócznie blasku, Hallorannem owładnął strach, dziecięcy lęk wywołujący przygnębienie i zniechęcenie. Nigdy dotąd nie czuł się tak osamotniony. Przez kilka minut, gdy nieliczne światła Sidewinder malały i gasły w lusterku, doznawał niemal przemożnego pragnienia, aby zawrócić. Nasunęła mu się refleksja, że Durkin, choć tak zatroskany o małego Torrance'a, nie zdradził gotowości pojechania drugim śniegołazem.

(„Hotel ma tu złą sławę”.)

Z zaciśniętymi zębami dodał gazu i patrzył, jak wskazówka prędkościomierza mija czterdziestkę i zatrzymuje się na czterdziestce piątce. Choć na pozór pędził straszliwie szybko, bał się, że jednak za wolno. W tym tempie droga do Panoramy zajmie mu prawie godzinę. Ale przy większej prędkości mógłby tam w ogóle nie dojechać.

Nie spuszczał oczu z mijanych barier, a reflektory wielkości dziesięciocentówek omiatały każdą z nich po kolei. W wielu miejscach bariery skryły się pod zaspami. Dwa razy niebezpiecznie późno spostrzegł znak przed zakrętem i poczuł, jak Śniegołaz wspina się na zwały śniegu maskujące spadek, zanim znów skręcił na to, co w lecie było drogą. Hodometr odmierzał mile z przeraźliwą powolnością — pięć, dziesięć, wreszcie piętnaście. Nawet pod trykotową maską narciarską twarz zaczynała Hallorannowi sztywnieć, nogi mu drętwiały.

(Dałbym sto dolców za spodnie narciarskie.)

Z każdą milą narastało w nim przerażenie — jakby to miejsce roztaczało dookoła zatrutą aurę, gęstniejącą w miarę zmniejszania się odległości. Czy bywało tak przedtem? Nigdy właściwie nie lubił Panoramy, inni też nie, ale tak jeszcze nie bywało.

Nadal czuł, jak głos, który omal nie zgubił go przed Sidewinder, usiłuje do niego dotrzeć, ominąć zapory i zaatakować miękkie wnętrze. Jeśli głos ten był mocny dwadzieścia pięć mil stąd, o ile mocniejszy będzie teraz? Hallorann nie potrafił być na niego zupełnie głuchy. Głos przenikał częściowo, wywoływał w umyśle groźne podświadome obrazy. Coraz wyraźniej rysowała się postać ciężko pobitej kobiety w łazience, na próżno wznoszącej ramiona, by odeprzeć cios, i Hallorann nabierał pewności, że tą kobietą musi być. . .

(O Jezu, uważaj!)

Nasyp zamajaczył przed nim jak pociąg towarowy. Zatopiony w myślach Hallorann przegapił znak przed zakrętem. Szarpnął rączki kierownicy w prawo i śniegołaz obrócił się, a równocześnie przechylił. Ostro zgrzytnęła o kamień płoza. Hallorann pomyślał, że wyleci ze śniegołaza, który istotnie zachwiał się na krawędzi równowagi, po czym na pół zjechał, na pół ześliznął się z powrotem na mniej więcej równą powierzchnię zasypanej przez śnieg drogi, przodem do spadku. W świetle reflektora pokrywa śnieżna raptownie się urywała, a za nią rozpościerała się ciemność. Dick skręcił w przeciwną stronę, z pulsem nierówno bijącym w gardle.

(Nie zjeżdżaj z drogi, koleżko.)

Zmusił się do tego, aby jeszcze trochę dodać gazu. Wskazówka prędkościomierza utknęła tuż pod pięćdziesiątką. Wicher wył i zawodził. Przednie światło sondowało mrok.

Po pewnym, nie wiadomo jak długim czasie Hallorann wyjechał z zakrętu i ujrzał przed sobą jakiś błysk, który po chwili skrył się za wzniesieniem. Błysk był tak przelotny, że Hallorann uznał go za pobożne życzenie, ale na następnym zakręcie widział go znowu, nieco bliżej, też przez parę sekund. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że światło jest prawdziwe; Hallorannowi zbyt często ukazywało się dokładnie pod tym kątem. To była Panorama. Wydawało się, że lampy są pozapalane na parterze i na pierwszym piętrze.

Niektóre jego obawy — że zjedzie w bok albo spadnie w dół na nie dostrze-

żonym zakręcie — rozwiały się bez śladu. Śniegołaz pewnie zaczął pokonywać podwójny zakręt, który Hallorann doskonale pamiętał, gdy wtem reflektor wyłuskał coś

(o dobry Jezu, co to takiego?)

na drodze. Namalowane czystą czernią i bielą, to coś wydało się najpierw Hallorannowi obrzydliwie dużym wilkiem, wygnanym z gór przez zamieć. Potem, z bliska, poznał to i zatkało go z przerażenia.

To nie był wilk, tylko lew. Lew z żywopłotu.

Zamiast pyska miał maskę czarnych cieni i puszystego śniegu, mięśnie zadu przeżyły się do skoku. I rzeczywiście skoczył, a w cichej eksplozji krystalicznego lśnienia śnieg zwałwanił się wokół jego tylnych łap, poruszanych jak tłoki.

Hallorann wrzasnął, gwałtownie obrócił kierownicę w prawo i jednocześnie się pochylił. Poczł palący, szarpiący ból w ramionach. Maskę narciarską została z tyłu rozdarta. Wyleciał ze śniegołaza. Upadł na śnieg, przeorał go, przetoczył się na bok.

Czuł, że lew go dopada. Nozdrza wypełnił mu cierpki zapach zielonych liści i ostrokrzewu. Olbrzymia łapa z gałązek walnęła go po krzyżu i przeleciał dzie sięć stóp w powietrzu, rozpostarty jak szmaciana lalka. Na jego oczach śniegołaz bez kierowcy uderzył w nasyp i stanął dęba, światłem reflektora omiatając niebo. Wreszcie przewrócił się z głuchym łoskotem i znieruchomiał.

W tym momencie Halloranna zaatakował lew z żywopłotu. Zatrzeszczało, zaszeleściło. Coś jakby grabiami przejechało z przodu po kurtce, podarło ją na strzępy. Mogłyby to być sztywne gałązki, Hallorann wiedział jednak, że to pazury.

— Nie ma cię tutaj! — krzyknął na lwa, który warczał obchodząc go wkoło. — Wcale cię tu nie ma! — Zerwał się i był już w połowie drogi do śniegołaza, gdy lew dał susa, po czym trzepnął go po głowie łapą zakończoną kolcami. Hallorann ujrzał wybuchające w ciszy światła. — Nie ma cię — powtórzył, lecz już słabym szeptem. Kolana się pod nim ugięły, upadł w puch. Podpełził do śniegołaza, z prawą połową twarzy jak krwawa chusta. Lew uderzył go ponownie, przewrócił niczym żółwia na plecy. Ryknął wesoło.

Hallorann usiłował dosięgnąć śniegołaza. Znajdowała się tam rzecz potrzebna. I wtedy lew znów natarł, szarpiąc i drąc pazurami.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Wendy i Jack

Wendy zaryzykowała i raz jeszcze obejrzała się przez ramię. Jack stał na szóstym stopniu, uczepiony poręczy, podobnie jak ona. Uśmiechał się nadal, a ciemna krew wyciekała powoli z rozchylonych ust i sączyła się po brodzie. Szcherzył do niej zęby.

— Rozwałę ci czaszkę. Rozpieprzę na miazgę. — Z wysiłkiem dźwignął się na następny stopień.

Przerażenie dodało jej bodźca i klucie w boku odrobinę zelżało. Podciągała się, jak mogła najszybciej, nie zważając na ból, konwulsyjnie szarpiąc za poręcz. Dotarła do szczytu schodów i zerknęła za siebie.

Wyglądało na to, że Jack raczej odzyskuje, niż traci siły. Od podestu dzieliły go zaledwie cztery stopnie; trzymanym w lewej ręce młotkiem odmierzał odległość, podciągał się w górę.

— Tuż za tobą — dyszał, rozciągając zakrwawione wargi, jakby czytał w jej myślach. — Teraz tuż za tobą, ty suko. Z twoim lekarstwem.

Niepewnie pobiegła głównym korytarzem, z dłońmi przyciśniętymi do boku.

Drzwi jednego z pokojów otwarty się gwałtownie i wyjrzał zza nich mężczyzna w zielonej masce wampira.

— Wspaniały bal, prawda?! — wrzasnął jej w twarz i pociągnął za woskowany sznurek sterczący z tutki. Huk rozbrzmiał echem, bibułkowe serpentyny zaś niespodziewanie wzleciały wokół niej w powietrze. Mężczyzna w masce wampira zarechotał, po czym zniknął za zatrzaśniętymi drzwiami. Wendy runęła na chodnik jak długa. Z bólem eksplodującym w prawym boku rozpaczliwie odganiała mroki omdlenia. Jak we mgle dobiegł ją szcęk ponownie uruchomionej windy, pod jej rozczapierzonymi palcami wzór na chodniku zdawał się poruszać, kołysać i przeplatać.

Młotek walnął w podłogę za plecami Wendy, która z łkaniem rzuciła się do przodu. Przez ramię zobaczyła, że Jack się potyka, traci równowagę i opuszcza

młotek, a zaraz potem sam pada na chodnik, bryzgając jaskrawą czerwienią krwi na meszek tkaniny.

Obuch trafił ją dokładnie między łopatki i przez chwilę wiła się jedynie w męczarni, otwierając i zaciskając dłonie. Coś w niej trzasnęło — słyszała to wyraźnie. Przez parę sekund, otępiła i zamroczona, widziała wszystko jak przez mgiełkę gazy.

Następnie powróciła pełna świadomość, a wraz z nią przerażenie i ból.

Jack starał się podnieść, żeby dokończyć dzieła.

Wendy usiłowała stanąć, co okazało się niewykonalne. Pod wpływem wysiłku przebiegał jej po plecach jakby prąd elektryczny. Zaczęła pełznąć ruchem krawlistki. Jack czołgał się za nią, wsparty na młotku do roque'a jak na kuli czy lasce.

Dotarła do narożnika i obiema rękami podciągnęła się za zakręt korytarza. Ogarnął ją jeszcze większy strach — choć myślała, że to niemożliwe. Sto razy gorsze było jednak to, że nie mogła zobaczyć Jacka ani stwierdzić, jak bardzo się przybliżyła. Wyrывая garściami puszek z chodnika przebyła już pół krótkiego korytarza, gdy wtem spostrzegła szeroko otwarte drzwi sypialni.

(Danny! O Jezu!)

Zmusiła się do klęknienia i zdołała powstać, mimo iż jej palce ślizgały się po jedwabnej tapecie. Paznokciami oddzierała z niej wąskie strzępki. Obojętna na ból, ni to przesła, ni przepełza przez próg, kiedy Jack wyłonił się zza rogu i ruszył ku otwartym drzwiom wsparty na młotku.

Złapała za kant komody, przytrzymała się jej i chwyciła futrynę.

— Nie zamykaj tych drzwi! — krzyknął Jack. — Niech cię cholera, nie waż się ich zamykać!

Zatrzasnęła je i zamknęła na zasuwę. Lewą ręką jak szalona grzebała w rupieciach na komodzie, strącając pojedyncze monety na podłogę, po której toczyły się we wszystkie strony. Natrafiła na kółko z kluczami właśnie w chwili, gdy młotek ze świstem łupnął w drzwi, aż zadygotały. Przy drugim uderzeniu wetknęła klucz w dziurkę i przekręciła go w prawo. Na odgłos szczęknięcia Jack ryknął. Młotek tak głośno dudnił po drewnie, że Wendy zdrygnęła się i cofnęła. Jak on mógł to robić z nożem w plecach? Skąd brał siły? Chciała wrzasnąć w stronę drzwi: „Dlaczego nie umarłeś?”

Obróciła się jednak dokoła. Będzie musiała pójść z Dannyem do łazienki i tam również zamknąć się na klucz, na wypadek gdyby Jack zdołał wybić dziurę w drzwiach sypialni. Jak szalona przemknęła jej przez głowę myśl o ucieczce szybem wyciągu kuchennego, ale ją odegnała. Danny wprawdzie by się tam zmieścił, bo jest mały, natomiast ona nie utrzymałaby liny. Mógłby spaść i roztrzaskać się na dole.

Musi wystarczyć im łazienka. A gdyby Jack i tam się włamał. . .

Lecz nie dopuszczała takiej możliwości.

— Danny, kochanie, obudź się i. . .

Łóżeczko było jednak puste.

Kiedy zapadł w spokojniejszy sen, narzuciła na niego koce i kołderkę. Teraz leżały odrzucone.

— Ja cię dopadnę! — zawył Jack. — Dopadnę was oboje! — Choć co drugie słowo akcentował uderzeniem młotka, Wendy pozostawała głucha na krzyki i łoskot. Całą uwagę skupiła na tym pustym łóżeczku.

— Chodź tutaj! Otwórz te cholerne drzwi!

— Danny? — szepnęła.

Oczywiście... kiedy Jack ją zaatakował. Dotarło to do niego jak wszystkie gwałtowne emocje. Może nawet ujrzał całe zajście w sennym koszmarze. Danny się ukrywa.

Niezdarnie padła na kolana, obojętna na kolejne ukłucie bólu w spuchniętej, krwawiącej nodze, i zajrzała pod łóżko. Nie znalazła tam nic prócz kłaczek kurzu i rannych pantofli Jacka.

— Wendy! — wrzasnął Jack i tym razem, kiedy walnął młotkiem, długa drzazga odłupała się od twardego drewna drzwi. Następnemu ciosowi towarzyszył przykry trzask suchej szczapy odrąbywanej siekierą. Krwawy obuch, już także poszczerbiony, przebił deskę, cofnął się i znów rąbnął, rozsypując po pokoju odłamki drewna.

Wendy się dźwignęła, uczepona nogi łóżka, i pokuśtykała do szafy w ścianie. Połamane zebra dźgały ją, więc jęczała.

— Danny?

W zapamiętaniu rozgarniała odzież; niektóre części garderoby pospadały z wieszaków i w nieładzie klapnęły na podłogę. W szafie go nie było.

Potykaçąc się, dotarła do łazienki i w drzwiach obejrzała się przez ramię. Kolejne uderzenie młotka poszerzyło dziurę, w której ukazała się ręka sięgająca do zasuw. Wendy spostrzegła z przerażeniem, że kółko z kluczami Jacka nadal zwisa z zamka, gdzie je zostawiła.

Ręka szarpnęła rygiel, a przy tej okazji potraçała pęk kluczy. Zabrzęczały wesoło. Ręka zwycięsko zacisnęła się na nich.

Wendy z łkaniem wpadła do łazienki i zatrzaskała drzwi, a równocześnie Jack z łoskotem i rykiem wdarł się do pokoju.

Zasunęła rygiel i przekręciła zamek sprężynowy, w rozpaczy wodząc dokoła wzrokiem. Łazienka była pusta. I tu ani śladu Danny'ego. Widok własnej zakrwawionej, przerażonej twarzy w lustrze apteczki napełnił ją radością. Zawsze uważała, że dzieci nie powinny być świadkami drobnych rodzinnych nieporozumień. I może to coś, co teraz w ataku furii miota się po sypialni, przewracając i tłukąc sprzęty, w końcu padnie, zanim zdoła ruszyć w pościg za jej synem. Może, myślała, ona zdoła wyrządzić temu czemuś jeszcze większą krzywdę... może to zabije.

Szybko przesunęła oczami po gładkich porcelanowych powierzchniach łazienki w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć za broń. Leżał tam kawałek mydła, ale nawet owinięty ręcznikiem nie mógłby chyba spowodować śmierci. Wszystko inne było pozamykane. Boże, czy nic się nie da zrobić?

Za drzwiami zwierzęce odgłosy niszczenia rozbrzmiewały wciąż przy akompaniamencie niewyraźnych pogróżek, że „zażyją swoje lekarstwo” i „zapłacą za to, co mu zrobili”. On „im pokaże, kto tu rządzi”. Są „nic niewartymi szczeniakami” — oboje.

Grzmotnął o podłogę jej adapter, głucho trzasnął stłuczony kineskop używanego telewizora, po brzęku rozbitej szyby spod drzwi łazienki powiało chłodem. Prasnęły materace ściągnięte z bliźniaczych łóżek, na których sypiali biodro przy biodrze. Rozlegał się łoskot, gdy Jack na oślep walił w ściany młotkiem.

Teraz wyjący, plotący, rozdrażniony głos nie miał w sobie jednak nic z głosu prawdziwego Jacka. Na przemian skamlał żałośnie i niesamowicie zawodził; mroził krew w żyłach podobieństwem do wrzasków, które zdarzało jej się słyszeć na oddziale geriatrycznym szpitala, gdzie jako uczennica szkoły średniej pracowała w czasie letnich wakacji. Starcza demencja. Tam po drugiej stronie to nie był już Jack. Wendy słuchała szalonego bredzenia samej Panoramy. Młotek rąbnął w drzwi łazienki i wyłamał duży kawał cienkiej płytki. Przez dziurę patrzyła połowa oszalałej, rozedrganej twarzy. Na wargach, policzkach i szyi pieniała się krew, lśniło jedno małe, świńskie oko zagładające do środka.

— Nie masz już dokąd uciekać, ty cipo — dyszało to uśmiechnięte coś.

Młotek znów opadł, drzazgi posypały się do wanny i na lustro apteczki. . .

(!Apteczki!)

Z piersi Wendy dobył się rozpaczliwy jęk, kiedy się obróciła i na chwilę zapomniawszy o bólu, otworzyła lustrzane drzwi szafki. Zaczęła w niej grzebać. Za plecami słyszała ochrypły ryk:

— Idę, ty świnio! — To coś rozwalalo drzwi w mechanicznym zapamiętaniu.

Przewracane nieprzytomnie poszukującymi palcami butelki i słoiki — syrop na kaszel, wazelina, szampon ziołowy Clairol, woda utleniona, benzokaina — spadały i tłukły się w umywalce.

Wendy zacisnęła dłoń na pudełeczku z żyletkami właśnie w chwili, gdy ręka znów się wepchnęła, próbując namacać rygiel i zamek sprężynowy.

Z głośnym, urywanym oddechem Wendy niezdarnie wyciągnęła jedną żyletkę. Rozcięła sobie opuszkę kciuka. Odwróciła się do tyłu i ciachnęła rękę, która otworzyła zamek i teraz gmerała przy ryglu.

Jack wrzasnął. Szarpnął rękę do tyłu.

Zdyszana, z żyletką w palcach, Wendy czekała na ponowienie próby. Jack ją podjął, więc ciachnęła. Znów wrzasnął, chciał ją złapać za rękę, ale ona cięła raz jeszcze. Żyletka się przekręciła, zraniła Wendy i upadła na podłogę koło sedesu.

Wendy wysunęła drugą żyletkę i czekała.

Ruch w pokoju...

(?odchodzi?)

I hałas za oknem sypialni. Warkot silnika. Cienkie owadzie bzyczenie.

Gniewny ryk Jacka, który — tak, tak, tego była pewna — opuszczał mieszkanie dozorczy, przedzierał się między potrzaskanymi sprzętami w kierunku korytarza.

(?Ktoś jedzie — strażnik Dick Hallorann?)

— O Boże — wymamrotała niewyraźnie, jakby w ustach miała pełno połamanych patyków i starych trocin. — O Boże, och, proszę.

Musiała wyjść, musiała się udać na poszukiwanie syna, żeby mogli ramie w ramie stawić czoło reszcie tego koszmaru. Sięgnęła do zasuw. Jej ramie zdawało się wyciągać na wiele mil. W końcu otworzyła drzwi. Pchnęła je i, zataczając się, stanęła w pokoju, nagle opanowana strasznym przekonaniem, że Jack tylko udawał odwrót, a w rzeczywistości na nią czyha.

Rozejrzała się dokoła. Sypialnia była pusta, salonik także. Wszędzie skotłowane, połamane przedmioty.

Szafa w ścianie? Pusta.

W tym momencie zaczęły na nią sphywać delikatne odcienie szarości i na pół przytomna upadła na materac ściągnięty przez Jacka z łóżka.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Hallorann powalony

Hallorann dotarł do przewróconego śniegołaza akurat wtedy, kiedy w odległości półtorej mili Wendy podciągała się na rogu i skręcała w krótki korytarzyk wiodący do mieszkania dozorca.

Hallorannowi nie był potrzebny śniegołaz, tylko kanister przytroczony z tyłu dwoma gumowymi paskami. Wciąż jeszcze w niebieskich rękawicach Howarda Cottrella, chwycił i odpiął górny pasek, a tymczasem lew z żywopłotu ryczał za jego plecami — ten dźwięk zdawał się rozbrzmiewać raczej w głowie Halloranna niż na zewnątrz. Mocny, kolący klaps w lewą nogę wywołał ból w kolanie, które wygięło się w całkiem nieoczekiwany sposób. Spoza zaciśniętych zębów Halloranna wydobył się jęk. Znudzony igraszkami lew lada moment go zabije.

Namacał drugi pasek. Lepka krew zalała mu oczy.

(Ryk! Klaps!)

Tym razem kolczasta łapa przejechała mu po pośladkach, o mało go nie przewróciła i znów nie odciągnęła od śniegołaza. Ale uczeplił się pojazdu w walce — bez przesady — o życie.

Odpiął drugi pasek. Przyciskał do siebie kanister, gdy lew zaatakował ponownie i przewrócił go na plecy. Widziane teraz zwierzę było zaledwie cieniem w mrokach i śnieżycy, upiornym jak poruszający się gargulec. Hallorann odkręcał kapsel, kiedy ruchomy cień skradał się w kłębach śniegu. Kiedy na niego runął, spod zdjętej zakrętki rozszedł się ostry zapach benzyny.

Hallorann dźwignął się na kolana i, przykulony, niewiarygodnie szybkim ruchem oblał benzyną zwierzę w chwili natarcia.

Cofnęło się z sykiem i pluciem.

— Benzyna! — krzyknął Hallorann przenikliwym, załamującym się głosem. — Spali cię, zastanów się!

Lew przypuścił kolejny atak, nie przestając pluć gniewnie. Hallorann oblał go znowu, tym razem jednak lew nie ustąpił. Parł do przodu. Hallorann wyczuł raczej, niż zobaczył, łeb przy swojej twarzy, więc rzucił się do tyłu i zrobił czę-

ściowy unik. Mimo to lew z ukosa walnął go w klatkę piersiową, która zapiekła z bólu. Benzyna, zimna jak śmierć, pociekła z trzymanego wciąż kanistra na jego prawą rękę i ramię.

Teraz Hallorann leżał na plecach o jakieś dziesięć kroków na prawo od śniegołaza, jakby robił orła. Ogromny lew z sykiem znów zbliżał się z lewej strony. Hallorannowi wydawało się, że widzi drganie ogona.

Ściągnął zębami rękawicę Cottrella z prawej ręki, czując smak przemoczonej wełny i benzyny. Zadarł kurtkę i wepchnął dłoń do kieszeni spodni. Razem z kluczami i bilonem spoczywała tam bardzo sfatygowana stara zapalniczka Zippo, kupiona w Niemczech w roku 1954. Kiedyś ułamał się w niej zawias, więc odesłał ją do fabryki, gdzie zgodnie z reklamą darmo dokonano naprawy.

W ułamku sekundy przez jego głowę przepłynął strumień koszmarnych myśli.

(Moją kochaną zapalniczkę Zippo połknął krokodyl spadła z samolotu zagięta w rowie na Pacyfiku ocalała mnie od szkopskiej kuli w Ardenach w bitwie o Wyłom droga Zippo jeśli nie błysnie ten pieprzony płomyk to lew łeb mi urwie)

Zapalniczka była już na wierzchu. Strącił kapturek. Lew rzucił się na niego z rykiem podobnym do trzasku rozdieranego płótna, on palcem pokręcił kółko — iskra, płomień,

(moja ręka)

oblana benzyną ręka nagle rozgorzała, płomień biegnął po rękawie kurtki, nic nie boli, nie boli na razie, lew płoszy się na widok niespodziewanie rozbłyśniętej przed nim pochodni, obrzydliwie rozedrgany rzeźbiony żywopłot z oczami i pyskiem, za późno spłoszony.

Krzywiąc się z bólu, Hallorann przytknął prawe ramię do sztywnego, kolczastego boku zwierzęcia.

W mgnieniu oka zajęło się całe, przemieniło w ognisty stos, roztańczony, wijący się na śniegu. Ryczało z wściekłości i bólu, jakby goniło własny ogon podobny do żagwi i zygzakami oddalało się od Halloranna.

Hallorann wbił ramię głęboko w śnieg, żeby ugasić płomień, przez chwilę niezdolny odwrócić wzroku od przedśmiertelnej męki lwa. Potem zdyszany zerwał się na nogi. Rękaw kurtki Durkina był osmalony, ale nie nadpalony, podobnie jak dłoń. Na stoku, trzydzieści jardów niżej, lew przekształcił się w kulę ognia. Iskry wlatywały w niebo, złośliwie porywane przez wiatr. Zrazu pomarańczowy płomień ukazywał zarys żeber i czaszki, później zwierzę jakby runęło, rozsypało się, rozpadło na oddzielne płonące kupki.

(Daj sobie z nim spokój. Ruszaj.)

Hallorann podniósł kanister i pobrnął do śniegołaza. Chyba odzyskiwał i tracił świadomość, a w jej przeblyskach dostrzegał tylko fragmenty, strzępy amatorskiego filmu, nie cały obraz. W jednym takim odcinku stawał pojazd z powrotem na płoży, a następnie wsiadał do niego zziębnięty, nie od razu zdolny się poruszyć. W innym przyczepił paskami kanister, zaledwie do połowy opróżniony. W gło-

wie okropnie go łupało od benzynowych wyziewów (i, jak sądził, w następstwie walki stoczonej z lwem), parująca zaś nieopodał dziura w śniegu świadczyła, że wymiotował, choć nie pamiętał kiedy.

Śniegołaz, z silnikiem jeszcze gorącym, zapalił natychmiast. Hallorann, nerwowo dodając gazu, ruszył kilkoma susami, od których kark mu trzaskał i nasilał się ból głowy. Pojazd zataczał się jak pijany, dopóki Hallorann nie uniósł się do połowy i nie wychylił twarzy nad przednią szybę. Wtedy ostre, kłujące podmuchy wiatru nieco go otrzeźwiły. Zwiększył prędkość.

(Gdzie jest reszta zwierząt z żywopłotu?)

Nie widział, ale przynajmniej nie da się po raz wtóry zaskoczyć.

Ujrzał przed sobą Panoramę z oświetlonymi oknami pierwszego piętra, pod którymi utworzyły się na śniegu żółte prostokąty. Brama u stóp podjazdu była zamknięta, więc czujnie rozejrzał się dokoła i wysiadł z niemym błaganem, aby się okazało, że wyciągając z kieszeni zapalniczkę, nie zgubił kluczy. . . nie, spoczywały na swoim miejscu. W jasnej smudze reflektora znalazł właściwy klucz, otworzył kłódkę i upuścił ją w śnieg. Początkowo sądził, że i tak nie zdoła poruszyć bramy; zapamiętałe odrzucał puch, obojętny na bolesne pulsowanie w głowie i strach przed jednym z pozostałych lwów, który może właśnie podkrada się od tyłu. Odciągnął bramę na jakieś półtorej stopy od słupka, wcisnął się w szparę i pchnął. Szpara poszerzyła się o dalsze dwie stopy, co wystarczyło, aby przejechać śniegołazem.

Hallorann zdał sobie sprawę, że w ciemnościach przed nim coś się porusza. Wszystkie zwierzęta z żywopłotu skupiły się u podnóża schodów Panoramy, strzegąc wejścia i wyjścia. Lwy wypatrywały zdobyczy. Pies trzymał przednie łapy na pierwszym stopniu.

Hallorann dodał gazu i śniegołaz pomknął przed siebie, wzbijając białe kłęby. Kiedy pojazd z przenikliwym bzyczeniem jakby osy zaczął się przybliżać, w mieszkaniu dozorca Jack Torrance raptownie odwrócił głowę, po czym mozolnie ruszył z powrotem w stronę korytarza. Teraz ta suka nie jest ważna. Może zaczekać. Przyszła kolej na parszywego czarnucha. Tego parszywego wścibskiego czarnucha, który nie pilnuje własnego nosa. Najpierw na niego, potem na syna. Jack im pokaże. Pokaże im, że. . . że jest ulepiony z dyrektorskiej gliny!

Na dworze śniegołaz rozwijał coraz większą prędkość. Hotel zdawał się do niego podpływać. Śnieg siekł Halloranna po twarzy. Smuga światła reflektora wydobyła z mroku pysk owczarka, jego pozbawione wyrazu, płytko osadzone oczy.

Pies się cofnął, zrobił przejście. Hallorann resztką sił szarpnął za kierownicę, śniegołaz zatoczył ostry łuk, wyrzucając w górę tumany puchu i grożąc wywrotką. Tyłem walnął w podnóże schodów i odbił się od nich. Hallorann błyskawicznie wyskoczył i wbiegł po stopniach. Potknął się, upadł, poderwał się na nogi. Pies warczał — znów w głowie Halloranna — tuż za jego plecami. Coś rozdarło mu kurtkę na ramieniu, po czym znalazł się na werandzie, w wąskim korytarzyku

wykopanym przez Jacka w śniegu, poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Zwierzęta były za duże, nie mogły się tutaj zmieścić.

Dotarł do szerokich drzwi dwuskrzydłowych i raz jeszcze poszukał kluczy. Wyciągając je, spróbował przekręcić gałkę. Obróciła się bez oporu. Pchnął drzwi i wszedł do holu.

— Danny! — zawołał ochryple. — Danny, gdzie jesteś?

Odpowiedziała mu cisza.

Omiótł spojrzeniem hol aż do podnóża szerokich schodów i z ust wyrwał mu się chrapliwy oddech. Chodnik był zbryzgany, pozlepiany krwią. Walał się na nim strzęp różowego aksamitnego szlafroka. Krwawy trop prowadził na górę. Na poręczy czerwieniły się takie same ślady.

— O Jezu — wymamrotał Hallorann i znów podniósł głos. — Danny! Danny!

Cisza panująca w hotelu zdawała się go przedrzeźniać, rozbrzmiewać wielokrotnym echem, niemal rzeczywistym, przebiegłym i aluzyjnym.

(Danny? Kto to jest Danny? Czy ktoś tu zna jakiegoś Danny'ego? Danny, Danny, kto ma Danny'ego? Kto chce nakręcić Danny'ego jak baka? Zagrać nim w kręgle? Wynoś się stąd, czarnulku. Tu nikt nie odróżnia Danny'ego od Adama.)

Jezu, czy tak dużo przeszedł tylko po to, żeby się spóźnić? Czy rzecz się dokonała?

Przeskakując po dwa stopnie naraz, pobiegł na pierwsze piętro. Krwawy ślad wiódł do mieszkania dozorczy. Przerazenie zakradło się do żył i mózgu Halloranna, kiedy ruszył w stronę krótkiego korytarzyka. Zwierzęta z żywopłotu były straszne, to jednak okazało się gorsze. W głębi duszy nie wątpił, co tam zastanie.

Nie śpieszył się do tego widoku.

Jack siedział ukryty w windzie, gdy Hallorann wchodził na górę. Teraz to umazane posoką, uśmiechnięte widmo wypełzło i podążyło za postacią w ośnieżonej kurtce. Młotek do roque'a wzniosło tak wysoko, jak na to pozwalał ohydny, szarpiący

(?nie pamiętam czy ta suka mnie dźgnęła?)

ból w plecach.

— Czarnulek — szepnął. — Nauczę cię pilnować własnego nosa.

Hallorann dosłyszał szepot i zaczął się odwracać, żeby zrobić unik, kiedy młotek opadł ze świstem. Kaptur kurtki osłabił siłę uderzenia, ale niedostatecznie. W głowie Halloranna odpaliła rakietka, po której pozostała gwiazdzista smuga... a potem już nic.

Zatoczył się na jedwabną tapetę, Jack zaś rąbnął go ponownie, tym razem z boku. Ze zmiażdżoną kością policzkową i wybitymi prawie wszystkimi zębami z lewej strony Hallorann miękko osunął się na ziemię.

— Teraz — szepnął Jack. — Teraz, na Boga. Gdzie jest Danny?

Musi się rozprawić z nieposłusznym synem.

W trzy minuty później drzwi windy otwarty się z hukiem na zaciemionym trzecim piętrze. Jack Torrance jechał nią sam. Kabina przystanęła za wcześnie, więc musiał się podciągnąć, żeby wyleźć na korytarz. Wił się z bólu jak okaleczone stworzenie i włókł za sobą połupany młotek. Pod okapami wiatr jęczał i huczał. Jack dziko przewracał oczami. We włosach miał krew i konfetti.

Jego syn znajdował się tutaj, gdzieś tutaj na górze. Jack to wyczuwał. Po zostawiony bez nadzoru chłopiec mógł robić cokolwiek: bazgrać kredkami po kosztownej jedwabnej tapecie, niszczyć meble, wybijać szyby. Jest kłamczuchem, oszustem i musi zostać surowo ukarany. . .

Jack Torrance dźwignął się z trudem.

— Danny?! — zawołał. — Danny, chodź tu w tej chwili. Coś przeszkrobałeś i chcę, żebyś przyszedł zażyć swoje lekarstwo, jak przystało mężczyźnie. Danny? Danny!

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

Tony

(Danny...)

(Dannnee..)

Ciemność i korytarze. Wędrował w ciemnościach korytarzami podobnymi do tych hotelowych, ale jakoś innymi. Ściany pokryte jedwabną tapetą pięły się w górę, wciąż w górę i nawet z zadartą głową Danny nie mógł dojrzeć sufitu ginącego w mrokach. Wszystkie drzwi były pozamykane na klucz i także sięgały mroków. Pod judaszami (które w tych olbrzymich drzwiach miały wielkość celowników dział) zamiast numerów pokoi przybito małe czaszki i skrzyżowane piszczele.

I gdzieś rozbrzmiewało wołanie Tony'ego.

(Dannnee...)

Rozległ się łoskot, dobrze mu znany, i ochryple okrzyki, słabe z oddali. Nie rozróżniał słów, lecz zdążył już przyswoić sobie tekst. Słyszał go przedtem we snach i na jawie.

Przystanął — mały chłopczyk przed niespełna trzema laty chodzący jeszcze z pieluchą — i spróbował stwierdzić, gdzie jest, gdzie może się znajdować. Odczuwał lęk, z tym lękiem jednak dało się żyć. Bał się co dzień od dwóch miesięcy, a strach jego przybierał rozmaite postacie, od tępego niepokoju do absolutnego, paraliżującego przerażenia. Z tym lękiem dało się żyć. Ale chciał wiedzieć, dlaczego Tony przyszedł i woła go po imieniu w tym korytarzu, nie będącym częścią świata rzeczywistego ani krainy snów, w której czasami coś mu ukazywał. Dlaczego, gdzie...

— Danny.

W głębi olbrzymiego korytarza, niemal równie maleńka jak sam Danny, majaczyła ciemna figurka. Tony.

— Gdzie jestem? — cicho zapytał Danny.

— Śpisz — odparł Tony. — Śpisz w sypialni swoich rodziców. — W jego głosie dźwięczał smutek. — Danny — powiedział. — Twoja matka zostanie bardzo pobita. Może zabita. Pan Hallorann także.

— Nie! — wykrzyknął Danny z lekkim żalem, z trwogą jakby przytłumioną przez to mgliste, ponure otoczenie. Nawiedziły go jednak obrazy śmierci: martwa żaba przylepiona do ściany rogatki jak upiorny znaczek; zepsuty zegarek taty na pudle z rupieciami do wyrzucenia; nagrobki, a pod każdym z nich nieboszczyk; zdechła sójka przy słupie telefonicznym; zimne resztki zgarniane przez mamę z talerzy, znikające w ciemnej czeluści kubła na odpadki.

Mimo to nie mógł przyrównać tych prostych symboli do zmiennej, złożonej rzeczywistości swojej matki; matka odpowiadała jego dziecięcej definicji wieczności. Była, kiedy jego nie było. Będzie nadal, kiedy on być przestanie. Umiał się pogodzić z możliwością własnej śmierci, nauczył się tego od czasu spotkania w pokoju 217.

Ale nie jej śmierci.

Ani taty.

Nie. Nigdy.

Danny zaczął się szamotać, a ciemność i korytarz kołysać. Tony przybrał postać fantastyczną, niewyraźną.

— Przestań! — zawołał. — Nie rób tego, Danny!

— Ona nie umrze! Na pewno!

— Więc musisz jej pomóc. Danny... znajdujesz się w głębi własnego umysłu. Tam gdzie i ja. Ja jestem twoją częścią, Danny.

— Ty jesteś Tonym. Nie mną. Chcę do mamy... do mojej mamy.

— To nie ja cię tu przyprowadziłem, Danny. Przyprowadziłeś się sam. Bo wiedziałeś.

— Nie...

— Wiedziałeś od początku — podjął Tony i ruszył w jego stronę. Po raz pierwszy zaczął się zbliżać. — Jesteś głęboko we własnym środku, w miejscu, gdzie nic nie dociera. Przez krótką chwilę będziemy tu sami, Danny. To taka Panorama, do której nikt nigdy nie może przyjść. Nie chodzą tu żadne zegary. Żaden z kluczy do nich nie pasuje i nigdy nie da się ich nakręcić. Drzwi nigdy nie otwierano i nikt nigdy nie mieszkał w pokojach. Ale ty nie możesz zostać tu długo. Bo to nadchodzi.

— To... — trwożnie wyszeptał Danny, a tymczasem nierytmiczny łoskot jakby się przybliżył, spotęgował. Przerazenie, przed sekundą słabe i niejasne, ogarnęło Danny'ego z większą siłą. Mógł teraz rozróżniać słowa. Wypowiedane ochrypłym, jazgotliwym głosem, ordynarnie naśladowującym głos jego ojca. Ale to nie był tata. Danny wiedział to teraz. Wiedział.

(„Przyprowadziłeś się sam. Bo wiedziałeś”.)

— Och, Tony, czy to mój tata?! — wrzasnął Danny. — Czy to mój tata idzie, żeby się ze mną rozprawić?

Tony nie odpowiadał. Odpowiedź nie była jednak Danny'emu potrzebna. Wiedział. Trwał tu długi koszmarny bal maskowy, trwał tak od lat. Po trochu narastała

siła, tajemnicza i milcząca, jak odsetki na rachunku bankowym. Siła, obecność, kształt, same tylko słowa pozbawione znaczenia. Pod wieloma maskami wszystko stanowiło jedność. Teraz, gdzieś, to wyruszyło na poszukiwanie Danny'ego. Skryło się za twarzą taty, naśladowało jego głos, przywdziało jego ubranie.

Ale nie było tatą.

To nie było tatą.

— Muszę im pomóc! — krzyknął Danny.

Tony stanął dokładnie na wprost niego i Danny patrzył jakby w magiczne zwierciadło, widział siebie za lat dziesięć, z szeroko rozstawionymi, bardzo ciemnymi oczami, z mocno zarysowanym podbródkiem ładną linią ust. Włosy miał jasnoblonde jak matka, a jednak rysy nosiły piętno ojca, jak gdyby Tony — jak gdyby ten Daniel Anthony Torrance, którym będzie kiedyś — stanowił coś pośredniego między ojcem a synem, był duchem, zlepkiem ich obu.

— Musisz spróbować — rzekł Tony. — Ale twój ojciec... on jest teraz po stronie hotelu, Danny. Właśnie taki chce być. Hotel chce ciebie także, bo jest bardzo zachłanny.

Tony go wyminął i pogrążył się w cieniu.

— Zaczekaj! — krzyknął Danny. — Co mogę...

— Nadchodzi — odparł, nie zatrzymując się, Tony. — Będziesz musiał uciekać... szukać kryjówek... trzymać się z dala od niego. Trzymaj się z daleka.

— Nie mogę, Tony!

— Ale już zacząłeś — powiedział Tony. — Przypomnisz sobie o tym, o czym zapomniał twój ojciec.

I zniknął.

Skądś z bliska Danny usłyszał chłodno przymilny głos ojca.

— Danny? Możesz się nie chować, stary. Jedno małe lanie, nic więcej. Znieś to jak mężczyzna, a zaraz się skończy. Ona nie jest nam potrzebna, stary. Tylko my dwaj, co? Jak będziemy już mieli to małe... lanie... za sobą, pozostaniemy tylko my dwaj.

Danny pobiegł. Za jego plecami wybuch irytacji zburzył nieudolnie tworzone pozory normalności.

— Wychodź, ty gówniarzu! Ale już!

Biegł długim korytarzem, zdyszany i zasapany. Za róg. Po schodach. A tymczasem ściany, tak wysokie i tak oddalone, zaczęły się obniżać; chodnik, do tej pory zamazany pod jego stopami, znów miał znajomy czarno-niebieski splątany deseń; na drzwiach z powrotem pojawiły się numerki, a za drzwiami trwał jeden wielki, nieustanny bal, w którym uczestniczyły całe pokolenia gości. Dokoła Danny'ego powietrze migotało, ciosy młotka walącego w ściany rozbrzmiewały

echem. Jakby przerwawszy cienkie błony płodowe, leciał ze snu na

chodnik przed apartamentem prezydenckim; obok niego, zwalone na kupę, leżały ciała dwóch mężczyzn w garniturach i wąskich krawatach. Skoszeni kulami, zaczęli się na jego oczach poruszać i wstawać.

Zaczerpnął tchu, żeby wrzasnąć, lecz nie wydał głosu.

(Sztuczne twarze! Nieprawdziwe!)

Zblakli niczym stare fotografie i zniknęli.

Z dołu jednak dobiegał nieustannie słaby stukot młotka walącego o ściany, niósł się w górę szybem windy i klatką schodową. Siła sprawująca władzę nad Panoramą, wcielona w jego ojca, błędziła po pierwszym piętrze.

Za jego plecami cicho skrzypnęły otwierane drzwi.

Tanecznym krokiem wybiegła przez nie kobieta w stanie rozkładu, ubrana w przegniły jedwabny szlafrok, z zaśnieżonymi pierścionkami na pożółkłych, splekanych palcach. Ociężałe osy niemrawo łążyły po jej twarzy.

— Wejdz — szepnęła do niego, z uśmiechem na czarnych wargach. — Wejdz do środka, zatańczymy taaango. . .

— Sztuczna twarz! — syknął. — Nieprawdziwa!

Odstąpiła w popłochu, zblakła i zniknęła.

— Gdzie jesteś?! — wrzasnęło to coś, lecz głos nadal rozbrzmiewał tylko w jego głowie. Wciąż słyszał tę rzecz z twarzą Jacka na pierwszym piętrze. . . i coś jeszcze.

Przenikliwe wycie zbliżającego się silnika.

Wstrzymał oddech. Czy to po prostu jeszcze jedna twarz z hotelu, jeszcze jedno złudzenie? Czy też Dick? Choć pragnął — rozpaczliwie pragnął — wierzyć, że to naprawdę Dick, bał się ryzykować.

Wycofał się głównym korytarzem, po czym skręcił w boczny, z szelestem stąpając po puszystym chodniku. Pozamykane na klucz drzwi patrzyły na niego krzywo, jak w snach, w przywidzeniach, tyle że teraz znajdował się w świecie rzeczy prawdziwych, gdzie gra szła o wysoką stawkę.

Ruszył w prawo i przystanął, z sercem głośno łomoczącym w piersi. Gorące powietrze owiało mu kostki. Oczywiście wydobywało się z zasuw kominowej. Tego dnia tata ogrzewał widocznie skrzydło zachodnie i

(„Przypomnisz sobie o tym, o czym zapomniał twój ojciec”.)

Co to takiego? Nieomal wiedział. Coś, co mogłoby uratować jego i mamę? Ale Tony mówił, że będzie musiał zrobić to sam. Co to jest?

Osunął się po ścianie i wyteżył umysł. Było to takie trudne. . . hotel nieustannie próbował mu wbić do głowy. . . obraz tej ciemnej, pochylonej postaci, która wymachiwała na boki młotkiem, dziurawiła tapetę. . . wzbijała kłęby gipsowego pyłu.

— Pomóż mi — wymamrotał. — Pomóż mi, Tony.

I nagle zdał sobie sprawę, że w hotelu zapanowało śmiertelne milczenie. Uci-
chło wycie silnika

(musiało nie być prawdziwe)

i odgłosy balu, tylko wiatr bez końca jęczał i zawodził.

Winda nagle ożyła z warkotem.

Wjeżdżała na górę.

A Danny wiedział, kto — co — jest w środku.

Zerwał się na nogi, wzrok miał oszalały. Przewrzenie ścisnęło mu serce. Dla-
czego Tony wysłał go na trzecie piętro? Znalazł się tu w potrzasku. Wszystkie
drzwi były pozamykane na klucz.

Strych!

Wiedział, że jest strych. Byli tu we dwóch w dniu, kiedy tata rozkładał trutkę
na szczury i ze względu na nie zabronił mu wejść na samą górę. Bał się, że mogą
go pogryźć. Ale kłapa w suficie znajdowała się w ostatnim krótkim korytarzyku
tego skrzydła. Oparty o ścianę stał bosak. Tata popchnął kłapę bosakiem, zaturko-
tały przeciwwagi, kiedy kłapa się unosiła, a opuszczała drabinka. Gdyby on mógł
się tam dostać i wciągnąć za sobą drabinę. . .

Gdzieś w labiryncie korytarzy za jego plecami winda przystanęła. Metalicz-
nie szczęknięta rozsuwana krata. Potem zaś głos — już nie w jego głowie, lecz
strasznie prawdziwy — zawołał:

— Danny? Danny, chodź tu na chwilę, dobrze? Coś przeskrobałeś i chcę, że-
byś przyszedł i zażył swoje lekarstwo, jak przystało mężczyźnie. Danny? Danny!

Z głęboko zakorzenionego nawyku posłuszeństwa rzeczywiście zrobił odru-
chowo dwa kroki w stronę, skąd dobiegał głos, zanim się zatrzymał. Opuszczone
wzdłuż boków ręce zacisnął w pięści.

(Nieprawdziwa! Sztuczna twarz! Wiem, czym jesteś! Zdejmij maskę!)

— Danny! — ryknęło to coś. — Chodź tutaj, szczeniaku! Chodź i zażyj je,
jak przystało mężczyźnie! — Donośny, głuchy łoskot, uderzenie młotkiem o ścia-
nę. Głos ponownie wywrzasnął jego imię, tym razem jednak z innego miejsca.
Przybliżył się.

W świetle rzeczy prawdziwych zaczynało się polowanie.

Danny pobiegł. Stąpając cicho po grubym chodniku, mijał pozamykane drzwi,
wzorzyste jedwabne tapety, gaśnicę na rogu. Zawahał się, po czym wpadł w ostat-
ni korytarz. Na jego końcu nic prócz zaryglowanych drzwi, żadnej możliwości
ucieczki.

Ale nadal stał tam bosak, oparty o ścianę w miejscu, gdzie zostawił go tata.

Danny go chwycił. Zadarł do góry głowę, żeby popatrzeć na kłapę. Należało
zacześć hakiem o kółko w kłapie. Należało. . .

Zwisiała z niej nowiusieńska kłódka yale. Na wszelki wypadek założona przez
Jacka Torrance'a po zastawieniu pułapek, bo jego synowi mogło któregoś dnia

strzelić do głowy, że warto zwiedzić strych.

Zamknięte. Ogarnęła go groza.

To nadchodziło od tyłu, niezdarnie, zataczając się, mijało apartament prezydencki, a młotek mściwie ciął powietrze.

Danny stanął plecami do ostatnich zamkniętych drzwi i czekał.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

To, o czym zapomniano

Wendy powoli odzyskiwała przytomność, szarość odpływała, jej miejsce zajmował ból: w plecach, w nodze, w boku... Wendy nie sądziła, żeby się mogła poruszyć. Nawet palce ją bolały, choć początkowo nie wiedziała dlaczego.

(Żyletka, ona była powodem.)

Blond włosy, wilgotne teraz i splątane, opadały jej na oczy. Odgarnęła je, a ukłucie żeber sprawiło, że jęknęła. Dostrzegła połać niebiesko-białego materaca poplamionego krwią. Może jej, może Jacka. Tak czy inaczej, jeszcze świeża. Niedługo leżała zemdlona. A to było ważne, bo...

(?Bo co?)

Bo...

Najpierw przypomniała sobie owadzie brzęczenie silnika. Przez chwilę głupio czepiała się tego wspomnienia, po czym gwałtownie, przyprawiając ją o zawrót głowy i mdłości, powróciła pamięć, ukazała jej wszystko równocześnie.

Hallorann. To musiał być Hallorann. Bo dlaczego Jack miałby się oddalić tak nagle, zamiast skończyć z tym... skończyć z nią?

Ponieważ nie miał czasu. Musiał prędko odnaleźć Danny'ego i... i zrobić to, zanim Hallorann mu przeszkodzi.

A może to już się stało?

Słyszała skowyt windy w szybie.

(Nie Boże proszę nie krew krew jest jeszcze świeża nie pozwól żeby to już się stało!)

Zdołała jakoś podnieść się na nogi, pokuśtykać przez sypialnię i zrujnowany salonik do strzaskanych drzwi. Popchnęła je i wyszła na korytarz.

— Danny! — zawołała, krzywiąc się z bólu w klatce piersiowej. — Panie Hallorann! Jest tam kto? Ktokolwiek?

Winda jechała znowu, teraz się zatrzymała. Wendy usłyszała metaliczny szczęk rozsuwanej kraty, po czym jakby czyjś głos. Mogło to być złudzenie. Wiatr szumiał zbyt głośno, więc nie miała pewności.

Opierając się o ścianę, ruszyła krótkim korytarzykiem. Już miała skrócić na rogu, gdy zastygła nieruchomo, bo klatką schodową i szybem windy dobiegł ją wrzask.

— Danny, chodź tutaj, szczeniaku! Chodź i zażyj je, jak przystało mężczyźnie! Jack. Na drugim czy trzecim piętrze. Szuka Danny'ego.

Wyszła na główny korytarz, potknęła się, omal nie upadła. Oddech uwiązał jej w krtani. Coś

(ktoś?)

skuliło się pod ścianą mniej więcej w jednej czwartej odległości od schodów. Przyśpieszyła kroku, krzywiąc się, ilekroć przenosiła ciężar ciała na obolałą nogę. Wiedziała, że to mężczyzna, a kiedy się zbliżyła, pojęła znaczenie tego brzęczącego silnika.

Był to pan Hallorann. Mimo wszystko przyjechał.

Osunęła się przy nim na kolana i zaniósła beładne modły o to, aby okazał się żywy. Krew kapiała mu z nosa, z ust wyciekała w straszliwych ilościach. Jedna strona twarzy zamieniła się w obrznięty siniec. Ale oddychał, Bogu niech będą za to dzięki. Powietrze wydobywało się z jego płuc powoli, chrapliwie, wstrząsając całą postacią.

Wendy przyjrzała mu się dokładnie i szeroko otworzyła oczy. Jeden rękaw kurtki miał poczerniały, osmalony, a jeden bok rozdarty. W jego włosach widać było krew, z tyłu na szyi paskudne, choć płytkie zadrapanie.

(Mój Boże, co mu się stało?)

— Danny! — ryknął z góry ochryPLY, rozdrażniony głos. — Wyłaż, do cholery!

Nie miała czasu teraz się nad tym zastanawiać. Zaczęła potrząsać Hallorannem, krzywiąc się z potwornego bólu. Czuła, że jej bok jest rozpalony, gruby, opuchnięty.

(A co, jeśli przy każdym ruchu żebra wbijają mi się w płuco?)

Na to jednak nie było rady. Gdyby Jack znalazł Danny'ego, zabiłby go, za-tłukłby tym młotkiem na śmierć, tak jak ją próbował zatłuc.

Więc potrząsała Hallorannem, a potem zaczęła lekko klepać go po zdrowym policzku.

— Niech się pan zbudzi — mówiła. — Panie Hallorann, pan musi się obudzić. Proszę... proszę...

Z góry dobiegało niecierpliwe dudnienie młotka; to Jack Torrance szukał swojego syna.

Danny stał tyłem do drzwi, wpatrzony w punkt, gdzie pod kątem prostym łączyły się korytarze. Ciągły nieregularny łoskot młotka uderzającego o ściany

rozbrzmiewał coraz głośniejsze. To coś, co go ścigało, wrzeszczało, wyło i klęło. Sen i rzeczywistość zlewały się w jedno.

To coś wyszło zza rogu.

W pewnym sensie Danny doznał ulgi. Nie był to jego ojciec. Maskę, jaką stanowiły twarz i ciało, została podarta, postrzępiona, zamieniona w kiepski żart. Nie był jego tatą ten strach z sobotniego wieczoru makabry, przewracający oczami, niezdarne i przygarbione, w przesiąkniętej krwią koszuli. Nie był to jego tata.

— Teraz, na Boga — sapnęło to coś. Otarło wargi drżącą dłonią. — Teraz się przekonasz, kto tu rządzi. Zobaczysz. To nie ciebie chcą. Chcą mnie. Mnie. Mnie!

Zamachnęło się wyszczerbionym młotkiem o obuchu z obu stron zniekształconym, połupanym od niezliczonych uderzeń. Obuch walnął w ścianę i wyciął kółko w jedwabnej tapecie. Wzbił się kłęb gipsowego pyłu. To coś zaczęło się uśmiechać.

— Popatrzmy, jak teraz odstawiasz jeden ze swoich numerów — wymamrotało. — Nie urodziłem się wczoraj, jak ci wiadomo. Na Boga, nie dam robić z siebie balona. Spełnię względem ciebie ojcowski obowiązek, mój chłopcze.

— Nie jesteś moim tatą — powiedział Danny.

To coś przystanęło. Przez chwilę rzeczywiście wydawało się niezdecydowane, jakby niepewne, kim albo czym jest. Potem znów ruszyło do przodu. Młotek gwizdnął, uderzył w płycinę drzwiową z głuchym łoskotem.

— Kłamiesz — odparło. — Kim innym mógłbym być? Mam dwa znamiona, wklęsły pępek, a nawet kutasa, mój chłopcze. Zapytaj swoją matkę.

— Jesteś maską — rzekł Danny. — Po prostu sztuczną twarzą. Hotel chce się posłużyć tobą tylko dlatego, że nie jesteś tak martwy jak tamci. Ale kiedy z tobą skończy, nie będziesz w ogóle niczym. Nie boję się ciebie.

— Będziesz się bał! — ryknęło to coś. Młotek z gwałtownym świstem rąbnął w chodnik między stopami Danny'ego. Danny ani drgnął. — Opowiadałeś o mnie łągarstwa! Byłeś z nią w zмовie! Spiskowałeś przeciw mnie! I oszukiwałeś! Ściągałeś na tym końcowym egzaminie! — Spod nastroszonych brwi oczy spozierały wściekle. Malował się w nich wyraz obłąkańczej przebiegłości. — To także znajdzie. Jest gdzieś w podziemiu. Znajdę to. Obiecali mi, że będę mógł popatrzeć. — Znów uniosło młotek.

— Tak, oni obiecują — powiedział Danny — ale kłamią.

Młotek zawisł wysoko w powietrzu.

Hallorann zaczął odzyskiwać przytomność, lecz Wendy nie przestała klepać go po policzku. Przed chwilą słowa: „Oszukiwałeś! Ściągałeś na tym końcowym egzaminie!”, przyplęły szybem windy niewyraźne, ledwo dostłyszalne wskutek wiatru. Skądś z głębi zachodniego skrzydła. Była nieomal pewna, że tamci dwaj znajdują się na trzecim piętrze i że Jack — to, co go opętało — znalazł Danny'ego.

Teraz ani ona, ani Hallorann nie mogli nic zrobić.

— Och, stary — wymamrotała. Oczy jej zaszyły łzami.

— Sukinsyn rozwalił mi szczękę — mruknął niewyraźnie Hallorann — i głowę... — Usiadł z wysiłkiem. Wokół jego prawego oka szybko tworzyły się siniec i opuchlizna, aż się zamknęło. Mimo to dostrzegł Wendy.

— Pani Torrance...

— Ciii — powiedziała.

— Gdzie jest chłopiec, proszę pani?

— Na trzecim piętrze — odparła. — Ze swoim ojcem.

— Oni kłamią — powtórzył Danny. Jakaś myśl przeniknęła mu przez głowę, błysnęła niczym meteor, za szybka, za jasna, aby mógł ją pochwycić i przytrzymać. Pozostawiła za sobą tylko ogon.

(Jest gdzieś w podziemiu...)

(„Przypomnisz sobie o tym, o czym zapomniał twój ojciec”.)

— Nie... nie powinieneś tak mówić do swojego ojca — powiedziało to coś ochryple. Młotek zadrżał, opadł. — Zaszkodzisz sobie, nic więcej. Spotka cię... gorsza kara. — Zatoczyło się jak pijane i wpatrzyło w niego, a łzawa litość dla samego siebie stopniowo przerodziła się w nienawiść. Młotek znów powędrował w górę.

— Nie jesteś moim tatą — po raz wtóry oświadczył Danny. — A jeśli masz w sobie jeszcze coś z mojego taty, to on wie, że tutaj kłamią. Wszystko jest kłamstwem i oszustwem. Jak sfalszowane kości, które w zeszłym roku tata włożył mi na gwiazdkę do pończochy, jak prezenty, które wystawiają w sklepach, a mój tata mówi, że tam nic nie ma, żadnych prezentów, że to same puste pudełka. Tylko na pokaz, mówi mój tata. Ty jesteś tym, nie moim tatą. Jesteś hotelem. I kiedy dostaniesz to, czego chcesz, nic nie dasz mojemu tacie, bo jesteś samolubem. I mój tata wie o tym. Musiałeś go zmusić do picia Złej Rzeczy. Inaczej byś go nie dostał, ty łgarzu ze sztuczną twarzą.

— Kłamstwo! Kłamstwo! — wykrzyknął cienki głos. Młotek szaleńczo zamachał w powietrzu.

— No, uderz. Ale nigdy nie dostaniesz ode mnie tego, czego chcesz.

Twarz na wprost Danny'ego się zmieniła. Trudno było powiedzieć jak; rysy ani się rozpląnęły, ani złały. Ciałem wstrząsnął lekki dreszcz, po czym zakrwawione palce rozwarły się na podobieństwo połamanych szponów. Młotek ze stukiem wypadł z nich na chodnik. I tyle. Nagle jednak tata rzeczywiście się tam znalazł, patrzył na niego w śmiertelnej udreće, ze smutkiem tak wielkim, że serce rozgorzało w piersi Danny'ego. Usta wygięły się w drżącą podkówkę.

— Zwiewaj, stary — powiedział Jack Torrance. — Prędko. I pamiętaj, jak bardzo cię kocham.

— Nie — odparł Danny.
— Och, Danny, na litość boską. . .
— Nie — powtórzył Danny. Ujął i ucałował jedną z zakrwawionych ojcowskich dłoni. — Jest już prawie po wszystkim.

Hallorann wstał w ten sposób, że oparł się plecami o ścianę i podpychał się w górę. Popatrzyli na siebie z Wendy, jakby w koszmarnym śnie ocaleli ze zbombardowanego szpitala.

— Musimy tam pójść — powiedział. — Musimy mu pomóc.
Z jej kredowobiałej twarzy spoglądały na niego udręczone oczy.
— Jest za późno — odrzekła Wendy. — Teraz tylko on sam może sobie pomóc.
Upłynęła jedna minuta, druga. Potem trzecia. I usłyszeli to nad sobą, wrzeszczące już nie ze złością czy triumfem, ale w śmiertelnej trwodze.
— Boże wielki — szepnął Hallorann. — Co się dzieje?
— Nie wiem — odparła.
— Czy to go zabiło?
— Nie wiem.
Winda ożyła z trzaskiem i zaczęła zjeżdżać z tym czymś wrzeszczącym, oszalałym w środku.

Danny stał nieruchomo. Nie miał dokąd uciekać, bo wszędzie była Panorama. Pojął to nagle, w pełni i bez bólu. Po raz pierwszy w życiu myślał i czuł jak człowiek dorosły, rozumiał istotę swego doświadczenia w tym złym miejscu — jego przykrą treść.

(Mama i tata nie mogą mi pomóc, jestem sam.)

— Odejdź — powiedział do zakrwawionej postaci obcego. — Idź. Wynoś się stąd.

To coś się pochyliło, mignęło trzonkiem noża tkwiącego w plecach. Ręce znów zacisnęło na młotku, zamiast jednak zamachnąć się na Danny'ego, twarde końcem obucha wycelowało we własną twarz.

Danny doznał nagłego olśnienia.

I wtedy młotek zaczął się wznosić i opadać, niszczyć resztki obrazu Jacka Torrance'a. To coś w korytarzu tańczyło niesamowitą posuwistą polkę, kontrpunktując rytm obrzydliwymi łomotami obucha. Krew spryskała tapetę. Odłamki kości wylatywały w powietrze jak potrzaskane klawisze fortepianu. Niepodobna powiedzieć, jak długo to trwało. Ale kiedy to coś ponownie zwróciło uwagę na Danny'ego, jego ojciec zniknął na zawsze. Resztki twarzy stały się obcą, zmienną fotografią wielu twarzy, nakładających się na siebie, niedoskonale połączonych

w jedną całość. Danny widział kobietę z pokoju 217; człowieka-psa; to wygłodniałe coś — jakby chłopca z betonowego pierścienia.

— A więc zrzucić maski — szepnęło. — Bez dalszych przeszkód.

Młotek wzniósł się po raz ostatni. Uszy Danny'ego wypełniło tykanie.

— Masz coś jeszcze do powiedzenia? — spytało. — Jesteś pewien, że nie chciałbyś uciekać? Pobawić się w berka? Wiesz, jedno, co mamy, to czas. Całą wieczność. Czy też może to zakończymy? Byłoby niezłe. Przecież omija nas bal.

W zachłannym uśmiechu odsoniło połamane zęby.

A jemu się przypomniało. To, o czym zapomniał jego ojciec.

Nagły triumf odmalował się na jego twarzy; na ten widok to coś zawahało się zaintrygowane.

— Kocioł! — wrzasnął Danny. — Para nie była dziś spuszczana! Ciśnienie rośnie! Grozi wybuch!

Po zmasakrowanej twarzy tego czegoś, co stało przed nim, przemknął wyraz groteskowego przerażenia i świtającej świadomości. Młotek wypadł z zaciśniętych dłoni i nieszkodliwie podskoczył na czarno-niebieskim chodniku.

— Kocioł! — krzyknęło to coś. — O nie! Do tego nie można dopuścić! Na pewno nie! Nie! Ty sakramencki szczeniaku! Na pewno nie! O, o, o...

— Wybuchnie! — odkrzyknął Danny zapamiętane. Zaczął szurać nogami i wymachiwać pięściami przed tą ruiną. — Lada moment! Wiem! Kocioł, tata zapomniał o kotle! I ty też zapomniałeś!

— Nie, o nie, nie powinien, nie może, ty paskudny chłopaku, zmuszę cię, żebyś zażył swoje lekarstwo, każę ci łyknąć wszystko co do kropli, o nie, o nie...

Nagle zawróciło i odeszło, powłócząc nogami. Przez chwilę cień podskakiwał na ścianie, coraz bledszy i mniej wyraźny. Wlokło za sobą okrzyki niczym zużyte serpentyny.

Po chwili ze szczękiem ożyła winda.

Wtem olśnił go blask

(mama i pan Hallorann, dla przyjaciół Dick, żyją, żyją i muszą się wydostać, wyleci w powietrze, wyleci aż pod niebo)

podobny do rozjarzonego, oślepiającego wschodu słońca i Danny pobiegł. Odtrącił na bok kopniakiem zakrwawiony, zdeformowany młotek do roque'a. Nie zauważył tego.

Płacząc, gnał w stronę schodów.

Muszą się stąd wydostać.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Wybuch

Później Hallorann nigdy nie był całkiem pewny, w jakiej kolejności nastąpiły po sobie wydarzenia. Pamiętał, że winda zjechała na dół, minęła ich, nie przystając, i że coś było w środku. Nie próbował jednak zajrzeć przez małe romboidalne okienko, ponieważ głos tego, co się tam znajdowało, nie brzmiał jak ludzki. W sekundę później rozległy się kroki kogoś zbiegającego po schodach. Wendy Torrance najpierw się cofnęła i oparła o niego, a potem jak najprędzej pokuśtykała głównym korytarzem do schodów.

— Danny! Danny! O, dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Wzięła go w ramiona z jękiem radości, a zarazem bólu.

(Danny!)

Danny spojrział na niego z objęć matki i Hallorann zauważył, jak bardzo jest zmieniony. Twarz miał bladą i ściągniętą, oczy ciemne, niezgłębione. Wyglądał, jakby stracił na wadze. Patrząc na nich oboje, Hallorann pomyślał, że to matka, mimo strasznych obrażeń, wydaje się młodsza. (Dick — musimy iść — uciekać — hotel — wyleci) Obraz Panoramy, z płomieniami buchającymi z dachu. Deszcz cegieł pada na śnieg. Dźwięk dzwonek pożarowych. . . choć żaden wóz strażacki nie mógłby tu dojechać przed końcem marca. Myśl Danny'ego najsilniej sugerowała potrzebę pośpiechu, wywoływała uczucie, że to się zdarzy lada chwila.

— Dobra — powiedział Hallorann.

Zaczął sunąć ku nim i zrazu przypominało to pływanie w głębokiej wodzie. Miał zachwiany zmysł równowagi, a prawe oko nie chciało się zogniskować. Potężne fale pulsującego bólu rozbiegały się od szczęki w górę do skroni i w dół po szyi, policzek zaś sprawiał wrażenie wielkiego jak głowa kapusty. Ale pod wpływem nalegań chłopca ruszył i chodzenie stało się nieco łatwiejsze.

— Dobra? — zapytała Wendy. Przeniosła wzrok z Halloranna na syna i znów na Halloranna. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Musimy iść — odrzekł Hallorann.

— Jestem nie ubrana. . . moje rzeczy. . .

Danny wyrwał się z jej uścisku i pognał korytarzem. Patrzyła za nim, a kiedy skręcił za róg, odwróciła się do Halloranna.

— Co będzie, jeśli wróci?

— Pani mąż?

— To nie jest Jack — wymamrotała. — Jack nie żyje. To miejsce go zabiło. To przekłete miejsce. — Walnęła pięścią w ścianę i rozplakała się, bo zabołały ją pokaleczone palce. — Chodzi o kociół, prawda?

— Tak, proszę pani. Danny mówi, że go rozsadzi.

— Dobrze. — Wymówiła to słowo w sposób absolutnie nieodwołalny. — Nie wiem, czy zdołam jeszcze raz zejść z tych schodów. Moje żebra... połamał mi żebra. I coś w plecach. To boli.

— Da pani radę — zapewnił Hallorann. — Wszyscy damy radę. — Lecz wtem przypomniał sobie zwierzęta z żywopłotu i zastanowił się, co zrobią, jeżeli one będą stały przy wyjściu na straży.

Danny już wracał. Niósł buty, rękawiczki i płaszcz matki, a także swoje rękawiczki i kurtkę.

— Danny — odezwała się Wendy. — Twoje buty.

— Za późno — odparł.

Patrzył na nich z wyrazem desperackiego szaleństwa. Spojrzał na Dicka i nagle w umyśle Halloranna pojawił się obraz zegara pod kloszem, zegara w sali balowej, podarowanego w roku 1949 przez szwajcarskiego dyplomatę. Na zegarze była za minutę dwunasta.

— O mój Boże — powiedział Hallorann. — O Boże miłosierny.

Otoczył Wendy ramieniem i unióśł ją w górę. Drugim ramieniem objął Danny'ego. Pobiegł do schodów.

Choć Wendy krzyczała z bólu, kiedy przygniatał połamane żebra, kiedy coś chrupało jej w plecach, Hallorann nie zwalniał. Rzucił się ze schodów, niosąc ich oboje. Z jednym okiem szeroko otwartym, pełnym rozpacz, z drugim tak podpuchniętym, że wyglądało jak szparka. Przypominał jednookiego pirata wprowadzającego zakładników, aby później wziąć za nich okup.

Nagle olśnił ich blask i Hallorann zrozumiał, dlaczego Danny mówił, że jest za późno, że niebawem w podziemiu nastąpi eksplozja i ten straszny hotel zostanie z hukiem wybebeszony.

Pobiegł szybciej, gnał na złamanie karku przez hol do drzwi dwuskrzydłowych.

To coś pośpieszyło przez podziemie i znalazło się w kręgu słabego żółtego światła jedynej w kotłowni żarówki. Śliniło się ze strachu. O mały włos posiadłoby chłopca i tę jego niezwykłą moc. Teraz nie może przegrać. Do tego dojść nie powinno. Spuści parę z kotła, a potem surowo ukarze gówniarza.

— Nie powinno! — krzyknęło. — Och nie, nie powinno!

Kuśtykało do kotła, który do połowy długiego cylindrycznego korpusu jarzył się przyćmioną czerwienią. Sapał, grzechotał i niczym ogromne organy parowe z sykiem wypuszczał na wszystkie strony pióropusze pary. Wskazówka ciśniomierza dotarła do końca podziałki.

— Nie, do tego się nie dopuści! — wykrzyknął dyrektor/dozorca.

To coś położyło ręce Jacka Torrance'a na zaworze, obojętne na swąd, na skwierczenie ciała, w którym rozpalone do czerwoności koło zagłębiło się jak w rozmięklej po deszczu koleinie.

Koło ustąpiło i to coś z wrzaskiem triumfu otwarło zawór na oścież. Potężny ryk uciekającej pary wydobył się z kotła, jakby tuzin smoków syczało zgodnym chórem. Zanim jednak para całkowicie przesłoniła wskazówkę ciśniomierza, ta wskazówka wyraźnie zaczęła się cofać.

— Zwycięzam! — krzyknęło. Płasało sprośnie w tumanach gorącej pary i płończącymi dłońmi wymachiwało nad głową. — Nie za późno! Zwycięzam! Nie za późno! Nie za późno! Nie... .

Słowa przekształciły się w triumfalny wrzask, który utonął w ogłuszającym huku, z jakim eksplodował kocioł Panoramy.

Hallorann wypadł przez drzwi dwuskrzydłowe i niosąc tych dwoje, wy dostał się z głębokiego przekopu na werandzie. Widział strzyżone zwierzęta wyraźnie, wyraźniej niż przedtem, i akurat w chwili, kiedy zrozumiał, że potwierdziły się jego najgorsze obawy, że zwierzęta znajdą się między werandą a śniegołazem, hotel wyleciał w powietrze. Dla niego wszystko to wydarzyło się jakby równocześnie, choć później uświadomił sobie, że tak być nie mogło.

Rozległ się głuchy wybuch, odgłos rozbrzmiewający pozornie jedną niską, przenikliwą nutą,

(łuppppp)

po czym podmuch ciepłego powietrza owiał im plecy, lekko ich popychając. Zmiotł całą trójkę z werandy, a gdy lecieli w powietrzu, mętna myśl

(tak właśnie musi się czuć nadczołowiek)

przemknęła Hallorannowi przez głowę. Wypuścił tamtych dwoje i klapnął na miękką śniegową poduchę. Napchało mu się puchu pod koszulę i do nosa, a on niejasno zdał sobie sprawę, że zetknięcie się ze śniegiem przyjemnie łagodzi ból policzka.

Następnie wygrzebał się z zasy, na moment zapomniawszy o zwierzętach z żywoplotu, o Wendy Torrance, nawet o chłopcu. Przewrócił się na plecy, bo

chciał obserwować śmierć hotelu.

Potrzaskały okna Panoramy. W sali balowej klosz nad zegarem kominkowym pękł i w dwóch kawałkach zleciał na podłogę. Zegar przestał tykać: znieruchomiały kółka, trybiki i balans. Z czymś w rodzaju donośnego szeptu czy westchnienia wzbiła się wielka chmura kurzu. Pod numerem 217 nagle rozłupała się wanna i wypląnęło z niej trochę zielonkawej, śmierdzącej wody. W apartamencie prezydenckim tapeta stanęła w płomieniach. Zerwały się zawiasy barowych drzwi salonu Kolorado, które runęły na podłogę sali jadalnej. Za łukowym wejściem do podziemia ogromne stosy i pliki starych papierów zapaliły się i rozgorzały, sycząc jak lampa lutownicza. Wrzątek wylał się na nie, ale ich nie ugasił. Kartki wirowały i czerniały niczym płonące jesienne liście pod gniazdem os. Piec eksplodował, a pogruchotane belki stropowe z hukiem posypały się na ziemię jak kości dinozaura. Z otwartego teraz palnika gazowego pod piecem wzbił się do holu przez dziurę w podłodze ryczący słup ognia. Zajął się chodnik na schodach, płomienie popędziły na pierwsze piętro, jakby miały obwieścić straszną dobrą nowinę. Hotelem wstrząsnęła salwa wybuchów. Żyrandol w sali jadalnej, dwustufuntowa bomba z kryształu, spadł z ogłuszającym łoskotem i poroztrącał stoliki na wszystkie strony. Ogień buchnął z pięciu kominów Panoramy w coraz rzadsze chmury.

(Nie! Nie powinno! Nie powinno! Nie powinno!)

To coś wrzeszczało, wrzeszczało, lecz już bezdźwięcznie, wykrzykiwało pod własnym adresem słowa paniki, zagłady i potępienia, rozptywało się, traciło zdolność myślenia i wolę, rozpadało się, szukało, nie znajdowało, wybiegało, wybiegało i uciekało, wybiegało w próżnię, w nicość, kruszyło się. Bal się skończył.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

Wyjście

Od huku zadygotała cała fasada Panoramy. Szkło wyplute na śnieg lśniło na jego powierzchni jak wyszczerbione brylanty. Pies z żywopłotu, który się zbliżał do Danny'ego i jego matki, odskoczył na ten widok, stulił marmurkowe zielono-cieniste uszy i podwinął ogon, a mięśnie zadu żałośnie mu obwisły. Hallorann słyszał w myślach jego trwożne wycie i pomieszane z tym odgłosem lękliwe, niepewne miauczenie dużych kotów. Kiedy z wysiłkiem się dźwigał, aby pójść matce i synowi na pomoc, ujrzał coś koszmarniejszego niż wszystko inne: królik z żywopłotu, wciąż jeszcze pokryty śniegiem, jak szalony walił ciałem w ogrodzenie za placem zabaw, stalowa siatka zaś dźwięczała, rozbrzmiewała upiorną muzyką, niczym widmowa cytra. Nawet z tej odległości Hallorann słyszał trzask i chrzęst splątanych gałązek i gałęzi, podobny do chrupotu łamanych kości.

— Dick! Dick! — krzyknął Danny.

Próbował podtrzymać matkę, doprowadzić ją do śniegołaza. Odzież ich dwojga, którą zabrał z hotelu, leżała porzrucana na przestrzeni oddzielającej to miejsce, gdzie upadli, od tego, gdzie stali obecnie. Raptem Hallorann uprzytomnił sobie, że kobieta jest w nocnej bieliźnie, Danny bez kurtki przy takiej temperaturze w mroźnej zawiei.

(Mój Boże, ona jest boso!)

Z trudem brnąc w śniegu, pozbierał jej palto i buty, kurtkę Danny'ego, pojedyncze rękawiczki. Następnie pobiegł w ich stronę; od czasu do czasu zapadał się po pas w zasy i musiał się z nich wygrzebywać.

Wendy, potwornie blada, szyję miała z boku zakrwawioną i ta krew teraz zamarzała.

— Nie dam rady — wymamrotała. W najlepszym razie była półprzytomna. — Nie, ja... nie mogę. Przepraszam.

Danny podniósł na Halloranna błagalny wzrok.

— Będzie dobrze — powiedział Hallorann i znów ją chwycił. — Chodź.

We trójkę dotarli do miejsca, gdzie śniegołaz obrócił się i utknął. Hallorann posadził kobietę na siedzeniu dla pasażera i włożył jej płaszcz. Uniósł stopy Wendy — bardzo zimne, ale jeszcze nie odmrożone — i przed włożeniem butów szybko rozartał kurtkę Danny’ego. Twarz miała białą jak alabaster, oczy półprzymknięte i oszołomione, zaczęła jednak dygotać. Hallorann uznał to za dobry znak.

Za ich plecami hotelem wstrząsnęły trzy kolejne wybuchy. Pomarańczowe błyski rozjaśniły śnieg.

Danny krzyknął coś Hallorannowi prosto do ucha.

— Co?

— Pytałem, czy nie jest ci to potrzebne.

Wskazywał na czerwony kanister, przechylony w śniegu.

— Chyba tak.

Hallorann potrząsnął kanistrem. Była w nim jeszcze benzyna, lecz nie wiedział ile. Po paru próbach nieudanych, bo palce zaczynały mu drętwieć z zimna, umocował zbiornik z tyłu śniegołaza. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że zgubił rękawice Howarda Cottrella.

(jak się stąd wydostanę poproszę moją siostrę żeby ci zrobiła na drutach dwaście par howie)

— Wsiadaj! — krzyknął na chłopca.

Danny się cofnął.

— Zamarzniemy!

— Musimy zajechać do szopy ze sprzętem! Są tam różne rzeczy... koce... coś takiego. Siadaj za mamą!

Danny wsiadł i Hallorann odwrócił głowę, żeby krzyknąć Wendy w twarz:

— Pani Torrance! Proszę się mnie trzymać! Rozumie pani? Trzymać się!

Objęła go ramionami, policzkiem przylgnęła do jego pleców. Hallorann zapuścił silnik i dodał gazu ostrożnie, bo chciał uniknąć szarpnięcia, kiedy będą ruszali. Kobieta trzymała się słabiutko i gdyby się ześliznęła do tyłu, zleciałaby, pociągając chłopca swoim ciężarem.

Zaczęli sunąć naprzód. Hallorann zatoczył koło i pojechali na zachód, równoległe do hotelu, po czym skręcili, aby okrążywszy go, wstąpić do szopy.

Przez chwilę wyraźnie widzieli hol Panoramy. Płomień gazowy, który się wydobywał przez potrzaskaną podłogę, przypominał olbrzymią świeczkę urodzinową, jaskrawożółty w środku, z niebieską chybottliwą obwódką. W tym momencie jakby tylko oświetcał, nie niszczył. Dojrzeli ladę recepcji ze srebrnym dzwonkiem, z wywieszka informującą, jakie przyjmuje się karty kredytowe, ze staroświecką, zdobioną zakrętami kasą rejestrującą, małe wzorzyste dywaniki, fotele z wysokimi oparciami, wypchane włosiem podnóżki. Danny zobaczył kanapkę przy kominku, na której trzy zakonnice siedziały w dniu ich przyjazdu — w dniu zamknięcia hotelu. Ale prawdziwy dzień zamknięcia hotelu był dzisiaj.

Potem widok przesłoniła zaspą na werandzie. I już zaraz okrążali hotel od strony zachodniej. Było wciąż na tyle jasno, że nie potrzebowali reflektora. Płonęły teraz oba górne piętra i z okien strzelały proporczyki ognia. Błyszcząca biała farba zaczynała się łuszczyć i czernieć. Okiennice w dużym oknie apartamentu prezydenckiego — zgodnie z instrukcją starannie zamocowane przez Jacka w połowie października — teraz zwisały niczym głownie, odsłaniając ciemną, pogruchofaną czeluść, podobną do bezzębnych ust rozwartych w ostatnim niemym, śmiertelnym bełkocie.

Dla osłony przed wiatrem Wendy przycisnęła twarz do pleców Halloranna, a Danny do pleców matki, więc tylko Hallorann spostrzegł tę rzecz ostateczną, a on nigdy o tym nie mówił. Zdawało mu się, że z okna apartamentu prezydenckiego wyłoniła się ogromna ciemna sylwetka i zakryła połać śniegu za sobą. Na sekundę przybrała kształt olbrzymiej plugawej płaszczyki, po czym porwał ją wiatr, poszarpał jak kartkę starego, poczerńiałego papieru. Jej kawałki wleciały uniesione wirem dymu i niebawem znikła, jakby jej nigdy nie było. Ale przez ten krótki czas, kiedy czarne strzępki tańczyły wkoło, niczym negatywy pyłków świetlnych, Halloranna nawiedziło wspomnienie z dzieciństwa. . . sprzed pięćdziesięciu lat, a może dawniejsze. Na północ od ich farmy natrafili z bratem na wielkie ziemne gniazdo os. Znajdowało się w zagłębieniu pod starym, wypalonym przez piorun drzewem. Jego brat miał zatknąć za wstążkę kapelusza dużą petardę, którą przechowywał od czwartego lipca. Zapalił ją i cisnął w gniazdo. Wybuchła z głośnym hukem, a z rozerwanego gniazda wydobyło się gniewnie, narastające bzyczenie — nieomal cichy wrzask. Chłopcy uciekli, jakby ścigały ich demony. Zdaniem Halloranna, były to w pewnym sensie demony. A obejrzawszy się przez ramię, tak jak teraz, zobaczył tamtego dnia ogromną ciemną chmurę szerszeni. Wzlatywały w rozgrzane powietrze, wirowały razem, rozpraszały się, wypatrywały wroga, który zburzył ich dom, by — kierowane jedną inteligencją — żądlić na śmierć.

Potem ta rzecz na niebie zniknęła, a przecież mogła być li tylko dymem lub dużą łopoczącą płachtą tapety. Pozostała jedynie Panorama, ognisty stos w ryczącej gardzieli nocy.

Na swoim kółku Hallorann miał klucz od szopy, ale zobaczył, że nie będzie go potrzebował.

Drzwi były uchylone, otwarta kłódka zwisała ze skobla.

— Nie mogę tam wejść — szepnął Danny.

— Nie szkodzi. Zostań z mamą. Zwykle leżała tam sterta starych derek. Przypuszczalnie są już zjedzone przez mole, ale lepiej je wziąć niż zamarznąć na śmierć. Jest pani przytomna, pani Torrance?

— Nie wiem — odpowiedziała Wendy słabym głosem. — Chyba tak.

— Dobrze. Wracam za sekundę.

— Wróć jak najszybciej — szepnął Danny. — Proszę.

Hallorann skinął głową. Nakierował reflektor na drzwi i pobrnął przez śnieg, rzucając długi cień przed sobą. Popchnął drzwi i wszedł do szopy. Derki nadal leżały w kącie, obok przyborów do roque'a. Wziął cztery — zalatywały pleśnią i starzyzną, a mole niewątpliwie podjadły sobie do syta — po czym znieruchomiał.

Brakowało jednego z młotków do roque'a.

(Czy to nim mnie walnął?)

Cóż, obojętne, czym oberwał, prawda? Mimo to dotknął palcami policzka i obmacał olbrzymi guz. Proteza wartości sześciuset dolarów unicestwiona od jednego ciosu. A przecież

(może nie rąbnął mnie żadnym z nich. Może jeden zginął. Albo został skradziony. Czy wzięty na pamiątkę. Przecież)

to właściwie obojętne. Tego lata nikt tu nie zagra w roque'a. Ani żadnego lata w przewidywalnej przyszłości.

Nie, to doprawdy obojętne, tyle że patrząc na stojak z młotkami, z których jednego brakowało, ulegał swoistej fascynacji. Przyłapał się na myśli o stuku, z jakim obuch młotka uderza w drewnianą kulę. Miły, typowo letni odgłos. Widok kuli toczącej się po

(Kość. Krew.)

żwirze wywołuje obrazy

(Kość. Krew.)

mrożonej herbaty, bujanych kanap ogrodowych, pań w białych słomkowych kapeluszach, bzykających komarów i

(niegrzeczni mali chłopcy, którzy nie trzymają się reguł gry)

wszystkich tych rzeczy. Pewnie. Dobra gra. Dziś niemodna, ale... dobra.

— Dick? — Głosik był cienki, podniesiony i zdaniem Halloranna dość nieprzyjemny. — Nic ci nie jest, Dick? Wychodź już. Proszę!

(„Wychodź już, czarnuchu, pan cię woła”.)

Rękę mocno zacisnął na trzonku jednego z młotków, rozkoszując się jego dotykiem.

(Kto różgi żałuje, ten dzieciaka psuje.)

Wzrok mu otepiął w ciemności rozmigotanej błyskami ognia. Doprawdy, obojgu im wyświadczyłby przysługę. Ona pobita... cierpi... a prawie wszystko to

(wszystko to)

z winy przeklętego chłopca. Pewnie. Zostawił tam własnego tatę, żeby się spalił. Jak się nad tym zastanowić, to prawie zabójstwo. Nazywają to ojcobójstwem. Diabelna podłość.

— Panie Hallorann? — Głos miała cichy, słaby, gderliwy. Nie bardzo mu się podobało brzmienie tego głosu.

— Dick! — Teraz chłopiec łkał przerażony. Hallorann zdjął młotek ze stojaka i zawrócił w stronę, z której napływało białe światło reflektora. Nogami szurał po nierównych deskach podłogi, jakby był mechaniczną zabawką, nakręconą i puszczoną w ruch.

Nagle przystanął, ze zdziwieniem spojrzął na młotek w swoich rękach i ogarnięty grozą zadał sobie pytanie, co właściwie zamierza zrobić. Popęłnić morderstwo? Czy myślał o popełnieniu morderstwa?

Na moment głowę jakby mu wypełnił zły, z lekka napastliwy głos:

(Zrób to! Zrób to, ty czarnuchu, ty mięczaku bez jaj! Zabij ich! Zabij ich oboje!)

Hallorann rzucił za siebie młotek z trwożnym szeptem. Młotek stuknął i upadł w kącie, gdzie leżały derki, jedną stroną obucha zwrócony ku niemu w ohydny zapraszającym geście.

Dick uciekł.

Danny siedział w śniegołazie, podtrzymywany przez Wendy. Twarz miał lśniąca od łez i dygotał jak w febrze. Choć szczekał zębami, zdołał zapytać:

— Gdzie byłeś? Baliśmy się!

— Tu rzeczywiście można się bać — powoli odrzekł Hallorann. — Nawet jeżeli hotel spłonie do fundamentów, nikt mnie już nigdy nie zmusi, abym się zbliżył do tego miejsca na odległość niniejszą niż sto mil. No, pani Torrance, proszę się tym owinąć. Ja pomogę. Ty także, Danny, zrób się na Araba.

Określił Wendy dwiema derkami, z jednej z nich zrobił kaptur na głowę, pomógł też Danny'emu tak zawiązać derki, żeby nie spadły.

— A teraz trzymać się, jeśli wam życie miłe — powiedział.

— Przed nami długa droga, ale najgorsze mamy już za sobą.

Okrażył szopę i zawrócił na szlak. Panorama płonęła jak pochodnia wzniesiona w niebo. W bokach ziały wielkie dziury wyżarte przez ogień, w środku czerwone piekło rozpałało się i przygasało. Woda ze stopionego śniegu spływała poczerniałymi rynnami, tworzyła parujące wodospady.

Z pomrukiem zjeżdżali po dobrze oświetlonym trawniku od frontu. Zaspy jaryły się szkarłatem.

— Spójrz! — krzyknął Danny, gdy Hallorann zwolnił przed bramą. Wskazywał na plac zabaw.

Wszystkie zwierzaki z żywopłotu powróciły na swoje dawne miejsca, ale było ogołoczone, poczerniałe, osmalone. Blask ognia ukazywał nagość gęstej płataniny martwych gałązek, listki rozsypane u ich stóp przypominały zwiędłe płatki.

— Nie żyją! — wrzasnął Danny z histerycznym triumfem.

— Nie żyją! One nie żyją!

— Ciii — uciszyła go Wendy. — Już dobrze, skarbie. Wszystko jest dobrze.

— Hej, stary — odezwał się Hallorann. — Jedźmy gdzieś, gdzie jest ciepło. Jesteś gotów?

— Tak — szepnął Danny. — Byłem gotów od tak dawna. . .

Hallorann prześliznął się przez szparę między bramą a słupkiem. Po chwili znaleźli się na szosie do Sidewinder. Warkot silnika słabł, aż wreszcie ucichł przytłumiony nieustannym rykiem wichury. Wiatr głucho, rytmicznie i smętnie szeleścił w bezlistnych gałęziach zwierząt z żywopłotu. Pożar rozpałał się w Panoramie — najpierw w skrzydle zachodnim, potem wschodnim, a w parę sekund później pośrodku. Olbrzymia spirala iskier i płonących szczątków wleciała w wietrzną zimową noc.

Podmuch cisnął parę rozżarzonych łupków i rulon gorącej blachy w otwarte drzwi szopy.

Wkrótce zajęła się i ona.

W odległości dwudziestu mil od Sidewinder Hallorann się zatrzymał, aby wlać resztę benzyny do baku. Coraz bardziej niepokoił się o Wendy Torrance, która jak gdyby od nich odpływała. A mieli jeszcze taki kawał drogi przed sobą.

— Dick! — wykrzyknął Danny. — Stał na siedzeniu i wskazywał palcem. — Zobacz, Dick! Spójrz tam!

Śnieg przestał padać i księżyc jak srebrna dolarówka wyjrzał zza rozstępujących się chmur. W oddali sunął ku nim szosą, piął się zygzakami pod górę perlisty łańcuch świateł. Wiatr ucichł na moment i Hallorann usłyszał daleki warkot śniegołazów.

Hallorann, Danny i Wendy dotarli do nich po upływie piętnastu minut. Śniegołazy wiozły zapasową odzież, brandy i doktora Edmondsa.

Skończył się długi okres ciemności.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Epilog/Lato

Hallorann skosztował sałatek przyrządzonych przez swego pomocnika i popatrzył na prażoną fasolę, którą w tym tygodniu podawali na zakąskę, po czym odwiązał fartuch, powiesił go na haczyku i wymknął się tylnymi drzwiami. Za jakieś trzy kwadranse będzie już musiał porządnie zwijać się koło obiadu.

Ten dom wypoczynkowy nazywał się Czerwona Strzała i leżał ukryty w górach zachodniego Maine, o trzydzieści mil od miasta Rangely. Niezłe zajęcie, myślał Hallorann. Ruch nie za wielki, sute napiwki i, jak dotąd, nie odesłano do kuchni ani jednego posiłku. Całkiem dobrze, zważywszy na to, że sezon dobiegał już do połowy.

Przeszedł między barem na świeżym powietrzu a basenem kąpielowym (nigdy nie pojmie, dlaczego ktoś chciałby korzystać z basenu, skoro jezioro położone jest tak dogodnie), przeciął trawnik, na którym czwórka urlopowiczów ze śmiechem grała w krokiet, i wspiał się na łagodną grań. Rosły tu sosny i wiatr szumił w nich przyjemnie, niosąc woń igliwia i świeżej żywicy.

Po drugiej stronie grzbietu kilka chat z widokiem na jezioro rozrzuconych było dyskretnie wśród drzew. Hallorann już w kwietniu, kiedy dostał tę pracę, zarezerwował ostatnią z nich i najładniejszą dla dwóch osób.

Kobieta siedziała na werandzie w bujanym fotelu, z książką w ręce. Hallorann znów zauważył zmianę, jaka w niej zaszła. Zmiana ta polegała częściowo na tym, że kobieta pozostawała sztywno, niemal oficjalnie wyprostowana mimo panującej dokoła swobody — oczywiście nosiła gorset. Miała strzaskany kręgosłup, złamane trzy żebra i jakieś obrażenia wewnętrzne. Kręgosłup zrastał się najwolniej i nadal chodziła w gorsecie... stąd oficjalna poza. Ale zmiana sięgała głębiej. Kobieta wydawała się starsza i mniej roześmiana. Teraz, kiedy czytała książkę, Hallorann dostrzegł w niej jakieś poważne piękno, którego jej brakowało w dniu ich pierwszego spotkania, mniej więcej przed dziewięciu miesiącami. Wtedy była jeszcze przede wszystkim dziewczyną. Obecnie stała się kobietą, kimś, kto zniósł ciężki los i na nowo składa swoje życie z kawałków. Ale, myślał Hallorann, te kawałki

nigdy nie będą do siebie pasować tak jak przedtem. Przenigdy.

Na odgłos jego kroków podniosła wzrok i zamknęła książkę.

— Cześć, Dick! — Zaczęła się dźwigać, a lekki grymas bólu przemknął po jej twarzy.

— Nie, nie wstawaj — powiedział. — Nie robię ceregieli, chyba że okazja tego wymaga.

Uśmiechnęła się, kiedy wszedł po schodkach i usiadł koło niej na werandzie.

— Jak leci?

— Niezgorzej — przyznał. — Spróbuj dziś wieczorem krewetek w pikantnym sosie. Będą ci smakowały.

— Zgoda.

— Gdzie Danny?

— O, tam. — Wskazała ręką i Hallorann spostrzegł małą figurkę siedzącą na końcu pomostu. Chłopiec miał na sobie dzinsy podwinięte do kolan i koszulkę w czerwone paski. Nieco dalej na gładkiej wodzie unosił się splotnik. Danny co jakiś czas ścigał żyłkę, oglądał ciężarek, haczyk i ponownie zarzucał wędkę.

— Brązowieje — zauważył Hallorann.

— Tak. Bardzo. — Popatrzyła na niego z sympatią.

Wyciągnął papierosa, zgniótł go w palcach i zapalił. Pasemka dymu rozpląnęły się leniwie w blasku słonecznego popołudnia.

— A jak z tymi jego snami?

— Lepiej — odparła Wendy. — W tym tygodniu miał tylko jeden. Przedtem miewał je co noc, niekiedy dwa albo trzy. Śniły mu się wybuchy. Żywopłoty. A najczęściej... wiesz.

— Taak. Nic mu nie będzie, Wendy.

Spojrzała na niego.

— Naprawdę? Zastanawiam się.

Hallorann skinął głową.

— Ty i on przychodzicie do siebie. Może jesteście inni, ale zdrowi. Choć każde z was się zmieniło, to przecież nie ma w tym nic złego.

Zamilkli na chwilę. Wendy trochę bujała się w fotelu. Hallorann siedział z nogami na poręczu i palił. Powiał lekki wietrzyk, który znalazł sobie potajemne przejście wśród sosen, lecz prawie nie zburzył jej krótko przyciętych włosów.

— Postanowiłam skorzystać z propozycji Ala... pana Shockleya — oznajmiła.

— Wygląda to na dobrą pracę — przyznał Hallorann. — Taką, która by cię mogła zainteresować. Kiedy zaczniesz?

— Zaraz po Święcie Pracy, Prosto stąd pojedziemy z Dannym do Maryland poszukać mieszkania. Wiesz, tak naprawdę to przekonała mnie broszura Izby Handlowej. Wydaje się, że to miłe miasto i że można w nim wychowywać dziecko. Chciałabym też wziąć się znów do roboty, zanim wydamy za dużo pieniędzy

z ubezpieczenia Jacka. Zostało jeszcze ponad czterdzieści tysięcy dolarów. Jeśli się je odpowiednio zainwestuje, wystarczy na opłacenie Danny'emu college'u i zapewnienie mu startu.

Hallorann się z tym zgodził.

— A twoja mama?

Spojrzała na niego z bladym uśmiechem.

— Chyba Maryland leży dość daleko.

— Nie zapomnisz starych przyjaciół, co?

— Danny by mi nie pozwolił. Idź tam do niego, czeka już cały dzień.

— No, i ja także. — Wstał, obciągając białą kurtkę kucharza. — Nic wam dwojgu nie będzie — powtórzył. — Nie czujesz tego?

Podniosła wzrok i tym razem przesłała mu cieplejszy uśmiech.

— Tak — powiedziała. Ujęła i ucałowała jego rękę. — Czasem mi się wydaje, że tak.

— Krewetki w sosie — powiedział już od schodów. — Nie zapomnij.

— Nie zapomnę.

Zszedł zwirowaną ścieżką do pomostu i po zbiegających od deszczu i słońca deskach dotarł na jego koniec, gdzie Danny siedział ze stopami zanurzonymi w czystej wodzie. Dalej jezioro się rozszerzało, a w jego tafli odbijały się nadbrzeżne sosny. Teren był tutaj górzysty, lecz stare góry zaokrągliły się i obniżyły z biegiem lat. Hallorannowi ogromnie się podobały.

— Dużo łapiesz? — zapytał, siadając obok chłopca. Zdjął jeden but, potem drugi. Z westchnieniem zanurzył rozgrzane stopy w chłodnej wodzie.

— Nie. Ale niedawno skubała przynętę.

— Jutro rano wypłyniemy łódką. Trzeba się wydostać na środek jeziora, jeśli się chce nałowić ryb do jedzenia, mój chłopcze. Tam są te duże.

— Jakie duże?

Hallorann wzruszył ramionami.

— Och, rekiny, marliny, wieloryby... i tym podobne.

— Tu nie ma wielorybów!

— Nie ma niebieskich. Jasne że nie. Te tutejsze mierzą najwyżej osiemdziesiąt stóp. Różowe wieloryby.

— Jak by się tu dostały z oceanu?

Hallorann położył dłoń na głowie chłopca i zmierzwił mu rudawozłotą czuprynę.

— Płyną w górę rzeki, mój mały. Tak się tu dostają.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Zamilkli na chwilę i wpatrywali się w dal nad spokojną powierzchnią jeziora. Hallorann rozmyślał. Kiedy znów spojrzał na Danny'ego, zobaczył łzy w jego oczach.

Objął go ramieniem i spytał:

— Co się stało?

— Nic — szepnął Danny.

— Brak ci taty, prawda?

Danny przytaknął.

— Ty zawsze wiesz. — Jedna łza wolno spłynęła mu po policzku z kącika prawego oka.

— Nie możemy mieć przed sobą żadnych sekretów — zgodził się Hallorann.

— Tak to już jest.

Wpatrzony w wędzisko Danny powiedział:

— Czasami żałuję, że to nie byłem ja. To się stało z mojej winy. Tylko z mojej winy.

— Nie lubisz o tym mówić przy mamie, co?

— Nie. Ona chce zapomnieć, że to się zdarzyło. Ja też, ale...

— Ale nie możesz.

— Nie.

— Potrzebujesz się wypłakać?

Chłopiec spróbował odpowiedzieć, lecz przełknął słowa wraz z łkaniem. Oparł głowę na ramieniu Halloranna i szlochał; łzy obficie spływały mu teraz po twarzy. Hallorann obejmował go w milczeniu. Wiedział, że Danny będzie musiał co jakiś czas popłakać, na szczęście jednak jest na tyle młody, że może to robić. Łzy uzdrawiające to także te łzy, które parzą i smagają.

Kiedy chłopiec nieco się uspokoił, Hallorann rzekł:

— Przewyciężysz to. Na pewno. Choć na razie tak nie myślisz. Masz jas... .

— Wolałbym nie mieć! — Danny się zakrztusił; mówił głosem wciąż narzmiętym łzami. — Wolałbym jej nie mieć!

— Ale masz — spokojnie rzekł Hallorann. — Na dobre czy na złe. To nie od ciebie zależy, chłopcze. Ale najgorsze już minęło. Możesz się nią posługiwać, żeby rozmawiać ze mną, jak będzie ciężko. A jak się zrobi za ciężko, po prostu zawołaj, to przylecę.

— Nawet jeśli będę aż tam, w Maryland?

— Nawet tam.

W milczeniu obserwowali spławik unoszący się na wodzie w odległości trzydziestu stóp od końca pomostu. Wreszcie Danny odezwał się prawie niedosłyszalnie:

— Będziesz moim przyjacielem?

— Dopóki zechcesz.

Chłopiec przytulił się do niego, a Hallorann odwzajemnił uścisk.

— Danny? Posłuchaj mnie. Porozmawiam z tobą o tym ten jeden raz i nigdy więcej tak samo. Pewnych rzeczy nie powinno się mówić żadnemu sześciolletniemu chłopcu na świecie, lecz rzadko bywa tak, jak być powinno. Świat to trudne

miejsce, Danny. Jemu nie zależy. Choć nie żywi nienawiści do ciebie i do mnie, nie darzy nas też miłością. Dzieją się na nim rzeczy straszne, których nikt nie potrafi wytłumaczyć. Dobrzy ludzie umierają w zły, bolesny sposób i pozostawiają tych, co ich kochali, całkiem samych. Czasem się wydaje, że tylko złym ludziom dopisuje zdrowie i powodzenie. Świat cię nie kocha, ale kocha cię mama i ja także. Dobry z ciebie chłopiec. Smucisz się z powodu taty, a kiedy zbierze ci się na płacz, schowaj się w szafie albo pod kołdrą i becz, aż wszystko to z ciebie wyjdzie. Tak musi postępować dobry syn. Pamiętaj jednak, żeby robić swoje. Takie masz zadanie na tym trudnym świecie, musisz podtrzymać swoją miłość i robić swoje, żeby nie wiedzieć co. Bierz się w garść i po prostu rób swoje.

— Dobrze — szepnął Danny. — Na przyszły rok przyjadę znów w lecie do ciebie, jeśli zechcesz... jeśli nie zrobi ci to różnicy. Na przyszły rok będę miał siedem lat.

— A ja sześćdziesiąt dwa. I wyściskam cię z całych sił. Ale najpierw zakończymy jedno lato, zanim przejdziemy do następnego.

— Dobra. — Danny spojrzął na Halloranna. — Dick?

— Hm?

— Będziesz żył jeszcze długo, prawda?

— Wcale się nad tym nie zastanawiam. A ty?

— Nie, Dick. Ja...

— Bierze ci, synku. — Wskazał czerwono-biały splot, który zanurzył się w wodzie. Wskoczył znów w górę lśniący i jeszcze raz się zanurzył.

— Hej! — Danny'ego ścisnęło w gardle.

Wendy zeszła nad jezioro i przyłączyła się do nich. Stała za plecami syna.

— Co to jest? — spytała. — Szczupaczek?

— Nie, pani szanowna — odparł Hallorann. — Według mnie, różowy wieloryb.

Czubek wędki się wygiął. Danny szarpnął ją i długa tęczowa ryba mignęła, zataczając słoneczne, migotliwe półkole, po czym znikła.

Danny zapamiętał związał żyłkę na kołowrotek i łykał ślinę.

— Pomóż mi, Dick! Mam go! Mam go! Pomóż!

Hallorann się roześmiał.

— Sam świetnie sobie radzisz, mały mężczyzno. Nie wiem, czy to różowy wieloryb, czy pstrąg, ale będzie dobry. Będzie doskonały.

Objął Danny'ego ramieniem, a chłopiec powoli wyciągnął rybę. Wendy usiadła z drugiej strony syna i we trójkę siedzieli na końcu pomostu w promieniach popołudniowego słońca.